

David Gemmel

Echa Wielkiej Pieśni

Tytuł oryginału

ECHOES OF A GREAT SONG

Przełożył Michał Jakuszewski

Echa wielkiej pieśni są dedykowane z wyrazami wielkiej wdzięczności Richardowi Allenowi, który - jeszcze w latach sześćdziesiątych - łamiąc mi rękę, skierował mnie na drogę wiodącą ku popularności, a także Peterowi Phillipsowi, którego bohaterska pomoc w innej chwili wielkiego niebezpieczeństwa zapobiegła kolejnym złamaniom.

Podziękowania

Dziękuję mojej redaktorce, Lizie Reeves, testowym czytelniczkom Stelli i Edith Graham, adiustatorce Beth Humphries oraz Alanowi Fisherowi za jego nieocenione uwagi.

Rozdział pierwszy

A było to w czasach poprzedzających nasze, gdy Tail-avar, bóg mądrości, wyruszył w drogę razem ze Storrem, Opowiadaczem Legend, i Dotknij Księżycy, bogiem plemion, po to, by ukraść moc z magicznego kła Lodowego Olbrzyma. Dzięki sznurowi utkanemu z księżycowego blasku Tail-avar złapał na lasso siedem węży morskich. Zaprzągnął je do swego czółna i w ten sposób pokonał Wielką Wodę w niespełna dobę. Gdy Dotknij Księżycy ujrzał bestię, której szukali, padł na dno łódki, by błagać Ducha Nieba o odwagę. Albowiem Lodowy Olbrzym był większy niż góry, a jego białe plecy rozdzierały niebo. Tchnienie bijące z jego ust unosiło się nad wodami jako biała mgła, sięgając na odległość wielu mil od brzegu. Pazury olbrzyma były długie jak żebra wieloryba, a jego zęby ostre niczym zdrada.

Z Porannej pieśni Anajo

Talaban stał samotnie na skutym lodem stoku, a zimny wicher dmący od lodowców przenikał go dreszczem, gdy przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy usłyszał prorocstwo.

Wielki Niedźwiedź zstąpi z firmamentu i uderzy łapą w ocean. Pożre wszystkie dzieła rąk człowieka. A potem zaśnie na dziesięć tysięcy lat, a tchnienie jego snu będzie śmiercią.

Słowa te wypowiedział vagarski mistyk, odziany w brudne futra obdartus, siedzący na najniższych stopniach schodów Wielkiej Świątyni. Młody niebieskowłosy awatarski oficer wziął go za żebraka i dał mu małą srebrną monetę. Mistyk przyjrzał się pieniążkowi, obracając go raz po raz w brudnej dłoni. Jego twarz była brudna od ziemi i potu, a na szyi zrobił mu się czerwony czyrak. W każdej innej części miasta natychmiast zatrzymałaby go Straż, jako że na ulicach Parapolis nie pozwalano przebywać żebrakom z Zewnętrznych Krain. Ale Świątynia była uznanym centrum religii całego świata i wszystkim pozwalano się w niej gromadzić. Vagarzy, ludzie z plemion,

koczownicy - wszyscy podróżowali do Parapolis. Awatarowie podjęli tę decyzję zarówno z przyczyn duchowych, jak i politycznych. Barbarzyńcy wracali do domu i tłumaczyli pobratymcom, że próby buntu są daremne. Parapolis, ze swymi lśniącymi wieżami ze złota oraz potężną magią było symbolem niewyciężonej mocy.

Talaban obserwował odzianego w futro żebraka, który poddawał oględzinom monetę. Wydawało się, że czyrak na szyi lada chwila pęknie. Z pewnością przysparzał nieszczęśnikowi okropnych cierpień, Talaban zaproponował więc, że go uzdrowi. Mężczyzna potrząsnął głową krzywiąc się z bólu wywołanego tym ruchem.

- Niepotrzebne mi uzdrowienie, Awatarze. Czyrak jest częścią mojego ciała i opuści mnie, gdy będzie gotowy. - Mistrz zerknął na srebrną monetę, którą trzymał w dłoni, a potem przeniósł wzrok na wysokiego niebieskowlosego żołnierza. - Twój dar świadczy o szczodrości ducha, Awatarze - rzekł. - Rozejrzyj się wokół i powiedz mi, co widzisz.

Talaban spojrzał na okazałe budynki wzniesione w centrum stolicy. Wielka Świątynia była wspaniałym gmachem o dachu pokrytym złotą blachą ozdobionym setkami pięknie rzeźbionych marmurowych posągów przedstawiających sceny z tysiącletniej historii Awatarów. Obok niej stał połączony Pomnik, błyszcząca, wysoka na dwieście stóp kolumna. Gdziekolwiek spojrzał, Talaban widział świadectwa chwały stolicy Awatarów: budzące bojaźń budowle, potężne łuki, brukowane ulice. A dalej majaczyła pogodna, zapierająca dech w piersiach Biała Piramida, przytłaczająca swym ogromem wszystkie niezwykle dzieła architektury Awatarów. Tę sztuczną górę zbudowano z trzech milionów kamiennych bloków, nierzadko przekraczających ciężarem dwieście ton. Następnie całą budowlę obłożono białym marmurem. Talaban pogrążył się w zachwycie, lecz po chwili przypomniał sobie pytanie obdartusa.

- Widzę to samo, co ty - odparł. - Największe miasto, jakie kiedykolwiek zbudowano.

Mistrz zachichotał.

- Wcale nie widzisz tego samego, co ja. Ty widzisz to, co jest, a ja to,

co będzie. - Wskazał na błyszczący Pomnik, skierowaną ku niebu włócznię. Był to prawdziwy cud architektury. Z umieszczonej na jego szczycie korony sterczały na wszystkie strony złote kolce. Sama korona ważyła blisko tonę. - Korona spadnie, gdy uderzy w nią ciało wieloryba - oznajmił obdartus.

- Nigdy nie widziałem latającego wieloryba - odparł uprzejmie Talaban.

- I nie zobaczysz - zgodził się mistyk. Potem zaczął opowiadać o Wielkim Niedźwiedziu i jego śnie śmierci.

Talaban był znudzony. Uśmiechnął się do obdartusa i odszedł. Głos mistyka ścigał go jednak.

- Niedźwiedź będzie biały. Bielusieńki. Tak samo jak piramida. Ty zaś będziesz jednym z nielicznych Awatarów, którzy go ujrzą i zachowają życie. A twoje włosy nie będą już wówczas zabarwione na niebiesko. Będą ciemne. Dlatego, że nauczysz się pokory, Awatarze.

Nad pokrytymi śniegiem górami szumiał lodowaty wicher. Talaban wrócił myślami do współczesności. Przeczesał palcami ciemne jak noc włosy, znowu postawił futrzany kaptur i wbił spojrzenie w lodowce.

Był czas, gdy nienawidził lodu. Nienawidził go każdą cząstką swego jestestwa. Teraz jednak bez gniewu spoglądał na zimne, kruche piękno lodowców. Ze zdziwieniem przekonał się, że potrafi je dostrzec nawet w pastelowych barwach obudzonych w ścianach lodowca przez słoneczny blask, w bladym błękitcie odbijającego się w nich nieba, w błysku złota o zachodzie słońca.

Tak wiele spoczywało pod lodem, utracone na zawsze. Jego przyjaciele z dzieciństwa, rodzina, tysiące dzieł literatury i filozofii. Wszystko to zginęło, razem z jego nadziejami i marzeniami. Choć jednak lód zabrał mu tak wiele, okazał się zbyt potężny dla jego nienawiści, nazbyt ogromny i za zimny dla jego furii.

Teraz, gdy kierował na białe góry spojrzenie ciemnych oczu, czuł osobiwą więź z lodem. Jego uczucia były ukryte głęboko, być może równie głęboko jak Parapolis, które spoczywało pod brzuchem Wielkiego Lodowego Niedźwiedzia.

Wysoki wojownik przeniósł wzrok na grupkę ludzi trudzących się u stóp

lodowych turni. Ze wzgórza, na którym stał, widział, jak umieszczają w ziemi złote zgłębniki i wznoszą ze srebrnych tyczek małe piramidy, łącząc je następnie złotymi drutami. Widział niską, krępą postać kwestora Ro, który krążył wśród Vagarów, wydając rozkazy warkliwym tonem. Nie słyszał go z tak daleka, ale niecierpliwe gesty świadczyły, że kwestor Ro próbuje strachem skłonić swych ludzi do wydajniejszej pracy. Mieli się czego bać. Był on jednym z nielicznych Awatarów, którzy nadal zwykli karać niewolników chłostą nawet za drobne przewinienia. Niski człowieczek miał wielkie wpływy w Radzie i to dzięki niemu mogło dojść do tej ekspedycji.

Talaban zastanawiał się jednak, czy kwestor Ro zachowa swe wpływy po powrocie.

Dawno już zapomniał o optymizmie i uważał całe przedsięwzięcie za skazane na porażkę. Wydano mu jednak wyraźne rozkazy. Miał zaprowadzić kwestora Ro i jego ludzi do granicy lodu, zapewnić im ochronę, nadzorować całą operację i wrócić przed upływem trzech miesięcy.

To była siódma grupa próbująca osiągnąć komunię w ciągu ostatnich czterech lat. Talaban dowodził trzema z tych ekspedycji. Wszystkie zakończyły się porażką i nie oczekiwał, że tym razem powiedzie im się lepiej. Zgodnie z przeważającą opinią, komunია nie była już możliwa. Kwestor Ro głosił jednak odmienne poglądy, zwąc swych towarzyszy „żałosnymi defetystami”. Jego wrogowie - a miał ich wielu - mieli udział w sponsorowaniu tej wyprawy. Łatwo było odgadnąć ich cel. Chcieli upokorzyć kwestora Ro. Niski człowieczek nie sprawiał jednak wrażenia, że się tym przejmuje.

Talaban odwrócił się od lodu i spojrzał na jałową równinę, wypatrując na niej oznak ruchu. W górach na wschodzie nadal żyli koczownicy. Byli dzikim, gwałtownym ludem, a Talaban miał tylko dwudziestu żołnierzy i nie cieszył się na myśl o bitwie w tym zimnym, odludnym miejscu.

Skuta lodem kraina, ongiś cudownie żyzna, była teraz pełna niebezpieczeństw. Koczownicy stanowili tylko jedno z wielu zagrożeń. Podczas poprzedniej wyprawy stado szablatozębnych tygrysów zaatakowało brygadę robotników, zabijając trzech Vagarów i porywając czwartego. Talaban zabił bestię, która zaatakowała jednego z nich, ale ofiara wykrwawiła się po paru

chwilach z rozdartej tętnicy w kroczu. Były też krale. Od czasu pierwszej ekspedycji nie widziano żadnego, ale nadal budziły strach, a opowieści o ich dzikości stawały się z każdym powtórzeniem coraz bardziej przerażające. Talaban nigdy nie widział krala, ale mówiono mu, że te bestie są niezwykle szybkie i agresywne. Okrywało je białe futro, jak śnieżne niedźwiedzie, ale ich oblicza przypominały twarze niewiarygodnie upodobnionych do zwierząt ludzi. Według trzech relacji, miały ponad siedem stóp wzrostu i długie górne kończyny. Podczas ataku opadały na cztery łapy, uśmiercając ofiary pazurami i ostrymi kłami.

Ostatnim, lecz bynajmniej nie najmniejszym zagrożeniem były stada trąbowców, zamieszkujących lasy na wschodzie.

Kudłate futra chroniły je przed dotkliwym mrozem, a kły, liczące niekiedy ponad dziesięć stóp, czyniły z nich groźnych przeciwników. Nawet szablastozębne tygrysy z reguły unikały mamutów, chyba że udało im się dopaść sztukę, która odłączyła się od stada.

Bezkresna równina sprawiała wrażenie pustej. Talaban skinął na swego sierżanta, Methrasa, który zajął pozycję na wzgórzu położonym około sześciuset kroków na wschód. Podoficer rozpostarł ramiona w linii prostej, sygnalizując, że nie ma nic do przekazania.

Wtem spojrzenie Talabana przyciągnął jakiś ruch na morzu. W pierwszej chwili pomyślał, że to statek, ale potem ujrzał potężny grzbiet płetwala błękitnego, który wynurzył się, by po chwili zniknąć z powrotem w odmętach. Przypomnił sobie słowa mistyka. Zrozumiał, że gdy morskie fale zalały Parapolis, wieloryb musiał uderzyć w koronę, strącając ją z pomnika. Zastanawiał się, czy mały obdartus ocalał.

Wąż Siedem kotwiczył w zatoce ze zwiniętymi żaglami. Nawet tutaj, gdzie morze było spokojne, wielki czarny okręt sprawiał wrażenie niezdatnego do żeglugi. Miał zbyt wysokie pokłady i za małe zanurzenie. Talaban westchnął. Otulił się czarnym wełnianym płaszczem i zszedł ze wzgórza. W zbudowanym z kilku głazów schronieniu przycupnęło trzech czekających na szalupę ze statku Vagarów. Mieli białe futra i buty z owczej skóry, ale mimo to

nawet usta zsiniały im z zimna. Talaban uklęknął między nimi.

- Kiedyś były tu winnice - oznajmił - a na północ stąd znajdowało się jezioro, nad którym Pierwszy Awatar wzniósł swój pałac. W dzieciństwie pływałem w tym jeziorze, a słońce spaliło mi ramiona na czerwono.

- Teraz jezioro zamieniło się w lód, panie - odparł jeden z Vagarów, chuchając w dłonie. - Wszędzie jest tylko lód. - Jego głos był pozbawiony emocji. Vagar nie patrzył na Talabana.

- Jeszcze dwa dni i pożeglujemy z powrotem do miasta - zapewnił Awatar.

Jego słowa nie podniosły ich na duchu, odszedł więc, kierując się ku brzegowi. Na wodzie unosiły się kry. Talaban uniósł rękę, dając sygnał w stronę okrętu. Natychmiast na wodę opuszczono srebrzystą szalupę.

Łódź mknęła po morzu mimo braku wiosła i żagla. Awatar widział u steru zgarbioną postać Probierza. Znowu zadrżał. Zimno przenikało aż do kości. Gdy szalupa się zbliżyła, trzech Vagarzy podbiegli do brzegu. Zaczekali, aż Talaban wsiądzie na pokład, i podążyli za nim.

- Ale z nich zmarzluchy - odezwał się z uśmiechem Probierz, wskazując na trzech robotników. Talaban również się uśmiechnął. Probierz zdjął podszyty futrem kaptur, uwalniając czarne warkocze. - Koczownicy są blisko - stwierdził, pukając palcem po nosie. - Czuję ich zapach.

Trzech Vagarzy napięli mięśnie. Talaban ujrzał w ich oczach strach. Przynajmniej zapomną o zimnie, pomyślał.

- Jak blisko? - zapytał Probierza.

- Pół dnia drogi. Może ze dwudziestu jeźdźców. Na trąbowce polują. Jutro blisko będą. Może o zmierzchu.

- Potrafisz wyczuć to wszystko? - zdziwił się jeden z Vagarów.

- Dobry nos mam - wyjaśnił Probierz. Mrugnął znacząco, dotykając wielkiego orlego nocha. Uśmiechnął się do pytającego. - Sam zobaczysz. Jutro. O zmierzchu.

Talaban znowu uniósł rękę, by dać sygnał okrętowi, i srebrzysta szalupa natychmiast odbiła od brzegu. Probierz chwycił ster i łódź zawróciła w stronę Węża Siedem. Awatar skupił spojrzenie na jego czarnych, pochyłych

burtach, na wysokim dziobie i długim kadłubie. Niedawno dodane maszty bardzo go oszpeciły, niestety, okazały się niezbędne w tych dniach zanikającej mocy. Przed pięćdziesięciu laty mieli siedemdziesiąt albo i więcej okrętów, które pływały po oceanach, odkrywały nowe lądy i stały na straży pokoju Pierwszego Awatara. Teraz został im tylko jeden, Wąż Siedem, jego skrzynka mocy była już niemal pusta, a jego piękno skalają pokraczne drewniane maszty wbite w pokład. Kiedyś okręt przesywał fale niczym olbrzymi delfin, a obecnie włókł się po morzu jak chory wieloryb i musiał się trzymać blisko brzegu, wystrzegając się każdej fali, która mogłaby go wyrzucić do góry dnem.

Srebrzysta szalupa podpłynęła do potężnego okrętu. Rzucono im liny. Probiez przywiązał dwie z nich do dziobu i rufy. Talaban wspiął się po drabince na główny pokład, odpowiedział na saluty trzech ubranych na czarno vagarskich marynarzy i ruszył ku swojej kajucie.

Gdy tylko znalazł się w środku, zdjął płaszcz, odpiął pas z mieczem i przystanął przed rozgrzanym piecykiem koksowym, ustawionym pod rufowymi bulajami. Zbliżył dłonie do ciepła i zadrżał z przyjemności. Nienawidził zimna, mimo że potrafił je znosić lepiej niż większość ludzi. Jedno z okienek było uchylone i do kajuty napływało świeże powietrze, pozwalające złagodzić smród dymu. Talaban popatrzył z tęsknotą na wprawione w ścianę kryształowe kule. W dawnych czasach mogłyby one wypełnić kapitańską kajutę ciepłem bądź światłem - albo nawet i jednym, i drugim, gdyby okazało się to potrzebne - ale w skrzynce pozostało tak niewiele mocy, że Talaban nie odważył się ich uaktywnić. Podeszedł do biurka z gładzonego dębu i usiadł za nim, z przyjemnością zapadając w głęboki, miękki fotel.

Zamknął oczy i ponownie wrócił myślami do pałacu Pierwszego Awatara, palących promieni słońca i zapachu okolicznych winnic. Przez krótki czas czuł się tam szczęśliwy, pracując nad mapami terenów, które tak dokładnie zbadał rok wcześniej. To był rok, w którym kwestora Anu pozbawiono rangi. Talabanowi polecono przesłuchać go i ustalić, czy jest zagrożeniem dla państwa.

Przesłuchanie odbyło się w domu Anu, na peryferiach miasta. Tak jak

wszyscy Awatarowie, Anu cieszył się wieczną młodością. Przywitał ciepło Talabana i obaj usiedli w ogrodzie w towarzystwie rozdziawiającego usta półgłówka, który ciągle się ślinił i wpatrywał się bezmyślnie w pustkę. On również był Awatarem, lecz z uwagi na stan umysłu nie pozwalano mu na niebieskie włosy ani na żaden inny symbol rangi. W Talabanie jego widok budził odrazę, którą dodatkowo pogłębił kontrast z Anu. Ten drugi był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, a jego twarz o regularnych rysach zawsze miała przyjazny wyraz. Otaczała go jakaś niemal namacalna aura, poczucie czegoś niezziemskiego, atrakcyjne i niepokojące zarazem. Talaban czuł się w jego obecności tak, jakby wspiął się na wysoką górę i spoglądał z niej na świat. Przepęłniała go bojaźń i głęboka pokora.

Anu uśmiechnął się, widząc zakłopotanie Talabana.

- Czemu tak się nim niepokoisz? - zapytał.

Talaban odwzajemnił uśmiech i postanowił nie ukrywać prawdy.

- Szczerze mówiąc, kwestorze, przyszedłem tu po to, by rozstrzygnąć, czy jesteś przy zdrowych zmysłach. Wydaje się dziwne, że mam to robić w obecności idioty.

- To mógłby być temat ciekawej debaty, Talabanie. Co czyni człowieka idiotą? Togen nie potrafi się samodzielnie ubrać i gdyby nikt mu nie pomógł, zapewne umarłby z głodu. Nic nie wie o polityce, a gdybym wysłał go na targ, zgubiłby drogę, zanim zdążyłby dotrzeć do pierwszego sklepu. Powiedz mi jednak, Talabanie, na jakiej nauce opiera się nasza cywilizacja?

- Na matematyce - odparł oficer.

- W rzeczy samej. A teraz mam dla ciebie zagadkę. Powiedz mi, ile wynosi pierwiastek kwadratowy z 4 879 625?

Nim Talaban zdążył choć pomyśleć o metodzie, która pozwoliłaby mu znaleźć odpowiedź, półgłówek ją wygłosił:

- Dwa tysiące dwieście osiem przecinek dziewięć osiem siedem trzy dwa cztery pięć cztery pięć - rzekł, nie podnosząc wzroku ani nie zmieniając wyrazu twarzy.

Anu klasnął w dłonie.

- A pierwiastek kwadratowy z tego?

Pólgłówek znowu odpowiedział natychmiast:

- Czterdzieści przecinek sześć dziewięć dziewięć osiem.

- Jak on to robi? - zainteresował się Talaban.

- Nie mam pojęcia. Ale w ciągu ostatnich sześciu lat okazał się bardzo użyteczny. Powiedz mi, Talabanie, czy to idiota, czy geniusz?

- Najwyraźniej i jedno, i drugie. Odłóżmy jednak na bok kwestię stanu jego umysłu i zajmijmy się twoim.

- Jak sobie życzysz.

- Głosisz heretyckie poglądy, kwestorze. Czym usprawiedliwisz swe postępowanie?

- Moje postępowanie nie wymaga usprawiedliwienia. Wróćmy jednak do matematyki. Studiowałem tę naukę przez prawie osiemset lat. Dzięki niej pomogłem Awatarom osiągnąć wielkość w takich dziedzinach jak architektura, podróże i handel.

- Nikt temu nie przeczy, kwestorze. Sam korzystałem z twoich gwiazdnych map podczas moich wypraw. Ale nie w tym rzecz.

- Właśnie że w tym. Mamy za sobą tysiąc lat historii, Talabanie. Co jednak czeka nas w przyszłości? Katastrofa. Prowadzone przeze mnie dociekania świadczą, że Ziemia regularnie przeżywa serię kataklizmów. Podczas tych katastrof planeta koziółkuje, można powiedzieć, że spada. Studiowałem starożytne zapiski. Przed jedenastoma tysiącami lat niemal z pewnością doszło do podobnego wydarzenia. Jestem przekonany, że przed upływem dwóch lat dojdzie do niego znowu. Przy pomocy Togena będę mógł ustalić ściślejszą datę. Musimy jednak przygotować się na koniec wszystkiego, co znamy. Za kilka lat ten mały ogród zniknie pod grubą warstwą lodu. Jeśli nie będziemy gotowi, cywilizacja, którą stworzyliśmy na tej planecie, pograży się w niepamięci.

- Słyszałem o twych przepowiedniach, kwestorze. Otacza cię tak wielka sława, że nawet vagarscy mistycy zapowiadają teraz koniec wszechrzeczy.

Anu potrząsnął głową.

- Teraz to ty nie dostrzegasz, w czym rzecz. Ci mistycy przepowiadali kataklizm na długo przed tym, nim przeprowadziłem swoje obliczenia.

W gruncie rzeczy to właśnie fascynacja nimi skłoniła mnie do zajęcia się tą kwestią.

- Ale to kłóci się z powszechnie uznanymi poglądami, kwestorze, a co gorsza, z opinią samego Pierwszego Awatara. Czy nie potrafisz zaakceptować myśli, że możesz się mylić?

- Nie myślę się, Talabanie - odparł ze smutkiem Anu. - Oddałbym wszystko, co mam, a nawet samo życie za to, żeby tak było. Wiem, co musi się wydarzyć. Słońce wstanie na zachodzie, morza wyleją ze swych łóżysk i nie pozostanie nawet kamień na kamieniu. - Kwestor westchnął, a potem uśmiechnął się z żalem. - Pierwszy Awatar każe mnie zabić albo ogłosi banitą. W tym drugim przypadku utracę wszelkie dochody i renty, a także pozycję. Mimo to nie przestanę głosić poglądów, które uważasz za herezję. Zbiorę tylu naszych ludzi, ilu zechce mi towarzyszyć, i wyruszę na północ. Daleką północ. Mamy odległe osady i z pomocą Źródła przetrwamy katastrofę. Nie wiem jednak, czy będzie nas wystarczająco wielu, by odbudować cywilizację.

Talaban zdał Radzie relację z tej rozmowy. Niektórzy domagali się śmierci Anu, ale on sprzeciwił się takiemu rozwiązaniu. Kłótnia była zażarta i trwała kilka godzin. Kwestor Ro zawzięcie domagał się kary śmierci i takiej właśnie rekomendacji udzielono Pierwszemu Awatarowi. Ten jednak na szczęście uchylił wyrok i ogłosił Anu bezpieczeństwa. Skonfiskowano jego majątek i nie wolno mu już było chodzić po ulicach Parapolis. Były kwestor przeniósł się do świątyni. Mógł tam przeżyć dzięki żywności i ubraniom przynoszonym przez nielicznych przyjaciół, jacy mu pozostali. Nie przestał ostrzegać przed katastrofą.

Po kilku tygodniach ludność zaczęła powtarzać złowrogie przepowiednie Anu. Rada jednak z nich drwiła.

Anu dotrzymał słowa i przeprowadził dokładniejsze obliczenia. Wynikało z nich, że do katastrofy dojdzie ósmego albo dziewiątego dnia lata tysiąc osiemset trzeciego roku Imperium Awatarskiego.

Po dwóch latach i czterech miesiącach, dziewiątego dnia lata, na pokładzie Węża Siedem, na którym wypłynął na kartograficzną ekspedycję na daleki północny zachód, Talaban był świadkiem zagłady świata. Okręt skrył

się w dużej zatoce, a zwiadowcy właśnie wracali z wyprawy na ląd. Nadchodził zmierzch. Talaban stał na najwyższym pokładzie i nagle dostrzegł srebrzystą szalupę, która mknęła po morzu w stronę Węża. Było słonecznie, rześko i zimno. W zatoce przy brzegach można było dostrzec jeszcze kry topniejącego lodu, a pokład owiewała chłodna bryza. Gdy już przymocowano szalupę, a ludzie wrócili na pokład, Talaban zwrócił się ku drzwiom swej kajuty. Słońce niemal już zaszło, a obłoki nad górami na zachodzie lśniły czerwono-złotym blaskiem. Kapitan przystanął na chwilę, by popatrzeć na zachód słońca. Nagle wiatr przybrał na sile, znikąd pojawił się sztorm. Odległe drzewa zginały się pod naporem wichury, a chmury mknęły jak szalone po niebie. Okręt przechylił się gwałtownie i Talaban uderzył o drzwi kajuty. Pokład Węża zalał jaskrawy blask. Kapitan odwrócił się i zobaczył, że słońce znowu wschodzi. Zastygł w bezruchu, porażony zdumieniem. Na całym okręcie słychać było krzyki. Ludzie wołali przyjaciół, by oni również mogli ujrzeć to zjawisko. Talaban przypomniał sobie słowa Anu. *Słońce wstanie na zachodzie, morza wyleją ze swych łóżysk i nie pozostanie nawet kamień na kamieniu.*

Oślonił oczy dłonią i spojrzał na zachód. Region, którego mapę mieli sporządzić, był wąskim pasmem lądu, o szerokości nieprzekraczającej dwudziestu mil. Po drugiej stronie gór znajdował się ocean. Nad ich szczytami wezbrało ogromne mroczne pasmo, przypominające ławicę burzowych chmur.

...morza wyleją ze swych łóżysk.

Góry miały prawie dwie mile wysokości. Wznosząca się nad nimi fala była o połowę wyższa. I mknęła ku zatoce.

Po raz pierwszy w życiu Talabana ogarnęła panika. Przykuty do miejsca, gapił się z przerażeniem w oczach na ogromną, ciemną falę przestaniającą niebo. Stał tak przez kilkanaście uderzeń serca. Nadciągała śmierć i czuł się bezsilny wobec jej ogromu. Na pokładzie poniżej ktoś krzyknął ze strachu i padł na kolana, osłaniając głowę rękami. Przerażenie owego człowieka podziałało na Talabana jak orzeźwiający powiew. Zapanował nad paniką, pognął na pokład sterowniczy i wpadł do sanktuarium. Pośpiesznie umieścił kryształy mocy w czarnych tablicach i zakręcił kołem

sterowym. Czarny okręt zawrócił i pomknął ku morzu. Jego skrzynka mocy była załadowana do pełna i Wąż Siedem oddalił się prawie o milę od brzegu, gdy Talaban zawrócił go po raz drugi, kierując się dziobem ku ścianie wody, która była coraz bliżej. W ostatniej chwili obrócił okręt jeszcze raz, ustawiając go pod kątem. Ogromna fala dotarła do Węża, unosząc go coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zaczęło się wydawać, że ciśnie nim ponad chmury. Okrętem targały gwałtowne wichry i kilku ludzi, którzy zostali na pokładzie, runęło w dół na spotkanie śmierci.

Nadal się wznosili. Talaban wykorzystał ostatnie rezerwy mocy z ukrytej w sercu Węża skrzynki. Okręt zwolnił i zaczął się przewracać. Kapitan chwycił się tablicy rozdzielczej, wyglądając na zewnątrz przez bulaj po prawej stronie. Widok był oszałamiający. Wiele mil w dole dostrzegał wyspy, które za chwilę miała zalać fala. Jeśli okręt przewróci się do góry dnem, pochłona go odmęty. Talaban znowu zakręcił kołem sterowym, starając się wyprostować Węża.

Kryształ w tablicy pękł. Drugi rozprysnął się na kawałki.

I nagle okręt się wyprostował, płynąc spokojnie za grzbietem ogromnej fali.

Znany Talabanowi świat przestał istnieć - a on ocalał.

Gdy Probierz wszedł do kajuty, Awatar otworzył oczy. Dzikus zasalutował mu od niechcienia, a potem opadł ciężko na drugi wyściełany fotel ustawiony przy biurku. Był niskim, krępy męczyzną o zaokrąglonych plecach i grubej szyi. Czarne przetłuszczone włosy wiązał w dwa warkocze. Mimo że już od dwóch lat służył Talabanowi jako zwiadowca, nie chciał wystąpić o vagarskie obywatelstwo i nadal nosił czarną plemienną kamizelkę, ozdobioną kośćmi palców. Zerknął na kapitana. W jego zielonych oczach błyszczały iskierki wesołości.

- Biegają wkoło jak śnieżne króliki - odezwał się. - I wgryzają się w lód. Myślisz, że tym razem znajdą to, czego szukają?

Talaban wzruszył ramionami.

- Albo znajdą, albo nie znajdą.

- Za całe to złoto można by kupić duży dom, może nawet

gospodarstwo - stwierdził Probierz. - Okropne marnotrawstwo.

Talabanowi trudno było temu zaprzeczyć. Zatapanie w lodzie prętów ze złota wiele kosztowało, a do tej pory nie przyniosło zbyt wiele pożytku.

- Czy ci koczownicy nas zaatakują? - zapytał.

Tym razem to Probierz wzruszył ramionami.

- Kto wie? To twarde chłopaki. Jeśli zobaczą złoto, pewnie tak. Nie wierzą już w Awatarów. Wiedzą, że wasza magia umiera. Wiedzą, że lód zniszczył imperium.

- Zranił je - poprawił go Talaban. - Nic nie może zniszczyć imperium. Jesteśmy na to za silni. - To była wyuczona na pamięć formułka. Sam już dawno przestał w to wierzyć. - I nie powinieneś mówić takich rzeczy. Nie chciałbym zobaczyć, jak leżysz na kryształach.

- Rozmawiamy szczerze? - zapytał Probierz. Talaban skinął głową. - Awatarowie są jak łoś osaczony przez wilki. Nadal jesteście silni, ale drapieżcy w końcu was rozszarpią. Oni o tym wiedzą i wy również.

- Starczy już tej szczerzej rozmowy, przyjacielu. Czeka mnie robota. Wróć za godzinę i przyprowadź ze sobą kwestora.

Probierz wstał.

- Najpierw przyniosę coś do jedzenia - zapowiedział. - I więcej węgla.

- Rodzona matka nie dbała o mnie tak, jak ty - zauważył Talaban.

- Musisz być silny - wyjaśnił Probierz. - Gdybyś umarł, obietnica pozostanie niedotrzymana.

- Ja zawsze dotrzymuję obietnic - zapewnił Talaban. - I nie zapomniałem o tej.

Probierz przyglądał mu się przez chwilę. Jego zielone oczy wpatrywały się w czarne oczy Awatara. Potem dzikus wyszedł z kajuty.

Talaban chwycił pióro, otworzył log i szczegółowo opisał w nim wszystko, co dziś robili. Gdy zaczęło zmierzchać, zapalił lampę. Pięknie pomalowane ściany kajuty z biegiem lat poczerniały od gromadzącej się na nich sadzy. Zadał sobie machinalnie pytanie, czy okręt wstydzi się utraty mocy i prestiżu. Jesteś romantykiem, powiedział sobie.

Napisawszy notatkę, Talaban zdjął ubranie i przeszedł do małego

sanktuarium połączonego z jego sypialnią. Wyjął trzy kryształy z aksamitnej torby wiszącej przy bulaju i ułożył je na dywaniku. Następnie ukląkł, zwracając się twarzą w stronę okienka, i rozpostarł szeroko ramiona. Wciągnął głęboko powietrze w płuca i zaczerpnął ukrytej wewnątrz mocy. Zamknął oczy i sięgnął po pierwszy kryształ. Był on jasny i przejrzysty, jak błyszczący lód. Awatar uniósł go do czoła i wyrecytował powoli Modlitwę Jedynego. Zapadał w coraz głębszy trans. Czuł, że jego mięśnie się rozluźniają. Zdał sobie sprawę ze skupisk napięcia, które utrzymywały się w jego barkach i szyi. Usunął je delikatnie. Gdy już poczuł się zrelaksowany, odłożył kryształ i sięgnął po drugi. Był to niebieski klejnot wielkości paznokcia jego kciuka. Przycisnął go do piersi, nad sercem. Moc błękitnego kryształu przesączała się przez skórę, sięgając do serca, wzmocniła krew, a potem popłynęła przez tętnice i żyły, wypełniając je siłą. Na koniec ujął w dłoń największy, zielony kryształ. Przycisnął go do brzucha, recytując Modlitwę Pierwszego Awatara. Tym razem moc popłynęła z większą gwałtownością. Wypełniała jego ciało nowym życiem, uzdrawiała je i odnawiała. Był to wielki wstrząs dla organizmu, i nerki oraz wątrobę Talabana przeszył ból. Po chwili jednak minął. Awatar wstał z podłogi i schował kryształy z powrotem do czarnej aksamitnej torby.

Wiedział, że energia zielonego kryształu już się wyczerpuje. Ile czasu upłynęło, odkąd ostatnio go odnawiał? I co go przed tym powstrzymywało? Odepchnął od siebie te myśli, zapalił drugą lampę i podszedł z nią do zajmującego całą długość sypialni lustro. Pochylił się ku niemu i przyjrzał się sobie uważnie. Skóra na jego twarzy była jędrna i zdrowa. Miał szczupłe ciało, a mięśnie wyraźnie rysowały się w blasku płomieni. Tylko oczy są stare, pomyślał, ciemne i ponure. Zmieszał się, spojrzawszy w nie, i odwrócił się od lustra.

Wyjął z szafki czyste rajtuzy z czarnej wełny oraz koszulę ze srebrnego atłasu. Potem włożył suche buty i wrócił do biurka. Probierz zostawił tam talerz z solonym mięsem i świeżym chlebem. Dosypał też koksu do piecyka, który jarzył się czerwonym płomieniem. Talaban otworzył drzwiczki w tylnej ścianie kajuty i wyszedł na balkon. Owiał go zimny wiatr, ale po wyjściu

z ciepłego pomieszczenia sprawiało mu to przyjemność. Vagarscy robotnicy opuścili już lodowiec, lecz nadal widział srebrne piramidy, lśniąco w blasku księżyca. Energia ukrytych pod lodem złotych prętów bezgłośnie poszukiwała Wielkiej Linii.

Łoś osaczony przez wilki. Wróciły do niego słowa Probierza.

Ta analogia nie była do końca trafna. Już prędzej smok osaczony przez lwy. One bały się jego straszliwego ognia i nie atakowały. On zaś obawiał się ich kłów oraz pazurów...

...i miał nadzieję, że nie zorientują się, iż jego ogień gaśnie.

Rozdział drugi

Kwestor Ro był tradycjonalistą. Głowę zawsze miał gładko ogoloną, a rozwidloną brodę farbował na niebiesko. Do tego codziennie pełne dwie godziny poświęcał na Sześć Rytuałów Awatarów. Jego ubrania również były ciemnoniebieskie: koszula z drogiego atłasu obszyta srebrną nicią, rajtuzy z najlepszej wełny oraz buty z jaszczurczej skóry zabarwionej na ten sam kolor. Nosił też pas o srebrnych krawędziach, symbol pozycji pierwszego kwestora. Nie rozstał się również z ceremonialnym berłem, mimo że jego energia wyczerpała się już przed około dwudziestu laty. Choć Imperium Awatarskie pochłonęły oceany, a źródła jego mocy pokrył lód, kwestor Ro uważał, że trzeba podtrzymywać tradycję. To był jeden z wielu powodów, dla których nie lubił Talabana.

Czekając razem z Probierzem pod drzwiami kapitańskiej kajuty, zastanawiał się nad innymi tego przyczynami.

- On zajęty - oznajmił dzikus. - Wkrótce nas wezwie.

Kwestor Ro nie odpowiedział. W dniach chwały żaden barbarzyńca nie odważyłby się zwrócić bezpośrednio do Awatara. Podeszedłby do niego na kolanach, a potem dotknął głową ziemi. Przemawiając do niego, musiałby zacząć od formuły: „Panie, racz wysłuchać swego sługi”. Dzięki temu utrzymywano dyscyplinę, a niższe warstwy znały swoje miejsce. W gruncie rzeczy kwestor Ro był przekonany, że ich członkowie czuli się wówczas szczęśliwsi. Jasno określone zasady zachowania były fundamentem cywilizacji. Talaban jednak najwyraźniej tego nie rozumiał i pozwalał, by dzicy zwracali się do niego jak do równego sobie. Mieszkał nawet przez pewien czas wśród barbarzyńców, sypiąc w ich nędznych namiotach. Kwestor Ro zadrzał na samą myśl o tym. Był niemal pewien, że w żyłach Talabana płynie vagarska krew. Ponadto był on jeszcze młody, miał zaledwie dwieście lat. Nie żył wystarczająco długo, by w pełni uświadomić sobie potrzebę utrzymywania strachu wśród niższych ras.

Ale przecież jego matka również słynęła z dziwaczego zachowania. Nie chciała urodzić dziecka aż do osiemdziesiątego roku życia, gdy - pomimo przedłużonej przez działanie kryształów młodości - dni jej płodności dobiegały już końca. Wywołało to wiele plotek i stało się poważnym upokorzeniem dla jej trzystuletniego męża. Większość awatarskich kobiet traciła zdolność wydawania na świat dzieci po siedemdziesiątym roku życia, a tylko garstka mężczyzn była w stanie spłodzić je po dwusetnym. Zgodnie z powszechną opinią, zaszła w ciążę podczas swych wojaży. Niewiele awatarskich kobiet odbywało długie podróże i to wyłącznie wtedy, gdy było to konieczne. Ona jednak najwyraźniej podróżowała dla przyjemności, odwiedzając położone daleko od stolicy miasta imperium. Kwestor Ro świetnie potrafił sobie wyobrazić, jakiego rodzaju rozrywek dostarczały jej wulgarne rasy zamieszkujące owe miasta. Wkrótce po powrocie ogłosiła, że spodziewa się dziecka.

Zachowanie jej syna podsycalo tylko podejrzenia Ro. Talaban zanadto zbliżył się do służących mu Vagarów. Był nawet przez nich lubiany, a to nie powinno się przydarzyć żadnemu Awatarowi. Vagarzy szanowali dyscyplinę i najlepiej reagowali na strach. Ich sympatia, w opinii kwestora Ro, świadczyła po prostu o słabości przywództwa. Ro dziwił się, że kwestor generalny nie dostrzega tych oczywistych niedoskonałości w naturze kapitana. Co więcej, Talaban do tej pory się nie ożenił. Ponieważ zbliżał się już do wieku, w którym jego nasienie utraci moc, stanowiło to dodatkową zniewagę dla rasy Awatarów.

Każdy obywatel powinien spłodzić awatarskie dzieci. Bez nich nie ma przyszłości.

- On już gotowy - oznajmił Probierz. Kwestor Ro nic nie usłyszał, ale dzikus otworzył drzwi kajuty i odsunął się na bok, wpuszczając go do środka. To już było coś!

Ro wszedł do kajuty. Talaban siedział za biurkiem i podniósł się na jego widok. Okrążył biurko i podszedł do gościa. Jak u większości ludzi z kasty wojowników, jego ruchy były pełne gracji i zrównoważone. Żołnierz znacznie przerastał wzrostem niskiego, krępego maga. Obaj mężczyźni rozpostarli

dłonie w awatarskim pozdrowieniu. Kwestor Ro pokłonił się, o kilka cali płycej, niżby należało. Nie na tyle, by uznać to za zniewagę, ale wystarczająco, by okazać Talabanowi, że jest niezadowolony. Nawet jeśli wojownik zauważył tę nieuprzejmą demonstrację, niczym tego po sobie nie okazał. Odwzajemnił mu się zgrabnym ukłonem, odpowiednio głębokim.

- Jak idzie praca? - zapytał Talaban. Kwestor Ro zerknął na Probierza, który siedział na podłodze obok drzwi.

- Nie godzi się mówić o takich sprawach w obecności ludzi niższego stanu - oświadczył, pociągając szczupłą dłońią za rozwidloną niebieską brodę w geście narastającej irytacji.

Talaban nie odezwał się ani słowem, ale Probierz wstał i bez słowa opuścił kajutę.

- Usiądź, kwestorze - rzekł kapitan, wracając na fotel. Ro zerknął na skwierczącą lampę, a potem przeniósł spojrzenie na zimne kryształowe kule wprawione w ścianę.

- W dawnych czasach płynąłem jednym z tych okrętów do zachodnich krain - oznajmił ze smutkiem. - Wtedy naprawdę zasługiwały na podziw. Żaden sztorm nie mógłby im zagrozić.

- Czasy się zmieniają, kwestorze. Powiedz, jak idzie praca?

- Jutro liczę na lepsze wyniki - odparł Ro. - Trzeba inaczej ustawić nasze zgłębniki. To tylko drobne poprawki - dodał pośpiesznie, widząc zatroskanie na twarzy Talabana. - Nie udało się nam rozlokować ich w prostej linii.

- Jutro zjawią się tu koczownicy - oznajmił Talaban. - Nie mamy wiele czasu.

- Z pewnością właśnie dlatego towarzyszą nam żołnierze - zauważył Ro.

- W rzeczy samej, kwestorze. Ale nie mamy awatarskich żołnierzy. Jeśli koczownicy zjawią się tu większą grupą, mogą mieć nawet dziesięciokrotną przewagę liczebną. Moi Vagarzy: dysponują tylko konwencjonalną bronią. Nie oprą się zmasowanemu szturmowi.

- Pewnie, że się nie oprą - warknął Ro. - Od początku mówiłem, że

potrzebujemy Awatarów. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego w tak ważnej ekspedycji nie ma ani jednego. Z pewnością imperium nie osłabiłoby przydzielenie nam prawdziwych ludzi z łukami zhi?

- To nie miała być wyprawa wojenna, kwestorze. Kwestor generalny powiedział to bardzo wyraźnie. Wszelkie skargi j powinieneś skierować do niego, po naszym powrocie. Skoro jednak mówimy szczerze, powinienem cię poinformować, że i zostało nam tylko niespełna pięćdziesiąt zdolnych do akcji łuków zhi.

- Pięćdziesiąt? To hańba - oburzył się Ro. - Przecież | nie dalej niż w zeszłym roku kwestor generalny zapewnił Zgromadzenie, że mamy ich z górą trzysta.

Talaban rozparł się wygodnie w fotelu.

- Kwestorze Ro, zdaję sobie sprawę z twych wielkich zdolności i wiem, jak wiele czasu poświęcasz badaniom. Z pewnością jednak bunt na wschodzie nie mógł całkowicie umknąć twojej uwadze? Sześć tysięcy dzikusów. Łuki zhi przechyliły losy bitwy, ale większość z nich się wyczerpała. Nie mieliśmy mocy, żeby je naładować. Dlatego właśnie zorganizowano tę ekspedycję.

Kwestor Ro przez chwilę się nad tym zastanowił.

- Bunt nie umknął mojej uwadze, jak to ująłeś, kapitanie.

Niewiele wydarzeń jej umyka. Niemniej jednak wydaje mi się to zbrodniczym marnotrawstwem. Naszą podstawową defensywną broń zużyto do stłumienia pomniejszego buntu.

- Z całym szacunkiem, nie jesteś żołnierzem, kwestorze. Gdyby nie łuki zhi, na wschodzie rozbito by nas doszczętnie, a to zachęciłoby inne plemiona do przyłączenia się do rebelii. Miasta by upadły. - Kwestor Ro chciał się sprzeciwić, ale Talaban powstrzymał go, unosząc rękę. - Starczy już o tym, kwestorze. To już historia. Naszym zadaniem jest naładowanie skrzynek energią. Czy to wykonalne?

- Potrzebuję dwóch dni, kapitanie. Jestem przekonany, że komunia jest blisko.

Talaban umilkł.

- Nie mów mi, o czym jesteś przekonany - rzekł po chwili. - Powiedz

mi, co wiesz.

On jest naprawdę nieznośny, pomyślał Ro. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

- Niektóre z prętów odebrały słabe emanacje. Jestem przekonany... wiem... że po odpowiednich poprawkach będę mógł dostroić do nich piramidę. Wtedy zaczerpniemy mocy i naładujemy skrzynki.

Talaban przeszył go spojrzeniem swych ciemnych oczu.

- Lepiej, żebyś był tego pewien, kwestorze, bo będę musiał zaryzykować życie swych ludzi i bezpieczeństwo tego okrętu. Lepiej, żebyś był naprawdę pewien.

- Kapitanie, w życiu pewne jest tylko to, że słońce wschodzi i zachodzi, a niższe istoty umierają. Daj mi dwa dni, a naładujemy sześć skrzynek.

Talaban przyglądał się niższemu mężczyźnie długo i uważnie. Nie lubił go i nie miał powodu mu ufać. Ale z drugiej strony... moc jednej skrzynki wystarczyłaby, żeby naładować wszystkie łuki zhi w mieście i odnawiać zapasy ich energii przez całe pięć lat. Smok znowu mógłby zionąć ogniem.

- Dostaniesz dwa dni - zgodził się. - Ale dziś w nocy każ ludziom wrócić na lód. Mogą pracować w świetle lamp.

Talaban stał na balkonowym pokładzie przy swojej kajucie, obserwując krzątających się na lodzie Vagarów. Widział wśród i nich łysą niebieskobrodą postać kwestora Ro.

- On mnie bawi - oznajmił Probierz. Talaban zastanowił się nad tymi słowami.

- To człowiek z minionej epoki - stwierdził po chwili. - Czuję do niego podziw i zarazem litość.

- Patrzy w niewłaściwym kierunku - dodał dzikus. Talaban uśmiechnął się.

- Dla niego przeszłość lśni złotym blaskiem, a przyszłość jest jałową pustynią. Cóż innego mógłby zrobić, jeśli nie starać i się wskrzesić to, co odeszło?

- Mógłby żyć. Teraz. Czytać w gwiazdach. Płodzić synów.

- Ile masz lat, Probierzu?

- Pierwszy raz nabrałem powietrza w płuca, gdy czerwony wilk pożarł księżyc. Dwadzieścia cztery lata temu.

- Kwestor Ro miał już wówczas przeszło czterysta lat. I wszystkie te stulecia spędził w Parapolis, największym mieście, jakie kiedykolwiek zbudowano. Był obywatelem imperium istniejącego od trzech tysięcy lat. Okręty takie jak ten j pływały po oceanach, nie potrzebując wiatru. Nie miały groteskowych masztów ani nie woziły wielkich worów z brudnym j węglem. A potem, pewnego dnia, słońce weszło na zachodzie, a morza wybiegły mu na spotkanie. Parapolis i wszystkich jego mieszkańców pochłonęły fale. Ci, którzy ocaleli, jak kwestor Ro i ja, wrócili do stolicy. Ale gwiazdy się przesunęły, ziemia zmieniła kąt nachylenia i zapanował straszliwy chłód. Wszystkie drzewa umarły. Zamarzły przez jedną noc. Niezwyciężone miasta Awatarów zginęły w ciągu jednego dnia. A od tego czasu dawne imperium pokrywa warstwa lodu, która z każdym dniem staje się grubsza. Pewien matematyk obliczył, że z każdą dobą przybywa go dziewięćdziesiąt tysięcy ton.

- Chcesz poznać ważną prawdę? - zapytał Probierz. - Awatarowie rozgniewali Wielkiego Boga. To on was obalił.

Talaban wzruszył ramionami.

- Nie wierzę w bogów. Chyba że sam byłbym jednym z nich, oczywiście - dodał z uśmiechem. - Ale mówiłem o kwestorze Ro. Jest starszy ode mnie. Przez trzysta pięćdziesiąt lat żył pośród wielkich cudów. Nie znał chorób. Nie znał śmierci. Dlatego nie może o tym zapomnieć. Być może my wszyscy właśnie dlatego nie możemy o tym zapomnieć.

- Tam, gdzie nie ma śmierci, nie ma też życia - stwierdził Probierz. - Potrzebujemy jej.

Talaban wiedział, co dzikus miał na myśli. Człowiek był elementem cyklu pór roku: młodość wiosny, siła lata, starzejąca się mądrość jesieni i mroźne rozstanie zimy. Serca biły w rytmie natury.

- Łatwo to powiedzieć, gdy jest się śmiertelnikiem - odparł.

- Ty też miałeś kiedyś niebieskie włosy, tak jak on? - zainteresował się dzikus.

- Tak. To odróżnia nas od zwykłych śmiertelników.

- Nie jesteście bogami - sprzeciwił się Probierz. - Bogowie nie potrzebują złotych prętów. A dlaczego ty nie spłodziłeś synów?

Talaban nie odpowiedział. Podeszedł do relingu i oparł się o niego. Na łodzi zapalono jeszcze kilka lamp.

- Co zrobisz w sprawie koczowników?

- Porozmawiam z nimi - odpowiedział Talaban.

- E tam, porozmawiasz! To wojowniczy ludzie. Lubią walczyć. Lubią zabijać. Nie mają czasu na rozmowy, jak sądzę.

- Przemówię do nich w języku, który rozumieją. Probierz odstąpił zębami w szerokim uśmiechu. Talaban wrócił do kajuty. Dzikus podążył za nim i zamknął za sobą drzwi.

- Będę z tobą, kiedy będziesz rozmawiał - oznajmił. - Ale teraz idę spać.

Talaban został sam. Znowu podeszedł do długiej drewnianej skrzyni ustawionej pod ścianą. Schowano w niej zdobioną broń, owiniętą w czarny aksamit. Miała ona złoty kolor, a kształtem przypominała łuk myśliwski. Jej uchwyt zdobiły różnobarwne klejnoty. Talaban wziął broń w ręce i dotknął kciukiem czerwonego kryształu umieszczonego tuż nad rękojeścią. Pojawiły się cienkie wiązki światła, tworzące coś, co wyglądało jak struny harfy. Talaban dostroił swój umysł do łuku zhi. Broń była niemal całkowicie wyładowana. Pozostał w niej najwyżej jeden impuls. Awatar dotknął białego klejnotu umieszczonego nad czerwonym i światło zniknęło. Odłożył łuk i zaczął się zastanawiać nad koniecznym do rozwiązania problemem. Mógł pójść z łukiem do skrzynki Węża i tam go naładować, ale w skrzynce zostało już niewiele mocy i gdyby wyczerpał ją do końca, nikt z nich nie przeżyłby powrotnego rejsu do miasta. Awatarskie Węże nigdy nie potrafiły utrzymywać się na powierzchni o własnych siłach. Umożliwiały im to jedynie skrzynki.

Odrzuciwszy ten pomysł, Talaban zdjął ubranie i poszedł do sypialni. Leżąc w łóżku, widział gwiazdy za łukowatym okienkiem.

Gdy Wielki Niedźwiedź uderzył łapą w ocean, zalewając kontynent Awatarów falami wysokimi na trzy mile, Talaban przebywał daleko na

północnym zachodzie. Jednak nawet w odległości dwóch tysięcy mil, na rubieżach imperium, trzęsienia ziemi przewracały budynki, a nad ziemią szalał straszliwy huragan, który unosił ze sobą domy, zabijając setki tysięcy ludzi.

Wielu sądziło, że nadszedł koniec świata. Dla znacznej części mieszkańców Ziemi było to prawdą.

W pięciu osadach położonych u brzegów Luanu zniszczenia były stosunkowo niewielkie, a liczba ofiar nie przekroczyła setek. Talaban popłynął Wężem za zachodnie morze w poszukiwaniu innych kolonii, nic jednak nie znalazł. Okrętowi zaczynało brakować energii, kapitan zawrócił więc do bliźniaczych miast Pagaru i Egaru.

Katastrofę przeżyło zaledwie pięciuset Awatarów - a i to wyłącznie dzięki temu, że były kwestor Anu przyprowadził ze sobą dwustu z Parapolis.

Myśl o Anu przywołała wspomnienie vagarskiego mistyka. Talaban zasnął z umysłem wypełnionym echem słów obdartusa.

Wielki Niedźwiedź pożre wszystkie dzieła rąk człowieka. A potem zaśnie na dziesięć tysięcy lat, a tchnienie jego snu będzie śmiercią.

Probierz usiadł na podłodze swej kajuty, zdjął mały, brązowy mieszek, który nosił na szyi, i ujął go w obie dłonie. To był jego woreczek z lekami, który zawierał potężną magię. Przez miękką skórę mieszka dzikus wyczuwał zakrzywiony kieł pierwszego lwa, którego zabił w życiu. Owinął go kosmykiem ciemnych włosów Suryet. Piękno i dzikość, na zawsze złączone w jedną całość. Była tam też maleńka morska muszelka oraz odrobina ziemi z wnętrza wielkiej góry. Muszelka umożliwiała komunikację z duchami morza, a ziemia pozwalała poczuć zapach domu. Było tam też pióro z lotki jego pierwszej strzały. Przypominało mu ono, że jest myśliwym i jego obowiązkiem jest zaopatrywanie plemienia w żywność. Zawartość woreczka symbolizowała wszystko, co kochał Probierz. Jego ojczyznę i morze omywające jej brzegi, jego kobietę, plemię oraz matkę, Ziemię.

Zanucił cicho Pieśń Oddalenia, wiedząc, że muzyka jego ducha dotknie zawartej w woreczku ziemi i w ten sposób sięgnie gór, w których spędził młodość. Rosnące tam drzewa usłyszą pieśń i powtórzą ją ich szumiące liście,

by mogła dotrzeć do namiotów jego ludu.

Suryet usłyszy ją w szumie wiatru. Uniesie wzrok, omiatając błękit spojrzeniem ciemnych, głębokich oczu, by ujrzeć tam ślad Probierza. Dzięki temu będzie wiedziała, że ukochany żyje i pewnego dnia znowu ją odnajdzie.

Zaciskał powieki i śpiewał z pasją, powtarzając pieśń jeszcze dwa razy. Sięgał umysłem do Suryet w nadziei, że ujrzy ją choć na chwilę.

Zobaczył jednak tylko słup ognia, który wytrysnął w górę przez śnieg i lód, a potem zniknął. Wizja zaniepokoiła Probierza, który nie potrafił pojąć jej znaczenia. Lód i ogień. To nie znaczyło wiele dla człowieka z plemienia Anajo.

Założył woreczek z lekami z powrotem na szyję, wsunął go pod koszulę i wyciągnął się na dywaniku. Nie lubił łóżek. Od miękkich poduszek bolała go szyja.

Leżąc na podłodze, z rękami skrzyżowanymi na piersi, znowu wyobraził sobie dzikie wzgórza i łowy, kolejny raz ujrzął chwalebny dzień swego ślubu i wspomniął z narastającą czułością pierwszą noc spędzoną z Suryet.

Dwa miesiące później w Świętym Gaju wylądowali Niebieskowłosi. Probierz był jednym z wojowników, którzy stanęli do walki z nimi. Zwyciężyliby, gdyby nie czarnowłose wojownik uzbrojony w dwa miecze. Jego szybkość budziła przerażenie i nie cofnął się, nawet gdy pozostali uciekli. Widząc, że otaczający go towarzysze zginęli, Probierz rzucił się na wroga, chcąc zatopić topór w jego czaszce. Ktoś uderzył go w głowę. Kiedy się ocknął, był zamknięty w żelaznej klatce, głęboko w trzewiach tego okrętu.

Podróż trwała długo. Probierza zabrano do kamiennego miasta. Dzień za dniem przychodzili do niego Niebieskowłosi, próbując nauczyć go swego języka. Mijały miesiące, aż w końcu się nauczył. Języka i wielu innych rzeczy. Nauczył się ich nienawidzić.

Często pytali o jego lud i o to, czy odwiedzają ich bogowie. Odpowiadał im kłamstwami i półprawdami, aż wreszcie nadszedł szczęśliwy dzień, gdy pozwolili mu na spacer w ogrodzie. Zaskoczył ich, rzucając się do ucieczki i łapiąc za nisko zwisający konar wysokiego drzewa. Wspiął się na nie i przeskoczył mur. Wylądował ciężko i skręcił sobie nogę w kostce. Mimo to

udało mu się umknąć do krętych zaułków otaczających zamek.

Choć nie miał broni i był ranny, ruszył w stronę morza, zamierzając ukraść łódź. Udało mu się dotrzeć do portu i stanął jak wryty, gapiąc się na cumujące tam statki. Nie było wśród nich małych łodzi ani czółen. Ogarnęła go rozpacz.

Nagle z cieni wyłoniła się jakaś postać. Probierz ujrzał przed sobą wojownika, który zabił jego przyjaciół. Napiął mięśnie, gotowy rzucić się do ataku.

- Jak rozumiem, wiele się nauczyłeś - odezwał się mężczyzna.

- Odbiorę ci życie - zapowiedział Probierz.

- Być może. Ale nie zrobisz tego bez broni, a już z pewnością nie ze zranioną nogą. Usiądź na nabrzeżu, uzdrowię ją.

Probierz nie miał dokąd uciekać. Zresztą z opuchniętą kostką i tak nie zdołałby umknąć wojownikowi. Usiadł, tak jak kazał mu tamten. Wojownik ukląkł obok, wyjął z woreczka zielony kryształ i przycisnął go do uszkodzonej kończyny. Ból natychmiast zaczął słabnąć. Po paru minutach wojownik wstał.

- Spróbuj na niej stanąć - rozkazał. Probierz wykonał polecenie. Ból zniknął bez śladu. - Chodź, zjemy coś i porozmawiamy - dodał mężczyzna. Odwrócił się i ruszył ku portowej tawernie.

Probierz podążył za nim. Do tej pory nie wiedział dlaczego. W tawernie wojownik, który miał na imię Talaban, zamówił dobre czerwone mięso i Probierz pochłonał je ze smakiem.

- Pewnego dnia wrócę na zachód - oznajmił Talaban. - Jeśli tego pragniesz, wezmę cię ze sobą.

- Tam jest żona - odparł Probierz. - Muszę wrócić.

- Nadchodzi wojna i obecnie żaden okręt nie wyruszy w taki rejs. Ale gdy znowu tam popłyną będziesz na jednym z nich. Obiecuję ci to.

- Jak długo?

- Rok. Może dwa.

- Ukradnę małą łódź. Popłynę sam.

- Jeśli wiatry będą pomyślne, zajmie ci to trzy miesiące.

- Aż tak długo? - zapytał przerażony Probierz.

- Tak. Co więcej, zachodnie lądy są ogromne. Gdyby okręt dowiózł cię do brzegu na północy, mógłbyś iść na południe przez cały rok i nadal nie dotarłbyś do ojczyzny. Mógłbyś też zginąć na lodzie. Lód pokrywa teraz większą część świata.

- Chyba ukradnę łódź - upierał się Probierz.

- Niech Wielki Bóg czuwa nad tobą - skwitował Talaban. Wstał od stołu, zapłacił za posiłek i wyszedł.

Probierz znalazł małą łódź. Jej długie wiosła nie przypominały znanych mu pagajów, ale szybko nauczył się nimi posługiwać i wypłynął na morze. Lepiej zginąć, podejmując próbę powrotu do Suryet, niż żyć jako więzień Niebieskowłosych.

Po osiemnastu dniach odwodnionego, dręczonego gorączką Probierza wciągnięto na pokład czarnego okrętu. Kiedy się ocknął, przy jego koi siedział wysoki wojownik.

- To była odważna próba, przyjacielu - stwierdził. - Ale uważam, że lepiej zrobisz, przyjmując moją propozycję.

Probierz się zgodził. Ale od chwili jego pojmania minęły już dwa lata. Dwa długie, wypełnione samotnością lata.

- Wróć, Suryet - wyszeptał. - Czekaj na mnie.

Gdy zapadał w sen, znowu ujrzał słup ognia. W przeciwieństwie do większości wizji, tę trudno było zrozumieć. Z pewnością lód i ogień nie mogły współistnieć ze sobą w tym samym miejscu. Dzikus odepchnął od siebie tę myśl i zasnął.

Rozdział trzeci

Gdy Lodowy Olbrzym spał, wdrapali się na jego skołtunione futro, zmierzając ku potężnej szczęce wspartej o szczyt góry. Każdy kosmyk był grubszy od ramienia mężczyzny, a do tego w futrze mieszkały demony, duchy złych ludzi skazane na wieczny żywot na plecach bestii. Tail-avar był uzbrojony w luk miotający pioruny, a Dotknij Księżycy niósł swój srebrny topór, ale najpotężniejszy oręż dzierżył Storro. Tylko on potrafił odnaleźć magiczny kiel i zaczerpnąć jego mocy.

Z Porannej pieśni Anajo Kwestor Ro wrócił na pokład Węża tuż przed świtem. Był wyczerpany, ale nie tracił nadziei. Udało się im połączyć z emanacjami aż sześć razy, ale moc zawsze odpływała po kilku uderzeniach serca. To nie porażka go irytowała, lecz raczej zwodnicza bliskość sukcesu. Jego kajuta, jak przystało kwestorowi, była przestronna i wyposażona w duże bulaje. Były w niej też drugie drzwi, prowadzące na mały, prywatny zadaszony pokład po prawej burcie okrętu. Gdyby skrzynka mocy Węża była pełna, kajutę trzeba by uznać za luksusową. Wyposażono ją w wygodne kanapy, miękkie fotele i grube dywany. Teraz jednak ciepło koksowych piecyków uciekało przez duże okna i zawsze panował tu chłód. Kwestor Ro był przekonany, że Talaban właśnie dlatego zaoferował mu tę kajutę, gdy wypływali ciepłym latem z portu Egaru, drugiego miasta. Kwestorowi Ro byłoby nieporównanie cieplej w mniejszej kabinie pod pokładem, którą zajmował jego vagarski asystent Onquer.

Tłumiąc irytację, dosypał koks do piecyka. Potem odprawił pierwszy z Sześciu Rytuałów, starając się oczyścić organizm z odrętwienia wywołanego wyczerpaniem i straszliwym mrozem. Usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, pochylił głowę, dotknął obu skroni palcami wskazującymi i wyrecytował Modlitwę Jedynego. Trudno mu było się skupić. Przeszkadzały mu bezładne myśli i obawy. Mimo to rytuał wypełnił go ciepłem. Było to przyjemne wrażenie, ale nawet w najmniejszym stopniu nie złagodziło

znużenia. Przygniatał go ciężar porażki.

Jego wrogowie będą zachwyceni, jeśli wróci okryty wstydem. Caprishan będzie rzecz jasna udawał współczucie, ukrywając szczerbaty uśmiech za tłustą dłonią. Niclin okaże wrogość bardziej otwarcie. To on poruszy temat niewiarygodnego marnotrawstwa środków, podkreślając fakt, że przewidywał podobny wynik i zgodził się sponsorować ekspedycję jedynie z uwagi na reputację kwestora Ro, który ongiś uchodził za nieomylnego. Inni podążą za jego przykładem i Ro szybko utraci wpływy w Radzie.

Nie dojdzie do tego, powtarzał sobie. Nie pozwolę na to. Jednakże w tej samej chwili w jego duszy pojawiło się zwątpienie. Miał rację, sądząc, że jego nowo zaprojektowane piramidy będą mogły nawiązać łączność z Wielką Linią. Zrobiły to, i to z łatwością. Ale nie potrafiły jej utrzymać.

Zastanów się, rozkazał sam sobie. Linia nie mogła się przemieszczać. Emanacje pochodziły z Białej Piramidy, która znajdowała się jakieś sześćdziesiąt mil stąd, ukryta pod górą lodu. Była ona obiektem materialnym, zajmującym konkretne miejsce. W związku z tym linie mocy powinny być stałe i niezmiennie, a ich odnalezienie winno prowadzić do komunii. Wydawało się jednak, że źródło mocy ciągle im się wymyka, niczym spłoszony jeleń.

Coś przeoczyłeś, powiedział sobie.

Kwestor Ro wstał. Wyjął z małej kasetki stojącej na biurku trzy kryształy - biały, niebieski i zielony - oraz białą koronkową rękawiczkę. Uniósł tę ostatnią do ust i pocałował, rozpoczynając w ten sposób drugi z Sześciu Rytuałów. Wolałby zaoszczędzić energię kryształów, ale jego umysł zaczęła spowijać mgła zmęczenia. Zaczepnął powoli ich mocy, czując, że wracają mu siły.

Potem, nadal trzymając rękawiczkę przy twarzy, pogrążył się w transie. Jego umysł popłynął wstecz przez doliny czasu. Wyobraził sobie park oraz gaj kwitnących drzew u brzegu stawu z tryskającą fontanną. Siedział tam z Tanya, a dzieci bawiły się nieopodal. Słońce stało wysoko na niebie, opromieniając park łagodnym ciepłem wczesnej jesieni. Zawsze przywoływał ten sam obraz. Nasunęła mu się myśl, że są chwile, gdy prawdziwe piękno wypełnia umysł niepostrzeżenie dla świadomości, niewidzialne jak powiew

wiatru. Dzień w parku był przyjemny, ale nic więcej. Uśmiechał się, przyglądając się zabawom trojga swych dzieci. Pocałował Tanyę w rękę, ale jego umysł był zaprzątnięty pewnym matematycznym problemem i Ro chciał jak najszybciej wrócić do pracowni, aby wziąć się do roboty. Gdyby tylko potrafił wówczas przewidzieć przyszłość. Gdyby odgadł, że przez siedemdziesiąt wypełnionych samotnością lat będzie przywoływał ten obraz niczym swój największy skarb.

Opowiedział wówczas Tanyi o rozważanym problemie.

- Rozwiązesz go - oznajmiła z niezachwianą pewnością. Jej wiara zawsze dodawała mu sił. To był jeden z powodów, dla których tak bardzo ją kochał.

A obecnie stanął przed nim jeszcze trudniejszy problem i nie było już przy nim Tanyi, która natchnęłaby go swą wiarą.

Gdy wreszcie otworzył zażawione oczy, był już znacznie spokojniejszy.

Otarł łzy i wrócił do stojącego przed nim problemu. Biała Piramida była pogrzebana pod lodem i nie mogła się przemieszczać. To był fakt niepodważalny. Jak więc wyjaśnić to zjawisko? Podeszedł do bulaju, otarł szron z szyby i spojrzał na ośnieżone góry. Jego ludzie już wracali. Ekipa zmienników czekała na pokładzie, trzęsąc się z zimna. Wkrótce będzie musiał do nich dołączyć. Kwestor Ro nie był głupi. Zdawał sobie sprawę, że próby osiągnięcia komunii mogą im zająć wiele dni. A przecież obiecał Talabanowi rezultaty.

Pociągnął się za rozwidloną brodę. Odpowiedź była blisko - gdyby tylko umiał ją znaleźć.

Otulił się płaszczem, wyszedł z kajuty i wspiał się po krętych schodach na centralny pokład. Dwunastu ludzi składających się na jego drugą ekipę zbiło się w ciasną grupkę, obserwując powrót srebrzystej szalupy. Gdy kwestor Ro podeszedł do nich, rozległ się huk przypominający odległy grom. Od pobliskiego lodowca oddzielił się potężny fragment, który wpadł w spokojne wody zatoki. Wielka fala uniosła szalupę w górę.

W tej właśnie chwili kwestor Ro znalazł odpowiedź. Rozkazał swym ludziom czekać na instrukcje i przypatrywał się bez słowa, jak szalupa

przybija do burty i wyczerpani ludzie wdrapują się na pokład. Potem wezwał swego asystenta, Onquera, do swej kajuty. Vagar miał zapadnięte oczy i sine wargi. Kwestor Ro pozwolił mu zatrzymać się na chwilę obok małego, wypełnionego rozżarzoną koksem piecyka.

- To nie źródło mocy się porusza - odezwał się po chwili. - To lód, który pokrywa krainę.

Onquer roztarł chude dłonie, przysuwając je do ognia.

- Lód się porusza, panie? - zapytał bez zrozumienia.

- Nalej sobie łyczek - rozkazał kwestor Ro. Onquer ujął w drżące dłonie karafkę z niebieskiego szkła i wypełnił kryształowy puchar gorzałką. Uniósł naczynie do ust, przełknął łyczek palącego płynu i zadrżał z przyjemności.

- Tak, lód - potwierdził kwestor Ro. - Jest kruchy i dlatego się porusza. Od piramidy dzieli nas sześćdziesiąt mil. Na tej przestrzeni lód zapewne przeszywają tysiące niewielkich szczelin. Jesteśmy jak okręt kołyszący się na falach. Nieustannie się poruszamy, choć wciąż pozostajemy w tym samym miejscu. Rozumiesz?

Onquer dopił trunek.

- Rozumiem, panie. Ale co możemy na to poradzić?

- Potrzebny nam ruchomy odbiornik, połączony z pozostałymi. W ten sposób będziemy mogli śledzić poruszenia lodu.

- Na to potrzeba czasu, panie. Więcej, niż nam go dano.

- Nieprawda. Zejdę teraz do magazynu pod pokładem i zacznę montować sprzęt. Ty wróć na lód z nową ekipą i przenieś odbiorniki w inne miejsca. Ulokuj je blisko siebie, nie dalej niż dziesięć jednostek. Postaraj się dostroić do emanacji najlepiej, jak tylko można. Tym razem nie próbuj osiągnąć komunii, a tylko śledź poruszenia prądu. Ustal, skąd dokąd się przemieszcza i z jaką szybkością. Rozumiesz?

- Tak, panie.

- W takim razie nie zwlekaj - rozkazał kwestor Ro, wskazując ręką na drzwi. Wyczerpany Vagar pokłonił się i wyszedł z kajuty. Nim jeszcze drzwi się za nim zamknęły, kwestor Ro niemal już o nim zapomniał.

Karesha Vara wielokrotnie pytano, co czyni go wielkim myśliwym. Młodych mężczyzn fascynowały jego sukcesy w polowaniach na trąbowce. On jednak nie odpowiadał na żadne z ich pytań. Czy nie mieli oczu, by dostrzec jego umiejętności? Czy nie widzieli blizn pokrywających jego ciało - straszliwej szramy na policzku, rozszarpanej połowy ucha - i czy nie potrafili zrozumieć, że choć młodzieńcza lekkomyślność wielokrotnie narażała go na niebezpieczeństwo, przeżył i nauczył się czegoś na swych błędach? Najwyraźniej odpowiedź brzmiała „nie”. Obserwowali go i próbowali naśladować, lecz bez powodzenia. A ponieważ ludzie są tacy, jacy są, mówili, że ma szczęście. Twierdzili, że pobłogosławili go bogowie, że nosi ze sobą tajemny talizman, który zwabia trąbowce. Wszystko to wydawało mu się raczej zabawne.

Potał machinalnie długie, czerwone blizny na prawym policzku. Szpony krala omal nie zdarły mu całej twarzy, zdołał jednak zabić zwierzoluda, wbijając mu sztylet w serce. Ten incydent wystarczył, by go nauczyć, że podczas polowania zawsze trzeba być ostrożnym i cierpliwym. W tej zamrażającej krainie wszędzie czyhała śmierć. Jeśli zaś chodzi o umiejętność polowania na trąbowce, to zrodziła się ona z miłości, z jej bezkresnej magii. Nie zamierzał jednak tłumaczyć tego swym ludziom. Niech sami się nauczą, pomyślał. Dlaczego mężczyzna miałby zdradzać sekrety, dzięki którym okrył się tak wielką chwałą wśród swego ludu?

Zresztą wysmialiby go, gdyby spróbował to zrobić.

Karesh Var kochał trąbowce. Widział w nich uosobienie wszystkiego, co dobre na zimnej ziemi. Były wierne i walczyły zawzięcie w obronie towarzyszy. Wychowywały młode z niewyczerpaną cierpliwością i wędrowały po krainie z godnością połączoną z wielkopańską arogancją.

Karesh Var zostawił swych dwudziestu ludzi, którzy rozsiedli się wokół dwóch ognisk, osiodłał małego konika i ruszył wzdłuż skraju wzniesienia. Dobrze widział stąd równinę i mógł obserwować rytuał śmierci. Jego ludzi nie interesowały podobne widowiska. Już kiedyś to widzieli. Stado ustawiało się w ochronny krąg wokół umierającego mamuta, wielkie samce wsuwały kły pod ciało ofiary, starając się ją podnieść. Jego ludzi nudziło siedzenie na

zimnie i czekanie, aż samica padnie. Karesh Var był innego zdania.

Zaatakowali stado przed dwoma dniami. Trzech jeźdźców zbliżyło się szybko, by sprowokować samce, odciągnąć je. Potem dziesięciu mężczyzn na szybkich wierzchowcach uderzyło cwałem z flanki, szpikując strzałami ofiarę wybraną przez wodza grupy. Gdy zawrócili, Karesh Var i czterech innych podjechało do rannego zwierzęcia i wbiło w nie włócznie.

Potem oddalili się i czekali. Stado znowu ruszyło w drogę. Dwa samce otoczyły ofiarę z boków, chcąc ją osłonić przed dalszą szkodą. Ale samica powoli umierała i myśliwi potrzebowali jedynie cierpliwości.

Karesh Var obserwował stado z grzbietu konia. Nagle samica przechyliła się na bok. Jej długa trąba unosiła się i opadała. Być może zwierzę chciało po raz ostatni posmakować powietrza. Otaczające je samce zaprzestały prób podtrzymania ciała. Odsunęły się. Całe stado uniosło trąby i zatrąbiło ku niebiosom. Być może była to pieśń pożegnalna. Karesh Var nie wiedział tego, ale czuł wzruszenie. Dwa samce wryły kłami głębokie bruzdy w ziemi. Potem stado zatoczyło powoli krąg wokół ciała i oddaliło się na wschód.

Karesh Var odprowadzał mamuty wzrokiem. Po chwili zjechał ze wzgórze i zsunął się z siodła obok masywnego ciała. Podeszedł do wielkiej głowy i położył dłoń na czole ofiary.

- Zginęłaś po to, by mój lud mógł żyć - rzekł. - Dziękuję ci za dar życia i modlę się o to, by twoja dusza mogła spacerować po ogrodzie wszechrzeczy.

Jego jeźdźcy zjawili się przed upływem godziny. Dwaj z nich przystąpili do piłowania kłów, które potem przerobi się na guziki, bransolety, sprzączki i ozdoby. Wiele z nich sprzedadzą mieszkańcom miast na wschodzie. Mięso zostanie pokrojone na paski, zasolone i wysuszone, a kości przerobione na proszek służący do produkcji lekarstw i paszy dla zwierząt. Z wysuszonej skóry uszyją buty, kaftany i inne odzienie. Zabity mamut był dla plemienia Zhengów wielkim bogactwem.

Legendarnemu Kareshowi Varowi znowu się udało i jego plemię będzie mogło przetrwać długą zimę we względnym komforcie.

Jeden z ludzi przyniósł mu ociekający krwią pas mięsa. Karesh Var

przerzucił je sobie przez ramię, wskoczył na konia, przejechał kawałek z wiatrem i rzucił mięso na śnieg. Tygrysy szablatozębne, wilki i krale z pewnością dawno już poczuły woń krwi i ruszyły tropem ofiary. Będą walczyć o mięso, zanim przybędą wozy.

Późnym popołudniem wszystko już na nie załadowano i zaczęła się długa podróż powrotna do obozu. Krale się nie pojawiły, co bardzo ucieszyło Karesha Vara. Mięsa, które zostaw;!.
z pewnością wystarczy dla szablatozębnych tygrysów. Zważywszy wszystko razem, to był udany dzień.

Jeźdźcy i wozy pięli się powoli w górę po górskim szlaku. Słońce świeciło jasno, ale nie dawało ciepła, i Karesh Var zawiązał pod brodą nauszniki futrzanej czapki. Od dwóch lat, odkąd ukończył trzydziesty piąty rok życia, zimno dokuczało mu coraz bardziej, choć nie wspominał o tym nikomu poza żoną. To ona uszyła mu tę czapkę z króliczego futra. Karesh Var uśmiechnął się. Większość mężczyzn w plemienu uważała, że postępuje głupio, zadowolając się jedną żoną. Była ona jednak warta dziesięciu innych kobiet. Cieszył się na myśl, że znowu ją ujrzy. Nagle na ścieżce przed nimi pojawił się jeden z jego zwiadowców.

- Czarna łódź wróciła, Kareshu - zawołał. - Na lodzie są Niebieskowłosi.

Gdy pierwsza z sześciu srebrnych piramid zaczęła świecić, dochodziło południe. Kwestor Ro, wyczerpany i zziębnięty po wielu godzinach spędzonych na lodzie, ujrzał jej pierwszy blask. Potarł zmęczone powieki, sądząc, że to tylko przypominający sen objaw zmęczenia połączonego z gorączkową nadzieją. Wpatrywał się intensywnie w wysoką na cztery stopy trójkątną konstrukcję, w jej połączone ze sobą srebrne tyczki owinięte złotym drutem. Czy to było tylko odbicie jasności śniegu? Nagle jednak wyczuł podniecenie otaczających go Vagarów. Oni również zauważyli emanującą z piramidy aureolę białego światła. Kwestor Ro zapomniał o zmęczeniu.

Stojący u jego boku szczupły Vagar trzymał w rękach małą drewnianą szkatułkę. Wychodzące z niej złote druty opadały na śnieg, łącząc się z każdą

z sześciu piramid.

- Nie ruszaj się - rozkazał mu kwestor Ro. Podszedł do mężczyzny i uniósł ostrożnie wieczko, trzymając je pod kątem uniemożliwiającym Vagarowi zajrzenie do środka. Dwa z wprawionych w mikę białych kryształów jarzyły się, a w trzecim migotało słabe światełko. Kwestor Ro zamknął szkatułkę. Rozjarzyła się druga piramida, a po niej trzecia.

Dwunastu oszołomionych Vagarów przyglądało się w milczeniu, jak wszystkie sześć piramid otacza kolejno aureola białego światła.

- Nie ruszaj się - przypomniał kwestor Ro trzymającemu szkatułkę mężczyźnie.

- Tak jest, panie.

Ro również znieruchomiał, jakby chciał wykonać własne polecenie. Dygotał z podniecenia. Odwrócił się z wysiłkiem i rozkazał czterem Vagarom pójść za nim na brzeg. Na śniegu leżało tam kilka skrzynek oraz wielki, owinięty w płótno pojemnik. Z jednej ze skrzynek Vagarzy wyjęli drewniane obuwie ochronne, które nałożyli na podszyte futrem buty. Potem wyciągnęli z głębokich kieszeni długie, również drewniane napastrki, którymi osłonili palce u rąk, łącznie z kciukami.

Następnie zdjęli ostrożnie białe płótno z prostokątnego pojemnika, który miał około czterech stóp długości i trzech szerokości. Wykonano go z czarnego drewna i był gęsto pokryty rytymi symbolami, których Vagarzy nie potrafili odczytać. Na obu długich bokach w drewno wprawiono po trzy wielkie złote pierścienie.

- Bądźcie ostrożni - ostrzegł kwestor Ro. - Od tego zależy wasze życie.

Obok skrzyni leżały dwie drewniane tyczki długości ośmiu stóp.

Kwestor Ro ostrożnie wsunął je w złote pierścienie. Następnie czterej Vagarzy złapali za tyczki, unosząc pojemnik nad śnieg. Kwestor Ro zaprowadził ich na pusty plac między sześcioma świecącymi piramidami.

Serce zabiło mu szybciej. Rozkazał Vagarom położyć skrzynię na śniegu, włożył na palce drewniane napastrki i wziął kawałek złotego drutu. Zaczerpnął głęboko tchu i podszedł do skrzyni.

- Panie! - krzyknął jeden z Vagarów. Poirytowany Ro zwrócił się w jego

stronę.

- Co znowu? - zawołał.
- Twoje buty, panie. Nie jesteś osłonięty.

Kwestor Ro spojrział w dół. W swym podnieceniu zapomniał nałożyć obuwie ochronne.

- Daj mi swoje - warknął na mężczyznę, który uratował mu życie.

Drewniane buty były zdecydowanie za duże i musiał szurać nogami, zamiast iść normalnie. Obrzucił Vagarów ostrzegawczym spojrzeniem. Nikt się nie uśmiechał. Ro ukląkł przed grawerowaną skrzynią i owinał złoty drut wokół dwóch sfer z brązu umieszczonych z przodu. Drugi koniec przytwierdził do jednej z piramid. Ze skrzyni dobiegło ciche buczenie.

Kwestor Ro wznosił ręce ku niebu.

- Mamy komunię - oznajmił.

- Wznośmy dzięki! - odpowiedzieli Vagarzy zgodnym chórem. Ro wiedział, że w ogóle o to nie dbają. Chcieli tylko opuścić lód i wrócić do ciepłych, bezpiecznych kajut Węża. To jednak nie miało znaczenia. Uzyskał to, co obiecał Radzie. O to właśnie walczył, dla tego narażał się na upokorzenie.

Osiągnął komunię z Białą Piramidą pochowaną na wieki pod lodem wraz z całym miastem. Pochwycił linię mocy, przepuścił ją przez złote pręty i złote druty, aż napłynęła do maleńkich diamentów, którymi były wypełnione srebrne pręty piramid. Klejnoty ją zmieniły, oczyściły i wzmocniły, a potem popłynęła do skrzynki, by zostać zmagazynowana w miedzi, złocie i kryształach jej wnętrza.

Kwestor Ro zdjął napastrki, schował je do kieszeni i wyjął stamtąd białą koronkową rękawiczkę. Uniósł ją do ust i pocałował. Oczy wypełniły mu łzy, ale usunął je mruganiem. Nie uchodziło, by okazywał w ten sposób uczucia w obecności Vagarów. Zupełnie jakby kosmos chciał go ukarać za ten błąd, jedna z piramid nagle zamigotała i jej światło zaczęło przygasać. Buczenie dobywające się ze skrzyni przycichło.

Tłumiąc panikę, kwestor Ro zrzucił obuwie ochronne i podbiegł do człowieka trzymającego ruchomy odbiornik.

- Przesuń się trochę w prawo - rozkazał, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie. - Tylko powoli! Szukaj linii! - Vagar przesunął się lekko w prawo. Piramida znowu się rozjarzyła, a buczenie odzyskało moc. - Obserwuj uważnie piramidy - polecił kwestor Ro. - Jeśli światło znacznie przygasać, spróbuj je odnaleźć na nowo.

- Tak, panie. Bardzo mi zimno, panie.

- Tak jak nam wszystkim - warknął kwestor Ro, oddalając się. Jego asystent, Onquer, leżał na lodzie. Kwestor Ro trącił go nogą. - To nie czas na sen - burknął. - Wstawaj. - Onquer się nie poruszył. Kwestor Ro ukląkł obok niego. Twarz leżącego była szara. - Cóż za głupiec - wyszeptał Awatar. Wezwał dwóch Vagarów i rozkazał im zanieść nieprzytomnego do srebrnej szalupy. - Kiedy wrócicie na pokład, zdejmijcie z niego ubranie i delikatnie ogrzejcie ciało. Natrzyjcie go ciepłymi olejkami.

- Tak jest, panie - odpowiedzieli chórem. Obaj cieszyli się, że mogą zejść z lodu.

Skrzynia buczała jeszcze przez godzinę. Nic nie wskazywało na to, by proces ładowania już się zakończył. Kwestor Ro znowu poczuł zmęczenie, ale nie mógł jeszcze wrócić na Węża. Trzymający szkatułkę mężczyzna zachwiał się nagle, ale potem stanął prosto. Przez chwilę na piramidach widać było tylko migające światełka. Kwestor Ro podszedł do Vagara i wziął szkatułkę z jego rąk.

- Wracaj na okręt - rozkazał. - Tu nie ma z ciebie żadnego pożytku.

- Dziękuję, panie - rzekł Vagar.

Kwestor Ro stał nieruchomo, trzymając w rękach szkatułkę. Czuł delikatne wibracje mocy. Choć od ukrytej pod lodem Wielkiej Piramidy dzieliło go sześćdziesiąt mil, połączył się z nią ścisłą więzią. A niespełna milę od piramidy znajdował się jego dom i nieoznaczony grób jego ukochanej żony, Tanyi, oraz jego dzieci. Kwestor Ro westchnął.

- Gdybym tylko mógł zginąć z wami - wyszeptał.

Rozdział czwarty

Karesh Var ścisnął wierzchowca piętami, by zmusić go do biegu, i wyprowadził swych ludzi na równinę. Daleko w przodzie widział sylwetkę czarnego okrętu rysującą się na tle białego lodu. Dostrzegał też maleńkie jak mrówki postacie na samym lodzie. Dlaczego ciągle tu wracali? Czego szukają?, zastanawiał się, gdy jego koń miarowo pokonywał dystans dzielący jeźdźców od brzegu.

Dwa lata temu w zatoce cumował taki sam okręt. Gdy Karesh Var zjawił się z setką ludzi, statek podniósł już kotwicę i odpłynął na północ. Koczownicy znaleźli w lodzie jedynie dziury, jak po kołkach namiotowych. On i jego ludzie rozkopywali lód przez pewien czas, ale nic nie znaleźli. To było dziwne.

Zbliżając się do brzegu, Karesh Var zwolnił. Uniósł rękę, nakazując dwudziestu podążającym za nim jeźdźcom, aby zrobili to samo. Omiótł lód spojrzeniem bystrych, ciemnych oczu. Wypatrzył tylko jednego Niebieskowłosego, niskiego mężczyznę o rozwidlonej błękitnej brodzie. Reszta to byli zwykli ludzie. Karesh Var poczuł zaniepokojenie. Legendy opowiadały o straszliwej broni Niebieskowłosych. O łukach, które raziły wrogów piorunami, wypalając w piersiach wojowników wielkie czarne dziury i rozbijających na kawałki napierśniki z brązu. O czarnych mieczach migoczących światłem błyskawic i przecinających metal równie łatwo, jak drut przecina ser. Karesh Var nie miał ochoty mierzyć się z wrogiem uzbrojonym w tego rodzaju oręż. Problem polegał jednak na tym, że towarzyszący mu młodzi mężczyźni byli wojownikami. Uwielbiali walkę. Dawno już doszedł do wniosku, że brak im wyobraźni.

- Pojechalibyśmy za tobą nawet do piekła, Kareshu - zapewnił go kiedyś młody Jiang. Uśmiechnął się wówczas i poklepał chłopaka po ramieniu. Młodzi uwielbiali takie próżne gesty, albowiem wierzyli w nieśmiertelność. Byli przekonani - podobnie jak on sam, kiedy był w ich wieku - że moc wypełniająca ich żyły nie wygaśnie nigdy. Chełpili się swą siłą, a nawet drwili

ze starszych mężczyzn, którzy nie potrafili już utrzymać się w siodle tak długo ani polować równie skutecznie jak oni. Zupełnie jakby owi mężczyźni zestarli się z własnej woli albo pozwolili, żeby wiek pozbawił ich sił.

Młodzi jeźdźcy podążający za Kareshem Varem pragnęli zaatakować Niebieskowłosych, zabić ich i w ten sposób okryć się chwałą w wiosce. Karesh Var również z chęcią pozbawiłby ich życia, bo czyż to nie oni ściągnęli na świat katastrofę? Czyż nie oni przywołali lód i ogień? Nie chciał jednak poprowadzić swych jeźdźców do bitwy, która skończyłaby się ich rzezią.

Gdy głowę wypełniły mu te posępne myśli, ujrzał nagle dwóch mężczyzn zmierzających w ich stronę. Żaden z nich nie był Niebieskowłosym. Karesh Var ściągnął wodze, by na nich zaczekać. Jeden z nieznajomych był wysoki, a długie, ciemne włosy związał sobie w kucyk. Nie nosił zbroi, ale u pasa miał krótki miecz, a w lewej dłoni trzymał zdobny złoty łuk. Karesh Var przymrużył powieki. Mężczyzna nie miał kołczanu. Przeniósł spojrzenie na drugiego wojownika. Ten był niższy i bardziej krępy, a w prawej dłoni dzierżył krótki toporek o jednym ostrzu.

Za plecami tych dwóch widać było jedyne Niebieskowłosego, który nadal nie opuszczał lodu. Trzymał w rękach małą szkatułkę, z której zwisały błyszczące druty. Karesh Var miał wrażenie, że na lodzie ustawiono świecące jasno lampy. Słyszał też odległy dźwięk, przypominający brzęczenie roju pszczół.

Wyższy z dwóch mężczyzn zatrzymał się w odległości około dwudziestu kroków od jeźdźców. Drugi usiadł na głazie i zaczął ostrzyć topór osełką.

Wysoki mężczyzna wy dobył miecz i dotknął jego sztychem zmarzniętej ziemi równiny. Potem przeciął drogę jeźdźcom, kreśląc na ziemi wąską linię. Następnie schował miecz i uniósł swój zdobny łuk.

Karesh Var był bystrym człowiekiem. Nigdy nie zazdrościł innym myśliwym, nawet w młodości, gdy nie dorównywał im jeszcze umiejętnościami. Wolał ich obserwować, uczyć się od nich. Dzięki temu potrafił docenić zdolności człowieka, którego miał naprzeciwko siebie. Stawił on czoło dwudziestu wojownikom, nie uciekając się do otwartych gróźb. Jednym prostym gestem jasno wyraził swoje intencje. Narysował linię,

stworzył granicę. Łatwo było to zrozumieć. Każdego, kto ją przekroczy, czekały poważne konsekwencje. Karesh Var był dumny, ale nie arogancki. Nie musiał nic nikomu udowadniać. Niektórzy z jego bardziej lekkomyślnych towarzyszy natychmiast zaatakowaliby nieznanego. Wyczuwał narastający gniew otaczających go jeźdźców. Przyjrzał się bez słowa obu mężczyznom. Sprawiali wrażenie całkowicie spokojnych. Nie okazywali strachu. Nasunęło mu się kilka możliwych wyjaśnień. Po pierwsze, gdzieś tu mogli być ukryci wojownicy, którzy rzucą się do ataku, gdy tylko koczownicy podjadą bliżej. Karesh Var omiół wzrokiem równinę. Nie było tu takich ludzi, chyba że wykopali sobie kryjówki w glebie tundry. Po drugie, obaj obcy mogli być głupi albo nieświadomi tego, że koczownicy nienawidzą Niebieskowłosych. Nie sprawiali jednak wrażenia głupców, a nakreślenie na ziemi linii było sprytnym posunięciem. Została tylko jedna możliwość. Byli spokojni, ponieważ nie mieli powodu do obaw. Wiedzieli, że ich broń poradzi sobie z jeźdźcami. Karesh Var uśmiechnął się, gdy przyszła mu do głowy jeszcze jedna ewentualność. Być może chcieli tylko przekonać koczowników, że są wszechpotężni. To mógł być blef.

Karesh Var zsiadł z konia i podszedł do nakreślonej na ziemi linii. Potem spojrzał na wysokiego mężczyznę i rozpostarł otwarte dłonie. Twarz tamtego nie zmieniła wyrazu. Skinął jednak na koczownika, nakazując mu podejść bliżej. Krępy wojownik wstał z głazu i zatrzymał się obok nich, ściskając w dłoni topór.

- Po co tu przyplwacie? - zapytał Karesh Var.

- Bo chcemy - odparł wysoki mężczyzna. Miał niski głos. Karesh Var spojrzał w jego ciemne oczy i nie zobaczył tam ustępliwości. Popatrzył na jego twarz. Miała ostre rysy, a w jego spojrzeniu nie dostrzegł nawet cienia strachu. To był wojownik. Karesh Var wyczytał to z każdej linii jego twarzy.

- Wtargnęliście na moją ziemię - oznajmił spokojnym tonem, nadal starając się wyczytać coś z twarzy tamtego.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Koczownicy nie posiadają ziemi na własność. Wędrują, dokąd zechcą, i zatrzymują się tam, gdzie zapragną. Zawsze tak było. Zwijacie namioty

i podążacie za trąbowcami. Macie prawo jedynie do tego, co zdobędziecie w walce. Gdybym cię zabił, stałbym się właścicielem twojego namiotu, twoich kobiet i koni.

Karesh Var był pod wrażeniem. Zaimponowała mu nie tylko wiedza mężczyzny, lecz również jego spokój. Nadal nie padły żadne groźby. A łuk nie był gotowy do strzału.

Koczownik postanowił wyciągnąć z obcego coś więcej.

- Dlaczego narysowałaś linię na ziemi? - zapytał.

- Śmierć jest nieodwołalna - odparł wojownik. - Brzydzę się niepotrzebną przemocą. Wczoraj upolowaliście mamuta. Jego mięso nakarmi wasz lud. Wczoraj odnieśliście zwycięstwo nad głodem i śmiercią. Postąpilibyście mądrze, wracając do swych namiotów, żeby to uczcić. To, co może wydarzyć się dzisiaj, nie da wam powodów do radości.

- Tak sądzisz? Być może ja jestem innego zdania.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się. Jesteś mądrym człowiekiem. Głupiec poprowadziłby swych ludzi do szarży i wszyscy by zginęli.

Powiedział to wystarczająco głośno, by jeźdźcy go usłyszeli.

- Uważasz, że mógłbyś zabić mnie i moich ludzi?

W końcu te słowa padły. Karesh Var poczuł, że narasta w nim napięcie. Trzymał rękę blisko myśliwskiego noża, gotowy do walki.

- Oczywiście - potwierdził mężczyzna. Dotknął kciukiem uchwytu łuku i natychmiast pojawiły się cztery struny tańczącego światła. Karesh Var był pod wrażeniem. Słyszał o straszliwej broni Niebieskowłosych, łukach strzelających piorunami.

- Ciekawa broń - zauważył koczownik, wspierając dłoń na rękojeści kościanego noża.

- Pora podjąć decyzję, koczowniku - rzekł mężczyzna. - Zaczynam marznąć.

Jego głos stał się nagle twardszy.

- W rzeczy samej, nieznajomy - zgodził się Karesh Var. Ściszył głos i podszedł bliżej. - Wydaje mi się, że nie brak ci rozumu, odpowiedz mi więc

na jedno pytanie: jeśli wódz prowadzi swych ludzi na wyprawę wojenną i wraca, nie zdobywszy niczego, jak może nadal pozostać wodzem? Taki człowiek mógłby woleć narazić się na śmierć, żeby ocalić twarz. Czyż nie mam racji?

- To smutna prawda - przyznał mężczyzna. - Upolowaliście wczoraj mamuta. Jak długie są jego kły?

- Siedem stóp.

- Mój lud również produkuje z nich ozdoby. Dam wam za te kły trzydzieści sztuk srebra. Według moich obliczeń, to dwukrotnie więcej, niż dostalibyście od kupców za swoje zabawki i broszki.

Karesh Var rozluźnił mięśnie, uśmiechając się szeroko. Jeśli podzieli srebro między ludzi, z pewnością ich tym uspokoi.

- Zgoda - rzekł - pod jednym warunkiem.

- A mianowicie?

- Choć słyszeliśmy o łukach takich jak twój, nikt z nas nie widział ich w akcji. Może mógłbyś zademonstrować nam ich działanie?

Wojownik uśmiechnął się i Karesh Var wiedział, że go zrozumiał. Jeśli jego ludzie mieli się zadowolić srebrem, musieli ujrzeć dowód na to, że mają do czynienia z potężną mocą. Wojownik odsunął się o krok, odwrócił w prawo i uniósł łuk. Z broni wydobyła się biała błyskawica, która uderzyła w kamień leżący na równinie jakieś trzydzieści kroków na wschód od niego. Kamień eksplodował, tryskając w górę fontanną odłamków i pyłu.

- Robi wrażenie - przyznał Karesh Var. - Wyślę dwóch ludzi po kły.

Kwestor Ro zobaczył zbliżających się koczowników i przez chwilę przyglądał się Talabanowi i Probierzowi, którzy wyszli im na spotkanie. Potem przeniósł uwagę z powrotem na piramidy. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Koczownicy byli specjalnością Talabana i kwestor Ro nie zamierzał marnować energii na rozważanie tego problemu. Wrócił do kwestii komunii. Druga skrzynka napełniła się już niemal całkowicie. Jej buczenie przycichło. Ale zajęło to prawie siedem godzin. To był bardzo niepokojący objaw. Załadowanie pierwszej skrzynki trwało tylko trzy. Nawet biorąc pod uwagę

fakt, że zostało w niej jeszcze trochę energii - ponieważ to ona napędzała Węża - tak wielka różnica musiała budzić obawy.

Lód pokrywał Białą Piramidę już od z górą siedemdziesięciu lat. Czy to możliwe, by jej moce zaczęły zanikać? Ta perspektywa niosła ze sobą wiele straszliwych implikacji i kwestor Ro nie był jeszcze gotowy jej rozważyć. Pomyślał, że druga skrzynka była pusta już od bardzo dawna i mogła w niej nastąpić awaria. Nie wiedział, co się stało, i był tym rozgoryczony.

Obejrzał się za siebie, by spojrzeć na srebrzystą szalupę, która wiozła na brzeg już trzecią skrzynkę. W niej również nie było mocy i można było jej dotykać bez obaw. Gdy sześciu Vagarów przyniosło ją na miejsce, wręczył pierwszemu z nich szkatułkę, włożył na palce drewniane napastrki, wyciągnął złote przewody z drugiej skrzynki i podłączył je do trzeciej. Potem, równie ostrożnie jak poprzednio, wsunął tyczki w złote pierścienie i odsunął się na bok, pozwalając Vagarom przenieść skrzynkę na łódź.

Popłynął z nimi. Z pokładu Węża opuszczono liny. Przywiązano je do końców tyczek i marynarze wciągnęli skrzynkę na główny pokład. Kwestor Ro wspiął się na górę po sznurowej drabince i zatrzymał obok nich.

- Ostrożnie - ostrzegł. - Nie zbliżajcie się.

Skrzynka znalazła się nad relingiem. Odziany na czarno marynarz pociągnął za ramię wielokrążka i ładunek przesunął się nad pokład. Jedna z tyczek zawadziła o reling i skrzynka się przechyliła. Któryś z marynarzy podszedł instynktownie bliżej, unosząc ramiona, by powstrzymać jej upadek. Gdy tylko jego dłonie dotknęły drewna, nastąpił oślepiający błysk, któremu towarzyszyła fala gorąca. Po nieszczęśniku przebiegły błękitne płomienie. Wewnątrz jego ciała eksplodował ogień, który buchnął na zewnątrz przez oczodoły. Trzymający liny marynarze odskoczyli w tył, oparzeni falą gorąca. Skrzynka runęła na pokład, lądując na boku. Płonący marynarz nie zdążył nawet krzyknąć. Jego zwęglone ciało upadło na skrzynkę. W powietrzu rozszedł się smród spalonego mięsa. Przerażeni ludzie zamarli w bezruchu. Kwestor Ro był wściekły. Wziął w rękę linę, owiazał nią trupa i ściągnął go ze skrzynki.

Ekipa Vagarów wdrapała się na pokład. Oni również zastygli,

oszołomieni, gapiąc się bez słowa na ciało. Płomienie jeszcze nie dogasły. Ubranie zabitego ciągle się tliło.

- Ruszać się! - ryknął kwestor Ro. Vagarzy założyli naparstki i wyprostowali skrzynkę. Kwestor Ro zastąpił tyczki nowymi i rozkazał ludziom zanieść ją na rufę. Potem przyjrzał się jej uważnie w poszukiwaniu dziur albo pęknięć. Nie znalazł żadnych. Vagarzy schowali skrzynkę w większym pojemniku, wyłożonym ołowiem, i zanieśli pod pokład, do magazynu.

Leżały tam dwa okrwawione kły mamuta, co spotęgowało irytację kwestora Ro. To pomieszczenie było również jego pracownią i nie był zadowolony, że znalazł tu coś takiego, zwłaszcza że kły rzucono bezceremonialnie na biurko i krew pobrudziła część jego papierów.

- Zabierzcie je - rozkazał dwóm Vagarom. - Połóżcie gdzieś w kącie. I zetrzyjcie z nich krew - dodał.

- Tak jest, panie - odparł jeden z nich, kłaniając się nisko.

- I wyślijcie po Onquera - dorzucił jeszcze. - Czeka nas robota.

- Panie - odrzekł sługa, ponownie kłaniając się w pas. - Z żalem zawiadamiam cię, że Onquer nie żyje. Skonał, nim jeszcze wróciliśmy na statek.

Tego było już za wiele. Kwestor Ro poświęcił osiem lat na wyszkolenie Vagara. Teraz będzie musiał znaleźć nowego asystenta i marnować cenny czas na uczenie go rygorów pracy badacza.

Nie powiedział Vagarom nic więcej. Ruszył ku swej kajucie.

Napełnili dwie skrzynki, a trzecia była już na miejscu. Ogólnie był to dość udany dzień.

Rozdział piąty

Paszczka Lodowego Olbrzyma była otwarta. Storro przeszedł przez białą bramę jego zębów i znalazł magiczny kiel. Rzucił potężne zaklęcie i zaczął czerpać z niego moc. Bestia zadrżała, ale się nie obudziła. Nie musiała tego robić, gdyż straszliwe demony, które na niej mieszkały, wyczuły kradzież i zaczęły wspinać się po futrze ku złodziejom.

Z Porannej pieśni Anajo

Migotliwe światło lampy na olej węglowy rzucało długie cienie na ściany pozbawionego okien Pokoju Serca, ukrytego głęboko w trzewiach Węża. Talaban przyglądał się, jak czterech Vagarów ustawia ostrożnie skrzynkę w rzeźbionym zagłębieniu pośrodku pomieszczenia. Kiedy już uporali się z tym zadaniem, rozkazał im odejść. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Talaban podszedł do umieszczonej obok zagłębienia skrytki i otworzył drzwiczki. W środku znajdowały się dwa koła z brązu. Obrócił powoli pierwsze z nich. Dwie miedziane miseczki ukryte we wnęce uniosły się powoli ku wykonanym z brązu kulom, umieszczonym z przodu skrzynki. Talaban nie przestawał kręcić, aż wreszcie miseczki pokryły kule. Czując, że narasta w nim podniecenie, wojownik przełożył dłonie na drugie koło i wykonał dwa pełne obroty. Za skrytką znajdowała się druga, ukryta wnęka. Talaban otworzył ją i ujrzał długą płytę z błyszczącej miki. Było w niej sześć zagłębień, a w jednym z nich świecił samotny biały kryształ. Talaban otworzył woreczek, który miał u pasa, wyjął z niego pięć następnych kryształów i umieścił je w pustych zagłębieniach. Zasunął wieko, zaczerpnął głęboko tchu i obrócił drugie koło po raz ostatni.

W dwóch wprawionych w ścianę kryształowych kulach natychmiast rozbłysło światło. Talabana ogarnął zachwyty. Zdmuchnął płomień lampy, wyszedł z pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Cały korytarz wypełniał jasny, czysty blask. Awatar wspiął się po krętych schodach na centralny pokład i oparł o reling po prawej burcie. Wąż Siedem nie kołysał się już na

falach. Znieruchomiał dumnie, niepodatny na oddziaływanie morza.

Gdy Talaban wdrapał się na górny pokład, ujrzał swego sierżanta, Methrasa, który siedział z grupą żołnierzy przy prawym relingu. Wszyscy gapili się na światła, które rozbłysły nagle na całym okręcie. Żołnierze byli Vagarami i nigdy jeszcze nie widzieli Węża w pełni jego mocy. Talaban wezwał Methrasa. Sierżant pokłonił mu się nisko. Był wysokim, szczupłym wojownikiem o jasnych, rzadziejących już włosach. Mimo surowych praw dotyczących czystości rasy, nie ulegało wątpliwości, że ma w żyłach domieszkę awatarskiej krwi. Był bardzo inteligentny i Talaban nigdy w życiu nie widział lepszego vagarskiego sierżanta. To jedno nie wystarczyłoby, żeby obudzić jego podejrzania, ale Methras był również w pełni oburęczny, a ta właśnie cecha różniła Awatarów od pozostałych ras. Wszyscy z nich byli obdarzeni tą zdolnością, a także powiązaną z nią umiejętnością jednoczesnego wykonywania dwiema rękami dwóch odrębnych zadań. Talaban nikomu nie wspominał o talentach sierżanta. Mogłoby to zaalarmować oficerów z Rady i zagrozić życiu Methrasa.

- Cóż za wspaniały widok, kapitanie - odezwał się Methras, wskazując na światła.

W rzeczy samej, piękny - zgodził się Talaban. - Każ przynieść z magazynu topory i piły. Musimy się pozbyć tych cholernych masztów.

- Masztów, kapitanie? Z żaglami i całą resztą?

- I całą resztą - potwierdził Talaban.

- Tak jest - odpowiedział Methras z powątpiewaniem w głosie.

- Nie obawiaj się - uspokoił go Talaban z szerokim uśmiechem. - Wąż popłynie bez nich szybciej. Obiecuję ci też, że podczas rejsu powrotnego nikt nie będzie cierpiał na chorobę morską.

Talaban wrócił do kajuty. Czekał tam na niego Probierz. Dzikus siedział na podłodze. Na jego twarzy odbijało się napięcie, a oczy miał pełne strachu.

- Co się stało? - zapytał Talaban.

- Stało? Nic się nie stało - odparł Probierz. - Czuję się dobrze. Jestem bardzo silny.

Talaban usiadł za biurkiem, gestem nakazując Probierzowi wstać i zająć miejsce naprzeciwko niego. Dzikus wykonał polecenie.

- Mów - zażądał Awatar. - Widzę, że coś cię niepokoi. Czy chodzi o śmierć tego marynarza?

- Nie. O demoniczne światła. Są bardzo jasne - ciągnął Probierz. - Nie ma płomienia. Jak małe słońca w szkle.

Gdy światła zapłonęły po raz pierwszy, Probierz krzyknął ze strachu, choć nie zamierzał nikomu się do tego przyznać. Siedział na podłodze kajuty, ale zerwał się na nogi w nagłej panice. Podbiegł do drzwi, otworzył je i wypadł na korytarz - tylko po to, by się przekonać, że tam kule również świecą. Serce waliło mu jak wojenny bęben i z trudem oddychał. I wtedy w korytarzu pojawił się marynarz w ogóle niezwracający uwagi na demoniczne światło. Uśmiechnął się do Probierza, przechodząc obok niego.

Dzikus wrócił do kajuty, nadal drżąc. Wziął się w garść, podszedł do kuli i wpatrzył się w nią intensywnie. Rozbolała go od tego głowa. Blask na chwilę prawie go oślepił. Probierz wycofał się na dywanik leżący na środku pomieszczenia, przykucnął na nim i zamknął oczy, oczekując na powrót Talabana.

- Nie ma w nich nic demonicznego, przyjacielu. Masz rację, zważ je małymi słońcami, bo tym właśnie są. Mocą słońca uwięzioną w szkle.

- Jak można uwięzić słońce? - zapytał Probierz, starając się udawać tylko lekko zainteresowanego.

- Wszystko karmi się promieniami słońca - wyjaśnił Talaban. - Wszystko, co żyje. Wszyscy zrodziliśmy się z jego mocy. Każdy człowiek i każda roślina. Mamy w sobie słoneczne światło.

Mina Probierza wyrażała niedowierzanie. Talaban wstał zza biurka i podszedł do półki na przeciwległej ścianie. Zdjął z niej słoik z cukrem. Otworzył wieczko, sięgnął do środka i wyjął stamtąd garść białych drobin. Następnie rzucił je na węgle piecyka. Płomienie natychmiast strzeliły w górę.

- Cukier magazynuje w sobie światło słońca. Koks je uwolnił, zamienił z powrotem w energię. Węgiel powstał z rozkładu drzew i jego również wypełnia słoneczny blask. Kiedy go palimy, ten blask odzyskuje pierwotną

postać. Staje się ogniem słońca. Zrozumiałeś?

Probierz nie zrozumiał, wydawało się jednak, że powinien, więc skinął głową. Miał nadzieję, że jego mina wyraża olśnienie. Talaban umilkł i dzikus doszedł do wniosku, że powinien powiedzieć coś mądrego.

- To znaczy, że ten zabity marynarz był światłem słońca - stwierdził.

- W rzeczy samej. Skrzynki mocy magazynują energię. Trzeba się z nimi obchodzić bardzo ostrożnie, a z pewnością nigdy nie można ich dotykać. Marynarz nieostrożnie wpuścił do swego ciała moc skrzynki, a ta uwolniła ukryte w nim światło słońca.

- A dlaczego musicie przyplływać na lód? - zapytał Probierz. - Jeśli słońce daje energię, to czemu po prostu nie zostawić skrzynek w jego świetle?

- To nie takie proste. Twój topór jest zrobiony z żelaza, przytwierdzonego do drewnianego trzonka. Kiedyś, w przeszłości, ten trzonek był kawałkiem drewna, a żelazo bryłą metalu. Potem płatnerz zrobił z tych surowców topór. Podobnie Wielka Piramida przetwarzała światło słońca w coś, co mogliśmy magazynować w skrzynkach. Piramida wysyłała ową moc do wszystkich zakątków imperium i we wszystkich miastach Awatarów, można było ładować skrzynki.

- Na jak długo wystarczy tej nowej mocy? - zapytał jeszcze Probierz.

- Jeśli skrzynka pozostanie na Wężu, na co najmniej pięć lat - odpowiedział Talaban.

- Być może znowu zostaniecie bogami - zauważył Probierz.

- Być może - zgodził się Talaban. - Ale mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Rankiem trzeciego dnia nad zatoką rozszalała się śnieżycza. Naładowali już cztery skrzynki, ale proces przebiegał coraz wolniej. Kwestor Ro wolał nie wnikać w przyczyny tego zjawiska. Obawiał się, że już je zna. Jedna z jego ekip nadal przebywała na lodzie, próbując naładować piątą skrzynkę. Sypiący gęsto śnieg i lodowaty wicher z każdą chwilą coraz bardziej utrudniały im

zadanie. Towarzyszył im Talaban z naładowanym na nowo łukiem zhi.

Probierz podszedł do niego.

- Niedobre powietrze - zawołał, przekrzykując wicher. - Trzeba stąd odejść. Natychmiast!

- Jest zimno - zgodził się Talaban.

- Nie zimne. Niedobre. Nadchodzi śmierć.

Talaban wiedział, że niesamowite zdolności dzikusa rzadko go zawodzą. Pochylił głowę pod wiatr i powlókł się ku kwestorowi Ro, który klęczał pod migoczącą piramidą.

- Wracamy na pokład! - zawołał. Kwestor Ro uniósł wzrok. Chciał się sprzeciwić, ale wiedział, że Talaban ma rację.

Pogoda niemal uniemożliwiała utrzymanie komunii. Skinął głową i zaczął odwijać złoty drut otaczający podstawę piramidy. Probierz nieco rozluźnił podszyty futrem płaszcz i wydobył topór zza pasa. Przymrużył powieki zielonych oczu, starając się wypatrzeć coś przez syjący śnieg.

Vagar trudzący się w odległości około dwudziestu kroków od niego krzyknął nagle i zatoczył się w lewą stronę. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą była lewa ręka, ziała teraz wielka rana, z której tryskała krew. Potem coś pociągnęło rannego w lewo. Probierzowi wydawało się, że śnieg uniósł się w górę i nakrył go w całości. Dzikus uniósł topór i ruszył w stronę Talabana.

Wtem pojawiła się przed nim ogromna postać. Była biała, miała długie ramiona i szarą twarz. Probierz ujrzał, że w paszczy ma ona ostre kły, a palce są zakończone straszliwymi pazurami. Dzikus rzucił się w lewo, padając barkiem na śnieg. Przetoczył się i szybko wstał. Bestia ponownie na niego runęła. Właśnie wtedy w białe futro na jej piersi uderzyła błyskawica. Rozbłysło światło i w jej ciele pojawiła się wielka dziura. Na śnieg trysnęła krew i odłamki kości. Przez chmury śniegu biegły ku nim następne krale. Probierz odwrócił się i ruszył ku Talabanowi, który spokojnie ostrzeliwał bestie kolejnymi impulsami.

Spanikowani Vagarzy uciekali we wszystkie strony. Kwestor Ro wydobył złote berło i podszedł do Talabana. Niski człowieczek nie okazywał strachu. Probierz poczuł do niego nieco większy szacunek.

Zaatakowały ich trzy kolejne bestie. Pierwszą zastrzelił Talaban. Impuls cisnął ją w górę. Drugi niemal zdążył dopaść kapitana, ale rzucił się na niego Probierz. Dzikus pochylił się, unikając ciosu ramienia, i uderzył toporem w pysk bestii. Ostrze wbiło się głęboko. Kral zachwiał się na nogach, a potem uderzył przeciwnika w bok z miażdżącą siłą. Probierz poleciał w górę i wylądował ciężko na śniegu. Topór wypadł mu z rąk.

Talaban zastrzelił bestię. W tej samej chwili pojawiła się przed nim trzecia, ale kwestor Ro uderzył berłem prosto w brzuch. Krala spowity błękitne płomienie. Wielki, szary łeb eksplodował, a z kudłatej szyi trysnął ogień.

Na brzegu cztery bestie rozszarpywały pazurami ciała zabitych Vagarów. Talaban zastrzelił dwie z nich. Dwie pozostałe wbiły pazury w zwłoki, wciągnęły je za sobą do morza i zniknęły pod wodą.

Probierz podniósł się z wysiłkiem. Koszulę miał zakrwawioną. Czuł się słabo i kręciło mu się w głowie. Pokuśtykał do kwestora Ro i Talabana, a potem wyszarpnął topór z głowy zabitego krala.

Wtem grunt poruszył się pod jego stopami. Dzikus omal się nie przewrócił. Z początku myślał, że to tylko zawroty głowy, ale potem zauważył, że kwestor Ro również się zachwiał.

- Wracajmy... na okręt... albo wszyscy zginiemy - powiedział Talabanowi. - Nadchodzi słup ognia. Zabije wszystkich.

Talaban pomógł mu dotrzeć do brzegu. Ocalało tylko pięciu Vagarów. Kapitan rozkazał im wsiąść do łodzi i pomógł Probierzowi zrobić to samo.

- Musimy się śpieszyć - powiedział dzikus.

Talaban rzucił łuk zhi do łodzi i obejrzał się na kwestora Ro, który nadal próbował odplatać owinięty wokół piramid drut. Podbiegł do niego.

- Nie ma czasu, kwestorze - zawołał, ale Ro go zignorował. Ziemia zatrzęsała się pod ich stopami. Talaban padł na lód. Wstał, złapał kwestora Ro za futro na plecach i pociągnął za sobą. Ro instynktownie uniósł berło. Wyższy mężczyzna zablokował je lewym ramieniem, a potem uderzył prawym w podbródek kwestora. Ten zwałił się na lód. Talaban podniósł go i przerzucił

sobie przez ramię. Potem zabrał berło i ruszył ku łodzi.

Przemknęli błyskawicznie przez zatokę. Nadal porażeni strachem Vagarzy wdrapali się po sznurowej drabince przed Talabanem. Probiarz podążył za nimi. Jego ruchy były powolne i pełne bólu. Kapitan przywiązał liny do dziobu i rufy szalupy, a potem wdrapał się na centralny pokład, dźwigając kwestora Ro na plecach. Zrzucił go tam i polecił czekającym na rozkazy marynarzom podnosić kotwicę. Następnie wdrapał się na górny pokład, do sterówki.

Położył dłoń na trójkątnej złotej płytce wprawionej w ciemne drewno i obrócił ją w lewo. Pod płytką widać było siedem symboli. Od strony lodowca dobiegł głuchy łoskot. Talaban nie patrzył w tamtą stronę. Nacisnął lekko pięć symboli otwierających zamek i drzwi się odsunęły. Nie tracąc czasu na ich zamykanie, podszedł do długiej czarnej szafki ustawionej pod przeciwległą ścianą. Tam również umieszczono złoty trójkąt. Palce Talabana zatańczyły szybko po symbolach i kolejne drzwi się otworzyły. Wewnątrz znajdowała się długa półka pokryta warstwą błyszczącej miki. Było w niej siedem zagłębień, a na micy leżał aksamitny woreczek. Kapitan otworzył go i wysypał na półkę siedem kryształów.

Na brzegu doszło do potężnej eksplozji. Talaban zerknął w tamtą stronę. Z lodowca buchnął ogromny słup ognia. Wytrysnęły w górę bryły lodu. Kapitan spokojnie ujął w dłoń kryształ i umieścił go w trzecim zagłębieniu. Cały statek natychmiast spowiło bladoniebieskie światło. W stronę pokładu pomknął wielki jak głaz kawał lodu, który uderzył o barierę niebieskiego blasku i odbił się od niej. Talaban dodał jeszcze dwa kryształy, zastąpił te w woreczku nowymi i zamknął szafkę. Spod lodu wypłynęła czerwona lawa. Powietrze przesyciła gęsta para. Stopiona skała docierała do niebieskiego światła i znikwała w morzu niczym wino spływające po zewnętrznej powierzchni pucharu. Talaban podszedł do wielkiego koła z brązu i zakręcił nim.

Wąż mknął nietknięty przez wulkaniczną burzę. Wokół niego na morze spadały lód i ogień.

Kwestor Ro stał na pokładzie swej kajuty, obserwując szalejącą na odległym lodowcu pożogę. Bolała go po ciosie Talabana szczęka, nie czas jednak było myśleć o zemście. Na to przyjdzie pora później. Obecnie jego myśli całkowicie zaprzętało sześć srebrnych piramid wypełnionych drogocennymi klejnotami oraz złote pręty przyciągające moc. Ro zapłacił za nie z własnej kieszeni i kosztowało go to niemal połowę jego okazałej fortuny.

Co więcej, stracili piątą skrzynkę. W nowym imperium nikt już nie potrafił ich produkować, gdyż źródło specjalnej miki, wydobywanej daleko za zachodnim oceanem, stało się dla nich niedostępne.

Ku niebu trysnęła ogromna fontanna ognia, czemu towarzyszył ogłuszający wybuch. Ro schował się do środka, zamknął za sobą drzwiczki i osunął się na krzesło. Choć odniósł sukces, o jakim jego wrogom nawet się nie śniło, czuł jedynie przygniatającą rozpacz.

Cóż za pożytek z czterech skrzynek, jeśli nigdy już nie będą mogli ich naładować? Zdobyta moc pozwoli im jedynie odwlec jeszcze nieunikniony koniec.

Ro potarł szczękę i nalał sobie gorzałki do pięknie wykonanego kryształowego pucharu. Wpatrzył się w naczynie. Kryształ był czysty i przezroczysty, kwestor widział więc odbicie swej twarzy w licznych powierzchniach. Pociągnął się odruchowo za rozwidloną, niebieską brodę, a potem przełknął trunek. Rzadko pijał alkohol i ognisty płyn wypełnił mu żyły swą mocą.

Wsparł głowę na wysokim oparciu krzesła i zaczął planować kolejną ekspedycję. W przyszłości będą musieli bardziej się zbliżyć do źródła mocy, wędrować przez lód. Ta myśl napełniła go jeszcze większym przygnębieniem.

Krale, tygrysy szablatozębne i koczownicy niemal uniemożliwią tego rodzaju podróży.

Co gorsza, wiedział teraz i to było prawdziwym źródłem jego rozpacz, że moc Białej Piramidy zanika. Lód nie dopuszczał do niej promieni słońca i nie mogła odnawiać swej energii, nie wspominając już o ładowaniu nowych skrzynek.

Korciło go, żeby nalać sobie drugi puchar, ale nie zrobił tego. Skierował myśli na problem Talabana. Nie było wątpliwości, że kapitan na lodzie uratował mu życie. Nie mogło to jednak zrównoważyć faktu, że uderzył kwestora na oczach vagarskich robotników oraz dzikusa Probierza. Być może widzieli to nawet niektórzy marynarze.

Gdyby chodziło tylko o Vagarów, Ro mógłby skazać ich na śmierć. Talaban jednak nigdy by nie dopuścił, żeby taki los spotkał Probierza. To był trudny problem.

Rozważał właśnie możliwości zemsty, gdy zjawił się Talaban. Wszedł do kajuty bez pukania. Miał do tego prawo jako kapitan, jednak irytowało to Ro.

- Jak się czujesz, kwestorze? - zapytał młodszy mężczyzna.
- Dobrze. Dziękuję za uratowanie życia.
- Czy mogę usiąść? - Przynajmniej tym razem zachował się uprzejmie.

Kwestor Ro wskazał mu krzesło.

- Gratuluję, kwestorze - rzekł Talaban. - Nie wierzyłem w powodzenie tego przedsięwzięcia, ale dowiodłeś, że byłem w błędzie, podobnie jak wielu innych.

- To mało znaczący sukces, kapitanie. Straciliśmy jedną skrzynkę i udało się nam napęlić tylko cztery. Niemniej dziękuję ci za te uprzejme słowa. Czy moim vagarskim robotnikom udało się uciec przed erupcją?

- Większość zabiły krale, ale pięciu ocalało. Obawiali się o twoje zdrowie. Sądziły, że powaliły cię bestie.

- A ty powiedziałeś im, jak było naprawdę? - zapytał łagodnym tonem Ro.

- Nie. Oznajmiłem im, że walczyłeś z kralami i zostałeś ranny, ale wrócisz do zdrowia. Nie zaszkodzi, jeśli Vagarzy ujrzą na własne oczy uzdrawiającą moc Awatarów.

- Ale twój człowiek, Probierz, widział, jak mnie uderzyłeś?

- Nie. Został ciężko ranny w starciu z kralem. Ma złamanych sześć żeber i przebite płuco. Gdy niosłem cię do szalupy, był półprzytomny. Mogę cię zapewnić, że nikt tego nie widział, kwestorze.

- No cóż, w takim razie to nie ma znaczenia, Talabanie - odparł z wymuszonym uśmiechem Ro.

- Nie zgadzam się, kwestorze. Jesteśmy nielicznym ludem i jeśli Vagarzy albo inne plemiona zobaczą, że są między nami konflikty, uznają nas za słabych. Gorzko żałuję tego, co zrobiłem, ale ponieważ alternatywą było pozwolić ci zginąć, uważałem, że nie mam wyboru. Niemniej jest też pozytywna strona. Straciliśmy sprzęt, ale Vagarzy widzieli, jak obaj walczyliśmy z kralami. Zaniosą tę opowieść do miasta, jeszcze bardziej wzmacniając mit o wyższości Awatarów.

- Mit? Dlaczego mówisz, że to mit?

- Jesteśmy tylko ludźmi, kwestorze - odparł z uśmiechem Talaban. - Nikim więcej. Ale potrzebujemy tego mitu, żeby zachować władzę.

Kwestor Ro nie był zaskoczony herezją kapitana, udał jednak zszokowanego.

- Tracisz wiarę, Talabanie. Jesteśmy urodzonymi władcami. Nie ulega też wątpliwości, że jesteśmy doskonalsi od niższych istot. Jesteśmy właściwie nieśmiertelni, a wiedzą przewyższamy je w takim samym stopniu, w jakim one przewyższają psy.

- No właśnie, kwestorze. Wiedzą. Do tego wszystko się sprowadza. My odkryliśmy tajemnice mocy słońca, a oni nie.

- I to właśnie stanowi dowód naszej wyższości - oznajmił triumfalnym tonem Ro. - Przez ostatnie siedemdziesiąt lat na co dzień stykałem się z Vagarami i wiem, do czego są zdolni. Potrafią być lojalni i naprawdę inteligentni. Ale brak im naszej zdolności pojmowania. Awatarowie są odrębną rasą. Weź, na przykład, Viruka. On jest wcieleniem wszystkiego, co w nas silne.

Młodszy mężczyzna milczał. Ro spojrzał mu prosto w oczy.

- Powiedz mi, co myślisz, kapitanie. Nie zgadzasz się ze mną?

Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, kwestorze - odparł z uśmiechem Talaban. - Muszę się zająć Probierzem.

Wstał, pokłonił się nisko i wyszedł.

Kwestor Ro siedział jeszcze przez chwilę za biurkiem, zastanawiając się

nad tą krótką rozmową. Miał nadzieję, że Talaban da się sprowokować i potępi Viruka. Z przyjemnością przekazałby potężnemu wojownikowi tę informację.

Bardzo się od siebie różnili. Talaban był spokojny i panował nad sobą, a Viruk gwałtowny i niebezpieczny.

A także obłąkany.

Rozdział szósty

Ze wszystkich bogów, którzy chodzili po Ziemi w czasach, gdy słońce było młode i jeszcze niezbyt silne, najgorszym, a zarazem najlepszym, był Virkokka, bóg wojny. Mieszkał on we wnętrzu Góry Ognia, śniąc sny o śmierci i bólu. Twarz miał przystojną i zawsze był spokojny, ale tych, którzy widzieli jego uśmiech, czekała śmierć. Tego dnia, gdy Virkokka opuścił swe ogniste domostwo, świat zadrżał i wszystko zmieniło się na zawsze.

Z Wieczornej pieśni Anajo

Viruk leżał zupełnie bez ruchu, obserwując wjeżdżających do doliny łupieżców. Jeźdźców było trzydziestu. Za nimi toczyło się powoli pięć wozów. Ich koła zostawiały na polnej drodze głębokie ślady. Awatar pomyślał, że wyprawa musiała być udana. Zatrzymał spojrzenie jasnoszarych oczu na tym, który jechał przodem. Mężczyzna miał na sobie jaskrawoczerwony płaszcz, spięty na szyi złotą broszą w kształcie słońca, a pod nim wełniany strój w krzykliwych kolorach. Na nogach miał luźne rajtuzy i drewniane chodaki. Pokryta czerwonym woskiem broda sterczała z podbródka niczym okrwawiony język. Świadczyło to niedwuznacznie, że jest szlachetnie urodzonym Błotniakiem. Viruk uśmiechnął się. Pełna nazwa tego plemienia brzmiała Erekh-hip-zhonad. Podobnie jak większość Awatarów, nie był w stanie tego wymówić, a tłumaczenie - Lud Gwiazd - brzmiało stanowczo zbyt pompatycznie. Dlatego Rada nadała im tę wzgardliwą nazwę.

Pozostali łupieżcy byli ubrani skromniej i nie zdobiły ich złote brosze. Mieli napierśniki z utwardzanej skóry oraz długie włócznie. Włosy pokrywała im mieszanina czerwonej gliny i wosku. Wyglądali tak, jakby nosili kiepsko zaprojektowane gliniane hełmy.

Viruk zerknął w prawo. Jego trzykrotnie mniej liczny oddział - dziesięciu vagarskich łuczników - czekał na rozkazy. Wszyscy Vagarzy wyglądali na przerażonych. Viruk rozciągnął w uśmiechu zaciśnięte usta i ujął w dłoń łuk zhi. Był czarny i pozbawiony ozdób, pomijając dwa czerwone

kryształy nad rękojeścią. Sam go przerobił. Uważał, że tradycyjne łuki zhi są zbyt skomplikowane. Po co komu wiele różnych poziomów mocy impulsu? Jeśli ktoś go zaatakuje, to czemu miałby tylko ogłuszyć napastnika, zamiast rozpruć mu pierś i patrzeć, jak rozkwita czerwony kwiat krwi? Łuki zhi były przeznaczone do zabijania i wykonywały to zadanie znakomicie.

Jeźdźcy się zbliżali. Byli już w zasięgu łuków. Viruk jednak nie wydał rozkazów ukrytym Vagarom. Byli oni uzbrojeni tylko w tradycyjne łuki oraz noże i prerażeni.

- Strzelajcie, gdy ja zacznę - rozkazał. Potem wstał i ruszył w dół zbocza na spotkanie jeźdźcom. Był wysokim, szczupłym mężczyzną a długie blond włosy miał pofarbowane na niebiesko przy wygolonych gładko skroniach. Nie nosił zbroi. Miał na sobie tylko koszulę z jasnoniebieskiego jedwabiu, czarne skórzane rajtuzy oraz szare buty z jaszczurczej skóry.

Wódz łupieżców, krzepki mężczyzna o opalanej na ciemny brąz twarzy, ściągnął wodze i czekał, aż Viruk podejdzie bliżej. Jego ludzie unieśli włócznie i skupili się wokół dowódcy, gotowi do ataku.

- Zabłądziliście na nasze ziemie, Błotniaku - odezwał się Viruk miłym tonem. - I w ten sposób pogwałciliście dyrektywę kwestora generalnego.

Jeździec uśmiechnął się. Przednie zęby miał złote.

- Wasza moc słabnie, Awatarze - odparł. - Nie możecie już wymuszać przestrzegania swoich dyrektyw. A teraz oddaj mi swój łuk zhi, a daruję ci życie. Odeślę cię do waszego kwestora generalnego z wiadomością od króla, mego brata.

- Król to twój brat? - zapytał Viruk, udając zaskoczenie. - To zapewne znaczy, że jesteś wśród swego ludu kimś ważnym. Kogoś takiego nie można lekceważyć. Powiem ci, co zrobię. Wyślę wiadomość do króla, twego brata. - Zrezygnował z przyjaznego tonu, a jego oczy stały się jeszcze jaśniejsze. - Ci z waszej bandy, którzy pozostaną przy życiu, będą mogli ją przekazać.

Uniósł łuk i strzelił jeźdźcowi prosto w pierś, która eksplodowała z przerażającym trzaskiem, tryskając na Błotniaków krwią i odłamkami kości. Przerażone konie stanęły dęba, zrzucając jeźdźców na ziemię. Szczupłe palce Viruka zatańczyły na strunach światła i w kłębiący się tłum uderzyły cztery

kolejne impulsy. Jednemu z łupieżców urwało górną kończynę. Głowa drugiego spadła na ziemię i potoczyła się do stóp Viruka. Awatarski wojownik nie przestawał strzelać. Jeden z jeźdźców spiął konia do szarży. Viruk strzelił wierzchowcowi w głowę, zatrzymując go. Mężczyzna przeleciał nad krwawiącym kikutem szyi i ciężko upadł. Zdołał się podnieść, ale strzała przeszła mu szyję i znowu padł na ziemię.

Vagarzy wypadli z ukrycia, zasypując łupieżców gradem strzał. Po paru chwilach masakra się skończyła. Jedynymi ocalałymi Błotniakami byli woźnice pięciu wozów. Viruk podszedł do przerażonych mężczyzn, rozkazując im zejść na ziemię. Posłuchali go. Awatar polecił im ustawić się w szereg.

Rzucił łuk zhi zaskoczonemu Vagarowi i podszedł do pierwszego z woźniców. Oparł dłoń na jego lewym barku i pochylił się nad nim.

- Przemoc to coś okropnego, nie sądzisz? - zapytał.

- Tak... okropnego - zgodził się Błotniak.

W takim razie nie trzeba było tu przyjeżdżać - skwitował radosnym tonem Viruk, wbijając sztylet głęboko w pierś mężczyzny. Ofiara krzyknęła, próbując odsunąć się od zabójcy. Ale nóż na to nie pozwolił. Błotniak skonał, opierając się ciężko o Viruka. Awatar poklepał trupa po policzku. - Miło było poznać człowieka, który nie nadużywa gościnności - stwierdził. Wyciągnął nóż i pozwolił ciału osunąć się na ziemię. Pozostali jeńcy padli na kolana i zaczęli błagać o litość.

- Potrzebny mi ktoś, kto potrafi zapamiętać wiadomość - oznajmił Viruk. - Jak sądzicie, podludzie, czy któryś z was jest w stanie to zrobić?

Mężczyźni popatrzyli na siebie nawzajem. Jeden z nich uniósł rękę.

- Świetnie - rzucił Awatar. - Chodź za mną. - Odwrócił się i zerknął na vagarskiego sierżanta. - Resztę zabijcie - rozkazał.

Pozostali łupieżcy zerwali się z klęczek i rzucili do ucieczki. Trzech z nich powalono natychmiast, ale czwarty biegł i kluczył tak szybko, że żaden z łuczników nie mógł go trafić.

- No, nie wiem - odezwał się Viruk, kładąc dłoń na ramieniu drżącego jeńca. - To są podobno świetnie wyszkoleni łucznicy. Wydaje ci się, że któryś z nich potrafiłby trafić krowę w dupę z odległości pięciu kroków? - Potrząsnął

głową. - Zaczekaj tutaj.

Podszedł niespiesznie do swych ludzi, wziął w rękę łuk zhi i strzelił uciekinierowi w plecy z odległości prawie dwustu kroków.

Wrócił do ostatniego Błotniaka i uśmiechnął się ujmująco.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać. - Mężczyzna nadal miał miecz, ale stał nieruchomo, zszokowany, wpatrując się w jasne oczy Viruka.

- Na co się tak gapisz? - zapytał Awatar.

- Na nic, panie. Ja tylko... czekam... na twoje rozkazy.

- Czy to naprawdę był brat króla?

- Tak, panie.

Zdumiewające. Ale przypuszczam, że nie potrzeba wiele, żeby zostać królem wśród podludzi. Czy ty też jesteś z królewskiego rodu?

- Nie, panie. Jestem z zawodu garncarzem.

Viruk zachichotał, kładąc rękę na ramieniu Błotniaka.

- Zawsze dobrze jest mieć zawód. A teraz weź miecz i utnij głowę bratu króla - rozkazał. - A potem znajdź sobie konia i wracaj do domu.

- Mam mu uciąć głowę, panie? Bratu króla?

- Martwemu bratu króla - poprawił go Viruk. - Tak, głowę. Uważaj, żeby nie uszkodzić tej śmiesznej brody. - Zawahał się, spoglądając na zabitego. - Czemu to robią? Po co im tak sztywno nawoskowane brody? Jak można z taką spać?

- Nie wiem, panie. Może na wznak.

- Pewnie masz rację. A teraz wracajmy do twojego zadania. Utnij mu głowę.

- Tak jest, panie. - Mężczyzna wyjął miecz i uderzył cztery razy w szyję trupa. Głowa uparcie nie chciała odpaść.

- Mam nadzieję, że jesteś lepszym garncarzem niż szermierzem - skwitował Viruk. Wyjął sztylet i uklęknął, by przeciąć ostatnie ścięgna.

Potem wstał i zwrócił się w stronę jeńca.

- Nazywam się Viruk. Potrafisz to zapamiętać?

- Tak, panie. Viruk.

- Świetnie. Powiedz królowi, że jeśli jeszcze ktoś wtargnie na ziemię uprawne Awatarów, przyjadę do tej nędznej nory, którą zwie swoim pałacem, i wypruję mu trzewia. A potem każę mu je zjeść. Bądź tak uprzejmy i powtórz teraz te słowa.

Mężczyzna wykonał polecenie.

- Znakomicie - pochwalił jeńca Viruk, klepiąc go po ramieniu. - A teraz bierz tę głowę. Jestem pewien, że król ucieszy się, kiedy ją dostanie. Przynajmniej będzie miał co pochować.

Awatar wrócił do wozów i zajrzał pod plandekę pierwszego. Było tam pełno worków ze zbożem.

- Co jest w pozostałych? - zapytał sierżanta.

- Głównie to samo, panie. W ostatnim jest trochę łupów. Ale są niewiele warte.

- Dobra, zabierzcie je do miasta. - Viruk podszedł do jednego z ocalałych koni i dosiadł go.

- Dokąd jedziesz, panie? - zapytał sierżant.

- Na przejażdżkę, mój chłopcze. Tak sobie myślę, że mogą się tu kręcić jeszcze inni łupieżcy. Nie chcielibyśmy, żeby zaatakowali takich odważnych chłopaków, jak wy, w drodze powrotnej, nieprawdaż?

Awatar zabrał łuk zhi i oddalił się cwałem na wschód.

- To szalenie - stwierdził mężczyzna stojący obok sierżanta.

- Masz rację - warknął podoficer. - Ale dzięki niemu nadal żyjemy. To mi wystarcza.

Jeniec podjechał do niego.

- Mam już ruszać? - zapytał.

- Tak bym ci radził - odparł Vagar. - Kapitan łatwo... zmienia zdanie.

Może dojść do wniosku, że nie chce wysłać wiadomości. A wtedy... - Wskazał na ciało.

Błotniak zawrócił konia i odjechał.

Viruk czuł przyływ energii, jakiego nigdy nie mogłyby mu zapewnić kryształki. Jego ciało przepelniała moc. Powietrze, którym oddychał, miało czystszy i świeższy aromat. Nawet marna chabeta, której dosiadał, wydawała

mu się rumakiem pełnej krwi. Życie było dziś dobre. Awatar ryknął głośnym śmiechem, przypominając sobie z zachwytem wyraz twarzy dowódcy w momencie, gdy do niego strzelił. Zastanawiał się, co czuł tamten w owej straszliwej chwili, kiedy wiedział, że jego życie zakończy się eksplozją ognia i bólu. Czy czuł żal? Rozpacz? Gniew? Czy zadawał sobie pytanie, po co zmarnował tyle czasu na pielęgnowanie tej śmiesznej woskowanej brody? Chyba nie, skonkludował Viruk. Na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania. Tak czy inaczej, krótka potyczka w cudowny sposób dodała Awatarowi wigoru.

Wyobraził sobie minę króla rzeki w chwili, gdy przybędzie garncarz z głową jego brata. Będzie wściekły. Niewykluczone, że zabije posłańca, zwłaszcza gdy usłyszy wiadomość. Viruk miał nadzieję, że tak się nie stanie. W mgnieniu oka polubił małego Błotniaka.

Ten uczynek nie spotka się z pochwałą Wysokiej Rady. Nazwą go prowokacją. Viruk jednak o to nie dbał. Otwarta wojna z plemionami stawała się nieunikniona. Wiedział o tym każdy awatarski wojownik. Wszyscy też zdawali sobie sprawę, jak ona się skończy.

Bez łuków zhi miasta padną w kilka dni. Viruk uniósł swój łuk, sprawdzając poziom jego mocy. Był niski. Zostało może z pięć impulsów.

Jechał przed siebie, mijając bogate tereny uprawne. Ignorował wypalone budynki. Łupieżcy dokonali w dolinach wielkich zniszczeń. W mieście zostało zaledwie pięćdziesiąt łuków zhi i większość garnizonów wycofano. Wieśniacy byli bezbronni. Viruk nie zgadzał się z tą polityką. W ten sposób zachęcali Błotniaków i inne plemiona do napadów na pełne pól kukurydzy doliny, co zakłócało handel i było przyczyną braków żywności w pięciu miastach. Sam jednak nie chciał stać się członkiem grupy ustalającej politykę. Wolał życie dowódcy żołnierzy, który mógł swobodnie jeździć po dzikich krainach, walczyć i zabijać. Teraz jednak był niemal skłonny żałować tej decyzji. Kwestorzy wydawali krótkowzroczne rozkazy, a kwestor generalny Rael lojalnie je wykonywał. Powinien zapomnieć o tradycji i pozbawić kwestorów władzy, pomyślał Viruk.

Ale on nie chciał tego zrobić. Bez względu na wszystkie swe talenty,

Rael był więźniem tradycji. Krępował go kodeks honorowy, który zginał pod falami wraz z ich rodzinnym światem. Powinien ogłosić się Pierwszym Awatarem. Wtedy mieliby nieco większe szanse.

Viruk wjechał na szczyt wzgórza i spojrzał w dół, na otoczoną murami wioskę o nazwie Pcepta. Łupieżcy ominęli ją, by uderzyć na samotne gospodarstwa rolne. Viruk zdążył już zgłodnieć, postanowił więc zjechać do osady, żeby coś zjeść.

Strażnik stojący przy bramie spoglądał na niego z wystraszoną miną ale nie wykonał żadnych wrogich ruchów.

- Czego chcesz? - krzyknął do niego.

Viruk ściągnął wodze i unióś łuk zhi. Potem podjechał bliżej.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, by zadać to pytanie prawidłowo - oznajmił młodzieńcowi. - Jeśli tego nie zrobisz, zabiję cię.

- Po tysiącuroc przepraszam, panie - odparł wieśniak. - Mam słaby wzrok. Nie zauważyłem, że jesteś... panem.

- Otwieraj bramę, tępaku - warknął Viruk. Młodzieniec wykrzyknął rozkaz do kogoś stojącego za murami i grube drewniane skrzydła bramy uchyliły się. Viruk wjechał do środka. Chaty w wiosce wyglądały nędznie i nie było tu gospody. Podjechał do największego z pobliskich domostw, zsunął się z siodła i podszedł do frontowych drzwi. Otworzył je i wszedł do środka. Za długim stołem siedział potężnie zbudowany mężczyzna. Na blacie stała wielka waza z parującą lekko zupą. Wieśniak trzymał w dłoni kromkę chleba i właśnie miał zamiar zanurzyć go w zupie. Spojrzał swoimi małymi oczkami na Viruka i zamrugał. Upuścił chleb na blat i zerwał się, przewracając krzesło na podłogę. Przy palenisku klęczała stara kobieta, mieszająca drewnianą łyżką w garnku zupy. Nie wstała, lecz pokłoniła się na klęczkach.

- Witaj, panie - rzekł mężczyzna z wymuszonym uśmiechem.

- Masz chleb między zębami - zganił go Viruk. Podniósł krzesło i usiadł za stołem. - Przynieś mi coś do zjedzenia - rozkazał kobiecie.

Mężczyzna pobiegł na zaplecze i po chwili wrócił z połową świeżo upieczonego bochenka chleba oraz półmiskiem masła. Kobieta nalała chochlą zupy do glinianej miski i postawiła ją przed Virukiem. Potem dwoje Vagarów

przyglądało się w milczeniu, jak Awatar je. Po dłuższej chwili Viruk odsunął się od stołu.

- Macie wino? - zapytał.

- Przyniosę trochę, panie - odparła staruszka, wybiegając z chaty.

Viruk przyjrzał się roslemu Vagarowi. Był on łysy i nie miał brody, a nad sznurkiem podtrzymującym płócienne rajtuzy sterczało wydatne brzuszysko.

- Kiedy przejeżdżali tędy łupieżcy? - zapytał Awatar.

- Wczoraj, panie.

- A dzisiaj już nie żyją - poinformował go Viruk. Nachylił się nad stołem, wziął w rękę ostatni kawałek chleba i wytarł nim resztki zupy. Przełknąwszy kęs, spojrzał na Vagara. - Zauważyłem, że macie tu tylko dwa wozy. Z pewnością zaopatrzeniowa wioska, taka jak wasza, powinna mieć ich więcej?

- Pięć wozów zabrali łupieżcy, panie.

- Stały poza obrębem murów?

Twarz Vagara pobladła. Viruk widział, że mężczyzna rozważa możliwość kłamstwa. Uśmiechnął się do niego zimno. Z umysłu wieśniaka zniknęły wszelkie myśli o fałszu.

- Nie, panie. Zażądali wozów i daliśmy je im.

- Na czyj rozkaz?

- Naszego wójta, Shalika. Powiedział, że pięć wozów to niewysoka cena za życie nas wszystkich.

- Doprawdy? Przyprawdź go do mnie.

- Tak, panie. On miał na sercu interes wszystkich ludzi w wiosce, panie.

- Jestem pewien, że miał - zgodził się Viruk miłym tonem. -

Przyprawdź go.

Kobieta wróciła z dzbankiem wina. Viruk pociągnął łyk. Było tanie, młode i bardzo kwaśne. Spojrzał na staruszkę i rozkazał jej zaczekać na dworze.

Gdy wychodziła, wrócił wysoki mężczyzna. Za nim podążał stary

człowiek, odziany w długą tunikę z zielonej wełny.

- Ty jesteś Shalik? - zapytał go Viruk.
- Tak, panie - odparł Vagar, kłaniając się nisko.
- Opowiedz mi o sobie.
- Niewiele jest do opowiadania. Jestem tu wójtem od siedmiu lat.

Mianował mnie kwestor generalny.

- Masz rodzinę?
- Tak, panie. Żonę, czterech synów i dwie córki. Niedawno

pobłogosławieni zostaliśmy dwojgiem wnucząt.

- To bardzo miło - stwierdził Viruk. - A teraz przejdźmy do rzeczy.

Oddałeś wczoraj pięć wozów będących własnością kwestora generalnego. Czy mógłbyś mnie zapoznać z rozumowaniem, które skłoniło cię do popełnienia tego czynu?

- Łupieżców było trzydziestu, panie. Mogli splądrować wioskę. Dlatego postanowiłem z nimi negocjować. Z początku zażądali wszystkich wozów, ale jestem zdolnym negocjatorem i zadowolili się pięcioma.

- A jak myślisz, do czego potrzebowali tych wozów?

Shalik zamrugał i oblizał wąskie usta.

- Do... transportu towarów, panie?

- W rzeczy samej. Bez wozów nie mogliby złupić gospodarstw rolnych ani osad. Dzięki twoim negocjacjom byli w stanie wypełnić wozy własnością kwestora generalnego. Z powodu twoich zdolności mogli zamordować jego robotników. Czyż nie tak?

- Chciałem ratować wioskę, panie.

- Ludzie podejmują decyzje - stwierdził Viruk z uśmiechem. - Czasami trafne, a kiedy indziej błędne. Ty również podjąłeś decyzję. Błędną. A teraz wracaj do domu i podetnij sobie żyły. Przed odjazdem z wioski przyjdę obejrzeć twoje ciało. Ruszaj.

Shalik padł na kolana.

- Och, panie, błagam... oszczędź mnie!

Ta demonstracja emocji poirytowała Viruka, ale Awatar nic po sobie nie okazał.

- Udzieliłeś pomocy wrogowi, człowieku. Karą za taką zbrodnię jest egzekucja ciebie i całej twojej rodziny. Zrób tę drobną rzecz, Shaliku, a twoi bliscy będą mogli żyć dalej, wiedząc, że to ty ich ocaliłeś. Jeśli za godzinę nie będziesz martwy, przyjdę do twojego domu i osobiście zabiję twoją żonę, czerech synów, dwie córki i wnuczęta. Idź już, żebym nie pożałował swej łaskawości.

Wysoki mężczyzna wyprowadził płaczącego Shalika z chaty. Wrócił po paru chwilach.

- Jesteś teraz wójtem - poinformował go Viruk. - Jak masz na imię?

- Bekar, panie.

- No więc, Bekarze, gdy łupieżcy znowu się tu zjawią, nie udzielisz im żadnej pomocy. Czyż nie tak?

- Jak rozkażesz, panie.

- Świetnie. Czy dom Shalika jest większy od twojego?

- Tak, panie. To bogaty człowiek.

- Ale teraz już martwy. Jego własność należy do ciebie.

- Dziękuję, panie.

- A teraz przyślij mi jedną z wioskowych kurew. To był długi dzień i potrzebuję kobiety.

- Nie mamy w wiosce kurew, panie.

Viruk wstał i uśmiechnął się szeroko do Vagara.

- Mógłbyś zostać jednym z najkrócej żyjących wójtów w historii, Bekarze. Czy tego właśnie chcesz?

- Nie, panie. Zaraz przyprowadzę ci kobietę.

Rozdział siódmy

Sofarita zatrzymała się na progu chaty ojca. Chciała powiedzieć bardzo wiele rzeczy. Pragnęła spojrzeć w jasne oczy Awatara i oznajmić mu, że nienawidzi go bardziej niż zarazy, miała ochotę go zapytać, jak może oddawać się rozpuście, podczas gdy dobry człowiek siedzi w domu ze swymi bliskimi i mówi im, że rozkazano mu popełnić samobójstwo. Nie mogła jednak tego zrobić, pomimo całej swej dumy i niezłomnej osobistej odwagi. Wiedziała, że jeśli rozgniewa tego człowieka, inni poniosą straszliwe konsekwencje. Z chęcią powiedziałałaby mu, co o nim sądzi, nawet gdyby wiedziała, że skończy się to dla niej śmiercią. Ale Awatar, ten młody szczupły zabójca, nie miałby skrupułów przed wymordowaniem całej jej rodziny. Być może nawet wszystkich ludzi w wiosce. Ryzykować taką tragedię byłoby szaleństwem.

Stała więc w drzwiach z pochyloną głową zaciskając mocno dłonie pod czerwonym szalem narzuconym na szczupłe ramiona. Miała nadzieję, że uporczywy kaszel, który dręczył ją od trzech miesięcy, nie pozbawi jej szans zadowolenia tego złego człowieka.

Ojciec wybrał ją do tej odrażającej misji, gdyż przed dwoma laty wyszła za męża. Uważał, że wdowie łatwiej będzie znieść zbezczeszczenie niż jego pozostałym córkom. Mężczyźni są tacy prości, pomyślała. Tak mało wiedzą o naturze podobnego splugawienia.

Nie skrytykowała go jednak. Miała już dwadzieścia dwa lata i potrafiła czytać z twarzy mężczyzn. Z oblicza Bekara wyczytała paraliżujący strach, a także gorące pragnienie. Uczyniono go wójtem i był przekonany, że zapewni to jego rodzinie bogactwo oraz bezpieczeństwo. Wszystko zależało jednak od uroków jego córki.

Sofarita uważała, że jest krótkowzroczny. Wójt Pcepty nie zdobędzie bogactwa, a z bezpieczeństwem też nie będzie łatwo. Mieszkali zbyt blisko granicy z Erej-jhip-zhonad i wkrótce zjawia się kolejni łupieżcy, a za nimi podążą osadnicy, którzy albo ich zabijają, albo przepędzą z tej ziemi.

Awatarowie zostaną wycięci w pień. Wszyscy o tym wiedzieli. Ta świadomość szumiała w kołyszącej się na wietrze kukurydzy. Słysząc ją było w trzepocie skrzydeł wróbla. Ale śmiertelne drgawki awatarskiej bestii mogły jeszcze wyrządzić Vagarom wielkie szkody.

Awatarska bestia...

Uniosła wzrok i spojrzała na mężczyznę. Twarz miał przystojną, blond włosy krótko przycięte z przodu i po bokach, opadające na plecy z tyłu. Na skroniach ufarbował je na kolor nieba. Uśmiechnął się i skinął na nią. To był miły uśmiech, pełen ciepła i przyjaźni. Ale przecież, pomyślała Sofarita, gdyby zło miało brzydką twarz, nikt by go nigdy nie pragnął.

- Opowiedz mi o sobie - zażądał. Jego głos brzmiał delikatnie, ale po męsku. To był głos barda albo pieśniarza. Sofarita spojrzała w jego jasnoszare oczy, szukając w nich zimnokrwistego zabójcy, którym - jak wiedziała - był. Nic takiego jednak nie znalazła. Groza kryła się głęboko pod skórą, za gałkami ocznymi.

- Jestem wdową, panie - odparła, odwracając spojrzenie ciemnych oczu.

- I to cała historia twojego życia? Jakże to żałosne. Czy mąż przed śmiercią nauczył cię być dobrą kochanką?

Zapłonął w niej gniew, ale stłumiła go, choć policzki jej pokraśniały. Rozkasłała się nagle, targnęły nią spazmy. Jej usta wypełniły krew i żółć, ale przełknęła wszystko.

- Czyżbym uraził twoją vagarską wrażliwość? - zapytał.

- Jeśli tak, to przepraszam. A teraz zamknij drzwi i pokaż mi swoje ciało.

Wykonała polecenie, zastanawiając się nad jego pytaniem. Czy Veris zrobił z niej dobrą kochankę? Czy kobieta potrzebowała mężczyzny, żeby ją nauczył, jak się kochać? Ale przecież Awatarowi nie o to chodziło, pomyślała. Dla mężczyzny dobra kochanka to ktoś, kto jemu sprawia wiele przyjemności. Veris nie zrobił z niej dobrej kochanki, on był dobrym kochankiem. Była przekonana, że Awatar nigdy tego nie zrozumie. Zamknęła drzwi, a potem odwróciła się i pozwoliła, żeby szal zsunął się na podłogę. Pod spodem miała

prostą sukienkę z białej wełny, zawiązaną z przodu srebrną wstążką. Gdy zaczęła ją rozwiązywać, Awatar wstał i zbliżył się płynnym ruchem. Ujął jej dłonie w swe zręczne palce i odciągnął od wstążki. Potem rozwiązał jej suknię, ściągnął ją przez ramiona i pozwolił, żeby upadła na klepisko.

Przesunął prawą dłonią po jej brzuchu.

- Nie urodziłaś dziecka - stwierdził. - Jak długo byłaś zamężna?

- Trzy miesiące.

- Chodź za mną - rozkazał i poprowadził ją do głównej sypialni. Stało tam drewniane łóżko. Na deskach leżały materace. Ściągnął koce i klęknął przy łóżku. Przez krótką, szaloną chwilę Sofarita myślała, że się modli. Potem wstał.

- Nie widzę pluskiew - oznajmił. Odwrócił się i spoliczkował ją nagle - nie mocno, ale boleśnie.

- Czemu mnie uderzyłeś? - zapytała.

- Za bezczelność - odparł z promiennym uśmiechem. - Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „trzy miesiące, panie”. Jak umarł twój mąż?

Twarz ją paliła.

- Zabił go byk, panie.

- To bardzo smutne. A teraz chodź do łóżka.

Sofarita wykonała rozkaz, odwracając spojrzenie, gdy zdejmował z siebie ubranie.

Okazał się pewnym siebie, lecz zaskakująco delikatnym kochankiem. Sofarita ze wszystkich sił starała się przekonać go, że sprawił jej przyjemność. Gdy wreszcie się z niej stoczył, wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. Złapał ją nagle za nadgarstek.

- Nie musisz już więcej udawać - rzekł, nadal miłym tonem. - Dobrze się sprawiłaś. Opuściło mnie napięcie.

- Cieszę się, że sprawiłam ci przyjemność, panie.

- Nieprawda. Cieszysz się, że twój ojciec nie ucierpi.

Wstał, ubrał się pośpiesznie i wrócił do frontowej izby. Sofarita leżała jeszcze przez chwilę w łóżku rodziców, a potem podążyła za nim. Podniosła suknię z klepiska, strzepnęła z niej pył i nałożyła ją.

- Czy mogę już odejść, panie? - zapytała.

- Nie, posiedź ze mną jeszcze przez chwilę. - Usiadła przy stole i nalał jej kielich wina, które zaczęła posłusznie sączyć. Poczwała, że znowu zbiera się jej na kaszel, i pociągnęła kolejny łyk. - Czy wiesz, że wkrótce umrzesz? - zapytał ją niemal radosnym tonem.

Wstrząsnęły nią te słowa.

- Zabijesz mnie?

Pochylił się i znowu ją spoliczkował.

- Ile razy mam ci powtarzać? Czy jesteś taka głupia, że nawet proste polecenie, prosta uprzejmość, wykracza poza twoje możliwości?

- Przepraszam, panie. Wystraszyły mnie twoje słowa. Zabijesz mnie, panie?

- Nie, nie zabiję cię. W twojej piersi rozwinął się rak. Zajął już całe płuco. Od jak dawna kaszlesz krwią?

- Już od kilku tygodni, panie. - W głębi duszy znała prawdę, ale nie chciała tego przyznać sama przed sobą. A teraz zmusił ją do tego. Od kilku miesięcy czuła się słabo i traciła na wadze, mimo że jadła normalnie. Zaczerpnęła powietrza, próbując się uspokoić. To był płytki oddech, ale nie było jej stać już na nic więcej.

- No cóż, mężczyzna zawsze powinien płacić za swe przyjemności - stwierdził Awatar. Wstał i zatrzymał się nad nią. Wyjął z woreczka, który miał u pasa, zielony kryształ. Przytknął go do jej piersi. Przeszył ją ból i krzyknęła. - Siedź spokojnie - rozkazał.

Brzuch Sofarity wypełniło ciepło, które następnie przeszło do klatki piersiowej. Wydawało się, że skupia się ono po prawej stronie jej ciała, wnikając coraz głębiej. Kobiecie zakręciło się w głowie, ale Awatar dotknął lewą dłońią jej barku, podtrzymując ją. Po chwili ciepło ustąpiło.

- Odetchnij głęboko - polecił.

Zrobiła to i poczuła, że jej płuca wypełniły się powietrzem.

- Jesteś uzdrowiona - oznajmił. - Możesz już odejść.

- Podarowałaś mi życie, panie - wyszeptała.

- Tak, tak. A jak zobaczymy się znowu, mogę ci je odebrać. A teraz idź

już i powiedz ojcu, że jestem zadowolony. Każ mu też przynieść ciało Shalika, żebym mógł je zobaczyć przed odjazdem.

Garncarz Sadau nie miał najmniejszej ochoty odnosić królowi głowy jego brata. Widywał ciała tych, którzy rozgniewali Ammona - wbite na pał pod królewskim pałacem. Nie chciał, żeby spotkał go taki sam los. Gdy dotarł do pierwszego mostu na Luanie, zatrzymał konia i rozejrzał się wokół. Nie było nikogo. Jednym ruchem cisnął głowę do wody. Poszła na dno jak kamień.

Poczuł ulgę. Przejechał przez most i ruszył powoli do domu. Wszystko mogłoby się skończyć dobrze, gdyby nie jego kuzyn Oris. Sadau popełnił ten błąd, że opowiedział mu, co się wydarzyło. Rzecz jasna, kazał mu przysiąc, że dochowa tajemnicę. Niestety, Oris powtórzył wszystko żonie, nakazując jej złożyć taką samą przysięgę. Pod koniec dnia wiedzieli o tym już wszyscy w wiosce, choć każdy z jej mieszkańców poprzysiągł, że nikomu nie powie. Ostatni dowiedział się sierżant straży, który zameldował o sprawie swemu kapitanowi.

O świcie następnego dnia pod dom Sadau przybyło czterech królewskich żołnierzy. Mieli długie miecze i wiklinowe tarcze, a odziani byli w czerwone płaszcze wyszywane złotą nicią. Wywlekli niskiego garncarza z łóżka i zaprowadzili do pałacu.

Sadau nigdy w życiu tam nie był, a króla widywał tylko z daleka, gdy ten płynął łabędzią łodzią po Luanie podczas wiosennych wylewów.

Po drodze żołnierze nie odezwali się ani słowem. Sadau włókł się za nimi, spoglądając od czasu do czasu na ich srogie twarze.

- Nie zrobiłem nic złego - zapewnił. Nie zareagowali jednak.

Ujrzał przed sobą Czerwony Pałac. Gmach zbudowany z cegieł lepionych z czerwonej gliny z górnego Luanu otaczały wysokie żłobione kolumny z piaskowca. Nie było tam żadnych posągów, choć opowiadano, że Ammon zamówił w mieście Egaru dwie swoje podobizny i że są one pokryte złotem. Gdy jednak żołnierze zatrzymali się przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami głównego wejścia, Sadau nie myślał o posągach.

Dwaj królewscy strażnicy zeszli ze schodów, by przejąć od żołnierzy

niskiego garncarza. Byli to muskularni mężczyźni, odziani w tuniki z czarnego jedwabiu, na które wkładali napierśniki z brązu. Na głowach nosili wysokie, czarne stożkowate czapki z lakierowanego jedwabiu, ozdobione srebrną gwiazdą.

Powiedli garncarza na górę i przeprowadzili przez drzwi. Światła dostarczały tu lampy umieszczone w uchwytach z brązu, wprawionych w malowane ściany. Po wielkiej komnacie krzątały się dziesiątki sług. Szlachetnie urodzeni wylegiwali się na sofach albo siedzieli na poduszkach, a podłogę zaścielały delikatnie tkane dywany. Na drugim końcu sali stał złoty tron. Po obu jego stronach ustawiono dwa, również złote, posagi naturalnej wielkości. Wyobrażały one Ammona w pozycji stojącej, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego androginiczna twarz miała srogi wyraz.

Królewscy strażnicy zaprowadzili Sadau przed pusty tron, a potem popchnęli na kolana. Garncarz uniósł wzrok ku posągom, szukając w ich rysach jakichś cech łagodności.

Nagle pojawił się szczupły młody mężczyzna, który zasiadł na tronie. Sadau zamrugał. Popatrzył na posągi, a potem na młodzieńca. Nie sposób było nie zauważyć podobieństwa. Wpatrzył się w jego twarz. Była dziwnie piękna. Rzęsy miał zabarwione ciemną ochrą, a powieki posypane złotym pudrem. Włosy młodzieńca były długie i ciemne, a skronie gładko wygolone i zabarwione złotem.

- Masz dla mnie wiadomość? - zapytał swobodnym tonem król. Sadau spojrział w jego fiołkowe oczy i przeszył go dreszcz strachu.

- Bałem się ci ją powtórzyć, panie - rzekł załamującym się głosem.

- To zrób to teraz.

Sadau zamknął oczy.

- Awatar kazał mi powiedzieć, żebyś już więcej nie napadał na jego ziemie.

- Jak dokładnie brzmiały jego słowa, garncarzu? Muszę je usłyszeć.

Sadau poczuł nagle ciepło w żołądku. Żołądek podszedł mu do gardła. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Powiedział, że jeśli zrobisz to jeszcze raz, to... to...

- Mów dalej.

- ... przyjedzie do tej nędznej nory, którą zwiesz swoim pałacem, i wypruje ci trzewia. A potem każe ci je zjeść.

Ku zaskoczeniu Sadau, król ryknął śmiechem, dźwięcznym i donośnym. Garncarz otworzył oczy i zamrugał. Król wstał z tronu i podszedł do niego.

- A co z głową mojego brata? - zapytał.

- Wrzuciłem ją do Luanu.

- Jak, twoim zdaniem, powinienem cię za to ukarać, mały człowieczku?

- zapytał król. Był tak blisko, że Sadau czuł zapach jego jaśminowych perfum.

- Błagam, nie wbijaj mnie na pal, panie - zawył Sadau. - Daj mi czystą śmierć. Nie chciałem cię obrazić.

- Czy uznałbyś za sprawiedliwe, gdybym kazał ściąć ci głowę i wrzucić ją do Luanu? - zapytał król.

Sadau skinął głową z tępą miną. Wszystko było lepsze od wbicia na pal.

- Sprowadźcie kata - rozkazał król. Nie musieli czekać długo, nim potężnie zbudowany mężczyzna wszedł do komnaty i zatrzymał się obok garncarza. Sadau obejrzał się na niego i zobaczył, że w dłoni trzyma wielki topór z zakrzywionym ostrzem. Zaczął dygotać. - Nie wolno się spóźniać z dostarczeniem wiadomości dla króla - oznajmił Ammon. - Wszyscy wiedzą, że królowie łatwo wpadają w gniew i kochają rozlew krwi. Pochyl głowę.

Z oczu Sadau popłynęły łzy, garncarz pochylił się jednak, odstaniając kark. Król skinął dłonią i kat uniósł topór. Sadau widział przed sobą jego cień.

Topór pomknął w dół. Sadau zacisnął powieki. Kat jednak zatrzymał go w ostatniej chwili, pozwalając, by zimny metal lekko dotknął karku garncarza. Sadau zemdlał i upadł na twarz.

- Zanieście go do domu - rozkazał młody król - a kiedy się ocknie, powiedzcie mu, żeby na przyszłość wystrzegał się tajemnic. Tajemnice są jak ziarno. Można je schować głęboko w ziemi, ale zawsze wychodzą na światło.

Pierwszy ze strażników pokłonił się nisko.

- Jak rozkażesz, panie. Czy mogę ci zadać jedno pytanie?

Król skinął głową. Strażnik odchrząknął.

- Dlaczego darowałeś mu życie?

- Dlatego, że miałem taką władzę - odparł król. - Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie, panie.

- Świetnie. Kiedy już odstawisz garncarza do domu, przyprowadź Anwara. Niech przyjdzie do moich komnat.

Żołnierz pokłonił się. Potem razem z towarzyszem dźwignęli nieprzytomnego Sadau i wynieśli go z pałacu.

Rozdział ósmy

Gdy przyszedli żołnierze, Anwar był zajęty nauczaniem. Sześciu starszych studentów zajmowało się skomplikowanym problemem budowlanym, dotyczącym ciężarów i naprężeń. Anwar pokazał im plany budynku i teraz wspólnie starali się określić, czy budowla się nie zawali. Wiedział, że dojdą do wniosku, iż tak się stanie. Wtedy powie im, że to plany gmachu muzeum w Egaru i będą musieli powtórzyć obliczenia.

Lubił uczyć. Uwielbiał obserwować, jak umysły jego studentów się otwierają. Młodzi byli dla niego źródłem nieustannego zachwyty z uwagi na swą z pozoru niewyczerpaną, instynktowną wyobraźnię. Ich umysłów nie zamknęły jeszcze mury tradycji.

Gdy przyszedli żołnierze, Anwar przez moment był porytowany. Nakazał uczniom, żeby kontynuowali obliczenia pod jego nieobecność i wypisali na tabliczkach wnioski, do których dojdą, a potem opuścił klasę. Zarzucił na chude ramiona płaszcz z czerwonego filcu i wyszedł w światło słońca przed dwoma żołnierzami. Stare oczy zasły mu łzami od jasnego blasku. Przymrużył powieki i ruszył przed siebie, oddalając się od nowego gmachu uniwersytetu. Czekał już na niego rydwan z woźnicą. Wdrapał się na platformę.

- Nie jedź za szybko - ostrzegł woźnicę. Mężczyzna uśmiechnął się i strzelił z bata nad głowami dwóch koni.

Na szczęście jazda nie trwała długo. Gdy Anwar wysiadł z rydwanu przed wzniesionym z cegieł pałacem, poczuł ogromną ulgę. Zerknął na ginach, jak zwykle z pewnym niesmakiem. Był kiepsko zbudowany, brzydki i kwadratowy. Architekci okazali bardzo niewiele wyobraźni.

Królewski strażnik zaprowadził go do komnat Ammona. Monarcha leżał na blacie twarzą do dołu, a młody niewolnik masował jego nagie ciało. Anwar w milczeniu zatrzymał się w drzwiach. Król wsparł się na łokciu, rozciągając usta w chłopięcym uśmiechu.

- Cieszę się, że cię widzę, nauczycielu - rzekł.

- Zaproszenie do twego domu zawsze jest dla mnie przywilejem, panie
- odparł Anwar. Ammon odesłał chłopaka, włożył na szczupłe ramiona płaszcz z grubego niebieskiego jedwabiu i wyszedł do ogrodu. Powietrze przesycił uderzający do głowy zapach kwitnących drzew. Król położył się na trawie i skinął dłonią na Anwara, zapraszając go, by spoczął obok niego.

- Jak życie na uniwersytecie? - zapytał.

- Za rok będzie lepiej - odparł Anwar. - A za dwa lata jeszcze lepiej. Niektórzy z moich studentów już teraz wiedzą więcej od nauczycieli. Niektórych zatrudnię jako wykładowców.

- Świetnie. Wiedza to klucz do przyszłości - stwierdził Ammon. - Pamiętam, jak mnie tego uczyłeś.

- Byłeś znakomitym uczniem, panie. Być może najlepszym, jakiego w życiu miałem.

- Być może? - zapytał Ammon z szerokim uśmiechem. - W rozmowie z królem nigdy nie używa się tego słowa. Nie jesteś dyplomatą Anwarze.

- Obawiam się, że masz rację, panie.

Ammon rozejrzał się wokół, zauważył czekającego na rozkazy sługę i wezwał go.

- Przynieś coś zimnego do picia dla mnie i dla mojego gościa - rozkazał. Mężczyzna pokłonił się nisko i pobiegł do pałacu. Król z powrotem położył się na trawie. Jego naoliwiona skóra błyszczała w blasku słońca. - Awatarowie wyróżnili jedną z grup naszych łupieżców.

- Tak, jak przewidywałeś, panie. Jak rozumiem, brat nie będzie już zatruwał ci życia.

- Nie będzie. Niestety, zginął. Ciekawe jednak jest to, że nieprzyjaciel wysłał tylko grupkę Vagarów pod dowództwem jednego Awatara.

- To był Viruk?

- Nie kto inny. To bardzo słaba reakcja na naszą prowokację. Co to może oznaczać?

- Że są słabsi, niżby się zdawało, panie.

- W rzeczy samej. Niemniej jednak nie uważam, żeby to była odpowiednia chwila, by na nich uderzyć.

- Czy można zapytać, dlaczego tak sądzisz, panie? Sługa przyniósł złote puchary, wypełnione po brzegi sokami z kilku różnych owoców. Ammon podziękował mu i usiadł.

- Ten, kto uderzy pierwszy, nawet jeśli zwycięży, będzie osłabiony. Niewykluczone, że moja armia mogłaby podbić pięć miast. Ale ponieśliśmy ogromne straty. Jak wówczas moglibyśmy odeprzeć atak wrogich plemion?

- Sądzę, że słusznie rozumiesz, panie - zgodził się Anwar. - To znaczy, że korzystne byłoby, gdyby to nasi wrogowie zaatakowali pierwsi.

- W rzeczy samej. A tak się składa, że to właśnie planuje Judon z Patiaków.

- W czym mogę ci pomóc, panie?

Ammon wypił łyk soku.

- Nasi ludzie w pięciu miastach nie mogą udzielić Judonowi żadnego wsparcia, gdy już zaczną się działania wojenne. Muszą zrobić coś dokładnie przeciwnego. Ze wszystkich sił pomagać Awatarom.

- Przekażę im tę wiadomość. Jeden z moich agentów wyjeżdża dzisiaj ze złotem dla pajistów. Obawiam się jednak, że oni nie będą zadowoleni z takiego rozkazu. Nienawiść do Awatarów czyni ich ślepych na bardziej dalekosiężne cele.

- Znasz imiona wszystkich pajistów?

- Wszystkich przywódców, panie.

- Będą świadkami zagłady Awatarów i spełnienia moich obietnic. Ale potem muszą zginąć.

- I zginą, panie.

Słońce przesłoniła chmura. Król zadrżał.

- Wracajmy do środka. Jestem głodny.

Kwestor generalny Rael rzadko czuł się zaskoczony. Miał już osiemset lat i doświadczył wszystkiego, co ma do zaoferowania ludzkie życie. Podobnie jak wielu innych starszych wiekiem kwestorów, żył w nieustannie powtarzającym się kręgu znanych już wydarzeń. Poznał przyjaźń i zdradę, miłość i nienawiść, a także wszystkie zawirowania, które im towarzyszyły.

W ciągu ośmiu stuleci przyjaciele stali się wrogami, ci, których kochał, próbowali go skrzywdzić, a nieprzyjaciele zmienili się w braci krwi. Niewiele było rzeczy, których nigdy jeszcze nie zaznał. Dlatego gdy spotykało go zaskoczenie, uznawał je za dar. Nawet jeśli był to dar skażony bólem.

Stał na murze nad wschodnią bramą Egaru, spoglądając na żyzne tereny uprawne rozciągające się po obu brzegach Luanu. Podobnie jak wszyscy Awatarowie, nie starzał się i wyglądał na najwyżej trzydzieści lat. Niebieskie włosy miał krótko przycięte, a szczupłe ciało spowijała biała tunika z grubego jedwabiu, wyszywana przy wysokim kołnierzu i mankietach złotą nicią. Na długie nogi wciągnął rajtuzy z najlepszej skóry oraz sięgające kolan buty do konnej jazdy ze skóry krokodyla. Rael nie nosił broni ani biżuterii. Na jego palcach nie błyszczały pierścienie, a czoła nie zdobił diadem.

Słońce prażyło, zawieszona na błękitnym niebie nad miastem, i Rael z wdzięcznością przyjął zimny napój od swego adiutanta, Cationa. Cation nie miał jeszcze siedemdziesięciu lat i był jednym z nielicznych Awatarów, którzy urodzili się po upadku świata. Jak wszyscy młodzi mężczyźni, nie farbował wszystkich włosów na niebiesko, lecz - zgodnie z modą wprowadzoną przez Viruka - wyłącznie na skroniach. Był potomkiem Raela - prawnukiem jego trzeciego prawnuka. Kwestor generalny lubił tego chłopaka.

- Czego się dowiedziałeś o planach Judona? - zapytał.

- Plemiennych przywódców zwołano na Zgromadzenie, na którym mają omówić kwestie terytorialne - odparł Cation. - Błotniacy nie chcieli się stawić, ale cała reszta przyjęła zaproszenie. Ma się ono odbyć za pięć dni w Ren-el-gan. Ludzie z plemion wierzą, że ongiś była tam Studnia Życia. Zawsze było to miejsce spotkań i uważa się je za święty grunt.

- A jaki powód odmowy podali Erej-jhip-zhonad?

- Ich król oznajmił, że data jest niepomysłna, ponieważ koliduje ze świętem religijnym.

Rael uśmiechnął się.

- Nie poproszono go, żeby współprzewodniczył spotkaniu.

- Nie poproszono, kwestorze. Judon z Patiaków działa sam.

- Co wiemy o Judonie? - zapytał Rael. Znał już odpowiedź, ale chciał

się dowiedzieć, ile wysiłku włożył młodzieniec w zapoznanie się z obecną sytuacją.

- Jest władcą Patiaków już od siedemnastu lat, od chwili śmierci ojca. Jego plemię liczy prawie czterdzieści tysięcy ludzi, w tym ponad dwieście tysięcy wojowników. Są koczownikami i dzielą się na małe klany, których jest prawie trzysta.

- Opowiedz mi o nim, Cationie. Jaki to człowiek?

- Jest bezwzględny władcą. Utrzymuje, że pochodzi od proroka, który odkrył Studnię Życia. - Młodzieniec umilkł na chwilę. - Wybacz, kwestorze. Nie wiem, co więcej ci powiedzieć.

- Mógłbyś mi powiedzieć na przykład to, że jest grubasem i waży więcej niż trzech dowolnie wybranych mężczyzn z twojej sekcji. A to oznacza, że jest chciwy. Mógłbyś też dodać, że ma czterdzieści żon i z górą pięćdziesiąt konkubin, co sugeruje, że pragnienia przerastają jego możliwości. Prorok, o którym wspominałeś, zapowiedział, że pewnego dnia plemiona zawładną światem. Przepowiedział, że w jego rodzie przyjdzie na świat wielki wódz. Judon utrzymuje, że jest potomkiem proroka, i chciałby, żeby to jego uznano za owego wodza. Wszystko to sugeruje, że jego ambicje sięgają daleko. Tego Zgromadzenia nie zwołano po to, by rozstrzygnąć drobne spory terytorialne między plemionami. Mają tam obwołać Judona wodzem. Oznacza to, że nim nadejdzie jesień, pięć miast zaatakuje armia złożona z blisko pięćdziesięciu tysięcy wojowników.

- Nie zdołamy ich powstrzymać, kwestorze - stwierdził Cation.

- Jeśli wyruszą, to nie - zgodził się generał. - A jakie postępy poczyniłeś w poszukiwaniu winnych zabójstwa kwestora Baliela?

- Nadal zbieramy informacje, kwestorze. W Egaru krążą liczne pogłoski na temat grupy, której członkowie zwą siebie pajistami, co w dawnym języku vagarskim znaczy...

- Wiem, co to znaczy. Skrytobójcy.

- W rzeczy samej, kwestorze. Mamy wielu informatorów i wszystkim im polecono zbieranie informacji na temat tej grupy. Choć jednak mówi się o niej dużo, znaleźliśmy dotąd niewiele dowodów.

- Czytałem raporty - oznajmił Rael. - Niedawno straciłeś dwóch najlepszych współpracowników, czyż nie tak?

- Tak, kwestorze. Ale co z tego wynika? To były wypadki. Pierwszy z nich wyszedł z tawerny pijany. Widziało to kilku świadków. Spadł z nabrzeża i utopił się. Drugi był kowalem. Koń kopnął go w głowę. Ten wypadek również opisali świadkowie.

- Zatrzymaj tych świadków i przesłuchaj ich - rozkazał Rael.

- Ale po co, kwestorze?

Cationie, jesteś moim krewnym i bardzo cię kocham, ale nie potrafisz myśleć. Ten pijak musiałby przejść całe dwie mile, żeby dotrzeć do portu i wpaść do morza. Droga do jego domu wiedzie w przeciwną stronę. Nawet zakładając, że zdołał jakoś pokonać tak znaczną odległość, to czy nie uważasz, że zdążyłby przez ten czas wytrzeźwieć w wystarczającym stopniu, by uniknąć podobnego wypadku? I co w ogóle robił w porcie o północy? Bramy są o tej porze zamknięte. Sugerujesz, że pijany człowiek pokonał dwie mile, a potem wspiał się na bramę, tylko po to, żeby rzucić się do morza? A jeśli chodzi o kowala, miał czaszkę rozbitą od tyłu. Ilu znanych ci kowali podchodzi do konia tyłem?

- Rozumiem, kwestorze. Wybacz. To było z mojej strony niedbalstwo.

- W rzeczy samej. Obu tych ludzi zamordowano. Najpierw zatrzymaj świadków śmierci kowala. Przesłuchuj ich przez kilkanaście godzin, nie pozwalając im spać, a potem przyślij ich do mnie. Ja dokończę przesłuchania.

- Tak jest.

Rael odesłał Cationa. Wrócił po murze do krętych schodów i zszedł na dziedziniec. Żołnierze ćwiczyli tam pod czujnym okiem awatarskich oficerów. Vagarzy salutowali mu, gdy przechodził.

Kwestor generalny Rael wszedł do części gmachu przeznaczony dla oficerów, minął kilka pustych sal i dotarł do gabinetu na drugim piętrze. Zasiadł za swym biurkiem, obracając krzesło tak, by mógł spoglądać przez okno na odległe góry.

Dzisiaj spotkały go dwie niespodzianki, jedna ciekawa, a druga radosna.

Na razie skupił się na radosnej. Jeden z akolitów kwestora Anu przyniósł mu wiadomość, że ekspedycja na południe zakończyła się sukcesem. Wysłanym przez nich ludziom udało się napełnić cztery skrzynki i wracali teraz do domu. Powinni tu przybyć przed upływem dwóch tygodni.

Rael wyraził podziękowania i polecił przekazać Anu swe najlepsze życzenia. Akolita pokłonił się.

- Będziesz mógł podziękować mu osobiście, kwestorze. Kwestor Anu prosił mnie, bym przekazał ci zaproszenie do jego domu. W południe, jeśli ci to odpowiada.

To była ta druga niespodzianka. Anu, Święty, wycofał się z życia publicznego przed z górą trzydziestu laty. Powiadano, że ma zamiar zestarzeć się i umrzeć. Oddał swe kryształy Raelowi i zamknął się w domu na wzgórzu nad zatoką. Ta decyzja wpłynęła na jego popularność wśród Awatarów. Był Zbawcą jedynym Awatarem, który przepowiedział upadek świata. Przekonał z górą dwustu ludzi, by wyruszyli razem z nim na północ, powiódł ich przez jałowe równiny i niedostępne góry, przez pustynie i doliny, aż wreszcie dotarli do bram Pagaru, pierwszego z pięciu miast. Tak daleko na północy przebywało tylko sześćdziesięciu innych Awatarów, którzy przywitali kolumnę przybyszów z zimną uprzejmością.

Następnego dnia Ziemia zmieniła kąt nachylenia i słońce wstało na zachodzie.

Przepowiednia Anu okazała się trama i dzięki temu stał się Świętym. Niemniej jego decyzję, żeby się zestarzeć i umrzeć, uznano za skandal. Żaden Awatar nie powinien nawet o tym myśleć. Rada Kwestorów w pełnym składzie podjęła decyzję o tym, by poddać go aresztowi domowemu. Nie można było dopuścić, by Vagarzy stali się świadkami groteskowej degrengolady wyższej istoty. W pięciu miastach mieszkało ponad dwieście tysięcy Vagarów. Panowało nad nimi zaledwie pięćset siedemdziesięciu Awatarów. Kwestorzy obawiali się, że jeśli Anu zestarzeje się jak zwyczajny śmiertelnik, Awatarowie przestaną wzbudzać w swych poddanych tak wielką bojaźń. Przy wejściach do domu Anu straż pełnili teraz awatarscy żołnierze. Odebrano mu też wszystkich vagarskich służących.

Zajmowali się nim obecnie trzej awatarscy akolici. Od owego dnia przed trzydziestu laty nie kontaktował się z żadnym z członków Rady.

A teraz zażądał, by odwiedził go Rael.

Kwestor generalny opuścił gabinet i skierował się do swych komnat. Gdy wszedł do środka, vagarski sługa przywitał go ukłonem i poinformował, że pani Mirani czeka na niego w ogrodzie. Rael wspiął się na górę po spiralnych schodach i wyszedł w światło słońca. Ogród zaprojektował Viruk przed dwudziestu laty. W powietrzu unosiła się tu woń róż i kapryfolium. Mirani siedziała w cieniu łukowatej kraty, obrośniętej pnącą różą o żółtych, czerwonych i białych kwiatach. Rael zatrzymał się i zaczerpnął głęboko tchu. Choć minęło już sto lat, uroda Mirani nadal przyprawiała go o zawrót głowy. Długie, jasne włosy, ufarbowane na skroniach na niebiesko, przewiązała sobie z tyłu białą wstążką. Pochylała się z pędzelkiem w dłoni nad świeżo ulepioną wazą. Na policzku miała plamkę błękitnej farby. Rael poczuł, że z barków spada mu brzemień odpowiedzialności. Znowu stał się mężczyzną. Wyczuła jego obecność i odwróciła się z uśmiechem.

- I co ty na to? - zapytała, wskazując na wazę.

- Jest piękna - odparł.

- Nawet na nią nie spojrzalesz.

Podszedł do Mirani i ukląkł u jej boku. Waza była wysoka i miała smukłą szyję. Mirani wymalowała na niej postacie pięknych kobiet, biegających i roześmianych.

- Dziewczęta z Contar - wyjaśniła. - Pamiętasz ten mit? Usłyszały zaczarowaną muzykę Varabidisa i opuściły domy, by odszukać go na jego górze.

- Jak już mówiłem, jest piękna. Ale gdzie się podział Varabidis? Czy nie powinien też być obecny?

- Nie pragnęły jego, tylko muzyki. - Mirani odchyliła się do tyłu. - Czemu wróciłeś tak wcześniej?

Opowiedział jej o wezwaniu Anu.

- Być może Święty pożałował swej decyzji. Może nie chce już umrzeć i pragnie znowu zostać członkiem Rady - zakończył.

- Nie sędę - nie zgodziła się Mirani. - Anu nigdy nie był kapryśny.

- Nie chcę widzieć go jako zwiędłego starca. To odrażająca myśl.

Mirani potrząsnęła głową.

- Codziennie oglądasz wokół siebie starców, Raelu. Jeśli Anu cię wezwał, sprawa z pewnością jest ważna. Jak już mówiłam, on nie jest kapryśny, a już z pewnością nie jest lekkomyślny. Może znowu miał wizję. Musisz do niego pójść.

- Wiem o tym. - Wziął w rękę szmatkę i wytarł niebieską plamkę z policzka kobiety. - Powinnaś wrócić do Rady - stwierdził. - Jesteś dziesięć razy mądrzejsza od Caprishana.

- Nie interesuję się już polityką.

- Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć.

- Kiedy zrozumiesz, porzucisz politykę tak samo, jak ja - odparła z uśmiechem.

- Uważasz, że to, co robię, nie ma żadnego znaczenia?

- Bynajmniej. Społeczeństwo zawsze będzie potrzebowało tych, którzy rządzą. Chciałabym cię jednak o coś zapytać, mój drogi. Czego pragnie normalny mężczyzna?

- Rodziny, domu i dzieci. Wystarczającej ilości jedła na stole. Zdrowia i odrobiny bogactwa - odparł.

- W rzeczy samej. A gdy ma już to wszystko i chce kierować życiem innych jako radny, to znaczy, że jest nienormalny. Ten zaś, kto chce rządzić wszystkimi, musi być całkowicie nienormalny. Można bronić tezy, że pragnienie władzy wystarczy, by zdyskwalifikować kandydata do jej sprawowania.

Rael parsknął śmiechem.

- W takim razie byłabyś idealną radną, ponieważ wcale nie pragniesz tej pozycji.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Być może. Ale zasiadałam w Radzie sześćdziesiąt lat, Raelu, i widziałam już zbyt wiele. A teraz idź spotkać się z Anu. Pozdrów go ode mnie.

Kwestor generalny dosiadł swego ulubionego siwego wałacha i przejechał przez Park Zachodni, a potem wspiął się na szczyt urwiska. Od morza wiała chłodna bryza i w powietrzu czuć było intensywny zapach soli. Rael minął mały laszek i wjechał na brukowaną drogę prowadzącą do portu. Potem skręcił w prawo, na ścieżkę wiodącą do kutej żelaznej bramie domu Anu.

Gdy zsiadł z konia, zaszalutowało mu dwóch pełniących tam straż awatarskich żołnierzy. Zostawił wałacha pod ich opieką i ruszył niespiesznie w stronę domu. Przywitał go ten sam akolita, który przyniósł mu wiadomość. Mężczyzna miał ogoloną głowę, ale brodę barwił sobie na niebiesko. Poprowadził go do małej biblioteki na pierwszym piętrze. W oknach wisiały tu grube zasłony, niewpuszczające do środka naturalnego światła. Pomieszczenie oświetlały trzy lampy. Anu siedział w głębokim, skórzanym fotelu, trzymając na kolanach rozwinięty zwój. Spał, ale obudził się, gdy akolita lekko dotknął jego ramienia.

- Ach, Rael - odezwał się starzec, przebiegając kościstymi palcami po białych, opadających do ramion włosach. - Witaj w moim domu.

Raelowi zrobiło się niedobrze na jego widok. Skóra starca była sucha i łuszczyła się, jakby był wygrzewającą się na słońcu jaszczurką, szyja zaś chuda, koścista i zwiędła. Kwestor generalny usiadł naprzeciwko kruchego staruszka, starając się nie okazywać niesmaku.

- Dlaczego skazujesz się na taki los? - zapytał.

Na zwiędłej twarzy pojawił się uśmiech.

- A dlaczego ty tego nie robisz?

Rael potrząsnął głową. Nie było sensu się o to spierać. Wszystko powiedzieli sobie już przed laty.

- Mam rozsunąć zasłony? Pogoda jest piękna.

- Nie, Raelu. Lubię mrok. - Anu usiadł i znowu zamknął oczy.

- Chciałeś się ze mną widzieć - rzekł kwestor generalny, opanowując niecierpliwość.

Anu otworzył oczy.

- Przepraszam. No wiesz, to jedna z niedogodności związanych z wiekiem. Ach, oczywiście nie możesz tego wiedzieć. Tak czy inaczej... macie cztery pełne skrzynki, Raelu. To ostatnie. Erupcja wulkanu zniszczyła linię.

- Cztery skrzynki wystarczą na kilka lat. Przez ten czas wiele może się wydarzyć.

- I z pewnością się wydarzy. - Starzec zamknął oczy i Rael przez chwilę myślał, że znowu zapadł w sen. Potem jednak znowu zaczął mówić: - Wiele tracimy, Raelu, będąc wiecznie młodzi.

- A mianowicie co?

- Elastyczność. Zdolność rozumienia. Perspektywę. Fizycznych dolegliwości jest wiele, ale poszerzone horyzonty wynagradzają to z nawiązką. Wszystko, co żyje w naturze, rośnie, umiera i rodzi się na nowo. Nawet Ziemia, o czym boleśnie przekonaliśmy się na własne oczy. Ale nie Awatarowie. My już nie umiemy rosnać, Raelu. Nie umiemy się przystosowywać i zmieniać. Jesteśmy tacy sami jak tysiąc lat temu. Być może nawet się cofnęliśmy. Wówczas Pierwszy Awatar i ja zaprojektowaliśmy Białą Piramidę. To był cud, dzieło geniuszu, który rozkwitł wśród utalentowanego ludu. Jakimi nowymi wynalazkami możemy się pochwalić w ciągu ostatnich dwustu lat? Jakie kroki naprzód postawiliśmy? Czas stanął dla nas w miejscu, Raelu. Istniejemy tylko jako echa wielkiej pieśni.

- Niewykluczone, że wszystko to prawda, choć raczej w to wątpię - odparł Rael - ale czy uważasz, że starość i śmierć w czymkolwiek nam pomogą? A nawet gdyby tak było, to czy wielu będzie takich, którzy zgodzą się je zaakceptować? Ja z pewnością tego nie zrobię. Lubię być młody i silny.

- Krzyształy były błogosławieństwem, które przerodziło się w klątwę - stwierdził ze smutkiem Anu. - Ale w ciągu tych ostatnich lat wiele się nauczyłem. - Starzec uśmiechnął się. - Odkąd przestałem używać kryształów, moje wizje stały się wyrazistsze. Dostrzegam teraz wiele spraw, które przedtem były przede mną ukryte.

- Czy to dlatego zażyczyłeś sobie tego spotkania?

- Częściowo, Raelu. Czy mógłbyś przynieść mi wody?

Kwestor generalny wstał i podszedł do smukłego stołu,

ukształtowanego z brązu na podobieństwo krzewu o złotych liściach. Spoczywała na nich długa, prostokątna płyta z barwionego na niebiesko szkła, na której ustawiono gliniany dzbanek oraz dwa złote puchary. Rael zachichotał.

- Złoto nie bardzo pasuje do gliny - zauważył. - Wyślę po bardziej odpowiedni dzbanek.

- Ten jest w sam raz - sprzeciwił się Anu, ujmując kielich w drżącą dłoń. - Przypomina mi, że bez względu na to, jak wielkie bogactwa zgromadzimy, wszelkie życie pochodzi ze zwykłej ziemi.

- Nigdy nie zapominasz, że jesteś nauczycielem - zauważył z sympatią w głosie Rael, ponownie siadając naprzeciwko staruszka.

- To leży w mojej naturze - zgodził się Anu.

- I jesteś w tym wspaniały, przyjacielu. Bez ciebie imperium by zginęło. Szkoda, że nie chcieliśmy wysłuchać twoich nauk.

- Nadal powinniście ich słuchać, Raelu. Ale na tę debatę przyjdzie czas kiedy indziej. Chcę, żebyście dali mi jedną ze skrzynek.

Ta prośba zaskoczyła kwestora generalnego.

- A w jakim celu?

- Zbuduję nową piramidę, niemal niczym nieróżniącą się od piramidy Pierwszego Awatara.

Rael milczał. Implikacje tej propozycji były niezmierzone. Podobna piramida zapewniłaby Awatarom tysiąc lat bezpiecznych rządów.

- Jak chcesz tego dokonać? Muzyka odeszła. Jak ukształtujesz dwudziestotonowe bloki i jak będziesz je transportował? A jeśli nawet znajdziesz na to sposób, to jak wciągniesz je na szczyt? To niemożliwe.

- Muzyka nie odeszła, Raelu - odparł starzec. Wypowiedział te słowa prosto i bez arogancji.

- Pokaż mi to! - wyszeptał kwestor generalny. Anu wyciągnął z kieszeni obszernej szaty mały flet. Podniósł się z fotela i stanął obok gościa.

- Padnij na kolana i wyciągnij prawą rękę - polecił.

Rael go posłuchał. Anu uniósł flet do ust i zagrał serię tonów, delikatnych jak jesienny wietrzyk szumiący w trawie, lekkich jak puch,

słodkich jak pierwsze ptasie trele na wiosnę. Rael zatopił się na chwilę w muzyce. Potem zauważył, że Anu nadeptuje na jego wyciągniętą dłoń. Napiął mięśnie, spodziewając się, że stopa starca zmiążdży mu palce, wgniecie je w podłogę. Ale jego dłoń nawet się nie poruszyła. Zgrzybiały kwestor wszedł na nią i znieruchomiał. Muzyka ucichła.

- Wstań, Raelu - rozkazał kwestor Anu. - Unieś mnie pod sufit.

Rael podźwignął się bez trudu, unosząc rękę tak, jakby trzymał na niej tylko piórko. W ogóle nie czuł ciężaru starca.

- A teraz posadź mnie w fotelu - polecił Anu.

Kwestor generalny opuścił dłoń, a potem ujął staruszka za kościste ramię, pozwalając mu opaść powoli na wygodny fotel.

- Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? - zapytał.

- A w jakim celu miałbym to robić? Chciałem, żeby inni Awatarowie zainteresowali się starożytną wiedzą, żeby ją opanowali. W ten sposób dowiedliby mi, że nasza rasa ma przyszłość. Ale nikt nie miał na to ochoty. Pomijając, być może, Ro, ale on jest zbyt głęboko zakorzeniony w przeszłości, żeby mógł wyciągnąć dłoń ku przyszłości.

- Mogłeś nas tego nauczyć! - zawołał Rael. Był rozdarty między bojaźnią, a irytacją. - To były dla nas trudne lata. Dzięki twojej mocy moglibyśmy osiągnąć znacznie więcej.

Anu potrząsnął głową.

- Odpowiedzi zawsze można było znaleźć w matematyce. Nadal nie rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć, Raelu. Moce mojego umysłu zwiększyły się, odkąd przestałem używać kryształów. To śmiertelność budzi w nas pragnienie uczenia się nowych rzeczy, przystosowania, wytyczania nowych dróg wiodących ku przyszłości. Bez niej zastygamy w bezruchu, pragniemy tylko więcej tego samego. Powiedz, czy dasz mi skrzynkę?

- Dam. Ale dlaczego zmieniłeś zdanie? Jaką wizję ujrzałeś?

- Zapytaj mnie o to, gdy na niebie pojawią się dwa księżycy.

Rael uznał, że znaczy to, iż Anu po prostu nie chce zdradzić mu swych motywów. Rozważył jego propozycję i poczuł, że zaschło mu w ustach. To, co sugerował Święty, było niemal przerażające. Oznaczało bowiem odrodzenie

nadziei, a wraz z nią strachu przed rozpaczą.

- Ile czasu będziesz potrzebował? - zapytał. Wiedział, że będzie to wartość mierzona w dziesięcioleciach, i zastanawiał się, jak zdołają przetrwać tak długo.

- Sześć miesięcy.

To był szok. Rael westchnął. Czyżby staruszek uległ jednak sklerozie?

- Uczyłeś mnie matematyki, Anu. O ile dobrze pamiętam, Wielka Piramida składała się z miliona bloków...

- Miliona stu siedemdziesięciu tysięcy - uściślił Anu.

- Niech i tak będzie. Jeśli podzielę tę liczbę przez liczbę dni w roku, okaże się, że będziesz musiał wydobyć w kamieniołomach, ukształtować, przetransportować na miejsce i ustawić dwa tysiące dziewięćset bloków dziennie. Bloków ważących ponad trzydzieści ton.

- Trzy tysiące czterysta dwadzieścia dwa - poprawił go Anu. - Dlatego właśnie potrzebuję skrzynki.

- Nawet sto skrzynek byłoby za mało! - warknął Rael.

- Ogranicza cię szybkość, z jaką mogą pracować twoi robotnicy.

- Bynajmniej - sprzeciwił się łagodnym tonem Anu.

- Jedynym ograniczeniem jest czas. Jak długo już tu jesteś, Raelu?

- Pół godziny, może parę minut dłużej. Dlaczego pytasz?

- Przybyłeś w południe, tak jak cię prosiłem. A teraz odsłoń okno.

Rael podszedł do okna i odsunął grubą, aksamitną kotarę.

Za oknem była noc. Na niebie jasno świeciły gwiazdy. Kwesor generalny zamrugał, gapiąc się na błądy księżyc. Potem spojrział na starca.

- To iluzja? - zapytał.

- Nie. Spędziłeś tu dziesięć godzin. Czas również jest częścią Muzyki, Raelu. Masz rację. Nawet gdybym rozebrał cztery nieudane piramidy i wykorzystał część składających się na nie bloków, sześciuset wykwalifikowanych robotników potrzebowałoby z górą dwudziestu lat, by ukończyć budowę. Nie mamy tyle czasu. Zostało nam najwyżej sześć miesięcy. Zrobię użytek z Muzyki i sprawię, by czas dla mnie zatańczył. Tu, w tym pokoju, spowolniłem jego bieg. W Dolinie Kamiennego Lwa, dzięki

mocy skrzynki, przyśpieszę go dwudziestokrotnie.

- Ale tutaj zrobiłeś to bez pomocy kryształów! Trudno w to uwierzyć.

- Kryształy jedynie zwiększają nasze możliwości. Prawdziwa moc pochodzi z wnętrza. To właśnie jest wiedza, którą utraciliśmy. - Przerwał, przeszywając Raela dociekliwym spojrzeniem. - Będziesz też musiał uwzględnić coś jeszcze, kwestorze generalny. A to rewolucyjna myśl.

- A mianowicie?

- Moich sześciuset robotników.

- Co z nimi?

- Będą się starzeli dwudziestokrotnie szybciej. Wielu z nich nie doczekałoby końca bieżącego roku.

- Znajdę ci nowych.

Anu potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz, Raelu. Czas ma kluczowe znaczenie. Sześć miesięcy. Ani dnia więcej. Nie zdołam osiągnąć tego celu, jeśli moi ludzie będą się starzeć i umierać. Z każdym dniem spędzonym wewnątrz Tańca będą się stawali coraz bieglejsi, co przyśpieszy prace. Ten czynnik również uwzględniłem w swych obliczeniach. Podobnie jak fakt, że co pięć waszych dni będę musiał spowolnić Taniec, by można było dostarczyć nam zapasy na trzy następne miesiące.

Raela olśniło.

- Chcesz poddać Vagarów działaniu kryształów. Na niebiosy, człowieku, radni nigdy się na to nie zgodzą.

- Więc o niczym im nie mów.

- Nie mam wyboru.

- To decyzja o charakterze militarnym, Raelu. A to znaczy, że leży wyłącznie w zakresie twoich kompetencji.

- Piramida nie jest bronią ani nikt nas nie atakuje.

- Nie okłamuję cię, Raelu. To decyzja o charakterze militarnym. A jeśli chodzi o Vagarów, nie będą wiedzieli, że są karmieni kryształami. Powiem im tylko tyle, że używamy potężnej magii. Moi ludzie poznają część prawdy: to, że w Dolinie Kamiennego Lwa upłynie dwadzieścia lat, podczas gdy na

zewnątrz minie jedynie pół roku. Obiecuję im jednak, że dzięki mojej magii nie zestarzeją się. Ponadto każdy z nich otrzyma płacę za trzydziestoletnią służbę. Po powrocie wszyscy będą bogaci.

- Domagasz się wielkiego zaufania - zauważył Rael. - Zarówno ode mnie, jak i od ludzi, którzy będą trudzić się dla ciebie przez dwadzieścia lat.

- Istnieje wiele zagrożeń - przyznał starzec. - Ale musi mi się udać, przyjacielu. Nie masz pojęcia, jakie to ważne.

- Jestem pewien, że powiesz mi o tym we właściwym czasie, przyjacielu - odparł Rael, wstając z fotela. - Swoją drogą Mirani kazała cię pozdrowić.

Anu uśmiechnął się, wyraźnie uspokojony.

- To dobra kobieta. Obawiam się, że za dobra dla ciebie.

- Któż mógłby się z tym nie zgodzić? - odparł Rael, odwzajemniając uśmiech. - Nie chce wrócić do Rady. Spędza obecnie czas na lepieniu i malowaniu garnków.

- Na świecie nadal będą garncarze, gdy po nas zostanie tylko nienagane wspomnienie - odparł Anu.

Rozdział dziewiąty

I zwano go Starym Młodzieńcem, albowiem urodził się stary i młodniał z każdym rokiem. Przerastał wszystkich mądrością, ponieważ na jego ramieniu spoczywała dłoń Wszechojca. Znał liczbą gwiazd na niebie i obwód świata. Przed Starym Młodzieńcem nie mogła się ukryć żadna tajemnica. Ani sekret przeszłości, ani nic z tego, co miało się wkrótce wydarzyć. Pewnego dnia rozplakał się, a jego łzy przerodziły się w straszliwy deszcz, który zalał całą krainę. Inni bogowie pytali go, dlaczego płacze, ale on nie chciał im powiedzieć.

Z Południowej pieśni Anajo

Następnym rankiem Anu, przy pomocy swego ulubionego akolity Shevana, wspiał się powoli trzy piętra w górę, do pokoi na wieży. W cztery ściany wprawiono tu wysokie, łukowate okna. Anu podszedł do wschodniego. Ujście Luanu lśniło w blasku wschodzącego słońca, a na drugim brzegu widział marmurowe wieże Pagaru.

- Żałujesz swej decyzji, kwestorze? - zapytał go Shevan.

- Żałuję wielu rzeczy - stwierdził Anu, omiatając spojrzeniem miasto leżące na przeciwległym brzegu. - Za szybko je zbudowano - dodał cicho.

- Co zbudowano za szybko, kwestorze? - zapytał Shevan.

Pagaru było przyczółkiem, fortecą. Gdy przybyliśmy tu po raz pierwszy, przed sześciuset laty, plemiona toczyły wojnę i musieliśmy budować w pośpiechu, żeby nie zdążyły dostrzec zagrożenia z naszej strony. Mury wzniesiono w dwa tygodnie. Za szybko. Nie były takie mocne, jak mogłyby być, nie spełniały też wymogów estetyki. Egaru zbudowaliśmy sto lat później. Jest znacznie mocniejsze. Później wzniesiono inne miasta, rozrzucone wzdłuż linii brzegowej niczym perły. Przez długi czas najbardziej lubiłem Borię. Mieszkało tam wielu artystów i poetów, ludzi pokoju. I filozofów również. Spędziłem w tym mieście wiele szczęśliwych wieczorów, debatując na białej plaży o sensie życia. Byłeś kiedyś w Borii?

- Oczywiście, kwestorze. Tam się uczyłem.

- Ach, tak. Zapomniałem o tym. Czy wiedziałeś, że to było ostatnie miasto zbudowane przy użyciu Muzyki?

- Tak, kwestorze. Mówiłeś mi o tym. Wiele razy.

- Nigdy nie byłem w Pejkanie ani w Cavalu. Słyszałem, że są brzydkie i nędzne.

- To kupieckie miasta, kwestorze. Mieszka w nich niewielu Awatarów. Ale faktycznie nie są atrakcyjne.

Anu przeszedł do zachodniego okna i przymrużył powieki w blasku zachodzącego słońca, który nadawał morzu barwę krwi.

- Tam właśnie leży przyszłość, Shevanie - stwierdził. - W nieznanym interiorze zachodniego kontynentu. Sporządziliśmy mapę jego wybrzeży, ale nigdy nie zapuściliśmy się zbyt daleko w głąb lądu. Obawiam się, że to był błąd. - Westchnął. - Popelniliśmy bardzo wiele błędów.

Shevan zaczekał, aż starzec podejdzie do południowego okna. Tam Anu umilkł. Jego szare oczy wpatrywały się w dal niezmierną przez nikogo.

- Mogło być tak pięknie. Mogło nie być chorób, głodu ani śmierci.

- Pokonaliśmy to wszystko, kwestorze - wskazał Shevan.

Tak, pokonaliśmy. Nas pięciuset. Większą część świata skuwa skorupa lodu, tysiące ludzi giną z głodu, miliony umierają przedwcześnie. Ale nas pięciuset trzyma w dłoni klucze do bram nieśmiertelności. I strzeżemy swej wiedzy bardzo pilnie.

- Nie mamy wyboru - zaprotestował Shevan. - Barbarzyńcy nie są gotowi na przyjęcie takiej wiedzy.

Starzec zachichotał. Opadł na szeroki skórzany fotel.

- Nie są? Masz rację. Ale przecież robimy, co w naszej mocy, żeby nie byli gotowi. Nawet nie próbowaliśmy ich przygotować do tej podróży. Wręcz przeciwnie. Staramy się ich przekonać, że bogowie dali nam prawo do wiecznego życia.

- A czy to również nie jest prawdą? - zapytał Shevan. - Czy bogowie nas nie wybrali?

- Być może - zgodził się Anu. - Podobnie jak mogli wybrać rasę, która

była przed nami. Nie wiem tego. Pewne jest tylko to, że jestem najstarszym żyjącym człowiekiem na świecie. Za rok osiągnę wiek dwóch tysięcy lat. I co na to powiesz?

- Dziękuję za to Źródło, kwestorze.

Anu potrząsnął głową.

- Czasami nie wiem, czy dziękować Źródłu, czy je przeklinać. - Pochylił się i położył kryształy na wąskim biurku. Lśniły w dogasającym blasku zmiernych. - Co widzisz? - zapytał szczupłego młodzieńca.

Shevan usiadł na fotelu ustawionym po drugiej stronie biurka i wbił spojrzenie niebieskich oczu w biały, niebieski i zielony kryształ.

- Niebieski ma niespełna połowę mocy, ale biały i zielony są niemal całkowicie naładowane - odparł. - A co powinienem zobaczyć, kwestorze?

- Utracone dusze i matematykę wieczności - odrzekł ze smutkiem Anu.

- Nie rozumiem, kwestorze - przyznał Shevan. - Co matematyka ma wspólnego z duszami?

- Wszeczeństwo opiera się na matematyce - wyjaśnił starzec. -

Doskonałość w pozornym chaosie. Ale to nie czas na lekcje, Shevanie. Zostaw mnie, bo muszę znowu stać się młody.

Viruk nie wątpił w świętość Anu. Jedyny Bóg przemówił do starego kwestora, ostrzegając go przed nadchodzącą grozą. Anu ogłosił tę prawdę w świątyni w Parapolis. Siedemnastoletni Viruk był świadkiem tego, jak z niego drwiono i szadzono. Gdy kwestor skończył przemowę i szedł na dół po świątynnych schodach, Viruk podbiegł do niego.

- Jak do ciebie przemówił? - zapytał młodzieniec. Anu przystanął i przyjrzał mu się uważnie.

- Poprzez matematykę - odparł. Viruk był rozczarowany, gdyż on również słyszał głos Źródła i wiedział, że jest on cichy i syczący.

- Nie rozumiem - przyznał.

- Chodź ze mną - rzekł Anu i ruszyli razem przez park jeleni. Kwestor wyjaśnił mu, że starożytne zapiski wspominają o wielkiej katastrofie, podczas której gwiazdy przemieściły się na niebie, a słońce weszło na zachodzie. - To jest cykl - tłumaczył. - I już niedługo znowu się powtórzy. Latem przyszłego

roku. Opracowanie matematycznej formuły zajęło mi dwa stulecia, ale jestem przekonany, że udało mi się określić datę tego wydarzenia z dokładnością do kilku tygodni.

- Jeśli świat wywróci się do góry nogami, to jak zamierzasz to przetrwać? - zapytał Viruk.

- Jestem przekonany, że nasza kolonia na dalekiej północy uniknie najgorszych skutków kataklizmu. Mam nadzieję zaprowadzić tysiąc naszych braci do azylu nad brzegami Luanu.

- Do mnie Bóg również przemawia - pochwalił się młody Viruk.

- To zapytaj go, jak powinieneś postąpić.

- On mnie nie słucha - przyznał młodzieniec. - Tylko każe mi robić różne rzeczy. Nic nie wiem o tej północnej kolonii. Co tam jest?

- Wrogo nastawione dzikusy. Ale dobrze się zastanów, zanim podejmiesz decyzję. Podróż będzie trudna, młodzieńcze. Obawiam się też, że napotkamy wiele przemocy i niebezpieczeństw. Będą nam zagrażały plemiona i dzikie zwierzęta.

- Wyruszę z wami - zapewnił Viruk bez zastanowienia.

Był jednym z dwustu towarzyszących Anu ludzi i, zgodnie z przewidywaniami kwestora, podróż okazała się niebezpieczna. Sprawiała Virukowi mnóstwo radości. Atakowano ich trzykrotnie. Za każdym razem zabił wielu wrogów i mógł się przyglądać, jak ich ciała wiją się w konwulsjach. Był rozczarowany, gdy ataki się skończyły. Wśród plemion rozeszły się wieści, że należy pozwolić Awatarom przejść, gdyż są potężnymi wojownikami i władają przerażającą bronią.

Czternastego dnia lata dotarli do pierwszego z pięciu miast.

A potem świat upadł i kwestor Anu został Świętym.

Spełniły się dwie przepowiednie. Kwestor Anu przewidział kataklizm, a Viruk przekonał się, że Źródło dotrzymało słowa. Wewnętrzny głos zapewniał go bowiem, iż zabijanie stanie się dla niego niezrównaną przyjemnością. Zabijaj dla mnie, a poznasz radość - mówił.

W ciągu siedemdziesięciu minionych lat Viruk zaznał mnóstwo radości. Czuł się blisko związany z kwestorem Anu, ponieważ obaj trudzili się dla

Najwyższej Istoty.

Gdy Viruk opuszczał Pceptę, wypełniał go wewnętrzny spokój. Ignorując kłaniających się nisko wieśniaków, skłonił konia do galopu i wyjechał przez bramę, kierując się na północny wschód, ku granicy z Błotniakami. Miał nadzieję, że znajdzie tam kolejnych łupieżców i będzie mógł cisnąć nowe dusze w płonąca paszczę Źródła.

Nie czuł strachu. Czuł się nieśmiertelny. Niezwyciężony.

Dobrze jest być świętym, pomyślał.

Sofarita sądziła dotąd, że dobrze zna ludzką naturę. Nieraz widywała osobliwe popisy wioskowych mężczyzn podczas zalotów, a niekiedy również wybuchy przemocy, do jakich dochodziło po hucznych libacjach w budynku Rady. Widziała też porażającą żałobę i chwile wielkiej radości. Sądziła, że rozumie, w jaki sposób myślą mężczyźni.

Teraz jednak przekonała się, że była w błędzie.

Pobiegła z domu do małej chaty ciotki Kiaru, gdzie czekali ojciec i matka. Gdy weszła do środka, cała rodzina przebywała w jadalni. Kiaru jak zwykle przysiadła przy palenisku, tkając kolejny dywan. Jej mąż, szczupły, niski mężczyzna, znużony latami ciężkiej pracy, stał przy oknie, opierając się o parapet. Bekar i matka siedzieli za stołem. Na klepisku bawiło się troje małych dzieci.

- Uzdrowił mnie! - zawołała radośnie Sofarita. - Powiedział, że mam raka i umrę, a potem przycisnął kryształ do mojej piersi i uzdrowił mnie. Będę żyła. - Opromieniowała ją radość i w jej blasku nie zauważyła, że twarze jej bliskich straciły wszelki wyraz.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Bekar uniósł wzrok.

- Powinnaś siedzieć w domu - oznajmił zimno. - A nie biegać po wiosce i obnosić się ze swym wstydem.

Sofarita zastygła w bezruchu.

- Wstydem? - powtórzyła. - Jakim wstydem? Zrobiłam to, co mi kazałeś.

- Porządna kobieta ukryłaby się gdzieś - odparł, nie patrząc na nią. -

A nie... tańczyła po ulicach jak kurwa!

Ogarnęło ją poczucie nierealności, jakby wszystko to było snem. Nie potrafiła pojąć tej reakcji. Instynktownie powtórzyła w myślach jego słowa, szukając powodu. Nagle zrozumiała. Nazwał ją kurwą. Ogarnął ją zimny gniew. Bekar zawsze był surowy, ale do tej pory był też sprawiedliwy.

- Jestem kurwą tak? - zapytała drżącym głosem. - Przyszedłeś do mnie do domu. Błagałeś mnie, żebym się mu oddała. Mówiłeś, że chodzi o bezpieczeństwo wioski. A kiedy z niechęcią zgodziłam się na tę ohydę, nazwałeś mnie kurwą? To kim ty jesteś, ojcze? Stręczycielem. Rajfurem! Alfonsem!

Zerwał się z krzesła z głośnym rykiem. Sofarita nie cofnęła się przed nim. Uderzył ją pięścią w policzek, aż poleciała na ścianę. Uderzyła o nią gwałtownie. Próbowała zachować równowagę, ale poczuła zawroty głowy i osunęła się nieprzytomna na klepisko.

Kiedy otworzyła oczy, mężczyźni już odeszli. Leżała na łóżku ciotki Kiaru. Głowę rozsadzał jej ból.

- Już dobrze, dziecko! - powiedziała Kiaru. Jej tłusta twarz, zwykle tak wesoła, wydawała się zapadnięta i pełna niepokoju. Kobieta dotykała twarzy Sofarity wilgotną szmatką. - Już dobrze! - powtórzyła.

Sofarita usiadła z jękiem. Jej matka zerwała się natychmiast z krzesła stojącego obok i podbiegła do niej.

- Jak się czujesz, Tia? - zapytała. - Bardzo cię boli?

Sofarita potrząsnęła głową. Któż mógłby opisać ból, który czuła w głębi duszy? Bekar bywał niekiedy zimny, ale nigdy dotąd nie uderzył jej ani żadnego ze swych dzieci. Sofarita zsunęła nogi z łóżka i spróbowała wstać. Zakręciło jej się w głowie i zachwiała się. Usiadła szybko.

- To przejdzie - uspokajała ją Kiaru. - Cały ten gniew przejdzie i ojciec ci wybaczy.

- On mi wybaczy? - zapytała Sofarita twardym tonem. Kiaru najwyraźniej jednak tego nie zauważyła.

- Oczywiście, moja droga, oczywiście. Wszystko będzie dobrze.

Sofarita spojrzała na matkę.

- To on kazał mi to zrobić - oznajmiła. - Jak mógł mnie tak znieważać?

- To nie powinno ci sprawić przyjemności, Tia. To właśnie go zabolalo.

Sofarita wpatrzyła się w znużoną twarz matki, szukając jakiegoś tajemnego znaku, który powiedziałaby: „wcale tak nie myślę, ale muszę tak powiedzieć”. Nie znalazła go.

Znowu spróbowała wstać. Zawroty głowy minęły i podeszła powoli do stojącego przy łóżku kufra, na którym leżało małe, owalne zwierciadło. Uniosła je i przyjrzała się swej twarzy. Prawe oko miała zamknięte siniakiem, a na policzku zostały dwa fioletowe ślady po knykciach Bekara. Odłożyła zwierciadło, przeszła przez frontową izbę i wyszła na ulicę. Przecięła ją szybko, zmierzając do małej chaty, którą ongiś dzieliła z Verisem.

Z kuferka stojącego na zapleczu sypialni wyjęła swe oszczędności. Dwadzieścia sześć sztuk srebra w płóciennym woreczku. Zawiesiła go sobie na szyi i ukryła w fałdach białej sukni. Z kredensu wydobyla mały plecak i wepchnęła do niego swoją drugą suknię. Veris był właścicielem karego konia. Stajnia znajdowała się na zapleczu. Sofarita wypełniła plecak prowiantem, który miała pod ręką: świeżym bochnem chleba, kawałkiem pieczonej w miodzie szynki oraz trójkątem sera owiniętym w muślin. Potem poszła do stajni i osiodlała konia. Minęło trochę czasu, nim zdołała wsunąć wędzidło na właściwe miejsce, ale w końcu jej się udało.

Wioskę dzieliło od Egaru trzydzieści mil. Nie zdoła tam dotrzeć przed zmierzchem.

Wróciła do kuchni, gdzie znalazła myśliwski nóż Verisa. Długie zakrzywione ostrze wprawiono w rękojeść z jeleniego rogu. Przypięła pochwę do pasa, zarzuciła na ramiona czarny płaszcz z kapturem i wróciła do konia.

Veris nauczył ją jeździć i dosiadła wierzchowca bez trudu. Potem ominęła dom i wyjechała na główną ulicę, zmierzając ku bramie.

Wtem ze swego nowego domu wybiegł Bekar, krzycząc na nią, żeby zaczekała. Sofarita zawróciła konia.

- Dokąd się wybierasz? - zawołał. Zaczął się gromadzić tłum.

- Tam, gdzie porządne kobiety nie muszą się oddawać nieznajomym - odparła donośnym, bliskim krzyku głosem. - Tam, gdzie ojcowie nie użyczają

córek każdemu wojownikowi, który się napatoczy.

Jego tłusta twarz poczerwieniała.

- Zsiadaj z konia - rozkazał - albo cię z niego ściągnę.

Wyciągnęła niespiesznie myśliwski nóż.

- Jeśli jeszcze raz do mnie podejdziesz, zabiję cię. Stał nieruchomo, mrugając w wieczornym blasku. Wieśniacy gapili się na niego. Nie czuła dla niego litości.

Zamarł. Potężne ramiona opadły mu do boków. Wydawało się, że odpłynęła z niego cała siła.

- Tak mi przykro, Tia - powiedział po chwili załamującym się głosem.

- Mnie również.

- Zostań z nami. Zadośćuczynię ci za to. Wszystko będzie jak dawniej.

- Nic już nie będzie jak dawniej - odparła zimno. - Nie chcę już nigdy cię widzieć.

Opuściła wioskę, kierując się ku zachodzącemu słońcu.

Viruk jechał wzdłuż brzegów Luanu przez kilka godzin, licząc na to, że natrafi na ślady kolejnych łupieżców. Nie znalazł jednak żadnych i zaczynało ogarniać go znużenie. Po drugiej stronie szerokiej rzeki widział osady Błotniaków: chaty z oblepionej błotem wikliny i sklecone partacko zagrody. Plemiona mnożyły się jak wszy. Gdyby zależało to od Viruka, zebrałby armię i starł dzikusów z powierzchni ziemi. W tej krainie żyło obecnie zbyt wielu ludzi i powinno się zredukować ich liczebność.

Kwestorzy mówili o migracji plemion spowodowanej przez zlodowacenia i powodzie, które dotknęły ponad połowę obszaru planety. Żeby przetrwać, północne plemiona przenosiły się na południe, na żyzne ziemie, natomiast ludy mieszkające na dalekim południu naciskały na północ.

Wkrótce zabraknie ziarna, żeby ich wszystkich wyżywić.

Gdy zaczęło zmierzchać, koń Viruka był już zmęczony. Zwierzę potknęło się, kiedy Awatar zmusił je do pokonania ostatniego wzgórza przed starym kamiennym mostem. Rzeka była w tym miejscu węższa. Viruk zsunął się z siodła i popatrzył na nią. To była jego ostatnia nadzieja na udane

zabójstwo, nie widział jednak żadnych żołnierzy.

Pojawił się stary mężczyzna, który prowadził dwa woły ciągnące ciężko wyładowany wóz. Siedziało na nim małe złotowłose dziecko. Viruk usłyszał łoskot kół na kamiennym moście. Wiedział, że zabójstwo staruszka nie sprawi mu wielkiej satysfakcji, ale lepsza mała satysfakcja niż żadna. Dosiadł zmęczonego konia i zjechał ze wzgórza.

Mężczyzna z początku go nie zauważył. Gdy już to zrobił, pomachał do niego ręką z radosnym uśmiechem.

- Dobry wieczór, panie.

- Dobry wieczór - powtórzył Viruk. Mężczyzna był odziany w długą szatę z ciemnoniebieskiego aksamitu, a białe włosy podtrzymywał nad czołem złoty diadem wysadzany bursztynami. - Bądź tak miły i powiedz mi - zażądał Viruk uprzejmym tonem - dlaczego wtargnąłeś na ziemie Awatarów.

- Nie wtargnąłem na nie, panie - zaprzeczył mężczyzna. - Jestem kupcem. Wiozę dziesięć beczek znakomitego wina dla kwestora generalnego. Mam pismo z jego osobistą pieczęcią, dające mi prawo dostarczenia ładunku do jego domu. Muszę przyznać, że ucieszyłem się na twój widok. Bałem się tej podróży. Czasy są niebezpieczne.

Viruk zsiadł z konia.

- Pokaż mi ten papier - zażądał. Mężczyzna wydobył dokument spod szaty. Awatar omiótł go wzrokiem. Wszystkie szczegóły były irytująco poprawne.

- Twój koń jest bardzo zmęczony, panie - zauważył kupiec. - Może chciałbyś pojechać przez chwilę na wozie? Siedzenia są całkiem wygodne, a pod spodem schowałem dzban wina. Jestem pewien, że ci zasmakuje.

Viruk spojrzał na mężczyznę. Wyobraził sobie, jak uśmiech zniknąłby z jego twarzy w chwili, gdy wbiłby mu sztylet w chude gardło. Przez chwilę bawił się z myślą o zamordowaniu kupca, powstrzymał się jednak. Gdyby to zrobił, byłby zmuszony odprowadzić wóz aż do miasta, siedząc za wielkimi zadami dwóch wołów. W tej samej chwili, gdy o tym pomyślał, jedno ze zwierząt się wypróżniło. Smród był przerażający.

- Ruszaj - zgodził się Viruk. Kupiec wziął wodze w rękę i poprowadził

woły naprzód. Awatar przywiązał konia do tyłu wozu i wdrapał się na niego. Złotowłose dziecko, dziewczynka w wieku około siedmiu lat, uśmiechnęło się do niego, gdy usiadł obok.

- Włosy robią ci się niebieskie - zauważyło.

- Nie drażnij mnie, mała, bo urwę ci nogę i zatłukę cię na śmierć krwawiącym końcem.

Dziewczynka roześmiała się radośnie.

- Nie wolno mówić takich okropnych rzeczy - zgałła go. Viruk schylił się i znalazł leżący na podłodze dzban wina.

- W skrzynce obok siedzenia jest kilka miedzianych kielichów - zawołał do niego kupiec.

Viruk odszukał jeden z nich, zerwał z dzbana lakową pieczęć i nalał sobie wina. Nie liczył na wiele i pełny aromatyczny smak przyjemnie go zaskoczył. Nastrój mu się poprawił.

- Dlaczego masz niebieskie włosy? - dopytywało się dziecko.

- Dlatego, że jestem bogiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Potrafisz czynić cuda? Przywracać ślepcom wzrok? Wskrzeszać zmarłych? Czy wiesz, dlaczego wół nie musi sobie podcierać tyłka?

Viruk opróżnił kielich i nalał sobie jeszcze. Kupiec wdrapał się na wóz i usiadł obok dziecka.

- Musiałem je przeprowadzić przez most, panie - wyjaśnił. - Nie lubią szumu wody.

- On mówi, że jest bogiem, tato - odezwało się dziecko. - Ale nie wie, dlaczego woły nie muszą sobie podcierać tyłków.

- Cicho, dziecko. Pan nie ma ochoty słuchać twojego trajkotania.

- Poddaję się - powiedział Viruk. - Dlaczego wół nie musi sobie podcierać tyłka?

Ma dwie kiszki - wyjaśniła dziewczynka. - Jedną wewnętrzną, a drugą zewnętrzną. Ta wewnętrzna wysuwa się i... i...

- Wydala - odpowiedział stary.

- Tak jest. Wydala kupę. A potem chowa się z powrotem. Dlatego wół się nie brudzi.

- Zapamiętam to sobie na całą wieczność - zapewnił Viruk.

- Ale czy potrafisz wskrzeszać zmarłych? - nie ustępowała dziewczynka.

- Moje talenty idą raczej w przeciwną stronę - odparł Awatar.

- Co to znaczy, tato? - zapytało dziecko.

- On jest wojownikiem, Shori. Broni nas przed złymi ludźmi - wyjaśnił kupiec. - I lepiej bądź już cicho. Schowaj się pod plandekę i zajmij się swoimi zabawkami.

Dziewczynka przeszła przez oparcie i zniknęła z tyłu wozu.

- Czy nie jesteś trochę za stary, żeby płodzić dzieci? - zapytał Viruk.

- Z pewnością tak by się zdawało, panie - odparł kupiec.

- Skąd przybywasz? - zainteresował się Awatar.

- Z Ren-el-gan, panie. Moje winnice leżą nieopodal.

- Słyszałem o nim. Z jakiego plemienia pochodzisz?

- Banis-baya, panie. Nie zostało nas już wielu. Może z pięćdziesięciu.

Ale już nas nie prześladują. Sądzę, że awatarscy panowie nam wybaczyli.

Viruk nigdy nie interesował się historią plemion. Podludzie ciągle wojowali między sobą. Ponadto zrobił się senny od wypitego wina. Przeszedł na tył wozu, odsunął lalki na bok i położył się spać.

Słońce już zachodziło. Zасыpiając, poczuł ciepłe ciało dziewczynki, która przytuliła się do niego.

Dzieci go lubiły. Zawsze tak było. To dziwne, bo on ich nie znośli.

Rozdział dziesiąty

Gdy słońce dotknęło horyzontu, Boru zjechał z niskiego zbocza i zatrzymał zaprzęg na brzegu wąskiego, wpadającego do Luanu strumienia. Nacisnął nogą hamulec, wszedł na wóz od tyłu i spojrzał na śpiącego Awatara.

Jak łatwo byłoby poderżnąć mu gardło, pomyślał.

Jego córka, Shori, przytuliła się do wojownika i spała głęboko, z prawym kciukiem w buzi. Gdyby byli z Awatarem sami, Boru by go zabił, ale bał się, że Shori się obudzi i znowu zaczął ją dręczyć krwawe koszmary. Przykrył kocem dziewczynkę. Oznaczało to, że wyświadczył tę samą przysługę znieprawionemu mężczyźnie, który leżał obok niej. Stłumił nienawiść i przeszedł obok śpiących, idąc po dwa worki z ziarnem. Zabrał je i nakarmił woły.

Potem rozpałił małe ognisko, otoczone kręgiem kamieni, i usiadł przy nim, przyglądając się zachodowi słońca.

„Czy nie jesteś trochę za stary, żeby płodzić dzieci?”

Boru pogłaskał się po białej brodzie, czując w kościach dotkliwie, artretyczne bóle. Shori miała siedem lat. Jej ojciec nie dożyje chwili, gdy stanie się dorosłą kobietą, nie będzie świadkiem tego, jak rzuci ziarno i zakryje twarz welonem. Poczul gorycz, ale odepchnął ją od siebie.

Miał dwadzieścia trzy lata, gdy Awatarowie wzięli go do niewoli, po stłumieniu rewolty. Razem z dwustoma innymi zaprowadzono go w łańcuchach do Pagaru, drugiego miasta. Tam ich osądzono. Boru nigdy jeszcze nie był w mieście i rozmiary budynków kazały mu na chwilę zapomnieć o strachu o życie.

Były tam szerokie brukowane ulice oraz wsparte na kolumnach świątynie. Był tam też rynek ze sklepami i tawernami, a na jego środku stała pięknie rzeźbiona fontanna. Woda tryskała z niej na trzydzieści stóp w górę. Boru pochodził z pustyni, gdzie wodę otaczano szacunkiem, i gdy zobaczył to z więziennego wozu, poczuł głęboki respekt.

Sala sądowa również wyglądała imponująco. Dwaj awatarscy sędziowie zasiadali wysoko na rzeźbionym podwyższeniu, spoglądając z góry na jeńców, których wprowadzano do sali dziesiątkami. Boru stał obok syna piekarza, Fyala. Przyjaźnili się od dzieciństwa i wymienili teraz spojrzenia.

- Co z nami zrobią? - zapytał szeptem Boru. Fyal wzruszył ramionami.

Jeden z sędziów, szczupły mężczyzna z niebieskimi, opadającymi do ramion włosami, pochylił się do przodu. Był odziany w błyszczącą karmazynowa togę, a na głowie miał srebrzystą mykę ozdobioną runami.

- Jesteście oskarżeni o zbrodnie przeciwko imperium - zaczął posępnym głosem - a mianowicie... - Spojrzał na zwój, który leżał przed nim na pulpicie. - ...udział w nielegalnym zgromadzeniu, posiadanie mieczy i innych rodzajów broni oraz atak na rządowy budynek w wiosce Asep. - Przyjrzał się swymi jasnymi oczami skutym mężczyznom. - Jeden z was udzieli odpowiedzi na te zarzuty. Ty! - Wskazał chudym palcem na Boru. - Przemówisz w imieniu swoim i swych towarzyszy.

- A co niby mam powiedzieć? - zaczął Boru. - Nie uznajemy waszych praw. Przysłaliście uzbrojonych ludzi na ziemi naszych przodków i ogłosiliście, że przejmujecie nad nimi władanie. Opieraliśmy się wam wtedy i nadal się opieramy. Nigdy nie przestaniemy się opierać. W przeciwnym razie, jak moglibyśmy zwać się mężczyznami?

- To jest twoja obrona? - zapytał drugi sędzia, łysy mężczyzna z rozwidloną niebieską brodą. - Twierdzisz, że wasze prawa mają pierwszeństwo przed prawami Awatarów? Przynieśliśmy wam wiedzę i prawodawstwo. Daliśmy wam środki pozwalające zwalczyć głód. A wy odwdzięczacie się za te dary aktami barbarzyństwa i próbami morderstwa.

- Nie prosiliśmy o te dary - skontrował Boru. - Narzuciliście je nam. Poza tym nikogo nie zabiliśmy. W ogóle nie mieliśmy takiego zamiaru. Awatara, który przebywał w naszej wiosce, wzięliśmy tylko do niewoli, mimo że zabił naszych trzech towarzyszy. Banis-baya zawsze zajmowali się uprawą ziemi. Nie jesteśmy wojownikami ani zabójcami. Jesteśmy wolnymi ludźmi.

- Nie jesteście wolni, mały człowieczku - oznajmił drugi sędzia. - Jesteście sługami Awatarów. I to nieposłusznymi sługami. Twoja obrona nie

jest przekonująca. Twoi przyjaciele stracą życie. Ty, zgodnie z naszym zwyczajem, nie możesz umrzeć, gdyż przemawiałeś w imieniu oskarżonych. Skazuję cię na trzydzieści lat. Wyprowadźcie ich.

Zabrano ich do długiego korytarza. Awatarski żołnierz ujął Boru za ramię i zaprowadził go przez boczne drzwi do długiego, wąskiego pokoju. Pod ścianami stały tu ławy.

- Siadaj - rozkazał strażnik. - Będziesz tu czekał, dopóki nie zawołają cię po imieniu. Wtedy po ciebie przyjdę.

Oszołomiony wyrokiem Boru nie stawiał oporu. Kolejno przyprowadzono dziesięciu dalszych mężczyzn, którzy czekali razem z nim. Wszyscy dobrze się znali, ale żaden z nich się nie odzywał. Skala katastrofy, która spadła na Banis-baya była zbyt wielka, by o niej rozmawiać.

Późnym popołudniem wyprowadzono trzech z nich. O zmierzchu przyszła kolej na Boru.

Podążył za dwoma strażnikami do okrągłego pomieszczenia. Było tam trzech Awatarów, wszyscy odziani w niebieskie jedwabne szaty. Pośrodku stał kamienny sarkofag pełen zielonych kryształów, które migotały w blasku lamp.

- Zdejmijcie mu łańcuchy - rozkazał jeden z obleczonych w błękit panów.

Gdy okowy z niego spadły, Boru wyprostował się. Był młody, wysoki i silny, a jego włosy miały kolor dojrzewającego zboża.

- Wejść do sarkofagu - rozkazał jeden z Awatarów.

- Co tu się dzieje?

- Rób, co ci każemy. To nie potrwa długo. Za godzinę będziesz wolny.

- Wolny? Przecież skazano mnie na trzydzieści lat.

Dwaj strażnicy ujęli go za ramiona i poprowadzili ku błyszczącym kryształom. Strącił z siebie ich ręce, sam wszedł na sarkofag i usiadł na nim.

- Połóż się na kryształach - padł rozkaz. Boru go wykonał. Mężczyźni odsunęli się. Czuł, że klejnoty wbijają mu się w skórę. - Zamknij oczy - polecili. Tym razem również ich posłuchał. Na jego powiekach boleśnie tańczyły jaskrawe światła. Poczł mdłości. Potem zemdlał.

Ocknął się po jakimś czasie - mogła to być godzina albo cały dzień.

Dwaj awatarscy strażnicy wywlekli go z sarkofagu i wyprowadzili bez łańcuchów na korytarz. Przeszli obok sali sądowej i wyszli w światło dnia.

- Wracaj do domu - powiedzieli mu.

Zszedł zdezorientowany po schodach na plac z fontanną. Gdy do niej dotarł, poczuł zmęczenie. Zaskoczyło go to, gdyż przeszedł tylko krótki kawałek. Usiadł na marmurowym murku otaczającym fontannę i poczuł dotyk chłodnych kropelek wody. Pochylił się do przodu, wspierając łokcie na kolanach.

I nagle poraził go szok. Ramiona miał chude. Mięśnie zniknęły. Skóra była cienka i pomarszczona.

Podeszła do niego jakaś młoda kobieta.

- Dobrze się czujesz, staruszkule? - zapytała, dotykając dłonią jego kościstego barku.

- Jestem młodym człowiekiem - wychrypiął.

Zerknęła nerwowo na budynek sądu.

Przykro mi - powiedziała i oddaliła się pośpiesznie. Zabrali mu trzydzieści lat. Dwudziestopięcioletni Boru siedział na brzegu strumienia, zbliżając kościste palce do płomienia, i myślał o śpiącym w wozie Awatarze.

- Doczekam waszego upadku - obiecał sobie. - Końca was wszystkich.

Viruk obudził się nagle. Nie zamierzał zasnąć tak głęboko. Przetoczył się na bok. Ktoś przykrył go kocem, co było uprzejmym gestem, jako że noc była chłodna. Potem przypomniał sobie staruszkę. Miło było spotkać podludzi, którzy wiedzieli, co to szacunek. Usiadł. Złotowłosa dziewczynka leżąca obok niego poruszyła się przez sen, ale się nie obudziła. Viruk zszedł z wozu i zobaczył, że staruszek siedzi przy małym ognisku.

Na niebie jasno świeciły gwiazdy oraz księżyc w pełni.

- Mam nadzieję, że dobrze spałeś, panie - odezwał się kupiec.

- W rzeczy samej. Gdzie jesteśmy?

- Jutro około południa powinienem dotrzeć do Egaru, panie. Jeśli wyruszysz w drogę wcześniej, dojedziesz tam niedługo po wschodzie słońca. Nakarmiłem twojego konia ziarnem, ale nadal jest zmęczony. Obawiam się, że

nie poniesie cię zbyt szybko.

- Jak się nazywasz?

- Boru, panie.

- Byłeś dla mnie uprzejmy. Lubię to.

- To drobiazg, panie. Służyłem ci z radością.

- Jestem pewien, że tak - zgodził się Viruk. Poklepał staruszkę po ramieniu. - Lubię cię, Boru. Otrzymasz ode mnie dar. - Awatar wyjął z woreczka zielony kryształ i przystawił go do piersi kupca. Stary zeszywniał ze strachu. - Nie stanie ci się nic złego - zapewnił Viruk. Kupiec poczuł, że artretyczne bóle w jego plecach i ramionach złagodniały. - Gotowe - oznajmił po chwili Awatar. - Jesteś teraz młodszy o dziesięć lat. Wykorzystaj mądrze ten czas - dodał z uśmiechem.

Boru wstał i pokłonił się.

- Dziękuję, panie.

- To drobiazg. - Przyjrzał się uważnie twarzy Boru. - Masz teraz w brodzie trochę żółtych pasm. A włosy ci zgęstniały. Być może zyskałeś trochę więcej niż dziesięć lat. Nie mam wielkiej wprawy w używaniu tych kryształów na podludziach. Ale, tak czy inaczej... ciesz się tym!

- Oczywiście, panie. Żadne podziękowania nie byłyby wystarczające.

- To prawda - potwierdził Viruk z szerokim uśmiechem. - Muszę już ruszać w drogę.

Wskoczył na siodło i podążył na zachód, nie oglądając się za siebie.

Dobrze było być bogiem.

Boru miał rację. Jego wierzchowiec nadal był zmęczony. Viruk chciał jak najprędzej wrócić do Egaru, wzmocnił więc zwierzę energią kryształu. Koń natychmiast odzyskał wigor i Awatar zmusił go kopniakiem do cwału. Zwierzę padło w odległości pół mili od miejskich bram. Gdy się przewróciło, Viruk zeskoczył z niego zgrabnie i wylądował lekko na obu nogach. Kryształy miały tę osobliwą cechę, że nie potrafiły dać czworonożnym zwierzętom prawdziwej siły. Były dla nich jedynie środkami pobudzającymi o krótkim działaniu. Viruk był poirytowany tym, że koń nie wytrzymał trochę dłużej.

Gdy wrócił do domu, jeden ze służących poinformował go, że kwestor

generalny chce się z nim widzieć. Viruk wykapał się, przebrał i pojechał konno do pałacu Raela.

Kwestor generalny przebywał w swym gabinecie na górze. Gdy Viruk wszedł do środka, pochylał się nad mapami i zwojami.

- Judon z Patiaków zwołał Zgromadzenie w Ren-el-gan - poinformował gościa, nie tracąc czasu na uprzejmości. - Chce zjednoczyć plemiona pod swoim przywództwem i uderzyć na miasta. Spraw, żeby zmienił plany.

- Z przyjemnością kwesorze - zgodził się Viruk.

Rael odsunął od siebie mapy i wstał.

- Jak rozumiem, znalazłeś łupieżców i rozprawiłeś się z nimi. Dobrze zrobiłeś. Gorzej natomiast, że wysłałeś tę wiadomość do Ammona. Możemy tylko mieć nadzieję, że posłaniec okazał się wystarczająco rozsądny, żeby cię nie posłuchać.

Viruk wzruszył ramionami.

- Co to ma za znaczenie? I tak kiedyś będziemy musieli z nimi walczyć.

- Ale lepiej byłoby, żeby najpierw wrócił Talaban z naładowanymi skrzynkami.

- Kwestorowi Ro się udało? To niespodzianka. Przyznaję, że miła.

- Ale są też gorsze wieści - poinformował go Rael. - Cztery skrzynki udało się naładować, jedną utracono, a jedna nadal jest nienaładowana. Co gorsza, erupcja wulkanu zniszczyła miejsce, w którym je napełnialiśmy, i jeśli nie znajdziemy innego, za kilka lat zabraknie nam mocy.

- Przez kilka lat wiele może się wydarzyć - stwierdził Viruk. - Ale powiedz mi, kwesorze, jak mam sprawić, żeby Judon zmienił zdanie?

- Tak, jak uznasz to za stosowne.

- Możesz to uważać za zrobione.

- Uważam - potwierdził Rael. - Będziesz potrzebował szybkiego konia, a żaden nie jest szybszy od mojego Pakala. Tylko dobrze go traktuj. Chcę, żeby wrócił.

- Tak jest.

- Świetnie. A teraz złóż mi meldunek dotyczący tych łupieżców. Nie pomijaj niczego.

Viruk opowiedział o wszystkim, łącznie z tym, że skazał wójta na śmierć. Kiedy skończył, Rael okrążył biurko i usiadł na nim, naprzeciwko swego oficera.

- Doszła do mnie skarga, że zgwałciłeś wieśniaczkę.

- Trudno to nazwać gwałtem. Czułem się zmęczony i dokuczalo mi napięcie, więc wysłałem po jedną z wioskowych kurew. Przyprowadził mi ją nowy wójt, Bekar.

Prawa o ochronie czystości rasy są jednoznaczne, Viruku - oznajmił Rael. - Nie wolno żyć w konkubinacie z niższymi rasami. Wiesz o tym bardzo dobrze.

- Wiem, że była miękka, słodka i uległa. Przecież się z nią nie ożeniłem. Tylko ujeżdżałem ją przez pewien czas.

- Rada zażąda, by udzielono ci nagany. A wieśniaczkę skazano na śmierć, jeśli zajdzie w ciążę.

- Dostawałem już nagany. To żaden problem.

Rael zaczerpnął głęboko tchu.

- To nie problem dlatego, że cię osłaniam. Ale czy nie obchodzi cię fakt, że za każdym razem, gdy ulegasz swym żądzom, narażasz na śmierć vagarską kobietę?

- A czemu miałoby mnie to obchodzić? Vagarzy ciągle umierają.

Rael potrząsnął głową.

- Ta dyskusja nie ma sensu. Jedź rozprawić się z Judonem. Tylko pamiętaj zostawić żywych świadków.

Probierz nie zdrowiał szybko. Talaban uleczył połamane żebra za pomocą kryształu i zaproponował, że zrobi to samo z ranami pozostawionymi przez szpony króla, ale dzikus odmówił. To były blizny zdobyte w walce i należało je traktować jak skarb. To samo dotyczyło bólu, gdyż świadczył on, że wróg był potężny, a on się mu oparł. Co prawda, nie zabił bestii, ale stawił jej czoło. Suryet byłaby z niego dumna.

- Jak się czujesz? - zapytał go Talaban rankiem czwartego dnia.

- Dobrze. Jestem silny - skłamał Probierz. Rosła mu gorączka, a z

jednej z blizn sączyła się ropa.

- Pokaż mi rany.

- Szybko się goją.

- Ale i tak mi je pokaż. - Probierz uniósł koszulę, stękając z bólu. -

Usunę zakażenie - poinformował go Talaban. - Ale nie obawiaj się. Blizny zostaną.

Dotknął delikatnie kryształem intensywnie zaczerwienionej rany i Probierz poczuł, że zapalenie ustępuje.

- To silna magia - stwierdził dzikus.

- To nie magia, przyjacielu. Dawno temu odkryliśmy więź łączącą takie kryształy ze zdrowiem. Wykorzystaliśmy ją jedynie i znaleźliśmy sposób na wzmocnienie ich mocy za pomocą naszych umysłów.

- Dawno temu - zauważył Probierz. - To zawsze jest dawno temu.

Wetknął koszulę w rajtuzy, przeszedł na drugi koniec małej kajuty i nalał sobie kubek wody.

- Nie rozumiem znaczenia twoich słów - przyznał Talaban.

- Wszystko było dawno temu. Magiczna wieża. Dawno temu. Cudowne statki. Dawno temu. Co udaje się wam osiągnąć teraz?

Talaban zrobił zamyśloną minę. Nie odzywał się przez pewien czas.

- Trwamy - odparł wreszcie. - Ostatni z naszych wielkich uczonych postanowił zestarzeć się i umrzeć. Nie mamy już nikogo, kto rozumiałby tajemnice przeszłości. Nie wiem, dlaczego tak jest.

- Wcale nie trwacie, kapitanie. Wasz dzień niemal dobiegł już końca. To zmierzch. Popłynij ze mną. Na zachód. Znajdź sobie nowy dom. Naucz mój lud mocy magicznych kamieni.

Talaban wstał.

- Wypocznij dziś dobrze - powiedział i wyszedł.

Po jego odejściu Probierz zjadł trochę suszonego mięsa, a potem opuścił kabinę i wspinał się na środkowy pokład. Tam oparł się o reling, by obserwować mknące obok okrętu delfiny. Zawsze cieszył go widok figli Ośnu, ludu morza. W rodzinnych stronach, gdy wypłynął na ciepłe wody zatoki, często pojawiały się obok niego, wyskakując nad wodę i zanurzając się

z powrotem. Zawsze zachowywały się przyjaźnie.

- To dziwne stworzenia - stwierdził vagarski sierżant, Methras, podchodząc do niego. Probierz zerknął na wysokiego, łysiejącego żołnierza. Lubił Methrasa. Wyczuwał w nim samotność, podobną do tej, która doskwierała jemu.

- Nie tylko dziwne - odparł. - Ośnu magiczne są. To wielcy uzdrowiciele.

- Ryba, która leczy? Trudno w to uwierzyć.

- Te oczy to widziały - zapewnił Probierz. - Dziecko urodziło się, rosło, nie mówiło. Siedziało. Gapiło się. Szaman Ośnu wezwał. Przyplłynęły.

- Chwileczkę, Probierzu - przerwał mu z uśmiechem Methras. - Ten kawałek o dziecku rozumiem. Ale w jaki sposób szaman wezwał delfiny?

- Stał na urwisku. Zaśpiewał pieśń. Światło, śpiew, dym, ogień. O zmierzchu przyplłynęły. Dwadzieścia Ośnu. Aż na płyciznę. Szaman zaniósł do nich dziecko. Ośnu przemówiły. Wysokie, śpiewne głosy. Bez słów. Szaman uniósł chłopca. Włożył go do wody, zacisnął rączki na płetwie Ośnu. Ośnu opłynął zatokę wkoło, ciągnąc za sobą roześmiane dziecko. Tego samego dnia chłopiec przemówił. Magia Ośnu.

- Widziałeś to na własne oczy?

- Te oczy widziały. Magia Ośnu.

- Dobra magia - zgodził się Methras. Obaj oparli się o reling, obserwując w milczeniu delfiny. Po chwili sierżant się wyprostował. - Chciałbym któregoś dnia z nimi popływać - stwierdził ze smutkiem.

- Ciebie też uzdrowią - zapewnił Probierz.

- Nie potrzebuję uzdrowienia.

Dzikus potrząsnął głową. Wyciągnął rękę i oparł dłoń na piersi żołnierza.

- Puste miejsce tu masz. Trzeba je wypełnić.

- Za dużo widzisz, przyjacielu - odpowiedział Methras. Potem odwrócił się i odszedł.

Nad powierzchnię wynurzyła się wielka czarno-biała sylwetka. Delfiny pierzchły. Orka pomknęła za nimi.

- Dzisiaj nic nie złapiesz - wyszeptał Probierz.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, niknąc w krwawoczerwonym morzu. Gdy zapadła ciemność, na pokładzie zapalono światła. Dzikus zaklął. Świeące kule były nienaturalne. Niepokoiły jego ducha.

Zamknął oczy, by osłonić je przed blaskiem, i zaśpiewał niskim dźwięcznym głosem pieśń Ośnu.

Rozdział jedenasty

Ren-el-gan nie wyróżniało się z pozoru niczym szczególnym, co tłumaczyłoby jego znaczenie dla plemion. Na płaską połąć piaszczystej pustyni padał cień wysokich gór, a jedynym dziełem rąk ludzkich było tu obmurowanie studni zbudowane z bloków piaskowca. Stało na nim wiadro. Do jego rączki przywiązano cienki sznur, łączący je z żerdzią. Nie było żadnych posągów, pomników ani wyrytych na pobliskich skałach inskrypcji.

Niemniej jednak to właśnie tu plemiona zbierały się na Zgromadzenie. Tutaj, przy Studni Życia, z której Źródło Wszechrzeczy zaczerpnęło wody, by zmiękczyć glinę, z której ulepiło ciało pierwszego człowieka.

Ren-el-gan było świętym miejscem. Nie przelewano tu krwi.

Na wschód od niego zaczynała się Pustynia Snów, rozległa i w przeważającej części nienadająca się do zamieszkania. Podczas letnich upałów sucha ziemia w niespełna dobę wysysała z ciała człowieka wszelką wilgoć, a w dwa dni zabijała konia. Z każdym rokiem pustynia rosła. Na południe od niej leżały zielone ongiś doliny rzek, którymi władali Patiacy, Koziarze. Na północy, za górami, na przestrzeni prawie siedmiuset mil ciągnęły się ziemie Erej-jhip-zhonad oraz około dwudziestu pomniejszych ludów.

Oczy plemion były jednak zwrócone na zachód. To bogate nadmorskie miasta zaprzętały ich myśli, rozbudzały ich wyobraźnię. Pustynia powoli wysysała życie z ich ojczystych stron, widziały więc w żyznych równinach otaczających miasta rozwiązanie swych narastających problemów. Gdyby ludziom z plemion udało się zawładnąć miastami, w ich ręce wpadłyby wszystkie bogactwa Awatarów. Nie musieliby się już martwić o wiosenne deszcze i znikającą trawę. Mieszkaliby w pięknych domach i być może poznaliby też tajemnicę wiecznej młodości, jak Awatarowie.

W odległości pół mili od Studni Życia, pod jedwabnym baldachimem, Judon z Patiaków zasiadał na wielkim, zdobnym tronie. Jego masywne, obleczone w jedwabie cielsko wypełniało mebel w całości, wygniatając miękkość z poduszek na siedzeniu i za plecami. Po obu stronach tronu stało

dwóch osobistych strażników Judona, rosnących mężczyzn o zimnych spojrzeniach. Przed nim, na rozłożonych na ziemi dywanikach, siedzieli wodzowie osiemnastu największych plemion.

- Dlaczego mielibyśmy płacić Awatarom podatki? - pytał ich Judon. - Kto dał im na własność nasze ziemie? Czemu pozwalamy, żeby nad nami dominowali i zmuszali nas do życia w nędzy, podczas gdy sami bogacą się naszym potem? Przyjaciele! Bracia! Nadszedł czas, byśmy uwolnili się od tych pijawek.

- A jak mamy osiągnąć ten cel? - zapytał starszy wiekiem wódz. - Ich broń może rozerwać całą armię na strzępy. Brałem udział w zeszłorocznym buncie. Na polu bitwy zostało osiem tysięcy ludzi.

- Nie zginęli na próżno - zapewnił Judon. - Broń, o której mówisz, utraciła już niemal całą moc. Wiem, że Awatarom zostało niespełna pięćdziesiąt łuków zhi.

Te słowa przyciągnęły ich uwagę.

- Zebrane tu plemiona mogłyby w ciągu miesiąca wystawić czterdzieści tysięcy wojowników. Moglibyśmy zdobyć miasta, nim nadejdzie pierwszy chłodny wietrzyk jesieni. Pomyślcie o tym, bracia.

- Zaiste, zrobimy to - zgodził się inny wódz. - Muszę ci jednak zadać dwa pytania. Po pierwsze, skąd wiesz, ile mają broni, a po drugie, gdzie są Ereki-jhip-zhonad? Powinni tu być.

Judon uśmiechnął się.

- Po prostu wiem. Mam przyjaciół w pięciu miastach. Dobrych przyjaciół, których zmęczyła już awatarska tyrania. A jeśli chodzi o Błotniaków... - Szeroko rozpostarł tłuste ramiona. - Być może wciąż jeszcze boją się Niebieskowłosych. Nie mogę przemawiać w ich imieniu. Gdy już zdobędziemy miasta, będą mogli przyjść do nas na kolanach, by błagać o resztki z naszego stołu.

- Mają dwadzieścia tysięcy wojowników - sprzeciwił się pierwszy z wodzów. - Nie sądzę, żeby musieli zebrać. Nie wyślę swoich żołnierzy na wojnę z Awatarami, jeśli nie przyłączy się do niej Lud Gwiazd.

Judon ukrył irytację. Mówiącym był Rzak Xhen, wódz plemienia Hantu,

którego ziemie graniczyły z terytorium Erej-jhip-zhonad. Jeśli uda się go przekonać, przyprowadzi ze sobą ponad pięć tysięcy wojowników.

- Mój zacny Rzak, twoja ostrożność zasługuje na pochwałę. Ja również wolałbym, żeby Błotniacy przyłączyli się do nas. Ale gdy już zwyciężymy, bez nich będzie więcej bogactw do podziału. A teraz zróbmy sobie przerwę na posiłek. Słońce silnie praży. Możemy wznowić obrady wieczorem.

Potężne ramiona Judona nacisnęły na poręcz czarnego tronu. Grubas podźwignął się z wysiłkiem i wrócił do namiotu. Potem rozciągnął się na wyściełanych poduszkach.

Z głębi namiotu wyłoniła się szczupła postać. Mężczyzna miał młodzieńczą twarz, a głowę zakrywał mu biały lniany burnus plemienia Hizhaków. Usiadł obok Judona.

- Rzak Xhen jest ustami Błotniaków - stwierdził. - Ale chyba wiem, jak go przekonać.

- Powinniśmy mu poderżnąć to jego zdradzieckie gardło - skwitował Judon.

Młodzieniec uśmiechnął się.

- Zaproś go tu wieczorem, przed spotkaniem. Przekonam go do poparcia naszej sprawy.

- A jak dokonasz tego cudu?

- Tak samo, jak przekonałem ciebie, panie.

- To zbyt wysoka cena! - sprzeciwił się król.

- Jak bardzo pragniesz jego pomocy?

Judon napełnił puchar winem i wychylił go jednym haustem.

- Zrób to więc, ale po zwycięstwie chcę dostać jego głowę.

Rzak Xhen był poważnym człowiekiem. Gdyby dano mu wolną rękę, pracowałby niestrudzenie dla swego ludu, Hantu, zwiększając jego bogactwo i prestiż, gromadząc siły w ukryciu. Choć nie miał wojowniczej natury, był znakomitym żołnierzem i strategiem, a wodzowie pomniejszych plemion sąsiadujących z Hantu darzyli go wielkim szacunkiem. Jego wojownicy nie

napadali na ich ziemie. W przeciwieństwie do mniej znaczących przywódców, którzy próbowali zdominować sąsiadów za pomocą miecza i włóczni, Rzak Xhen używał do tego celu handlu. Nie był zbyt dobrego zdania o Judonie z Patiaków. Jego dynastia była drapieżna i skłonna do wojen.

Rzak siedział w swym namiocie, czekając na zaproszenie. Był pewien, że je otrzyma. Towarzyszył mu najstarszy syn, Hua.

- Zaoferuje nam bogactwa - rzekł Hua Xhen. Rzak potrząsnął głową.

- Ziemię. Obieca powiększyć nasze terytorium.

- To lepsze niż złoto, ojcze - stwierdził z uśmiechem Hua. - Moglibyśmy poprosić o dolinę Griamu. W ten sposób zyskalibyśmy dostęp do morza i lepsze szlaki handlowe.

Rzak znowu potrząsnął głową.

- Nie da nam nic z tego, co już ma. Jest zbyt chciwy, żeby rozstać się z tym, co posiada. Nie, zaoferuje nam ziemie Awatarów. Być może jedno z pięciu miast.

- I co zrobisz?

- Powiem mu, że rozważę tę propozycję. Potem wrócimy do domu i przygotujemy naszych żołnierzy. Kiedy mu odmówimy, zaatakuje nas w pierwszej kolejności.

- Dlaczego chcesz mu odmówić, ojcze?

- Dlatego, że jest świnia i jest żarłoczny jak świnia. Gdy wojna już się skończy, nie zechce się podzielić niczym.

- A uważasz, że Ammon zechce?

Rzak spojrzął synowi w oczy. Uśmiechnął się.

- Tak lepiej - pochwalił go z nutą dumy w głosie. - Zacząłeś myśleć.

Pewnie, że nie zechce. Będzie chciał zrobić z nas swych wasali. I zostaniemy nimi. Będziemy wierni i lojalni. Dzięki temu Hantu nadal będą rośli w siłę. Ammon i Judon różnią się od siebie pod jednym ważnym względem. Potrafisz mi powiedzieć, pod jakim?

- Obaj są królami i obaj pragną chwały - odparł Hua. - Nie widzę większej różnicy między nimi.

- Zastanów się nad tym, synu. Na pewno znajdziesz odpowiedź.

Rzak umilkł. Hua był rozsądnym chłopakiem. Nie dysponował wielkim intelektem, ale przynajmniej potrafił się uczyć i z czasem mógł zostać dobrym wodzem Hantu. Dla Rzaka różnica między dwoma królami była oczywista. Obaj monarchowie pragnęli chwały, ale Judon pożądał jej dla siebie, natomiast Ammon dla swego ludu, Erej-jhip-zhonad. Tacy właśnie ludzie tworzyli cywilizacje. Łupieżcy, tacy jak Judon, potrafili tylko je niszczyć.

Zaproszenie nadeszło o zmierzchu. Rzak podźwignął się z wysiłkiem. Dokuczały mu bóle w kolanach. Ruszył powoli po pustynnym piasku ku jedwabnemu namiotowi Judona. Paticcy wartownicy nie zsalutowali mu, ale odsunęli się na bok, unosząc przed nim połę. Rzak wszedł do środka.

Otyły król wylegiwał się na wyściełanych poduszkach, ściskając w pulchnej dłoni złoty puchar pełen wina. Obok niego siedział ze skrzyżowanymi nogami młody mężczyzna odziany w biały burnus i bawełnianą szatę tego samego koloru. Judon skinął na Rzaka, prosząc go, by usiadł obok niego. Stary wódz zrobił to, tłumiąc jęk bólu.

- Witaj, bracie - rzekł Judon. - Zaszczycasz mnie swą obecnością.
- Jego słowa ociekały obłudną uprzejmością, podobnie jak uśmiech.
- W czym mogę ci pomóc? - zapytał Rzak.
- Mógłbyś mi dać pięć tysięcy wojowników - odparł Judon. -

Awatarowie są już skończeni. Wystarczy jeden silny atak, żeby ich zniszczyć. Pomyśl o bogactwach, jakie przypadną w udziale zwycięzcom.

- Mam już bogactwa - wskazał Rzak. - Więcej niż mógłbym wydać przez resztę życia.

- W takim razie pomyśl o nowych ziemiach. Jestem gotowy otworzyć przed tobą dolinę Griamu, zapewniając ci dostęp do morza. Na dodatek otrzymałbyś też Pagaru, pierwsze z pięciu miast.

Rzak wsparł się wygodnie o jedwabne poduszki, spoglądając w głęboko osadzone oczy Judona. Król zbyt łatwo oferował mu dolinę Griamu. Wzbudziło to podejrzliwość starego wodza. Zerknął na młodzieńca w białym burnusie. Był poirytowany, ale starał się to ukryć. Potwierdzało to obawy Rzaka. Ta oferta była zbyt wysoka i złożono ją nazbyt szybko. A to znaczyło, że jest bezwartościowa. Gdy wódz Hantu w końcu się odezwał, jego

głos brzmiał spokojnie. Zdołał nawet lekko się uśmiechnąć.

- Jesteś bardzo szczodry, Judonie. Zastanowię się nad twymi słowami.

- To jeszcze nie koniec mojej propozycji - dodał król. - Który ze skarbów Awatarów budzi w twym sercu najsilniejsze pożądanie?

- Nieśmiertelność.

- Ja również mogę ci zaoferować.

Rzak Xhen uśmiechnął się zimno.

- Lepiej ze mnie nie drwij, Judonie. Niedobrze jest mieć mnie za wroga.

- To nie drwina - zapewnił król. - Pokaż mu! - rozkazał, spoglądając na młodzieńca.

Mężczyzna w burnusie podniósł się zwinnie i podszedł do Rzaka.

Z woreczka, który miał u pasa, wydobyl tani zielony kryształ. Gdy pochylił się nad wodzem Hantu, Rzak wyciągnął z rękawa krótki sztylet i przystawił mu go do brzucha.

- Nie lubię sztuczek - ostrzegł.

- Ja również - zgodził się młody mężczyzna. Dotknął kryształem piersi Rzaka i zamknął oczy. Skórę wodza załżała fala ciepła. Ból w stawach ustąpił. Młodzieniec odsunął się od niego.

- Wyleczyłem twój artretyzm - oznajmił. - Dałem ci przedsmak tego, co cię czeka.

Rzak rozprostował ramiona. To była prawda. Ból i sztywność zniknęły.

- Mówiłem, że mam wielu potężnych przyjaciół - oznajmił z zadowoleniem w głosie Judon.

Rzak Xhen zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Dlaczego Awatar miałby pragnąć upadku własnych miast? - zapytał wreszcie.

- Nie jestem Awatarem - odparł spokojnie młodzieniec.

- Ale opanowałeś ich magię?

- Opanowałem. Tyle, że to nie magia.

Rzak pochylił się i podniósł opróżniony przez króla puchar. Następnie osuszył własny i nagłym ruchem cisnął oboma w młodzieńca. Ten wyciągnął instynktownie ręce i złapał zgrabnie oba naczynia.

- Jesteś Awatarem - stwierdził Rzak Xhen. - Dlaczego temu przeczysz?

- Mylisz się. Mój ojciec był Awatarem. Matka była Vagarką. Próbowali razem uciec, ale ich złapano. Matka wróciła do domu tego samego dnia jako stara kobieta, zgarbiona i kaleka. Ojca skazano na wyssanie na kryształach. Zamordowano.

- To nie jest niezwykła opowieść - przyznał Rzak. - Pomijając fakt, że żyjesz. Myślałem, że dzieci zrodzone z takich związków zawsze się likwiduje.

Mojego brata... jak to ująłeś... zlikwidowano. Ale byliśmy bliźniakami. Matka mówiła mi, że na dzień przed przyjściem żołnierzy dostałem gorączki. Byłem w domu znachorki. Żołnierze zabrali brata razem z matką. Ja ocalałem. Matka wychowywała mnie przez cztery lata. Potem umarła ze starości. Miała dwadzieścia jeden lat.

- I z powodu śmierci trojga ludzi jesteś gotów poświęcić pięć miast?

- Tak - potwierdził młodzieniec. - Chcę położyć kres tyranii.

Rzak powstrzymał uśmiech. Młodzi byli tacy krótkowzroczni. Czy ten pełen nienawiści Vagar rzeczywiście wierzył, że pomagając Judonowi zdobyć absolutną władzę, położy kres tyranii? Jakie to miało znaczenie, czyj but uciska twój kark, awatarski czy patiacki? But pozostawał butem.

- Pokaż mi ten magiczny kryształ - zażądał, wyciągając rękę.

Młodzieniec upuścił klejnot na jego dłoń. Rzak zacisnął ją w pięść i poczuł krawędzie ostrego kryształu. Ale nic więcej. - Gdzie jest magia? - zapytał.

- Tutaj - odpowiedział młodzieniec, dotykając palcem własnej skroni. - Takie kryształy można kupić na każdym targu. Gdy już nasyci się je mocą, mogą ich używać tylko ci, w których żyłach płynie awatarska krew.

Judon podniósł się z wysiłkiem. Wydobył spod poduszek srebrne zwierciadło i rzucił je Rzakowi. Wódz Hantu spojrział na swe odbicie. W jego brodzie pojawiły się ciemne pasma. Zachichotał.

- Odejmij mi jeszcze dziesięć lat, a dostaniesz pięć tysięcy wojowników - zaproponował.

Viruk przysiadł na poboczu drogi, przyglądając się płatkom nieznanego mu kwiatka. Były białe, z niebieskimi brzegami. Roślina wydała mu się

niezwykle piękna. Porastała w gęstych skupiskach obie strony drogi. W powietrzu unosił się uderzający do głowy zapach. Przywiązany do drzewa siwek zarżał, tupiąc nerwowo. Viruk wstał, przeciągnął się i wrócił do ogiera.

- Niecierpliwości nie należy wynagradzać - oznajmił zwierzęciu. - Ani u ludzi, ani u koni. Ja też nie jestem zadowolony, że muszę tu siedzieć, ale ta droga prowadzi z powrotem na ziemie Patiaków i spasiony król prędzej czy później będzie tędy przejeżdżał. A teraz skończ już z tymi demonstracjami nerwowości, bo wydlubię ci oko i powiem kwestorowi generalnemu, że nadzieles się na cierń.

Koń pochylił łeb i przyjrzał się uśmiechniętemu mężczyźnie. Potem wyprostował szyję i trącił go pyskiem w pierś.

- Głupie bydlę - mruknął Viruk, drapiąc go za uszami. - Jak to możliwe, że lubisz kogoś, kto grozi, że cię okaleczy? Myślałem, że zwierzęta mają szósty zmysł, który ostrzega je przed niebezpieczeństwem. - Ogier postawił uszy i odwrócił się, spoglądając na wschód. Viruk odwiązał postronek i wskoczył na siodło. - Widzisz, już prawie koniec czekania. Niedługo będziemy mogli wrócić do domu i odpocząć.

Dotknął piętami boków ogiera, wyjechał spośród kwiatów i zajął pozycję pośrodku drogi.

Na wzgórzu pojawił się rydwan. Po jego bokach zauważył dwóch jeźdźców. Trzeci zamykał grupę. Otyły król spoczywał na wyściełanym aksamitem siedzeniu, a jego woźnica skłaniał do zwiększonego wysiłku dwa karę rumaki. Oba konie robiły ciężko bokami.

- Zobacz, jakie masz szczęście - powiedział ogierowi Viruk. - Gdybyś przypadkiem urodził się w innym miejscu, mógłbyś teraz ciągnąć tego mamuta po pustyni. Niezła perspektywa, co?

Koń położył uszy po sobie, ale poza tym się nie poruszył.

- Lubię cię - oznajmił mu Viruk. - Nie jesteś zbyt rozmowny, ale przynajmniej potrafisz słuchać.

Dwaj jeźdźcy ruszyli cwałem w stronę Viruka, zatrzymując się tuż przed nim. Awatar przełożył nogę nad łękiem siodła i wsparł się łokciem na kolanie.

- Dobry wieczór, wieśniacy - przywitał ich.

Pierwszy z jeźdźców, żołnierz o szerokich barach noszący na głowie polerowany hełm z brązu, poczerwieniał i położył dłoń na rękojeści miecza. Viruk uśmiechnął się do niego ujmująco i promiennie.

- Choć z radością przelałbym trochę waszej neandertalskiej krwi, powiedziano mi, że przy mojej rozmowie z waszym królem muszą być świadkowie. Dlatego lepiej dla ciebie, żebyś nie wyciągał tego majchra.

- Czego chcesz, Awatarze? - zapytał mężczyzna. Jego głos był niski, a oczy pełne gniewu.

- Od ciebie, gówniany smrodzie? Niczego. Muszę porozmawiać z tą chodzącą jak kaczką świnią której służysz.

Miecz z brązu wysunął się ze świstem z pochwy. Jeździec spiął konia do ataku. Viruk poruszył błyskawicznie ręką. Mały nóż przeszył powietrze i wbił się w gardło żołnierza. Mężczyzna spadł z siodła, runął ciężko na ziemię, spróbował się podnieść i znowu osunął się w dół. Viruk zerknął z uśmiechem na drugiego jeźdźcę.

- Nie wiem, co to się dzieje na świecie - powiedział lekkim tonem, w którym pobrzmiwała nuta żalu. - Człowiek próbuje być uprzejmy. Wyraża swe intencje jasno jak słońce. I co go za to spotyka? Przemoc i nieprzyjemności. Mam nadzieję, że między nami nie dojdzie do podobnego nieporozumienia.

Żołnierz obejrzał się nerwowo na rydwan, czekając na rozkazy. Judon z Patiaków stanął wyprostowany.

- Jak śmiesz napastować mnie w ten sposób? - ryknął.

Viruk podjechał do niego.

- Kwestor generalny nakazał mi przekonać cię, że postępujesz niewłaściwie. Wojna to bardzo nieprzyjemny interes. Wy, podludzie, ubieracie się w wojenne stroje, a my strzelamy do was jak do psów. To niesportowe. Rozumiesz? Wszystko to okropnie mnie nudzi.

- Nie mam zamiaru wypowiadać wam wojny - zapewnił Judon. - To jakieś straszliwe nieporozumienie. Awatarowie są moimi przyjaciółmi.

Viruk uniósł dłoń z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy.

- Proszę, nie używaj słowa „przyjaciele”. To sugeruje równość, której

między nami nie ma. Jesteście sługami. Zdumiewa mnie wasza niewdzięczność. - Potrząsnął głową. - Kim byliście przed naszym przybyciem? Nikim więcej niż zwierzętami ryjącymi w błocie na brzegach Luanu. Nauczyliśmy was budować, nawadniać wasze ziemie. Magazynować nadwyżkę plonów. Daliśmy wam prawo. Wychowaliśmy was, jak dzieci, a wy odpłacacie nam małymi wojenkami i napadami. To doprawdy irytujące.

- Jak już powiedziałem, nie ma żadnej wojny - powtórzył Judon. - jak się nazywasz?

- Viruk.

- No więc, Viruku, możesz być pewien, że zamelduję o tym incydencie kwestorowi generalnemu. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby mordowano moich ludzi.

- Och, sam mu o tym zamelduję po powrocie. Pytanie tylko, jakie działania powinienem podjąć.

- Działania? - zapytał Judon.

- Widzisz, mam pewien problem. Kwestor generalny twierdzi, że planujesz wojnę. Ty zapewniasz, że tak nie jest. Czy mam wrócić do niego i powiedzieć mu, że popełnił błąd? Nie sędzę. To trudny dylemat, nieprawdaż?

- Wszyscy czasem popełniają błędy - odparł Judon z wymuszonym uśmiechem. - Jestem pewien, że kwestor generalny to rozumie. Możesz go zapewnić, że mam wobec was jak najlepsze intencje.

Viruk już miał mu odpowiedzieć, ale nagle zauważył, że król zerka w lewo. Awatar zakołysał się instynktownie w siodle. Nóż rzucony przez jeźdźca, który był za nim, przeleciał obok i spadł z brzękiem na ziemię.

- To nie był przyjazny gest - zauważył Viruk, wyciągając miecz. Trzeci jeździec również wy dobył broń i piętami popędził konia naprzód. Viruk uchylił się przed ciosem i uderzył płazem miecza w skroń przeciwnika, strącając mu z głowy hełm z brązu i zrzucając go z siodła. Ten, który cisnął nożem, przeszedł do szarży, trzymając w dłoni miecz. Viruk sparował uderzenie, pochylił się w siodle, złapał przeciwnika za płaszcz i ściągnął go z siodła. Żołnierz runął ciężko na ziemię, ale zdołał się podnieść. Awatar jego również

uderzył płazem, zbijając go z nóg.

Tłusty król gapił się na to z rozdziawionymi ustami. Viruk zwrócił się w jego stronę.

- Wierzysz w Wielkiego Boga? - zapytał swobodnym tonem.

Judon skinął głową.

- Ja również - oznajmił Awatar. - Pozdrów go ode mnie, kiedy go spotkasz.

Viruk oddalił się, Judon śledził go wzrokiem. W odległości stu kroków Awatar odwrócił się nagle. W dłoni trzymał łuk zhi. Judon zamrugął, zeskoczył z rydwanu i rzucił się do ucieczki.

Impuls trafił grubasa między łopatkami, unosząc go w górę. Judon padł twarzą na drogę. Jego szaty płonęły, a w plecach ziała wielka dziura. Viruk podjechał do rydwanu. Wojownicy zdążyli już wstać.

- Jesteście naprawdę nieudolnymi przeciwnikami - poinformował ich. Spojrzał na woźnicę, niskiego człowieczka o czarnych, rzadziejących włosach.
- Mam wrażenie, że droga powrotna będzie dla koni znacznie przyjemniejsza. Rzadko zdarzało mi się widzieć tak tłustych ludzi.

- Tak, panie - zgodził się nerwowo woźnica.

- Nie bój się, człowieczku. Rozkazano mi zostawić świadków. Nic ci nie grozi.

- Dziękuję... panie.

Viruk zawrócił siwka i oddalił się o kilka kroków. Nagle odwrócił się w siodle i zapytał jednego z żołnierzy:

- Jak się nazywają te biało-niebieskie kwiatki?

Mężczyzna zerknął we wskazanym kierunku.

- Gwiazdy nieba - odpowiedział.

- Dziwna nazwa. Muszę to sprawdzić. Dziękuję.

Ścisnął siwka piętami i ruszył na zachód, w stronę Egaru.

Rozdział dwunasty

Gdy słońce zaszło i pokładowe światła znowu rozblęły, Methras rozpoczął wieczorny obchód. Najpierw zajrzał do kwater dla załogi na dolnym pokładzie. Dobry humor towarzyszący powrotowi Węża Siedem zdążył już przygasnąć. Ludzie zastanawiali się nad dalszym rozwojem wydarzeń. Odkąd maszty zwalono i wyrzucono za burtę, przestali być potrzebni. Talaban sterował Wężem z kabiny na górze i marynarze byli w podłych nastrojach.

Sierżant wszedł do długiego pomieszczenia i zobaczył, że kilku mężczyzn gra w kości.

- Niedługo będziemy w domu - oznajmił.

- I co wtedy? - zapytał pierwszy oficer, gburowaty marynarz, który pływał na Wężu już od siedmiu lat.

- Dla wszystkich z was znajdzie się zajęcie - zapewnił Methras. - Ten okręt jest przystosowany do przewożenia czterystu ludzi. Teraz, gdy jego skrzynka jest naładowana do pełna, będzie przygotowywanych wiele ekspedycji. Dobrzy marynarze, tacy jak wy, zawsze będą potrzebni.

- Łatwo ci mówić, sierżancie - obruszył się inny członek załogi. - Dla żołnierzy zawsze jest praca.

- Czy ktoś chce się założyć? - zaproponował Methras. - Postawię złotą monetę przeciw srebrnej na to, że wszystkich was wynajmą na następny rejs.

- Mężczyźni popatrzyli na siebie nawzajem, ale nikt nie podjął jego propozycji.

- No, proszę - stwierdził sierżant. - Wcale nie jesteście takimi pesymistami, jakich udajecie.

- Nieprawda - sprzeciwił się drugi z marynarzy, młody Vagar, dla którego był to pierwszy rejs. - Po prostu wiemy, że nie masz szczęścia do hazardu, a wszyscy za bardzo cię lubimy, żebyśmy chcieli cię oskubać.

Methras zachichotał i poszedł do prowizorycznego kambuza, sprawdzając piece i rondle, a także smakując rosół. Był dobry, ale nieco za rzadki jak na jego gust.

- Brakuje nam mięsa, sierżancie - poinformował go kok. - Ale mamy za

to jeszcze mnóstwo suszonych owoców.

Methras dotarł do końca kambuza i wyszedł na wewnętrzną część pokładu. Spali tu inni marynarze i nie zamierzał ich budzić. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pod sekcją dziobową, po raz kolejny zastanawiając się, co się za nimi kryje. Przez sześć lat nie otwierano ich ani razu.

Wszedł po krętych schodach na środkowy pokład i zobaczył tubylca, Probierza, opierającego się o barierkę. Lubił tego dzikusa. Probierz był spostrzegawczy i miał cierpkie poczucie humoru.

- Dobry wieczór - powiedział. Probierz uniósł wzrok.

- Niedobry - zaprzeczył. - Miałem złe wizje.

- Czy coś nam grozi? - zaniepokoił się Methras, który wiedział o niesamowitych talentach dzikusa.

- Nie wiem. Ale sen był zły. Dwa księżycy na niebie. Ogień buchający z gór. Wzburzone morza.

- Jest tylko jeden księżyc, Probierzu. Nie może być ich więcej.

Tubylec skinął głową.

- Wiem. Ale dwa księżycy nadejdą. To również wiem. Methras świetnie już opanował umiejętność konwersowania z Probierzem.

- Sprawdźmy, czy dobrze cię zrozumiałem. Czy widziałeś na niebie dwa obiekty, które były podobne do księżyca?

- Nie. Jeden księżyc. Ten sam. Dwa razy. Jednocześnie. Jeden się wznosił, a drugi opadał.

- A może to nie była wizja. Może to był tylko sen? - zasugerował Methras.

Probierz zastanowił się nad tym, a potem potrząsnął głową.

- Wizja. Dwa księżycy nadejdą.

- A czy to już było wszystko? Mówiłeś coś o wzburzonych morzach.

Tubylec skinął głową.

- Najpierw jeden księżyc na niebie. Potem ten sam księżyc pojawi się w innym miejscu. Dwa księżycy. Morza wzniosą się w górę. Wielka fala. Wielka jak góra. Ziemia pęknie i z rany wypłynie ognista krew. To widziałem.

Methras umilkł. Wiedział, że przyciąganie księżyca działa na morza z potężną siłą. Gdyby nagle pojawił się drugi księżyc, zapewne faktycznie wystąpiłyby fale pływowe, a także erupcje wulkanów. Niemniej jednak myśl o drugim, identycznym księżycu była niedorzeczna.

- Czy twoje wizje okazały się kiedyś błędne? - zapytał dzikusa.

Probierz skinął głową.

- Kiedy młody byłem. Zanim woreczek z lekami się wypełnił. Od tej pory już nigdy.

- Myślę, że tym razem się mylisz.

- Mam nadzieję, że tak - zgodził się Probierz. - Kiedy do domu wrócimy?

- Jutro wieczorem. Po zachodzie słońca. Tak ci się śpieszy do miasta?

Probierz wzruszył ramionami.

- Miasta nienawidzę - stwierdził. - Ziemię kocham. Pod stopami. Stałą. Pewną.

Methras oparł się o reling, obserwując, jak słońce znika w falach i pojawiają się pierwsze gwiazdy. Świeciły tu tak jasno, tak ostro i wyraźnie. Nagle wybuchnął śmiechem.

- Masz swoje dwa księżyce - powiedział, wskazując na horyzont. Jeden księżyc wisiał na niebie, a drugi był jego odbiciem w morskich wodach.

- Może i tak - zgodził się Probierz z wyraźną ulgą.

- Delfiny zniknęły - dodał Methras.

- Zaniosą wiadomość do Suryet. Powiedzą jej, że niedługo wrócę.

- Czy to kolejna wizja, przyjacielu?

- Nie. To nadzieja - odparł ze smutkiem Probierz.

Methras dokończył obchód i wrócił do swej małej kajuty. Czekał tam na niego Talaban. Wysoki wojownik siedział na koi, wyglądając przez wąskie okienko na niebo na zachodzie.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedział zaskoczony Methras.

- Dobry wieczór, sierżancie. Jak nastrój załogi?

- Ludzie się niepokoją, kapitanie. Martwią się, że mogą utracić pozycję

na Wężu. Zwłaszcza ci, którzy zajmowali się olinowaniem i żaglami.

- Uspokoileś ich?

- Najlepiej, jak potrafiłem.

- Świetnie. - Talaban wstał. - Chodź za mną - rozkazał. Obaj mężczyźni wspólnie weszli na górny pokład, do okrągłej kabiny sterowej. Kapitan pokazał Vagarowi, jak otworzyć trójkątną złotą płytę na drzwiach, i nauczył go kodu złożonego z siedmiu symboli. Drzwi się odsunęły. Dwaj mężczyźni weszli do środka. Umysł Methrasa pracował intensywnie. Vagarów nigdy tu nie wpuszczano. Talaban jednak nie przejmował się tym w ogóle. - Pozostało już niewielu ludzi, którzy potrafiliby sterować okrętami takimi jak Wąż - oznajmił. - Przyglądaj mi się uważnie, a jeśli będziesz miał jakieś pytania, zadawaj je.

- Jedno pytanie nasuwa mi się od razu, kapitanie - odezwał się Methras. - Dlaczego mi to pokazujesz? To wiedza Awatarów. Sam fakt, że ją posiadam, może mnie kosztować życie.

Czasy się zmieniają, Methrasie - wyjaśnił Talaban. - A teraz patrz i ucz się. - Awatar podszedł do tablicy rozdzielczej. Było na niej mnóstwo uchwytów i przełączników, kółek i przycisków. - Jak widzisz - kontynuował - urządzenia sterowe skonstruowano z myślą o oburecznym użytkowniku. Stań obok mnie. Ta dźwignia kieruje ruchem do przodu... - Wyjaśnił mu kolejno wszystkie zasady sterowania Wężem. Sierżant z łatwością przyswoił te informacje. Na koniec kapitan odsunął się od tablicy. - Wykonaj obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni - rozkazał. Methras zaczerpnął głęboko tchu, a potem wsparł dłonie na dwóch największych dźwigniach. Odlano je z czarnego metalu, razem z uchwytami do rąk. Wąż skręcił. - Nie za ostro! - ostrzegł sierżanta Talaban. - Musisz czuć okręt, jakby to było twoje własne ciało. Jesteś jego sercem. - Wąż powoli zatoczył długi krąg. - A teraz wróć na poprzedni kurs, równoległy do Kłów Psa.

Methras wyjrzał przez szklane okno i zlokalizował gwiazdę zwaną Psem. Potem gładko skierował Węża z powrotem na północ.

Choć sierżant bał się tej zakazanej wiedzy, był coraz bardziej podekscytowany. Czuł się pobudzony i dziwnie potężny. Odwrócił się

z uśmiechem do Talabana. Potem omiół spojrzeniem tablicę.

- A do czego to służy? - zapytał, wskazując na sekcję zamkniętą czarnymi drzwiczkami o złotych zawiasach.

- Wszystko po kolei - odpowiedział Talaban. - Zatrzymaj powoli okręt.

Methras wykonał polecenie i Wąż zaczął się kołysać na falach.

- Kiedy nie płyniemy naprzód, musisz rekompensować falowanie za pomocą tego - wyjaśnił Talaban, pochylając się do przodu i lekko przesuwając złote koło wprawione w środek tablicy. Okręt natychmiast znieruchomiał.

Talaban przez godzinę wprowadzał vagarskiego sierżanta w szczegóły sterowania Wężem. Potem zamknął za sobą drzwi, zaprowadził Methrasa do swojej kajuty i napełnił dwa kielichy znakomitym winem.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił Vagara.

- Dziękuję, kapitanie. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego podzieliłeś się ze mną tą wiedzą.

- To kwestia zaufania, Methrasie. Prosta sprawa.

- Nie zawiodę twego zaufania - zapewnił sierżant.

- Wiem o tym. Mogę mieć wiele wad, ale znam się na ludziach. A teraz idź wypocząć. Jutro nauczę załogę kilku umiejętności przydatnych na okręcie wojennym, takim jak Wąż.

Methras zasalutował i opuścił kajutę. Nadal nie miał pojęcia, dlaczego Talaban zaszczyił go w ten sposób, jednak cieszył się z tego. Gdy położył się na swej koi, głowę wypełniały mu oszałamiające wspomnienia sterowania Wężem.

Trzy kajuty dalej Probierz nie mógł zasnąć. Za każdym razem, gdy zapadał w drzemkę, znowu widział dwa księżyce na niebie. Wstał z podłogi, wziął w ręce woreczek z lekami i spróbował skupić myśli na Suryet. Ale i to nic nie dało. Pogodna twarz żony pojawiała się w jego umyśle, ale natychmiast przeradzała się w wizję upiornego księżycyca.

Zaniepokojony dzikus opuścił kajutę i wspiął się na pokład zewnętrzny, by poczuć przesycający powietrze smak soli i ujrzeć gwiazdy, lśniące jasno na kopule nocnego nieba. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem.

Nieopodal na powierzchnię wynurzyły się trzy delfiny. Jeden z nich wyskoczył wysoko ponad wodę. Jego smukła, srebrzysta postać zawirowała w powietrzu, a potem spadła z powrotem do morza. Probierz poczuł się pokrzepiony na duchu. Wzburzone morza nie zaszkodzą Ośnu. One przetrwają, bez względu na to, jakie nieszczęścia spadną na ludzką rasę. Ponownie spojrzął w gwiazdy, szukając w nich inspiracji. Wiedział, co musi zrobić, ale obawiał się skutków tego kroku. Jeśli mu się nie uda, może umrzeć albo, co gorsza, stać się imbecylem z rozdziawionymi ustami, jak biedny Orze! Bez Piór. Chodzenie w snach zawsze było niebezpieczne, a do tego niewielu było takich, którzy rozważaliby podjęcie podobnej podróży bez pomocy szamana.

Probierz chodził w snach dwa razy w życiu. W obu przypadkach pomagał mu Jednooki Lis, który był największym z szamanów. Wszystkie plemiona o tym wiedziały. Podczas drugiej podróży Probierz zabłądził pośród gwiazd Wielkiej Rzeki Nieba. Jednooki Lis przyprowadził go z powrotem.

Dzikus nawet by nie pomyślał o tak niebezpiecznej podróży, gdyby nie uporczywa wizja dwóch księżyców oraz fakt, że wydawała się ona łączyć z losem Suryet. Gdy tylko próbował wyobrazić sobie żonę, umysł zawsze wypełniała mu wizja.

Probierz westchnął i ruszył do kajuty Talabana.

Gdy wszedł do środka, kapitan znowu stawiał znaczki na białym papierze, małe symbole starannie ułożone w równe linie. Tłumaczył Probierzowi, że inni potrafią odczytać te znaki i dlatego mają one wartość. Dzikus lubił go i podziwiał, nie śmiał się więc z niego.

- Wyglądasz na zmartwionego - zauważył Talaban, odkładając pióro.

- Wielkie zmartwienie. Potrzebuję pomocy. - Kapitan wskazał mu krzesło, a potem sam usiadł. - Zła wizja. Muszę chodzić w snach, żeby znaleźć odpowiedź. Polecieć wysoko. Wędrować pośród gwiazd. Zobaczyć przyszłość.

- Opowiadałeś mi już o chodzeniu w snach. Mówiłeś, że to bardzo niebezpieczne, Probierzu.

- Tak. Wiele niebezpieczeństw. Ale trzeba rozwiązać zagadkę.

- Myślałem, że do takiej podróży potrzebujesz szamana. Żeby

przyprowadził cię do domu.

- Ty musisz to zrobić.

- Nie potrafię, przyjacielu.

Probierz potrząsnął głową.

- Będziemy chodzić razem. Zobaczysz to samo, co ja. Ale będziesz się trzymał okrętu. Trzymał się... - Przerwał, szukając odpowiedniego słowa. - ...życia - dokończył wreszcie. - Jedną ręką. Trzymasz się okrętu. Drugą ręką mnie. Przyciągniesz Probierza z powrotem.

- A czy ta wizja jest aż tak ważna, że chcesz dla niej zaryzykować życie?

- I twoje też - wskazał Probierz.

Talaban uśmiechnął się.

- No cóż, nigdy jeszcze nie chodziłem w snach. Jak mamy zacząć?

- Usiądziemy. Na podłodze. Wejdziemy w trans. A potem polecimy.

- No to zaczynamy - rzucił kapitan.

Talaban zamknął drzwi, a potem ukląkł na dywanie, spoglądając na Probierza. Dzikus oparł dłonie na jego barkach. Awatar zrobił to samo. Potem Probierz pochylił się do przodu, opuszczając głowę, aż ich czaszki się zetknęły.

- Trzymaj się okrętu - polecił. - Bo inaczej obaj się zgubimy.

Talaban nie odpowiedział. Odprężył się, próbując osiągnąć trans: skupienie bez koncentracji, fizyczne napięcie sprzymierzone ze spokojem umysłu, połączenie przeciwieństw, zamknięcie kręgu. Poczuł, że się porusza, wiruje, jakby obaj z Probierzem pływali w jakimś dziwnym tańcu. Wiedział, że tak nie jest, że nadal klęczą na dywanie leżącym na podłodze jego kajuty. Mimo to pozwolił, żeby to wrażenie narastało. W jego umyśle tańczyły kolory, wokół krążyły wirujące tęcze. A potem usłyszał muzykę, wzniosłą i pierwotną, werbel wszechświata, niesamowity śpiew kosmicznych wiatrów, westchnienia nienarodzonych gwiazd.

Unosił się w ciemności i przed oczyma jego umysłu przesuwały się sceny z jego przeszłości: pierwszy rejs na Wyspy Ukryte i tamtejsza szkoła,

w której studiował gwiazdne mapy Anu; zaloty do Suryet, gdy biegali razem pośród wysokich wzgórz górujących nad licznymi tipi Anajo; pojmanie Próbierza; pojmanie przez Talabana. Szarpnął się, próbując się uwolnić z całkowitej unii umysłów. Wycofał się, czepiając się własnej tożsamości, i uświadomił sobie, że Probierz toczy podobną walkę. Kolory znowu ożyły i przez chwilę poczuł dywan pod kolanami oraz poruszenia okrętu.

Rozdzieleni, lecz nadal sobie bliscy, obaj mężczyźni odprężyli się, a ich umysły pomknęły z powrotem ku muzyce. Talaban ujrzał nieskończenie piękne widoki: planety i gwiazdy, księżyce i komety. A wszystko to poruszało się i wirowało w wielkim tańcu wieczności.

Ogarnęło go podniecenie, a potem ekstaza. Wszystkie tajemnice wszechświata przepływały przez niego, zbyt szybko, by zdołał je pojąć, ale wystarczająco powoli, żeby mógł sobie uświadomić, iż widziane przez niego sceny łączy w jedność wspólny cel. W zachwycie unosił się pośród gwiazd Wielkiej Mlecznej Rzeki Nieba.

Zapomniał o Probierzu, zapomniał o okręcie, utracił łączność ze swym małym, pozbawionym znaczenia życiem. Tutaj znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania, wyjaśnienie wszelkich tajemnic. Był też wolny - wolny od trosk i kłopotów, od zmagania i konfliktów. Odnalazł tu harmonię. Radość, o jakiej nawet nie śnił.

Czas nie miał w tym miejscu znaczenia. Talaban płynął przed siebie, patrząc, ucząc się, obserwując. Wypełniał go coraz większy zachwyty. Widział na własne oczy narodziny gwiazd i śmierć planet. Naprawdę stawał się częścią tańca.

Dwa księżyce.

To było tak, jakby ktoś do niego przemówił, chociaż nie słyszał głosu. Co to mogło znaczyć? Nagle przypomniał sobie o tajemnicy. Wydawała mu się teraz tak maleńka, tak nieznacząca. Jednakże już sama myśl o zagadce wystarczyła, żeby zapragnął znaleźć odpowiedź.

Wokół niego ponownie zawirowały kolory. Zorientował się, że spogląda z góry na błękitną planetę. Potem pomknął ku niej, przesywając obłoki i przemykając nad potężnymi górami. Spadał wciąż w dół, aż wreszcie

rozpoznał Parapolis i Białą Piramidę w jego centralnym punkcie. Po rynku i po terenach świątynnych chodzili ludzie.

I nagle na wielkim dziedzińcu dostrzegł samego siebie. Podszedł do niego vagarski mistyk, obdartus w wystrzępionym futrze.

Scena zamigotała przed jego oczyma.

Nadal unosił się nad Parapolis, ale nie było tam już Białej Piramidy. Jej miejsce zajął złoty ziggurat, budowla schodkowa o płaskim szczycie. Obdarty mistyk znowu tam był, ale tym razem trzymali go za ramiona strażnicy. Jeden z nich wy dobył złoty nóż o ząbkowanym ostrzu i poderżnął niskiemu człowieczkowi gardło.

Scena ponownie zamigotała, przechodząc w inną. Talaban uniósł się wyżej.

Była noc i nad kontynentem dał potężny wicher. Awatar odwrócił się i spojrzał na północ.

Ku miastu nadciągała potężna fala.

Jednocześnie na nocnym niebie pojawił się drugi księżyc, który błyszczał jasno. Miasto zniknęło w tej samej chwili, gdy miała je zalać woda.

Euforia, którą przed paroma chwilami czuł Talaban, minęła. Był świadkiem niemożliwego i ten widok przywrócił mu świadomość. Nie był już biernym obserwatorem, znowu zaczął myśleć, przypomniał sobie o okręcie i o...

Probierzu!

Gdzie się podział Probierz?

Nigdzie nie wyczuwał jego obecności.

Wysiłkiem woli skupił się na okręcie, na dywaniku, kajucie i własnych dłoniach, spoczywających na ramionach przyjaciela. Wszechświat zawirował i Talaban wrócił do swego ciała. Dzikus nadal przed nim klęczał. Awatar potrząsnął nim, wołając go po imieniu. Nie było odpowiedzi. Ciało osunęło się na podłogę.

Talaban wziął się w garść i ponownie wszedł w trans, szukając drogi powrotnej do gwiazd. Próbował przez ponad godzinę, lecz bez rezultatu.

Po raz pierwszy od dziesięcioleci zaczęła go ogarniać panika. Wstał

z dywanika, wypełnił puchar wodą i wypił ją pośpiesznie, próbując się uspokoić. Spojrzał na leżącą na podłodze postać dzikusa.

On ci zaufa!

Panika znów się pojawiła. Talaban zaklął, pozwalając, by zalała go fala gniewu, która stłumiła negatywne siły pozbawiające go odwagi.

Prawa dłoń Probierza leżała płasko na dywaniku. Wypadł z niej woreczek z lekami. Talaban wrócił na miejsce i podniósł mieszek. Jego zawartość symbolizowała wszystko, co w życiu dzikusa było wartościowe. Probierz wierzył w magię. Talaban jej teraz potrzebował.

Kiedys słyszał, jak Probierz śpiewał w swej kajucie. Awatarskie szkolenie pozwoliło mu przypomnieć sobie każdy ton, każdy niuans. Przycisnął woreczek do piersi i rozpoczął pieśń. W jego umyśle zamigotały kolory: jaskrawy błękit letniego nieba, głęboka, bogata w odcienie zieleń leśnych drzew. Dotarły do niego dźwięki: odległy śpiew ptaków, słaby zew Ośnu. A potem w jego mózg uderzyło coś przerażająco zimnego. Cały ból skupiał się w jednym miejscu.

- Jesteś tylko parę chwil od śmierci - odezwał się głos zimniejszy niż ból.

- Muszę odnaleźć Probierza. On się zgubił.

- Otwórz przede mną umysł - padł rozkaz. Talaban poczuł się tak, jakby jego czaszkę rozszarpały okrutne szpony. - Nie opieraj się!

Awatar odprężył się z wysiłkiem woli, poddał się bólowi. Zimno ustąpiło miejsca palącemu żarowi. Krzyknął z bólu. Miał wrażenie, że w mózg wbijają mu się rozgrzane do czerwoności druty, torujące sobie drogę przez miękką wilgotną tkaninę. Żółć podeszła mu do gardła i wymiotował na dywanik.

Potem ból minął i znowu usłyszał głos.

- Musisz go odnaleźć.

- Nie potrafię.

- Masz woreczek. Zrób z niego użytek. Zaprowadzę cię z powrotem do Mlecznej Rzeki. Ale tylko ten, kto trzyma w dłoni woreczek, będzie mógł znaleźć Probierza.

- Co mam zrobić?

- Zawieś sobie woreczek na szyi. Potem złap lewą ręką ciało Probierza. Prawą wyciągnij przed siebie. Gdy już znajdziesz się pośród gwiazd, kiedy wyczujesz coś twardego, będzie to Probierz. Nie będzie chciał wrócić. Będzie się opierał. Będzie drapał, gryzł i szarpał. Będzie przybierał wiele kształtów i postaci. Ale wszystko to będą iluzje. Trzymaj się go. Bez względu na wszystko. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Nie puszczaj go. Drugiej szansy nie będzie.

- Rozumiem.

- Bądź silny. W przeciwnym razie cię zabije.

- Jak iluzja może mnie zabić?

- Ból będzie rzeczywisty. Jeśli w niego uwierzysz, umrzesz.

Talaban zawiesił sobie woreczek na szyi - Jestem gotowy - oznajmił. - Kim jesteś?

- Jestem Jednooki Lis. Złap mojego wnuka. - Talaban wykonał polecenie. - A teraz zamknij oczy i wyciągnij prawą rękę.

Pod jego powiekami zapłonęły kolory, jaskrawe, gorące i bolesne. Unosił się w morzu bólu. Chciał krzyknąć, ale nie miał głosu. Nagle poczuł, że spada przez ogień. Usłyszał głos - wiele głosów. Wszystkie krzyczały do niego. Przez kakofonię przedzierały się zdania...

- Podłe dziecko. Czy nie potrafisz się nauczyć najprostszych rzeczy?

Ojciec mnie nienawidził. Znał prawdę.

- Nie ma nic, czego nie potrafiłbyś dokonać, synu.

Matka mnie kochała. Ona była prawdą.

- Nic z niego nie będzie. Do niczego się nie nadaje. Trudno mi uwierzyć, że go spłodziłem.

- To nie talent do walki uczynił Awatarów wielkimi, chłopcze, ale umysł. Używaj umysłu.

Endar-sen, mój nauczyciel. Bez niego byłbym zgubiony.

Dźwięki wciąż się nasilały, głosy krzyczały, wołały, szeptały, śpiewały. Talaban starał się jakoś odgrodzić od tego hałasu. Gdzie się podziały jasno świecące gwiazdy oraz muzyka wszechświata?

- Wkrótce nadejdą - usłyszał głos Jednookiego Lisa. - Najpierw musisz opaść do wewnątrz. Dopiero potem polecimy na zewnątrz. Słuchaj głosów. Dowiedz się, kim jesteś.

- Wiem, kim jestem.

- Nie wiesz. Znajdź to, co utraciłeś.

- Probierza. To jego utraciłem.

- Najpierw znajdź utraconego człowieka we własnym wnętrzu, Talabanie. Dopiero potem szukaj Probierza.

- Nie rozumiem!

Ale zrozumiał - i runął w ocean głosów.

- Człowiek musi mieć marzenie, Talabanie - mówił Endar-sen. - Bez niego tylko egzystujemy. Jemy i pijemy, ale pokarm nas nie krzepi. Słuchamy i mówimy, ale nie dowiadujemy się niczego wartościowego. Oddychamy, ale nie żyjemy. Jakie jest twoje marzenie?

- Nie ma nic, czego nie potrafiłbyś dokonać, synu. Jesteś nadzwyczajny.

- Nie mam marzenia! Nie ma dla mnie żadnych marzeń! Wszystkie zginęły pod lodem. On pogrzebał całą nadzieję.

- Podłe dziecko. Czy nie potrafisz się nauczyć najprostszych rzeczy?

- Chodź do mnie, Talabanie. Będę twoja i tylko twoja.

Chryssa była z nich wszystkich najlepsza. Kochała mnie.

Z nią mógłbym zbudować marzenia.

Dźwięki ucichły i Talaban znowu zobaczył ich ostatnie spotkanie. Jej krucha uroda niemal już zniknęła, a skóra przypominała szkło. Nikt nie rozumiał natury tej choroby. Zapadał na nią być może jeden Awatar na dziesięć tysięcy. Nazywało się to „zaślubinami z kryształem”. Użycie kryształów zmieniało w jakiś sposób zachodzące w ciele procesy chemiczne. Miękkie tkanki twardniały, ciało nabierało właściwości kryształu. Gdy proces już się zaczął, nie sposób było go powstrzymać. Czasami był powolny i pełen bólu, w innych zaś przypadkach szybki i przerażający. Chryssa na szczęście należała do tej drugiej grupy. Talaban siedział przy jej łożu. Nie mógł trzymać jej za rękę, gdyż groziłoby to połamaniem palców. Utraciła już zdolność mowy

i tylko jej oczy - słodkie i niebieskie - nadal były miękkie i wilgotne. Powiedział, że ją kocha, że zawsze będzie ją kochał. Na kryształowym policzku pojawiła się łza. Potem oczy stwardniały i Chryssa odeszła.

Świat skończył się dla niego w tamtej chwili. Kataklizm, który nadszedł w następnym roku, był w porównaniu z tym drobiazgiem.

Ból towarzyszący temu wspomnieniu był porażający. Parzył go, a zarazem ziębił.

To był dzień, gdy wszystko straciłem, pomyślał.

- Nie. To był dzień, gdy wszystkiego się wyrzekłeś - zaprzeczył Jednooki Lis. - A dzisiaj to odzyskasz.

Głosy ucichły i Talaban unosił się wysoko w przestrzeni. Mknął szybko, wirując i koziółkując.

Błękitna planeta w dole lśniła niczym rozświetlająca noc latarnia. Talaban pędził coraz szybciej i po chwili glob zmienił się w maleńki kamyczek. Drogę przecięły mu dwie komety, przyciągane przez olbrzymią planetę. Obie zniknęły w ogromnych chmurach burzowych, które mknęły wokół niej. W górę trysnęły wielkie fontanny ognia.

Talaban leciał dalej.

Słyszał już teraz muzykę, bicie serca kosmosu. Pragnął stać się jej częścią zatracić się w niej i zjednoczyć z rytmem wieczności.

- Trzymaj się mocno! - rozkazał Jednooki Lis. - To właśnie jest trasa, którą wybrał Probierz.

Talaban oderwał umysł od muzyki i sięgnął nim przed siebie. Nic nie znalazł.

- Zamknij oczy i wyobraź sobie woreczek z lekami. To przyciągnie do ciebie Probierza.

Talaban przestał wirować. Unosił się pośród gwiazd. Zamknął oczy i zrobił tak, jak radził szaman. Czuł woreczek z lekami w lewej dłoni. Coś otarło się lekko o jego palce. Spróbował to złapać i chybił. Nadeszło znowu i tym razem zacisnął palce na jego powierzchni. Kończynę Awatara przeszył ostry ból. Otworzył oczy i zobaczył wielkiego cętkowanego węża, który wbił zęby w jego ramię. Otworzył odruchowo palce, ale przewyciężył strach

i znowu zacisnął je na obłym ciele. Wąż zaatakował jego twarz, wbijając głęboko zęby. Talaban poczuł wnikający w ciało jad.

Iluzja, to wszystko iluzja, powtarzał sobie. Rany zniknęły natychmiast.

Trzymał w ręku kamień. Z otworów w jego powierzchni wypęły robaki, które wgryzały się w skórę Talabana. Ich maleńkie ząbki rozszarpały jego dłoń od wewnątrz.

Skupiając się na woreczku z lekami, wyobraził sobie okręt, drogę powrotną. Robaki przegryzły się już do nadgarstka. Składały jajeczka w jego tętnicach. Czuł, jak pływają w jego krwi. Z jajeczek wykluły się kolejne robaki. Coraz więcej ich wypełniało jego pierś i brzuch, jego szyję i lędźwie, przegryzając się na zewnątrz przez skórę.

Pożerały go żywcem.

- Pomóż mi, szamanie! - zawołał. Nie usłyszał jednak odpowiedzi.

A co, jeśli to był jakiś podstęp? Jeśli w ogóle nie było tu Probierza? Czyżby zwabiono go w pułapkę?

Robak wypadł mu z policzka i zsunął się w dół po twarzy.

Wokół Talabana tańczyły teraz tęcze. Nadal nie puszczał kamienia.

Już blisko do domu, pomyślał. Niedługo będę bezpieczny.

- To boli - usłyszał głos Chryssy. Talaban otworzył nagle oczy. Ujrzał przed sobą jej kruche ciało, szczeliny pojawiające się na krystalicznym ramieniu pod naciskiem jego dłoni. - Dlaczego chcesz mnie skrzywdzić?

- Wcale nie chcę - zaprzeczył.

- Wśród gwiazd byłam bezpieczna. Jeśli zabierzesz mnie na Ziemię, obrócę się w szkło i pył.

Zacisnął powieki i pomknął przed siebie, ignorując ją. Uszy wypełnił mu ogłuszający ryk. Jego twarz rozdarły potężne pazury, wrywając mu lewe oko. Potem wbiły się w pierś. Kły lwa rozszarpały mu bark. Trzasnęły kości.

Talaban uczeplił się czarnej grzywy bestii.

Umieram, pomyślał. Nie wylizę się z takich ran.

Pole jego widzenia wypełniła błękitna planeta. Poczuł, że uderzył głową w dywanik leżący na podłodze kajuty.

Probierz jęknął. Talaban podźwignął się na kolana, strącając z siebie

dzikusa.

Ten otworzył zielone oczy.

- Teraz będę spał - oznajmił i runął na twarz.

Talaban położył woreczek z lekami obok niego i wrócił do biurka. Nie miał na ciele żadnych znaków, żadnych ran ani śladów pazurów. Nadal jednak nie mógł wrócić do równowagi po wspomnieniu bólu.

To był nierozsądny postępek, powiedział sobie.

Stanął mu przed oczyma obraz Chryssy. Instynktownie spróbował stłumić tę wizję, nagle jednak uświadomił sobie, że już nie cierpi z powodu utraty ukochanej. Przywołał na próbę inne wspomnienia: wspólne spacerunki wśród wysokich wzgórz, gdy stoki porastał dywan wiosennych kwiatów. Nie chciała ich deptać. Posuwała się naprzód ostrożnie, a jej ruchy były delikatne i pełne gracji. To było bardzo piękne, ciepłe wspomnienie. W tej właśnie chwili Talaban uświadomił sobie, jak wielkim był głupcem. Bezlitośnie tłumiąc wszelkie myśli o Chryssie, pogrzebał radość razem z rozpaczą. Jesteś idiotą, powiedział sobie.

Otworzył tylne drzwiczki i wyszedł na swój prywatny pokład. Na nocnym niebie jasno świeciły gwiazdy. Wtem na wschodzie rozblęskło jakieś światło. Talaban uniósł wzrok...

...i zobaczył na niebie drugi księżyc.

Nagle na morzu pojawiły się wysokie fale. Talabanem cisnęło w lewo. Na górnym pokładzie ktoś krzyknął.

Drugi księżyc zniknął i morze się uspokoiło. Osłupiały Awatar zamarł na chwilę. Potem wstrząsnęła nim druga niespodzianka.

W drzwiach kajuty pojawiła się migotliwa, półprzezroczysta postać, starzec odziany w koszulę z koziej skóry, ozdobioną kościanymi palcami. W białe włosy wplótł sobie paciorki, a w jego oczach dostrzegało się głęboką wiedzę.

- Przybyło między nas zło, Talabanie - oznajmił.

A potem zniknął.

Rozdział trzynasty

Króla bogów, Ra-Hela, zaniepokoił widok zmian na niebie. Udał się do Starego Młodzieńca (poprosił go o proroctwo. Zaczęły się Dni Końca, rzekł na to Stary Młodzieniec. Między bogami wybuchnie wojna. Potężni upadną, niebiosy zapłaczą a na świat przybędzie zło. Nie wspomniał jednak o bogini, która miała się zjawić, ani o Królowej Śmierci, albowiem ich czas jeszcze nie nadszedł.

Z Południowej pieśni Anajo

Po pojawieniu się dwóch księżyców w miastach zapanowało podniecenie, które jednak ustąpiło miejsca panice, gdy po podziemnych wstrząsach zawalił się fragment wschodnich murów Egaru oraz dwóch starych budynków w Pagaru. W pozostałych trzech miastach nie doszło do większych strat, ale w Egaru zginęło dwudziestu sześciu ludzi, a siedemdziesięciu zostało rannych.

Kwestor generalny rozkazał żołnierzom opuścić koszary i patrolować ulice, a vagarskie władze zmobilizowały ochotników, którzy rozkopywali gruzy w poszukiwaniu żywych ofiar. Udało się uratować jedną staruszkę i dwoje małych dzieci.

Po drugiej stronie Luanu stolica Błotniaków poważnie ucierpiała. Wiele domów wzniesionych z lepionych z błota cegieł zawaliło się, podobnie jak część pałacu. Rzeka wystąpiła z brzegów i nocą nadeszła powódź. Pełen błota i ładu nurt pochłonał setki ofiar.

W Dolinie Kamiennego Lwa na godzinę przed wystąpieniem zjawiska kwestor Anu rozkazał swym sześciuset robotnikom przejść na wyżej położony teren. Nikt nie odniósł obrażeń, gdy ziemia w dolinie rozstąpiła się, odsłaniając na chwilę czeluść, z której ku nocnemu niebu buchnęły dym i pył.

W odległych o trzy mile kamieniołomach od skalnej powierzchni oderwał się blok piaskowca ważący z górą dwadzieścia ton, miażdżąc sześciu robotników i dwie dziwki. Mężczyźni umówili się tam z nimi wcześniej

i pozostali na miejscu wbrew rozkazom kwestora Anu.

O świecie wszystko się uspokoiło, lecz i tak zwołano spotkanie Wielkiej Rady, celem omówienia znaczenia tego astronomicznego zjawiska.

Zebraniu nie przewodniczył jednak Rael, który udał się do doliny, by porozmawiać z Anu.

Gdy przybył na miejsce, świeżo odmłodzony kwestor schodził właśnie z góry, prowadząc długą kolumnę robotników.

- Musimy porozmawiać, przyjacielu - przywitał go Rael, zawracając konia i zmierzając w jego stronę. Kwestor generalny zsunął się z siodła i Anu podszedł do niego.

- Czuję, że się na mnie gniewasz - stwierdził.

- Mógłbyś nie być taki skryty. Wiedziałaś, że to się wydarzy. Czy to była jakaś iluzja?

- Nie.

Rael podszedł do skalnej wyniosłości, prowadząc wierzchowca za wodze, i usiadł na niej. Anu dołączył do niego.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego postanowiłeś zachować to w tajemnicy?

- Nie uwierzyłbyś mi, Raelu. Pomyślałbyś, że postradałem zmysły.

- Byłoby miło, gdybyś pozwolił, żebym sam podjął tę decyzję. Tak czy inaczej, stało się. Co oznacza to wydarzenie?

- Trudno będzie to wyjaśnić - odparł Anu, pocierając szczupłą dłonią krótko ostrzyżone niebieskie włosy.

- Mam czas.

Anu uśmiechnął się.

- Możemy mieć mniej czasu, niż ci się wydaje. Chcę, żebyś wysłuchał mnie z otwartym umysłem, Raelu, nie zadając żadnych pytań. Zgoda?

- Zgoda.

- Zgodnie z naszymi mitami, kiedyś istnieli bogowie, którzy potrafili przemieszczać się w czasie, otwierając bramy wiodące do odległych krain. Pamiętasz opowieść o bliźniakach? Bezak, bóg piorunów, i jego bliźniaczy brat, o którego istnieniu nie miał pojęcia? - Rael skinął głową. - Ten mit

zawsze mnie dziwił - ciągnął Anu. - Wydawałoby się, że matka Bezaka powinna wiedzieć, czy urodziła bliźniaki.

- Daruj mi mity, Anu.

- Cierpliwości, kwestorze generalny. Żeby dotrzeć do owocu, trzeba najpierw zdjąć skórkę. Chodzi mi o to, że istnieją inne rzeczywistości, równoległe do naszej. Perspektywa Wielkiego Upadku stanęła nie tylko przed nami, lecz również przed mieszkańcami innych światów. Przynajmniej jedna grupa zaakceptowała jednak konkluzje swych mędrców i spróbowała się ratować. Wykorzystali oni całą moc swej cywilizacji, by powstrzymać nadejście fal. Udało im się, lecz nie tak, jak zamierzali. Otworzyli ogromną bramę między rzeczywistościami. Przenieśli swą stolicę i otaczające ją ziemie do naszego świata. Dlatego właśnie przez kilka uderzeń serca na niebie było widać dwa księżyce. Oni są teraz z nami. Daleko za zachodnim morzem. Dowiedz się też, Raelu, że gdy pojawiły się dwa księżyce, zginęły tysiące ludzi z naszego świata. Zostali pogrzebani, gdy owo miasto wraz z okolicznymi wzgórzami oraz górami pojawiło się nad otwartą równiną, miażdżąc ich niczym olbrzymi młot.

Miałeś rację - przyznał Rael. - Gdybyś opowiedział mi to wszystko, zanim ujrzałem dwa księżyce, uznałbym cię za szaleńca. Nawet teraz ledwie mogę w to uwierzyć.

- Miałem wizję - wyjaśnił Anu. - Wiedziałem, co się wydarzy, i wiem, co jeszcze nas czeka. Przed upływem dwóch miesięcy do portu Egaru przybędzie złoty statek. Na jego pokładzie przybędą wysłannicy z zachodu.

- Czy ci ludzie też są Awatarami, takimi jak my?

- Nie takimi jak my, Raelu. Nie czerpią już mocy ze słońca. Jej źródłem są rytualne zabójstwa. To zły lud.

- Jak wielu ich ocalało?

- Tysiące.

- Czy mają łuki zhi?

- Nie, ale stworzyli inne, równie groźne rodzaje broni.

Rael zaklął cicho. Potem wstał, podszedł do konia i dosiadł go szybko.

- Zostało nas niewielu. Awatarowie trzymają się życia resztką sił -

stwierdził. - Otaczają nas wrogowie, którzy jak wilki czyhają na okazję, by nas dobić. - Podjechał do siedzącego Anu i oparł się o łęk siodła. - Liczę na to, że masz dla mnie jakąś dobrą radę, Święty.

- Nie możemy pozwolić, żeby wygrali - odparł Anu - bo wtedy na świecie zapanują ciemność i zło.

- W takim razie znajdź jakiś sposób, żeby ich pokonać.

- Znajdę, gdy piramida będzie już gotowa. Do tego czasu musisz się kierować własnym sprytem, Raelu.

Kilka pierwszych dni w Egaru było trudne dla Sofarity. Wcześniej była w mieście cztery razy z rodzicami i raz z mężem. Zawsze jednak zatrzymywali się tylko na jedną noc, w gospodzie „Pod Krukiem Pokoju”. Ku przerażeniu kobiety, okazało się, że wiosną gospodę zamknięto, i nie miała gdzie się podziać.

Gdy przybyła pod wschodnią bramę i podała swe imię strażnikom, zapadał już zmierzch. Gdyby wiedziała, że gospoda jest zamknięta, zapytałaby ich o drogę. Nie zrobiła tego i teraz siedziała na koniu przed znajomym budynkiem, któremu zabite deskami okna i drzwi nadały zimny, nieprzyjazny wygląd.

Ruszyła w głąb miasta, wypatrując jakiejś gospody, żadnej jednak nie znalazła.

Na ulicach panował coraz większy tłok i mały konik zaczął się niepokoić. Sofarita próbowała go uspokoić, ale nie był przyzwyczajony do tak wielkiego ruchu i hałasu. Nagle między jego nogami przemknął pies i jej koń stanął dęba. Sofarita uczepliła się siodła. Z tłumu wyłoniła się krzepka kobieta w powłóczystej sukni w jaskrawych czerwonych, żółtych i złotych barwach. Złapała konika za uzdę i pogłaskała go po długiej szyi.

- Spokój - powiedziała. - Spokój.

Sofarita jej podziękowała.

- Nie zajedziesz już daleko, dziecko - poinformowała ją krzykliwie odziana kobieta. - Vagarom nie wolno jeździć konno po śródmieściu. Dokąd się wybierasz?

- Chciałabym to wiedzieć. Szukam mieszkania.

- Masz jakieś pieniądze?

- Tak. Trochę.

- No to chodź - powiedziała kobieta. Skręciła w wąską, boczną uliczkę, prowadząc konia za uzdę. Przeszła przez stajnię i wyszła na oświetlony blaskiem latarni plac. Ustawiono tam stoły, na których paliły się świece. Pożywiało się za nimi około dwudziestu ludzi. Pracujące w gospodzie dziewczęta przynosiły im jedzenie i picie na drewnianych tacach.

- Złaż z konia, dziewczyno - poleciała gruba kobieta. Sofarita zsunęła się z siodła. Odjazdy bolały ją plecy i wewnętrzna strona ud.

- Właścicielem tego lokalu jest mój siostrzeniec - poinformowała ją kobieta. - To dobry chłopak. Nikt nie będzie cię tu niepokoił. Skąd pochodzisz?

- Z Pcepty. - Kobiecie wyraźnie nic to nie mówiło. - To rolnicza osada blisko granicy z Erek-jhip-zhonad.

- I szukasz pracy w mieście?

- Tak.

- Najpierw musisz uzyskać pozwolenie. Bez niego nie dostaniesz pracy. Ale, i to właśnie jest najgłupsze, jeśli nie masz pracy, nie dadzą ci pozwolenia.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. To awatarskie prawa, dziecko. Nie są po to, żeby je rozumieć, ale po to, żeby ich przestrzegać.

W drzwiach pojawił się młody krępy mężczyzna. Kobieta zawołała go po imieniu i podszedł do niej.

- Zaprowadź konia do stajni - poleciała - a potem wnieś do środka rzeczy tej dziewczyny.

Wzięła Sofaritę za ramię i poprowadziła ją między stołami do głównego budynku. Tu również siedzieli goście, a z kuchni dobiegała woń pieczystego.

Jakiś wysoki młodzieniec zauważył obie kobiety, uśmiechnął się szeroko i podszedł do nich. Miał na sobie biały fartuch, pobrudzony z przodu sosem.

- Dobry wieczór, ciciu - powiedział. - Przyszłaś sprawdzić, jak stoi

twoja inwestycja?

- Jesteś za chudy, Baj - skarciła go. - Kucharze powinni być tężdy. To sugeruje, że warto jeść przyrządzane przez nich potrawy.

Młodzieniec zachichotał, spoglądając z nieskrywanym uznaniem na Sofaritę. Poczula się przez moment zakłopotana.

- A kim jest twoja nowa dziewczyna, ciociu?

- To nie jest moja dziewczyna. Znalazłam ją na Alei. Szukała noclegu. Pochodzi ze wsi i wygląda na niezepsutą. Dlatego traktuj ją z szacunkiem, Baj, bo inaczej będę się chciała dowiedzieć, dlaczego tego nie zrobiłeś. Możesz też sprzedać jej konia. W Egaru nie będzie miała z niego pożytku, a sądzę, że pieniądze się jej przydadzą. - Spojrzała na Sofaritę. - Nie zgadzaj się na mniej niż dziesięć srebrników. Może nawet dostaniesz piętnaście. - Uważnie przyjrzała się młodej kobiecie. - Ile masz lat? Szesnaście?

- Dwadzieścia dwa - odparła Sofarita.

- Wyglądasz na mniej. Ale pewnie masz już trochę rozumu, a kobietom w mieście zawsze się to przydaje. Opiekuj się nią, Baj. Wpadnę tu, żeby sprawdzić, jak się jej wiedzie.

Gruba kobieta poklepała Sofaritę po ramieniu, a potem odwróciła się i wyszła z gospody. Dziewczynie zakręciło się w głowie, jakby przed chwilą minęła niewielka burza.

- Czy ona zawsze jest taka? - zapytała Baja.

Młodzieniec wyszczerzył zęby w szerokim, dobrodusznym uśmiechu.

- Zawsze - potwierdził. - Chodź, znajdę ci jakiś pokój.

- Poszła za nim do słabo oświetlonego korytarza, a potem wspięła się na rozklekotane schody, gdzie jedynym źródłem światła była wisząca na pierwszym pomoście lampa. - Potem będzie jaśniej - zawołał Baj, oglądając się na nią.

- Każę zapalić więcej lamp.

Schody kończyły się na galerii otaczającej salę jadalną na dole. Baj podszedł do solidnie wyglądających drzwi i otworzył je. Za nimi znajdowała się niewielka sypialnia. Był tam kamienny kominek i maleńkie okienko. Baj zawiesił lampę na haku nad kominkiem.

- Cuchnie tu trochę stęchlizną - przyznał - ale za srebrny grosik nie znajdziesz nic lepszego.

- Miesięcznie? - zapytała. Parsknął niewymuszonym śmiechem.

- Dziennie, śliczna. To jest miasto.

- Każdego dnia? - przeraziła się Sofarita.

- Każdego. Ale dostaniesz do tego trzy posiłki i będziesz tu bezpieczna. Uwierz mi, to specjalna cena. Normalnie dostałbym za ten pokój dziesięć srebrników na tydzień.

- Wezmę go - zgodziła się.
- Zaczekaj chwilę i rozgość się. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Po jego wyjściu Sofarita usiadła na łożku. Materac był cienki, ale koce grube i ciepłe. Po raz pierwszy ogarnęło ją przerażenie z powodu tego, co uczyniła. Porzuciła bezpieczne życie w wiosce, zamieniając je na niepewną egzystencję w środowisku, o którym nic nie wiedziała. Podeszła do okna i spojrzała na siedzących na dole gości. Ich ubrania wydawały się bogate i wspaniałe, znacznie piękniejsze niż jej ręcznie tkane strój. I te kolory: intensywna zieleń, jaskrawe złoto, czerwień i błękit. Jedna z kobiet miała na sobie jedwabną suknię wyszywaną białymi paciorkami. Włosy związała sobie błyszczącym w świetle lamp drutem.

Lisha!

To imię pojawiło się zniemacka w umyśle Sofarity. Razem z nim nadeszła wizja siedzącej na dole kobiety. Nie jadła kolacji, ani nie była bogato ubrana. Siedziała na wytartym dywaniku, tuliła w ramionach martwe dziecko i płakała. Sofaritę zalała fala smutku. Nie pochodził on od niej, lecz od kobiety na dole. Na krótką chwilę zobaczyła to, co widziała tamta - starszego, pulchnego mężczyznę, który wkładał sobie łyżką jedzenie do ust. Uśmiechał się do niej. Między zębami utkwił mu kawałek ciemnego mięsa.

Sofarita zacisnęła powieki, odeszła od okna i omal nie upadła na łożko. Wizja zdumiała ją. Jej dłonie drżały. Po chwili wrócił Baj z zastawioną tacą. Postawił ją na stoliku, który następnie zaniósł do Sofarity. Na tacy znajdował się talerz z pieczystym polanym warstwą sosu, trochę czarnego chleba, spora bryłka masła oraz kawał świeżego sera.

- Zjedz coś - powiedział. - Jesteś bardzo blada.

Z kieszeni fartucha wyjął trzy niedopalone świece. Zapalił je od lampy i rozstawił w małych glinianych kubkach w różnych miejscach izby.

Sofarita odkroiła sobie kawałek mięsa i spróbowała go. Była to pieczona wołowina, bardzo smaczna. Zjadła wszystko, powoli i systematycznie, wycierając chlebem resztki sosu. Potem uniosła wzrok. Baj przykucnął w odległości około pięciu stóp, wspierając łokcie na kolanach, a podbródek na dłoni.

- Bardzo lubię, jak ludziom smakuje moja kuchnia - oznajmił.

- Było pyszne. Ale już nie dam rady zjeść sera. Mogę go zatrzymać na później?

- Oczywiście. Jakiej pracy szukasz? A może masz zamiar zatrudnić się u cioci?

- Nie wiem. A czym zajmuje się twoja ciocia?

- Czym się zajmuje? Nie wiesz tego? - Przyjrzał się jej uważnie, a potem się uśmiechnął. - Pewnie, że nie wiesz. Byłem głupi. A co właściwie potrafisz?

- Wszystko, czym zechcę się zająć - zapewniła. - Sadziłam rośliny, podlewałam je i zbierałam. Umieję szyć, tkąć i haftować. Potrafię strzyc owce i znam mikstury odstraszające muchy plujki. Znam też zioła, które pomagają w gojeniu ran oraz inne, które leczą bóle głowy i łagodzą objawy reumatyzmu. I jestem teraz silna. Mogę ciężko pracować. Ciężiej niż kobiety z miasta.

- Jesteś też szczupła i piękna - zauważył. - Moja ciocia powiedziałaaby ci, że dzięki tym darom możesz zarobić bardzo dużo.

- A jak?

- Ciocia zajmuje się... dostarczaniem rozrywki bogatym i potężnym. Ma duży dom i zatrudnia wiele młodych kobiet. A także mężczyzn.

Nawiedziła ją kolejna wizja. Wielka sypialnia z okrągłym łóżem zasłanym atłasową pościelą. Figlowały na nim dwie kobiety i mężczyzna. Co się z nią działo? Sofarita usiłowała zachować spokój.

- Twoja ciocia prowadzi burdel?

- W rzeczy samej, ale jej pracownice wolały, żeby nazywać je artystkami, nie dziwkami. Mogą w jedną noc zarobić więcej niż ja przez cały tydzień. A znacznie więcej, niż ty zarobisz przez trzy miesiące jako kelnerka albo służąca.

- To znaczy ile?

Ciocia mówiła mi, że to zależy od tego, czego się od nich wymaga, a także od bogactwa i hojności klienta. Innymi słowy, jeśli znajdziesz bogatego mężczyznę, który cię polubi, będziesz mogła zarobić sto srebrników przez jedną noc. Ale bardziej prawdopodobne jest, że będzie to dwadzieścia albo trzydzieści.

- Aż tyle?

- Kusi cię to?

- A nie powinno? Czyżbyś zapomniał mi o czymś powiedzieć?

- Niezupełnie - odparł. - Rzecz w tym, że zajęcie „artystki” nie cieszy się w Egaru szacunkiem. Słyszałem, że w niektórych miastach Błotniaków dziwki uważa się niemal za święte. Patiacy również bardzo je szanują. Ale w vagarskich osadach z reguły się nimi gardzi.

- A czy mogłabym pracować tutaj? Dla ciebie?

- Mogłabyś, ale za to, co tu zarobisz, nie będziesz mogła zbyt długo pozwolić sobie na ten pokój.

- Zastanowię się nad tym - odpowiedziała.

W porcie Egaru zgromadziły się tłumy, przyglądające się przybijającemu majestatycznie do brzegu Wężowi. Niektórzy ze starszych Awatarów mieli łzy w oczach, młodszych zaś ogarnął zachwyty. Zniknęły pokraczne żagle, a okręt nie kołysał się już na falach jak wtedy, gdy był okaleczony. Wpłynął do portu z wielkim spokojem. Większość gapiów stanowili Vagarzy, którzy nigdy w życiu nie widzieli Węża z naładowaną skrzynką. Oniemieli ze zdumienia.

Talaban podpłynął do nabrzeża i marynarze rzucili cumy czekającym robotnikom. Gdy już je przywiązano, kapitan wyłączył moc i okręt zanurzył się głębiej.

Przed upływem godziny kwestor Ro zorganizował zapakowanie i wyniesienie na ład czterech pozostałych skrzynek: trzech naładowanych i jednej pustej. Posprzeczał się z Talabanem, który nie pozwolił zabrać skrzynki napędzającej Węża.

- Jeśli kwestor generalny postanowi znowu okaleczyć okręt, każe ją wymontować - oznajmił. - Do tego czasu zostanie na miejscu.

Skrzynki ostrożnie przeniesiono na czekający na nabrzeżu wóz. Potem Ro rozkazał woźnicy jechać do pałacu. Niski kwestor wdrapał się na kozioł i usiadł obok Vagara. Nie obejrzał się za siebie ani nie pomachał ręką na pożegnanie, gdy wóz zniknął w oddali.

Talaban zwołał załogę, zapłacił wszystkim i rozkazał tym, którzy wychodzili na przepustkę, uważać na zawiadomienia wywieszane u wejścia do portu.

- Niewykluczone, że niedługo wypłyniemy - oznajmił. - Musicie być gotowi.

Talaban i Probierz zostawili na pokładzie zredukowaną do minimum załogę pod dowództwem Methrasa i zeszli na brzeg. Gdy dotarli do bram portu, Talaban przywołał dorożkę, która zawiozła ich do jego domu na Wzgórzu Pięciu Drzew. Dom sąsiedował z wiśniowym sadem. Nie był zbyt duży, miał tylko dziewięć izb. Na pomalowanych białą farbą ścianach nie wisiały żadne ozdoby, a długi, pochyły dach pokrywały dachówki z czerwonej terakoty. Okna zasłaniały drewniane żaluzje, chroniące pokoje przed słonecznym żarem.

Talaban wysiadł i zapłacił dorożkarzowi. Frontowe drzwi były otwarte i kiedy podeszli z Probierzem bliżej, pojawiła się w nich kobieta w średnim wieku, która pokłoniła się Talabanowi.

- Wszystko gotowe, panie - oznajmiła. - Mąż zobaczył okręt. Wywietrzył twoją sypialnię i przygotował łóżko. Woda na kąpiel już się grzeje, a w saloniku czeka posiłek.

- Dziękuję - rzucił Talaban, przechodząc obok niej.

- Był tu posłaniec z pałacu, panie. O zmierzchu spotyka się Rada. Masz się stawić. Przyjedzie po ciebie powóz.

Talaban skinął głową i ruszył do saloniku. Znajdował się on w zachodniej części budynku i wysokie białe łukowate przejście łączyło go z ogrodami oraz położonym dalej sadem. Były tu trzy duże okna i dzięki temu pokój był bardzo jasny. Powietrze przesyciła woń kwiatów z ogrodu: jaśminu i róż, groszku pachnącego i kapryfolium.

Talaban ściągnął buty i usiadł na długiej sofie. Do pokoju wszedł mężczyzna, który pokłonił się nisko. Postawił na stole dzban rozcieńczonego wina oraz dwa kielichy, znowu się pokłonił i wyszedł. Probierz nalał wina kapitanowi, ale nie sobie. Podszedł do stołu i poczęstował się leżącymi tam smakołykami. Były wśród nich świeże owoce, solone mięso - szynka, wołowina i mięso gołębia - różne rodzaje sera oraz bochen świeżo upieczonego chleba.

- Dobre - stwierdził.

Wrócili mężczyzna i kobieta. Oboje się pokłonili.

- Kąpiel gotowa, panie - oznajmiła kobieta. - Czy będziesz jeszcze czegoś potrzebował?

- Nie. Już wam dziękuję - odparł. Wstał i wręczył obojgu po dwie srebrne monety. Pokłonili się znowu i opuścili dom.

- Nie lubisz, jak umierają - odezwał się Probierz.

- Słucham?

- Służący. Patrzysz, jak się starzeją. Wtedy smutny jesteś. Widziałem twoje życie. Kiedy lecieliśmy.

Talaban skinął głową. To była prawda. Pierwsi służący, jakich miał w Egaru - mężczyzna i jego żona - spędzili z nim dwadzieścia pięć lat. Polubił ich. Kiedy kobieta zachorowała, Talaban ją uzdrowił. Wiadomość się rozeszła i wezwano go przed Radę. Prawo zabraniało Awatarom pomagać niższym rasom za pomocą magii kryształów. Rozkazano mu ich odprawić. W przeciwnym razie kobietę skazano by na śmierć. Od tej pory wynajmował służących na krótki czas.

Probierz żarłocznie pochłaniał posiłek. Talaban wstał z sofy i przeciągnął się.

- Idę się wykapać - oznajmił.

Leżąc w pachnącej wodzie, znowu pomyślał o Chryssie, o jej radosnym usposobieniu i o tym, jak zachwycało ją wszystko, co widziała: wiosenne kwiaty w blasku słońca, biały gołąb o zmierzchu, światło księżyca tańczące nocą na powierzchni morza.

Jego umysł wypełniło wspomnienie dwóch księżyców, a także migotliwej postaci Jednookiego Lisa. Nie powiedział Probierzowi o tym, że go widział. Jeszcze nie. Musiał najpierw to sobie przemyśleć.

Wyszedł z wanny i wytarł się do sucha. Potem ukląkł na dywaniku i przeprowadził powoli umysł przez Sześć Rytuałów.

Przed upływem godziny wdział tunikę z ciemnoniebieskiego jedwabiu wyszywaną srebrną nicią a na długie, ciemne włosy nałożył srebrny diadem z białym kamieniem księżycowym. Całości dopełniały wysadzany klejnotami pas, u którego wisiał nóż myśliwski o czarnej rękojeści ozdobionej srebrnym drutem, rajtuzy z białej wełny oraz sięgające kolan buty z posrebrzanej jaszczurczej skóry.

Probierz uśmiechnął się na jego widok. Talaban zauważył w oczach dzikusa drwiący błysk.

- To pałacowy strój - tłumaczył się lekko zmieszany.

Probierz skinął głową.

- Bardzo ładny.

- Chyba sobie przypominam, że kiedy brałeś ślub z Suryet, miałeś na sobie płaszcz z orlich piór i czapkę wyszywaną paciorkami. A na członku futerał z muszelek. Do tego pomalowałaś sobie usta na biało. Ja też widziałem twoje wspomnienia.

- To co innego - sprzeciwił się Probierz. - Orle pióra mają w sobie wielką magię. Muszelki pomagają na męskość.

- To wszystko kwestia stylu - mruknął Talaban, poprawiając tunikę.

- Bardzo ładny - powtórzył dzikus z gromkim śmiechem.

Talaban potrząsnął głową z uśmiechem. Z Probierzem nie sposób było się spierać.

- Kiedy wrócę, musimy porozmawiać.

- O powrocie do domu?

- O Jednookim Lisie.
- Obudź mnie, to porozmawiamy.

Powóz przybył na czas i Talaban usiadł z tyłu. Po drodze przyglądał się miastu. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat rozrosło się niemal dwukrotnie. Wiele starszych budynków, stojących na pięciu wzgórzach, na których pierwotnie zbudowano Egaru, było pięknych, ale większość nowych wzniesiono z wypalanych w ogniu cegieł. Na wąskich uliczkach ludnych dzielnic gnieździła się populacja robotników: garncarze, piekarze, murarze, tkacze, cieśle, służący i wielu innych. Vagarzy byli obecnie stukrotnie liczniejsi od swych awatarskich panów. I ta dysproporcja będzie narastać.

Talaban popadł w ponury nastrój. Powóz mknął dalej, wjeżdżając przez stary kamienny most do awatarskiego centrum miasta.

Tutaj budynki prezentowały się zdecydowanie lepiej. Wielkie gmachy miały frontony ze wspaniale obrobionego marmuru, z pięknymi posągami po bokach. Były tu fontanny, sztuczne jeziora i parki, w których wytyczono kręte ścieżki. Powóz wyjechał na szeroką aleję, a potem minął Bibliotekę i Muzeum Starożytności. Obie te budowle wzniesiono w latach świetności dawnego imperium. Potężne, osiemdziesięcotonowe bloki kamienia ustawiała na miejscu garstka robotników posługujących się legendarną muzyką Pierwszego Awatara. Talaban widział coś takiego w Parapolis, gdy był jeszcze dzieckiem. Najpierw kwesor grał prostą melodyjkę na długim flecie. Potem odzywały się trąbki. Awatarscy murarze brali się do pracy, poruszając się w pełnej harmonii z muzyką. Podnosili olbrzymie bloki tak łatwo, jakby były workami zboża. Wokół placu budowy gromadzili się gapie, którzy podziwiali niezwykłą magię i słuchali muzyki.

Biblioteka była ogromna. Potężny kamień nadproża nad wejściem do niej wspierał się na barkach dwóch wysokich na trzydzieści stóp posągów. A na kamieniu umieszczono pomnik ostatniego Pierwszego Awatara siedzącego na masywnym tronie. Postać wyciągała ręce do swego ludu. Pierwotnie miało to oznaczać, że choć wyniesiono go ponad innych, stało się to z woli powszechnej. Dlatego podtrzymywało go dwóch Vagarów. W oczach Talabana obecnie pomnik podkreślał tylko fakt, że awatarska władza jest dla

Vagarów wielkim ciężarem.

Powóz jechał dalej. Po pięknie ułożonych kamiennych chodnikach spacerowały setki przechodniów, zatrzymujących się przed wystawami licznych sklepów. Ludzie byli tu lepiej ubrani. Większość stanowili Vagarzy, rodziny bogatych kupców.

Wielu Awatarów uważało vagarską klasę kupiecką za swych najlepszych sojuszników wśród niższych gatunków. Talaban jednak nie dał się nabrać. To kupcy najbardziej pragnęli końca awatarskich rządów. Gdyby przejęli pełną kontrolę nad handlem, ich zyski znacznie by wzrosły.

Powóz jechał dalej. Talaban widział już zarys pałacu na tle nocnego nieba. W jego oknach paliły się jasne światła, co oznaczało, że zainstalowano tam już jedną ze skrzynek. Pałac zbudowano przed dwustu laty. Zaprojektowali go awatarscy architekci. W owych czasach imperium miało jeszcze środki oraz energię potrzebne do urzeczywistnienia takich projektów. Zapewne był to najwspanialszy budynek, który ocalał przed lodem. Jego dach wyłożono złotymi płytami, a mury ozdobiono niezliczonymi posągami oraz scenami z awatarskiej historii.

Potężna brama z brązu była otwarta. Dwóch awatarskich wartowników wpuściło powóz do środka.

Powóz się zatrzymał i Talaban wysiadł. Potem wszedł na schody, zmierzając ku masywnym dwuskrzydłowym drzwiom. Były tu sześćdziesiąt cztery stopnie, podzielone przez symbole na osiem grup reprezentujących podróż życia. Poczęcie, narodziny, dojrzewanie, pełnoletniość, dojrzałość, mądrość, duchowość i śmierć.

Po obu stronach schodów rozmieszczono posągi. Ich królewskie oblicza pozostawały zawsze niezmiennie, a pozbawione wyrazu oczy spoglądały obojętnie na przechodzących śmiertelników. Bohaterowie i nauczyciele, mistycy i poeci. Na marmurze obok nich uwieczniono ich imiona oraz dokonania.

Talaban zatrzymał się przed posągiem Varabidisa, poety oraz mistyka, twórcy Sześciu Rytuałów. Statua wyobrażała młodego mężczyznę unoszącego w górę gołębia, który rozkładał skrzydła do lotu. Poniżej umieszczono

inskrypcję: Ptak nie wspomina przeszłości, ale leci z nadzieją w przyszłość.

To już nie jest prawda, pomyślał Talaban.

Gdy już znalazł się w środku, vagarski sługa zaprowadził go do przestronnej poczekalni pod komnatami Rady. Pod ścianami ustawiono tu sofę oraz miękkie fotele, a na trzech długich stołach czekały wino i przekąski. Większość radnych była już obecna. Gruby Caprishan, odziany w powłóczystrą srebrną szatę, siedział przy zachodnim oknie, zajęty rozmową ze swymi współpracownikami. Niclin, najbogatszy i w związku z tym najpotężniejszy z radnych, stał pod wysoką galerią, gawędząc swobodnie z kilkoma kolegami.

Talaban rozejrzał się po sali. Nigdzie nie było kwestora Ro.

W jego polu widzenia pojawiła się wysoka szczupła postać.

- Dobry wieczór, kuzynie. Słyszałem, że miałeś ciekawą podróż.

Viruk był odziany w tunikę z ciężkiego czarnego jedwabiu, wyszywaną srebrną nicią. Włosy i brodę miał świeżo wymyte i naoliwione. Nie wziął ze sobą broni.

- Dobry wieczór, Viruku - odparł Talaban. - Jestem pewien, że życie tutaj również nie było nudne, przynajmniej dla ciebie.

- W rzeczy samej, nie było. Ale nie zaprzatajmy sobie głowy moimi skromnymi poczynaniami. Ty jesteś bohaterem chwili. Dzięki tobie panowanie Awatarów jest zapewnione jeszcze na kilka lat.

Talaban spojrział w jasnozielone oczy rozmówcy.

- Dobrze by było w to uwierzyć - stwierdził.

- Zawsze byłeś dyplomata, Talabanie. Słyszałem o waszym spotkaniu z kralami. Czy rzeczywiście są takie straszliwe, jak opowiadają?

- Są szybkie i śmiertelnie groźne.

- Chciałbym kiedyś takiego zabić. Być może wyruszę z tobą na następną wyprawę.

- Twoje umiejętności byłyby bardzo użyteczne, ale decyzja w tej sprawie należy do kwestora generalnego.

Drzwi do Sali Obrad otworzyły się szeroko. W tej samej chwili pojawił się kwestor Ro. Nie odzywając się do nikogo ani słowem, ruszył ku swemu miejscu.

- Pewnie wszyscy będziemy musieli teraz wysłuchać pompatycznego gładzenia tego konusa - poskarżył się Viruk.

- Zasłużył sobie na to, żeby nas zdrowo pozanudzać - stwierdził Talaban.

Viruk zachichotał i położył dłoń na jego barku.

- Lubię cię. Naprawdę. - Przerwał i uśmiech zniknął z jego twarzy. - Mój astrolog mówi, że pewnego dnia stoczymy walkę na śmierć i życie.

- Miejmy nadzieję, że to kiepski astrolog - odparł z uśmiechem Talaban. - Ale jeśli tak nie jest, możesz być pewien, że pochowam cię z pełnymi honorami.

Viruk ryknął głośnym śmiechem.

- Naprawdę cię lubię, Talabanie - rzekł.

Rozdział czternasty

Viruk sprawiał wrażenie, że uważnie słucha przemawiającego do Rady kwestora Caprishana. W rzeczywistości jednak porównywał go z nieżyjącym królem Patiaków. Obaj byli odrażająco grubi i obłudnie uprzejmi. Wyobraził sobie, jak wyglądałoby otyłe cielsko Caprishana trafione impulsem z łuku zhi. Uśmiechnął się na tę myśl. Tłuszcioch zauważył ten uśmiech i zająknął się.

- Bawią cię moje słowa, kuzynie? - zapytał.

- Wybacz, kuzynie. Po prostu cieszyłem się twoją retoryką.

Viruk uśmiechnął się ujmująco.

Caprishan odwzajemnił uśmiech, po czym znowu skupił się na swej przemowie. Wokół stołu zasiadło trzydziestu radnych oraz dwóch awatarskich skrybów sporządzających notatki. Viruk przyjrzał się kolejno twarzom słuchających Caprishana ludzi. Grubas był bardzo bogaty i dzięki temu miał wielu przyjaciół. Co najmniej ośmiu obecnych tu dygnitarzy będzie głosowało za wszystkim, co zaproponuje. Viruk przeniósł spojrzenie na prawą stronę, gdzie siedział szczupły Niclin. Radny wspierał podbródek na złożonych w piramidkę dłoniach. Rzedniejące włosy zaczesał mocno do tyłu i związał srebrnym drutem w kucyk. On również był potężnym człowiekiem. Mógł liczyć na głosy być może dziesięciu członków Rady. Trzy krzesła dalej siedział kwestor Ro. Był prawie tak samo bogaty jak Caprishan i równie sprytny jak Niclin, powinien więc cieszyć się szerokim poparciem. Tak jednak nie było, gdyż większość Awatarów nie lubiła jego pompatyczności. Ro był inteligentny, ale zimny i słabo rozumiał ludzką naturę. Viruk jednak go lubił. Ponownie przeniósł swą uwagę na Caprishana, by wysłuchać zakończenia jego przemowy.

- Chciałbym z całą mocą podkreślić, że jeśli Anu ma rację i ci przybysze są Awatarami, powinniśmy przywitać ich ciepło. Razem będziemy mogli zapewnić panowanie Awatarów na najbliższe stulecia. Dzieląc się z nimi wiedzą, moglibyśmy nawet posunąć naprzód naszą cywilizację.

Kwestor generalny wstał z miejsca.

- To zależy od tego, czy uważają się za równych nam, czy za lepszych od nas, kuzynie.

- Nikt nie jest od nas lepszy, kwestorze generalny - wtrącił Niclin.

- Oni mogą być takiego samego zdania o sobie - zauważył Rael. - Nie możemy jednak przygotować adekwatnego planu działania, dopóki się nie dowiemy, czy przybysze są wrogo nastawieni. Na razie kazałem naładować wszystkie łuki zhi i zwiększyć nabór do vagarskiej armii. Przejdźmy jednak do radośniejszych wieści, do triumfalnego powrotu naszego kuzyna Ro. Jak już wszyscy z pewnością słyszeliście, udało mu się wypełnić mocą cztery skrzynki. Dzięki temu właśnie mamy tu jasne światła oraz możliwość naładowania naszej broni. - Spojrzał na Ro i pokłonił się lekko. - Być może zechcesz nam teraz opowiedzieć o ekspedycji.

Ku zaskoczeniu Viruka przemowa Ro nie była pompatyczna, lecz krótka i zwięzła. Ekspedycja zakończyła się sukcesem, ale dalsze wyprawy nie przyniosą już rezultatów. Były dwa powody. Po pierwsze, erupcja wulkanu zniszczyła linię, a po drugie, i znacznie ważniejsze, zasoby energii Białej Piramidy były już niemal całkowicie wyczerpane. Ro nie wspomniał o walce z kralami ani nie przypominał radnym, że wielu z nich wątpiło w jego umiejętność osiągnięcia komunii. To było dziwnie stonowane wystąpienie, które wszystkich zaskoczyło.

Gdy Ro usiadł, zapadła cisza. Rael obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem, a potem wstał i zaczął bić brawo. Reszta radnych podążyła za jego przykładem. Ro przysłuchiwał się obojętnie aplauzowi. Gdy ten wybrzmiał, kwestor generalny skinął na Talabana, nakazując mu złożyć raport. Oficer przemówił, nie wstając z krzesła.

- Nie mogę wiele dodać do relacji szanownego kwestora. Wielu vagarskich robotników straciło życie podczas ataku stworzeń znanych jako krale. Udało się nam je odeprzeć dzięki wysiłkom kwestora Ro, mojego zwiadowcy Probierza oraz moim. W drodze powrotnej obyło się bez poważniejszych incydentów, pomijając pojawienie się dwóch księżyców. Zgadzam się z kwestorem Ro, że dalsze wyprawy na południe nie miałyby sensu. Erupcja była kolosalna i szanse odnalezienia w tamtym regionie nowej

linii wydają się minimalne. Niemniej jednak dzięki jego determinacji i zdolności przewidywania Wąż dysponuje obecnie pełną mocą. Sugerowałbym, żeby pozostawić skrzynkę na okręcie. Wiemy, że nowi Awatarowie zamierzają przepłynąć ocean. Musimy założyć, że ich okręty mają napęd podobny do naszego. Uważam, że byłoby błędem, gdybyśmy pozbawili się możliwości walki z nimi na morzu.

- Nie zgadzam się - odezwał się Niclin. - Mamy zaledwie cztery skrzynki. Jak rozumiem, jedną przekazano kwestorowi Anu, dla celów, których kwestor generalny nie raczył nam wyjaśnić. Drugiej używa się do ładowania broni. A teraz chcesz, żeby pozostawić trzecią na okręcie, który może zostać zatopiony podczas bitwy. Nie! Uważam, że skrzynki powinno się przenieść do miasta, gdzie można ich będzie pilnie strzec. Są zbyt cenne, żeby je narażać.

Z całym szacunkiem, radny - sprzeciwił się Talaban z przyjaznym uśmiechem - mam wrażenie, że zapominasz o znaczeniu demonstracji siły. Jeśli ci przybysze przypominają nas choć trochę, będą aroganccy, przekonani o swej wyższości i o boskim prawie do sprawowania władzy. Pomyślcie tylko, co mogłoby się zdarzyć, gdyby to nam udało się w jakiś sposób umknąć przed kataklizmem do innego świata, gdyby nasze imperium było niemal nienaruszone, a stolica uniknęła strat. Wypłynęlibyśmy naszymi Wężami na nowe oceany, szukając nowych ras i podbijając je, tak jak robiliśmy to zawsze. Wyobraźmy też sobie, że znaleźlibyśmy ludzi podobnych do nas, ale ich źródła mocy byłyby wyczerpane, a do tego nie mieliby armii, okrętów ani żadnych środków obrony. Czy przywitalibyśmy ich jak braci? Nie sądzę. Przybysze nie będą w pierwszej chwili wiedzieli, że został nam tylko jeden Wąż. Powinni zobaczyć go w pełni bojowej chwały. Wtedy być może uznają nas za równych sobie.

- Zgadzam się z Talabanem - poparł go kwestor Ro. - To trafna analogia. Jesteśmy aroganccy i mamy do tego pełne prawo. Niemniej jednak stoimy przed nieznanym niebezpieczeństwem. Wąż powinien być gotowy do walki, choć wolno nam modlić się o to, by okazało się to niepotrzebne.

- Być może powinniśmy poddać tę kwestię pod głosowanie - zaproponował Niclin.

- To nie będzie konieczne - oznajmił Rael. - To decyzja o charakterze militarnym i w związku z tym wchodzi w zakres moich wyłącznych kompetencji. Skrzynka zostanie na Wężu. Na razie.

Niclin uniósł rękę.

- Jak sobie życzysz, Raelu, ale nim przejdziemy do następnych punktów, chciałbym zadać jedno pytanie. Kapitanie... czy to prawda, że uderzyłeś na lodzie kwestora Ro? Uderzyłeś go na oczach Vagarów?

Viruk nie słyszał takich pogłosek. Był zafascynowany. Zerknął na Talabana i zauważył, że jego twarz stężała.

- Kwestor i ja walczyliśmy z kralami - zaczął Talaban. - Potem nastąpiła erupcja. Pobiegłem na pomoc kwestorowi, który potknął się, gdy w ziemi pojawiła się szczelina. Podtrzymałem go. Nie wiem, jak można to uznać za cios, ale być może z daleka tak to wyglądało.

- A więc utrzymujesz, że go nie uderzyłeś?

Viruk zauważył, że kapitan się zawahał.

- Z pewnością lepiej byłoby zapytać o to samego kwestora - odpowiedział Talaban. - Chciałbym jednak poznać pochodzenie tej... dziwacznej opowieści.

- Marynarz z twojego okrętu opowiedział o tym przyjacielom w piwiarni - wyjaśnił Niclin. - Na szczęście, mówił wystarczająco głośno, by usłyszał go oficer straży. Aresztowano go, przesłuchano, a o świcie wyszano na kryształach. Obecnie przesłuchiwanie są inni członkowie załogi. Jeśli okaże się to konieczne, wszyscy zostaną wyszani.

- Chyba wolę słowo zamordowani - oznajmił zimno Talaban. - I to się nie zdarzy. Zostaną natychmiast zwolnieni.

- Ta decyzja nie należy do ciebie - warknął Niclin. Twarz radnego poczerwieniała. Viruk uśmiechnął się. Niclin ze wszystkich sił starał się zapanować nad nerwami.

- To prawda. Należy do mnie - oznajmił stanowczo Rael.

- Czy ktoś jeszcze ma coś do dodania?

- Kwestorze generalny - odezwał się gruby Caprishan - z pewnością powinniśmy poprosić kwestora Ro o potwierdzenie bądź zaprzeczenie

prawdziwości tej opowieści. Jeśli jest ona prawdziwa, to całą vagarską załogę należy wyssać na kryształach.

- To trafna uwaga, kuzynie. Dziękuję, że ją zgłosiłeś - powiedział Rael. Spojrzał na Ro, prosząc go gestem o zabranie głosu.

Kwestor Ro milczał przez chwilę. Potem spojrzał na Talabana.

- Kapitan uratował mi życie. Zginąłbym, gdyby nie on. To właśnie wyczytacie w moim raporcie. Nie mam nic więcej do dodania.

- Każę zwolnić marynarzy - oznajmił Rael. - A teraz przejdźmy do następnego punktu obrad. Większość z was z pewnością wie już o fortunnej śmierci Judona z Patiaków. Jestem przekonany, że ten fakt zapobiegł groźbie natychmiastowej rewolty. Mamy jednak inne wewnętrzne problemy. W pięciu miastach działa grupa, która nadała sobie nazwę pajistów.

Pajiści są odpowiedzialni za śmierć kwestora Baliela i sądzimy, że stoją też za atakami na wybitnych vagarskich obywateli, którzy wykazali się wielką lojalnością wobec naszych rządów. Rozpoczęliśmy obecnie obławę na ich przywódców, ale musicie pamiętać, przyjaciele, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Żaden z radnych nie powinien chodzić po mieście bez strażników. Musimy też zwiększyć środki bezpieczeństwa w naszych domach i miejscach pracy. Osobiście poddałem przesłuchaniu trzech ludzi. Nie zdradzili imion przywódców nawet na torturach. Dowiedzieliśmy się jednak, że ataki będą się nasilać.

- Kto finansuje tę grupę? - zapytał Caprishan. - Czy to wiemy?

- Jeszcze nie - odparł Rael - ale możemy bezpiecznie założyć, że otrzymują wsparcie Erej-jhip-zhonad.

- Chcesz, żebym zabił ich króla? - zapytał Viruk.

- Jeszcze nie, kuzynie. Mamy już wystarczająco wielu wrogów. Na tym etapie musimy być ostrożni. Ataki na Awatarów nie mogą się kończyć sukcesem. Sprawujemy rządy nad wrogo nastawioną ludnością. Gdy tylko tubylcy zaczną w nas widzieć nie władców, lecz cele... - Nie dokończył zdania.

- Trzeba znaleźć tych ludzi. Szybko - stwierdził Niclin.

- Znajdziemy ich - zapewnił Rael. - Obecnie poszukujemy tubylca, który najprawdopodobniej jest kurierem. To bardzo stary białowłosey

mężczyzna, który podróżuje w towarzystwie złotowłosego dziecka. Dotarli do nas informacje, że to on dostarcza grupie rozkazy, a także złoto. Udaje kupca. Nasi agenci przeczesują obecnie miasto w jego poszukiwaniu. Kiedy go znajdziemy, zaprowadzi nas do przywódców.

- A czym on handluje? - zapytał Viruk. Opuścił go dobry humor. Znał odpowiedź, zanim jeszcze ją usłyszał.

- Ponoć winem - odparł kwestor generalny.

Pierwsze odruchy zawsze są słuszne, pomyślał Viruk. Trzeba było poderżnąć mu gardło. Westchnął. Ta wiadomość nieodwracalnie zepsuła mu dzień. Nic już tego nie naprawi. Oparł się wygodnie na krześle, starając się sprawiać wrażenie zainteresowanego rozmową o pobieraniu podatków. Zerknął na Talabana, zadając sobie pytanie, czy kapitan jest rzeczywiście zajęty debatą czy też nudzi się tak samo jak on.

Nie sposób było tego określić. Smagła twarz Talabana niczego nie wyrażała. Wpatrywał się w mówiącego. Viruk przeniósł wzrok na Caprishana, który wyjaśniał obecnym problemy ze ściąganiem podatku od plemion. Jego liczne podbródki drżały, a twarz zalewał pot. Viruk przyglądał się, jak jedna strużka dotarła do podbródków i spłynęła w dół jedną z bruzd. Stłumił ziewnięcie.

Gdy zebranie wreszcie się skończyło, z radością udusiłby wszystkich obecnych. Rael zaproponował im przekąski, ale Viruk odmówił i opuścił pałac, zamierzając wrócić do domu na piechotę. To była z górą mila drogi, ale noc była pogodna, a powietrze chłodziło mu twarz. W przeciwieństwie do pozostałych miał nadzieję, że nowi Awatarowie okażą się wrogo nastawieni. Być może wreszcie znajdzie nieprzyjaciół godnych swoich talentów.

Zabójstwo grubego króla sprawiło mu przyjemność. Z radością patrzył, jak impuls z łuku zhi rozsadził mu plecy, spryskując kwiaty krwią i odłamkami kości. Ach, prawda, pomyślał, kwiaty. Jak się nazywały...? Gwiazdne płatki? Gwiazdne kwiecie? Nie. Gwiazdy nieba. Tak jest. Śliczne roślinki. Nadal pamiętał ich zapach, delikatny i lekki. Jutro opowie o nich Kacowi i każe mu zasadzić je pod oknem sypialni.

Viruk przeszedł na drugą stronę szerokiej alei i skręcił w prawo,

w wąską ulicę Pilarską. O tej godzinie nikt nie pracował, ale czuło się tu jeszcze woń świeżo ciętego drewna. Na ulicy było ciemno i Viruk wdepnął w końskie łajno. Powietrze wypełnił paskudny smród. Awatar chciał wytrzeć but o ziemię, gdy nagle usłyszał za plecami jakiś szelest. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał nóż lśniący w blasku księżyca. Zablockował cios przedramieniem i uderzył pięścią w szczękę przeciwnika. Mężczyzna zachwiał się i upadł. Viruk uskoczył w prawo, gdy z pobliskiego zaułka wypadł drugi napastnik, uzbrojony w miecz. Awatar cofnął się.

- Wzięliście mnie za kogoś innego? - zapytał jak zwykle miłym głosem.

- Wiemy, kim jesteś - odparł drugi z mężczyzn, posuwając się powoli naprzód. Miał na sobie ciemne ubranie, a dolną połowę twarzy zasłaniała mu chusta. Pierwszy napastnik zdążył już się podnieść i próbował bokiem zająć Viruka z prawej. - Jesteś Viruk Zabójca - ciągnął mężczyzna z mieczem. - Viruk Szaleniec.

- Szaleniec? To było bardzo nieuprzejme - oznajmił Viruk. - Chyba zabiję cię za to twoim własnym mieczem.

Napastnik uzbrojony w nóż rzucił się do ataku. Viruk wyszedł mu naprzeciw, uchylając się przed nieudolnie wyprowadzonym ciosem. Potem zdzielił go łokciem w twarz. Mężczyzna zatoczył się do tyłu ze stłumionym krzykiem. Drugi z przeciwników ciął mieczem, celując w głowę Viruka. Awatar pochylił się, a potem skoczył na niego. Uderzył barkiem w brzuch przeciwnika i zwałił go z nóg. Obaj ciężko runęli na ziemię. Viruk uniósł się lekko i uderzył napastnika trzy razy w twarz. Potem złapał go za włosy i dwukrotnie grzmotnął jego głową o ziemię. Mężczyzna jęknął. Viruk wstał, wrywając mu miecz z rąk.

- Żalotne - skwitował. - Naprawdę żalotne.

Odwrócił się, przeszywając mieczem powietrze. Trafił prosto w szyję pierwszego z napastników, który próbował zająć go od tyłu. Ostrze przecięło skórę, ścięgna, kręgi oraz obie żyły szyjne. Głowa opadła w prawą stronę. Mężczyzna runął na ziemię.

Drugi napastnik zdołał się podźwignąć na kolana.

- Nie! - krzyknął, gdy jego przyjaciel zginął.

- Nie? - powtórzył Viruk. - Trzeba było powiedzieć „nie”, zanim podjęliście tę śmieszną próbę. Nie czułbym się urażony, gdyby nie fakt, że wiedzieliście, kim jestem. Nie masz nawet pojęcia, co to za zniewaga. Dwóch takich jak wy! - Przykucnął obok klęczącego mężczyzny i zerwał mu chustę z twarzy. Twarz napastnika była młoda, prawie chłopięca. - Jak rozumiem, jesteście pajistami.

Młodzieniec skinął głową. Nagle w jego oczach pojawił się błysk.

- Tak. I z dumą zginiemy za sprawę. Może i nie byłem wystarczająco dobry, żeby cię zabić, ale któregoś dnia ktoś to uczyni. Ktoś zgładzi ciebie i cały wasz plugawy rodzaj.

- Być może - zgodził się Viruk. - A może tak zechciałbyś mi powiedzieć, kto cię wysłał?

- Nigdy!

- Tak też sądziłem - rzekł Awatar z szerokim uśmiechem.

- To znacznie upraszcza sprawę. - Uniósł nagle miecz i wbił go w brzuch młodzieńca z taką siłą że sztych wyszedł plecami.

- Boli, prawda? - zapytał. Pajista zawył i osunął się w ramiona zabójcy. Viruk pocałował go w policzek i odepchnął na bok.

Kiedy się wyprostował, przypomniał sobie o pobrudzonym bucie. Wytarł go o ubranie umierającego młodzieńca i skierował się w stronę pałacu, by zameldować o ataku.

Kwestor generalny przysłał na miejsce drużynę żołnierzy, lecz ktoś zdążył zabrać ciała przed ich przybyciem.

- Pamiętasz, jak wyglądali? - zapytał Rael Viruka, który wycierał gąbką krew z czarnej jedwabnej koszuli.

- Byli młodzi i niewiele potrafili - odparł Viruk. - Ale czekali specjalnie na mnie. Jeden z nich to przyznał. Nazwał mnie Virukiem Zabójcą. Nie potrafię uwierzyć, że wysłali tylko dwóch. Myślisz, że chcieli mnie obrazić?

- Było ich więcej niż dwóch - stwierdził Talaban, podchodząc bliżej. - Ktoś musiał im towarzyszyć. W przeciwnym razie nie zdążyliby zabrać ciał.

- Ach - stwierdził Viruk. - Chyba tak. Wysłali trzech, ale jeden z nich okazał się tchórzem. Niemniej trzech nadal zakrawa na zniewagę.

- Nie miałeś broni, Viruku - przypomniał mu Rael. - Zapewne uważali, że trzech wystarczy.

- Pewnie masz rację - zgodził się Viruk. - Mam jeszcze krew na koszuli?

- Chyba wytarłeś już całą - odparł Rael. - Przychodzi ci do głowy coś jeszcze. Cokolwiek?

Viruk zastanowił się nad tym pytaniem, wspominając cały incydent.

- Nie - odpowiedział po chwili. - Wypadli z ciemności. Wszystko skończyło się bardzo szybko.

- Idź do domu wypocząć, kuzynie - powiedział Rael. - Ale tym razem zabierz miecz.

- To głupiec - stwierdził Talaban po odejściu Viruka. - Powinien zachować tego z mieczem przy życiu. Wtedy moglibyśmy go przesłuchać.

- Jak sam powiedział, wypadli z ciemności - przypomniał Rael.

Talaban potrząsnął głową.

- Nie miał broni. Zabrał miecz jednemu z napastników i zabił nim drugiego. To znaczy, że ten pierwszy pozostał bez broni. Mógł go pojmać.

- Wiem o tym! - warknął Rael. - Ale Viruk nie potrafi myśleć. Lubi zabijać. To jego talent i jego obsesja. Ale skoro już mówimy o głupcach, Talabanie, to rozważmy raport, który złożyłeś radnym. Czy twoim zamiarem było narobić sobie tutaj wrogów? Mówiłeś o arogancji, a twoje podsumowanie cech Awatarów było obraźliwe. Jak to ująłeś? „Jeśli ci przybysze przypominają nas choć trochę, będą aroganccy, przekonani o swej wyższości i o boskim prawie do sprawowania władzy”. To właśnie rozgniewało Niclina tak bardzo, że chciał skazać twoją załogę na śmierć. Gdyby kwestor Ro cię nie poparł, doszłoby do tego.

- Powiedziałem prawdę.

Też coś! Prawda. Dlaczego ludzie uparcie wierzą, że prawda jest jak kryształ, twarda i niezmienna? To, co uważasz za arogancję, inni nazywają dumą. Chcesz poznać prawdę? To niemożliwe, gdyż jest ona kwestią opinii. To tak, jak z piękną kobietą. Tam, gdzie jeden mężczyzna widzi kurwę, inny dopatruje się anioła. Powiedziałeś radnym o naszej arogancji, a oni przyjrzeni

ci się i co zobaczyli? Być może człowieka, który gardzi własnymi rodakami.

- To nieprawda! - oburzył się Talaban.

- Znowu mówisz o prawdzie. Co chciałeś przez to powiedzieć? Że Niclin nie uważa tego za prawdę, czy że ty nie sądzisz, żeby to była prawda? - Uniósł rękę, by powstrzymać Talabana, który chciał mu odpowiedzieć. - To nie ma znaczenia. Radni widzą w tobie człowieka, który wyrzeka się wyglądu Awatara. Gdzie jest błękit w jego włosach? Dlaczego nie chce wyglądać jak jeden z nas? Czy się wstydzi? A może wie, że jest Vagarem? Czy opowieści o jego matce są prawdziwe? I znowu wracamy do słowa „prawda”. Coś ci powiem. Mam już po dziurki w nosie prawd innych ludzi! Nie zrozum mnie źle, Talabanie. Bardzo cię cenię. Dlatego właśnie cię popieram. Musisz jednak sobie uświadomić, że jesteśmy obłożoną rasą. Żyjemy pod nieustanną groźbą zagłady. Taka sytuacja sprzyja paranoi.

- Masz rację - przyznał cicho Talaban. - Faktycznie gardzę tym, czym się staliśmy. Kiedyś władaliśmy światem. A teraz jesteśmy pasożytami, wysysającymi krew Vagarów. Nasz wkład jest niewielki.

Rael parsknął gromkim śmiechem.

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że naszym wkładem jest przyczynianie się do stabilizacji całego regionu. Jesteśmy ich wrogami. Dajemy im powód, by się zjednoczyć. Bez nas trwałyby tu ciągłe wojny plemienne, powodujące wielkie zniszczenia. Dopóki spoglądają na nas z nienawiścią, panuje pokój.

- Powiedziałaś, że mógłbyś mi tak odpowiedzieć - zauważył z uśmiechem Talaban. - Jak rozumiem, sam w to nie wierzysz.

Nikomu nie mówię, w co wierzę - odparł Rael. - Jestem kwestorem generalnym. Czy wiesz, dlaczego Ro cię poparł?

- Nie wiem. To było dla mnie niespodzianką.

- A nie powinno. Poparł cię dlatego, że Niclin domagał się śmierci twojej załogi. Ro nienawidzi Niclina. To bardzo proste. Wiem, że go uderzyłeś, bo przyszedł do mnie i zażądał, żeby całą twoją załogę wyssać na kryształach. Poprosiłem go, żeby zaczekał z tą kwestią do zebrania, a potem dopilnowałem, żeby powiadomiono Niclina o tym incydencie. Gdyby to Ro wystąpił o skazanie twoich ludzi na śmierć, Niclin by się temu sprzeciwił.

- Dziękuję - powiedział Talaban. - Po raz kolejny jestem twoim dłużnikiem.

- Jesteś inteligentnym człowiekiem, Talabanie, ale twoim przekleństwem, czy może błogosławieństwem, jest romantyczne usposobienie. Dostrzegasz niepodważalne prawdy tam, gdzie w rzeczywistości są tylko lotne piaski. Pod wieloma względami przypominasz pajistów. Oni uważają nas za tyranów i są przekonani, że gdy nas obalą, świat stanie się lepszy i bardziej sprawiedliwy. Nie rozumieją, że świat jest stworzony dla tyranów. Zawsze tak było. Interesowałeś się kiedyś historią. Czy potrafisz mi przywołać okres, gdy nie było żadnych władców? Żadnych prawodawców? - Rael podszedł do najdalszego stołu i nalał sobie kielich rozcieńczonego wina. - Społeczeństwo przypomina piramidę - podjął. - Podstawę stanowią biedacy, a ku górze cały budynek staje się stopniowo coraz węższy, aż wreszcie na szczycie jest tylko jeden kamień. Król, cesarz, bóg. Nie ma innego rozwiązania.

- Nie jestem przekonany - sprzeciwił się Talaban.

Rael zachichotał.

- Pewnie, że nie. Jesteś romantykiem. Ale wróćmy do historii. Trzy tysiące lat temu, gdy imperium było młode i istniał w nim sztywny system klasowy, doszło do kilku rewolucji. Największe znaczenie dla naszej dyskusji ma trzecia, podczas której buntownicy zabili króla. Powołano wówczas zgromadzenie senatorów, które nie miało jednego przywódcy.

- Niewykluczone, że to był złoty wiek - zauważył Talaban. - Uchwalono sprawiedliwsze prawa. Założono uniwersytety.

- W rzeczy samej. Ale po dziesięciu latach znowu mieliśmy króla.

- Z pewnością nie. Perjak przybrał tytuł pierwszego senatora - sprzeciwił się Talaban.

- Kogo obchodzi, jak kazał się tytułować? Równie dobrze mógłby przybrać tytuł „czwarta owca od lewej”. To nie miało znaczenia. Sprawował władzę absolutną i rządził jak król. Jego wrogów skazywano na śmierć. Biedni pozostali biednymi, a bogaci stawali się coraz zamożniejsi. Chodzi mi o to, że ludzie potrzebują przywódców. Jesteśmy jak wilki, łosie, jelenie czy trąbowce.

Zawsze musi być przywódca stada. W obecnej epoce tym przywódcą jest rasa Awatarów. Pewnego dnia zastąpią nas inni. To może być niesprawiedliwe, ale taki jest naturalny porządek rzeczy. - Rael napełnił winem drugi kielich i wręczył go Talabanowi. - Ale to nie twój stosunek do polityki niepokoi mnie najbardziej, Talabanie. W całym swym życiu z całego serca kochałem tylko dwie osoby. Moją żonę Mirani i moją córkę Chryssę. Gdy Chryssa zapadła na chorobę zwaną zaślubinami z kryształem, chciałem umrzeć. Gdybym mógł oddać za nią życie, uczyniłbym to z chęcią. Ale kiedy umarła, pogodziłem się z tym. Pochowałem ją. Żyję dalej, Talabanie. Postanowiłem żyć najpełniej, jak tylko można. Pora, byś ty postąpił tak samo.

Talaban skinął głową.

- Teraz już o tym wiem. Zrozumiałem to podczas powrotnego rejsu.

Czego ode mnie żądasz, Raelu?

Po pierwsze, zabarw choć trochę włosów na niebiesko - odparł kwestor generalny ze znużonym uśmiechem. - I odpocznij przez kilka dni. Potem zbierz załogę. Nikt z twoich ludzi nie walczył na pokładzie Węża z całkowicie naładowaną skrzynką. Zabierz ich na morze i wyszkol. Dam ci też trzydziestu awatarskich żołnierzy.

- Trzeba naładować całe uzbrojenie Węża - przypomniał Talaban. -

Będzie do tego potrzeba z górą stu kryształów.

- Każę je przesłać na okręt.

- Uważasz, że przybysze będą chcieli wojny?

- To nieuniknione - odparł Rael, ponownie rozciągając usta

w znużonym uśmiechu. - W końcu będą aroganccy, tak samo jak my, przekonani o swej wyższości i o boskim prawie do sprawowania władzy.

W gospodzie nie było nikogo. Goście odeszli, a stoły były puste. Mimo to Sofarita nie mogła zasnąć. Siedziała na parapecie, w napięciu i strachu. Gapiła się na pogrążony w milczeniu plac. Nie potrafiła się odprężyć, bo gdyby to zrobiła, jej umysł zaraz wypełniłyby wizje ludzi, których nie знаła, miejsc, w których nigdy nie była, oraz rozmów, których nie słyszała.

Kiedy nadchodziły, czuła się tak, jakby porywał ją prąd. Tonęła

w morzu ludzkich losów. Bała się tego wrażenia. Kiedyś, jako mała dziewczynka, wpadła do Luanu. Zsunęła się z błotnistej brzozy i zniknęła w rwącym nurcie. Uratował ją wówczas jeden z mieszkańców wioski. Teraz jednak nie było nikogo, kto wyciągnąłby ją z rzeki snów innych ludzi.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego spotyka ją to mistyczne zjawisko. Nigdy dotąd nie miała wizji. Zastanawiała się, czy może być to objaw nadciągającego obłądzenia. Być może nie były to prawdziwe wizje, a jedynie wytwór jej wyobraźni. Być może miała gorączkę. Uniosła dłoń do czoła. Nie było gorące. Wstała z parapetu, wróciła do pokoju i wypita kubek wody. Dokuczało jej zmęczenie i bardzo potrzebowała snu.

Ale co, jeśli już nigdy się nie obudzi? Jeśli porwie ją nurt rzeki snów?

Nie znała w mieście nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Została sama, powtarzała sobie. Musisz sama sobie pomóc. Ta myśl w dziwny sposób dodała jej siły. To prawda, że nie mogła na nikim polegać, ale z drugiej strony, nikt też nie polegał na niej. Po raz pierwszy w życiu była naprawdę wolna. Nie musiała się przejmować kaprysami ojca, który uważał, że kobiety są niewiele warte, ani męża, którego lubiła i szanowała, ale nigdy naprawdę nie kochała. Nie była już więźniem ciasnogłowego społeczeństwa wioski.

Rzeka snów była przynajmniej ekscytująca.

Sofarita położyła się na łóżku, wspierając głowę na poduszce. Przykryła się kocem aż po szyję i zamknęła oczy. Nie ujrzała żadnych wizji ani niepokojących scen.

Przebywała w piwnicy gospody. Baj siedział za wąskim stołem, skrywając głowę w dłoniach. Płakał. Obok niego spoczywał jakiś mężczyzna w średnim wieku. Jego żółte włosy i brodę upstrzyły już pasemka siwizny. Na pryczy pod ścianą spała złotowłosa dziewczynka. Sofarita początkowo przyglądała się tej scenie obojętnie, ale potem poruszyło ją cierpienie Baja. Zbliżyła się, chcąc go pocieszyć, i uświadomiła sobie, że unosi się w powietrzu. Mężczyźni jej nie widzieli.

- Przestań płakać, człowieku, i powiedz mi, co się wydarzyło - zażądał starszy mężczyzna.

- Zabił ich. To było okropne. - Baj uniósł wzrok. Jego twarz była maską bólu. - Nic nie zrobiłem, Boru. Stałem w cieniu, sparaliżowany strachem.

- Ciebie też by zabił - stwierdził Boru. - Atak na Viruka był głupotą.

- Forjal zauważył go, gdy szedł na zebranie. Nie miał broni. Gdybym im pomógł...

- Ale nie pomogłeś - skwitował brutalnie Boru. - Czy Forjal coś powiedział przed śmiercią?

- Tak, ale oznajmił tylko Virukowi, że ktoś go kiedyś zabije. Nie chciał zdradzić, kto go przysłał. Co będzie, jeśli znajdą ciała? Forjal pracował u mnie. Mogą do mnie trafić.

- Przestań skomleć, człowieku! Znajdą ciała, ale nie głowy. Obie były w obciążonym worku, który wrzuciłem do morza.

Zrozum jednak, Baj, że nie możemy sobie pozwolić na indywidualne akty przemocy. Obaj z Forjalem zaryzykowaliście wszystko przez swój głupi uczynek. A teraz on i ten drugi dureń nie żyją. Gdyby to ode mnie zależało, poderznąłbym gardło i tobie. Masz jednak otrzymać kolejną szansę. Od tej chwili będziesz wykonywał rozkazy. Nie podejmiesz żadnych pochopnych działań. Zrozumiano? Baj skinął głową.

- Przykro mi.

- Przepróż duchy Forjala i jego.

Sofarita otworzyła oczy. W sypialni było ciemno. Izbę oświetlał jedynie snop blasku księżyca, wpadający do środka przez małe okno. Czuła się wypoczęta, choć nie mogła spać dłużej niż godzinę. Zdmuchnęła lampy przed położeniem się do łóżka i teraz nie miała czym ich zapalić.

Gdy tylko nasunęła się jej ta myśl, jedna z lamp zapłonęła migotliwym blaskiem. Izbę wypełniło łagodne światło. Sofarita usiadła na łóżku. Spojrzała na drugą lampę i wyobraziła sobie, że i ta się pali.

Knot natychmiast zapłonął. Kobieta oparła się o poduszkę. Nie czuła paniki.

To z pewnością był sen. Położyła się, nakryła kocami i ponownie zasnęła.

Rozdział piętnasty

Dom Methrasa znajdował się na wschodnich peryferiach miasta, blisko tartaków i jeszcze bliżej rzeźni, zbudowanej przed dwoma laty na starej łące. Sto lat temu ta dzielnica była bardzo popularna wśród Vagarów na dorobku, tych, którzy nie byli jeszcze bogaci, ale szybko pięli się w hierarchii klasy kupieckiej. Teraz stała się obskurna i podupadła, choć niektóre ze starszych domów były solidnie zbudowane, a czasem miały nawet marmurowe frontony.

Methras pokonał na piechotę cztery mile dzielące dom od portu i gdy tylko otworzył furtkę do ogrodu na zapleczu, zobaczył dwa konie przywiązane w cieniu za budynkiem. Był zmęczony i nie miał ochoty na towarzystwo. Gdy szedł ogrodową ścieżką, z domu wyszła postać w sukni z błękitnego atłasu. Matka zobaczyła go i wybiegła mu na spotkanie. Choć zbliżała się już do pięćdziesiątki, nadal była przystojną kobietą, choć już nie tak szczupłą jak kiedyś, a w jej blond włosach pojawiły się nitki siwizny. Pocałowała go w policzek.

- Witaj w domu, synu - powiedziała. Wzięła go za ramię i poprowadziła do środka.

- Kto przyjechał? - zapytał.

- Twój stary przyjaciel, który chciał cię przywitać po powrocie - odpowiedziała. - I jego wujek z drugiego brzegu Luanu.

Methras zatrzymał się w kuchni, nalał sobie trochę chłodnej wody z glinianego dzbanka i wypił ją jednym haustem. Potem spojrzał z uśmiechem na matkę.

- Cieszę się, że cię widzę. Dobrze wyglądasz. Czy to nowa suknia?

Odsunęła się od niego z szerokim uśmiechem i zakręciła wkoło. Gruba atłasowa tkanina uniosła się na chwilę w górę.

- Podoba ci się?

- Bardzo ci w niej do twarzy. Czy to znaczy, że znowu się zakochałaś?

- Po co ten sarkazm? - skarciła go łagodnie. - Uważasz, że jestem za

stara na miłość?

- Wyglądasz na najwyżej dwadzieścia pięć lat - zapewnił. - Kim jest ten szczęściarz?

- To kupiec. Niedawno przybył z Pagaru. To interesujący mężczyzna. Bardzo zabawny i dowcipny.

- A ile ma lat?

- Pięćdziesiąt. Tak przynajmniej mówi. Podejrzewam, że w rzeczywistości niewiele brakuje mu do sześćdziesiątki. Ale nadal jest przystojny.

- Nie wątpię w to - odparł Methras. - A teraz powiedz mi, kto na mnie czeka?

- Nie chcesz, żeby to była niespodzianka?

- Nie lubię niespodzianek.

- Kiedyś je lubiłeś. Pamiętam, że jak byłeś małym chłopcem...

- Nie teraz, mam - przerwał jej łagodnym tonem. - Kto jest w domu?

- Pendar. - Pochyliła się nad jego uchem. - Został bogaczem - wyszeptwała. - Szkoda, że nie przyjąłeś jego propozycji i nie wszedłeś z nim w spółkę. Być może nadal mu na tobie zależy.

- Jestem tego pewien - odparł Methras z szerokim uśmiechem.

Jego matka poczerwieniała.

- Och, nie o to mi chodziło. Wiem, że Pendar... - Przerwała, szukając odpowiednich słów. - ...woli towarzystwo młodych mężczyzn. Wiem też jednak, że wysoko ceni twoją opinię.

Methras pocałował ją w policzek.

- Oczywiście. Kocha mnie za mój intelekt.

- On potrzebuje... - zaczęła.

Methras uniósł rękę.

- Tylko nie mów „miłości dobrej kobiety”. Jesteś stanowczo zbyt inteligentna, żeby powtarzać takie frazesy.

- Chciałam powiedzieć, że potrzebuje przewodnictwa kogoś, komu mógłby zaufać. Ma talent do pieniędzy, ale łatwo ulega wpływom. Mógłbyś mu pomóc, Methrasie, i przy okazji sam się wzbogacić.

- Nie interesują mnie pieniądze ani władza - odparł. - Jestem żołnierzem i czuję się z tym szczęśliwy.

- Jesteś bardzo podobny do ojca.

- Za bardzo. A zarazem za mało - stwierdził ze smutkiem.

Wszedł do domu i skierował się do wielkiego salonu. W przejściu do frontowego ogrodu siedzieli dwaj mężczyźni. Pendar jak zwykle miał na sobie drogi, nieskazitelnie czysty strój: perłowoszarą tunikę i rajtuzy z grubego jedwabiu, a do tego buty z jaszczurczej skóry. Był wysoki, bardzo szczupły i nadal zachował chłopięcy wygląd. Włosy pomalował sobie w złote pasemka. Mężczyzna siedzący obok niego był silniej zbudowany. Miał szerokie bary, potężne dłonie i srebrnoblond brodę.

- Mój drogi przyjacielu - przywitał Methrasa Pendar. Podeszedł zwinnym ruchem do żołnierza, uściskał go i pocałował w policzek. - Cieszę się, że cię widzę. Jak się czujesz?

- Dobrze, Pendarze. Kim jest twój przyjaciel?

- To nie do końca przyjaciel. Raczej wspólnik w interesach. To porządny człowiek. Można mu zaufać. Nazywa się Boru. Pochodzi z Banis-baya, plemienia, które mieszka nieopodal Studni Życia.

Boru wstał i podeszedł do Methrasa, wyciągając rękę. Sierżant uściskał ją krótko.

- Choć bardzo się cieszę na twój widok, przyjacielu - oznajmił Methras - muszę ci powiedzieć, że czuję się okropnie zmęczony i chciałem się po południu trochę przespać.

- Nie zajmujemy ci wiele czasu - zapewnił Boru. - Jak rozumiem, właśnie wróciłeś z dalekiej podróży.

- Tak. Popłynęliśmy na południowy lód. Wyprawa zakończyła się sukcesem.

- Co to znaczy? - zapytał Boru.

- Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy - odparł sierżant. - Moim zdaniem należy to uznać za sukces.

- Słyszałem, że na lodzie zginęli Vagarzy - zauważył Boru - a to, co znaleźliście, uczyni Awatarów potężniejszymi niż kiedykolwiek wcześniej.

Niektórzy mogliby powiedzieć, że była to klęska.

- Żołnierz imperium by tak nie powiedział - stwierdził Methras.

- Mógłby powiedzieć - sprzeciwił się Boru. - Czasy się zmieniają.

Klepsydra historii wkrótce się obróci. Niektórzy wierzą, że za kilka lat te miasta wrócą pod panowanie Vagarów. Jaki los czeka wówczas tych, którzy dochowają wierności dawnemu imperium?

Methras nie odpowiedział. Spojrzał na Pendarę, ignorując Boru. Złotowłosa mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale żołnierz uniósł rękę i potrząsnął głową.

- Nic nie mów, przyjacielu. Lepiej, żebyś już poszedł. A kiedy wrócisz, przyjdź sam. Czego nie usłyszę, o tym nie mogę zameldować.

- On ma rację - potwierdził Boru. - Marnujemy tu czas.

- Nie, to mój czas marnujecie - warknął Methras. - Idźcie już.

Boru odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Pendar zatrzymał się jeszcze na chwilę, nie wiedząc, co robić. Methras położył dłoń na szczupłym barku przyjaciela.

- Uważaj na siebie, Pendarze. Droga, którą wybrałeś, jest bardzo niebezpieczna.

Boru ma rację - powiedział cicho Pendar. - Dni Awatarów dobiegają końca. Gdy już zostaną obaleni, wszyscy ich przyjaciele i sojusznicy zginą razem z nimi. Nie chcę, żeby spotkała cię krzywda.

- Jak możesz wierzyć, że Vagarom pozwoli się na władanie ich miastami? Jeśli Awatarowie upadną, podbiją ich Ereki-jhip-zhonad albo Patiacy. Zamienią tylko jednych panów na drugich. Nie mieszaj się do polityki, Pendarze. Ona cię zgubi.

- Ich miastami? - powtórzył Pendar. - Czy nie powinienes powiedzieć „naszymi miastami”? A może awatarska krew wzięła w tobie górę? Jesteś mieszańcem, tak samo jak ja, rozdartym między dwiema rasami. Gdyby odkryto prawdę, nawet po tylu latach, czekałoby nas wysssanie na kryształach. Awatarowie nigdy nas nie zaakceptują. Nie oddam wierności ani życia ludziom, którzy pragnęliby mojej śmierci, gdyby tylko się dowiedzieli, jaka krew płynie w moich żyłach. Oni są naszymi wrogami, Methrasie. Pewnego

dnia ty również to zrozumiesz.

- Nie wszyscy są wrogami. Jest jeszcze Talaban.

- Ach, tak - zgodził się Pendar z figlarnym uśmiechem. - Piękny Talaban. Nie daj się nabrać, mój drogi. On również należy do ich rasy bogów, a długie życie zawdzięcza śmierci Vagarów, wysysanych na kryształach wbrew ich woli.

- Powinieneś już iść - rzekł Methras.

Pendar skinął głową i włożył gruby, czarny płaszcz.

- Często o tobie myślę - powiedział. Methras ominął go i wyszedł w słoneczny blask późnego popołudnia.

Stał tam przez pewien czas, dopóki nie usłyszał, że obaj jeźdźcy się oddalili. Matka podeszła do niego, biorąc go pod rękę.

- Czy prosił cię, żebyś z nim współpracował? - zapytała.

- Tak.

- I zgodzisz się?

- Nie sądzę.

- Być może popełniasz błąd.

- Jeden z nas go popełnia - zgodził się Methras.

Przed Anu piętrzyło się wiele problemów. Sześciuset robotników przystąpiło do pracy nad piramidą w dobrych nastrojach, żartując sobie ze świecącego cały czas słońca. Po dziesięciu dobach, gdy po raz pierwszy nadeszło południe, samopoczucie Vagarów się zmieniło. Anu wyczuwał ich nerwowość. Dziwnie było pracować cały dzień, widząc na niebie niemal nieruchome słońce, a potem spać pięć godzin, by po przebudzeniu przekonać się, że słońce nadal stoi wysoko. To wywoływało nerwowość. Wielu robotników chorowało, inni zaś skarżyli się, że nie mogą spać. Ludzie stali się kłótlivi, a czwartego dnia jeden z nich rozwalił młotem czaszkę kolegi. Awatarski strażnik zabił mordercę. Oba ciała, uwolnione od działania magii skrzynki, zgniły natychmiast i pokryły je robaki. Świadcami sceny było chyba ze stu robotników i ten widok ich przeraził. Anu przekonał się, że przyśpieszenie czasu pociąga za sobą mnóstwo skutków ubocznych.

Chleb w kilka minut robił się czerstwy, a owoce gniły, nim zdążyli je

wyjąć z beczek. Trawa rosła dwadzieścia razy szybciej. Jeśli ktoś chwilę zaczekał, mógł to zobaczyć na własne oczy. Anu w końcu poradził sobie z kwestią żywności, zwiększając moc skrzynki, tak by objęła również zapasy. Tę samą metodę zastosował w przypadku trawy i innych roślin w dolinie. Mimo to nastrój robotników wciąż się pogarszał. Około trzydziestu poprosiło już o zwolnienie i Anu zezwolił na to. Gdy kwestor następnym razem spowolnił Taniec, by wpuścić do doliny transport z zapasami, wykorzystali okazję i wrócili do domu.

Za radą Shevana kazał też sprowadzić pięćdziesiąt dziwek i zbudował dla nich chaty na skraju doliny. Ich usługi były darmowe. Mężczyznom rozdano specjalne monety z wypalanej gliny. Kobiety zbierały je, by po ukończeniu służby zamienić je na prawdziwe pieniądze. To na pewien czas poprawiło nastroje. Potem jednak nadeszła dwudziestodobowa noc. Robotnicy znowu stali się kłótlivi i wybuchło kilka bójek. Jeden z nich popełnił samobójstwo. Te wydarzenia zaskoczyły Anu, lecz po pewnym czasie kwestor doszedł do wniosku, że światło słoneczne jest z jakiegoś powodu potrzebne dla właściwego funkcjonowania mózgu i bez niego ludzie popadają w depresję. Dlatego oprócz dziwek pozwalał teraz robotnikom na mocne trunki i narkotyki, a w wolnym czasie organizował dla nich tańce, konkursy oraz inne rozrywki.

Trzydziestego dnia ułożono wreszcie podstawę piramidy - wkopany głęboko w ziemię, idealnie równy kwadrat o boku długości siedmiuset pięćdziesięciu stóp. Anu zorganizował zabawę, pozwalając ludziom na wybór króla podstawy. Zwycięzcę - brygadzystę imieniem Yasha - udekorowano wieńcem laurowym i obniesiono wokół podstawy, na której następnie wypisano jego imię. Anu lubił Yashę. Był on wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o szerokich barach. Miał gromki śmiech i był urodzonym przywódcą. Jego złożona z trzydziestu robotników brygada była zdecydowanie najlepsza ze wszystkich.

Shevan z uśmiechem przyglądał się temu korowodowi.

- Chyba nastrój się im poprawił, kwestorze - zauważył.

Anu skinął głową. Niemniej jednak prace nadal szły wolniej, niż się

spodziewał, postanowił więc zmodyfikować system zmian. Od tej pory ludzie mieli pracować na trzy krótsze zmiany, nie na dwie dłuższe, a dla tych, którzy wykonają przewidziane zadania, wyznaczono nagrody.

- Ile bloków ustawiamy teraz w ciągu godziny? - zapytał Anu.

- Przed tygodniem było sześć, ale teraz zbliżamy się do dziewięciu - odparł Shevan. - Jest coraz lepiej, kwestorze.

- Musimy przekroczyć dwanaście. Jak sytuacja w kamieniołomach?

- Narzędzia zużywają się znacznie szybciej, niż przewidywaliśmy, kwestorze - przyznał z zakłopotaną miną Shevan.

- Mamy też problem z kołkami. Wygląda na to...

- Że drewno nie pochłania wody.

- Tak, kwestorze. Przewidziałeś to?

- Niestety, nie - odparł Anu ze znużeniem w głosie.

Kamieniarze wiercili w piaskowcu dziury, a potem wpychali w nie suche drewniane kołki. Po zalaniu wodą zwiększały one objętość i kamień pękał. W ten właśnie sposób powstawały prostopadłościennymi bloki. Jednakże przyspieszenie czasu z jakiegoś powodu wpływało na tempo wchłaniania wody przez drewno.

Anu podszedł niespiesznie do piramidy Gepha. To była pierwsza próba zbudowania nowego źródła mocy, podjęta przed siedemdziesięciu laty. Zakończyła się niepowodzeniem. Wiedział, że tak się stanie, gdyż wznoszono ją bez pomocy Muzyki. Teraz służyła mu jako źródło budulca. Robotnicy wydobywali z niej bloki, owiązali je sznurami i opuszczali na ziemię, używając wielkich skórzanych worków z wodą jako przeciwwagi. Była to mozolna, niebezpieczna praca. Gdyby Anu miał do dyspozycji dwie skrzynki, mógłby wykorzystać zwiększoną moc Muzyki do zmniejszenia ciężaru bloków, miał jednak tylko jedną i musiał zachować jej energię na prace przy właściwej piramidzie.

Po lewej stronie, blisko bariery mgły, którą otoczył dolinę, doszło do jakiegoś zamieszania. Anu i Shevan pobiegli ku miejscu, gdzie zgromadziła się grupa robotników.

Na ziemi leżał bardzo stary człowiek. Jego kończyny drżały. Ciało

więdło na oczach gapiów, skóra zaś stawała się wyschnięta, a potem odchodziła od kości niczym zużyty papirus.

- To był Jadas - wyszeptał jeden z mężczyzn. - Nocą przeszedł przez mgłę, żeby spotkać się z żoną.

Anu podszedł bliżej.

- Uspokójcie się! - zawołał. - Wszystkich was ostrzegano przed magią, której tu używamy. Mówiłem wam, że przejście przez mgłę będzie oznaczało śmierć.

- Jesteśmy więźniami! - krzyknął inny Vagar.

Nieprawda - zaprzeczył kwestor. - Przyjmując was do pracy, mówiłem wam o ryzyku. Każdy, kto chce, może odejść, gdy nadejdą dostawy i mgła zostanie rozproszona. Jestem Anu. Nigdy nie kłamię. Ten człowiek był głupcem. Na świecie jest wielu głupców. Ostrzegano go przed niebezpieczeństwem, ale nie chciał w to uwierzyć.

- A co się stanie, jeśli magia zawiedzie? - zawołał pierwszy z robotników. - Wszyscy możemy skończyć jak Jadas.

- Dajcie spokój, chłopaki - odezwał się Yasha, król podstawy, wchodząc pomiędzy robotników. - Wszyscy słyszeliście, co mówił Święty. On nie jest kłamcą. Osobiście nie mogę się doczekać chwili, gdy wrócę do domu z ośmioma tysiącami srebrników. Wybuduję ten cud dla Anu, a potem kupię sobie dom. Nie zbuduję. Kupię! Będę sobie siedział w cieniu i popijał dobre wino. A na kolanach będzie mi siedziała najładniejsza kurwa w Egaru.

- Wszyscy możemy tu zginąć, Yasha! - sprzeciwił się pierwszy z robotników.

- Jak chcesz, to giń, Podri. Ja przeżyję i będę bogaty. A teraz pochowajmy ten worek kości i wracajmy do roboty przy cudzie.

- Naprawdę wierzysz, że jesteśmy bezpieczni? - zapytał inny mężczyzna.

- Bezpieczni? - powtórzył z chichotem Yasha. - Bezpieczni? Kiedy to robotnicy bywali bezpieczni? Ale za osiem tysięcy srebrników mogę się pogodzić z niewielkim ryzykiem. Czy jestem zabezpieczony przed magią Święty? - zapytał.

- Jesteś. Masz na to moje słowo - zapewnił Anu.

- To mi wystarczy - stwierdził Yasha. - A teraz idę poszukać najmniej brzydkiej kurwy.

Oddalił się. Głowę nadal zdobił mu wieniec laurowy. Tłum się rozproszył. Kości Jadasa rozpadły się w pył, który uleciał z wiatrem.

- To dobry robotnik - zauważył Shevan.

- Tak - zgodził się Anu, choć bez przekonania. Zastanawiał się już nad tym, w jaki sposób przyspieszyć pochłanianie wody przez kołki.

Ogrodnik klęczał na starej poduszce w blasku słońca, z uwagą pieląc skalny ogródek. Było południe i jego szyję chronił przed żarem wystrzępiony słomiany kapelusz o szerokim rondzie. Ogródek pełen był jaskrawych kwiatów: jasnoróżowej naradki, złocistej smagliczki, białych i żółtych dzwonek z ich delikatnymi, opadającymi kwiatkami. Ogrodnik sprawdzał ukorzenie miedzianym widelcem, wydłubując chwasty zręcznymi palcami. Po chwili wrzucił zielsko do brezentowego kosza i przeszedł wyżej, by kontynuować pracę wśród wonnej macierzanki, rosnącej pod tylną ścianą ogrodu. Trudził się z bezgraniczną cierpliwością człowieka żyjącego w harmonii z ziemią. Nie wrywał brutalnie chwastów, by nie uszkodzić korzeni roślin, które chciał chronić. Nie było w nim napięcia. Jego umysł wypełniał całkowity spokój.

Wyłożoną kamieniami ścieżką pod skalnym ogródkiem szedł starszy mężczyzna. Był wysoki, grubokościsty i szeroki w barach. Krótko przycięte włosy upstrzyły mu srebrne plamy. Był opalony na ciemny brąz, ogorzały od wielu lat pracy na wolnym powietrzu. Ogrodnik zauważył go, uśmiechnął się i zszedł na ścieżkę.

- Ładnie wygląda, Kale - pochwalił go. - Dobra robota. Ale niepokoję się o fiołki.

Obaj mężczyźni ruszyli przez skalny ogródek ku kępie błękitnego przetacznika, rosnącego obok karmazynowej macierzanki piaskowej. Na granicy skał rosło skupisko żółtych fiołków motylkowych. Ich liście były matowe i pokryte cętkami.

- Gleba zatrzymuje za mało wilgoci, panie - stwierdził Kale, klękając

i wpychając palce w ziemię. - Przydałaby się odrobina torfu albo zbutwiałej słomy. Przyniosę coś po południu. - Obejrzał się przez ramię na słońce. - Mają też za dużo światła.

Ogrodnik pokiwał głową.

- Cień był wystarczająco głęboki, dopóki jałowiec nie usechł. Musimy ustawić od zachodu kratę, porośniętą jakimś szybko rosnącym pnączem, żeby brzoza brodawkowata miała czas się przyjąć. Jak myślisz, czy jaśmin się nada?

- Krata to świetny pomysł, panie. Ale wolałbym żółty klematis jako pnącze. Chyba pokładasz zbyt wielką wiarę w brzozie. Takie drzewa nie lubią tej gleby. Jej warstwa jest dla nich zbyt cienka.

- W ogrodzie powinny być drzewa. One każą unosić wzrok i podnoszą na duchu. Zapewniają głębię i cień. Zresztą cyprysy radzą sobie świetnie.

- W rzeczy samej, panie, ale wydałeś fortunę na nawodnienie. Gdyby nie to, zwiędłyby przed upływem miesiąca.

Ogrodnik parsknął śmiechem.

- A po co w końcu są pieniądze? Służą do tego, żeby je wydawać. Ogród powinien być piękny i sprawiać przyjemność Źródłu.

- Skoro już mówimy o pieniądzach, panie, jutro przywiozą kaczeńce. Najwyraźniej większość przetrwała podróż.

- Znakomicie. Tego właśnie potrzebuje drugi staw, Kale. Dotknięcia złota. Tylko pamiętaj, że trzeba je posadzić tuż nad brzegiem wody i że muszą zawsze mieć wilgotną glebę.

- Nigdy nie widziałem kaczeńców, panie - przyznał Kale. - Nie mam pojęcia, jak o nie dbać.

Ogrodnik uśmiechnął się i klepnął go po ramieniu.

- Nauczysz się, Kale. A jeśli się nie przyjmą, kupię następne. W końcu nam się uda.

Na ścieżce pojawił się nowy przybysz. Kale pokłonił się i odszedł, gdy tylko Awatar się zbliżył.

- Twoje ogrody nigdy nie przestają mnie zachwycać, Viruku - odezwał się kwestor generalny. - Tyle tu kolorów i zapachów.

Napięcie wróciło. Ogrodnik odszedł. Viruk wojownik strzepnął suchą ziemię z dłoni i poprowadził kwestora generalnego do altanki, w której ustawiono wygodne krzesła. W cieniu było chłodno.

- Czemu zawdzięczam twą wizytę, kuzynie? - zapytał, zdejmując słomiany kapelusz i rzucając go na ziemię.

- Ammon szkoli regularną armię. Moi szpiedzy donoszą że jego żołnierze są śmiali i zdyscyplinowani.

- A ilu ich ma?

- Pięć tysięcy, podzielonych na pięćdziesiąt grup po stu ludzi. Każdy ma napierśnik i hełm z brązu oraz drewnianą wzmocnioną brązem tarczę. Większość jest uzbrojona w krótkie miecze, ale pierwszy szereg ma dwunastostopowe włócznie.

- Ciekawe rozwiązanie - stwierdził Viruk. - Chcesz, żebym zabił Ammona?

- Nie. Możemy potrzebować tej armii.

Viruk wybuchnął śmiechem.

- Myślisz, że Błotniacy zechcą walczyć u naszego boku?

- Jeśli nie zechcą przybysze albo ich zasymilują albo zniszczą.

- Obawiasz się, że mogą być aż tak silni?

Rael oparł się na krzesło, pocierając zmęczone powieki.

- Udało nam się zachować władzę, choć jest nas zaledwie pięciuset.

Przybysze uniknęli kataklizmu i ich najważniejsze miasta również. Z pewnością są ich tysiące, Viruku. Jedno Źródło wie, jaką mają broń.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Jedź do Ammona. Poinformuj go o tym, co się wydarzyło. Zapewnij go, że jeśli Erej-jhip-zhonad zostaną zaatakowani, udzielimy mu wszelkiego możliwego wsparcia. Ale nie proś go o pomoc. Nie możemy okazywać słabości. Jeśli sam ją zaoferuje, zgódź się uprzejmie.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś wysłał z tym... poselstwem jakiegoś kwestora, kuzynie? Nie jestem dyplomatą. Z największą przyjemnością poderżnąłbym temu dzikusowi gardło.

Dlatego właśnie jesteś najlepszym kandydatem do tej roli, Viruku.

Ammon cię zna i wie o twoich umiejętnościach. Będzie ostrożny, ale cię wysłucha. Obserwowałem go uważnie od chwili, gdy został królem. Jest silniejszy niż jego ojciec i mądrzejszy od wszystkich wodzów, z jakimi mieliśmy do tej pory do czynienia. Byłby dla nas potężnym sojusznikiem.

- Albo śmiertelnie groźnym wrogiem.
- W rzeczy samej. Zostań w jego stolicy jako mój ambasador.

Wysłałem mu już wiadomość o twoim przybyciu.

- Wolałbym być tutaj, kiedy zjawią się przybysze - sprzeciwił się Viruk.
- Jestem pewien, że byś wolał.
- To znaczy, że odrzucasz moją prośbę? Nie pozwolisz mi popłynąć

z Talabanem na Węzu?

- Obawiam się, że będziemy musieli stoczyć tu wiele bitew. Gdy już nadejdą, chcę, żebyś udzielił wsparcia Ammonowi.

Viruk wstał i napełnił sobie kielich chłodną wodą z kamiennego dzbanka.

- Nieprzyjaciel wkrótce zaatakuje pięć miast, kuzynie. Nie masz nikogo, kto potrafiłby walczyć tak dobrze, jak ja. To szaleństwo odsyłać mnie w takiej chwili.

- Niewykluczone, że masz rację, Viruku. Co jednak się stanie, jeśli ich okręty nas ominą i popłyną w górę Luanu? Co, jeśli pierwszym celem ich ataku będą ziemie Błotniaków? W takim przypadku będziemy ich mieli i z przodu, i z tyłu. Tak właśnie bym postąpił, gdybym atakował to wybrzeże. Pięć miast to silny przeciwnik, a Błotniacy słabszy. Trudno nam będzie walczyć na dwa fronty, Viruku. A ponieważ tego właśnie boję się najbardziej, wysłałem do Błotniaków swego najgroźniejszego wojownika. Zabierz ze sobą dziesięciu Awatarów. Wybierz najlepszych.

Viruk zachichotał.

- Chcesz mnie przekonać pochlebstwem. I niech mnie piekło pochłonie, jeśli ci się nie udało. Proszę bardzo, kuzynie. Zrobię to dla ciebie.

Rael skinął głową i wstał z krzesła.

- Jeśli nieprzyjaciel nadejdzie, Viruku, broń Ammona jak kogoś własnej krwi. Z pewnością spróbują najpierw zabić króla. Nie może im się udać. A jeśli

wróg się przedrze, sprowadź Ammona tutaj, a razem z nim tylu jego ludzi, ilu zdołasz. Viruk ryknął śmiechem.

- Zaledwie kilka dni temu wysłałem mu obietnicę, że wypruję mu trzewia. A teraz mam go bronić? Przy tobie życie nigdy nie jest nudne, Raelu. A teraz, wybacz, ale muszę trochę popracować w ogrodzie.

Kwestor generalny uśmiechnął się.

- Zauważyłem, że twój ogrodnik dobrze wygląda. Przysięgłbym, że kiedy widziałem go ostatnio, robił wrażenie starszego.

- Najwyraźniej praca dla mnie dobrze mu służy.

Rael potrząsnął głową.

- Łamiesz zbyt wiele zasad, kuzynie. Bądź ostrożny.

- Kale jest dla mnie bardzo cenny. Ocalił moje sasanki, ulepszając system odprowadzający wodę i odpowiednio przycinając otaczające je rośliny, żeby miały więcej światła. Bez niego by zginęły. A cóż wart jest ogród bez sasaneek?

- Zmieniłem zdanie - odparł Rael, uśmiechając się szeroko. - Masz uważać Ammona nie za człowieka twojej krwi, ale za jeden z twoich kwiatów.

- To prawda, że z chęcią zasadziłbym go w ziemi - przyznał Viruk.

Kwestor Ro sądził już od dwóch godzin i zaczynało ogarniać go znużenie. Większość spraw była trywialna. Tylko dwóch oskarżonych skazał na wysłanie na kryształach, a i oni stracili zaledwie po pięć lat. Spojrzał na dwie listy, które przed nim leżały. Jedna zawierała wykaz spraw, a druga wymogi Kryształowego Skarbca. Zgodnie z tą drugą, powinni dziś skazać na śmierć dwadzieścia dwie osoby. Ro doskonale rozumiał, że muszą zachować poziom mocy i nie dbał zbyt o Vagarów, ale prawo było prawem i żadne naciski nie skłonią go, by nagiął je choćby w najmniejszym stopniu. Jeśli ktoś ukradł chleb - bez użycia przemocy - żeby nakarmić własną rodzinę, było to jedynie wykroczenie i maksymalny wyrok wynosił pięć lat. Zrugął prokuratora, który utrzymywał, że jeśli ścigający złodzieja uszkodzony przewrócił się i skrzył sobie rękę w nadgarstku, była to zbrodnia z użyciem przemocy.

Kwestor Ro nie był w dobrym nastroju. Nie lubił sali sądowej numer trzy we wschodniej dzielnicy. Była ona mała i zagracona, podium dla sędziego

miało zaledwie dwie stopy wysokości, a do tego musiał na nie wchodzić z bocznego pokoju, przechodząc pod miejscami dla publiczności. W ten sposób Vagarzy spoglądali na niego z góry, a to nie uchodziło. Sędzia powinien wchodzić na podwyższenie od tyłu, tak jak we wszystkich innych salach.

Ro pociągnął się za rozwidloną niebieską brodę, przenosząc spojrzenie na galerię dla publiczności. Nie było tam ani jednego Awatara, a ławki były zapełnione zaledwie w połowie. Kwestor poprawił fałdy szafirowej szaty, upił łyk wody z kryształowego kielicha i skinął głową na strażników, nakazując im wprowadzić następnego oskarżonego.

To była sprawa o gwałt. Ofiara, bogata gruba Vagarka w średnim wieku, utrzymywała, że jej ogrodnik wdrapał się do pokoju przez okno i zmusił ją do poniżającego aktu, który przerwało dopiero pojawienie się jej męża. Oskarżenie domagało się kary śmierci.

- Czy na miejscu zbrodni znaleziono jakąś broń? - zapytał Ro prokuratora.

- Nie, panie kwestorze. Oskarżony obezwładnił poszkodowaną przy użyciu siły fizycznej.

Ro popatrzył na akt oskarżenia, a potem przeniósł spojrzenie na obwinionego. Niski chudy człowieczek mrugał nerwowo powiekami. Oczy zalewał mu pot.

- Napisano tu, że jego ubranie znaleziono na dole, razem z suknią pokrzywdzonej. Jak więc przekonał ją, by weszła z nim na górę? - zapytał kwestor.

Prokurator - który zdawał już sobie sprawę z narastającej irytacji Ro - wyraźnie pobladł.

- Zagroził, że ją zabije, panie kwestorze.

Ro raz jeszcze przeczytał akt oskarżenia.

- Zgodnie z tym dokumentem, pracuje dla pokrzywdzonej i jej męża już od czterech lat i mieszka, razem z czterema innymi robotnikami, w małym domku na terenie posiadłości. Czy próbujesz wmówić sądowi, że oskarżony ryzykowałby życie i źródło utrzymania, mając całkowitą pewność, że zostanie

schwytany, po to, by zaciągnąć do łóżka żonę pracodawcy wbrew jej woli? Mam nadzieję, że nie próbujesz, prokuratorze. Zgodnie z aktem oskarżenia, na ciele pokrzywdzonej nie było siniaków, a ubranie nie zostało rozdarte. Jak rozumiem, suknia leżała równo złożona na sofie. Co więcej, w sypialni znaleziono dwa kielichy z winem. Podejdź bliżej.

Mężczyzna zbliżył się do podium. Był młodym Awatarem, synem niższego rangą kwestora, pełniącego służbę we wschodniej prowincji. Ro oparł się o blat.

- Nie jesteś głupcem, jak sądzę. Czemu więc ta śmieszna sprawa trafiła przed sąd? To oczywiste, że owa kobieta uwiodła swego pracownika i mąż przyłapał ją na gorącym uczynku. Cała ta opowieść jest wymyślona. W dodatku kiepsko.

- Jej mąż to jeden z naszych najwierniejszych zwolenników, panie kwestorze. Cieszy się szacunkiem wśród Vagarów.

Ro zbył go machnięciem ręki.

- Oddalam oskarżenie - oznajmił. - Wprowadzić następnego oskarżonego.

Strażnicy wprowadzili wysoką młodą kobietę o długich ciemnych włosach. Była ubrana w prostą zieloną suknię z farbowanej tanim barwnikiem wełny. Oskarżono ją o trzy przestępstwa: uprawianie magii, czego zakazywało starożytne prawo wprowadzone przez Vagarów na długo przed awatarskim podbojem; pracę w obrębie miasta bez wymaganego pozwolenia oraz posiadanie przy sobie mniej niż pięciu sztuk srebra, co było złamaniem prawa o włóczęgostwie. Za włóczęgostwo groziło jej odebranie dwóch lat, a za brak pozwolenia pięciu. Jednakże starożytne prawo przewidywało nawet karę śmierci.

Ro przeczytał akt oskarżenia powoli i uważnie. Kobieta niedawno przybyła do miasta i najwyraźniej uzdrowiła dziecko chore na gorączkę. Zebrał się tłum, domagający się uzdrowienia czyraków, bólów głowy i rozmaitych innych drobnych dolegliwości. Oskarżona kładła ręce na wszystkich po kolei. Wkrótce zgromadziło się tak wielu ludzi, że zablokowali całą ulicę. Dwaj awatarscy żołnierze przepchnęli się przez ciżbę i aresztowali

kobietę.

- Imię? - zapytał kwestor Ro.

Przez chwilę oskarżona sprawiała wrażenie, że go nie słyszy. Gapiała się na żłobkowany sufit. Była niezwykle piękna. Ro odepchnął od siebie takie myśli i powtórzył pytanie. Jej intensywnie niebieskie oczy zatrzymały się na nim.

- Sofarita, panie - odparła lekko ochrypłym głosem.

- Miejsce urodzenia?

- Wioska Paccepta, panie.

- Czym się zajmujesz?

- Chwilowo niczym, panie. Dopiero niedawno przybyłam do miasta i nie otrzymałam jeszcze pozwolenia na pracę.

- Czy dlatego próbowałaś zarabiać pieniądze za pomocą magicznych sztuczek?

Wydawało się, że trudno jej się skoncentrować, jakby brała narkotyki. Być może rzeczywiście tak było, pomyślał Ro. Albo po prostu jest niespełna rozumu. Gdy jednak przemówiła, jej głos brzmiał pewnie.

- Nie brałam za to pieniędzy, panie. Srebrne monety, które zabrali strażnicy, należały do mnie. Przybyłam do miasta przed trzema dniami i miałam wówczas dwadzieścia sześć srebrników, ale musiałam wynająć pokój, co kosztuje pół srebrnika dziennie. Kupiłam też sobie parę rzeczy do ubrania. Ale reszta pieniędzy jest moja.

- To znaczy, że uprawiałaś magię za darmo?

- Tak, panie.

- Ale potwierdzasz, że to była magia?

- Chyba tak. Przed przybyciem do miasta nie władałam takimi mocami. Coś się ze mną stało, ale nie wiem, co to mogło być. Potrafię teraz zapalać myślą lampy i leczyć choroby. I mam też wizje... okropne wizje. - Jej głos ucichł, a oczy ponownie nabrały nieobecnego wyrazu.

- A co takiego widzisz? - zainteresował się Ro.

- Złote okręty, ludzi dzierżących ognistą broń, którzy płyną przez morze. Dzieci grzebane żywcem na górskich szczytach, kobiety niesione na

ołtarz ze związanymi rękami i... i... mordowane. - Zaczęła drżeć. - Wybrałam się dziś rano na przechadzkę, żeby oczyścić umysł. Miałam nadzieję, że tłumy i hałas pomogą mi zapomnieć o tych wizjach. Ale zobaczyłam tę kobietę z chorym dzieckiem. Wiedziałam, że ono umrze, więc podeszłam do niej i usunęłam gorączkę. Nie wiem, jak to zrobiłam. Po prostu położyłam dłoń na dziecku i żar wszedł w moją rękę, a potem dotarł do głowy. I rozproszył się. Matka zaczęła krzyczeć, że to cud i zebrało się więcej ludzi. Nie popełniłam żadnej zbrodni, panie.

- Wręcz przeciwnie, Sofarito - zaprzeczył kwestor Ro - popełniłaś bardzo poważną zbrodnię. Za uprawianie magii grozi kara śmierci. Niemniej jednak to bardzo stare prawo i muszę jeszcze rozpatrzyć tę sprawę, zanim wydam wyrok. Wyprowadźcie ją - rozkazał strażnikom. - Ale zamknijcie ją gdzieś w pobliżu. Chcę ją przesłuchać osobiście.

Rozdział szesnasty

Wszechojciec przyglądał się z wielkim smutkiem, jak między jego dzieci zstępuje zło. Z początku błagały go, by dał im wolność, żeby mogły zrealizować swe przeznaczenie. Wszechojciec obiecał im, że nie będzie się wtrącał, a teraz dzieci stanęły w obliczu zagłady. Mógłby je uratować jednym szepciem, ale jego obietnica była niezłomna. Ciężko mu to jednak wielce na duszy, więc cichą nocą wyciągnął rękę i ujął w nią garść ziemi. Nadał jej kształt kobiety. Potem zerwał gwiazdę z nieba, wykopał figurkę w jej blasku i przypiął jej gwiazdę do czoła. Tak oto zrodziła się Gwiazdna Kobieta.

Ze Zmierzchowej pieśni Anajo

Przed końcem dnia Ro skazał sześciu mężczyzn i jedną kobietę na całkowite wyszanie na kryształach, a troje innych na utratę pięciu lat. Po powrocie do swych apartamentów zdjął szaty sędziowskie i zjadł lekki posiłek. Nie musiał studiować starożytnego prawa zakazującego uprawiania magii. Kobieta powinna zostać wyszana na kryształach. Wspomniała jednak o złotych okrętach i mężczyznach płynących przez morze, a to bardzo zaintrygowało Ro.

Rozkazał przyprowadzić ją do swego pokoju. W małej izbie stał wąski stół i dwa krzesła. Gdy wprowadzono kobietę, jej uroda jeszcze bardziej przyciągnęła uwagę Ro. Włosy miała ciemne i błyszczące, a pełne usta działały kusząco. W niewielkim pokoiku poczuł też woń taniego mydła o cytrynowym zapachu, którym kąpała się dziś rano. Nagle zrobiło mu się gorąco. Poczul się skrępowany. Wskazał kobiecie krzesło i odsunął się od niej, siadając po drugiej stronie stołu.

- Opowiedz mi o sobie - zażądał. Spojrzała na niego.
- Chcesz się dowiedzieć czegoś o złotych okrętach - stwierdziła. - Boisz się ich. - Zawahała się. - I mnie też się boisz.
- Nie boję się ciebie, kobieto - zaprzeczył ostrym tonem.
- Tak jest, boisz się. Przypominam ci o... dniu w wielkim parku. Dzieci

się bawią. Trzymasz dłoń pięknej kobiety, ale myślisz o... liczbach...

obliczeniach. Ona była twoją żoną.

- Opowiedz mi o złotych okrętach - zażądał, czując suchość w ustach.

- Dlaczego to się ze mną dzieje? Chcę, żeby to się skończyło.

- Pomogę ci. Ale opowiedz mi o okrętach.

- Płyną przez morze. Wiozą tu złych ludzi. Jeden z nich ma twarz ze szkła. Ale to nie jest prawdziwe szkło. Ozdobił sobie brwi i podbródek, żeby wyglądały jak kryształy. To straszny człowiek. Jego myśli są pełne krwi i śmierci.

- Skąd pochodzą ci ludzie?

- Nie chcę tego robić - sprzeciwiła się Sofarita. - Nie chcę już ich więcej oglądać.

- Muszę się tego dowiedzieć - nie ustępował Ro. - To jest ważne. Czy planują wojnę?

- Nie widzę przyszłości, panie. Tylko to, co jest, i to, co było. To straszliwa rasa. Zabijają i okaleczają. Zabierają dzieci i grzebią je żywcem, żeby karmić...

Jej twarz znowu nabrała nieobecnego wyrazu.

- Patrz na mnie! Co takiego karmią?

- Jest tam budynek, czworościenny, zwężający się ku szczytowi.

Błyszczą w blasku słońca.

- Tak jest, piramida. Czy to piramidę karmią?

- Tak. Zabijają ludzi na jej szczycie. Krew spływa kanałami, które prowadzą do środka budynku. Piramida karmi się... Nie! Nie sama piramida, ale coś, co jest wewnątrz. Coś pogrzebanego. Coś... żywego!

Ro oblizał wargi. W ustach nagle zabrakło mu śliny.

- Potrafisz zajrzeć do środka tej piramidy?

- Nie. Ale coś tam żyje.

- I karmi się krwią?

Sofarita zamruwała.

- Krwią i kryształami. Kiedy zabijają ludzi w innych miastach, wylewają ich krew na kryształy. A potem przenoszą je do piramidy. Są w niej otwory,

do których je wsypują. Wlatują do środka z grzechotem.

Kobieta umilkła.

Ro odczekał chwilę.

- Ile jest tych okrętów? - zapytał. Nie odpowiedziała. Powtórzył pytanie, tym razem trochę głośniej. Poderwała się nagle.

- Czy chciałbyś je zobaczyć? - zapytała nagle. - Te okręty?

- Jak to zobaczyć?

Wstała z krzesła i okrążyła biurko. Potem wyciągnęła do niego dłoń.

- Pokażę ci je - zapowiedziała. Poczul z bliska zapach mydła, a także woń jej włosów. Podał jej rękę.

Natychmiast zalała go eksplozja kolorów. Runął bezwładnie w ich otchłań. Ogarnęła go panika, ale usłyszał wewnątrz umysłu cichy i ciepły głos Sofarity, która go uspokoiła.

- Otwórz oczy i spójrz na niebo.

Ro wykonał polecenie i przekonał się, że unosi się pośród chmur nad błyszczącą powierzchnią morza. Nie czuł ciepła ani zimna, nie czuł też własnego ciała, ale bliskość Sofarity dodawała mu otuchy.

- Na dole! - wyszeptała. - Widzisz je?

Przez otwarte morze płynęło trzydzieści złotych okrętów. Nie miały żagli, lecz mimo to szybko pruły fale. Ro zorientował się, że opada ku nim. Strach zniknął. Kwestor zatrzymał się nad pierwszym z okrętów. Był on ogromny, dwukrotnie większy od Węża Siedem, i miał wiele pokładów, ale nie przeszkadzało mu to w rozwijaniu wielkiej prędkości. Gdy kwestor znalazł się bliżej, dostrzegł kunsztowny kadłub, wykonany z drewna pokrytego kutym złotem. Okręt miał prawie trzysta stóp długości i czterdzieści wysokości. Sądząc po liniach bulajów z nieprzejrzystego błękitnego szkła, miał cztery pokłady powyżej linii wodnej.

Na najwyższym z nich, nad dziobem i za nim, Ro zauważył wielkie metalowe struktury wyposażone w serię kół i przeciwwag. Z każdej takiej maszyny sterczała niczym włócznia długa metalowa rura o średnicy około dwóch stóp. Ro nie miał pojęcia, do czego one służą. Za maszynami stała grupka ludzi studiujących mapy. Mężczyźni byli wysocy, a ich skóra miała

kolor miedzi. Nosili złote stroje, a na głowach wymyślne ozdoby wyposażone w metalowe pióra zabarwione na czerwono, zielono i niebiesko.

- Kiedy dotrą do Egaru? - zapytał Sofaritę.
- Nie wiem. Ale na południu są też inne okręty.
- Pokaż mi je.

W jednej chwili Ro znalazł się nad znajomymi, skutymi lodem turniami oraz lodowcami, gdzie tak niedawno udało mu się osiągnąć komunię. Kotwiczyło tam pięć okrętów. Sofarita poprowadziła go w głąb łądu, gdzie rozbito obóz. Przybysze ułożyli ze złotych prętów płaską strukturę w kształcie ośmiokąta. W jej środku leżało trzech mężczyzn, którzy wyglądali na koczowników. Byli martwi. Otwarto im klatki piersiowe i wyrwano serca. Puste jamy pełne były okrwawionych kryształów.

W obozie przebywało około trzydziestu przybyszów. Pomimo dojmującego zimna żaden z nich nie włożył futra ani ciepłego ubrania. Większość była odziana w bawełniane tuniki i nie zwracała uwagi na siarczasty mróz. Duchowe spojrzenie Ro przyciągnęło dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie złotą zbroję oraz wysokie, ozdobione piórami nakrycie głowy. Człowiek stojący obok niego był niski i garbaty. Obaj przyglądali się namalowanej na niewyprawionej skórze mapie.

- Czego szukają? - zapytał Ro.
- Nie wiem. Przybyli tu przed dwoma dniami i zabili grupę koczowników.

- Podprowadź mnie bliżej. Chcę zobaczyć tę mapę.

Ro znalazł się tuż nad wysokim mężczyzną. Mapę pokrywały symbole, których nie potrafił odczytać. Poirytowało to Awatara, który władał wszystkimi językami znanymi człowiekowi.

- Dlaczego ich nie słyszymy? - zapytał.
- Te moce są dla mnie czymś nowym. Nie potrafię też odczytać ich myśli.

Z północy nadciągnął oddział żołnierzy. Ro zerknął na nich. Mieli futra. Byli też wysocy. Gdy podeszli bliżej, zorientował się, że to nie są ludzie. To były króle, wielkie i ociężałe. Ich piersi zdobiły skrzyżowane czarne skórzane

pasy. Bestie były uzbrojone w żelazne maczugi. Ro zauważył, że dwie z nich niosą długą tyczkę, z której zwisa przywiązany za ręce i nogi koczownik. Krale zatrzymały się przed wysokim dowódcą i pokłoniły mu się.

Mężczyzna podszedł bliżej, wy dobył złoty nóż i przeciął krępujące jeńca sznury. Koczownik runął na ziemię. Dowódca położył dłoń na jego czole.

Nagle umysł kwestora wypełnił hałas, donośny jak uderzenie gromu.

- Czy teraz ich słyszysz? - zapytała Sofarita.

- Tak. Ale dobrze by było, gdybyś mnie uprzedziła. Omal nie umarłem ze strachu.

- Czy teraz mnie rozumiesz? Czy mówię w twoim języku? - zapytał jeńca dowódca.

- Słyszę cię - odparł koczownik z przygnębieniem w głosie. Był młody, a z rany na twarzy ciekła mu krew.

- Moi ludzie widzieli pałac zbudowany nad brzegiem lodowego jeziora. Czy on należy do waszego plemienia?

- Nie. Zbudowali go Awatarowie. Dawno temu.

- Awatarowie? Rasa bogów? Są nieśmiertelni? Żyją wiecznie?

- Tak.

- A gdzie teraz są?

- Na północy. Bogowie ich zniszczyli. Pochłonęły ich morza. Ale ponoć nadal panują nad północnymi lądami. Nie wiem tego. Nigdy tam nie byłem.

- A czy widziałeś tych Awatarów?

- Tak. Przyplłynął tu ich okręt. Chodzili po tym lodzie. Mój wódz ich widział. Sprzedał im kły trąbowców. Potem walczyli z kralami. Strzelali do nich z magicznych łuków.

Dowódca wstał i zwrócił się w stronę garbusa.

- Odczytaj jego wiedzę.

Garbus ukląkł obok jeńca, ujmując jego głowę w obie dłonie. Zamarł w tej pozycji na ponad minutę, a potem się wyprostował.

- Zrobione, panie - oznajmił.

Dowódca spojrzał na krale.

- Jest wasz - oznajmił. Dwie wielkie bestie rzuciły się na ziemię.

Błysnęły pazury, przecinając tętnicę szyjną i łamiąc żebra. Jeniec nie zdążył nawet krzyknąć.

- Zabierz mnie z powrotem - rozkazał kwestor Ro.

Otworzył oczy i zobaczył, że przebywa w swym pokoju.

- Twoje moce są darem od Źródła - oznajmił Sofaricie. Nagle zorientował się, że nadal ściska dłoń kobiety. Puścił ją pośpiesznie i natychmiast tego pożałował. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio pozwolił sobie na podobny kontakt.

- Jesteś bardzo samotny - zauważyła.

- Musisz do mnie mówić „panie” - pouczył ją łagodnie. - Będziemy się spotykać z innymi i jeśli zobaczą, że nie okazujesz mi szacunku, możesz mieć kłopoty.

- Obiecałeś, że pomożesz mi uwolnić się od tej klątwy.

- Najpierw musimy zrozumieć tę moc. I zrobić z niej użytek. Ci przybysze stanowią zagrożenie dla nas wszystkich. Twoje nowe talenty będą dla nas bardzo użyteczne.

- Jeśli wam pomogę, to czy ty również mi pomożesz?

- Uczynię, co w mojej mocy. - Ro ze zdziwieniem przekonał się, że mówi szczerze.

Talaban przez dwa dni zmuszał załogę do maksymalnego wysiłku. Wąż mknął na pełnej prędkości po wzburzonym morzu, a kapitan symulował warunki bojowe, niespodziewanie zmieniając kurs. Najpierw wykonywał ostry zwrot na lewą burtę, prując dziobem wysokie fale, a potem skręcał gwałtownie w prawo. Choć Talaban sam kierował wszystkimi ruchami okrętu z kabiny na górze, załoga miała zajęć pod dostatkami. Po obu burtach umieszczono ukryte skrzynki z tablicami rozdzielczymi. Niektóre z nich uaktywniały urządzenie utrudniające przeciwnikowi dokonanie abordażu, inne zaś unosiły zakrzywione tarcze osłaniające łuczników.

Rankiem trzeciego dnia Talaban zaprowadził Methrasa do ukrytych drzwiczek za dziobem. Tam również umieszczono złoty trójkąt, pod którym ukrywał się zestaw symboli. Awatar pokazał sierżantowi, jak otworzyć

drzwiczki, i obaj mężczyźni weszli do środka.

Kapitan włączył świecącą kulę i Methras ujrzał przed sobą potężną metalową rurę, grubą jak udo mężczyzny. Przymocowano ją do desek pokładu, a u jej podstawy znajdowała się wielka skrzynia. Talaban odsunął na bok metalową płytę, pokazując sierżantowi serię kół oraz tarcz.

- Skrzynia zawiera białe kryształy oraz trzy wielkie rubiny - tłumaczył kapitan. - Po włączeniu gromadzi się w niej moc, którą uwalnia się pociągnięciem tej dźwigni. Przyglądaj się uważnie! - Talaban obrócił powoli tarczę. Rura przemieściła się do przodu, wysuwając się z pierwszego otworu. - Przy dużej odległości trzeba się wykazać sporym wyczuciem - ciągnął - ale nie sądzę, byśmy musieli walczyć na wielki dystans. Drugie okienko służy do celowania. Ta broń działa jak wielki łuk zhi, ale jej impuls jest sto razy silniejszy. Można nią przebić mury miejskie grubości dwudziestu stóp.

- To faktycznie wielka moc, kapitanie - zgodził się Methras. - Ta broń na pewno pochłania mnóstwo energii.

- Masz rację. Po trzech impulsach trzeba ją ładować na nowo. A my nie mamy dość mocy. Trzy strzały i ją utracimy. Być może na zawsze. Dlatego nie mamy możliwości ćwiczenia ani marginesu błędu. To będzie twoja pozycja, Methrasie.

- Nie zawiodę cię, kapitanie - zapewnił sierżant. Talaban przyjrzał mu się uważnie.

- Czy coś się stało?

- Nic, kapitanie.

- Zauważyłem, że ty i cała załoga traktujecie mnie z... większym dystansem. Czy chodzi o nowe obowiązki, czy o strach przed bitwą? A może o coś innego? Możesz mówić otwarcie.

- Zrobiłbym to, kapitanie, ale nie zauważyłem żadnej zmiany. Jesteśmy twoją vagarską załogą. Żyjemy po to, by wykonywać twoje rozkazy. Czegóż więcej możesz od nas żądać?

- Nie zaszkodziłaby odrobina szczerości - odparł Talaban. - Ale zapomnijmy na razie o tym i wróćmy do naszej broni. Gdy te okręty skierowano do służby, wśród załóg znajdowali się telepaci. Niestety, obecnie

utraciliśmy ten talent. Jeden z nich towarzyszył kapitanowi, a drugi przebywał na dole, razem z operatorem broni. Dzięki temu kapitan mógł wydać rozkaz otwarcia ognia. Nie mamy telepatów, potrzebujemy więc innego sygnału. Mam zamiar zamigotać świecąca kulą nad twoją głową. Następny okręt, który ujrzysz w oknie celownika, będzie celem.

- Rozumiem, kapitanie.

Talaban przesunął dłonią po długich ciemnych włosach i usiadł na rurze.

- Nie wiemy, ile okrętów będą mieli przybysze ani w jaką broń będą wyposażone. By wystrzelić błyskawicę, będę zmuszony opuścić nasze zasłony na kilka uderzeń serca. W związku z tym chwila, gdy będziemy najsilniejsi, będzie również momentem naszej największej słabości.

- Jak już mówiłem, kapitanie, możesz na mnie polegać.

Talaban skinął głową, a potem jeszcze dwa razy omówił funkcje wszystkich przełączników. Gdy już był przekonany, że sierżant w pełni zrozumiał działanie broni, rozkazał mu wsunąć ją na miejsce i zamknąć zasłony.

Potem obaj opuścili kabinę, zamykając za sobą drzwi.

Talaban wrócił do swej kajuty. Dziwił go chłód, z jakim traktowali go teraz Methras i reszta załogi. Służyli pod jego rozkazami już od wielu lat i miał wrażenie, że wytworzyła się między nimi swego rodzaju więź. Najwyraźniej jednak się mylił. Wykonywali jego rozkazy szybko i bez pytań, ale swobodne uśmiechy zniknęły, a kiedy się zbliżał, cichły rozmowy.

Talaban otworzył tylne drzwi, wyszedł na prywatny pokład i odetchnął pełną piersią. Wiała świeża bryza z południa i wyczuwał w powietrzu smak soli. W górze krążyły mewy. Na horyzoncie widział burzowe chmury.

- Chciałbyś coś zjeść? - zapytał Probierz. Talaban odwrócił się nagle. Dzikus pojawił się znikąd.

- Jak to robisz, że poruszasz się tak cicho? - zapytał. - Mam dobry słuch, a mimo to za każdym razem udaje ci się mnie zaskoczyć.

Probierz uśmiechnął się szeroko.

- Wielka tajemnica. Dużo pracy. Zawsze jesteś pogrążony w myśleniu.

- Mówi się „pogrążony w myślach”. Tak, z chęcią bym coś zjadł.

- Na stole - oznajmił Probierz. Talaban wrócił do kajuty. Na blacie stała taca, na której przyniesiono dzbanek z sokiem owocowym, mały bochenek chleba, talerz z różnymi rodzajami suszonego mięsa oraz drugi talerz z serem. Obok stał kryształowy puchar. Talaban uśmiechnął się z przekąsem, potrząsając głową. Dzikus wszedł do kajuty, niosąc tacę zastawioną glinianymi naczyniami, i postawił ją bezgłośnie na stole.

- W porównaniu z tobą, kot robi tyle hałasu co trąbowiec - zauważył Awatar.

Probierz znowu się uśmiechnął i wyszedł na prywatny pokład. Talaban zasiadł do posiłku. Chleb był już trochę czerstwy, ale za to suszone, wędzone mięso smaczne i sycące. Kiedy skończył jeść, dzikus wrócił.

- Nadciąga sztorm - oznajmił.

- Wiatr odpycha go od nas.

- Wiatr się zmieni - zapowiedział Probierz.

Waż mógł się oprzeć każdemu sztormowi, ale byłoby to marnotrawstwo mocy.

- Poszukam zatoki - zdecydował Talaban. Probierz oparł się o stół i wziął sobie kawałek mięsa. Ten gest świadczył, że dzikus czuje się swobodnie w jego towarzystwie. Ucieszyło to kapitana.

- Co się stało z załogą? - zapytał.

- Stało? Są chorzy?

- Nie, nie są chorzy. Nic nie zauważyłeś? Zmienili się. Traktują mnie teraz jak obcego.

- Nie zmienili się. Ty się zmieniłeś.

- Ja? Jestem taki sam.

- Nie - zaprzeczył Probierz. - Niebieskie włosy na skroniach. Duża zmiana.

Dzikus zabrał tacę i opuścił kajutę.

Talaban był wstrząśnięty, wiedział jednak, że Probierz ma rację. Wielokrotnie służył Raelowi jako zwiadowca, zapuszczając się daleko w głąb terytorium plemion. Podczas takich misji niebieskie włosy narażałyby go na

niebezpieczeństwo. Jego załoga uważała to jednak za demonstrację tego, że nie uważa się za bardzo różnego od nich. Widzieli w nim człowieka. A teraz stał się w ich oczach Awatarem, jednym ze sprawujących władzę bogów.

Musiało to zrodzić między nimi dystans. Talaban poczuł się głupio na myśl, że nie przewidział takiej reakcji. Jego ludzie pochodzili z rasy niewolników i marzyli o dniu, gdy staną się wolni. Dla Methrasa cios musiał być szczególnie bolesny z uwagi na jego awatarską krew. Drzwi kajuty zakołysały się, uderzając o framugę. Talaban wyszedł na prywatny pokład. Wiatr się zmienił i zgodnie z przewidywaniami Probierza nadciągał sztorm.

Kapitan poszedł na górny pokład, włączył moc i skierował Węża w stronę brzegu.

Yasha leżał na łożku. Głowa dziwki spoczywała na jego barku, a udo na nogach. W chacie było ciepło. Jedyna lampa paliła się migotliwym blaskiem. Było tu przyjemnie i wypełniał go spokój.

Z oddali dobiegała go cicha muzyka fletu kwestora Anu, Świętego. Była śpiewna i dziwnie piękna, działała uspokajająco na wszystkich, którzy ją słyszeli.

Zgodnie z obliczeniami Yashy, minęła już prawie połowa dwudziestodobowej nocy. Przepracował w nieustannej ciemności dwanaście zmian i zjadł dwanaście posiłków. Uśmiechnął się. A do tego zaliczył osiem dziwek.

- Czemu się uśmiechasz, mój dryblasie? - zapytała kobieta. - Było ci przyjemnie?

- Z tobą zawsze jest mi przyjemnie - odpowiedział, obracając głowę, by pocałować ją w czoło.

- Nikt oprócz ciebie mnie nie całuje - powiedziała. Muzyka fletu ucichła w oddali. Schował się za budowlą, pomyślał Yasha. Nadal mieli spóźnienie, ale ustawili już sześć poziomów kamieni, tworząc coraz mniejsze kwadraty. Yasha nie potrafił zrozumieć, dlaczego w środku jest tyle kanałów i tuneli. Przecież nikt nie miał mieszkać w piramidzie. Kobieta uniosła się na łokciu, jakby czytała w jego myślach.

- Do czego on ma służyć? - zapytała.

- O czym mówisz?

- O tym... wielkim budynku.

Jest przeznaczony dla Awatarów - odparł. - Wygląda na to, że co mniej więcej trzydzieści lat nachodzi ich pragnienie stworzenia jakiegoś trwałego pomnika. Mój ojciec pracował przy piramidzie, którą teraz rozbieramy. Nie ma w tym sensu. Niektórzy z chłopaków ekscytowali się myślą, że zobaczymy, co jest w środku. Ale niczego tam nie było. Żadnego złota, skarbów ani ciał. Zupełnie nic. To szaleństwo, prawda?

Usiadł, stawiając na podłodze długie nogi. Sięgnął po dzban z winem i przystawił go sobie do ust. Pociągnął długi łyk, a potem otarł płyn z gęstej, ciemnej brody. Dźwięk fletu znowu się zbliżył.

- Ona musi do czegoś służyć - upierała się kobieta. - W przeciwnym razie po co byłby tu z nami sam Święty?

To właśnie było pytanie, które dręczyło Yashę. Nie miał nic przeciwko zachciankom Awatarów, nie przeszkadzało mu nawet zbytnio, że władają pięcioma miastami. Ktoś musiał rządzić, a dopóki Yasha miał pracę oraz pieniądze na jedzenie i dziwki, był szczęśliwy. Święty pobudził jednak jego ciekawość swą magią. Kiedy Anu grał na flecie, ciężkie głazy stawały się lżejsze, być może nawet dwudziestokrotnie, i wystarczało czterech robotników, by ustawiać potężne skalne bloki. Z początku bardzo ekscytowało to i niepokoiło ludzi. Teraz już się do tego przyzwyczaili. Yasha wstał, wciągnął rajtuzy i koszulę.

- Jak się czujesz, będąc królem? - zapytała kobieta. Ryknął gromkim śmiechem.

- Nie byłem żadnym królem - odparł. - To była tylko zabawa dla uczczenia końca prac przy pierwszym poziomie.

- Ale nosili cię na ramionach i miałeś na głowie wieniec laurowy. Nawet Święty się kłaniał, kiedy go mijaleś. Czy to ci się podobało?

Yasha zastanowił się nad tym pytaniem, wciągając ciężkie buciory.

- Podobało mi się - przyznał. - Ale nawet nie w połowie tak bardzo, jak grzmocenie się z tobą.

- Naprawdę? Nie kłamiesz?
- Oczywiście.
- Wrócisz tu po następnej zmianie?
- Jaki mężczyzna mógłby do ciebie nie wrócić... moja droga? - urwał, gdyż zapomniał jej imię.

Pochylił się, pocałował ją raz jeszcze, zostawił na stoliku przy łóżku zapłatę w postaci małej glinianej tabliczki, wyszedł w noc i ruszył niespiesznie w stronę powstającej piramidy. Kwestor Anu chodził wokół szczytu szóstego poziomu, nadal grając na flecie. Yasha przyglądał mu się przez pewien czas, a kiedy Święty przestał grać, pomachał do niego ręką. Anu odwzajemnił ten gest, a potem zszedł na dół i zatrzymał się przy potężnie zbudowanym brygadziście.

- Dobrze nam idzie - stwierdził Anu. - Ale musimy pracować jeszcze szybciej.

- I będziemy, kwestorze. Robotnicy potrafią coraz więcej.

Anu uśmiechnął się i odwrócił od niego.

- Powiedz mi, panie, dlaczego grasz dalej, mimo że bloki są już na miejscu? - zapytał Vagar. Anu zatrzymał się, a potem odwrócił i spojrzał na niego. W jasnym, niezmiennym świetle księżycy jego niebieskie włosy błyszcząły jak polerowane srebro.

- Kamień pamięta moje melodie - wyjaśnił z powagą. Potem roześmiał się, widząc zdziwioną minę Yashy. - Każdy blok składa się z milionów połączonych ze sobą fragmentów, a każdy fragment zawiera miliony cząsteczek. Niewykluczone też, że każda cząsteczka dzieli się na wiele jeszcze mniejszych komponentów. Muzyka wnika w kamień, absorbuje ją każdy jego fragment, każda cząsteczka. W jego strukturze pieśń brzmi nadal. Być może będzie tam brzmiała w nieskończoność.

- Ja jej nie słyszę - stwierdził Yasha.

- Mimo to muzyka otacza nas ze wszystkich stron. Wszechświat jest pieśnią, Yasho. A my jesteśmy jej częścią. Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego muzyka tak bardzo pociąga człowieka? Dlaczego zbieramy się wszędzie, gdzie można ją usłyszeć? Dlaczego tańczymy przy niej, poruszając

ciało w jej rytm?

- Dlatego, że to sprawia nam przyjemność - odparł Yagar.

- Tak jest, przyjemność. To wydaje się naturalne, bo takie właśnie jest.

Chwile, gdy muzyka dotyka naszej duszy, przypominają nam, że wszyscy jesteśmy elementami Wielkiej Pieśni. Wszyscy: Awatarowie, Vagarzy, ludzie z plemion, koczownicy. A także drzewa i inne rośliny, ptaki i zwierzęta. Wszyscy mamy kluczowe znaczenie dla harmonii Muzyki.

- Może to prawda, Świąty, ale wydaje mi się, że Awatarom przypadły w udziale wszystkie najlepsze melodie. - Yasha natychmiast pożałował swych słów, gdyż były one niebezpiecznie bliskie nieprawomyślności. Anu jednak skinął tylko głową.

- Masz rację, Yasho. Ale nic nie trwa wiecznie, bez względu na to, w co chcą wierzyć moi bracia. Ten budynek, który wspólnymi siłami wznosimy, nie jest przeznaczony tylko dla samych Awatarów. Budujemy go dla całego świata. Dla ciebie, dla twoich dzieci i dla dzieci twoich dzieci.

- Ja nie mam dzieci, Świąty.

Anu położył szczupłą dłoń na ramieniu brygadzysty.

- Masz siedemnaścioro - poinformował go. - A tej nocy spłodziłeś kolejne. Naprawdę powinieneś starać się utrzymywać kontakt ze swymi kobietami.

Yasha zachichotał.

- Kobiety, z którymi sypiam, mają wielu partnerów, Świąty. Trudno powiedzieć, kto spłodził które dziecko. I to mi odpowiada. Byłeś kiedyś żonaty?

- Nie. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to pociągało.

- Mnie również nie. Może kiedy będę stary i zechcę mieć w łóżku trochę ciepła.

- Byłem już kiedyś stary - oznajmił Anu. - Można w tym znaleźć pewną satysfakcję, ale z pewnością nie ciepło.

Powiedział brygadziście „dobranoc” i oddalił się powoli do swego namiotu.

Rozdział siedemnasty

Sofarita siedziała spokojnie w korytarzu przed Salą Obrad. Zamknęła oczy, a jej twarz miała pogodny wyraz. Obok niej stało dwóch awatarskich strażników. Jeden z nich myślał o nowym koniu, którego sobie kupił, i o tym, czy okaże się on tak szybki, jak jego ojciec. Zastanawiał się też, czy go wykastrować. Drugi strażnik myślał o Sofaricie i o tym, że dobrze byłoby ją posiadać. Ich myśli były natrętne i kobieta próbowała odepchnąć je od siebie.

Najprostszą metodą było opuścić ciało i zamknąć duchowe uszy na ich rozmyślenia. Zrobiła to i natychmiast uzyskała poczucie wewnętrznego spokoju. Teraz byli dla niej tylko anonimowymi żołnierzami.

To był długi dzień, pełen interesujących wydarzeń. Najpierw kwestor Ro zabrał ją do swego domu. Sofarita nigdy nie widziała od środka tak imponującego domostwa. Pokoje były tu jasne, meble najwyższej jakości, dywany pięknie utkane, a ogród pełen kwitnących drzew i krzewów. Zjadła smakowity posiłek, przy którym usługiwała jej służba. Talerz, na którym go podano, był niebiesko-biały, pokryty błyszczącą powłoką, a ciemnoczerwone wino miało aromat przewyższający wszystko, co dotąd piła. Po południu kwestor Ro posłał po krawca, który zjawił się wkrótce z około dwudziestoma spódnicami i sięgającymi kostek sukniami. Wszystkie uszyto z tak niezwykle delikatnych materiałów, że kobieta, którą ongiś była Sofarita, mogłaby z łatwością uwierzyć, iż umarła i mieszka teraz z bogami. Nie była już jednak ową kobietą i luksusy oraz splendor awatarskiego życia wydawały się jej czymś ulotnym, pozbawionym znaczenia. Woda pita ze złotego pucharu pozostawała wodą, a w szkle i w diamencie odbijało się to samo, darmowe światło słońca. Bogactwo było jedynie symbolem władzy, a Sofarita nie potrzebowała symboli. Jej intelekt rozwijał się z dnia na dzień. A wraz z nim rosła moc.

Ubrana tak jak teraz, w powłóczystą suknię z białego błyszczącego atłasu, poszła na spotkanie z kwestorem generalnym. Wydał się on Sofaricie inteligentnym człowiekiem, kulturalnym i wrażliwym.

Odbyła z nim taki sam lot, jak z kwestorem Ro. Ujrzał na własne oczy złote okręty i ocenił, że powinny przybyć do Egaru przed upływem dwudziestu czterech godzin.

Kwestor generalny wypytywał o jej moce. Zapytał też, czy miała kiedykolwiek kontakt z uzdrawiającym kryształem. Sofarita nie była biegła w kłamstwie, ale wiedziała też, że lecząc ją z raka, Viruk złamał prawo.

- Tak - przyznała po chwili. - Byłam umierająca i pewien Awatar mnie uzdrowił. Nie powiem nic więcej.

Rael skinął głową, jakby rozumiał jej opory. Jego myśli były łatwe do odczytania, ale mało interesujące dla Sofarity. Skupiały się głównie na złotych okrętach i na tym, jak sobie z nimi poradzić. Niemniej jej uwagę przyciągnęła jedna, uderzająca myśl, podszyta nutą strachu.

Zjednoczona z kryształem.

Sofarita odebrała obraz młodej dziewczyny, która zamieniała się powoli w zimne, kruche szkło, konając w straszliwych cierpieniach. Poczuła ból Raela i zerwała kontakt, pozwalając mu w samotności przeżywać żalobę.

Wróciła do teraźniejszości, zadając sobie pytanie, jak przebiega debata w Sali Obrad. Przeniknęła przez ścianę i zawisała nad długim stołem. Na honorowym miejscu zasiadał kwestor generalny, szczupły człowiek o krótko ostrzyżonych niebieskich włosach i bystrym, przenikliwym spojrzeniu. Razem z dwudziestoma innymi ludźmi słuchał słów straszliwie tłustego mężczyzny. Grubas aż błyszczał od złota. Na każdym kielbaskowatym palcu miał pierścień, a na jego opasłej szyi wisiał ciężki złoty naszyjnik. Sofarita przyjrzała się pozostałym radnym. Kwestor Ro wyglądał na rozgniewanego. Jego twarz pobladła. Obok niego siedział szczupły mężczyzna o orlej twarzy, który starał się powstrzymać uśmiech. Grubas nie przestawał mówić. W pewnej chwili Ro zerwał się z krzesła, krzycząc i wyciągając rękę. Duchowe uszy Sofarity były zamknięte i kobieta zastanawiała się, o co chodzi.

Przepuściła ostrożnie trochę dźwięku.

- ...szaleństwo! Czy do cna postradałeś zmysły, Caprishame?

- Nie ja, ale ty - odparł tłścioch. - Co ci przyszło do głowy, Ro?

Vagarzy są naszymi sługami. Tak zrządziło Źródło. Gdybyśmy pozwolili żyć

Vagarce, która posiada takie moce, podważylibyśmy w ten sposób podstawę naszego bytu. To przekonałoby wszystkich Vagarów, że mogą aspirować do tego, by stać się nam równi. A to, przyjaciele... - Dodał, odwracając spojrzenie od Ro. - ...oznaczałoby początek końca nas wszystkich. Stawiam wniosek, by natychmiast skazać tę kobietę na śmierć!

Gdy usiadł, kwestor generalny skinął na Ro, nakazując mu przemówić. Niski człowieczek pociągnął się za rozwidloną, niebieską brodę.

- Znaleźliśmy się w rozpaczliwej sytuacji, przyjaciele - zaczął, nadal starając się zapanować nad nerwami. - Widziałem nieprzyjaciela i jest on potężny. Bardzo potężny. Płynie do nas trzydzieści okrętów, a inne przybiły już do brzegu na dalekim południu. Dzięki mocy Sofarity będziemy mogli obserwować ruchy wroga, a być może również poznać jego plany i przechytrzyć go. Bez niej będziemy ślepi na jego zamiary. Ten, kto w takiej chwili mówi o utrzymaniu władzy nad Vagarami, w ogóle nie rozumie sytuacji. Gdy domowi zagraża lawina, nikt nie zastanawia się nad tym, skąd wziąć ludzi do czyszczenia okien.

Mężczyzna o orlej twarzy uniósł rękę.

- Udzielamy głosu naszemu kuzynowi Niclinowi - oznajmił kwestor generalny. Ro usiadł.

- W rozumowaniu kwestora Ro kryje się poważna luka - zaczął Niclin. - Nie wiemy, czy przybysze są lawiną czy raczej błogosławieństwem. To Awatarowie, tak samo jak my. Niewykluczone, że stoimy u świtu nowej ery wielkości. Nie możemy ich osądzać, dopóki tu nie przybędą i nie oznajmią nam swoich intencji. Wiemy tylko tyle, że dysponują źródłem mocy, które pozwoliło im uciec przed kataklizmem, gdy ten dotknął ich rodzinny świat. Jeśli połączymy z nimi wiedzę, mogą się przed nami otworzyć wielkie możliwości. To jednak z pewnością kwestia o drugorzędym znaczeniu. Obecnie rozważamy implikacje kulturowe faktu istnienia młodej Vagarki posiadającej moce, jakimi sami już nie władamy. Caprishan ma rację, podkreślając psychologiczny efekt, jaki wywrze to na poddanych naszej władzy Vagarów. Jaka przyszłość nas czeka, jeśli, w mało prawdopodobnym przypadku wojny z owymi przybyszami, ta kobieta pomoże nam zwyciężyć?

Będzie to oznaczało, że Awatarów ocaliła przedstawicielka niższego gatunku. Dlaczego więc Vagarzy mieliby dalej akceptować naszą dominację? Zgadzam się z Caprishanem. Tę kobietę powinno się wyssać na kryształach.

Ro ponownie zerwał się z krzesła.

- Kwestorze generalny, apeluję do ciebie! Widziałeś jej moc i widziałeś siłę wroga. To kwestia militarna i nie należy jej rozstrzygać przez głosowanie.

Rael oparł się wygodnie. Milczał przez chwilę. Potem on również wstał.

- Sprawujemy władzę - zaczął - dzięki połączeniu strachu, respektu i interesowności. Vagarzy wiedzą, że mamy potężną broń i jesteśmy prawie nieśmiertelni. Są też świadomi, że mieszkając w pięciu miastach, pod naszą kontrolą mogą liczyć na dostatek żywności, wysokie zarobki oraz standard życia nieznany w innych krajach. Każdy z tych trzech czynników, strach, respekt i interesowność, ma kluczowe znaczenie, ale dwa pierwsze są zdecydowanie ważniejsze od tego ostatniego. Gdy tylko Vagarzy przestaną się bać Awatarów, natychmiast się zbuntują i zaleją nas dzięki swej większej liczebności. Jeśli zobaczą, że ich rodaczka włada mocą większą od naszej, utracą respekt dla nas. A wtedy zaczną się zastanawiać, czy mają powody, by się nas bać. Zgadzam się z tym, co powiedział kwestor Ro. Ta kobieta mogłaby być dla nas potężną bronią. Muszę jednak przyznać rację radnym Caprishanowi i Niclinowi, którzy twierdzą, że w naszym interesie leży, by natychmiast wyssać ją na kryształach. Sofaritą zawładnął zimny gniew. Wróciła do ciała i otworzyła oczy. Jej dłonie drżały od tłumionej furii. Poczowała na sobie spojrzenia strażników. Uniosła wzrok.

- Wychodzę - oznajmiła.

Wstała i ruszyła w stronę drzwi. Jeden z żołnierzy zagroził jej drogę. To był ten, który wyobrażał ją sobie nagą i marzył o pójściu z nią do łóżka. Zaciśnął dłoń na jej ramieniu. Krzyknął z bólu, gdy jego palce wygięły się i złamały. Odsunął się od Sofarity i sięgnął drugą ręką po nóż, który miał w pochwie z brązu u pasa. Obie nogi ugięły się pod nim. Kości ud złamały się z trzaskiem. Sofaritą szła przed siebie. Drugi strażnik rzucił się w pościg. Odwróciła się i uniosła rękę. Zatrzymał się dwie stopy od niej, jakby uderzył o ścianę.

- Żaden Niebieskowłosy już nigdy mnie nie tknie - oznajmiła. Żołnierz uparcie próbował się zbliżyć.

W tej samej chwili drzwi Sali Obrad otworzyły się gwałtownie i wybiegł z nich kwestor generalny. Tuż za nim podążał Ro oraz kilku innych radnych. Sofarita nie cofnęła się przed nimi.

- Jesteście głupcami - rzekła. - Zaoferowałam wam pomoc, a wy chcieliście mnie zabić. Jak powiedział Ro, stoicie przed największym niebezpieczeństwem, z jakim się kiedykolwiek spotkaliście. Przybysze, Almekowie, będą się zachowywali tak samo jak wy. Zastanówcie się nad tym, durnie! Przyszła do was osoba władająca mocą. Czy przyjęliście mnie z otwartymi ramionami i zaproponowaliście przyjaźń? Nie. Postanowiliście mnie zabić. Almekowie postąpią identycznie. Powiecie im: „ale my mamy moc, tak samo jak wy”. A oni zgodzą się, że to prawda. Ale mimo to będą pragnęli waszej zguby. Odpowiedzą wam: „tak, macie moc, ale nie jesteście Almekami”. - Sofarita spojrzała w oczy kwestora generalnego. - Wiesz, że mówię prawdę. Czytam to w twoich myślach. A ty! - ciągnęła, wskazując palcem Niclina. - Chciałeś mojej śmierci tylko po to, żeby zrobić na złość kwestorowi Ro. Jesteś podwójnym idiotą. Dowiedz się, że mogłabym zabić was wszystkich. Ale powstrzymam się. Zrobią to za mnie Almekowie. - Ponownie spojrzała na Raela. - Mówiłeś o respekcie i strachu. Nie mam dla ciebie respektu, a to ty powinienes nauczyć się bać mnie!

Strażnik z połamanymi kośćmi krzyknął głośno. Nogi miał groteskowo wygięte pod dziwnym kątem. Jedna z kości udowych sterczała na zewnątrz. Krew splamiła mu rajtuzy i spływała na gruby zielony dywan, na którym leżał. Sofarita odwróciła się plecami do gapiących się na nią bez słowa radnych i wyszła.

Pierwszy oprzytomniał Rael. Wypadł z przedpokoju, wbiegł na górę po schodach i popędził szeroką galerią. Otworzył drzwi na jej końcu i wybiegł na umieszczony powyżej dachu balkon. Stał tam na warcie awatarski żołnierz.

- Daj mi łuk! - rozkazał kwestor generalny, wrywając zaskoczonemu mężczyźnie broń z ręki.

Rael skupił się i nawiązał więź z bronią. Gdy podszedł na skraj balkonu, pojawiły się w niej struny migotliwego światła. Kobieta w białej sukni wyszła na szeroką aleję na dole. Awatar wyciągnął rękę i wycelował.

- Nie rób tego, Raelu! - zawołał kwestor Ro, wybiegając na dach.

Kwestor generalny zamarł na chwilę, ale potem znowu wycelował.

W tym samym momencie kobieta wmieszała się w tłum, znikając mu z oczu.

Rael spojrział na Ro.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co ona sobą reprezentuje? - zapytał, starając się powstrzymać gniew.

- Szansę ocalenia - warknął Ro. - Ona ma rację i dobrze o tym wiesz.

Almekowie nie będą chcieli pokoju. Ich celem jest podbój. Nie wysłała się trzydziestu okrętów po to, żeby nawiązać stosunki dyplomatyczne.

- Nie mówię o Almekach, Ro. Czy nie widzisz, czym ona jest? Czym się staje?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Jest zjednoczona z kryształem, Ro.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Kwestor Ro zamrugął.

- To niemożliwe. Szansa jest...

- Jedna na sto milionów - przerwał mu Rael. - Wiem o tym. Jej moc będzie rosła z każdym dniem, ponieważ czerpie ją ze wszystkich kryształów w mieście. Czy teraz rozumiesz?

- Możesz się mylić, Raelu.

- Modlę się o to, by tak było.

Po całym mieście rozesłano agentów mających szukać śladów Sofarity. Donosicielom powiedziano, że każdy, kto poinformuje władze o miejscu jej pobytu, otrzyma wielką nagrodę. Radni przenieśli się do swych ufortyfikowanych domów. Przydzielono im uzbrojonych strażników, którzy mieli zapobiec atakom pajistów. Rael i Ro zostali w budynku Rady.

Przez większą część nocy nad miastem szalała gwałtowna burza. Nad ujściem Luanu niebo rozjaśniały błyskawice. W położonym wysoko nad Salą Obrad pokoju hałasowały okiennice. Rael spacerował po pomieszczeniu. Ro

nigdy jeszcze nie widział, by cokolwiek tak wyprowadziło kwestora generalnego z równowagi.

- Popeliłem błąd - przyznał w końcu Rael. - Mam nadzieję, że jego skutki nie okażą się fatalne.

Ro nie odpowiedział. Myślał o ciemnowłosej Yagarce, starając się zrozumieć targające nim burzliwe uczucia. Zgadzał się z Raelem, jeśli chodziło o potrzebę wzbudzania strachu w podporządkowanych rasach. W gruncie rzeczy przez większą część życia wychwalał zalety takiej właśnie polityki. Ale tym razem... mógł myśleć tylko o tym, w jaki sposób podczas mówienia, unosiła głowę i jak złote plamki w jej oczach lśniły w blasku słońca.

- Powinniśmy skupić uwagę na tych przybyszach - stwierdził. - Na Almekach.

- Miała rację - dodał Rael. - Nie będą chcieli pokoju i z pewnością nie zechcą traktować nas jak braci. Jak doszło do tego, że staliśmy się tak arogancy, Ro?

- To leży w naturze władców - wyjaśnił niski kwestor.

- Wystarczy, że strzelimy palcami, a ludzie z niższych ras są na nasze usługi. Kłaniają się nam i biją czołem, wzmacniając w nas przekonanie o naszej wyższości. Wszyscy gramy w tę grę, Awatarowie i Vagarzy.

- Dobrze się czujesz, przyjacielu? - zapytał Rael, siadając naprzeciwko Ro. - Dziwnie jest słyszeć takie słowa z twoich ust.

Ro westchnął.

- Nauczyłem się dziś bardzo wiele. Wygląda na to, że zmarnowałem ostatnie sto lat. Nie potrafię uwierzyć w to, co wydarzyło się dziś wieczorem. Młoda kobieta obdarzona zdumiewającymi talentami była gotowa nam pomóc, a my skazaliśmy ją za to na śmierć. Co gorsza, gdyby to Niclin przedstawił ją Radzie, sam zażądałbym odebrania jej życia. Jak bardzo małostkowi się staliśmy.

- Ja również nad tym ubolewam, Ro - zgodził się Rael - ale na razie musimy o tym zapomnieć. O świecie przyplyną tu złote okręty. Musimy przygotować plany i wydać rozkazy.

Obaj mężczyźni rozmawiali przez większą część nocy. Potem Rael

wysłał po swych najbardziej zaufanych oficerów i rozkazał im zebrać żołnierzy.

O świcie burza przesunęła się już w głąb lądu. Morze było spokojne, horyzont czysty, a niebo przybrało piękną błękitną barwę. Rael, Ro i reszta starszych rangą radnych zebrali się w porcie, by czekać na przybycie Almeków. Awatarscy żołnierze zamknęli dostęp do portu i panowała w nim cisza. Przywódcy czekali cierpliwie.

Pierwszy ze złotych okrętów pojawił się kilka minut po tym, jak słońce wynurzyło się zza gór na wschodzie. Nawet z daleka można było ocenić, jaki jest ogromny. Rael i Ro już go przedtem widzieli, dzięki nowo odkrytym zdolnościom Sofarity. Pozostali jednak poczuli pierwsze dotknięcie strachu. Niclin przymrużył powieki zimnych oczu. Tłustego Caprishana zalał pot. Potężny okręt pruł fale, błyszcząc w świetle poranka. Podążały za nim następne, ustawione w długą bojową linię. Rael policzył je. Dwadzieścia cztery. Gdy zbliżyły się do wybrzeża, flota się rozdzieliła. Osiem okrętów wpłynęło powoli do ujścia rzeki między miastami Egaru i Pagaru. Osiem skierowało się na południe. Osiem pozostałych zatrzymało się spokojnie tuż przed wejściem do portu, a ten, który płynął przodem, zbliżył się do czekających na brzegu ludzi, zawracając w ostatnim momencie, a potem przybijając do kamiennego nabrzeża. Okręt był ogromny, znacznie górował nad brzegiem. Szeroki na dziesięć stóp fragment burty oddzielił się od reszty i opadł powoli na nabrzeże, tworząc szeroki zakrzywiony trap.

Pojawił się wysoki czerwonoskóry mężczyzna, noszący napierśnik złożony ze złotych taśm. Na głowie miał zdobny hełm, z którego sterczały złote pióra, a na nadgarstkach, bicepsach i szyi nosił złote obręcze. Miał też spódniczkę z czerwonej skóry ozdobionej złotem oraz szeroki pas o sprzączce otaczającej wielki trójkątny szmaragd.

Ale to jego twarz przyciągnęła uwagę grupki oczekujących. Nie tylko dlatego, że miała kolor polerowanej miedzi, lecz również dlatego, że lśniła dziwnie w jasnym blasku słońca. Wyglądało to tak, jakby była pokryta warstwą tłuszczu. Mężczyzna zszedł powoli po trapie, zatrzymując się na chwilę, by rozejrzeć się wokół. Nie miał bronii, ale zachowywał się swobodnie.

Gdy już pokonał połowę drogi, uniósł rękę. Nagle na nabrzeże opadło dwadzieścia kolejnych trapów. Zaczęło po nich schodzić dwudziestu zakutych w czarne zbroje i hełmy wojowników. W rękach trzymali coś, co wyglądało na grube czarne pałki długości około trzech stóp.

W tej samej chwili z pobliskich budynków i zaułków wyłoniło się pięćdziesięciu awatarskich żołnierzy uzbrojonych w łuki zhi. Ich żelazne napierśniki lśniły jak srebro, a białe płaszcze powiewały na wietrze. Wódz przybyszów ponownie uniósł rękę. Jego wojownicy zatrzymali się i stanęli bez słowa na trapach.

Wódz podszedł do oczekującego nań Raela. Wygląd jego twarzy wstrząsnął Awatarami. Jego brwi, kości policzkowe i podbródek wyglądały jak szklane, co nadawało obliczu mężczyzny nieludzki wygląd.

- Witaj w Egaru - powiedział ze spokojem kwestor generalny. -
Czekaliśmy na wasze przybycie z wielkim zainteresowaniem. Czy zechcesz zjeść z nami śniadanie?

- Razem z moimi ludźmi? - zapytał zimnym tonem wódz.

- Nie sądzę - odparł z uśmiechem Rael. - Ludzie, którymi władamy, są bardzo bojaźliwi. Lepiej byłoby, gdyby zobaczyli, że obaj udajemy się w przyjaźni do budynku Rady. Widok tak wielu żołnierzy mógłby ich zaniepokoić.

- Jak sobie życzysz. Zabiorę tylko adiutantów.

- Będą mile widzianymi gośćmi - zapewnił Rael.

Wódz skinął władczo dłonią. Almeccy żołnierze zawrócili i zniknęli wewnątrz złotego okrętu. Podniesiono wszystkie trapy oprócz jednego. Zeszli po nim trzej oficerowie, którzy dołączyli do grupy.

Oni również mieli skórę barwy miedzi, ale ich twarze były ludzkie. Oczy mieli ciemnobrązowe, a rysy ostre. Bił jednak od nich pewien chłód, a w ich ruchach wyczuwało się arogancję.

Rael poprowadził ich do oczekującego powozu, który zawiózł wszystkich do budynku Rady. Kwestor generalny towarzyszył gościom, ale nie prowadzono żadnych rozmów. Przybysze nie sprawiali też wrażenia zainteresowanych otoczeniem. Siedzieli cicho, a ich twarze nic nie wyrażały.

Gdy już znaleźli się w Sali Obrad, Rael poprosił ich, żeby usiedli. Nie chcieli przyjąć poczęstunków ani napojów i czekali cierpliwie, aż kwesor generalny przemówi. Pozostali radni wypełnili salę, zajmując miejsca. Rael wstał.

- Najpierw pozwólcie, że się przedstawię - zaczął. - Jestem Rael, kwesor generalny Imperium Awatarskiego. Ludzie, którzy mi towarzyszą są najstarszymi rangą radnymi. Chciałbym przywitać was na naszych ziemiach i pogratulować sposobu, w jaki Almekom udało się umknąć przed kataklizmem, który spadł na ich świat.

Wódz Almeków odpowiedział mu, nie wstając z krzesła:

- Jestem Cas-Coatl, Władca Trzeciego Sektora. Doceniam ciepłe słowa, jakimi nas witacie. Mam nadzieję, że uda się ustanowić jedność bez zniszczeń i rozlewu krwi i że bez oporów przekazacie nam władzę.

Jego słowa przywitano pełną zdumienia ciszą. Rael starał się zachować spokój.

- A co oferujecie Awatarom? - zapytał.

Twarz Cas-Coatla nie zmieniła wyrazu.

- Życie - odparł po prostu.

- Życie już mamy - wskazał Rael.

- Dyskusje nie mają większego sensu - skwitował Cas-Coatl. - Byliście najpotężniejsi. Teraz utraciliście tę pozycję. Byliście silni. Teraz jesteście słabi. Almekowie są silni. Silni sprawują władzę. Czy dostrzegasz jakiś błąd w tym rozumowaniu?

- Być może nas nie doceniasz, Cas-Coatlu - odparł cicho Rael.

- Wasze miasta mają niewiele fortyfikacji obronnych, a wasza armia składa się z niespełna tysiąca siedmiuset ludzi, z czego tysiąc pięciuset to niewolnicy z niższej rasy. Opuścimy was teraz i damy wam dwie godziny na podjęcie decyzji. - Uniósł rękę. Stojący po lewej oficer wręczył mu złożoną, jaskrawozieloną płachtę tkaniny. Cas-Coatl położył ją na stole. - Jeśli zdecydujecie mądrze, wywieście tę flagę na najwyższym budynku na nabrzeżu. Moje okręty przybiją do brzegu i omówimy kwestię przekazania władzy. Potem będziecie mogli wrócić do domów i żyć w spokoju.

W przeciwnym razie... i tak wylądujemy, i nasi żołnierze zajmą gruzy, które pozostaną.

Cas-Coatl wstał, a jego oficerowie zrobili to samo.

- Możecie rzecz jasna wziąć nas jako zakładników, a nawet zabić. To niczego nie zmieni. Natychmiast zostanie wyznaczony nowy Władca Trzeciego Sektora, a wy stracie dwie godziny.

- Możesz odejść swobodnie, Cas-Coatlu - zapewnił Rael.

Almek i jego adiutanci opuścili salę. Rael rozkazał dwóm oficerom odwieźć ich z powrotem na okręt.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Rael popatrzył na twarze radnych. Wszyscy byli w szoku.

- Przynajmniej wiemy, na czym stoimy - stwierdził Rael.

- Na skraju przepaści - zauważył kwestor Ro.

- Ten mężczyzna jest zaślubiony z kryształem - zastanawiał się Niclin. - Jak to możliwe, że jeszcze się rusza?

- Sądząc z tego, jak wyglądają okręty Almeków, ich rozwój przebiegał inną drogą niż nasz - wyjaśnił Ro. - Są napędzane mechanicznie, nie przy użyciu kryształów. Niewątpliwie ta nieznamy nam wiedza pozwoliła im rozwiązać ów problem. To jednak ma obecnie niewielkie znaczenie. Wygląda na to, że stanęliśmy w obliczu zagłady, przyjaciele.

Rozdział osiemnasty

Salę Obrad natychmiast wypełnił rwetes. Rael zerwał się z krzesła, unosząc ręce nad głowę.

- Dość już tego, przyjaciele - krzyknął. - Mamy dwie godziny. Kapitulacja nie wchodzi w grę. W związku z tym musimy wykorzystać ten czas do przygotowania obrony. Wszyscy poza kwestorami Caprishanem, Niclinem i Ro powinniście wrócić do swych obowiązków. Nieprzyjaciel z pewnością ma na okrętach broń o dalekim zasięgu. Udajcie się do swoich dzielnic i zorganizujcie ewakuację ludności cywilnej do wschodnich części miasta. Vagarskim kapitanom rozkazano już przygotować żołnierzy na taką ewentualność, a także zorganizować pododdziały, które zajmą się ewakuacją rannych oraz grzebaniem poległych. Współpracujcie z nimi w swoich dzielnicach. Zbierzcie też gońców, by zapewnić stałą łączność z Radą Wojenną. Idźcie już, przyjaciele. Mamy niewiele czasu.

Radni opuścili salę.

- Tej wojny nie możemy wygrać, kuzynie - oznajmił Caprishan po wyjściu ostatniego.

Wiem o tym - warknął Rael. - To nie czas na rozmowę na ten temat. Jak wszyscy widzieliśmy, osiem okrętów popłynęło w górę rzeki, ku ziemiom Erek-jhip-zhonad. Według mojej oceny, na każdym z nich powinno być około trzystu wojowników. To znaczy, że gdzieś na naszych tyłach wyląduje dwa tysiące pięciuset ludzi. Taki sam oddział popłynął na południe. Gdybym to ja dowodził ich flotą, wysadziłbym swoje siły na bagnach, trzy mile na południe od Pejkanu. To najslabiej bronione z pięciu miast. Upadnie przed upływem doby. Boria i Caval pójdą w jego ślady. W każdym z tych trzech miast stacjonuje jedynie symboliczny kontyngent awatarskich żołnierzy. Rozkazano im wymaszerować do Egaru, gdy tylko ujrzą nieprzyjaciela. Rady miejskie mają się poddać, jeśli tylko otrzymają taką szansę. Większość awatarskich rodzin opuściła już miasta, a wszystkie kryształy i źródła mocy usunięto bądź zdemontowano.

- Oddamy te miasta bez walki? - oburzył się Niclin. - To mi się nie podoba.

- Myślisz, że mnie się podoba? - warknął Rael. - Jak słusznie zauważył Cas-Coatl, mamy tylko niespełna dwustu awatarskich żołnierzy i tysiąc pięciuset wyszkolonych Vagarów. Być może przypominacie sobie, że Rada zawsze uważała, że... jak to zwykłeś ujmować, Caprishanie? Byłoby szaleństwem utrzymywać w miastach zbyt wielu uzbrojonych Vagarów. Teraz za to płacimy.

- Nie tylko ja zgłaszałem podobne obawy - zauważył Caprishan.

- Masz rację. - Rael westchnął. - W wielu kwestiach zgadzałem się z tobą. Nikt z nas nie mógł jednak przewidzieć zjawienia się tego rodzaju nieprzyjaciela. W przeszłości łuki zhi z nawiązką wyrównywały naszą małą liczebność. Obawiam się, że tym razem tak nie będzie. Musimy skupić wszystkie swe wysiłki na Egaru i Pagaru - nalegał Rael. - Mury obu tych miast są wysokie i mocne. Mamy tu też skrzynki mocy. Na krótką metę na naszą korzyść działają też dwa inne czynniki. Wąż Siedem pod dowództwem Talabana oraz jeden umieszczony na łodzi słoneczny ogień. Jest on w pełni naładowany i kwestor Ro ukrył go na mój rozkaz w Wieży Portowej.

- Słonecznego ognia nie używano ani nie ładowano od... jak dawna?... od dwustu lat - przerwał mu Niclin. - Nawet jeśli nie eksploduje przy pierwszym strzale, nieprzyjaciel zobaczy, z którego miejsca uderzył impuls, i skoncentruje ataki na Wieży Portowej, która zamieni się w śmiertelną pułapkę.

- W takim przypadku, kuzynie, wreszcie się ode mnie uwolnisz - oznajmił Ro - bo to ja będę kierował tą bronią.

- Nie chcę, żebyś zginął, Ro - rzekł cicho Niclin. - Jesteśmy rywalami, przeciwnikami politycznymi, ale bardzo bym żałował, gdyby spotkało cię coś złego. - Spojrzał na Raela. - A czego żądasz ode mnie, kuzynie?

- Udaj się do Pagaru, zanim nieprzyjaciel zamknie drogę przez rzekę. Broń miasta do ostatniego człowieka. Spraw, by wróg drogo zapłacił za każdy cal zdobytego gruntu. Dostaniesz sześćdziesięciu awatarskich żołnierzy, ale ponad dwieście łuków zhi. Dopilnuj, żeby zawsze był pełen zapas energii.

Caprishanie, będziesz towarzyszył Niclinowi. Twoją rolą jest zapewnienie stałych dostaw do obu miast, a także dla kwestora Anu. Gdy nieprzyjaciel już wylądował, nie będzie to łatwe. Mgła ma opaść jutro. Upewnij się, że do Anu dotrze wiadomość o sytuacji na zewnątrz.

Caprishan skinął głową.

- Anu i jego robotnicy znajdują się dwadzieścia mil w głąb łądu. Nie zdołamy go osłonić.

- Nie będzie potrzebował osłony - uspokoił go Rael. - Każdy wróg, który przejdzie przez mgłę, umrze i ulegnie rozkładowi w ciągu kilku uderzeń serca. Niebezpiecznie będzie tylko wtedy, gdy Anu opuści mgłę, żeby wpuścić zapasy do środka. Musisz się dowiedzieć, czy istnieje jakiś sposób na utworzenie we mgle tajnego kanału.

- Uczynię to, kuzynie, ale z pewnością jeśli Anu włada taką mocą w dolinie, mógłby jej użyć również tutaj. Czy nie potrafiłby otoczyć tą mgłą całych miast i zniszczyć wrogów, gdy spróbują wylądować?

Rael potrząsnął głową.

- Nie chciał nawet o tym słyszeć - wyjaśnił. - Anu nie jest zabójcą. I nie mogę zmusić go do takiego uczynku. Uwierz mi, próbowałem. Czy są jeszcze jakieś pytania? - Kwestorzy milczeli. - Świetnie. Bierzmy się do roboty, przyjaciele, i niech Źródło błogosławi naszym poczynaniom.

Ewakuacja rozpoczęła się przed upływem godziny. Vagarscy żołnierze wylegli na ulice, wyganiając z domów oszołomionych mieszkańców. Gdziekolwiek dochodziło do kłótni, ale obecność niebieskowłosych awatarskich radnych uspokajała tłumy. Nikt nie chciał zostać aresztowany za nieposłuszeństwo obywatelskie, co oznaczałoby wysłanie na kryształach. Ludność zapewniało, że opustoszałe dzielnice będą patrolowali vagarscy żołnierze, których zadaniem będzie ochrona domów i dobytku przed szabrownikami.

Wszystko to jednak trwało dosyć długo i gdy minęły dwie godziny, nie zdążono jeszcze opróżnić z górą tysiąca domów. Tłum uchodźców zatkał ulice. Tu i ówdzie wybuchały bójki - raz tam, gdzie od ciężko wylądowanego wozu urwało się koło, zatrzymując cały ruch, a drugi raz, gdy vagarski kupiec

spiał wierzchowca i próbował przedrzeć się przez tłum. Kupiec obalił na ziemię kobietę, a jej mąż ściągnął go z siodła i zaczął okładać pięściami. W obu przypadkach vagarscy żołnierze rozdzielili walczących.

Kwestor Ro przykucnął obok słonecznego ognia w Wieży Portowej i posmarował jego przekładnie oraz koła odrobiną oleju. Towarzyszyło mu trzech awatarskich żołnierzy, a nieco dalej czekało dziesięciu vagarskich robotników, którzy mieli zabrać stąd maszynę, gdy już spełni swoje zadanie. Wieżę zbudowano z ciężkich kamiennych bloków i sprawiała wrażenie solidnej, zwłaszcza tutaj, na parterze. Ro nie miał jednak pojęcia, jakiego rodzaju broni użyje nieprzyjaciel. Wylał miękką szmatką nadmiar oleju z przekładni i machinalnie przetarł nią długą rurę z brązu. Broń była skierowana na małe okienko i pole ostrzału było wąskie. Ro podszedł do okna i spojrzał na zatokę. Widział stąd wszystkie osiem złotych okrętów. Dzieliło je jednak od niego co najmniej pół mili. Czy ich broń miała tak wielki zasięg? Nie wiedział tego.

Słoneczny ogień od prawie pięćdziesięciu lat przechowywano w muzeum. Ro widział na własne oczy, jak po raz ostatni użyto tej broni przeciw okrętom Khasli. Ich flota została wówczas całkowicie zniszczona. Podczas wojny czternastoletniej taki sam los spotkał zresztą cały ich naród. Teraz my jesteśmy Khasli, pomyślał Ro. Próbował sobie przypomnieć, jak długo trwa ładowanie kryształów między wystrzałami, ale bezskutecznie. Pamiętał tylko, że potrzeba na to kilku minut.

Wezwał żołnierzy i ponownie ustawił celownik, mierząc w wylot zatoki. Potem sprawdził pozycję broni za pomocą długiego liniału. Musiała ona być ustawiona równolegle do podłogi, a okazało się, że odchyła się od niej na grubość włosa. Kwestor przeliczył w pamięci, jaki efekt miałyby to przy odległości czterystu jardów. Po skroniach spływał mu pot. Ro nie był wojownikiem i miał niewiele doświadczenia w obchodzeniu się z tą bronią. To samo jednak można było powiedzieć o wszystkich Awatarach w Egaru, pomijając Raela. Słoneczne ognie nie były potrzebne od prawie dwustu lat. W wojnach z plemionami wystarczały łuki zhi. Przeszedł do tylnej części broni i uniósł celownik - wąskie ramię wykonane z brązu, do którego

przytwierdzono złote kółko. Ro oparł je na krótkim kolcu umieszczonym na drugim końcu rury.

Zaschło mu w ustach i poprosił o kubek wody. Jeden z żołnierzy napełnił naczynie z glinianego dzbanka. Ro pociągnął łyk, zerkając na klepsydrę. Barwiony piasek przesypywał się powoli w dół. Już niedługo, pomyślał kwestor.

Trzy złote okręty ruszyły naprzód, zmierzając w kierunku Pagaru. Cztery następne popłynęły w stronę portu. W ich ruchach było coś, co napełniało Ro strachem. Były spokojne i niewzruszone, promieniowały determinacją i ogromną pewnością siebie. Tak właśnie czuli się Khasli, gdy walczyli z nami w dawnych czasach, pomyślał. Zadrżał. I włączył słoneczny ogień. Gdy ładunek narastał, machina zaczęła buczeć. Kwestor czuł jej wibrację. To drganie broni spowodowało, że nadchodząca bitwa nagle wydała mu się rzeczywista. Ro poczuł narastającą panikę.

Jesteś Awatarem, oznajmił sobie stanowczo. Pot zalewał mu oczy. Otarł go naoliwioną szmatką.

- Mamy wejść na dach, kwestorze? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Nie. Zostańcie tutaj. Musimy zabrać słoneczny ogień z wieży, jeśli tylko będzie to możliwe. Jest zbyt cenny, żebyśmy mieli go stracić w pierwszej potyczce.

Ro przykucnął za celownikiem. Kiedyś naprawdę byliśmy bogami, pomyślał. Kroczyliśmy dumnie po ziemi niczym giganci. Przynosiliśmy prymitywnym ludom wiedzę i prawo. Uczyliśmy ich tajników uprawy ziemi i budownictwa.

I obracaliśmy ich w niewolników...

Pierwszy ze złotych okrętów wpływał powoli w jego pole ostrzału.

A czyniąc z nich niewolników, sami staliśmy się niewolnikami, myślał Ro. Niewolnikami tradycji, niewolnikami przeszłości.

Nacisnął spust.

Nic się nie wydarzyło. Ro zaklął pod nosem, otwierając skrzynkę kontrolną. Jeden z kryształów wysunął się z miejsca. Wcisnął go z powrotem i zamknął pokrywkę. Pierwszy okręt zniknął już z celownika, ale zbliżał się

drugi. Z zewnątrz dobiegła seria głuchych łoskotów, którym towarzyszył świst powietrza. Potem fundamentami wieży wstrząsnęły trzy eksplozje.

- Pożar w porcie! - zawołał jeden z żołnierzy. - Mają na okrętach maszyny, które zasypują miasto ognistymi kulami.

Ro zignorował go. W celowniku pojawił się drugi okręt. Kwestor nacisnął dźwignię. Z wylotu rury trysnął niebieski ogień, a potem przed oczyma Awatara eksplodowało straszliwie jasne białe światło. Oślepiony Ro odsunął się od maszyny i nie zobaczył włóczy blasku, która uderzyła w okręt nieprzyjaciela. Pokryte złotem deski kadłuba rozprysły się na kawałki. Impuls przebił się przez nie na wylot. Towarzyszyło temu potężne ciepło. Wybuch, który nastąpił po chwili, rozerwał okręt na trzy części. Ciała poleciały w powietrze. W Wieżę Portową uderzyła fala ciepła. Ro, który klęczał, zasłaniając oczy dłonią, poczuł owiewający go gorący podmuch.

Otworzył oczy i zamrugał, aby usunąć łzy. Powoli wracał mu wzrok. Podeszedł do okna i spojrzał na scenę zniszczenia. Ze złotego okrętu pozostały tylko unoszące się na wodzie szczątki. Ro poczuł przyływ gwałtownego uniesienia.

Przeszedł do tylnej części słonecznego ognia i położył dłonie na rurze, czując wibrację ładującej się maszyny.

Mamy szansę, pomyślał. Nie są tacy potężni, jak im się zdaje.

Tymczasem w zatoce pierwszy z okrętów zawrócił. Nad wodą przemknęła ognista kula, która wylądowała w odległości około czterdziestu stóp od Wieży Portowej. Wybuch był potężny. Kamienie pękały na drobne fragmenty. Podmuch uniósł najbliższego stojącego awatarskiego żołnierza i cisnął nim o mur wieży, łamiąc mu kręgosłup.

Dwaj pozostali żołnierze wycelowali w okręt łuki zhi i zaczęli ostrzeliwać górne pokłady. Impulsy trafiały w deski kadłuba, wyrządzając niewielkie szkody.

Z okrętu wystrzelono drugą ognistą kulę. Żołnierze rzucili się do ucieczki. Zdążyli pokonać najwyżej trzydzieści jardów, gdy kula uderzyła w nabrzeże. Podmuch uniósł ich wysoko nad wodę. Martwe ciała szybko zniknęły pod powierzchnią.

Ukrytego w Wieży Portowej Ro pokrywał pył oraz okruchy kamienia. W jego stronę płynął trzeci okręt. Kwestor klęknął za słonecznym ogniem. Machina nadal wibrowała. Nie zdążyła naładować się do końca.

Ścianą po jego lewej stronie wstrząsnęła kolejna eksplozja. Część sufitu się zawaliła. Masywna belka runęła w dół, zatrzymując się na szczycie framugi. Ro wycelował, spoglądając na zewnątrz przez dławiący pył. Wibracja ucichła. Zamknął oczy i pociągnął za dźwignię.

Impuls trafił wysoko w rufę trzeciego okrętu. Ro otworzył oczy, by zobaczyć eksplozję. Potężny wybuch zniszczył tylną połowę statku. Dziób oderwał się od środkowej części. Okręt przechylił się powoli i zniknął w głębinie. Garstka ocalałych skoczyła do wody i popłynęła w stronę brzegu.

Kolejna ognista kula uderzyła w szczyt Wieży Portowej.

Rozległ się ogłuszający huk. Wybuch zerwał dach. Sufity czterech górnych pięter runęły w dół, grzebiąc słoneczny ogień i kwestora Ro pod tonami gruzu.

Ukryty w wąskim zaułku nieopodal portu kwestor generalny oceniał zniszczenia. Budynki za jego plecami płonęły. Słyszał krzyki uwięzionych w nich ludzi. Nie spuszczał jednak spojrzenia z pierwszego ze złotych okrętów, który zawrócił w stronę nabrzeża.

Razem z nim czekało pięćdziesięciu Awatarów. W pobliżu ukryło się również dwustu vagarskich żołnierzy. Wokoło unosiły się kłęby dymu i niektórzy ludzie zaczęli kasłać. Rael osłonił dolną połowę twarzy chustą. Jego adiutant Cation oddalił się i po chwili wrócił z wiadrzem wody. Niektórzy żołnierze nasączyli nią czerwone płaszcze i przycisnęli sobie tkaninę do twarzy. Cation zaoferował wodę Raelowi. Ten umoczył w niej chustę i zawiązał ją na nowo. Teraz mógł oddychać swobodnie.

Złoty okręt podpłynął do kamiennego nabrzeża. Przez chwilę nic się na nim nie poruszało. Potem na ziemię opadło dwadzieścia trapów i zbiegli z nich żołnierze uzbrojeni w czarne pałki. Byli tylko lekko opancerzeni: napierśniki z utwardzanej skóry i miedziane hełmy. Nie mieli tarcz.

Gdy pierwsi z nich znaleźli się na lądzie, Rael wyprowadził z ukrycia

swoich pięćdziesięciu Awatarów. Jego ludzie szybko ustawili się w szyk bojowy i w zbierających się żołnierzy nieprzyjaciela uderzyły impulsy z łuków zhi. Zginęły dziesiątki Almeków, ale pozostali wykazali się wielką dyscypliną. Nie wpadli w panikę, lecz unieśli czarne pałki do ramion. Rozległ się huk. Ponad połowa ludzi Raela padła na ziemię. Spomiędzy dalej położonych budynków wypadło dwustu Vagarów, którzy rzucili się do ataku. Rael odniósł wrażenie, że ogniste pałki stały się nagle bezużyteczne. Rozlegały się tylko sporadyczne strzały. Vagarscy żołnierze torowali sobie mieczami drogę przez szeregi nieprzyjaciela.

- Otwory! Celujcie w otwory! - rozkazał Rael ocalałym łucznikom. Uniósł łuk zhi i strzelił prosto w luk pierwszego trapu. Wewnątrz nastąpiła eksplozja, której towarzyszyły jasny błysk i płomienie. Żołnierze również wystrzelili. Na okręcie wybuchł pożar.

Tymczasem na brzegu zakuci w żelazo Vagarzy posuwali się naprzód. Okręt oddalił się od brzegu. Żołnierze, którzy jeszcze znajdowali się na trapach, powpadali do wody. Na nabrzeżu trwała zażarta walka. Na brzeg zdołało wysiąść z górą stu miedzianoskórych wojowników, lecz ich przeciwnik miał znaczną przewagę liczebną i walczyli teraz o życie. Odrzucili ogniste pałki, wyciągając sztylety i krótkie miecze. Nie mogli się jednak mierzyć z ciężkobrajnymi Vagarami.

Okręt oddalił się jeszcze bardziej i wystrzelił ognistą kulę.

- Cofnąć się! - krzyknął Rael do swych Vagarów na ten widok.

Zgiełk bitwy zagłuszył jego słowa. Ognista kula wybuchła pośród tłumu walczących. Dziesiątki żołnierzy po obu stronach zginęły natychmiast. Ich szaty stanęły w płomieniach, a podmuch oderwał kończyny od ciał. Inni wili się z bólu na ziemi. Ich włosy i skóra płonęły.

Ocalali Vagarzy w panice rzucili się do ucieczki. Almeccy żołnierze skakali do morza, próbując dopłynąć do okrętu.

Rael wycofał swych Awatarów w głąb zaułka. Wewnątrz złotego okrętu płonęły ognie, które jednak szybko ugaszono.

Zwrócił się ku swoim ludziom, wybrał dziesięciu z nich i staranował drzwi pobliskiego magazynu. Wpadł do środka, dobiegł do schodów

i wydostał się na dach, wysoko nad nabrzeżem. Złoty okręt znowu się zbliżał. Wystrzelono z niego kolejną ognistą kulę i dach sąsiedniego budynku eksplodował. Rael zaczął liczyć, powoli i miarowo. Gdy doszedł do piętnastu, nad jego głową przeleciała ze świstem kolejna kula, która upadła gdzieś z tyłu.

- Na mój znak strzelać w wylot ognistej broni! - rozkazał swym ludziom.

Podbiegli do krawędzi dachu i wycelowali. Rael policzył powoli do dziesięciu i wystrzelił. Impuls uderzył w długą rurę z brązu sterczącą z przedniego pokładu. Rozbłysło światło, ale broń była nienaruszona. Pozostałe impulsy również trafiły w cel - bez rezultatu. Rael wystrzelił znowu. Tym razem impuls uderzył prosto w wylot broni, z której właśnie wydostawała się ognista kula. Wewnątrz rury nastąpiła eksplozja. Wybuch rozerwał broń na kawałki, odłamki brązu wzbiły się pod niebo. Dziób okrętu ogarnął gwałtowny pożar.

Złoty okręt odpłynął od brzegu, przechylając się na lewą burtę. Do portu wpłynął następny. Rael zaklął cicho.

Kwestor Ro spróbował otworzyć oczy. Jego ciało było morzem bólu. Lewe oko miał opuchnięte, a lewe ramię unieruchomione pod stertą gruzu. Spróbował poruszyć prawą ręką i uświadomił sobie, że trzy palce ma złamane. Wydawało mu się, że coś uciska mu pierś. Oddychał z trudem. Otworzył prawe oko i zobaczył, że leży na nim jedna z podtrzymujących dach belek. Prawą dłoń opierał o słoneczny ogień. Broń przestała już wibrować. W połowie pokrywały ją odłamki kamienia, a o lufę opierała się belka. Dzięki temu nie zmiażdżyła Ro. Uderzyła go, gdy zawalił się sufit, ale słoneczny ogień ją zatrzymał.

Czy umieram?, zastanowił się Ro. Ból był potworny. Nogi również go bolały. Spróbował poruszyć palcami stóp i wydawało mu się, że może to zrobić, ale przypomniał sobie, że człowiek z amputowaną ręką opowiadał mu kiedyś, że nadal czuł palce utraconej dłoni. Ro poruszył prawą, złamaną ręką, próbując sięgnąć do kieszeni rozerwanej tuniki. Gdy włożył dłoń do środka,

zmiażdżone palce znowu przeszył ból i kwestor nie był w stanie wyciągnąć kryształu. Położył więc na nim delikatnie dłoń i zaczął recytować pierwszy z Sześciu Rytuałów. Ból ustąpił i Ro poczuł, że kości zaczynają się zrastać. Gdy już odzyskał siły, zdjął kamienie z brzucha i nóg, uwalniając się od ciężaru. I wtedy zauważył, że jeden ze złotych okrętów opuszcza port. Jego dziób płonął. Towarzyszyła mu druga jednostka.

Ro podszedł do tylnej części słonecznego ognia, odrzucając na bok gruz. Dźwignia spustu złamała się w połowie długości, a tylna część celownika zniknęła. Mimo to Ro widział, że broń jest wymierzona prosto w dwa okręty.

Znieruchomiał na chwilę. Nawet jeśli wystrzeli, zdoła zniszczyć tylko jedną z jednostek przeciwnika. Druga z pewnością go wykończy.

Śmierć. Długi upadek w ciemność. To była przerażająca myśl dla kogoś, kto mógł żyć wiecznie.

Cóż znaczy życie bez honoru?, zapytał jednak sam siebie. Złapał za złamany uchwyt i pociągnął go ku sobie. Przez chwilę nic się nie działo. Potem z pęknięcia w lufie trysnęło błękitne światło i słoneczny ogień wystrzelił po raz ostatni. Broń przechyliła się, gdy runął dach i mało brakowało, by potężny impuls energii chybił celu. Uderzył w górny pokład drugiego okrętu, niszcząc kabinę sternika, odbił się i pomknął ku niebu, rozpraszając się z hukiem stu piorunów.

Uszkodzony okręt zwiększył prędkość i pomknął w stronę lądu. Nie wystrzelił ani jednej ognistej kuli ani nie zwolnił, nim uderzył dziobem o kamienie nabrzeża. Drewno pękło z trzaskiem. Okręt nadal posuwał się naprzód, miażdżąc kadłub. Potem mocno się przechylił. Almekowie wybiegali na pokłady i skakali na ziemię.

Ro opuścił zburzoną Wieżę Portową i usiadł na stercie gruzu. Czuł się zmęczony i nadal cierpiał dotkliwy ból, lecz mimo to przyglądał się z zimnym zainteresowaniem, jak Rael i jego łucznicy zabijają ocalałych Almeków.

Złoty okręt przechylił się jeszcze bardziej, a potem zsunął się z nabrzeża i poszedł na dno.

Pierwszy z okrętów wypłynął z portu. Cztery pozostałe stały bezpiecznie w zatoce, ostrzeliwując ognistymi kulami bezbronne miasto

Pagaru.

Niclin przykucnął na zachodnich murach Pagaru w towarzystwie czterech starszych rangą oficerów. Czekali na nadejście nieprzyjaciela. Za ich plecami płonęły liczne budynki. Na ulicach leżały ciała zabitych. Wybuchy zniszczyły znaczny fragment muru na prawo od Niclina, zabijając trzech awatarskich żołnierzy.

Niclin przesunął się wzdłuż blanków, trzymając głowę nisko, i wyjrzał przez wyrwę w murze. Pierwszy ze złotych okrętów płynął ku brzegowi. W kadłubie pojawiły się otwory i Awatar widział gromadzących się tam wojowników.

Nagle niebo rozświetlił potężny wybuch. Niclin zamrugał i spojrzał na morze. Jeden ze złotych okrętów przechylił się mocno. Ze środkowej części jego kadłuba buchał dym. Jednostka przewróciła się na bok i zniknęła w odmętach. Pierwszy z okrętów zamknął pośpiesznie otwory w złotym kadłubie i oddalił się od brzegu. Niclin nie widział zza muru nic więcej, wyprostował się więc - i ujrzał ratunek!

Wąż Siedem mknął ku portowi niczym czarny cień śmierci. Jego dziób pruć fale na pełnej prędkości. Nagle wystrzelił z niego impuls światła, który trafił drugi ze złotych okrętów, odrywając rufę. Dwie ocalałe almeckie jednostki umknęły na pełne morze, a Wąż zawinął do portu.

Awatarscy żołnierze wyszli spomiędzy budynków portowych i przywitali go radosnymi okrzykami. Niclin również poczuł nagłe uniesienie, stłumił je jednak i wrócił po murze do swych oficerów. Spokojnym głosem rozkazał im zorganizować pododdziały, które zajmą się gaszeniem pożarów i ratowaniem rannych. Potem udał się do portu.

Gdy opuszczono trap, Niclin wszedł na pokład Węża. Młody vagarski marynarz zaprowadził go do kajuty Talabana. Radny wszedł do środka. Na dywaniku siedział dzikus zwany Probiezmem. Talaban wstał zza biurka, ukłonił się i poczęstował kwestora kielichem wina.

- Przybyłeś akurat na czas, kapitanie - oznajmił Niclin, przyjmując poczęstunek. - Choć przyjemniej byłoby ujrzeć cię godzinę wcześniej.

- To wyłącznie moja wina, kwestorze. Nocą schroniliśmy się w zatoce

przed sztormem. To opóźniło nasze przybycie.

- Szkoda, że sztorm nie podział tak samo na Almeków.
- Oni nie muszą oszczędzać energii - wyjaśnił Talaban.
- Czy ponieśliście wielkie straty?

Niclin wypił łyk wina. Nie lubił Talabana, ale zdawał sobie sprawę, że traktuje nieuprzejmie człowieka, który uratował miasto. Westchnął i odpowiedział łagodniejszym już głosem:

- Pododdziały ratownicze dopiero zaczynają pracę, ale sądzę, że mamy kilkuset zabitych. Zrobiłeś dobry użytek ze słonecznego ognia, Talabanie. Gdybyśmy mieli jeszcze pięć takich broni, moglibyśmy nawet wygrać tę wojnę.

- Jeszcze jej nie przegraliśmy, kwestorze - zauważył Talaban.

- To prawda, jeszcze nie. Osiem złotych okrętów popłynęło w górę Luanu. Wysadzą armię na naszych tyłach. Druga, równie liczna grupa udała się na południe. Kwestor generalny wysłał do Pejkanu, Borii i Cavalu rozkazy poddania się bez walki. Jest przekonany, że w ten sposób zapobiegnie zbyt wielkim stratom i zniszczeniom. Nie zgadzam się z nim. Gdyby rozkazał Vagarom walczyć, zabiliby choć część żołnierzy nieprzyjaciela.

- Ale wszyscy by zginęli - zauważył Talaban. - A to wpłynęłoby na morale w bliźniaczych miastach.

- Panujemy teraz tylko nad nimi - stwierdził kwaśnym tonem Niclin. - Zniszczyliśmy pięć złotych okrętów. Zostało dziewiętnaście. A za parę dni będziemy mieli do czynienia z dwiema, być może nawet trzema armiami lądowymi.

- Wszystko po kolei, kwestorze - uspokoił go Talaban.

- Dzisiaj zwyciężyliśmy. Na razie musi nam to wystarczyć. Niclin skinął głową a gdy znowu przemówił, w jego głosie brzmiał smutek.

- Widziałem dzisiaj, jak zginęło trzech Awatarów. W jednej chwili.

Trzech ludzi, których znałem od ponad dwustu lat.

- Strzelił palcami. - Trzask i po nich. Dziś rano byli nieśmiertelni. Byli bogami. A teraz zamienili się w poszarpane trupy. Gdybym był religijny, pomyślałbym, że Źródło nas opuściło. Talaban wypełnił kielich winem

i wręczył go Niclinowi.

- Moim zdaniem zwycięstwo zawsze przypada silniejszemu - stwierdził. - Źródło, jeżeli taka istota w ogóle istnieje, ma z tym bardzo niewiele wspólnego.

Probierz zachichotał i potrząsnął głową.

- Masz coś do powiedzenia, dzikusie? - zapytał Niclin.

Probierz podniósł się zwinnie.

- Śnicie małe sny - oznajmił i opuścił kajutę.

Pierwszego dnia wojny poległo trzydziestu pięciu Awatarów.

Trzydziestu pięciu nieśmiertelnych. Ludzi, których życie trwało stulecia. Rael siedział przygnębiony w Sali Obrad. Towarzyszyli mu kwestorzy Niclin i Caprishan. Na stole przed nimi leżało kilka czarnych ognistych pałek. Rael podniósł jedną i przyjrzał się jej. Miała długą, pustą w środku lufę z metalu, osadzoną w gładzonym drewnie. Było tam też kilka dźwigni.

- To nie jest magiczna broń - stwierdził Niclin. - Nie łączy się z umysłem użytkownika. - Otworzył woreczek znaleziony przy zabitym Almeku i wysypał na stół jego zawartość - czarny gruboziarnisty proszek. W drugim woreczku znajdowały się kulki z ciężkiego metalu. - W jakiś sposób - skonkludował radny - te kulki są wypychane z wielką siłą z lufy.

- Dowiedzcie się, jak to się dzieje - rozkazał Rael.

- Wzięliśmy do niewoli pięćdziesięciu Almeków - poinformował go Caprishan. - Właśnie są przesłuchiwani. Ale to twardzi ludzie i niewiele mówią.

Rael uniósł wzrok. Jego oczy miały bardzo zimny wyraz.

- Zaprowadźcie dziesięciu z nich do Komnaty Kryształów. Wyssijcie życie z jednego na oczach pozostałych. Przekonamy się, czy wtedy staną się bardziej rozmowni.

- Ta broń nie jest tak skuteczna jak łuki zhi, Raelu - odezwał się Niclin.

- Chcę wiedzieć o niej wszystko. Jaki ma zasięg i z jaką szybkością można z niej strzelać? W porcie zrobili to tylko raz. Widziałem, jak starali się ją naładować. Ile czasu na to potrzeba?

- Dowiemy się tego wszystkiego - zapewnił Niclin. - Pytanie brzmi, co mamy zrobić teraz?

- Nie możemy nic zrobić - odparł Rael. - Inicjatywa należy do przeciwnika. My możemy tylko reagować na jego posunięcia. Mamy za mało ludzi, by przejść do kontrataku. Na razie. Ale Viruk wyruszył z pomocą Ammonowi. Dzięki armii Erej-jhip-zhonad oraz podporządkowanych im plemion możemy jeszcze rozbić najeźdźców.

- Naprawdę wierzysz, że zwycięstwo jest realne? - zapytał Caprishan.

- Muszę w to wierzyć - odparł Rael.

Gdy powóz zatrzymał się przed domem Ro, minęła już północ. Zmęczony kwestor wygramolił się z pojazdu, zapominając podziękować woźnicy. Złamana dłoń bolała go straszliwie. Dokuczał mu również ból w żebrach i w lewej nodze. Odbył rytuał, by rozpocząć proces zdrowienia, ale złamane kości wymagały co najmniej czterech sesji, a nie mogło ich być więcej niż dwie w ciągu doby. W przeciwnym razie miejsce złamania pozostawało kruche i łatwo mogło pęknąć znowu.

Pokuśtykał ku drzwiom wejściowym. Sługa zobaczył go, pokłonił się nisko i wyszedł mu na spotkanie. Ro zatrzymał się na schodach i spojrzał na miasto. Ze wzgórze, na którym wzniesiono jego imponujące domostwo, było widać port i położone dalej ujście. Niektóre budynki nadal płonęły. Nad portem wisiała czerwona łuna. Westchnął. Rany znów zaczęły go boleć.

- Chwała Źródłu, że żyjesz, panie - przywitał go Sempes, kłaniając się po raz drugi. Ro przyjrzał się słudze uważnie, zastanawiając się, czy mówi szczerze. Jeszcze wczoraj takie pytanie z pewnością nie przyszłoby mu do głowy.

- Ile lat już ze mną jesteś, staruszkule? - zapytał.

- Trzydzieści trzy, panie.

- Jesteś żonaty?

- Byłem, panie. Moja żona umarła w zeszłym roku.

- Przykro mi z powodu twojej straty.

Staruszek obrzucił kwestora zdziwionym spojrzeniem.

- Jesteś chory, panie?

- Mam wrażenie, że właśnie wyzdrowiałem. Czy byłbyś tak uprzejmy i przygotował mi kąpiel?

- Natychmiast, panie. Woda już się grzeje.

Ro wszedł do przedpokoju i popatrzył na oświetlone blaskiem lamp ściany. Wisiały na nich piękne obrazy, widoki Parapolis oraz jego okolic.

- Zdejmę ci buty, panie - powiedział Sempes, klękając obok ozdobionego złotymi wytłoczeniami krzesła. Ro spoczął na nim, wyciągając prawą nogę. Sługa zgrabnie ściągnął but. Kwestor skrzywił się z bólu, gdy Sempes zdejmował lewy.

- Zraniłeś się w nogę, panie. Przepraszam.

- Zagoi się. Nie przejmuj się tym.

Sługa oddalił się i wrócił z miękkimi aksamitnymi pantoflami, które wsunął na nogi Ro. Kwestor czuł się niezmiernie zmęczony i chciał już powiedzieć Sempesowi, żeby dał sobie spokój z kąpielą, gdy sługa nagle rzekł:

- Twój gość czeka w pokoju ogrodowym, panie. Zapaliłem tam ogień.

- Gość?

- Kruczowłosa dama, którą przyprowadziłeś tu przed paroma dniami. Czeka w domu już od poprzedniej nocy. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem, pozwalając jej zostać.

Tak, dobrze - potwierdził Ro. Potem wstał i przeszedł przez korytarz oraz wąską bibliotekę, kierując się do pokoju ogrodowego. Zatrzymał się w progu, by jego oczy zdążyły przyzwyczać się do słabego światła dogasającego kominka, i rozejrzał się po pomieszczeniu. Stały tam cztery sofy oraz dwa głębokie, obite skórą fotele. Sofarita spała w fotelu ustawionym przy kominku.

Gdy Ro wszedł do środka, cztery zgaszone lampy nagle się zapaliły. W łukach trzech wyjść prowadzących do ogrodu pojawiły się ostre cienie. Sofarita usiadła prosto.

- Czy nadal chcą mnie zabić? - zapytała.

- Mają na głowie inne problemy - odpowiedział Ro.

- Chodź do mnie - rozkazała. Ku swemu zdziwieniu wykonał polecenie. Sofarita wstała i ujęła w dłoń jego ranną rękę. Ból zniknął bez śladu. Uniósł dłoń i zacisnął ją w pięść. Kości były zrośnięte.

- Byłeś bardzo odważny, kwestorze Ro - rzekła cicho Sofarita. - Kiedy wystrzeliłeś trzeci impuls, byłeś przekonany, że broń eksploduje. Sądziłeś, że zginiesz na miejscu.

- To prawda.

- A mimo to nie przestałeś walczyć. Postąpiłeś szlachetnie.

Niski kwestor poczerwieniał na twarzy.

- Dlaczego tu przysłaś?

- Nadal potrzebujecie mojej pomocy, Awatarze. Powiedz mi, jak czuje się żołnierz, któremu złamałam nogę?

- Odpoczywa. Potrzeba czasu, by takie złamania mogły się zagoić.

- Zrobiłam mu wielką krzywdę - wyznała. - Pozwoliłam, żeby zapanował nade mną gniew. To już się nie powtórzy. Jutro jego również uzdrowię.

Ro usiadł w fotelu naprzeciwko Sofarity.

- Jak sądzisz, kiedy wrócą? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Nie przypuszczam, żeby znowu próbowali atakować miasta od strony morza. Ale wysadzili armię na południu. Trzy tysiące ludzi i bestie. Druga armia płynie w górę Luanu. Dojdzie do wielkiej rzezi i zniszczenia.

- Co możemy zrobić?

- Cóż innego, jak postąpić zgodnie ze swą naturą? - odparła. - Jesteście tym, kim jesteście.

- Czy aż tak bardzo nienawidzisz Awatarów? - zapytał, słysząc pogardę w jej głosie.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

- Źle mnie zrozumiałeś, kwestorze Ro. Nie mówiłam o Awatarach. Mówiłam o ludziach. Zrozumiałam teraz bardzo wiele. Z każdym dniem wszystko staje się dla mnie jaśniejsze. Robimy to, do czego się zrodziliśmy. Moja ciocia Lalia ma kota. Karmi go dobrze i niczego mu nie brakuje. Mimo że

kot ma pełen brzuch, idzie na łąkę i zabija ptaka. Wcale go nie zjada. Dlaczego więc to robi? Równie dobrze można by zapytać, dlaczego kwiat rośnie albo dlaczego pada deszcz. Kot zabija dlatego, że jest do tego stworzony. To jego cel. Ma kły, pazury i jest bardzo szybki. Jest łowcą. Gdyby nie polował, to jaki byłby cel jego istnienia? - Sofarita umilkła na chwilę. Potem zaczęła mówić znowu: - Przed kilkoma tygodniami byłam wdową mieszkającą w małej wiosce. Znałam swoją rolę i grałam ją dobrze. Byłam skromna wobec mężczyzn i pracowałam w polu razem z innymi kobietami. Gdyby okres żałoby się skończył, wyszłabym za mąż za mężczyznę, którego wybrałby mi ojciec, i urodziłabym mu dzieci. Nie jestem już tą samą wiejską dziewczyną. Oglądam świat większymi oczyma. Potrafię też latać na wichrach czasu. Dzisiaj zawędrowałam daleko. Widziałam Człowieka. Przyglądałam się, jak wyłazi z gęstej dżungli. Całe ciało porastało mu futro. Obserwowałam, jak rośnie jego inteligencja i jak zdobywa coraz to nowe umiejętności. A te umiejętności zawsze służyły zadawaniu śmierci. Czy wiesz, jakiego największego odkrycia dokonał sześćset tysięcy lat temu? - Ro potrząsnął głową. Sofarita parsknęła śmiechem, w którym jednak nie słyszało się wesołości. - Dowiedział się, że dziuryt musi być najcięższy w jednej trzeciej długości od szpica. Dzięki temu leciał najdalej i zabijał najskuteczniej. Jego język składał się wówczas z chrząknięć i gestów, ale nauczył się już robić dziuryty. Widziałam wiele, kwestorze Ro.

Wystarczająco wiele, by złamać nawet najsilniejsze serce. Człowiek jest jak kot. Bez względu na to, jak wielkie bogactwa zgromadził, jak bardzo jest zadowolony z życia i jak wiele wiedzy zdobył, pragnie walczyć i zwyciężać, zabijać tych, których uważa za wrogów.

- Nie wszyscy ludzie tak się zachowują - zauważył Ro.

- To prawda - przyznała. - Ale jaki los spotyka tych, którzy tego nie robią? Ich również widziałam: poetów, duchowych przywódców, marzycieli śniących o harmonii. Czy potrafisz wymienić więcej niż garstkę takich, których nie zamordowano?

- Nie potrafię. Wszystko, co mówisz, jest prawdą ale jakie wyjście zostało nam w tej chwili? Almekowie są źli i pragną nas zniszczyć. Musimy

stawić im opór. Jaki mamy wybór?

- Ty nie masz żadnego wyboru, bo jesteś człowiekiem. Ale strzeż się, gdy nazywasz ich złymi. Oni są tylko wypaczonym odbiciem Awatarów. Karmią się krwią innych, składają rytualnie w ofierze tysiące ludzi, wrywając im serca. Różnicie się od nich jedynie tym, że wasze kryształki wysysają życie, nie przelewając krwi. Jeżeli Almekowie są źli, to samo można powiedzieć o was. A oni są źli, kwestorze Ro.

Ro zapadł w fotel, zamykając oczy. Ogarnęło go zmęczenie. Prawda jej słów przygniotła go niczym ciężar śmierci.

- Dlaczego nie potrafiłem dostrzec tego przedtem? - zapytał. -
I dlaczego teraz stało się to dla mnie jasne?

- Wtedy jeszcze cię nie dotknęłam. Ta moc jest dla mnie nowa. Nie nauczyłam się jeszcze nad nią panować. Niechcący otworzyłam w twojej duszy okno, które od dawna pozostawało zamknięte. Jeśli tego pragniesz, mogę zamknąć je znowu.

Ro potrząsnął głową.

- Nie chcę tego utracić. Czuję się teraz kompletny. Jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, a świat był pełen cudów. Co się ze mną stało? Jak mogłem utracić tę młodzieńczą pasję, tę wiarę w człowieka?

- To się dzieje stopniowo - wyjaśniła. - Nawet nie zauważyłeś, co tracisz. W naturze ludzi leży otaczać się murami. Wydaje im się, że w ten sposób uchronią się przed cierpieniem, ale w rzeczywistości skutek jest odwrotny. Cierpienie i tak przedostaje się do środka, ale potem tłucze o mur, nie mogąc wyjść na zewnątrz. Dlatego budujecie kolejne mury. A teraz oglądasz świat bez murów. Jesteś wolny, kwestorze Ro. Możesz swobodnie cierpieć i zdrowieć.

- Czego ode mnie oczekujesz?

Uśmiechnęła się promiennie, pochyliła do przodu i ujęła go za rękę.

- Idź się wykapać. A potem się prześpij. Jutro porozmawiam z kwestorem generalnym. Przyrowadzisz go tutaj.

- Nadal chcesz nam pomóc?

- Udzielę wam wsparcia w walce z Almekami.

Rozdział dziewiętnasty Gdy

Ro wyszedł z pokoju, lampy zgasły. Sofarita zamknęła oczy i uwolniła swego ducha, który pomknął nad oceanem. Leciąca tak szybko, że dogoniła zachodzące słońce, które wyłoniło się przed nią majestatycznie zza zachodniego horyzontu. Jako prosta wieśniaczka zawsze sądziła, że Ziemia jest wielkim, płaskim talerzem, wokół którego krąży powoli słońce. Gdy jakiś czas temu przekonała się, jaki jest jej prawdziwy kształt i miejsce na niebie, była zdumiona i zachwycona. A teraz ponownie ogarnął ją zachwyty. Zachodni kontynent kapał się w blasku słońca, podczas gdy na wschodnim panowały ciemności. W kilka uderzeń serca przeszła od mroków nocy do późnego popołudnia.

Na dole rozciągał się górzysty teren. Doliny były zielone i żyzne, a rzeki szerokie i lśniące. Na północy też widziała góry, prastare i ośnieżone. Leciąca wciąż na południe, nad górami, wzgórzami i rozległymi równinami. Nagle ujrzała w dole coś, co wyglądało jak kolosalny brązowy wąż, pełznący powoli po stepie. Zniżyła lot i uświadomiła sobie, że widzi ogromne stado kudłatych brązowych zwierząt poruszające się wzdłuż brzegu rzeki. Było ich zbyt wiele, by mogła je policzyć. Stado ciągnęło się całymi milami.

Leciąca wciąż przed siebie, nad lasami, wysokimi drzewami i błyszczącymi jeziorami, karmionymi przez wodę z topniejących, górskich śniegów.

Pierwsi ludzie, jakich ujrzała, mieszkali nad jeziorem, w garstce domostw z niewyprawionych skór rozciągniętych na tyczkach. Na brzegu bawiła się grupka dzieci, a cztery kobiety rozciągały skóry na ziemi i zdrapywały z nich tłuszcz ostrymi kamieniami. Nie było tu żadnych mężczyzn. Sofarita doszła do wniosku, że z pewnością poszli na polowanie.

Dalej na południe napotkała większe obozowiska. Gdy zawisała nad jednym z nich, poczuła nagłe mrowienie, jakby ktoś ją zauważył i sięgnął ku niej.

Umknęła zaskoczona i lekko przestraszona.

Sześćdziesiąt mil dalej ujrzała w dole żerujące sępy. Inne krążyły po niebie. Opadła ku ziemi i zobaczyła setki leżących na niej ludzkich ciał. Większość rozszarpały już sępy, zauważyła jednak kilka, których ptaki nie zdążyły jeszcze tknąć. Wszystkim rozerwano klatki piersiowe i wyrwano serca.

Ogarnął ją gniew. Wzbiła się w górę. Dalej na południu dostrzegła almecką armię, obozującą pod małym laskiem. Składała się ona z około pięciuset wojowników, uzbrojonych w ogniste pałki i krótkie miecze. Po lewej wokół ogniska przysiadło w kręgu dwadzieścia króli. Około stu skrępowanych przerażonych jeńców siedziało na gołej ziemi.

Leciała wciąż dalej, aż wreszcie dotarła do strzelistego urwiska, które przecinało krainę niczym mur obronny. Miało dwieście stóp wysokości i było zupełnie pionowe. Wydawało się tu dziwnie nie na miejscu. U jego podstawy rósł las. Sofarita spojrzała w dół i zobaczyła setki zniszczonych drzew, jakby skalny płaskowyż opadł na puszcę niczym młot z nieba.

To była kraina Almeków.

Sofarita wzbiła się wyżej. Leciała teraz nad miastami z nieznanego kamienia. Zbudowano je kunsztownie, pełne były kanałów i szerokich alej. Roilo się w nich od ludzi. We wszystkich miastach dostrzegało się zniszczenia po trzęsieniu ziemi. W wielu budynkach widać było zygzakowate szczeliny, a inne zawaliły się całkowicie. Jeden kanał był zupełnie suchy, jego ściany już się osypały. Im dalej leciała, tym większe były uszkodzenia. Na zachodniej krawędzi tego nowego lądu napotkała ruiny miasta. Zniszczyła je jakaś wielka katastrofa. Ziemia wznosiła się tu stromo ku górze, a budynki sterczały z niej pod niewiarygodnym kątem. Większość uległa całkowitemu zniszczeniu, a ich szczątki leżały na zboczu poniżej. Sofarita rozejrzała się wokół. Wyglądało to tak, jakby jakaś gigantyczna dłoń złapała szeroki na sto mil odcinek i pociągnęła go w górę. Przesunęła się dalej na zachód i dostrzegła przyczynę tego kataklizmu.

Większa część przeniesionego kraju Almeków zmaterializowała się nad rozległą, płaską równiną. Wstrząs spowodował uszkodzenia, które widziała na wschodzie. Z tej strony jednak nie było urwiska. Ta mała część lądu opadła na łańcuch górski, a szczyty przebiły się przez warstwę ziemi niczym włócznie.

Straty wśród Almeków musiały być ogromne.

Sofarita pomknęła z powrotem na wschód. W oddali majaczyła stolica Almeków. W świetle zachodzącego słońca widziała lśniący złoty ziggurat, w którym mieszkała Kryształowa Królowa.

Kryształowa Królowa!

Zaskoczył ją ten tytuł. Skąd się wziął? Mówiła kwestorowi Ro, że złoty ziggurat jest w jakiś sposób żywy, teraz jednak wiedziała instynktownie, że w jego środku kryje się... dusza?... kobiety. Po raz kolejny poczuła, że ktoś próbuje ku niej sięgnąć, ale w przeciwieństwie do delikatnego dotknięcia, jakie poczuła nad plemiennym obozowiskiem, to tutaj było brutalne, pełne przerażająco złej woli.

- Kim jesteś? - Głos brzmiał słodko i fascynująco, ale za tym tonem Sofarita wyczuwała surową, przerażającą moc.

Umknęła natychmiast, lecąc szybciej niż przedtem, ku pogrążonym w mroku nocy ziemiom na wschodzie.

Gdy wróciła do ciała, wskazała dłonią na kominek. Dwie szczapy drewna uniosły się ze stosu i wylądowały na dogasającym palenisku. Gdy ogarnęły je płomienie, Sofarita spojrzała na swe drżące dłonie. Błyszczały jak naoliwione. Potarła lekko skórę na kostkach dłoni. Były gładkie jak glazurowany garnek. Zgięła palce. Były sztywne i obolałe.

- To dopiero początek - rozległ się głos w jej umyśle.

Głos tej samej kobiety, zimny i nieskończenie okrutny. Sofarita zadrżała.

Przed oczyma jej duszy zatańczyła wizja. Młoda kobieta, szczupła i białowłosa, o wielkich oczach barwy migotliwej zieleni. Twarz zbliżyła się i Sofarita zauważyła, że oczy są błyszczącymi kryształami o wielu fasetkach.

- Jestem Almeia - oznajmiła kobieta.

- Władasz Almekami. Jesteś Kryształową Królową.

- Tak mnie zwa.

- Czego ode mnie pragniesz?

- Nie pragnę niczego, dziecko. Jestem wieczna i mam wszystko.

Sądziłam dotąd, że jestem również jedyna w swoim rodzaju. Wyobraź sobie

moje zaskoczenie, gdy wyczułam cię nad moim domem, moim miejscem spoczynku, moim grobowcem. Jak się czujesz, Sofarito, władając mocą, która pozwala ci latać pod niebem i czytać w sercach ludzi?

- Boję się - przyznała Sofarita.

- Boisz się? Tak, pamiętam to uczucie. Ale ono przeminie. Wszystko przemija. Oprócz wiedzy. Ona wciąż rośnie i rośnie. Rzecz jasna, trzeba zapłacić pewną cenę. Sama się przekonasz. Niektórzy mogliby powiedzieć, że to straszliwa cena. Kiedyś ja również tak myślałam.

- Co to za cena?

- Kiedyś byłam podobna do ciebie. Byłam istotą o miękkim ciele, ulegającą ulotnym pożądaniam. Pamiętam tamte przyjemności: trawa pod stopami, woń letnich kwiatów w powietrzu, smak wina na języku. A przede wszystkim dotyk ciepłego ciała mężczyzny. Utraciłam to wszystko. Ty również wkrótce to utracisz.

- O czym ty mówisz? - zapytała Sofarita. W brzuchu poczuła ucisk porażającego strachu.

Sądzę, że wyczuwasz już odpowiedź, Sofarito. Istnieją ludzie, którzy nigdy nie powinni się zetknąć z uzdrawiającymi kryształami. Niektórzy - może szczęśliwi, a może pechowi - stają się zaślubionymi z kryształem. Szybko obracają się w szkło, pękają i umierają. Rzadziej zdarzają się tacy, którzy zostają zjednoczeni z kryształem. Objawia się w nich cała jego moc. A dlaczego? Dlatego, że jest im przeznaczone zostać doskonałymi kryształami. Och, tak, to się dzieje powoli. I, tak, jest straszliwie bolesne. Najpierw spostrzega się - ty już to zauważyłaś - połysk na skórze: na czole, kościach policzkowych, kostkach dłoni i podbródka. To dopiero początek. Przed upływem roku ledwie będziesz mogła się ruszać. Po dwóch latach zostaniesz sparaliżowana, unieruchomiona jak posąg. Po pięciu latach nie można już będzie rozróżnić kształtów twego ciała. Będzie się zmieniało i wypaczało. Powoli, bardzo powoli. Po dwudziestu latach zostanie tylko mały cień człowieczeństwa. Po pięćdziesięciu będziesz po prostu blokiem pięknego kryształu. Przeżyjesz w jego wnętrzu jeszcze przez pewien czas. Może ze sto lat. Chyba że będą cię karmić, oczywiście. Chyba że życie będzie cię omywało

swą sycącą krwią. Dopóki będziesz otrzymywała ów pokarm, pozostaniesz potężna i wieczna. Czy tego właśnie pragniesz?

- Nie. Nie dopuszczę do tego. Prędzej umrę.

Umysł Sofarity wypełnił dźwięczny śmiech. Brzmiał metalicznie i sztucznie.

- Mam wrażenie, że kiedyś powiedziałam to samo - poinformowała ją Almeia. - Ale mogę ci pomóc, moja droga.

- A czemu miałybyś to zrobić?

- Czyż odpowiedź nie jest oczywista? Jaki byłby pożytek z dwóch kryształowych królowych? Czy pragniesz mojej pomocy?

- Jesteś zła - odparła Sofarita. - Wiem to z całą pewnością. A złu nie wolno ufać.

Takie głupie słowa są odpowiednie dla małych umysłów, Sofarito. Czy słońce jest złe? A morze? Oba zabijają i dają życie, ale to nie czyni ich złymi. Wszystko, co robię, służy mojemu przetrwaniu. Rozumie to każde stworzenie z krwi i kości. Zabijam, żeby żyć. Tak samo jak ty. Każdy kęs mięsa, jaki pochłaniasz, pochodzi od żywego stworzenia, które wcale nie chciało umierać dla ciebie. Czy jesteś zła, Sofarito?

- Nie każę grzebać dzieci żywcem, żeby służyły mi jako pokarm, ani nie rozkazuję wyrywać serc z piersi jeńców.

- Ach, więc mówimy po prostu o skali. Jedno jagnię to posiłek, dziesięć to uczta, a tysiąc to obzarstwo. Gdzie więc zaczyna się zło, od śmierci miliona jagniąt? I jaka jest różnica między człowiekiem a jagnięciem? Wszystkie żywe istoty umierają. Ze śmierci większości ludzi nie ma żadnego pożytku. Ci, których życie mnie karmi, przynajmniej służą pewnemu celowi. W zamian za to daję mojemu ludowi dobrobyt oraz wolność od niedostatku i chorób. Moim zaufanym doradcom przyznaję również wieczne życie. Mogliby oni twierdzić, że wszystko, co robię, służy dobru powszechnemu. Pomówmy jednak o tym, co byłoby dobre dla ciebie. Mogę odebrać ci moc, wchłonąć ją w siebie. To mi nie zaszkodzi. A ty znowu staniesz się wiejską dziewczyną o miękkim ciele.

Duchowe oczy Sofarity wejrzały głęboko w zielone kryształy Almei.

- Jak chcesz to zrobić? - zapytała.

- Musisz tylko się odprężyć. Potem będziesz mogła żyć, tak jak zechcesz.

- Ona kłamie - rozległ się inny głos. - Pragnie twojej śmierci!

Sofarita leżała w fotelu. Jej umysł ogarnęła senność, a kończyny stały się bezwładne.

- Ona już to robi! Odepchnij ją kobieto! Twoje życie jest w niebezpieczeństwie!

Sofarita zamrużyła i spróbowała usiąść. Czuła się słabo i dręczyły ją mdłości. Z unoszącej się przed nią w powietrzu twarzy zostały tylko oczy, wielkie, zielone i błyszczące. W kobiecie rozgorzał gniew, który wezbrał niczym fala przyływu. Obraz Almei zamigotał i zniknął.

Sofarita zadrżała.

- Musisz się strzec - mówił głos. - Ona zaatakuje znowu. Jesteś jej śmiertelnym wrogiem. Nie spocznie, dopóki cię nie zabije.

- Kim jesteś?

Przed oczyma jej umysłu pojawiła się kolejna twarz. Mężczyzna w średnim wieku o ogorzałej twarzy i ciemnych, głęboko osadzonych oczach. Na czarno-siwych, splecionych w warkocze włosach nosił wyszywaną paciorkami opaskę. Zatknął za nią dwa orle pióra.

- Jestem Jednooki Lis - przedstawił się mężczyzna - szaman Pierwszych Ludzi, Anajo. Próbowałem dotrzeć do ciebie, gdy przelatywałaś nad naszą wioską.

- Pamiętam. Czy słyszałaś wszystko, co mi powiedziała?

- Większość.

- Czy to prawda? Czy jestem skazana na to, by stać się blokiem kryształu, tak jak ona?

Gdy jej odpowiedział, w jego głosie pobrzmiwał smutek.

- Mam za mało sił, żeby z nią walczyć. Mogę się tylko przed nią ukrywać. Wyczuwam jednak prawdę w tych słowach. To, o czym opowiadała, rzeczywiście ją spotkało. Setki lat temu. Wkroczyłem na Szarą Drogę i widziałem to. Kiedyś znała uczucia i używała swej mocy do uzdrawiania. Teraz domaga się tysięcy ofiar. Jej żądza krwi i śmierci jest nienasycona.

- W takim razie zniszczę ją, zanim zginę.
- Ktoś musi ją zniszczyć, zanim wszyscy zginiemy. Gdzie jest Talaban?
- Nie znam tego imienia. Czy on jest Awatarem?
- To kapitan czarnego okrętu. On będzie wiedział, gdzie trzeba stoczyć ostatnią bitwę.

- A gdzie? - zainteresowała się Sofarita.
- Jeszcze tego nie wiem. Ale Talaban będzie wiedział, gdy nadejdzie czas. On i Dotknij Księżyca staną na szczycie niczym lampy rozświetlające mrok.

Głos szamana umilkł i Sofarita została sama. Sama i bliska śmierci! Jej młode życie wypełniały drobne plany. Chciała znaleźć miłość i założyć rodzinę. Zbudować dom w górach, nieopodal wodospadu, i mieć ogród pełen kwiatów. Maleńkie marzenia, które pocieszały ją w pierwszym roku wdowieństwa. Na swój sposób kochała męża. Veris był dobrym człowiekiem, ale był dwadzieścia lat starszy od niej. Małżeństwo zaaranżował ojciec Sofarity, gdyż ziemia Verisa graniczyła z jego polami. Ceną za żonę były dwie łąki. Sofarita się nie sprzeciwiała. Znała Verisa przez całe życie. Był człowiekiem o łagodnym usposobieniu, skorym do śmiechu. Wiedziała, że znajdzie z nim zadowolenie. Ostatniego poranka życia, jedenaście tygodni po ślubie, pocałował ją w policzek i ruszył na pole. Zatrzymał się jednak w drzwiach, odwrócił się i uściskał ją.

- Dzięki tobie po raz pierwszy w życiu jestem szczęśliwy - powiedział.
To były ostatnie słowa, które od niego usłyszała.

Miesiąc po jego śmierci nabawiła się przeziębienia, które przeszło w uporczywy, dręczący kaszel. Traciła na wadze i opuszczały ją siły. Pogodziła się wówczas ze śmiercią.

Ale teraz było inaczej.

Magiczny kamień Awatara rozpałił w niej na nowo wszystkie nadzieje i marzenia, i wydawało się jej okrucieństwem, że zmiażdżono je w tak straszliwy sposób. Wieśniacy byli z reguły zbyt praktyczni, by pojmować subtelności ironii, teraz jednak Sofarita je rozumiała. Posiadała wielką moc, a także zdolność uzdrowienia każdej rany i choroby, ale nie potrafiła ocalić

własnego życia. Wyglądało na to, że Viruk wcale jej nie uratował, a tylko skierował na inną drogę, wiodącą ku zagładzie.

Obiecała szamanowi, że pomoże zniszczyć Almeię, zanim śmierć zabierze jej duszę. Wypowiedziała jednak te słowa w przypiływie gniewu, a teraz czuła przygniatający ją ciężar rozpacz.

Nie dokonałam w życiu niczego, pomyślała. Niczego wartościowego.

W takim razie zrób to teraz, powiedziała sobie. Pomóż pokonać Almeków.

Talaban!

Kim on był? Ta myśl przebiła się przez zasłonę rozpacz.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by jej duch uniósł się nad miastem.

W porcie i po drugiej stronie ujścia, w Pagaru, nadal płonęły pożary. Sofarita pomknęła do portu i zobaczyła czarny okręt cumujący przy nabrzeżu. Opadła w dół i zanurzyła się pod pokłady, szukając kajuty kapitana. Sprawdziła wiele pomieszczeń, ale wszystkie wydały się jej małe i ciasne. W końcu ruszyła w stronę rufy i znalazła się w większej kabinie. Za biurkiem siedział tam mężczyzna. Jak wszyscy Awatarowie, wyglądał młodo. Miał kwadratową przystojną twarz i prawie czarne włosy, zabarwione na niebiesko na krótko wystrzyżonych skroniach. Z jego rysów można było wyczytać stanowczość, ale nie było tam okrucieństwa. Rozmawiał z Vagarem... nie, uświadomiła sobie Sofarita, to nie był Vagar, lecz człowiek z jakiegoś plemienia. Ciemne włosy splótł sobie w warkocz. Miał na sobie czarną kamizelkę, ozdobioną białymi kośćmi.

Otworzyła duchowe uszy. Człowiek z plemion coś mówił.

- Złe wizje miałem. Suryet mnie potrzebuje. Moje plemię cierpi.

- Chciałbym ci pomóc, Probierzu. Wiesz, że mówię prawdę. Ale mój lud również cierpi i dopóki kwestor generalny nam nie pozwoli, nie mogę popłynąć Wężem na zachód.

- Wiem - przyznał ze smutkiem dzikus. Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz nagle odwrócił się i spojrzał wprost na Sofaritę. - Kim jesteś? - zapytał.

W pierwszej chwili była zbyt wstrząśnięta, by odpowiedzieć.

- Do kogo mówisz? - odezwał się Talaban.

- Do pięknej kobiety. Ducha.

- Jestem Sofarita - odparła. - A ty jesteś Dotknij Księżycy.

- To imię, które zdobyłem. Nie wolno go używać obcym. Możesz mnie zwać Probierzem.

- Jak sobie życzysz. Jak to możliwe, że mnie widzisz?

- Widzę wiele rzeczy. Czy umarłaś?

- Jeszcze nie. - Zerknęła na Talabana, który siedział bez słowa, przyglądając się z uwagą towarzyszowi. - Pomyśli, że postradałeś zmysły.

- Zaczekaj na mnie - zaproponował. - Trudno mówić w tym języku. - Zamknął oczy. Wokół jego głowy i piersi pojawiła się łuna, przechodząca z czerwieni w fiolet. Potem dzikus wyszedł z ciała. - Teraz możemy rozmawiać swobodnie w języku ducha - oznajmił. - Skąd przybywasz, piękna?

- Mieszkam w mieście - wyjaśniła. - Mówił ze mną Jednooki Lis. Powiedział, żebym znalazła Talabana, bo tylko on będzie wiedział, gdzie trzeba stoczyć ostatnią bitwę.

- Jeszcze tego nie wie. - Dzikus obejrzał się na kapitana. - To dobry człowiek. Najlepszy z nich.

- Ma w sobie smutek.

- Utracił ukochaną i płomień jego serca tli się słabo. Czy masz męża?

- Nie.

- Mogłabyś rozpalić ten płomień.

- Próbujesz mnie wyswatać z mężczyzną którego nigdy nie spotkałam. Jesteś bardzo bezpośredni, Probierzu.

Uśmiechnął się.

- Powiedz mi, gdzie cię znaleźć, a przyprowadzę go do ciebie, choćbym musiał ogłuszyć go pałką i przynieść na plecach.

- Jestem w domu kwestora Ro. Przyprowadź go jutro. O zmierzchu. Duch dzikusa wrócił do ciała. Probierz otworzył oczy.

- I gdzie jest teraz ta piękność? - zapytał z uśmiechem Talaban.

- Czeka. Zobaczymy się z nią jutro. Polubisz ją być może.

Z twarzy Talabana nagle zniknął uśmiech.

- To kobieta, którą Rada skazała na śmierć. Vagarka obdarzona

magicznymi mocami.

- Być może - zgodził się Probierz.

- Czy ona jeszcze tu jest?

Probierz odwrócił się i spojrzał na Sofaritę.

- Nie, kapitanie. Już odeszła.

- I co o niej sądzisz? Nie mam na myśli jej urody. Czy jest zagrożeniem dla mojego ludu?

- Skąd mam wiedzieć? - zapytał Probierz. - Ale ona rozmawia z Jednookim Lisem. A on mówi, że ona walczy z Almekami. Uważasz, że powinno się ją zabić?

- Nie. Ale to stawia mnie w trudnej sytuacji. Jestem sługą Rady i moim obowiązkiem jest zameldować o spotkaniu z każdym, kogo uznano za wroga Awatarów.

- Najpierw porozmawiaj. Zamelduj później - skwitował Probierz.

Talaban westchnął.

- Ufasz jej?

- To dobra kobieta.

- W takim razie ja zaufam tobie. Porozmawiamy z nią.

- Włóż ładne ubranie - poradził dzikus. Talaban wybuchnął śmiechem, dźwięcznym i prawie melodyjnym. Sofaritę zdumiała zmiana, jaka w nim zaszła w owej chwili. Twardość zniknęła, zastąpiona chłopięcym ciepłem, które promieniowało harmonią.

Mimo to ów dźwięk obudził w niej świadomość nieuniknionego kresu. Uciekła pośpiesznie do swego ciała.

Jak zawsze po locie, ocknęła się odświeżona. Jej ciało było wypoczęte. Przeciągnęła się i wstała z fotela. Za drzwiami przemknął jakiś cień i pomyślała, że kwestor Ro z pewnością już wstał. Potem za pierwszym cieniem przesunął się drugi. Sofarita poczuła, że powietrze wypełnia jakaś budząca dreszcz energia. Ogarnął ją strach. Podbiegła bezszelestnie do drzwi i wyszła na ciemny korytarz akurat na czas, by zobaczyć postać znikającą na szczycie schodów. Sięgnęła ku nieznanemu i poczuła jego emocje. Myślał

o nożach, krwi i śmierci. Śmierci znenawidzonego Awatara.

Kwestora Ro!

Pobiegła na górę. Drzwi do pokoju Ro były otwarte. Wpadła do środka. Byli tam dwaj mężczyźni. Ich twarze zasłaniały czarne chusty. Obaj trzymali w rękach noże. Jeden zbliżał się do łoża, w którym spał niski kwestor. Nóż uniósł się, a potem opadł w dół. Sofarita wykonała nagły gest prawą dłonią. Ku widocznemu zdumieniu napastnika ostrze zatrzymało się w odległości kilku cali od śpiącego. Drugi mężczyzna zauważył Sofaritę i skoczył do ataku. Nóż wypadł mu z dłoni, padając ze stukiem na kamienną posadzkę. Kwestor Ro obudził się raptownie. Pierwszy ze skrytobójców ponowił atak. Tym razem nóż wyleciał mu pomiędzy palców i pomknął ku sufitowi. Leżał tam płasko, jak na podłodze.

- Co tu się dzieje? - krzyknął Ro. - Jak śmiecie...?

- Wszystko w porządku, kwestorze - uspokoiła go Sofarita. - Ci ludzie to pajiści. Ale nie zrobią ci krzywdy.

Ro zerknął na unoszący się pod sufitem nóż.

- Przyszli mnie zabić - zrozumiał. - Wezwę straż.

- Nie - sprzeciwiła się Sofarita. - Wróć do człowieka, który ich tu przysłał. A on przekaże wiadomość przywódcy pajistów. Odwiedzę ich przywódcę jutro w południe. Unieś rękę - rozkazała, wskazując na człowieka stojącego przy łożu. Ten wykonał polecenie. Nóż opadł powoli spod sufitu i wylądował lekko na jego dłoni. - Idźcie już i przekażcie wiadomość ode mnie. Powiedzcie też, że ataki mają się skończyć.

Drugi skrytobójca podniósł nóż z podłogi. Obaj ominęli Sofaritę szerokim łukiem i opuścili pokój. Słyszała, jak zbiegają ze schodów.

- Wiesz, kto jest przywódcą pajistów? - zapytał Ro.

- Teraz już wiem.

- Dlaczego pozwoliłaś im odejść? Moglibyśmy aresztować wszystkich.

- A po co, kwestorze? Nie czas teraz na zemstę, lecz na pojednanie.

Pajiści są w dobrych stosunkach z plemionami.

A szczególnie z Erek-jhip-zhonad. Będziecie potrzebowali ich poparcia,

by nie pozwolić Almekom na zdobycie dominacji. Ro zadrżał.

- Nagle opuściło mnie zmęczenie - oznajmił. - Dziękuję Źródłu, że tu byłaś.

Dom był stary, zbudowano go przed stuleciem dla awatarskiej rodziny. Miał dwa piętra, a jego ściany wyłożono białym marmurem o niebieskich żyłkach. Otaczały go piękne ogrody, a po tarasach ozdobionych blokami białego kamienia oraz różnobarwnymi kamykami spływał strumień. Wszędzie rosły drzewa, a w powietrzu unosiła się intensywna woń jaśminu.

Mejana siedziała na drewnianej ławce. Jej masywne ciało spowijał jasnoniebieski szal, zarzucony na elegancką, choć obszerną, białą suknię. Na jej nadgarstkach błyszczały złote bransolety, na wszystkich palcach miała złote pierścienie, a jej naszyjnik również był ze złota. Obok niej siedział Boru, agent Ammona.

- Nie możesz tu zostać, Mej ano. Ona przyprowadzi ze sobą awatarskich żołnierzy.

- A dokąd miałabym pójść? - zadała pytanie kobieta. - Zresztą, gdyby chciała, żeby mnie pojmano, zatrzymałaby moich ludzi. Nie. Zobaczę się z nią.

- Nie mogę tu być, gdy ona przyjdzie - oznajmił Boru, spoglądając na niebo. Dochodziło południe. Wstał i pochylił się nad otyłą kobietą, by pocałować ją w policzek. W tej samej chwili wyciągnął zza pleców sztylet i wbił go w jej pierś. Osunęła się w tył z głośnym westchnieniem. - Przykro mi, pani - oznajmił - ale nie mogę ryzykować twojego pojmania.

Wyciągnął nóż, wytarł go o szal umierającej kobiety i opuścił ogród.

Mejana przechyliła się na bok, a potem spadła z ławki. Leżała na plecach, wpatrując się w czyste błękitne niebo. Wysoko nad ogrodem przelatywały trzy mewy, które nagle zakręciły i pomknęły ku morzu. Ból nie był zbyt silny, ale czuła, że zaczyna tracić przytomność.

Zawsze wiedziała, że jeśli odważy się sprzeciwić potędze Awatarów, jej życie będzie zagrożone. Nigdy jednak nawet się jej nie śniło, że śmiertelny cios może zadać sprzymierzeniec. Uświadomiła sobie nagle, że Erej-jhip-zhonad nigdy nie byli prawdziwymi sojusznikami. Wykorzystali mnie,

pomyślała ze smutkiem. Umysł Mejany wypełniły obrazy, rywalizujące ze sobą o jej uwagę. Jej wnuk Pendar, jej siostrzeniec Baj, jej córka Lari. Była taka piękna. Przed dwudziestu dwu laty skazano ją na wyssanie na kryształach. Jej zbrodnia polegała na tym, że pokochała Awatara. Zamordowano również jednego z jej bliźniaków. Pendar uniknął tego losu, gdyż akurat się rozchorował i przebywał w domu sąsiada. Awatarowie nie zabili Lari, ale obrabowali ją z młodości i wieku średniego. Zwolnili ją tego samego dnia, jako pomarszczoną staruchę. To było okrutne. Bardzo okrutne. Tak straszliwie klóciło się z tym, co zamierzała natura. Mejana dobiegała wówczas czterdziestki, ale nadal była atrakcyjna i szczupła. Musiała się zaopiekować starą zniedołężniałą córką. Starła się wykorzystać swe bogactwo, by odkupić Lari utracone lata. Przekupywała urzędników, kupowała podarki, słała petycje do kvestora generalnego. Błagała o drugą szansę dla córki. A potem Lari umarła.

Mejana jęknęła. Teraz zaczął się ból. Rana w piersi paliła ją i piekła. Kobieta czuła też, że krew wypełnia jej płuca. Coraz trudniej było jej oddychać. Leżała nieruchomo, znowu myśląc o Lari. Po pogrzebie córki wpadła w rozpacz. Całymi dniami przesiadywała w domu, nie wydając przyjęć dla bogatych Vagarów ani nie organizując orgii. Dziewczyny przychodziły do niej, błagając, by pozwoliła im wrócić do pracy.

Jej żaloba przerodziła się stopniowo w gniew, potem w palącą wściekłość, a wreszcie w zimną niewzruszoną furię. Awatarowie byli wrogami i Mejana wiedziała, że poświęci resztę życia na doprowadzenie do ich upadku. Gdy ta myśl raz się pojawiła, została z nią na zawsze. Mejana wynajęła robotników, którzy przebudowali dom. Dwadzieścia pokoi używanych przez jej artystów obojga płci nieco się zmniejszyło. Między ścianami pojawiły się wąskie przejścia, z otworami do podsłuchiwania. Teraz, gdy bogaci mężczyźni i kobiety przybywali tu w poszukiwaniu przyjemności, można było ich obserwować i podsłuchiwać. Zachęcała też swych artystów, by skłaniali klientów do mówienia o sobie.

- To pomoże im się odprężyć - mówiła. - Każdy lubi opowiadać o sobie i o tym, czym się zajmuje. Dzięki temu jeszcze bardziej was polubią i będą

wam więcej płacić.

Po otwarciu domu Mejana zaczęła się podkradać do otworów w ścianach. Podśluchiwała i sporządzała notatki. Dzień za dniem, tydzień po tygodniu, zbierała coraz więcej informacji. Z niezwykłą cierpliwością zapisywała wszystko w wielkiej księdze. Przez pierwsze dwa lata nie robiła nic poza gromadzeniem informacji. Potem skontaktowała się z ambasadorem Erej-jhip-zhonad. Nazywał się Anwar i był zaufanym doradcą starego króla. Przekazywała mu wiadomości dotyczące ruchów wojsk w pobliżu granicy oraz liczebności poszczególnych pułków. Zamknęła dom i spędziła zimę w Moraku, stolicy Erej-jhip-zhonad. Anwar nauczył ją wielu rzeczy - szyfrów i kodów - a także wyszkolił ją w metodach zdobywania informacji.

- W najbliższej przyszłości nie jest prawdopodobne - powiedział jej pewnego dnia - by Awatarów miała obalić zewnętrzna siła. Nasiona zniszczenia muszą być posiane wewnątrz. Liczebność Vagarów wynosi setki tysięcy. Jeżeli powstaną, cała potęga Awatarów nie zdoła ich powstrzymać.

Mejana wróciła do Egaru z nowym zadaniem: miała zwerbować i wyszkolić armię bojowników o wolność. Tajne wojsko, które pewnego dnia będzie mogło przejąć władzę. W ciągu następnych dziesięciu lat stopniowo tworzyła taką organizację. A teraz pajisci mieli sympatyków we wszystkich grupach Vagarów, w tym również w siłach zbrojnych.

Działalność Mejany była niebezpieczna. Na ogół kobieta pozostawała w ukryciu, wykorzystując innych do przekazywania informacji oraz szukania sympatyków. Jednakże w ciągu ostatnich czterech lat aresztowano i skazano na wyssanie na kryształach trzech agentów Erej-jhip-zhonad. Każdy z nich mógł ją zdradzić. Żaden tego nie uczynił.

Gdy stary król umarł i zastąpił go syn, Ammon, Mejana nie była pewna, jak znaczące wsparcie będzie teraz otrzymywała. Anwar był już stary, lecz nadal bardzo chytry. Awansowano go na stanowisko pierwszego doradcy i środki przeznaczone dla pajistów zwiększono.

Wcześniej tego roku Mejana autoryzowała śmiały plan. Rozpoczęto ataki na szanowanych Vagarów, którzy popierali awatarski reżim. Trzech zabito, a czwarty został sparaliżowany, gdy, próbując ucieczki, spadł

z balkonu. Istnienie pajistów stało się tajemnicą poliszynela. Gdzie tylko zbierali się ludzie, rozmawiano o ich atakach i o tym, co one oznaczają. Dzięki temu agenci Mejany mogli zbierać więcej informacji i rekrutować dodatkowych bojowników dla sprawy.

Do ważniejszego przełomu doszło jednak, gdy Mejana rozkazała porwać kwestora Baliela. Był on najmłodszym z członków awatarskiej Wysokiej Rady i Mejana uważała go za niezbyt odważnego. Bywał na prywatnych orgiach w jej domu i obserwowała go uważnie. Przepęniała go małostkowa ambicja i był przekonany, że za jego brak sukcesów politycznych odpowiadają ci, którzy zazdroszczą mu dowcipu i inteligencji. Jak większość głupich ludzi, był wysokiego mniemania o sobie, a gdy stykał się z mądrzejszymi od siebie, określał ich lekceważąco jako „intelektualistów” albo „pozbawionych zdrowego rozsądku”.

Czterech pajistów schwytało go, gdy wychodził z domu. Zarzucili mu na głowę worek na zboże, pobili go do nieprzytomności i zanieśli do magazynu nieopodal portu. Mejana odwiedziła go tam. Awatara przetrzymywano w ciemnej, pozbawionej okien piwnicy. Gdy weszła do środka, rzucił się jej do kolan, błagając o pomoc.

- Jestem zaskoczona i zasmucona, że widzę cię w tej sytuacji, panie - oznajmiła. - Żli ludzie, którzy cię pojмали, prosili mnie, jako twoją przyjaciółkę, żebym przekazała ci ich żądania.

- Żądania? - zapytał, nie wstając z klęczek. - Zapłacę im, ile tylko zapragną!

- Oni nie chcą pieniędzy, panie. Domagają się informacji.

- Jakich informacji?

- Powiedzieli mi, że musisz nauczyć pewnego młodzieńca Sześciu Rytuałów. Chcą żeby Vagar nauczył się używać kryształów.

- Słodkie niebios! To niemożliwe. Żaden Vagar nie zdoła opanować tej sztuki. Proszę, pomóż mi, Mejano.

- Nie mogę nic zrobić, panie. Zamknęli mnie w celi tuż obok. Grożą że mnie zabiją jeśli ich nie posłucham. A ciebie zabiją z pewnością.

- Zabiją mnie? Ja nie mogę umrzeć. Och, Mejano, co mam zrobić?

Przykucnęła obok jęczącego mężczyzny i pogłaskała go po długich niebieskich włosach.

- Jeśli, tak jak mówiłeś, żaden Vagar nie zdoła nauczyć się rytuałów, to dlaczego nie udzielisz mu kilku lekcji? W ten sposób ocalisz życie. Zapewniają też, że przeniosą cię w lepsze miejsce, z oświetleniem i dobrymi posiłkami. Ponadto - dodała, przechodząc w szept - obiecali, że zwrócą mi wolność. Gdy tylko ją odzyskam, zawiadomię straż i będziesz uratowany.

- Tak. Tak, to jest rozwiązanie. Będę ich uczył. Musisz zawiadomić Raela. On będzie widział, co zrobić.

- Zrobię, jak powiedziałaś, panie - obiecała.

Przez trzy tygodnie Baliel uczył Pendara rytuałów. Z początku młodzieniec nie robił większych postępów, ale dwudziestego siódmego dnia udało mu się ożywić więdnący kwiat, sprawić, że znowu rozkwitł. Potem już było dużo łatwiej.

Tymczasem w mieście Awatarowie poszukiwali zaginionego kwestora.

Pewnego ranka do prowadzonego przez nią domu przyszedł Viruk. Mejana słyszała o nim. To, co opowiadano, nie brzmiało zachęcająco. Był okrutny i bezlitosny, a jego złą wolę maskowały wielki urok oraz charyzma.

Gdy wystraszona służąca wprowadziła go do pokoju, Mejana wstała z krzesła.

- To wielki zaszczyt dla mojego domu, panie - oznajmiła. - Niestety, nie mogę dostarczyć ci rozrywki, gdyż, jak ci wiadomo, prawa o ochronie czystości rasy są bardzo surowe.

Uśmiechnął się.

- Droga pani, darujmy sobie te gierki. Twoi artyści świadczą usługi wszystkim, którzy mogą sobie pozwolić na ich nabycie. W tym również niektórym moim awatarskim kolegom. Dlatego nie traćmy czasu na droczenie się. Powiedz mi, kiedy ostatnio widziałaś kwestora Baliela.

- Moi klienci szanują mnie za to, że zawsze zachowuję dyskrecję, panie - odparła. - Gdyby rozeszła się wiadomość, że nie potrafię utrzymać języka za zębami, mój dom świeciłby pustkami.

- Och, jak sobie życzysz - rzekł ze smutkiem. Wyciągnął sztylet

i podszedł bliżej. - Najpierw utnę ci lewy cycek, ty gruba krowo, a potem porozmawiamy otwarcie.

- Trzy tygodnie temu - odpowiedziała. - Był tu trzy tygodnie temu.

Viruk nie schował sztyletu.

- O której wyszedł?

- Za pozwoleniem, panie, musiałabym o to zapytać... artystę, który dotrzymywał mu towarzystwa. Nie zawsze widzę, kiedy moi przyjaciele wychodzą.

- Zróbmy to więc.

Mejana podeszła do drzwi i zawołała młodego mężczyznę po imieniu. Przyszedł po paru chwilach i na widok Viruka pokłonił się nisko. Kobieta zapytała go o Baliela i o to, kiedy wyszedł. Młodzieniec odpowiedział, że to było zaraz po północy.

- Czy odprowadziłeś go do drzwi? - zapytał Viruk.

- Nie, panie. Zasnąłem.

Viruk zapytał młodzieńca o imię i adres, a potem pozwolił mu odejść.

- Mam nadzieję, że nie powtórzysz szlachetnemu kwestorowi, iż o nim rozmawialiśmy - powiedziała Mejana. - Jest bardzo dobrym klientem, a jego odwiedziny są dla nas zaszczytem.

- Wątpię, by jeszcze kiedyś was zaszczycił - stwierdził Viruk. - Kto wiedział o jego schadzkach w tym miejscu?

- Odwiedza nas dwa razy w tygodniu, zawsze tego samego dnia. Wiem o tym i wszyscy moi artyści również. Powóz zawsze czeka na niego na końcu Alei, pół mili stąd. Jego woźnica wie, tak samo jak każdy, kto widział, jak stąd wychodzi. Czy coś mu się stało?

- Tak sędzę - odparł radośnie Viruk. - Był gadułą i samochwałą. Nikt nie będzie po nim płakał. Niemniej jednak był też Awatarem. Dlatego śledztwo będzie kontynuowane. Swoją drogą ile płacił za swe przyjemności?

- Pięć sztuk złota, panie.

- Z pewnością bardzo ci go brakuje.

- Nie lubię tracić klientów. Myślałam, że przeniósł się do innego miasta.

Wiem, że ma dom w Borii. Może tam pojechał?

- Nikt go nie widział od chwili, gdy przyszedł do twojego burdelu. Czy rozmawiałaś z nim tamtej nocy?

- Tak, panie.

- I jak się czuł?

- U nas zawsze czuł się szczęśliwy, panie. Mam szczerą nadzieję, że do nas wróci.

Viruk przyglądał się jej przez chwilę. Ciężko jej spojrzenie jego jasnych oczu i zdała sobie sprawę, że serce tłucze jej gwałtownie z paniki.

- Jutro przesłucham tego chłopaka, z którym sypiał. Przyślij go do Budynku Oficerów przy Placu Wojskowym. Niech zapyta o mnie.

- Tak jest, panie. Ale zapewniam, że to dobry chłopak i z pewnością nie chciałby, żeby kwestora spotkało coś złego. Bardzo go lubi.

- W takim razie nie ma się czego obawiać. Następnego dnia chłopaka skazano na śmierć przez wysłanie na kryształach.

Mejana jęknęła. Znowu przeszył ją ból. Nie mogła się poruszyć i jej powieki zrobiły się ciężkie. Śmierć szeptała do niej niczym kochanek.

Gdy tylko dowiedziała się o śmierci chłopaka, poszła do magazynu i przy pomocy dwóch silnych mężczyzn utopiła Baliela w beczce z morską wodą. Przyglądała się, jak wymachuje uniesionymi w górę nogami, a z jego udręczonych płuc tryskają bąbelki powietrza. Ciało porzucili potem w porcie.

Usłyszała nagły ruch w ogrodzie. Dotknęła jej czyjaś dłoń. Jej pierś wypełniło gorąco. Kobieta krzyknęła.

- Spokojnie, Mejano. Pozwól, że cię uzdrowię. Otworzyła oczy i zobaczyła młodą wieśniaczkę, którą przyprowadziła do gospody.

- Mnie już nie można uzdrowić.

- Sądzę, że się mylisz - odparła z uśmiechem dziewczyna.

Rozdział dwudziesty Gdy

Mejana znalazła się w swych prywatnych pokojach, zrzuciła zakrwawione łąchy i stanęła naga przed sięgającym podłogi zwierciadłem. Na jej bladym ciele nie było żadnej rany. Nawet najdrobniejszego śladu w miejscu, gdzie ostrze przebiło skórę. Porządna jak zawsze Mejana, zaniosiła ubranie do kosza na pranie i wrzuciła je do środka. Potem ubrała się w inną luźną suknię, z jasnozielonego płótna. Wróciła do swoich pokojów i zobaczyła, że dziewczyna siedzi przy oknie, spoglądając na zatokę.

Mejana zatrzymała się, by przyjrzeć się jej uważnie. Z pozoru nie różniła się niczym od naiwnej wieśniaczki, którą znalazła na ulicy, nieśmiałej dziewczyny, którą zaprowadziła do Baja. Coś się w niej jednak zmieniło. Jej twarz zdawała się promienieć, a w ruchach wyczuwało się pewność siebie.

- Jak się czujesz? - zapytała Sofarita.

- Lepiej niż się spodziewałam. Jak udało ci się opanować awatarskie kryształy?

- Nie mam kryształów, Mejano. Moc należy tylko do mnie.

- Nie wyczułam jej przy naszym poprzednim spotkaniu - stwierdziła starsza kobieta. Podeszła do wysokiego krzesła i usiadła naprzeciwko dziewczyny.

- Wtedy się jeszcze nie objawiła. Ale teraz już się to stało. I wszystko się zmieniło.

- Służysz teraz Awatarom?

- Nie. Nie służę nikomu.

- Ale mieszkasz z kwestorem Ro i uratowałaś mu życie.

- W rzeczy samej. I zrobiłabym to znowu. Tobie również je uratowałam.

- Moje życie jest warte uratowania - stwierdziła Mejana. - Mam misję i cel. Walczę o uwolnienie mojego ludu od tyranii Awatarów.

Sofarita potrząsnęła głową.

- Nie, pragniesz tylko zemsty za śmierć córki. Ale twoje motywacje nie są

w tej chwili ważne.

- A co jest ważne? - zapytała Mejana.

- Pokonanie Almeków. To okrutny, zły lud, którym włada Kryształowa Bogini. Karmią ją krwią składanych w ofierze ludzi. Jeśli odniosą tu zwycięstwo, Vagarzy i inne ludy, nad którymi zapanują, staną się jedynie pokarmem dla bogini.

- Moja córka stała się pokarmem dla Awatarów. Jej życie nakarmiło ich kryształy.

- Nie bronię Awatarów, Mejano. Ich czas już się kończy. Chciałabym jednak, żebyś mi zaufała. Żebyś zrozumiała, jak straszliwy jest ten nowy wróg.

- Czego ode mnie żadasz? - warknęła Mejana.

- Almekowie wysadzili armie na wybrzeżu. Płyną też do Moraku, by zaatakować Błotniaków. Codziennie przybywają tu nowe okręty. Wkrótce liczba almeckich wojowników sięgnie wielu tysięcy. Koordynacja naszych wysiłków ma kluczowe znaczenie. Masz kontakty z Ammonem i plemionami. Twój wnuk Pendar ma znajomych wśród Patiaków. Zaprzyjaźnił się z ich królem.

- Ale Viruk go zabił - przypomniała Mejana.

- To już przeszłość. Viruk zabił Judona, a ty Baliela. Rozkazałaś też uśmiercić innych. Nie słuchałaś krzyków Baliela, kiedy błagał o litość. Trzymałaś go za nogi, gdy miotał się w beczce.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - wyszeptała Mejana.

Nie ma tajemnic, których nie potrafiłabym odkryć - poinformowała ją Sofarita. - Ale, jak już mówiłam, wszystko to przeszłość. Za dwie godziny spotkam się z kwestorem generalnym Raelem. Pójdiesz tam ze mną. Wspólnie stworzycie plan kampanii przeciwko Almekom. Mejana parsknęła śmiechem.

- Rael każe mnie aresztować i wyssać na kryształach.

- To możliwe - zgodziła się Sofarita. - Ale podejmiesz to ryzyko.

- A dlaczego?

- Dlatego, że jeśli Almekowie zostaną rozbici, będziesz bliżej swego

celu. Wolności dla Vagarów. Nadchodzące bitwy osłabiają Awatarów. Zmiana stanie się nieunikniona.

- Żądasz ode mnie bardzo wiele. Powiedz mi, co ty na tym wszystkim zyskasz?

- Po prostu umrę - odparła Sofarita. - A teraz podaj mi rękę, a pokażę ci naturę wroga.

Rael nigdy w życiu nie był bardziej wściekły. Gniew utrudniał mu artykułowanie słów.

- Jak śmiesz! - oburzał się. - Jak śmiesz przyprowadzać tu tę morderczynię?

Mejana siedziała na krześle, przyglądając się bez słowa kwestorowi generalnemu. Niclin trzymał się z tyłu. Jego oczy osłaniały opadające powieki, a twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Kwestor Ro przystanął w wejściu do ogrodu, nie spuszczając spojrzenia z Sofarity, która siedziała spokojnie na niskiej sofie. Rael zatrzymał się przed nią. Jego twarz zrobiła się popielata.

- Wolę zginąć niż układać się z... z takimi szumowinami!

- Usiądź, Raelu - odparła ze spokojem Sofarita. - Postaraj się opanować gniew i posłuchaj, co podpowiada ci intelekt.

- Nie będę siedział. Nie zostanę dłużej w tym domu. Na zewnątrz czekają moi strażnicy. Każę im aresztować i stracić tę morderczynię.

Tak samo, jak zrobiłeś to z jej córką i niezliczonymi tysiącami innych - zauważyła Sofarita, nadal spokojnym głosem. - Tak samo, jak zabrałeś jej wnuczkę, by jej maleńkie istnienie pochłonęły wasze kryształy. Jak możesz mówić o morderstwie, skoro zawdzięczasz życie wyłącznie temu, że wysysasz je z innych? Na wszystko, co święte, Raelu, dawno już powinienesz umrzeć. Nadal oddychasz tylko dzięki sile życiowej, którą ukradłeś.

- Nie muszę tego słuchać - oburzył się Rael. - I vagarska dziwka nie będzie mnie uczyła, co jest słuszne. Jeśli jej córkę skazano na śmierć, uczyniono to zgodnie z prawem.

- To ciekawy pogląd - zauważyła Sofarita. - Jeśli kilku Awatarów uzna, że zasadzenie kwiatu w ziemi jest złym uczynkiem, stanie się to prawem.

I Vagarzy będą umierali z tego powodu. Mówisz o prawie, jakby ono pochodziło od Źródła. Jakim prawem ustanawiacie prawa?

- Prawem podboju! - odparł natychmiast.

- Tak jest. A teraz Mejana i jej lud są gotowi podbić was. To daje jej prawo stanowienia praw. Być może zdecyduje, że posiadanie niebieskich włosów jest największą zbrodnią. Wtedy wszyscy Awatarowie staną się przestępcami. Starczy już tego, Raelu. To niegodne ciebie. Gniew nie jest podstawą na której można zbudować współpracę.

Kwestor generalny zaczerpnął głęboko tchu.

- Co nam proponujesz? - zapytał.

- Szansę ocalenia. Plemiona nie zjednoczą się pod dowództwem Awatarów. Będą walczyć oddzielnie i poniosą klęskę. Musicie ustąpić. Awatarowie będą grotem włóczy, ale jej drzewce trzymać będą inni.

- To nasze miasta, nasze ziemie - sprzeciwił się spokojniejszym głosem. - Co właściwie sugerujesz?

- To nie są już wasze miasta. Przekażesz teraz władzę Mejanie i mnie. Pozostaniesz kwestorem generalnym do chwili zakończenia wojny.

- Słyszycie to? - Rael uśmiechnął się szyderczo, spoglądając na Niclina i Ro. - Czy wierzycie własnym uszom?

- Ponownie zwrócił się do Sofarity. - Jesteśmy bogami, kobieto. Nie kapitulujemy przed niższymi istotami.

- Nie jesteście bogami, Raelu. Jesteście ludźmi, którzy mają moc. Przyjmijmy jednak na chwilę, że masz rację i twoja moc rzeczywiście czyni cię bogiem. W takim przypadku ja jestem boginią i to nieporównanie potężniejszą od ciebie.

- Umierającą boginią - warknął Rael. - Wydaje ci się, że nie rozumiem, co to znaczy być zjednoczonym z kryształem? To się już kiedyś wydarzyło. Dwukrotnie. Masz przed sobą kilka lat mocy. Potem staniesz się blokiem kryształu.

- Tym razem masz całkowitą rację - potwierdziła bez cienia gniewu. - Mam nadzieję, że te słowa sprawiły ci przyjemność.

Z Raela odpłynęła cała złość.

- Tak, sprawiły - przyznał. - I wstyd mi z tego powodu.

- Prawda bywa niekiedy bolesna, Raelu - powiedziała Sofarita. -

Dowiedz się jednak, że mogłam wybrać dla siebie inną drogę. Jak Almeida, bogini Almeków. Codziennie karmią ją krwią. Dzięki temu żyje, a jej moc jest doprawdy bardzo wielka. Ale ja nie chcę żywić się krwią innych. To jednak nie jest w tej chwili istotne. To, co sugeruję, i tak się wydarzy, bez względu na to, jaką decyzję dziś podejmiecie. Jesteście ostatnimi przedstawicielami wymarłej rasy. Wasza dominacja opiera się wyłącznie na skrzynkach mocy naładowanych przez kwestora Ro. Jest was żałośnie niewiele. Ludzie, którymi władacie, są tysiące razy liczniejsi od was. Nawet bez Almeków w ciągu kilku najbliższych lat utracilibyście władzę. To nieuniknione. Chcę wam powiedzieć, że jeśli wydarzy się to dzisiaj, będziecie mieli szansę pokonania Almeków. - Rozpostarła dłonie.

- Możecie też zdecydować, że pociągniecie plemiona oraz Vagarów ku zgubie razem ze sobą, a ocalałych pozostawicie w rękach strasznego wroga.

Rael zerknął na kwestora Niclina.

- Czy masz coś do dodania, kuzynie? - zapytał.

Niclin potrząsnął głową. Rael spojrzał na Ro.

- A ty, kwestorze?

Niski mężczyzna pociągnął się za rozwidloną niebieską brodę.

- Rzekła prawdę. Nasze dni dobiegły już niemal końca. Sami nie zdołamy obronić się przed Almekami, a szczerze mówiąc, nie potrafilibyśmy już stłumić powstania Vagarów. Pozostaje tylko pytanie, jak mamy zorganizować to przekazanie władzy.

Mejana podniosła się z krzesła.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytała Sofaritę.

Młoda kobieta skinęła głową i Mejana spojrzała na Raela.

- Dziś przed południem pchnięto mnie nożem i leżałam umierająca - poinformowała go. - Zamachu dokonał agent Ammona, który nie chciał, żebym spotkała się z Sofaritą. Na szczęście przybyła ona wkrótce potem i przywróciła mi zdrowie. Bliskość śmierci pozwoliła mi jednak inaczej spojrzeć

na wiele spraw. To prawda, że byłam pełna nienawiści do Awatarów i nadal wami gardzę. Mogliście usprawiedliwić swą egzystencję wampirów jedynie w ten sposób, że uważaliście nas za podludzi. Rozumiem to. Brzydzę się tym, ale rozumiem. Z tym już jednak koniec. Od dzisiaj żadnego człowieka, bez względu na rasę, nie będzie można już wyssać na kryształach. Wszyscy Vagarzy oczekujący na proces za złamanie praw o czystości rasy zostaną natychmiast zwolnieni. Te prawa będą z dniem dzisiejszym odwołane. Spomiędzy Vagarów i Awatarów zostanie wybrana nowa Wysoka Rada. Ponieważ mamy za mało czasu, by przeprowadzić wybory, sama wyznaczę Vagarów, którzy zasiądą w pierwszej Radzie. Ty, kwestorze generalny, wyznaczysz awatarskich radnych. Zachowamy równowagę, po szesnastu przedstawicieli obu grup. Jako kwestor generalny, będziesz miał decydujący głos we wszystkich sprawach wojskowych i cywilnych.

Rael milczał przez chwilę, a potem skinął głową.

- Niech się stanie tak, jak sobie życzysz. Spotkamy się z tobą i twoimi przedstawicielami w Sali Obrad dziś wieczorem. - Spojrzał na Sofaritę. - Być może zechcesz nam powiedzieć, czego się dowiedziałaś o nieprzyjacielu?

- Właśnie w tej chwili Almekowie atakują stolicę Ammona - odparła Sofarita. - Miasto padnie za kilka godzin. Druga armia wyszła na brzeg na wschodzie i maszeruje w głąb lądu. Dwie następne wylądowały na południu.

- Ilu mają ludzi?

- Wschodnie armie w sumie trzy tysiące, a południowe dwukrotnie więcej. Codziennie przyplływają też nowe okręty.

- Wysłałem do Ammona Viruka - oznajmił Rael. - Czy możesz mu jakoś pomóc?

- Spróbuję.

Kwestor generalny popatrzył na Mejanę.

- Spotkam się z tobą i twoimi ludźmi wieczorem - zapowiedział. Skinął na Niclina i ruszył ku drzwiom.

- Chwileczkę, kwestorze generalny - powstrzymała go Sofarita. Przystanął i obejrzał się na nią. - Chcę, żebyś obiecał, że ani ty, ani żaden z twoich podkomendnych nie spróbuje skrzywdzić Mejany ani nikogo z jej

ludzi.

- A na co miałbym przysiąc?

- Na duszę twojej córki Chryssy.

Rael pobrał.

- Przysięgam - powiedział i opuścił salę.

- Dotrzyma słowa? - zapytała Mejana.

- Tak, choć pod koniec spróbuje znaleźć jakiś sposób, żeby je ominąć.

- Tak podejrzewałam.

- A teraz ty złóż taką samą przysięgę - zażądała Sofarita. - Ataki na Awatarów muszą się skończyć. Twój czas nadszedł, Mejano. Bądź wspaniałomyślna w zwycięstwie. Wyrzeknij się myśli o zemście.

- Przysięgam - powiedziała gruba kobieta. - Teraz ja również muszę już iść.

Kiedy wyszła, kwestor Ro podszedł do Sofarity.

- Obawiam się, że wypadłem z łask u moich kolegów - stwierdził. -

Rael nie prosił, żebym mu towarzyszył, nie sądzę też, by miał mnie uczynić członkiem nowej Rady. - Zauważył, że się zamyśliła. - Co się stało?

- Dla Raela to tylko tymczasowy sojusz. Pokłada wiarę w nowej piramidzie Anu. Gdy zostanie ukończona, spróbuje odzyskać władzę. Natomiast Mejana marzy o dniu, kiedy wszystkich Awatarów wywlecze się z domów i zadźga nożami. Ich nienawiść i uprzedzenia są głębsze niż otchłanie oceanów.

- Dlaczego ich nie zmienisz, tak jak zmieniłaś mnie?

- Gdybym to uczyniła, wyobcowaliby się od ludzi, którzy im służą.

W obecnej chwili obie grupy mają przywódców, których przekonania odpowiadają ich poglądom. Chodź, spacerujemy się po ogrodach i powdychamy zapach kwiatów.

Talaban był znakomicie wyszkolony. Potrafił czytać mapy, dowodzić ludźmi i w jednej chwili układać plany bitew. Nic jednak w ciągu dwustu lat jego życia nie przygotowało go na spotkanie z Sofaritą. To było tak, jakby nagle utracił zdolność mowy.

Gdy przybył w towarzystwie Probierza do domu Ro, czuł się dobrze. Wysiedli z powozu akurat na czas, by spotkać wychodzących z budynku Raela i Niclina. Kwestor generalny odprowadził Talabana na bok.

- Uważaj, co mówisz i myślisz, Talabanie. Ona jest potężna i sądzę, że potrafi czytać w ludzkich myślach.

- Czy nadal ciąży nad nią wyrok śmierci?

- Nie. Zostanie wybrana nowa Rada. Przyjdź o dziewiętnastej do Sali Obrad. Zastąpisz kwestora Ro.

- A co mu się stało?

- Zaczarowała go, Talabanie. Strzeż się, by to samo nie spotkało również ciebie.

Kwestor generalny oddalił się ku swemu powozowi.

Talaban i Probierz weszli do domu. Przywitał ich sam Ro. Zachowywał się przyjaźnie i wydawał się odprężony, jak nigdy dotąd.

- Witajcie, przyjaciele - rzeki. - Chodźcie, pani czeka.

Poszli za nim do pokoju ogrodowego. Kobieta siedziała na niskiej sofie. Gdy weszli do środka, uniosła wzrok. Talaban spojrzął na nią i zachwiał się. Oczy miała jasnobrązowe, upstrzone plamkami złota, włosy długie i ciemne, a skórę opaloną na złocisty kolor. Była piękna. Podziwiał jej urodę, nie mogąc skupić myśli.

- Witaj, Talabanie - odezwała się.

- Jestem Talaban - oznajmił, mimo że przed chwilą zwróciła się do niego po imieniu. Był nadal zmieszany. Postąpił krok naprzód i zawadził stopą o dywan, omal się nie potykając.

- Cieszę się, że znowu cię widzę, Probierzu - dodała, uśmiechając się do dzikusa. Probierz pokłonił się, ale nic nie powiedział.

Jej uśmiech przeszył Talabana z siłą lancy. Próbuje cię zaczarować, pomyślał Awatar. Tak jak mówił Rael. Uważaj!

- Co... chciałaś... dlaczego nas wezwałaś? - wyjąkał. Rozgorzał w nim gniew na własną głupotę. Nigdy dotąd nie miał takich trudności z wysławianiem się. Był zawstydzony i skrępowany.

- Jestem Sofarita - odparła - i było konieczne, żebyśmy się spotkali.

Oboje rozmawialiśmy z Jednookim Lisem i oboje zdajemy sobie sprawę, że walczyliśmy ze strasliwym wrogiem, którego trzeba pokonać.

Opowiedziała mu o Almei, żywym kryształ, która była sercem ludu Almeków. Talaban słuchał uważnie, gdy mówiła mu o okrutnym losie, jaki czekał wszystkie ludy świata, gdyby Almekowie zwyciężyli. Streściła mu również rozmowy z Raelem i Mejaną. Wojownik próbował się skupić, ale jego myśli ciągle zbaczały z toru. Jej szyja miała piękny zarys, a barki były nieskazitelne. Kiedy mówiła, przyglądał się jej ustom, starając się skupić na słowach. To były miękkie usta, pełne i błyszczące...

- Dobrze się czujesz, kapitanie? - zapytała nagle.

- Czy dobrze się czuję? Tak, dobrze. Czy próbujesz mnie zaczarować, pani?

- Nie celowo, kapitanie - odparła chłodno. Stojący obok Talabana Probiez zachichotał. Ten dźwięk spłynął po Awatarze niczym źródłana woda, łagodząc dręczące go napięcie.

- Zwykle nie zachowuję się tak głupio - zapewnił. - Przepraszam, pani.

- Nie musisz mnie przeproszać, Talabanie. Powiedz mi jednak, czy nie zaskoczyły cię ostatnie wydarzenia? Co sądzisz o nowym sojuszu z Vagarami?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć - odparł zgodnie z prawdą. - Wszystko to wydarzyło się tak nagle. - Spojrzał jej prosto w oczy i z zachwytem przekonał się, że potrafi to robić, a jednocześnie myśleć jasno. - Już gdy Parapolis zalało morze, byliśmy skończeni. To była tylko kwestia czasu. Wygląda na to, że ten czas w końcu nadszedł.

- Czy to cię smuci?

- Nie - odparł i z zaskoczeniem uświadomił sobie, że powiedział prawdę.

- To dobrze. Obawiam się, że większość Awatarów będzie innego zdania. Jeżeli nikogo nie będzie się wysysać na kryształach, wasze marzenie o nieśmiertelności zginie. Będziecie się starzeć, tak samo jak inni ludzie.

- Nie, jeśli Anu ukończy swą piramidę - zaprzeczył. - Ona będzie czerpała moc bezpośrednio ze słońca i wypełniała nią kryształy bez konieczności ofiar z ludzi.

- Kwestor Anu jest wielkim człowiekiem - przyznała Sofarita - ale nie ukończy swej piramidy na czas, by uratować miasta wschodu. To zadanie przypadnie ludziom takim jak Rael i ty.

Talaban skinął głową.

- Potrafię się z tym pogodzić, pani.

- Ale coś nadal cię kłopotuje.

- Tak. Mówisz, że nam pomożesz, ale sądząc z twoich słów, Almeia jest potężniejsza od ciebie. Jej armie są również silniejsze od wszystkich, które zdołamy wystawić. Nie wiem, jak możemy ją pokonać.

- Prawdę mówiąc, i ja nie wiem, czy to możliwe - przyznała. - Ale kiedy stykamy się ze złem, musimy mu się przeciwstawić, bez względu na to, czy zwycięstwo jest realne. A moje moce będą rosnąć, przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Kto wie, czego zdołamy dokonać? Musisz się teraz przygotować na spotkanie z nową Radą. Czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby Probiez tu został? Mamy wiele spraw do omówienia.

Talaban poczuł nagłe ukłucie zazdrości, wyprostował się jednak z wymuszonym uśmiechem. Ro odprowadził go do drzwi.

- To zdumiewająca kobieta - powiedział niski kwestor.

- W rzeczy samej.

Gdy Talaban wychodził, Ro złapał go za ramię.

- Nie daj się oszukać Raelowi, Talabanie. W niej nie ma zła.

- Czy ją kochasz, Ro?

- Każdą cząsteczką swej jaźni.

Boru siedział w celi. Złotowłosa córka przytuliła się do niego.

- Nie podoba mi się tutaj. Chcę stąd iść - powiedziała. Poglaskał ją po włosach. Są takie piękne i delikatne, pomyślał. Jak nitki utkane z blasku słońca.

- Musimy tu jeszcze chwilę zostać - oznajmił. - Drzwi są zamknięte.

- Dlaczego nas zamknęli?

- Połóż się spać, malutka.

- Nie chcę spać. Chcę wyjść na dwór.

- Nie zawsze możemy robić to, co chcemy.

Boru przeklął sam siebie, nazywając się samolubnym głupcem. Zawsze wiedział, że istnieje ryzyko, iż go złapią ale gdy kolejne misje kończyły się powodzeniem, stawał się coraz bardziej nieostrożny. Już od lat wędrował z miasta do miasta, zbierając informacje oraz przekazując listy między pajistami a Anwarem. W swej arogancji zaczął nawet zabierać w te podróże Shori. Gdy zatrzymali go wartownicy przy wschodniej bramie, nadal sobie nie uświadomił, że wszystko skończone. Dopiero gdy przyprowadzili go tutaj, zrozumiał prawdę. Oboje umrą. I to on był temu winny. Córka stanęła mu na kolanach, pociągając go za żółto-srebrną brodę.

- Nie bądź smutny - powiedziała.

- Kocham cię, malutka, i tak mi przykro.

- Dlaczego ci przykro? Czy zrobiłeś coś złego?

- Tak. Powinienem był zostawić cię z cicią.

- Ale ja lubię z tobą jeździć - sprzeciwiła się. - Lubię się przeprawiać przez rzeki.

Drzwi się otworzyły. Boru zaczerpnął głęboko tchu i wstał, unosząc Shori w ramionach.

W progu stała Mejana w towarzystwie dwóch awatarskich żołnierzy. Zaskoczony Boru zamrugął z niedowierzaniem.

- Przyprowadźcie go - rozkazała. Potem oddaliła się korytarzem, znikając mu z oczu. Strażnicy rozeszli się na boki. Boru poszedł z nimi, dźwigając Shori. Ruszyli korytarzem, a potem weszli na górę po schodach. Mejana szła przed nim, nie odzywając się ani słowem. W końcu dotarli do długiego pomieszczenia o wysokim kopulastym suficie. Wokół ogromnego stołu siedziało około trzydziestu ludzi. Co najmniej połowa z nich była Awatarami, ale resztę stanowili Vagarzy i Boru znał wielu z nich. To byli pajiści. Na ten widok osłupiał. Co tu się działo?

Na honorowym miejscu zasiadał szczupły Awatar o przeszywającym spojrzeniu i krótko ostrzyżonych niebieskich włosach. Wstał z krzesła i wezwał Boru skinieniem dłoni. Strażnik popchnął więźnia w plecy i ten powłókł się ku stołowi.

- Jesteś Boru, agent Ammona? - zapytał Awatar.

- Tak.

- Znasz niektórych z obecnych tu ludzi.

- Nie.

- To nie było pytanie, Boru. To było stwierdzenie faktu. Nie próbujemy cię oszukać, a Vagarzy, których tu widzisz, nie są więźniami. To nowi członkowie Wysokiej Rady. Ja jestem Rael, kvestor generalny.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał Boru, nie kryjąc wrogości.

- Osobiście najchętniej kazałbym cię wyssać na kryształach, ale to, niestety, nie jest już możliwe.

- Już to zrobiliście, Awatarze - warknął Boru. - Ukradliście mi trzydzieści lat.

Rael uśmiechnął się do niego bez śladu wesołości.

- Zrób, co ci każemy, a być może je odzyskasz.

- Prędzej zgniję w siedmiu piekłach, niż zgodzę się wam służyć.

Te gniewne słowa przestraszyły Shori, która się rozpląkała.

- Chcę stąd iść! Chcę stąd iść!

Boru uściskał dziewczynkę i pocałował ją w główkę.

- Wszystko w porządku. To tylko mała sprzeczka - uspokajał córkę. - To nieważne. - Płacz ucichł i Boru ponownie spojrzął na Awatara. - Słucham cię - oznajmił.

- Stolica Ammona jest oblężona. Zaczęła się wojna, która może z nas wszystkich zrobić niewolników. Wysłałem do Ammona posłańców z propozycją wsparcia. Chcę, żebyś dotarł do niego i przekonał go, by zaprowadził swych wojowników do Egaru. To naturalny punkt obrony.

- I w zamian za to zwrócicie mi młodość?

- Tak.

Boru spojrzął na Mejanę, która siedziała obok vagarskiego kupca.

- Jak to się stało, że żyjesz, kobieto? - zapytał. - Wiem, że cios był celny.

- Uzdrowiono mnie, ty zdradziecki kundlu - odparła lodowatym tonem.

- A teraz, czy zrobisz, co ci powiedział kvestor generalny, czy wolisz się

rozstać z głową?

Boru uśmiechnął się szeroko.

- Możesz w to nie uwierzyć, Mejano, ale cieszę się, że żyjesz. To fascynujące widzieć, jak dogadałaś się z wrogiem. No cóż, pewnie życie zawsze opierało się na kompromisach. - Spojrzał na Raela. - Proszę bardzo, spróbuję odnaleźć Ammona. Wiedz jednak, że jestem waszym wrogiem i pozostanę nim, dopóki krew będzie płynęła w mych żyłach.

- Ta groźba skaże mnie na wiele bezsennych nocy - mruknął Rael, odwracając się. - Niedługo przyprowadzą tu twój wóz. Córkę możesz zostawić z panią Mejaną.

- Co? Nie! Pojedzie ze mną.

Rael podszedł do niego.

- Będzie tu bezpieczniejsza niż na polu bitwy, Boru. Ale jeśli wolisz, mogę kazać zabić was oboje i znaleźć innego posłańca. Wybieraj.

Boru był pokonany i wiedział o tym. Zaniósł dziecko do Mejany.

- Ona jest wszystkim, co kocham na tym świecie - oznajmił.

Twarz kobiety złagodniała.

- Nic jej nie grozi, bez względu na to, co się wydarzy. Masz na to moje słowo.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Anwar obserwował spadające na stolicę ogniste kule. Potem zwrócił się w stronę króla.

- Musimy uciekać, wasza wysokość. Królewska straż nie zdoła ich powstrzymać.

Odziany we wspaniałą togę z niebieskiego atłasu, wyszywaną złotem, król odwrócił się gwałtownie.

- Gdzie jest moja nowa armia, Anwarze? Gdzie moi żołnierze?

- Szkołą się pośród wzgórz na północy, panie. Ale obawiam się, że nawet oni nie poradzą sobie z tymi... dzikusami.

Ognista kula uderzyła w mury pałacu. Z sufitu królewskiej sypialni spadł wielki płat malowanego tynku. Pomieszczenie wypełniło się pyłem.

- Myślę, że już najwyższy czas, wasza wysokość.

Ammon podszedł do okna i popatrzył ze złością na złote okręty. Trzy z nich zbliżyły się do brzegu. Z trapów zbiegali miedzianoskórzy wojownicy w złotych zbrojach. Drogę przecięło im pięćdziesięciu strażników królewskich. Żołnierze nieprzyjaciela nieśli coś, co wyglądało jak krótkie czarne pałki. Unieśli je do ramion. Buchnął z nich ogień. Pierwszy szereg strażników padł na ziemię. Reszta rzuciła się do ucieczki.

Na brzeg wysiadły już setki nieprzyjacielskich wojowników. Ammon odwrócił się od okna.

- Dokąd powinienem się udać, przyjacielu?

Jak najdalej od wroga, wasza wysokość. I to szybko! Anwar poprowadził króla na tyły pałacu. Obaj zeszli wąskimi schodami do wejścia dla służby. Pod kuchennym oknem kulił się ze strachu młody niewolnik.

- Chodź tu, chłopcze! - zawołał Anwar. - Szybko! - Niewolnik zamrugał nerwowo, a potem zbliżył się niepewnie. - Ściągaj tunikę. Natychmiast. - Chłopak zdjął przez głowę tani szary ubiór i stanął przed nimi nagi. Anwar wziął tunikę i podał ją królowi. - Bądź tak łaskaw i włóż to, wasza wysokość.

- Chcesz, żebym ubierał się w łachy?

- Chcę, żebyś dożył końca dnia, wasza wysokość.

Ammon zdjął z ramion atłasową togę, pozwalając, by opadła na podłogę. Potem wdział szarą tunikę. Anwar uchylił boczne drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Z centrum miasta uciekali tłumnie mieszkańcy. W środku ciżby wylądowała ognista kula. Trzej mężczyźni i kobieta poszybowali w górę i uderzyli o mur pałacu. Anwar wmieszał się w tłum, a młody król podążał tuż za nim. Morze ludzi niosło ich ku południowej dzielnicy miasta. Anwar ujął króla pod ramię. Staruszek ledwie już dyszał. Płuca mu płonęły, a nogi uginały się pod nim ze znużenia. Ammon objął przyjaciela ramieniem, podtrzymując go. Nagle z przodu kolumny zbiegów dobiegły ich krzyki przerażenia. Z zaułka wychynęły ogromne bestie, noszące na porośniętych futrem piersiach skrzyżowane pasy z czarnej skóry. Rozszarpywały uciekinierów kłami i pazurami. Przerażony tłum zerwał się do jeszcze szybszej ucieczki.

Anwar zobaczył po lewej wylot zaułka i wciągnął do niego Ammona. Nie wiedział, gdzie się znajdują, ale uparcie brnął naprzód. Ammon pociągnął go za ramię, każąc mu się zatrzymać.

- Odpocznij chwilę - rozkazał król. - Jesteś wykończony.

Anwar potrząsnął głową, próbując iść dalej. Król go powstrzymał.

- Jesteś dla mnie zbyt cenny, Anwarze. Jeśli nie zwolnisz, będziesz miał atak. Chodźmy wolniej.

To były krale! - wydyszał Anwar. - Widziałem kiedyś jednego, podczas wyprawy na południe. Był martwy. Ale i tak wydał mi się wielki i przerażający.

Ammon rozejrzał się wokół. Uliczka była bardzo wąska, a pod małymi okienkami widać było ślady ludzkich ekskrementów. Z drzwi wypadł szczur, który przebiegł po stopie Anwara. Staruszek odskoczył trwożnie.

- Prowadzisz mnie w bardzo interesujące miejsca - zauważył Ammon.

Z równoległej ulicy dobiegły kolejne krzyki. Tym razem to król poprowadził swego doradcę. Obaj mężczyźni przeszli pośpiesznie do drugiego zaułka, a potem skręcili w prawo, na opustoszały plac targowy. Na stopniach budynku siedziało małe, mające niewiele ponad rok dziecko. Głośno płakało. Ammon złapał je w ramiona.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał Anwar.

- Szkoda by było zostawić pędzaka - oznajmił Ammon. - Zresztą nie jest ciężki.

Anwar zaniemówił. Czy król postradał zmysły? Czy atak na stolicę odebrał mu rozum?

- Chodźmy, wasza wysokość - powiedział.

Za następnym rogiem ponownie dołączyli do szeregu uchodźców, którzy zmierzali ku południowej bramie. Nagle król się zatrzymał.

- Co się stało? - zapytał Anwar. Znajdowali się w wysoko położonym punkcie i Ammon wskazał palcem na teren za murami. Żołnierze nieprzyjaciela ustawili się w szereg, zamykając bramy. Zmęczony płaczem dzieciak zasnął na ramionach króla.

- Powinniśmy pójść za jego przykładem - stwierdził Ammon. - Znaleźć sobie jakieś miejsce do spania.

- Będą cię szukać. Przeczesują miasto.

- Trzydzieści sześć tysięcy domostw. To trochę potrwa.

Ammon znowu skręcił w lewo i zapuścił się w zaułki dzielnicy biedoty, mocno przytulając dziecko. Byli tu ludzie, którzy nie uciekli. Odziani byli w łachmany, twarze mieli brudne, a z oczu nie dało się wyczytać żadnych uczuć. Kostropate postacie siedziały w otwartych drzwiach, a wszędzie unosił się smród nędzy. Nagle Anwarowi przecięła drogę chuda jak kij kobieta.

- Chcesz tędy przejść, bogaczu? Musisz zapłacić myto. - Wyciągnęła brudną dłoń.

- Nie mam przy sobie pieniędzy - poinformował ją Anwar.

- Och, daj jej swój pierścień, Anwarze. Kupię ci drugi.

- Słuchaj, co mówi ci twój chłopak, staruszku - powiedziała kobieta.

Wyciągnęła mały nóż i przystawiła go do gardła Anwara.

Ammon przełożył dziecko na lewe ramię, wysunął błyskawicznie prawą rękę, otoczył szczupłymi palcami nadgarstek kobiety i wykręcił go. Nóż spadł z brzękiem na bruk. Ammon podniósł go i rzucił kobiecie.

- Nie wyglądacie na zbyt przestraszonych najazdem - rzucił od niechcienia.

Kobieta potarła nadgarstek.

- A co on zmieni dla takich jak my? Najeźdźcy nas nie zabiją. Jesteśmy dla nich niczym. Tak samo jak dla takich jak wy. Życie będzie toczyło się dalej. Albo i nie będzie. - Wzruszyła ramionami. - A teraz daj mi pierścień!

- Najpierw zaprowadź nas do wioski garncarzy.

Kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając krzywe, brązowe zęby.

- Chcesz zamówić wazę?

- I kilka pucharków. Zrób to dla mnie, a hojnie ci zapłacę.

Popatrzyła na jego prostą, szarą tunikę.

- Nie widzę mieszka.

- Ma trochę racji, Anwarze. Masz jakieś pieniądze?

- Nie... nie sądzę, żeby to było odpowiednie miejsce na rozmowę na ten temat.

- Daj mi je.

Anwar sięgnął pod fioletową togę i wydobył stamtąd mały, ale ciężki mieszek.

- Prowadź, pani - rozkazał Ammon.

- Dziwny z ciebie człowiek, daję słowo - zauważyła. Mrugnęła do stojącego w cieniu mężczyzny i ruszyła przed siebie. Ammon podał śpiące dziecko Anwarowi i podążył za kobietą. Nie zwracał uwagi na chudego mężczyznę, który podążał za nimi. Anwar co chwila zerkał nerwowo na nieznanomego, trzymając się blisko króla.

Szli przez prawie pół godziny, mijając cuchnące zaułki oraz opustoszałe dzielnice. W oddali nadal słychać było wybuchy i słabe krzyki. Wreszcie kobieta wyciągnęła rękę, wskazując na wijący się w dole strumień. Po obu jego brzegach, połączonych małym kamiennym mostkiem, stały niewielkie chaty.

- To jest wioska garncarzy - oznajmiła. - A teraz zapłać mi hojnie!

Ammon otworzył mieszek. Wszystkie monety w środku były złote. Wyjął dwie i wręczył je kobiecie. Szczupły mężczyzna podszedł bliżej.

- Chyba weźmiemy wszystko - powiedział, wyciągając długi, cienki

sztylet.

- Chciwość to bardzo zła cecha - poinformował go Ammon. - Macie więcej złota, niż oglądaliście od dłuższego czasu. Więcej nie dostaniecie. Mam na głowie pilne sprawy. I nie chcę was zabijać. Zadowolcie się tym.

- Mam się tym zadowolić, gołąbeczko? - zapytał mężczyzna kobietę.

- Nie! - warknęła. - Wypruj mu flaki, Beli.

Nóż przeszył powietrze. Ammon sparował cios prawym przedramieniem, a potem uderzył kłębem dłoni w brudną twarz napastnika, tuż poniżej nozdrzy. Rabuś padł bezgłośnie na twarz. Kobieta wytrzeszczyła oczy. Potem opadła na kolana i zaczęła potrząsać mężczyzną.

- To nic nie da - powiedział Ammon. - On nie żyje.

- Zabiłeś go, ty skurwysynu! - wrzasnęła. Król odwrócił się na pięcie i uderzył ją w szyję kantem dłoni. Rozległ się budzący mdłości trzask i kobieta padła na ciało kochanka. Ammon ukląkł przy trupach i odzyskał złote monety.

Dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Ammon zabrał je Anwarowi i pogłaskał po plecach.

- Sza, sza, malutki. Bądź cicho. Znajdziemy ci w wiosce coś do jedzenia.

- Zdumiewasz mnie, wasza wysokość. Walczysz bardzo biegle.

- Biegłość zależy od wartości przeciwnika. A ta nie była wysoka.

- Wszystko jedno. Gdzie się nauczyłeś takich sztuczek?

- Pamiętasz czarującego chłopca z północy, który nas odwiedzał? Tego wysokiego z żółtymi włosami?

- Pamiętam.

- On mnie tego nauczył. Sekret najwyraźniej polega na tym, że ruch musi się zaczynać powoli. To dość skuteczne.

- Świetnie opanowałeś tę sztukę, wasza wysokość. Ale istnieje wielka różnica między ćwiczeniami z przyjacielem a walką.

- W rzeczy samej. Walka jest znacznie bardziej ekscytująca. - Ammon ruszył w dół stoku, kierując się ku wiosce.

- Dlaczego zapytałeś akurat o to miejsce, wasza wysokość?

- Mam tu przyjaciela.

- Masz przyjaciela, który jest garncarzem?
- No, może to nie do końca przyjaciel - przyznał z uśmiechem Ammon.
- Ale zawdzięcza mi życie.

Garncarz Sadau cały poranek spędził pogrążony w panicznym strachu. Wybuchy w północnej części miasta, tłumy uchodźców i wieści o najeździe całkowicie pozbawiły go odwagi. Przed ucieczką powstrzymywała go jedynie myśl, że kimkolwiek są najeźdźcy, z pewnością będą potrzebowali garnków. Nie był ważną osobą i nigdy nie pragnął nią zostać. Ta anonimowość będzie dla niego osłoną.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Dlatego właśnie gdy zobaczył na swym progu przebranego króla, zaniemówił z przerażenia. Zastygł w bezruchu, gapiąc się na monarchę z rozdziawionymi ustami.

- Chyba powinieneś nas zaprosić do środka - odezwał się Ammon, odpychając na bok garncarza. Za królem szedł jakiś staruszek, trzymający w ramionach śpiące dziecko.

- Cz... czego ode mnie żądasz... panie? - zapytał Sadau. Król wszedł do brudnej izby i usiadł na wiklinowym krześle.

- Schronienia na noc. Czegóż do jedzenia dla mnie i dla mojego przyjaciela. Aha... i jeszcze mleka dla dziecka.

Zszokowany Sadau stał jak sparalizowany. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Bez względu na to, kim byli nieprzyjaciele, będą poszukiwać króla. Przeszukają wszystkie domy. I zapewne zabiją tego, kto będzie ukrywał Ammona. To było jak koszmar.

- Jak... jak udało ci się mnie znaleźć? - zapytał.

- Zapukałem do drzwi jednego z twoich sąsiadów.

- Moi sąsiedzi wiedzą że tu jesteś?

- Nie sądzę, żeby mnie rozpoznali. Biedacy rzadko mają okazję oglądać mnie z bliska. A teraz pokaż, że jesteś dobrym gospodarzem, człowieku. Znajdź nam coś do jedzenia.

- Nie możesz tu zostać, wasza wysokość. Będą cię szukać.

- W rzeczy samej. Ale naprawdę nie przypuszczam, żeby spodziewali się znaleźć mnie w nędznej chacie. - Ammon wstał z krzesła i podszedł do garncarza, kładąc szczupłe dłonie na jego barkach. - Jesteś wielkim szczęściarzem, Sadau. Wrzuciłeś głowę mojego brata do Luanu i nie przypłaciłeś tego życiem. A teraz masz okazję zasłużyć na wdzięczność króla. Gdy już uda mi się uciec i zbiorę swą armię, przepędzę stąd najeźdźców i odzyskam królestwo. Wtedy nie minie cię hojna nagroda.

- Nie chcę nagrody. Chcę żyć!

- To szlachetny cel, garncarzu. Ale wszystko po kolei. W tej chwili najważniejsza jest żywność. Przynieś nam coś do jedzenia.

Sadau podreptał do małej kuchni. Wrócił ze świeżo upieczonym bochnem chleba oraz talerzem rodzyneków.

- Nie mam mleka dla dziecka - oznajmił.

- To pożycz trochę od sąsiadów. Ale śpiesz się, bo po mieście krążą bestie.

Oszołomiony Sadau otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Słońce już zachodziło. Wokół panowała cisza i miał ochotę uciec, ukryć się w jakimś mrocznym miejscu, położyć się, zamknąć oczy i modlić się o to, by po przebudzeniu okazało się, że wszystko to było jedynie zrodzonym z gorączki majakiem. Nagle usłyszał w oddali krzyki oraz przerażające wycie. Popędził do domu swego kuzyna Orisa. W chatce panowała ciemność. Okiennice były zamknięte. Garncarz zapukał do drzwi.

- To ja, Sadau - zawołał.

Wewnątrz nie zapalono lamp. Orisa nie było w domu, a jego żona, Rula, siedziała po ciemku. Dwoje małych dzieci przycupnęło obok niej, a niemowlę trzymała na kolanach.

- Czy wszyscy zginiemy? - zapytała załamującym się głosem. Szara, zastraszona kobiecina o przygarbionych plecach była nieustannie zmęczona. Nic w tym dziwnego, przecież musiała żyć z Orisem. Flisak był hałaśliwym mężczyzną który traktował przyjaciół jak rodzinę, a rodzinę jak służbę. Rulę znużyła jego ciągła niewierność i nieustanne kłamstwa.

- Nie, nie zginiemy - zapewnił Sadau. - Gdzie Oris?

- Nie wrócił do domu. Wyszedł rano do pracy. Co teraz pocznę, Sadau? Co się stanie z moimi dziećmi, jeśli on nie żyje?

Wzruszyły go jej obawy. Zapomniał o własnym strachu i o tym, że jej nie lubi.

- Chodź do mnie - zaproponował. - Razem zaczekamy na Orisa. Jestem pewien, że nie zginął.

Pewnie ukrywa się u jakiejś kurwy, pomyślał. Ruszył z powrotem do siebie, niosąc jedno dziecko i prowadząc drugie za rączkę. Rula sprawiała teraz wrażenie odrobinę mniej przerażonej, ale dzieci zachowywały się bardzo cicho.

Gdy weszli do chaty, Rula zeszywniała.

- Są tu twoi przyjaciele - powiedziała. - Może powinnam poczekać u siebie.

- Nie bój się - uspokoił ją Sadau. - To moi klienci.

Zamknął drzwi i postawił na klepisku dziewczynkę, którą niósł. Usiadła i zaczęła płakać. Ammon podszedł bliżej i ukląkł obok niej.

- Nie płacz, malutka - powiedział. - To tylko taka zabawa. Powiedz, jak masz na imię?

- Saris - odparła. - Mój tata to właściciel rzeki.

- Cóż za zbieg okoliczności - zdziwił się Ammon. - Mój tata też był właścicielem rzeki.

W małej izdebce zrobiło się teraz ciasno. Przyniesiony przez Anwara chłopiec znowu zaczął płakać.

- Jest głodny - stwierdził Ammon, zerkając na Rulę. - Dasz radę go nakarmić?

Skinęła głową, podała własne, śpiące dziecko Sadau, podeszła do chłopca, posadziła go na kolanach i rozpięła suknię, odsłaniając wielką pierś. Chłopak natychmiast zaczął chciwie ssać.

Godzina minęła w ciszy. Potem ktoś zapukał do drzwi. Sadau omal nie zemdleł z wrażenia.

- Kto tam? - zawołał.

- Oris. Czy Rula jest z tobą?

Garncarz otworzył drzwi i do środka wszedł młody, mocno zbudowany mężczyzna. Rula podbiegła do męża i uściskała go.

- Tak się bałam - powiedziała.

- Ja też - wyznał. - W mieście jest strasznie. Wszędzie pełno trupów.

Teraz już się uspokoiło. Mówią, że król nie żyje, a wszyscy szlachetnie urodzeni uciekli albo zginęli. Kiedy zaczął się atak, myślałem, że to Awatarowie. Ale to jacyś inni ludzie. Mają czerwone skóry. Pałac leży w gruzach.

Ammon podszedł do mężczyzny.

- Mówisz, że zabili króla?

Oris popatrzył nań podejrzliwie.

- To moi klienci - wyjaśnił nieprzekonująco Sadau.

- Tak. Wywlekli jego ciało na główny plac i tam powiesili.

- A po czym poznali, że to król? - zainteresował się Anwar.

- Skąd mam wiedzieć? Był ubrany w długą niebieską szatę. Pewnie znaleźli go w pałacu.

- To bardzo smutne - stwierdził Ammon. - Zawsze go lubiłem.

- Lepiej wracajmy do domu - powiedział do żony Oris.

- Tylko bogowie wiedzą, co przyniesie jutro.

Kiedy wychodzili, Ammon zapytał Rulę, czy nie zaopiekowałaby się opuszczonym chłopcem. Zgodziła się i wręczyła jej złotą monetę, którą natychmiast oddała Orisowi. Wysoki flisak przyjrzał się uważnie królowi.

- Czy ja już cię gdzieś nie widziałem? - zapytał.

- To bardzo możliwe. Często pływam Luanem.

- Być może. Niech bogowie mają was w opiece. Niech mają w opiece nas wszystkich.

Sadau zamknął za nimi drzwi. Potem spojrzał na króla.

- Myślę, że nie żyjesz - stwierdził z radością w głosie.

- To nie potrwa długo. Ktoś obejrzy ciało i zorientuje się, że to nie ja.

Ale wygląda na to, że na razie nic nam nie grozi. Jutro pomożesz mi znaleźć drogę ucieczki z miasta.

- Błagam, panie - sprzeciwił się Sadau - nie jestem odważnym

człowiekiem! Zrozumiałem to wtedy, gdy patrzyłem, jak ten Awatar, Viruk, zabijał wszystkich moich towarzyszy.

- Nie doceniasz siebie, garncarzu - odparł Ammon. - Mylnie bierzesz naturalny strach za godne pogardy tchórzostwo. Nie jesteś tchórzem. Na twoim miejscu również wrzuciłbym głowę do Luanu. To jeden z powodów, dla których darowałem ci życie. Spójrz na mnie. Popatrz mi prosto w oczy.

- Sadau wykonał polecenie. - Czy wyglądam na głupca?

- Nie, panie.

- W takim razie zaufaj moim słowom. Masz więcej odwagi, niż ci się zdaje. A jutro opuścimy miasto i uciekniemy w bezpieczne miejsce. Zgadza się?

- Tak, panie - potwierdził Sadau ponurym tonem.

Rael był w złym, gorzkim nastroju. Na spotkaniu Rady wszyscy czuli się niesłuchanie skrępowani. Vagarzy nie mówili wiele, pozwalając, żeby Mejana przemawiała w ich imieniu. Może i lepiej, że milczeli, pomyślał. Wszyscy są zdrajcami. Najbardziej rozgoryczony był tym, że znał większość z tych Vagarów. To byli ludzie, którym znakomicie powodziło się pod rządami Awatarów, kupcy i artyści. Wielu z nich bywało u Raela na oficjalnych przyjęciach. A teraz dowiedział się, że przez cały ten czas planowali zabójstwa takich ludzi, jak Baliel i Ro. Być może planowali zabić również jego. Pragnął odwetu, miał ochotę wysłać żołnierzy do ich domów i wywlec ich z łóżek.

Nakazał jednak sobie zapomnieć o tych słodkich myślach i skierował uwagę na Talabana, który siedział bez słowa na sofie, wpatrując się w pełen wina puchar.

- Czemu siedzisz tak cicho? - zainteresował się Rael. - Czy ciebie też zaczarowała?

- Tak sędzę - przyznał Talaban, uśmiechając się z żalem. - Zrobiłem z siebie durnia. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Miałem wrażenie, że mój język zrobił się nagle dwa razy większy. Gadałem same głupoty.

- Nie daj się oszukać, Talabanie. Ona jest najgorszym wrogiem, jakiego moglibyśmy sobie wyobrazić.

- Trudno mi w to uwierzyć, kwestorze.

- Zaufaj mi. Nie wiesz, kim ona jest. I czym się stanie.

- Wiem, że nam pomaga i jest gotowa umożliwić nam przejście do kontrofensywy.

- Teraz tak - przyznał Rael. - Ale z każdym dniem jej moc i wiedza będą rosły. Ona się zmieni, Talabanie.

- Skąd masz tę pewność?

- Jest zjednoczona z kryształem.

Talaban poderwał się nagle, jak uderzony.

- Nie! To niemożliwe!

- Możliwe - odpowiedział Rael, błędnie rozumiejąc przyczyny jego niepokoju. - Viruk znalazł ją w wiosce. Przespał się z nią i zorientował się, że ma raka płuc. Jak zwykle złamał zasady i uzdrowił ją za pomocą swego kryształu. Nie byłoby w tym żadnego problemu, gdyby nie fakt, że okazała się jedną na kilkadziesiąt milionów. Kryształ ją zmienił, stał się jej częścią. Ten proces nadal trwa. Dzisiaj potrafi czytać w myślach i goić rany, a jej dusza dociera do najdalszych zakątków Ziemi. Ale jutro, za miesiąc czy za rok będzie taka sama jak Kryształowa Królowa. Jej moce staną się ogromne. Czy wierzysz, że taka istota dobrowolnie zgodzi się umrzeć?

- Obróci się w kryształ - wyszeptał Talaban - jak Chryssa.

- Nie jak Chryssa - warknął Rael. - Jak Kryształowa Bogini albo trzeci Pierwszy Awatar. Ile tysięcy ludzi zginęło w wojnach kryształowych? Ilu oddało krew, by utrzymać go przy życiu? Według ówczesnych zapisków, było ich więcej niż sto tysięcy.

- Jak długo jeszcze zachowa ludzką postać? - zapytał Talaban.

- Nie wiem. Dwa lata. Pięć. Co to ma za znaczenie? Pytanie brzmi: Co możemy zrobić, żeby odzyskać inicjatywę?

Na myśl o śmierci Sofarity Talaban poczuł nagły ucisk w żołądku. Był wstrząśnięty. Stłumił jednak strach i spojrzał na Raela. Kwestor generalny był zmęczony. Miał wokół oczu ciemne obwódki.

- Od jak dawna nie spałeś, kwestorze? - zapytał.

- Od trzech dni. Ale niedługo się prześpię. Powiedz mi, co o tym wszystkim myślisz?

- Uważam, że nie ma sensu planować żadnych akcji przeciwko Sofaricie albo Vagarom. Naszymi wrogami są obecnie Almekowie. Musimy ich pokonać. Szczerze mówiąc, mamy na to niewielkie szanse, ale jeśli się nie zjednoczymy, te szanse spadną do zera. Spotkanie Rady nie rokowało dobrze. Vagarzy byli niespokojni i pełni napięcia. Właściwie nawet nie próbowano wciągnąć ich do dyskusji. Ale podoba mi się ta Mejana. Jej słowa były rozsądne i przemyślane. Nie jest głupia.

- To ona rozkazała zamordować Baliela.

Talaban wstał z krzesła.

- Czy mogę mówić szczerze, kuzynie?

- Oczywiście.

- Zapomnij o nienawiści. Ona nie pozwala ci myśleć jasno. W tej chwili mamy jednego wroga. Mejana jest aktualnie naszą sojuszniczką. Musimy zdobyć jej przychylność, jakby była plemiennym wodzem. Musisz skupić całą uwagę na Almekach, wykorzystać swe wielkie strategiczne talenty. Kiedy już uporamy się z najeźdźcami, będziesz mógł się martwić o innych wrogów.

Rael westchnął.

- Wiem, że twoje słowa są prawdą, ale to bardzo trudne, Talabanie. - Nalał sobie wina i pociągnął długi łyk. - Powiedziałeś, że chcesz dowodzić armią lądową. Dlaczego?

- Brakuje ci dowódców, kuzynie. Viruk to świetny wojownik, ale nie jest strategiem. Potrzebny ci ktoś, kto potrafi wcielić w życie twe plany. Nie chcę się przechwalać, ale nie masz nikogo lepszego ode mnie.

- Nie możemy sobie pozwolić na utratę Węża, Talabanie.

- Nie stracimy go. Mam na oku innego kapitana. Jest inteligentny, odważny i opanował niezbędne umiejętności.

- Nie znam nikogo takiego.

- To mój sierżant, Methras.

Rael cisnął pustym pucharem w drugi koniec pokoju.

- To Vagar! Chcesz oddać naszą najpotężniejszą broń w ręce Vagara? Straciłeś rozum?

- W jego żyłach płynie awatarska krew, Raelu - odparł cicho Talaban. -

Nie ma co do tego wątpliwości. I jest lojalny.

- Lojalny? Wczoraj to samo powiedziałbym o Vagarach, którzy byli dziś na spotkaniu. A teraz dowiedziałem się, że szkoliłeś Vagarów za moimi plecami, łamiąc prawo. Moje prawo.

Tak, złamałem je - przyznał Talaban. - I przykro mi, że sprawiło ci to ból. Jak wiesz, w przeszłości próbowałem uczyć Awatarów tajników sterowania Wężem. Żaden z nich nie wykazał się niezbędnymi zdolnościami. Kiedy się dowiedziałem, że będziemy walczyć z okrętami wojennymi, musiałem znaleźć kogoś, kto mógłby zająć moje miejsce, gdybym został ranny. Potrzebowałem też kogoś, kto potrafiłby sobie poradzić ze słonecznym ogniem. Kiedy wpłynęliśmy do portu Pagaru, to Methras zatopił okręty nieprzyjaciela. Rael z wysiłkiem zapanował nad sobą.

- No cóż, co się stało, to się nie odstanie.

- Zastanów się przez chwilę, kwestorze - nie ustępował Talaban. - Będziesz chciał, przynajmniej na krótko, pozyskać vagarskich członków Rady, przekonać ich, że naprawdę mają głos w sprawach państwowych. Cóż mogłoby okazać się skuteczniejsze, niż mianowanie Vagara kapitanem Węża, który jest... jak to ująłeś? Naszą najpotężniejszą bronią. Obaj wiemy, że naprawdę użyteczny jest tylko przeciwko innym okrętom. Co prawda ze słonecznego ognia można ostrzeliwać cele naziemne, ale zostały w nim tylko trzy ładunki. Ponadto na pokładzie będą Awatarowie uzbrojeni w łuki zhi. Trudno sobie wyobrazić, żeby Methras zdołał pokonać ich wszystkich.

Rael opadł na krzesło.

- W twoich słowach jest prawda - przyznał. - To pomogłoby nam pozyskać Vagarów. Ale bądźmy ze sobą szczerzy, przyjacielu. Potrzebujemy cudu. Modlę się o to, by Virukowi udało się dotrzeć do Ammona. To byłby początek.

Rozdział dwudziesty drugi

Choć Virkokka był śmiertelnie groźny i nikt go nie kochał, to on ocalił życie świata. Jego największymi wrogami były lodowe olbrzymy. Co roku atakowały one żyzne ziemie, pokrywając je lodem i śniegiem. Śmiertelnicy drżeli z zimna, a plony marniały. Wszyscy błagali wtedy Virkokkę o ratunek. I co roku przybywał, tak jak nadał przybywa, z mieczem z ognia i lancą ze słonecznego płomienia, by przepędzić lodowe olbrzymy. A z jego rąk sypały się świeże nasiona wszystkich drzew i kwiatów. Tam, gdzie przechodził, wyrastała kukurydza, a tam, gdzie złożył głowę, zieleniła się trawa. A choć żaden śmiertelnik nigdy go nie kochał, drzewa szeptały jego imię, trawa powtarzała je swym szelestem, a kwiaty pachniały wyłącznie dla niego.

Z Wieczornej pieśni Anajo

Viruk nie był w najlepszym nastroju, gdy prowadził swych dziesięciu Awatarów na ostatnie wzniesienie przed ziemiami Erej-jhip-zhonad. Nadał był przekonany, że Rael popełnił błąd, odsyłając go tak daleko od miejsca, gdzie trwały walki, i nie miał ochoty marnować czasu w towarzystwie cudzoziemskich podludzi. Wystarczająco nieprzyjemny był fakt, że w domu ze wszystkich stron otaczali go Vagarzy.

Rael rozkazał mu wybrać dziesięciu najlepszych żołnierzy, ale Viruk wziął pierwszych, jacy napatoczyli się w koszarach. Znał wszystkich po imieniu, ale z żadnym z nich nie był blisko. Niewielu było ludzi, o których można by to powiedzieć, a przyjaciół nie miał w ogóle.

Jechał teraz przed grupą, pogrążony w myślach. Swój łuk zhi oparł o siodło. Nagłe koń Viruka się potknął. Jeździec omal nie spadł z jego grzbietu przez szyję. Łuk zhi spadł na ziemię. Poirytowany Awatar szarpnął za wodze i zsunął się z siodła.

W tej samej chwili ze wszystkich stron dobiegły ich głośne huki. Fala gwałtownego dźwięku ogłuszyła Viruka. Pięciu jeźdźców spadło z siodeł, cztery wierzchowce runęły na ziemię, kwicząc z bólu. Viruk podniósł z ziemi

łuk zhi. Pojawiły się świetliste struny. Awatar zauważył na wzgórzu około dwudziestu miedzianoskórych wojowników, uzbrojonych w zdobne czarne pałki. Jeden z nich wymierzył pałkę w Viruka. Z broni buchnęły dym i ogień. Awatar poczuł, że obok jego twarzy przemknął podmuch. Uniósł łuk zhi. Pierś wojownika eksplodowała. Impuls uniósł jego ciało w górę, uderzając nim w szereg Almeków.

Trzej inni Awatarowie również zaczęli ostrzeliwać nieprzyjaciela impulsami energii. Almekowie odrzucili pałki, wydobyli ząbkowane miecze i ruszyli do szarży. Viruk zabił pięciu, nim zdążyli pokonać połowę odległości. Atak się załamał. Na wzgórzu pojawili się następni almeccy żołnierze. Znowu zahuczały ogniste pałki. Dwóch spośród pozostałych przy życiu Awatarów runęło na ziemię. Viruk przeniósł ogień na tę nową grupę. Trzech Almeków padło, zanim pozostali zniknęli mu z oczu. Pierwszy oddział napastników zdążył już niemal dotrzeć do ocalałych Awatarów.

Viruk zastrzelił dwóch z bliska, a potem zabił trzeciego, który uniósł miecz i rzucił się na przeciwnika z głośnym okrzykiem wojennym. Głowa Almeki zniknęła. Ostatni awatarski żołnierz zabił dwóch nieprzyjaciół, ale trzeci pchnął go w brzuch, a czwarty przeszył mieczem gardło. Viruk odrzucił łuk zhi, wydobył miecz oraz sztylet i skoczył na trzech Almeków. Pierwszy zginął z rozprutym gardłem, a drugi zatoczył się do tyłu i runął na ziemię. Z serca sterczał mu sztylet. Trzeci odwrócił się i popędził w stronę wzgórza. Viruk schował miecz, klęknął przy zabitym Awatarze i uniósł jego łuk zhi. Potrzebował kilku sekund, by dostroić umysł do broni należącej do kogoś innego. Potem strzelił uciekającemu w plecy. Ciemna zbroja Almeki eksplodowała płomieniem. Mężczyzna padł na twarz i znieruchomiał.

Na stoku znowu zabrzmiały ogniste pałki. Dwa ocalałe konie runęły na ziemię. Viruk pobiegł po swój łuk zhi, podniósł go i złapał wierzchowca za wodze. Zwierzę krwawiło z rany w boku. Awatar skoczył na siodło i skłonił je kopniakiem do biegu.

Za jego plecami rozległy się strzały, ale żaden z nich nie był celny. Koń pokonał cwałem prawie pół mili, a potem padł. Viruk zeskoczył z niego. Przed nim było skupisko drzew. Popędził w ich stronę, trzymając dwa łuki zhi.

Obejrzał się za siebie i zobaczył, że na otwartą przestrzeń wyszło z górą trzydziestu almeckich żołnierzy. Ustawili się w szereg bojowy i posuwali ostrożnie naprzód.

Viruk nie przestawał biec. Lasek nie był gęsty i nie widział w nim nadającego się do obrony stanowiska. Spróbował sobie wyobrazić swoje położenie w stosunku do Luanu oraz licznych przygranicznych osad. Doszedł do wniosku, że od najbliższej węgarskiej wioski dzieli go co najmniej dziesięć mil, a od stolicy Ammona prawie dwukrotnie większa odległość. Teren wznosił się w górę, ale Viruk nadal parł naprzód. Zauważył żołnierzy, którzy weszli między drzewa jakieś czterysta jardów za jego plecami. Dotarł na szczyt wzniesienia i zatrzymał się nagle. Teren przed nim opadał gwałtownie w dół. Stał na szczycie urwiska. Dwieście stóp niżej toczył swe wody Luan.

- Och, jak miło - mruknął z niesmakiem. Z tyłu rozległa się seria strzałów. Schylił się instynktownie, nasłuchując świstów. Nic nie usłyszał, ale jakieś dwadzieścia stóp za nim w górę trysnęła fontanna ziemi. Viruk uśmiechnął się. Uniósł łuk zhi, który zabrał zabitemu żołnierzowi, i wystrzelił między drzewa trzy kolejne impulsy. Pierwszy z nich trafił w gałąź, która eksplodowała kaskadą iskier. Drugi uderzył w bark jednego z żołnierzy, urywając mu kończynę i przebijając płuco. Trzeci przeszył z głośnym hukiem pień drzewa. Z kory trysnął ogień, a z dziury buchnął czarny dym.

Almekowie ukryli się za drzewami, od czasu do czasu przebiegając do innej kryjówki, znajdującej się bliżej ściganego.

Viruk nie był skłonny do gwałtownych wybuchów gniewu, pomyślał jednak, że sytuacja jest wyjątkowa. Zginęło dziesięciu Awatarów, nie miał konia i musiał się mierzyć z blisko trzydziestoma wojownikami. A za plecami miał przepaść i kamieniste koryto rzeki. Obok niego przemknęły dwa pociski. Zaklął cicho, wstał i pobiegł wzdłuż brzegu urwiska, szukając zejścia. Kolejny pocisk otarł się o jego bark, zdzierając skórę. Viruk wypuścił z dłoni zabrany żołnierzowi łuk zhi. Zatoczył się kilka stóp naprzód. Almekowie wypadli z ukrycia, unosząc ogniste pałki.

Awatar skoczył z urwiska.

Almekowie podbiegli do krawędzi i spojrzeli w dół. Nigdzie nie było

widać śladu człowieka, którego ścigali. Pokręcili się jeszcze przez parę chwil po brzegu, zabrali łuk zhi i wrócili do lasu.

Ukryty dziesięć stóp niżej, przyciśnięty do ściany urwiska pod małym nawisem, Viruk słyszał, jak się oddalają.

- To nie był dobry dzień - powiedział do siebie. - Nawet w najmniejszym stopniu.

Ramię bolało go straszliwie. Opuścił nogi w dół, siadając na krawędzi, wyjął z mieszka zielony kryształ i przycisnął go do rany. Zaczęła się goić niemal natychmiast, ale kość pod spodem była paskudnie obolała. Strzał urwał kołnierz jego czarnej skórzanej kurtki. Viruk dotknął tego miejsca i poczuł pod palcami jakiś mały, okrągły przedmiot. Wyciągnął go i zobaczył, że to okrwawiona ołowiana kulka.

- Ohydna broń - mruknął. - Nie ma w niej nic pięknego. Siedział tak jeszcze przez pewien czas, wymachując długimi nogami. Widział stąd wyraźnie czerwono-złote urwiska po przeciwnej stronie, malujące się na tle błękitnego nieba. Omiótł wzrokiem okolicę. Była dzika i bardzo piękna. Rosło tu niewiele kwiatów, ale jasna zieleń drzew oraz rozmaite odcienie złota widoczne na skałach urwisk były wyjątkowo przyjemne dla oka.

Odwrócił się twarzą do urwiska i przesunął wzdłuż niego, szukając punktów zaczepienia, które pozwoliłyby mu dostać się na górę. Nie mógł tego dokonać, niosąc łuk zhi, ale nie chciał go zostawiać. Od szczytu dzieliło go jakieś dwanaście stóp. Wychylił się zza nawisu i rzucił w górę broń, która przeleciała przez brzeg urwiska. Potem zaczął się wspinać, powoli i ostrożnie. W barku pulsował mu ból, ale nie czuł utraty sił. Wdrapał się na szczyt, podniósł łuk i skrył się między drzewami.

Wiedział, że misja jest skończona i kontynuowanie jej byłoby głupotą. Ammon zginął albo się ukrywał. Tak czy inaczej, nie miał zbyt wielkich szans go odnaleźć.

Niemniej jednak wydano mu wyraźne rozkazy. Miał znaleźć Ammona i go ochraniać.

Dziesięciu Awatarów zginęło, a on został ranny. Armia nieprzyjaciela

już tu dotarła i jego żołnierze patrolowali brzegi rzeki. Jak samotny Niebieskowłosy mógł umknąć ich uwagi i odnaleźć człowieka, którego nigdy w życiu nie widział? Viruk zastanowił się nad tym problemem. Pociągało go takie wyzwanie.

Co więcej, było pewne, że będzie miał okazję zabić więcej żołnierzy nieprzyjaciela.

Z tą myślą ruszył w drogę. Zrobiło mu się lżej na sercu.

Sofarita, kwestor Ro i Probierz siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku w jednej z prowadzących do ogrodu łukowatych bram. Oczy mieli zamknięte. Najstarszy ze sług kwestora Ro, Sempes, wszedł do pokoju i wytrzeszczył oczy na ich widok. Twarze trojga ludzi były spokojne i zrelaksowane.

Zdziwiony staruszek zabrał puste kielichy i talerze, a potem wyszedł cicho z pokoju.

Ro znalazł się w miejscu, które przypominało niebo. Otaczał go złocisty blask. Słyszał i czuł rozbrzmiewającą wokół muzykę. Była dziwnie dysharmonijna, lecz mimo to urokliwa. Nie utrudniała mu też łączności z Sofaritą i Probierzem. W gruncie rzeczy nawet ją ułatwiała, jakby była kanałem, za pośrednictwem którego się komunikowali. Wydawało mu się, że potrzebował tylko paru chwil, by nauczyć się od Probierza języka Anajo, gdy ich umysły złączyła w całość moc Sofarity. Ro zawsze łatwo uczył się języków, ale ta metoda była nieopisanym cudem. W jego umyśle formowały się obrazy i słowa, które łączyły się ze sobą z absolutną jasnością. To była barwna mowa, pełna bezpośredniej ekspresji. W jednej chwili poznał wszystkie mity Anajo, plemienną historię i opowieści o bohaterach. Co ważniejsze, zrozumiał też ich wielką miłość do krainy, w której mieszkali.

Sofaritą przywołała ich z powrotem. Gdy Ro otworzył oczy, ogarnęło go dojmujące poczucie straty.

- Witaj w moim domu - powiedział bezbłędnie w języku Anajo, gdy Probierz się ocknął. Dzikus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Masz znakomitą wymowę - pochwalił go. - Cieszę się, że znowu mogę

usłyszeć język mojego ludu.

Ro przeciągnął się i wstał. Sofarita siedziała jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczyma. Potem westchnęła i uśmiechnęła się do obu mężczyzn.

Do pokoju znowu wszedł stary Sempes. Sługa pokłonił się Awatarowi.

- *E caida manake, Pasar?* - powiedział. Jego słowa nic nie znaczyły dla Ro. Kwestor zastanawiał się przez chwilę, czy staruszek sobie z niego żartuje. Potem uświadomił sobie z nagłym szokiem, że jego umysł został uwięziony w strukturze mowy Anajo. Sempes mówił we wspólnym języku, a Roją zapomniał!

- Co on mówi? - zapytał Probierza. Dzikus zrobił zdziwioną minę.

- Chce się dowiedzieć, czy jesteśmy głodni.

Sofarita wyciągnęła rękę i dotknęła szczupłą dłoń ramienia Ro. Kwestor poczuł, że jego ciało wypełnia ciepło, a umysł ogarnia spokój.

- Jesteś chory, panie? - usłyszał pytanie Sempesa.

- Nie, nic mi nie jest. Sporo się dziś napracowałeś, Sempesie. Masz wolne do końca dnia. Idź na spacer albo zrób, co zechcesz. Sam zajmę się gośćmi.

- Tak, panie. Dziękuję, panie.

- To bardzo interesujące - powiedziała Sofarita, gdy staruszek wyszedł.

- Szybkość, z jaką nauczyłeś się języka Anajo, uniemożliwiła ci w jakiś sposób powrót do mowy ojczystej. To było tak, jakby nowy język całkowicie wyparł stary.

Ro skinął głową. Już w tej chwili czuł, że jego znajomość języka Anajo słabnie.

- Opanowanie niektórych umiejętności wymaga czasu, nawet za pomocą magii - stwierdził. - To pocieszająca myśl. Kiedy masz się spotkać z Raelem i Mejaną?

- Niedługo - odparła Sofarita. - Obiecałam, że przyjdę do Sali Obrad.

- Zaprzęgnę konie - oznajmił Ro. Zatrzymał się nagle. - Właściwie to nie wiem, jak to się robi. Ale to nie może być zbyt trudne. Nie dla człowieka, który potrafi w kilka uderzeń serca nauczyć się obcego języka. Pomożesz mi,

Probierzu?

Obaj mężczyźni wyszli z pokoju. Sofarita położyła się na sofie. Rael będzie potrzebował informacji o Almekach. Znowu zamknęła oczy i opuściła ciało, unosząc się nad dach.

Najpierw poleciała na południe, do trzech miast: Borii, Pejkanu i Cavalu. Ten ostatni zamienił się w dymiące ruiny. Sofarita ledwie mogła uwierzyć własnym oczom. Domy systematycznie zburzono. Wszędzie było pełno ciał zabitych. Podleciała bliżej. Liczba ofiar sięgała tysięcy. W porcie na dwa złote okręty ładowano dziesiątki skrzyń. Na otwartych pokładach mocowano linami następne. Sofarita dotknęła twarzą ciemnego drewna i wniknęła do środka. W skrzyniach znajdowały się tysiące lepkich od krwi kryształów. Wzdrygnęła się trwożnie i uniosła wysoko nad port.

Mieszkańców Cavalu wymordowano, by nakarmić Kryształową Królową. Skrzynie zostaną przetransportowane na drugi brzeg oceanu, a kryształy wsypane w jeden z licznych otworów w złotej piramidzie. Almeia będzie miała ucztę.

Sofarita pomknęła szybko do Pejkanu. Tu zniszczenia były mniejsze, ale kilkuset mieszkańców zapędzono na łąkę pod miastem, gdzie pilnowały ich olbrzymie krale. Vagarzy siedzieli zbici w grupę, milczący i przerażeni.

Ruszyła do Borii. Kotwiczyło tam piętnaście złotych okrętów, a do portu zbliżały się dwa następne. Ulice były prawie zupełnie opustoszałe, ale Sofarita zauważyła almeckich żołnierzy maszerujących szeroką aleją w kierunku obozu, który założyli w Wielkim Parku. Obóz był dobrze zorganizowany, wielkie namioty ustawiono w równych szeregach. Według jej oceny, mieszkało w nim ponad trzy tysiące ludzi.

Potem pomknęła na wschód, do stolicy Ammona. Na ulicach leżały setki ciał. Widziała żołnierzy, którzy chodzili po dzielnicy biedoty, wyłapując ludzi i pędząc ich ku prowizorycznemu obozowisku nad wąskim strumieniem. Na brzegu stało pięćdziesiąt otwartych skrzyń, wypełnionych błyszczącymi kryształami.

Przed skrzyniami przystanął rosły oficer, którego widziała już przedtem. Jego twarz błyszczała niczym szkło. Miał napierśnik ze złota

i wysoki, również złoty hełm z piórami zatkniętymi za zasłonę. Obok niego stał garbus, odziany w zieloną tunikę trzymający w dłoni pręt ze złotym kółkiem na końcu.

Błotniaków wyprowadzono na otwartą przestrzeń i ustawiono w nierównym szeregu. Pojawiła się kolumna almeckich żołnierzy, którzy ustawili się przed jeńcami. Oficer wydał rozkaz. Czarne ogniste pałki uniosły się - i zagrzmiały! Jeńcy padli na ziemię. Niektórzy z nich jeszcze żyli i próbowali się podnieść. Żołnierze podbiegli do nich, żeby ich dobić. Kiedy już wszyscy byli martwi, Almekowie otworzyli ich klatki piersiowe, wyrwali serca, a potem wypełnili puste jamy kryształami.

Sofarita widziała już wystarczająco wiele. Uniosła się wysoko nad miasto, by policzyć żołnierzy nieprzyjaciela. Tu również było ich co najmniej trzy tysiące, a do tego z górą setka króli.

Rael mówił jej, że gdzieś w pobliżu jest Viruk, który szuka króla. Skupiła na nim swe myśli, wyobraziła sobie jego przystojną okrutną twarz. Potem odprężyła się i pomknęła naprzód, zamykając duchowe oczy. Jej umysł wypełniał obraz awatarskiego zabójcy.

Po chwili zwolniła i otworzyła oczy. W odległości około dziesięciu mil od miasta samotny mężczyzna siedział nad rzeką wcierając sobie we włosy czerwoną glinę. Gwizdał przy tym jakąś melodię. W niewielkiej odległości między drzewami coś się poruszyło. Ku mężczyźnie skradały się dwie wielkie, porośnięte białym futrem bestie, noszące na piersi czarne pasy. Awatar ich nie widział.

- Viruku! - zawołała. Nie usłyszał jej.

Musiał istnieć jakiś sposób, żeby się z nim skomunikować, ale Sofarita go nie знаła. Zbliżyła się i wsunęła duchową dłoń w głęb jego ciała. Nie wzdrygnął się, a ona nie poczuła kontaktu. Kręgle były już blisko. Widziała żądzę krwi odbijającą się w ich dziwnych okrągłych ślepiach. Po ich kłach ściekała ślina.

Nagle bestie rzuciły się do szarży.

Viruk złapał łuk zhi i odwrócił się błyskawicznie. W pierś pierwszego napastnika trafił impuls światła. Nastąpił oślepiający rozbłysk. W powietrze

ekspłodowała krew i odpryski kości. Drugi kral był tuż obok. Viruk czekał na niego spokojnie. Gdy bestia skoczyła, pochylił się nagle i rzucił w prawo. Lądując, przetoczył się na nogi. Kral nie zdołał się zatrzymać jeszcze przez kilka kroków. Potem zwrócił się ku Awatarowi. Viruk roześmiał się i strzelił mu z łuku zhi prosto w twarz. Głowa zniknęła.

- Kiepsko, kiepsko - skarcił wroga i przesunął spojrzeniem wzdłuż linii drzew w poszukiwaniu następnych. Upewniwszy się, że jest sam, wrócił na brzeg i znów zaczął wcierać we włosy czerwoną glinę. Potem odgarnął lepkie kudły do tyłu i związał je w kucyk. Pochylił się nad strumieniem, by przejrzeć się w wodzie.

- Czy wyglądasz, jak trzeba, mój drogi? - zapytał sam siebie. - Obawiam się, że odpowiedź musi brzmieć „nie”. Nie da się upodobnić jedwabiu do workowej tkaniny. Ale to będzie musiało wystarczyć.

Musi istnieć jakiś sposób, żeby się z nim porozumieć, pomyślała Sofarita.

Była zjednoczona z kryształem i potężna. Wydawało się niewyobrażalne, by nie potrafiła dotrzeć do tego człowieka. Zjednoczona z kryształem! Tak jest, pomyślała. Viruk miał u pasa mieszek. Sofarita sięgnęła do środka. Były tam dwa zielone kryształy. Skupiła się na nich. Zaczęły wibrować. Viruk poczuł ten ruch i wyjął kryształy, wyraźnie zdziwiony. Duchowa dłoń Sofarity spoczywała na pierwszym z nich.

- Słyszysz mnie, Viruku? - zapytała. Odwrócił się. - Odpowiedz mi - zażądała.

- Nie widzę cię. Czy jesteś głosem Źródła?

- Tak - potwierdziła, sądząc, że zareaguje na to lepiej, niż gdyby przedstawiła się jako wieśniaczka, z którą spał.

- Zwykle słyszę głos mężczyzny - stwierdził. - Kogo mam zabić?

- Musisz znaleźć Ammona. Rael go potrzebuje.

- O tym już wiem - odparł. - Właśnie idę do miasta. Oczywiście zadanie utrudnia mi fakt, że nie wiem, jak on wygląda, a jeśli udało mu się uciec, zapewne jest przebrany. Czy jesteś aniołem śmierci?

- Nie. Kazano mi cię strzec.

- Och, to miło. A właściwie przed czym? Nie zauważyłem, żebyś mnie ostrzegła przed kralami.

- Wtedy nie potrzebowałeś pomocy. Zaczekaj tu. Niedługo wrócę.

Porzuciła Viruka i pomknęła z powrotem do Egaru. Ro i Probierz czekali na nią spokojnie w pokoju ogrodowym. Otworzyła oczy.

- Widziałeś kiedyś Ammona? - zapytała Ro.

- Tak, to wysoki mężczyzna o kobiecej urodzie. Ma piękną twarz.

Sofarita wstała z sofy, podeszła do kwestora i ujęła go za rękę.

- Pokaż mi go! Pomyśl o nim!

Ro spełnił jej prośbę. Sofarita wróciła na sofę i uwolniła ducha.

Pomknęła na wschód, posługując się tą samą metodą, dzięki której znalazła Viruka. Po pewnym czasie dotarła do urwisk. W jaskini we wschodnim zbroczu znalazła trzech mężczyzn: jeden był stary, drugi przerażony, a trzeci stał na straży u wylotu kryjówki. Był wysoki i zgodnie ze słowami Ro, miał bardzo piękną twarz. Jego oczy miały ciemnofioletową barwę. Uniosła się i wróciła do czekającego na brzegu rzeki Viruka. Awatar puszczał kaczki, patrząc, jak kamyczki odbijają się od wody.

- Ammon przebywa około dwunastu mil na południowy wschód stąd.

Towarzyszy mu brodaty staruszek i jeszcze jeden mężczyzna. Zamknij oczy.

Viruk wykonał polecenie i Sofarita wypełniła jego umysł obrazem trzech uciekinierów. Awatar krzyknął głośno, klaszcząc w dłonie.

- To ten mały garncarz - oznajmił. - No, no! No wiesz, mało co go nie zabiłem. Oczywiście, że wiesz. Byłaś przy tym. Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym kogoś zabił?

- Nie chcę - odparła.

- To bardzo dziwne. Z reguły, kiedy Źródło do mnie przemawia, pragnie czyjejś śmierci.

- Nie tym razem. Znajdź Ammona.

- Możesz przybrać ludzką postać?

- Nie.

- Szkoda. Naprawdę potrzebuję kobiety. Po walce robię się bardzo napięty. Czy mam czas, żeby sobie jakąś znaleźć?

- Nie! Wykonaj swój obowiązek.
- Porzuciła go i wróciła do Egaru.
- Otworzyła oczy, wypuszczając z siebie długie westchnienie.
- Viruk jest całkowicie obłąkany.
- To prawda - zgodził się Ro. - Wszyscy Awatarowie o tym wiedzą.
- Jak to możliwe, że przeżył tak długo?
- Jest dość dobry w tym, co robi - wyjaśnił Ro.

Ammon stał u wylotu jaskini, spoglądając na złociste urwiska i odległą, błyszczącą wstęgę Luanu. Rankiem trzech zbiegów podkradło się suchym korytem strumienia do murów w południowej części miasta. Posuwali się naprzód powoli i zachowywali ostrożność, gdy tylko słyszeli kroki maszerujących żołnierzy. Przykucnięci przy ziemi nasłuchiwali, jak wyprowadzono jeńców na otwartą przestrzeń. Pęcherz Sadau nie wytrzymał i zawstydzony garncarz wtulił twarz w ziemię. Rozległy się strzały. Ludzie krzyknęli z bólu. Rzeź trwała jeszcze co najmniej godzinę. Ammon nie widział tych okropności, ale to, co usłyszał, miało go prześladować przez resztę życia. Dzieci płakały, a kobiety błagały o łaskę dla nich. Nikogo nie oszczędzono. W końcu żołnierze odmaszerowali. Ammon wyprostował się i wyrzał zza brzegu koryta. Wszędzie leżały trupy. Martwe oczy wpatrywały się w słońce. Jego spojrzenie przesunęło się po ciałach. I nagle się zatrzymało. Około dwadzieścia stóp od niego leżała kobieta, która przyszła wczoraj do domu Sadau. Jej dzieci spoczywały obok, podobnie jak uratowany przez Ammona chłopiec. Wszystkim ofiarom otwarto klatki piersiowe.

Ammon zmusił się do przyjrzenia się wszystkim twarzom. Był zdeterminowany nigdy nie zapomnieć żadnego szczegółu tej przerażającej rzezi.

Potem opadł na dno koryta.

- Powinienem być zostać w domu - jęknął Sadau.
- Nie sądzę - zaprzeczył Ammon. - Ruszajmy w drogę.

Strumień przepływał ongiś pod murami, łącząc się z dopływem Luanu. Trzej mężczyźni skryli się w cieniu zewnętrznego muru. Teren był tu płaski

i nie było gdzie się ukryć. Jeśli na górze stoją wartownicy, natychmiast zauważą trzech uciekinierów. Dlatego zbiegowie czekali do wieczora i wymknęli się stamtąd pod osłoną ciemności.

Teraz, stojąc u wylotu jaskini, Ammon nadal nie mógł się uspokoić. Pragnął jak najszybciej odnaleźć armię i pomaszerować na miasto, by rozpocząć krwawą zemstę. Wiedział jednak, że jego ludzie, choć dobrze wyszkoleni, nie będą mieli szans w starciu z ognistymi pałkami nieprzyjaciela. Żądza zemsty była przemożna, ale starał się z nią walczyć. Zdawał sobie sprawę, że musi zachować jasny umysł.

Podszedł do niego Anwar.

- Zachowujesz się bardzo cicho, mój królu.

- Rozmyślałem. Zabijają moich ludzi jak bydło. Muszę sprawić, żeby za to zapłacili.

Staruszek wyglądał na krańcowo wyczerpanego. Twarz miał szarą ze zmęczenia.

- Skup myśli, panie, i pamiętaj o moich naukach. Jak brzmi pierwsza zasada?

- Utwórz listę priorytetów - odparł z uśmiechem Ammon.

- Świetnie. Co zajmuje pierwszą pozycję na tej liście?

- Ucieczka.

- A drugą?

- Zebranie sił. Odnalezienie armii. Powołanie nowej hierarchii dowodzenia. Zwołanie plemiennych wodzów i stworzenie sojuszu, który pozwoli mi odzyskać królestwo.

- Wszystko po kolei, panie. Zawsze skupiaj się na jednej sprawie. Poświęcaj jej całą uwagę. Z czasem przyjdzie pora na emocje i na działanie. Ale zawsze najpierw musi być myśl. Czego się dowiedzieliśmy o wrogach?

- Są okrutni i śmiertelnie groźni - odparł natychmiast Ammon.

- I czego jeszcze?

Król zastanowił się nad tym pytaniem, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Powiedz mi, doradco.

- Ich celem nie jest podbój, ale rzeź, panie. Gdyby chcieli podporządkować sobie miasto, wprowadziliby godzinę policyjną, aresztowali miejscowych przywódców i ogłosili nowe prawa. A oni tylko mordują mieszkańców. Nie wiem, dlaczego tak postępują ale priorytetem jest dla nich zadawanie śmierci. Pytanie brzmi, czy zaatakowali tylko nas? Czy inni również ucierpieli? Na przykład, czy napadli również na Awatarów? Czy ich miasta upadły? Nim przygotujemy plan działania, musimy poznać skalę najazdu.

Ammon skinął głową.

- Masz rację, ale wszystko to pytania na przyszłość. Mówiłeś o liście priorytetów, Anwarze. Dla ciebie w tej chwili najważniejszy jest odpoczynek. Zjedz trochę tego chleba i połóż się spać.

- Musimy uciec dalej od miasta, panie - sprzeciwił się staruszek.

- Zrobimy to. Ale najpierw się prześpij.

Anwar westchnął, a potem się uśmiechnął.

- Muszę przyznać, że rzeczywiście jestem zmęczony - rzekł. Przeszedł pod tylną ścianę jaskini i położył się na płaskiej skale.

Ammon spojrzał w niebo.

- Nigdy nie byłem przekonany, czy najwyższa istota istnieje - wyszeptał. - Ale to byłby dobry moment, żeby dać mi dowód.

- Chcesz kawałek chleba, panie? - zapytał mały garncarz, podchodząc do króla.

Ammon oderwał kawałek chleba i usiadł, nakazując gestem, by Sadau spoczął obok niego. Garncarz wykonał polecenie.

- Jak się nazywała ta kobieta, którą wczoraj przyprowadziłeś do domu?

- Rula, panie.

- Wierzysz w Wielkiego Boga?

- Oczywiście.

- W takim razie zmów za nią modlitwę. Ona i jej dzieci byli wśród tych, których zamordowano pod miastem.

Twarz Sadau wykrzywił grymas bólu. Z jego oczu popłynęły łzy.

- Przykro mi, garncarzu - rzekł Ammon. - Wygląda na to, że znowu uratowałem ci życie. Gdybyś został w domu, zginąłbyś razem z nimi.

- Dlaczego ktoś miałby zabijać dzieci? - zapytał Sadau. - Jaką korzyść odniosą z... takiej zbrodni?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ich pomścić.

- Ale to nie przywróci im życia, prawda? - zapytał Sadau, przechodząc w głąb jaskini.

- Nie przywróci - potwierdził cicho król.

Ammon zasnął. Jego sny były mroczne i pełne goryczy. Przebudził się gwałtownie i usiadł. W jaskini było ciemno, ale usłyszał jakiś dźwięk. Anwar i garncarz spali. Król zwrócił się w stronę wylotu z jaskini i zastygł w bezruchu. Na tle nieba rysował się monstrualny kształt. Bestia miała prawie osiem stóp wzrostu. Pokrywało ją jasnoszare futro, lśniące srebrzyście w blasku księżyca. W mieście widział takie same potwory. Ammon wstał powoli. Oblicze bestii było gładkie i różowe, a jej okrągłe oczy nieco przypominały ludzkie. W otwartych ustach błyszczały wielkie kły. Stworzenie nie próbowało atakować. Na piersi miało skrzyżowane pasy z czarnej skóry, na których wisiały dwie pałki z przeżartego przez rdzę żelaza. Ammon nie ruszał się z miejsca. Na ramieniu bestii zobaczył zatkniętą za pas złotą chustkę. Ammon ją poznał. Nosił ją zaledwie dwa dni temu.

Król słyszał o hodowanych przez ludzi z północnych plemion psach, które potrafiły wytropić zbiegów dzięki zapachowi noszonych przez nich ubrań. Ale to nie był pies.

Stworzenie stało nieruchomo. Jego okrągłe oczy lśniły. Nie wykonywało żadnych wrogich ruchów. Ammon trącił czubkiem nogi śpiącego Anwara. Staruszek obudził się z głośnym stęknięciem. Zobaczył bestię i zamarł. Ammon wiedział, że za królem z pewnością podążają żołnierze. Ta świadomość wypełniła go obezwładniającą rozpaczą. Anwar miał rację. Trzeba było uciec dalej. Teraz być może nie będzie już miał okazji pomścić tych bezsensownych morderstw. Garncarz również się obudził - i wrzasnął przeraźliwie. Jego głos wypełnił całą jaskinię i Ammon podskoczył z wrażenia. Bestia nadal się nie ruszała.

- Przynajmniej jest dobrze wykształcona - stwierdził król, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie. Sadau padł na twarz, zakrywając sobie głowę ramionami. Anwar wstał z westchnieniem.

- To nie rokuje dobrze, panie - powiedział, bezskutecznie starając się, by jego głos zabrzmiał równie spokojnie jak głos króla.

Zza grzbietu króla dobiegły odgłosy wspinających się po skalistej ścieżce ludzi. Bestia oddaliła się w noc i do jaskini weszło czterech mężczyzn. Pierwszy z nich miał złoty napierśnik, a na głowie udekorowany piórami hełm. Pozostali byli zwykłymi żołnierzami, uzbrojonymi w ogniste pałki.

- Na pewno jesteś Ammon - stwierdził oficer, podchodząc do króla.

- W rzeczy samej.

- Mówili mi, że wyglądasz jak kobieta. Mieli rację.

Oficer zdjął z ramienia mały woreczek i położył go na ziemi. W tej samej chwili zamykające go sznurki rozwiązały się częściowo i na ziemię wyspało się sześć zielonych kryształów.

- Na co czekacie? Zabijcie ich! - rozkazał oficer, odwracając się ku żołnierzom.

- Poświęć nam chwilę - zaproponował swobodnym tonem Ammon.

Mężczyzna spojrzał na niego, zaskoczony obojętnością, okazywaną przez ofiarę.

- Tylko się pośpiesz - zażądał. - Zmarłem i z niecierpliwością czekam na gorący posiłek.

- Zanim zginę, chciałbym się dowiedzieć, w jakim celu najechaliście mój kraj. Uciekając dziś rano z miasta, nie mogłem nie zauważyć masowych egzekucji, które się tam odbywały. Czy po prostu kochacie rzeź, czy też wasze poczynania służą jakiemuś celowi?

- Najwspanialszemu celowi na świecie - zapewnił oficer. - Karmimy boginię. Po twojej śmierci otworzę ci klatkę piersiową i wypełnię ją tymi kryształami. One wchłoną to, co zostanie z twojej siły życiowej. Bogini pochłonie je i ciebie razem z nimi. Dzięki temu poznasz chwałę i wieczny żywot. Staniesz się częścią wielkości ludu Almeków.

- Rozumiem - stwierdził król. - To znaczy, że macie zamiar zabić

wszystkich w moim kraju?

- Bogini jest bardzo głodna - wyjaśnił oficer. - Uratowanie naszej rasy wyczerpało jej siły. A teraz, czy masz jeszcze jakieś pytania, czy możemy przejść do rzeczy?

- Mam jeszcze jedno - odparł Ammon. - Macie tu inne armie?

- Wiele armii - odparł oficer.

- A czy zaatakowaliście też Awatarów?

- Niebieskowłosych? Tak. Ich miasta upadną tak samo jak twoje. Nikt nie zdoła się oprzeć armiom bogini.

- No cóż - stwierdził z uśmiechem Ammon - to by były wszystkie pytania. Możecie już zrobić swoje.

Wypowiadając te słowa, zbliżył się do oficera. Nim ten zdążył się zorientować, że grozi mu niebezpieczeństwo, Ammon skoczył naprzód, wyrwał mu zza pasa złoty sztylet, otoczył szyję ręką i przystawił sztych noża do jego ciała tuż poniżej podbródka.

- Uważam, że powinniśmy renegocjować nasze pozycje - oznajmił król.

- Nic nie rozumiesz - rzekł oficer, jakby przemawiał do dziecka. - To w niczym ci nie pomoże. Moi ludzie po prostu mnie zastrzelą i zabiorą moją siłę życiową dla królowej. Moje życie wieczne zacznie się wcześniej, niż się spodziewałem.

Ammon ignorował go, ale nie opuszczał noża. Spojrzał na żołnierzy. Wszyscy trzej wymierzili ogniste pałki w oficera.

- Odłóżcie broń albo on zginie - zagroził. Nim zdążyli zareagować, oficer gwałtownym ruchem nadział własną szyję na sztylet. Ostrze przebiło tętnicę. Oficerem targnęły spazmy. Na dłoń Ammona trysnęła jaskrawoczerwona krew. Król uniósł ciało Almeka, zasłaniając się nim jak tarczą.

W tej samej chwili przed wejściem do jaskini rozległ się donośny ryk, po którym nastąpił oślepiający błysk. Wyjście zbryzgała fontanna krwi, futra i kości. Zaskoczeni żołnierze odskoczyli na bok. Do jaskini wskoczyła odziana w ciemny strój postać. Zagrzmiały ogniste pałki. Przybysz uniósł łuk zhi. Trysnęły z niego dwa impulsy. Dwaj żołnierze zginęli straszliwą śmiercią.

Trzeci odrzucił ognistą pałkę, wyciągnął miecz i rzucił się na łucznika. Wojownik upuścił łuk i skoczył Almekowi na spotkanie, wydobywając z pochwy sztylet o cienkim ostrzu. Miecz przeszył powietrze. Nieznajomy uchylił się na bok i wbił sztylet w prawe oko Almeki. Gdy ten padł na ziemię, wojownik wyciągnął nóż i wytarł ostrze o tunikę zabitego.

- Jestem Viruk - przedstawił się z szerokim uśmiechem.

- Co, na niebiosa, zrobiłeś ze swoimi włosami? - zapytał król, spoglądając na czerwone błoto oblepiające głowę Awatara.

- To przebranie - wyjaśnił Viruk. - Starłem się wyglądać jak jeden z was. Nie udało mi się za dobrze, prawda?

- My nie używamy rzeczno błota, Viruku. Glinę miesza się z różnymi barwnikami i perfumuje, a potem nakłada ją szkolony fryzjer. - Ammon podszedł bliżej i przyjrzał się zlepionej masie. - Z reguły też usuwamy mrówki... i krowie placki.

- Być może wprowadzę nową modę - stwierdził radosnym tonem Awatar. - Kto to jest? - zapytał, wskazując głową na Anwara.

- Mój pierwszy doradca, Anwar. Ten trzeci to...

- Znam go - przerwał mu Viruk z chichotem. - Jak się masz, garncarzu? Jak to się stało, że jeszcze żyjesz?

- Nie wiem, panie - zawył Sadau. - To dla mnie tajemnica.

- Pewnie urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą, tak samo jak ja. No, człowieku, wstawaj. Mamy przed sobą długą drogę.

- A dokąd właściwie się wybieramy? - zapytał Ammon.

- Z powrotem do Egaru. Kwestor generalny rozkazał mi bezpiecznie cię tam przyprowadzić. Powiedział mi też, że Awatarowie są gotowi udzielić ci wszelkiej możliwej pomocy w walce z przybyszami.

- Pomaszeruję tam ze swoją armią - oznajmił Ammon.

- Chwileczkę, panie - sprzeciwił się Anwar. - Może lepiej byłoby zmienić plany. Ja mogę udać się do armii i zaprowadzić ją do Egaru. Z moich barków spadłby wielki ciężar, gdybym wiedział, że jesteś bezpieczny wśród Awatarów.

- Bezpieczny wśród Awatarów? To ci dopiero nowa myśl.

- Znasz to stare powiedzenie, panie? Wrogowie moich wrogów muszą

z tego powodu być moimi przyjaciółmi? Nie mogłoby być prawdziwsze. Awatarowie mają wiele broni, a ich miasta to potężne fortece. Gdy tylko twoi poddani dowiedzą się, że żyjesz, natychmiast nadciągną pod twoje sztandary, gdziekolwiek je wzniesiesz.

- Proszę bardzo - zgodził się Ammon. - Przyjmuję twoją propozycję, Viruku. Jak rozumiem, masz gdzieś w okolicy konie?

- Nie mam.

- W takim razie czeka nas długi spacer.

- Ale za to w świetnym towarzystwie - zauważył Viruk. Podniósł niskiego garncarza na nogi i poklepał go po ramieniu. - Czyż nie mam racji, Sadau?

- Skoro tak mówisz, panie.

Viruk podszedł do zabitych Almeków i podniósł z ziemi jedną z ognistych pałek. Poświęcił kilka minut na próbę zrozumienia jej mechanizmów, a potem odrzucił ją na bok.

- To paskudna broń - stwierdził. - Robi mnóstwo hałasu, a do tego dym śmierdzi gorzej niż świńskie pierdy.

- Wygląda na to, że obracamy się w innych kręgach - zauważył Ammon. - Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek widział tylną część ciała świni. Niemniej jednak, uwierzę ci na słowo.

Viruk roześmiał się głośno, ze szczerą wesołością.

- Czy to możliwe, żebyś mnie nie lubił? - zdziwił się. - Z pewnością nie.

- Jesteś zwyczajnym mordercą Viruku. Mam wrażenie, że kochasz śmierć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mam to ująć prosto? Gardzę tobą i wszystkim, co daremnie usiłujesz sobą reprezentować. Czy to wystarczająco jasne?

- Zmienisz zdanie, kiedy mnie lepiej poznasz. A teraz ruszajmy.

W moim łuku zhi nie ma już więcej ładunków. Nie uśmiecha mi się myśl o walce z królem, kiedy będę miał tylko sztylet.

Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy dotarli do bariery mgły, Talaban pożegnał się z Caprishanem oraz kolumną zaopatrzeniową i poprowadził swych pięćdziesięciu jeźdźców dalej na północny wschód. Zerknął na młodego mężczyznę, który jechał obok niego. Miał on na sobie drogi strój do jazdy konnej. Jego brązowy kaftan był uszyty z najlepszej skóry, a szwy na ramionach upiększały czarne perły. Sięgające kolan buty również wykonano ze skóry najwyższej jakości, a na wysokości kostek zdobiły je srebrne obręcze. Od chwili, gdy opuścili Egaru, mężczyzna odzywał się rzadko. Odpowiadał tylko na bezpośrednio zadane pytania.

Probiez jechał przodem, jako zwiadowca. Kolumna posuwała się naprzód powoli, starając się wzbijać jak najmniej kurzu.

Kwestor generalny wydał im jednoznaczne rozkazy.

- Nękaście nieprzyjaciela. Czas już, by poznał koszty najazdu.

Uderzajcie z całą siłą, a potem uciekajcie. Nie angażujcie się w walne bitwy. Atakujcie jak jastrzębie i znikajcie bez śladu.

Talaban przekazał dowództwo nad Wężem Methrasowi, czego świadkami byli Mejana i Rael. Młody sierżant przyjął awans z cichą godnością i Talaban był z niego dumny.

Ze stanowiska, które mu przydzielono, nie był już tak zadowolony. Wolałby sam wybrać sobie ludzi, ale nastąpił podział władzy i był zmuszony pójść na kompromis. Dwudziestu awatarskich łuczników oraz trzydziestu vagarskich wojowników, dowodzonych przez niedoświadczonego młodzieńca, który jechał teraz obok niego.

Talaban nie wiedział o nim wiele: tylko tyle, że był kupcem, wnukiem Mejany i ponoć świetnie znał okolice, do których zmierzali.

- Jak daleko stąd do pierwszej osady? - zapytał go.

- Około czterech mil - odpowiedział młodzieniec. Sprawiał wrażenie niespokojnego i podenerwowanego.

- Probiez to świetny zwiadowca. Zasadzka nam nie grozi, Pendarze.

- Nie boję się - bronił się Pendar. Nie ulegało wątpliwości, że nie lubi Talabana. Awatar też sobie uświadomił, że to naturalne. Miał jednak nadzieję, że gdy nawiązą kontakt z wrogiem, Pendar okaże się wystarczająco inteligentny, żeby zapomnieć o nienawiści. Do tej chwili próby zaprzyjaźnienia się z nim nie miały większego sensu.

Talaban skłonił konia do biegu i wysunął się przed kolumnę. Okolica stawała się coraz bardziej górzysta. Po lewej mijali wyniosłe urwiska z czerwonej skały. Zbliżali się do szerokiego wąwozu Gen-el. Probiierz ściągnął wodze i wpatrywał się przed siebie. Gdy Talaban podjechał bliżej, dzikus zerknął na niego.

- Co tam wypatrzyłeś? - zapytał Awatar.
- Nic. Ale wróg tam jest.
- Skąd masz pewność?
- Ktoś patrzy. Wiem. Czuję jego wzrok.

Talaban przyjrzał się wąwozowi. Słońce stało wysoko na niebie i nie było widać żadnego ruchu. W powietrzu nie unosiły się ptaki i nawet wiatr ucichł.

Zawrócił wierzchowca, podjechał do swych Awatarów i odwołał sierżanta na bok. Goray był potężnie zbudowanym mężczyzną jego krótko przystrzyżone włosy były ciemne, a trójdzielna, przystrzyżona broda zabarwiona na niebiesko. Był weteranem wielu plemiennych wojen i jednym z najstarszych Awatarów. Liczył sobie dobrze ponad trzysta lat. Przez sześćdziesiąt lat był oficerem wysokiej rangi, ale przed dwunastu laty odszedł z armii, by poświęcić więcej czasu na badanie gwiazd. Nie był zbyt zadowolony, gdy kwestor generalny powołał go do wojska razem z innymi - W wąwozie jest nieprzyjaciel - poinformował go Talaban.

- To mnie nie dziwi, kapitanie. Jaki masz plan?
- Przejeżdżałeś już tędy?
- Przed siedemdziesięciu laty.
- Co sądzisz o Vagarze?
- Brak mu doświadczenia i jego ludzie mu nie ufają. Ma w sobie zbyt

wiele z kobiety.

- Nie interesują mnie jego upodobania seksualne.

- Mnie również nie - odparł ze spokojem Goray. - Nie o to mi chodziło.

Rzecz w tym, jak jest postrzegany. Nie jaki jest naprawdę, ale jakie robi wrażenie. Jego ludzie się boją. Podczas wojny dowódcy są dla swych podkomendnych źródłem odwagi i inspiracji. Żołnierze piją wodę z tych źródeł. Obawiam się, że dla wielu swych ludzi Pendar jest kimś śmiesznym, zasługującym na drwinę. To mnie niepokoi.

- Rozumiem - powiedział Talaban. - Ale pytałem, co ty o nim sądzisz.

- Potrzebuje zwycięstwa, czegoś, co da mu wiarę w siebie i stanie się inspiracją dla jego ludzi.

Talaban wrócił do kolumny i odwołał na bok Pendar.

- Probiez jest przekonany, że w wąwozie czeka na nas oddział nieprzyjaciela - poinformował go. - Czy jest tu jakaś inna droga?

Pendar milczał przez chwilę.

- Moglibyśmy skręcić na północ, ale w takim wypadku zanadto zbliżylibyśmy się do Moraku, stolicy Ammona. Co więcej, nasza podróż w obie strony przedłużyłaby się o trzy dni. A ponieważ mamy zapasy tylko na dziesięć dni, to zmniejszyłoby nasze szanse nękania Almeków. Czy nie możemy ich zaatakować?

Talaban zignorował to pytanie i zsunął się z siodła, nakazując gestem Pendarowi, by podążył za nim. Dotarł na połąc nagiej, suchej ziemi i ukląkł na niej.

- Narysuj mi wąwóz - zażądał.

Pendar wydobył sztylet i zaczął kreślić linie.

- Za wylotem wąwóz skręca w prawo, a potem się wiję. Przez pierwsze czterysta jardów jego ściany są strome. Potem kanion zwęża się na pewnym odcinku, może z pięćset jardów. Jest tam wiele skalnych osypisk, setki głazów, za którymi można się ukryć. Potem ściany znowu są strome.

- To znaczy, że najlepsze miejsce na zasadzkę znajduje się jakieś ćwierć mili za początkiem wąwozu?

- Tak bym powiedział, ale nie jestem żołnierzem.

- Teraz już jesteś. Pora się do tego przyzwyczaić. - Pendar poczerwieniał, ale nim zdążył odpowiedzieć, Talaban zaczął mówić dalej: - Probiez jest przekonany, że nieprzyjaciel nas obserwuje. W którym miejscu wąwóz skręca w prawo?

Pendar wcisnął sztych sztyletu w ziemię.

- Tutaj. Czy to istotne?

- Jeśli ktoś się nam przygląda, to z pewnością ze szczytu urwisk.

Wchodziłeś kiedyś na nie?

- Tylko z lewej strony. Można się tam wspiąć aż na sam szczyt. Jest tam wiele wąskich ścieżek i skalnych półek. Po prawej ściana jest pionowa.

- To znaczy, że obserwator znajduje się po lewej. Kiedy wjedziemy do wąwozu, straci nas z oczu. - Talaban zaczerpnął głęboko tchu. - Ruszajmy!

Wspiął się na siodło i uniósł rękę. Kolumna ruszyła naprzód, przemierzając otwarty teren. Probiez zawrócił i podjechał do dowódcy.

- Widzę go. Przykucnął za wielkim głazem. Wysoko po lewej.

- Jak wysoko?

- Trzysta stóp.

Z obu stron otoczyły ich ściany wąwozu, bladoczerwony piaskowiec wyrzeźbiony w ciągu tysiącleci przez wiatr, deszcz i strumienie wody. W wysokich skałach widać było głębokie pionowe bruzdy, jak wyrzeźbione ręką artysty. Talaban zatrzymał kolumnę. Zsiadł z konia i spojrzał na skalną ścianę po lewej. Była stroma, ale pozbawiona przewieszek, a jakieś sześćdziesiąt stóp wyżej widać było skalną półkę. Dowódca wezwał do siebie Awatarów i przedstawił im swój plan. Poprosił o dziesięciu ochotników. Wszyscy unieśli ręce. Talaban wybrał najniższego i najszczuplejszego z nich, a potem wezwał Pendarę.

- Wdrapiemy się na urwiska i ruszymy ich szczytem, żeby zająć nieprzyjaciela od tyłu. Jeśli nie ma więcej niż stu ludzi, zaczniemy go ostrzeliwać z góry. Najważniejsze, byście w tej samej chwili rozpoczęli szarżę wąwozem. Nie będziemy mieli żadnej osłony i ogniste pałki rozerwą nas na strzępy. Zrozumiałeś?

Pendar skinął głową.

- Ale z pewnością wystarczy, żeby któryś z Almeków spojrzął w górę i was zobaczył?

- Probiez pojedzie przodem, jakby nadal poprzedzał kolumnę. Wszyscy będą patrzyli na niego.

- Mogą go po prostu zabić.

- Pendarze, oni chcą wciągnąć w zasadzkę cały oddział, nie jednego zwiadowcę. Niemniej jednak możesz mieć rację. Ale na tym polega robota żołnierza. Nie można wyeliminować ryzyka.

Talaban podszedł do skalnej ściany. Poluzował pas, przytroczył sobie łuk zhi do pleców i zaczął się wspinać. Było tu pod dostatkiem miejsc zaczepienia dla dłoni i stóp, ale sucha skała łatwo się kruszyła. Piał się powoli w górę, dokładnie sprawdzając każdy uchwyt. Na wysokości czterdziestu pięciu stóp uchwyty zniknęły. Po prawej miał wąską pionową szczelinę, która biegła ku półce. Miała nie więcej niż dwa cale głębokości. Talaban podpełznął do niej i wsunął dłoń do środka. Były tam maleńkie punkty zaczepienia, ale rysa była zbyt wąska, by zdołał wcisnąć w nią czubek buta. Spojrzął w górę. Jakieś osiem stóp nad nim szczelina się poszerzała. Słyszał wspinających się za nim ludzi. Zerknął w dół i zobaczył, że pierwszy z żołnierzy niemal już do niego dotarł.

- Złap się mocno - rozkazał. - Będzie mi potrzebny twój bark.

Żołnierz uśmiechnął się szeroko. Zbliżył się do Talabana i przycisnął mocno do skalnej ściany.

- Gotowe, kapitanie.

Talaban wsunął dłoń w szczelinę, podciągnął się wysoko, oparł stopę na ramieniu żołnierza i wspiął się do miejsca, gdzie pęknięcie stawało się szersze. Znalazł kolejny występ skalny, wepchnął stopę w bruzdę i podciągnął się na półkę.

Dziesięciu żołnierzy podążyło za jego przykładem, ale ostatniemu nie miał już kto pomóc. Talaban nakazał mu gestem wracać na dół, a potem ostrożnie poprowadził swych dziewięciu ludzi wzdłuż półki.

Probiez siedział na koniu, czekając na sygnał kapitana. Gdy go otrzymał, pociągnął za wodze i jego wierzchowiec ruszył stępą przed siebie.

Panowała tu niesamowita cisza. Dzikus czuł pot spływający mu po plecach. Nieprzyjaciel nie powinien zareagować na widok zwiadowcy. Almekowie będą chcieli zabić jak najwięcej żołnierzy przeciwnika. Ale wystarczy, jeśli jednemu z nich puszczą nerwy. Probierz jechał przed siebie. Z przodu i po lewej widział liczne skalne osypiska. Za jednym z głazów poruszył się cień, ale on na to nie zareagował. Popatrzył w lewo i w prawo, jakby wypatrywał ukrytych nieprzyjaciół. Pozwolił sobie na jedno spojrzenie w górę i zobaczył Talabana oraz jego dziewięciu żołnierzy, którzy posuwali się ostrożnie naprzód po wąskiej półce.

Probierz ściągnął wodze, odpiął manierkę od łęku siodła i pociągnął łyk. W wąwozie było gorąco i parno. Jego spojrzenie przyciągnął kolejny ruch, cień, który przesunął się niepostrzeżenie za wielkim głazem. Nie są zbyt biegli, pomyślał. I za bardzo rwą się do zabijania. Zawrócił wierzchowca i ruszył powoli ku wylotowi z wąwozu.

- Co zauważyłeś? - zapytał Pendar. Vagara zalewał pot. W jego oczach błyszczał strach.

- Będzie ich setka - odparł Probierz.

- Będziemy z nimi walczyć?

Ta myśl wyraźnie przerażała młodzieńca.

- Jak zacznie się bitwa, pędźcie na nich ze wszystkich sił - ostrzegł go Probierz. - Talaban nie ma osłony. Przygotujcie się. Zaraz popłynie krew.

Pendar wyciągnął miecz. Ręka mu drżała. Ignorując go, Probierz przeniósł spojrzenie na czekających za nim vagarskich wojowników. Oni również byli niespokojni. Uśmiechnął się do nich i wydobył toporek zza pasa. Nie zareagowali. Probierz wiedział, że wojownicy szukają inspiracji u swych dowódców. Pendar był niedoświadczony. Bał się, a jego strach udzielał się podkomendnym.

Zajął pozycję obok Vagara.

Zaczęło się oczekiwanie.

Talaban posuwał się naprzód po wąskiej półce. Pot zalewał mu oczy. Kapitan widział stąd ukrywających się na dole wojowników. Wszyscy poza dwoma oficerami byli ubrani identycznie: w czarne koszule bez rękawów

i ciemne rajtuzy. Na ramionach nie nosili żadnych ozdób, kółek ani bransolet ze złota albo miedzi. Nic błyszczącego. Każdy dźwigał mały plecak. Oficerowie również nie wdziali barwnych strojów. Ich napierśniki oraz okrągłe hełmy były zrobione z poczernianego metalu. Według oceny Talabana, za głazami ukrywało się około stu trzydziestu ludzi. Wszyscy trzymali w gotowości ogniste pałki. Czekali cierpliwie, co świadczyło o dobrej dyscyplinie, i kapitan nie sądził, by mieli się rzucić do ucieczki po pierwszym ataku. Zaszcło mu w ustach, gdy rozważał swój plan. Był on bardzo ryzykowny. Żaden z Almeków nie spojrzał jeszcze w górę. Ale gdy bitwa się zacznie, z pewnością to zrobią. Awatarowie byli odsłonięci i nie unikną strat. W gruncie rzeczy, pomyślał Talaban, nie można było wykluczyć, że wszyscy zginą już od pierwszej salwy. Obejrzał się na swoich ludzi. Przyszła im do głowy ta sama myśl.

Półka miała niespełna dwie stopy szerokości - wystarczająco wiele, by Awatarowie mogli przykucnąć, utrudniając przeciwnikowi celowanie. Talaban nakazał im gestem rozciągnąć szyk. Wykonali rozkaz, wyciągając łuki zhi.

- Strzelajcie szybko - rozkazał. - I módlmy się o to, żeby Vagarzy jak najprędzej przyszli nam z pomocą.

Uniósł łuk, dostroił do niego umysł i wycelował w plecy klęczącego wojownika.

Rozbłysło dziesięć impulsów zhi, a potem następne dziesięć. Na dole zapanowało pandemonium, ale tylko na chwilę. Zabici nie zdążyli krzyknąć. Ich ciała leżały nieruchomo, tuniki płonęły, a ze straszliwych ran w plecach buchał czarny dym. Almecki oficer wykrzyknął rozkaz, natychmiast przywracając dyscyplinę. Uniesiono ogniste pałki i zagrzmiała salwa. Ołowiane pociski uderzyły o skalną powierzchnię. Kamienny odprysk zranił Talabana w policzek. Awatar poczuł, że po twarzy ścieka mu krew. Pozostał jednak na miejscu, spokojnie ostrzeliwując kolejnymi impulsami zaskoczonych nieprzyjaciela. Człowiek stojący obok niego uderzył nagle o skałę, a potem osunął się naprzód i spadł bezgłośnie z półki, głową w dół.

Talaban zabił jednego almeckiego oficera i dwóch żołnierzy. Potem usłyszał tętent. Nie zaryzykował spojrzenia w tamtą stronę, lecz kontynuował

ostrzał. Drugi Awatar spadł z półki, a po nim trzeci. Talaban zobaczył Probiezra, który wpadł konno w tłum wrogów. Dzikus zeskoczył z siodła, rozbijając toporkiem czaszkę ostatniego z almeckich oficerów. W wąwozie poniósł się echem wibrujący okrzyk wojenny Anajo.

Almekowie zaczęli się wycofywać, przeskakując od głazu do głazu. Nikt już nie strzelał do ludzi stojących na skalnej półce. Ale w szeregach uciekającego nieprzyjaciela nadal nie dało się dostrzec paniki. Przeciwnik cofał się w regularnym szyku. Dziesięciu konnych Awatarów pognało cwałem do ataku, strzelając z siodła. Vagarzy zeskoczyli z koni i wdali się w walkę wręcz z grupą Almeków, którzy zajęli pozycje obronne poniżej Talabana i jego ludzi. Bój był zażarty. Talaban zobaczył młodego Pendar, który bronił się przed atakami uzbrojonego w miecz Almek. Vagar był śmiesznie nieudolny. Wymachiwał mieczem jak cepem, nie zagrażając zbyt wiele przeciwnikowi. Zawdzięczał życie jedynie temu, że cofał się pośpiesznie.

Almek nagle rzucił się do szarży. Pendar potknął się i upadł na plecy. Przeciwnik stanął nad nim. Impuls z łuku zhi Talabana trafił go w bok szyi. Urwało mu głowę, a ciało zważyło się na Vagara. Z przeciętej tętnicy szyjnej tryskała krew. Pendar wypuścił z dłoni miecz i wyczołgał się spod zabitego.

Niedobitki Almeków wycofały się w głąb wąwozu, ale nekali ich Awatarowie. Na dole walka już się skończyła. Talaban wstał. Tylko pięciu z towarzyszących mu ludzi jeszcze żyło, a dwóch z nich było rannych: jeden w bark, a drugi w łokieć. Ściana nie była tu pionową, ale zejście w dół z pewnością nie będzie łatwe. Talaban wysłał przodem trzech zdrowych mężczyzn i podszedł do dwóch rannych.

- Dam sobie radę, kapitanie - zapewnił ten, którego postrzelono w bark. Siedział na półce, przyciskając kryształ do okrwawionej dziury w skórzanym napierśniku. - Kość nie jest uszkodzona.

- Jesteś pewien?

Mężczyzna skinął głową. Uśmiechnął się, schował kryształ i opuścił nogi w dół. Gdy oparł ciężar ciała na zranionej kończynie, rozległo się stęknienie bólu, ale żołnierz zdołał powoli zejść na dół.

Ostatni z Awatarów leżał na plecach. Twarz miał szarą z bólu i szoku.

Gdy Talaban podszedł bliżej, zauważył, że mężczyzna odniósł dwie rany. Miał roztrzaskany łokieć i dziurę tuż poniżej pasa.

- Nie sądzę, żebym zdołał stąd zejść - oznajmił Talabanowi, próbując się uśmiechnąć. Kapitan przeciął jego rajtuzy sztyletem i przyjrzał się ranie. Kula roztrzaskała biodro i najwyraźniej odbiła się od miednicy. Z otworu obficie płynęła krew.

- Gdzie twój kryształ?

Żołnierz wskazał na woreczek, który miał u pasa. Talaban go otworzył. Wsunął zielony kryształ w dłoń rannego i nakazał mu usunąć ból z łokcia. Potem ujął w rękę własny kamień uzdrawiający i powstrzymał krwawienie z biodra. Po paru minutach na twarz żołnierza zaczął wracać kolor.

- Jesteś ranny, kapitanie? - zawołał z dołu Probierz.

- Nie. Łap mój łuk! - Talaban rzucił broń w dół i Probierz chwycił ją zręcznie. Potem Awatar ponownie zajął się rannym. Rozpiął delikatnie jego pas, po czym zrobił to samo z własnym. Spiął razem oba pasy i pomógł rannemu wstać. - Zniosę cię na dół na plecach - zapowiedział.

- Nie dasz rady. Zostaw mnie tutaj. Potem spróbuję sam.

Talaban potrząsnął głową.

- Z jedną sprawną ręką to niemożliwe. Rób, co ci każę. - Wsunął jeden koniec pasa w zdrową dłoń żołnierza, owinął nim jego ciało, a potem zapiął go mocno na brzuchu. - Obejmij mnie za szyję i trzymaj się mocno. Ale nie za mocno, bo muszę oddychać.

- To nierozsądne - sprzeciwił się żołnierz.

- Porozmawiamy o rozsądku, kiedy będziesz na dole - odparł Talaban. - Idź powoli za mną. - Dwaj połączeni pasami mężczyźni przykucnęli nad krawędzią. - Wesprzyj się o moje plecy - polecił kapitan. Położył się na brzuchu, a potem opuścił nogi w dół. Ciężar żołnierza pociągnął go nagle i przez chwilę Talaban był przekonany, że zaraz spadnie na ziemię. Potem oparł nogę na skalnym występie. Zaczerpnął głęboko tchu, żeby się uspokoić, i ruszył w dół. Żołnierz był cięższy, niżby się zdawało. Kapitan obawiał się, że mięśnie jego barków nie wytrzymają.

Ludzie stojący na dole dodawali mu odwagi okrzykami, podpowiadali,

gdzie znajdzie oparcie dla stóp.

- Trochę w lewo i na dół. O tak, kapitanie. Tuż poniżej jest następne!

Talaban dyszał ciężko. Zalewał go pot. Prawa dłoń zaczęła mu drżeć ze zmęczenia. Dwóch Awatarów wdrapało się na górę i pomogło mu dźwigać żołnierza. Razem zeszli powoli na dół. Gdy dotarł do podstawy urwiska, wyciągnęły się ku niemu pomocne dłonie. Jeden z żołnierzy rozpiął podwójny pas i odprowadził rannego na bok. Mężczyzna osunął się na ziemię i zamknął oczy, odmawiając dziękczynną modlitwę.

Talaban odzyskał dech w piersiach i wezwał Goraya.

- Złóż meldunek - rozkazał.

- Sześciu Awatarów zginęło, trzech jest rannych. Dwóch Vagarów zabitych, dziewięciu rannych. Żaden z nich poważnie.

- A nieprzyjaciel?

- Naliczyłem siedemdziesiąt dwa ciała - odpowiedział Goray. - Reszta wrogów uciekła na wschód. Było ich najwyżej kilkunastu.

- Zbierzcie ogniste pałki, woreczki z czarnym proszkiem i amunicję. Rozdajcie tę broń Vagarom i wyjaśnijcie im, jak się nią posługiwać.

- Tak jest.

Goray był jednym z trzydziestu Awatarów, którzy eksperymentowali w Egaru ze zdobyczną bronią, i wykazał się wielką biegłością w posługiwaniu się nią.

Talaban podszedł do siedzącego na głazie Pendar. Miecz Vagara nadal leżał na ziemi w odległości około dwudziestu kroków, tuż obok bezgłowego Almeki.

- Chce ci się rzygać? - zapytał Awatar.

- Już nie. Mam wrażenie, że pozbyłem się już zawartości trzech żołądków. Teraz tylko czuję się słabo. Widzę, że zostałeś ranny - zauważył Pendar, wskazując na zadraśnięcie na policzku Talabana. Nadal płynęła z niego krew, która splamiła prawą połowę jego twarzy.

- To tylko groźnie wygląda. Odprysk kamienia przebił mi skórę.

Talaban wyjął kryształ i przystawił go do draśnięcia, które natychmiast się zagoiło.

- To była niezła wspinaczka - pochwalił go Pendar. - Ludzie cię za to pokochają.

Talaban zignorował komplement.

- Nigdy nie uczyłeś się walczyć na miecze, prawda?

- Nie uczyłem. Czy to ty mnie uratowałeś?

- Tak. Strzeliłem szybko i wysoko. Przepraszam. To musiał być szok, kiedy impuls go trafił.

- Szok to za mało powiedziane. W jednej chwili uśmiechał się do mnie szyderczo, a w następnej nie miał już czym się uśmiechać. Gdybym wcześniej o tym nie wiedział, wtedy zrozumiałbym, że właściwie nie nadaję się do tej roboty.

Uśmiechnął się i odwrócił wzrok.

- Nie doceniasz sam siebie, Pendarze. Żołnierki trzeba się nauczyć.

Masz bystry umysł i dasz sobie radę. Trzymaj się blisko mnie. Obserwuj moje poczynania. Z czasem wszystko opanujesz. Już zrobiłeś pierwszy krok. Dobrze poprowadziłeś tę szarżę. Dziękuję ci za to. Wykazałeś się prawdziwą odwagą.

- To odpowiednia chwila na komplement, Talabanie - odparł z uśmiechem Pendar. Vagar wyraźnie się uspokoił i rozejrzał po polu bitwy. - A więc tak to wygląda, gdy człowiek jest wojownikiem - stwierdził. - Nie mogę powiedzieć, że bym był zachwycony. Wszędzie unosi się smród, który przyciąga muchy.

- Kiedy człowiek ginie w walce, jego kiszki puszczają - wyjaśnił Talaban. - Istnieje mnóstwo pieśni o bitwach i o bohaterach, ale żadna z nich nie wspomina o smrodzie. Podejrzewam, że niewielu z ich autorów walczyło kiedyś w prawdziwej bitwie. - Usiadł obok Vagara. - Czujesz się już lepiej?

- Tak. I co teraz?

- Odeślemy ciężko rannych z powrotem do Egaru i ruszymy w dalszą drogę, żeby zabić tylu Almeków, ilu zdołamy. Wolałbyś wrócić? Nie ma w tym hańby. Pochwalę cię w swoim raporcie.

- Nie sędzę, żeby moja babcia była z tego zadowolona - odparł Pendar.

- Chce, żebym zrobił karierę w polityce. Uważa, że ludzie lepiej przyjmą polityka, który jest bohaterem.

- Nie myli się.

- Ona rzadko się myli. To twarda, zdeterminowana kobieta.

Do dwóch zajętych rozmową mężczyzn podszedł Probierz.

- Idę na szczyt - oznajmił. - Zabić obserwatora. Spotkamy się później, tak?

- Bądź ostrożny - ostrzegł go Talaban. - Za godzinę odjeżdżamy.

Dzikus uśmiechnął się i oddalił wielkimi susami.

- Widziałem, jak zabił czterech ludzi tym małym toporkiem - powiedział Pendar. - To było przerażające.

- Pochodzi z wojowniczego ludu. Jego rodacy wierzą, że walka jest jedyną drogą do wielkości.

- A to jest wielkość? - zapytał Pendar, wskazując na poległych.

- Nie - zaprzeczył Talaban. - To bestialstwo, zaprzeczenie wszystkiego, czym jest cywilizacja. Niemniej jednak rodacy Probierza rozumieją pewne prawdy, o których my już zapomnieliśmy. Tylko dzięki walce możemy rosnąć. Tego, czego nauczyłeś się dzisiaj, w ciągu kilku chwil, nie dowiedziałbyś się z żadnej książki czy pieśni ani od żadnego nauczyciela. Siedziałeś na koniu u wylotu wąwozu i spoglądałeś śmierci w oczy. A potem przewyciężyłeś swój strach i ruszyłeś do szarży. Czy kiedykolwiek czułeś się bardziej żywy?

- Nigdy - przyznał Vagar. - Ale i tak było to przerażające.

Masz rację. Wszyscy ci zabici ludzie - Almekowie, Awatarowie i Vagarzy - mieli przed sobą użyteczne, produktywnie życie. A teraz są tylko żarciem dla padlinożernego ptactwa. Jeśli pragnienie twojej babci się spełni i zajmiesz się polityką będziesz mógł wykorzystać to, czego się tu nauczyłeś, dla dobra swych rodaków. Długo już żyję na tym świecie i dowiedziałem się przez ten czas, że wszyscy ludzie wahają się między nikczemnością a szlachetnością. Codziennie podejmują decyzje, które prowadzą ich w jedną, a potem w drugą stronę. Przywódcy powinni inspirować ludzi, budzić w nich szlachetność ducha. Dzisiaj ujrzałeś wiele nikczemności i wiele szlachetności. Może cię to uczynić lepszym albo gorszym człowiekiem. Myślę, że staniesz się lepszy. A teraz podnieś miecz. Pora udzielić ci paru podstawowych lekcji.

To był długi dzień i gdy Sofarita wracała do domu, czuła się śmiertelnie zmęczona. Kwestor Ro spał. Wszyscy jego służący poza jednym również położyli się już do łóżek. Czekał na nią stary Sempes.

- Chcesz coś zjeść, pani? - zapytał. - A może przygotuję ci kąpiel?

- Nie, dziękuję - odparła. - Chyba po prostu się położę.

Weszła powoli na piętro. Gdy szła po schodach, rozbolały ją kolana i biodra - kolejna oznaka postępującej krystalizacji kończyn. Zatrzymała się na szczycie schodów, a potem poszła do swej sypialni. To była mała izdebka z wielkim, łukowatym, wychodzącym na zachód oknem, za którym znajdował się niewielki balkonik. Sofarita widziała gwiazdy jaśniejące nad błyszczącym oceanem.

Była zbyt zmęczona, żeby się rozebrać. Zrzuciła buty, odsunęła koce i położyła się. Poduszka była miękka i kusząca, ale Sofarita nie zapadła od razu w sen.

Minęło osiem dni, odkąd Talaban opuścił miasto ze swymi ludźmi. Obserwowała jego pierwszą bitwę z Almekami i zorientowała się, że przeraża ją perspektywa jego śmierci. Zajmował teraz bardzo wiele miejsca w jej myślach. Miał w sobie coś, co ją pociągało. Nie potrafiła tego sprecyzować. Walczył już w czterech potyczkach, atakując almeckie oddziały, a w tej chwili zmierzał na spotkanie z Wężem. Methras skierował okręt w górę Luanu.

Wieści docierające z innych stron były bez wyjątku niepomyślne. Almekowie wymordowali większość mieszkańców Borii, Pejkanu i Cavalu. Trzy tysiące żołnierzy maszerowały teraz wzdłuż wybrzeża na Egaru. Dotrą do stolicy za osiem dni. Druga armia podobnej wielkości przygotowywała się do wymarszu ze stolicy Ammona.

Methras zatopił dwa złote okręty, ale coraz większa ich liczba wpływała w górę rzeki, dostarczając nieprzyjacielowi żołnierzy i broń.

Viruk, przy pomocy Sofarity, skontaktował się z agentem Boru i wspólnie zmierzali z Ammonem do Egaru. Widziała dzisiaj ich wóz, który toczył się ku stolicy w pobliżu jej rodzinnej wioski, Pcepty. Wieśniacy porzucili osadę, szukając schronienia wśród wzgórz.

Almekowie wysadzili swe armie na całym kontynencie. Na dalekim

południu zmiażdżyli koczowników, zabijając ich setkami. Na wschodzie stoczyli walną bitwę z plemieniem Hantu. Ponieśli wielkie straty, ale na polu bitwy zostało z górą dwa tysiące zabitych Hantu, w tym również ich wódz, Rzak Xhen.

W odległości dwudziestu mil od Egaru kolejna almecka armia rozbiła obóz, w pobliżu bariery mgieł otaczającej Dolinę Kamiennego Lwa. Zbudowali tam konstrukcję złożoną z metalowych prętów, skrzynek oraz przewodów i zajęli się badaniem mgły. Dwudziestu ich żołnierzy próbowało przejść na drugą stronę. Jednemu z nich udało się wrócić. Umarł po paru chwilach. Jego ciało niewiarygodnie się postarzało.

Sofarita przeleciała przez mgłę i zobaczyła, że piramida Anu osiągnęła już trzydziesty pierwszy poziom. Miała blisko dwieście stóp wysokości. Zajrzała do namiotu Anu. Kwestor spał na pryczy. Włosy miał rzadkie i białe niczym śnieg, jego twarz znaczyły głębokie bruzdy, a kończyny były chude jak patyki. Anu obudził się i spojrzał na nią.

- Zastanawiałem się, kiedy mnie odwiedzisz - powiedział na głos. -
A może tylko mi się śnisz?

- To nie sen, Święty.

Anu zamknął oczy i wyciągnął się na pryczy. Wokół ciała kwestora zamigotała słaba, niebieska aura, a potem jego duch wzniósł się ku niej.

- Cieszę się, że cię widzę, dziecko - rzekł. - Jak ci się wiedzie?

- Moc wciąż rośnie - odpowiedziała - czasami powoli, a czasami w gwałtownych przypływach, które mnie obezwładniają. To nie jest stały proces. Tego właśnie się boję.

Ujął jej duchową dłoń.

- Jesteś odważną kobietą, Sofarito. Źródło dokonało dobrego wyboru.
Tak, jak zawsze.

- Nie prosiłam o to, żeby mnie wybrano - odparła. - Ani tego nie chciałam.

- Sądzę, że się mylisz. Gdybyś wiedziała o straszliwym złu, które nadejdzie, i gdyby zaoferowano ci moc, która pozwoli ci się mu przeciwstawić, jestem przekonany, że zgodziłabyś się. Jesteś silna, dobra i masz czyste

serce.

- I muszę umrzeć.

- Wszyscy musimy umrzeć, dziecko. Nikt nie uniknie tego losu. - Puścił jej rękę. - Powiedz Raelowi, że potrzebuję jeszcze jednej skrzynki. Muszę przyspieszyć Taniec.

- Zrobię to. Czy to dlatego nie próbujesz powstrzymać starości?

- Nie pragnę nieśmiertelności, Sofarito. To ciężkie brzemię i daje niewiele przyjemności.

- Kiedy odejdziesz, Muzyka umrze razem z tobą.

Potrząsnął z uśmiechem głową.

- Muzyka nie może umrzeć. Po prostu ludzie przestaną ją rozumieć.

Być może to dobrze. Czas pokaże. Mam jednak wrażenie, że na świecie nawet bez magii jest wystarczająco wiele zła.

- Almekowie próbują się przedostać przez twoją barierę mgieł. Czy potrafisz ich powstrzymać?

Potrafiłbym, ale tego nie zrobię - odparł Anu. Przerwał na chwilę. - Czy wyczuwasz obecność Almei, kiedy jest blisko?

- Tak.

- A czy teraz tu jest?

- Nie.

- Świetnie, w takim razie porozmawiajmy. Na ogół nie mam zwyczaju kłamać, ale pozwoliłem Radowi i pozostałym uwierzyć, że moja piramida ich uratuje, że będzie nowym źródłem mocy, która pozwoli im napełnić skrzynki. Tak naprawdę jest dokładnie odwrotnie. Gdy popłynie z niej Muzyka, wszystkie kryształy utracą moc. Skrzynki staną się puste, łuki zhi przestaną działać. A gdy Muzyka dotrze na zachód, Kryształowa Królowa umrze. Ale najpierw muszę ukończyć piramidę. W tej chwili Almeia wierzy, że stanie się ona dla niej źródłem mocy. Dopóki tak sądzi, nie będzie próbowała mnie powstrzymać. Najważniejsze, żeby nie dowiedziała się prawdy. Musisz cały czas przyciągać jej uwagę, Sofarito. Na wszelkie możliwe sposoby.

Sofarita została z nim jeszcze przez godzinę, omawiając strategię. Potem poczuła bliskość Almei, pożegnała się i wróciła do ciała.

A teraz, leżąc w łóżku, znowu pomyślała o Talabanie.

Nie zaskoczyła jej jego odwaga, ale ucieszyła wrażliwość, jaką okazał wobec Pendara. Zastanawiała się, jak to by było dotknąć jego skóry, pogłaskać go palcami po policzku. Na krótką chwilę znowu stała się wiejską dziewczyną, wspominającą swój pierwszy raz z Verisem. Ale w jej wyobraźni to nie był Veris. Zastąpiła go szczupłą, muskularna postać Awatara.

Powrót do rzeczywistości był brutalny.

Nie jesteś już tą wiejską dziewczyną. Jesteś boginią.

Umierającą boginią.

Kwestor Ro nie spał. Miał za sobą długi dzień, podczas którego przeszkolił rekrutów w trzech koszarach. Zadanie nie było łatwe. Tysiące Vagarów chciały się zaciągnąć i każdego z nich trzeba było poddać badaniom lekarskim oraz dokładnie wypytać. Dlatego wokół budynków ustawiły się długie kolejki, blokujące ulice. Ro wezwano po to, by zaprowadził porządek. W pierwszych koszarach spotkał Raela i Mejaną, którzy kłócili się ze sobą zawzięcie. Vagarka chciała się dowiedzieć, dlaczego młodzi, zdrowi mężczyźni nie mogą po prostu złożyć podpisu i udać się do wskazanych jednostek. Rael próbował jej wytłumaczyć, jakie skutki dla organizacji wojska miałyby takie rozwiązanie. Żadnemu z nich nie udało się przekonać drugiego. Ro postanowił się wtrącić.

- Jeśli można - powiedział. Mejana ze wszystkich sił starała się powstrzymać gniew. Twarz Raela również poszarzała. Oboje skinęli głowami. - Pozwólcie, że najpierw podsumuję oba punkty widzenia. Kwestorowi generalnemu chodzi o to, by nowa armia była zdyscyplinowana i efektywna. Ciebie, pani, niepokoją tak szczegółowe badania, gdyż obawiasz się, że mogą być one elementem jakiegoś tajnego awatarskiego planu mającego na celu utrzymanie kontroli nad armią.

- W rzeczy samej - przyznała Mejana.

- Jak wiadomo Raelowi, nie jestem żołnierzem - kontynuował Ro. - Znam jednak pewne zasady, które zawsze powinny być stosowane. Nasza armia jest mała, ale w ciągu minionych lat wykazała się skutecznością. Linie łączności są dobrze wytyczone, a oficerowie i żołnierze znają się nawzajem.

Wydawane rozkazy wykonuje się szybko i dokładnie. Napływ wielkiej liczby niewyszkolonych rekrutów mógłby spowodować chaos. Jak rozumiem, kwestor generalny zamierza zwerbować tysiąc nowych żołnierzy. To niemalże podwoiłoby liczebność naszej armii.

- Moglibyśmy wysłać do boju dwadzieścia tysięcy ludzi - sprzeciwiła się Mejana. - Mielibyśmy pięciokrotną przewagę liczebną nad Almekami.

- Wycięto by ich w pień! - warknął Rael.

Z całym szacunkiem, pani - ciągnął Ro uspokajającym tonem - i mój szacunek jest szczery, gdyż z pewnością na niego zasługujesz, po prostu nie znasz się na tych sprawach. To, co powiedziałem o liniach łączności, nie tylko jest ważne, ale ma podstawowe znaczenie. Podczas bitwy dowódca musi mieć możliwość zmiany swojej strategii i wydawania rozkazów, mając pewność, że zostaną one bezzwłocznie wykonane. Ty zaś sugerujesz, żebyśmy wystawili przeciwko Almekom niezdyscyplinowaną hałastę. My, Awatarowie, nieraz już walczyliśmy z podobnymi armiami. I zawsze zwyciężaliśmy. Podczas pierwszego ataku giną setki takich żołnierzy. Reszta traci morale. Niektórzy rzucają się do ucieczki. To powoduje chaos, a często również panikę. Nie mamy czasu, by wyszkolić tak wielu ludzi. Niemniej jednak sądzę, że potrafię zaproponować kompromis.

- Musiałby być dobry - zauważył Rael.

- Powinniśmy powołać dwie siły - wyjaśnił Ro. - Pierwszą z nich będzie armia i nadal będziemy przeprowadzać badania, tak jak poprzednio, po to, by zwerbować do niej tylko tysiąc najbardziej odpowiednich mężczyzn. Drugą będzie pospolite ruszenie, walczące pod dowództwem wyznaczonych komendantów dzielnic. Ci ludzie będą bronić murów, gdy nieprzyjaciel je zaatakuje, i walczyć na ulicach, jeżeli zdoła się wedrzeć do miasta. Każdy komendant dzielnicy mianuje swych zastępców, którzy zajmą się rozdawaniem broni. I co wy na to?

- To recepta na katastrofę - skwitował Rael.

- Mnie się podoba - sprzeciwiła się Mejana. - Moi ludzie poczują, być może po raz pierwszy, że ich los spoczywa w ich własnych rękach.

- W takim razie możemy uznać dyskusję za skończoną - stwierdził Rael.

- Wybaczcie.

Wyszedł z pokoju.

Mejana spojrzała na Ro.

- Czy pomożesz mi w zorganizowaniu pospolitego ruszenia? - zapytała.

- Oczywiście, pani. - Ro milczał przez pewien czas, a potem spojrzał w oczy Mejany. - To dobry żołnierz. Nie moglibyśmy znaleźć lepszego kandydata na dowódcę obrony miast.

- Ale? - zapytała.

- Ale nie ma o co walczyć. Jeśli zwycięży, też przegra. Rozumiesz?

- Dni Awatarów się skończyły - odparła. - Nie zrobiłabym nic, żeby to zmienić, nawet gdybym mogła.

- Rozumiem - zapewnił Ro. - Nie o to mi chodzi. Bez względu na to, co uda się nam osiągnąć z pospolitym ruszeniem albo wcielonymi do armii Vagarami, trzon ataku będą stanowili Awatarowie ze swoimi łukami zhi. Ludzie biją się najlepiej wtedy, gdy mają o co walczyć. W obecnej sytuacji, dlaczego Rael nie miałby zebrać kilkuset ocalałych Awatarów, przejąć kontroli nad Wężem i odpłynąć w dalekie kraje, żeby tam zacząć od nowa?

Mejana zastanowiła się nad tym pytaniem i nad jego implikacjami. Gdyby tak się stało, Egaru i Pagaru z całą pewnością wpadłyby w ręce Almeków.

- Nie mam im nic do zaoferowania - stwierdziła po chwili.

- Mogłabyś jasno oznajmić, że po zwycięstwie nie będzie odwetu na moim ludzie.

- Takie oświadczenie byłoby kłamstwem - zauważyła. - Nienawiść do Awatarów jest tak głęboko zakorzeniona, że z pewnością objawi się bardzo szybko.

- Wiem o tym - przyznał ze smutkiem Ro. - I Rael również.

- Cóż więc mogę zrobić?

Kwestor nie odpowiedział. Zasiał ziarno i nie mógł już uczynić nic więcej.

Dzień był wyczerpujący, ale o zmierzchu można już było zauważyć początki organizacji. Mianowano dwudziestu komendantów dzielnic

i wyznaczono dziesięć nowych placów szkoleniowych. Długie kolejki skróciły się i można było liczyć na to, że z czasem zapanuje porządek.

Godzinę przed północą Ro wrócił do domu, odesłał służących i polecił Sempesowi poczekać na panią Sofaritę. Potem wziął długą kąpiel i położył się do łóżka.

Sen nie chciał nadejść. Umysł kwestora pracował jak szalony. Ro myślał o zmarłej żonie i dzieciach, o latach pracy i badań, o spotkaniu z Sofaritą i uczuciach, jakie się wówczas zrodziły. Uczuciach, które nigdy nie miały być spełnione. Z początku miał nadzieję na głębszy związek, ale potem zauważył, jak Sofaritą patrzy na Talabana. Jak mógłby z nim rywalizować? Talaban był wysoki i przystojny. Takie cechy fizyczne w zasadzie nie powinny mieć większego znaczenia w obliczu prawdziwej miłości, Ro zdawał sobie jednak sprawę, że w rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Wstał i wypełnił puchar chłodną wodą. Drzwi były otwarte i czuł zimny przeciąg. Zerknął na otwarte okno. Wiatr nie wpadał przez nie. Zastłony się nie poruszały. Podeszedł do drzwi i wyszedł na korytarz. Natychmiast zaczął drzeć z zimna.

To było śmieszne! Pobiegł do sypialni, narzucił na siebie wełniany płaszcz i wrócił na korytarz. Było tu ciemno, zauważył jednak słaby niebieski blask bijący z pokoju Sofarity. Czy oddawała się jakimś magicznym czynnościom? Czy jej przeszkodzi, jeśli tam wejdzie? Zadrżał i ruszył w tamtą stronę. Drzwi były uchylone. Na ścianach utworzyła się gruba warstwa lodu, a w powietrzu unosiły się płatki śniegu. Ro wszedł do środka.

Sofaritą leżała w łóżku. Jej twarz pokrywały lód i śnieg.

Kwestor podbiegł do niej. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał na króciutką chwilę przezroczystą widmową postać młodej kobiety o białych włosach i zimnych zielonych oczach. Potem zjawa zniknęła. Ro ściągnął koce, objął bezwładne ciało Sofarity i z wysiłkiem dźwignął ją ze skutego lodem łoża. Potem zaniósł ją chwiejąc się na nogach, do swego pokoju. Skórę miała zimną jak lód, a wargi sine. Nie było czasu na rozpalenie ognia. Kwestor położył kobietę na łóżku i zdarł z niej zamarznięte szaty. Potem nakrył ją kocem, zrzucił płaszcz oraz koszulę nocną, wsunął się

pod narzutę razem z Sofaritą i przytulił do niej mocno, pozwalając, by ogrzała ją ciepło jego ciała. Masował delikatnie jej zimne ramiona.

Przez pewien czas był przekonany, że nic to nie pomoże, że Sofaritą umrze w jego objęciach. Potem jednak z jej ust wyrwał się cichy jęk. Ro przytulił kobietę jeszcze mocniej, czując, jak jego ciepło wnika w jej ciało.

Uchyliła powieki.

- Próbowała... mnie... zabić - wyszeptwała.

- Już jesteś bezpieczna - zapewnił Ro. - Bezpieczna ze mną.

Uśmiechnęła się słabo i przysunęła bliżej. A potem zasnęła.

Kwestor zarzucił jej koc na ramiona. Ogrzała się już trochę. Czuł, że z jej ciała zaczyna promieniować ciepło. Nagle uświadomił sobie z całą wyrazistością że jej udo dotyka jego uda. Położył się na plecach i zamknął oczy. Ogarnął go smutek. Jego marzenie się spełniło. Spoczywał w łóżu obok nagiej Sofarity, która obejmowała go ramionami. Mimo to czuł, że ta chwila już się nie powtórzy, że już nigdy nie będzie między nimi takiej fizycznej bliskości, że nie zazna już płynącej z tego radości. Pragnął, żeby trwało to jak najdłużej, leżał więc bez ruchu, ciesząc się każdą słodką ulotną sekundą.

Talaban leżał w ciemności. Ręce miał związane z tyłu, a głowę obolałą od otrzymanych ciosów. Czuł smak krwi płynącej z rany w ustach. Nie wiedział, dlaczego jeszcze żyje. Zmierzając do umówionego miejsca spotkania z Wężem, natknęli się na grupę Almeków. Pendar, któremu uderzyły do głowy sukcesy odniesione w ostatnich dniach, poprowadził swych ludzi do szaleńczej szarży. Talaban pocwałował za nimi, krzycząc, żeby zawrócili.

W chaszczach ukrywał się drugi, liczniejszy oddział i w Vagarów uderzyła śmiercionośna salwa. Dziesięciu ludzi spadło z siodła. Szarża utraciła impet.

- Wracajcie nad rzekę! - ryknął Talaban. Ocalonym Vagarom nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Zawrócili konie i pomknęli w stronę Luanu. Talaban pociągnął za wodze, ale w tej samej chwili z ukrycia wypadło dwóch Almeków. Jeden z nich wystrzelił z ognistej pałki, trafiając wierzchowca Awatara w łeb. Koń runął na ziemię, a Talaban spadł z siodła nad jego głową.

Padł ciężko na ziemię i spróbował się podnieść. Coś uderzyło go z wielką siłą w skroń. Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że leży na wozie i ma związane kończyny.

Przywieźli go do wyludnionej wioski i zamknęli w pustym spichrze.

Nie było tu okien i Awatar nie widział, czy jest dzień, czy noc. Od czasu do czasu tracił przytomność. Kiedy ją odzyskiwał, zawsze było mu zimno i dręczyły go mdłości.

Drzwi się otworzyły i do środka weszli dwaj mężczyźni. Złapali Awatara za ramiona i wywlekli go na zewnątrz. Czekają tam dwóch kolejnych Almeków. Jeden z nich miał napierśnik z błyszczącego złota oraz hełm ozdobiony złotymi piórami, a jego twarz lśniła w blasku księżyca niczym szkło. Drugi był garbusem. Trzymał w dłoni złoty pręt zakończony kółkiem. Strażnicy przyprowadzili go przed nich i obalili na ziemię brutalnym kopniakiem w kolana od tyłu. Potem jeden z nich złapał go za włosy i podniósł na klęczki.

- Sprawiacie nam kłopoty, Awatarze - oznajmił mężczyzna ze szklaną twarzą - ale nie większe niż użądlenie pszczoły. Jutro wyruszam na wasze miasta. Wiemy dużo o waszych wojskach i planach waszych dowódców. Ty jednak powiesz mi więcej.

- Niczego się ode mnie nie dowiesz - odparł Talaban.

- Wręcz przeciwnie. Mój sługa wyciągnie z ciebie wszystko, co kiedykolwiek wiedziałeś. Ma szczególny dar, o czym sam się przekonasz. - Spojrzał na garbusa. - Odczytaj jego przeszłość - rozkazał.

Garbus wetknął sobie złoty pręt za pas i podszedł do jeńca. Ujął głowę Talabana w ręce, naciskając na skronie. Awatara przeszył ogień. To było tak, jakby wąż wcisnął mu się w ucho i wgryzał w mózg. Kapitan skoncentrował się i zaczął Pierwszy Rytuał, szukając obrony przed intruzem. Ruch pod jego czaszką stał się wolniejszy. Talaban wznosił mentalny mur, utworzony z ciemności. Gad wbił kły w zaporę, rozpruwając ją jak przegniły jedwab. Awatar wycofał się, trzymając się swej tożsamości. Wąż posuwał się naprzód. Talaban przeszedł do Drugiego Rytuału, a potem do Trzeciego. Całkowicie skoncentrowany, pozwolił wężowi zapuścić się głębiej.

I nagle przeszedł do kontrataku, wbijając swego ducha w intruzniczym włócznie. Natychmiast zaczęły się tworzyć obrazy. Dzieciństwo spędzone w izolacji i w strachu, przemoc, bicie, drwiny. Potem rodzice sprzedali go grupie żebraków, którzy wykorzystywali jego kalectwo dla zarobku. Zdrapywali z niego skórę i smarowali te miejsca zwierzęcymi ekskrementami, przez co powstawały straszliwe wrzody. Dzięki temu wygląd garbatego dziecka stawał się jeszcze bardziej groteskowy, a to zwiększało jego wartość.

Wąż spróbował się wycofać, ale Talaban trzymał go mocno.

Ujrzał dzieciństwo garbusa, jego wiek młodzińczy oraz szkolenie, jakiemu poddał go Cas-Coatl. Karmiony mocą kryształów, osiągnął zdumiewające talenty, które pozwalały mu czytać w myślach innych. Garbus zdobył nagle władzę i korzystał z niej bezlitośnie przez ponad trzysta lat.

Talaban zobaczył to wszystko. Wyczytał też w myślach garbusa historię ich ucieczki ze skazanego na zagładę świata. Ujrzał również magię, która im to umożliwiła.

Almeia, wspaniała bogini, Kryształowa Królowa.

W nagłym, oślepiającym błysku dostrzegł również, dlaczego Almeia potrzebuje tak wielu ofiar.

Wąż wrywał się rozpaczliwie.

- Twoje życie było smutne - powiedział mu Talaban. - W młodości maltretowano cię i sprawiano ci ból, a w wieku dojrzałym ty tak samo traktowałeś innych. Żal mi ciebie.

Wąż przestał się wrywać.

- Jestem taki, jakim uczynili mnie ludzie - rzekł garbus.

- Oby two następne życie było szczęśliwe - zakończył rozmowę Talaban.

Przeszedł do Czwartego Rytuału i urwał wężowi głowę. Garbus padł martwy na ziemię. Talaban zachwiał się na kolanach, ale zdołał odzyskać równowagę. Cas-Coatl ukląkł przy martwym słudze.

- Jak udało ci się go zabić? - zapytał tonem swobodnej rozmowy.

Talaban uniósł wzrok.

- W taki sam sposób, jak ty byś to zrobił, Cas-Coatlu - odparł.

- Ach, rozumiem. Awatarowie rzeczywiście są podobni do mojego ludu.

Niestety, oznacza to, że będę się musiał uciec do tortur. - Zwrócił się w stronę dwóch strażników. - Zamknijcie go i wyślijcie po Lan-Roasa. Powiedzcie mu, żeby przyniósł wszystkie... narzędzia.

Dwaj mężczyźni chwycili Talabana za ramiona i unieśli z klęczek.

- Torturami nic nie wskórasz, Almeku - zapowiedział Awatar.

- Podejrzewam, że masz rację - zgodził się Cas-Coatl. - Niestety, będziemy musieli to sprawdzić. Lan-Roas jest bardzo uzdolniony. Zacznie od wypalenia ci prawego oka. Potem utnie palce prawej dłoni. Później całą dłoń. A to, przyjacielu, będzie dopiero początek. Będziesz zdumiony, jak wielki ból potrafi zadać swym ofiarom.

Talaban nie odpowiedział. Strażnicy odprowadzili go i rzucili na ziemię w spichrzu. Gdy zatrzasnęli drzwi, znowu otoczyła go nieprzenikniona ciemność. Przetoczył się z wysiłkiem na kolana, a potem zaczął szarpać krępujące nadgarstki więzy. Rzemienie nie chciały jednak ustąpić. Awatar wstał i ruszył ostrożnie przed siebie, aż wreszcie dotarł do ściany. Odwrócił się do niej plecami i zaczął posuwać się ostrożnie wzdłuż niej, szukając ostrych krawędzi, o które mógłby przeciąć więzy. Nic nie znalazł.

Ile czasu zostało mu do przybycia oprawcy, który go okaleczy?

Nie myśl o tym, rozkazał sobie stanowczo.

W końcu dotarł do drzwi spichrza. Belki były wprawione w kamień i tu również nie znalazł żadnych ostrych krawędzi, które mogłyby mu pomóc. Na koniec zaczął chodzić po pomieszczeniu, przesuwając nogą po klepisku w poszukiwaniu kamieni, które mogłyby tu leżeć. Również bez powodzenia. Awatar poczuł dotknięcie lodowatego palca rozpaczy. Wznowił poszukiwania, tym razem poruszając się jeszcze ostrożniej. Nagle dotknął stopą jakiegoś małego przedmiotu. Usiadł i wyciągnął się, muskając klepisko koniuszkami palców. Z początku nie był w stanie zlokalizować przedmiotu, ale w końcu jego palce natrafiły na coś twardego. Obiekt był płaski, nieregularny i miał nie więcej niż cal średnicy. Uniósł go ostrożnie i przesunął po nim kciukiem. To

był kawałek potłuczonego garnka.

Ostry.

Zaczął nim piłować rzemienie. Po kilku minutach udało mu się dotknąć ich palcem. Zagłębienie było bardzo płytkie. Wiedział, że potrwa to kilka godzin.

Nie miał tak wiele czasu.

Wrócił do drzwi i wsunął odprysk w szczelinę. Potem wbił jego krawędź w swój lewy nadgarstek, tuż nad więzami. Ze skaleczenia popłynęła krew, która zwilżyła suchy rzemień. Pozwolił, by wyciekała przez kilka minut, aż wreszcie poczuł, że skapuje po palcach na klepisko. Potem napiął mięśnie i pociągnął z całej siły.

Więzy wytrzymały. Talaban zaczerpnął trzy szybkie oddechy i spróbował raz jeszcze. Tym razem nie wykonywał gwałtownych ruchów. Oparł się mocno i wykręcił lewy nadgarstek, by szarpnąć pod innym kątem. Więzy nieco się rozciągnęły.

Usłyszał kroki. Ten dźwięk dodał mu sił i znowu pociągnął za rzemienie. Skaleczenie na jego nadgarstku było teraz jeszcze większe, a krew płynęła obficie, mocniej zwilżając rzemień. Gdy kroki zatrzymały się przed drzwiami, więzy puściły. Talaban zachwiał się, a potem ruszył chwiejnie ku wejściu.

Usłyszał stukot odsuwanej skobla. Potem drzwi otworzyły się do środka. Do spichrza wszedł wysoki mężczyzna. Na plecach niósł worek, a w rękę trzymał małą piłę. Znieruchomiał na widok czekającego nań Talabana. Awatar rzucił się do ataku, wyciągając przed siebie prawą rękę z wyprostowanymi palcami. Ich koniuszki uderzyły w gardło Almeka, miażdżąc kości. Mężczyzna osunął się na ścianę. Wydał z siebie bulgoczący dźwięk, usiłując zaczerpnąć oddechu, który nigdy już nie miał nadejść. Talaban odepchnął go na bok. Za drzwiami stało trzech strażników.

Nie miał szans pokonać ich wszystkich.

W tej samej chwili z niskiego dachu spichrza zeskoczyła jakaś ciemna postać. Błysnął toporek, przecinając gardło pierwszego strażnika. Talaban

rzucił się na drugiego, uderzając go zakrzywionymi palcami lewej dłoni poniżej podbródka. Trzeci Almek wyciągnął miecz i zaatakował Awatara. Ostrze wbiło się pod żebra po lewej stronie, rozpruwając ciało. Talaban złapał przeciwnika za rękę i pociągnął go ku sobie - prosto na swój lewy łokieć. Strażnik zachwiał się. Gdy się wyprostował, w głowę wbił mu się toporek Probierza.

- Spiesz się - warknął dzikus. - Konie są za wioską.

Nagle za ich plecami rozległ się krzyk. Talaban obejrzał się i zobaczył Cas-Coatla oraz kilkunastu żołnierzy biegnących w ich stronę.

- A teraz pędźmy! - zawołał Probierz i pognął przed siebie. Talaban ruszył za nim. Gdy dotarł do skraju wioski, dzikus był już daleko z przodu. Zniknął w płytkim, suchym parowie. Awatar był krańcowo wyczerpany i nie mógł już dłużej biec.

Odważył się zerknąć za siebie i zobaczył, że Almekowie się zbliżają. Usłyszał tętent. Probierz wypadł z parowu, prowadząc za sobą drugiego konia. Gdy przejeżdżał obok, Talaban złapał za łęk i wskoczył na siodło. Zagrzmiały ogniste pałki, ale żaden z pocisków nie przeleciał blisko.

Dwaj mężczyźni popędzili cwałem na zachód, między wzgórze, kierując się ku odległemu Luanowi. Po chwili Talaban dostrzegł sylwetkę Węża.

Pół godziny później siedział już w swej dawnej kajucie, a Probierz zszywał mu ranę nad biodrem. Methras spoczął na krześle naprzeciwko niego.

- Nie spodziewałem się, że jeszcze cię zobaczę - oznajmił Talabanowi.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowany.

Methras wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Probierz zagroził, że poderżnie mi gardło, jeśli nie dam mu szansy odnalezienia cię.

Talaban skrzywił się z bólu.

- Zabrali mój kryształ - oznajmił.

- Skorzystaj z mojego - zaproponował Methras, rozsznurowując mieszek, który miał u pasa. Talaban spojrzał w jego niebieskie oczy. Jeszcze przed tygodniem Vagara posiadającego podobne kryształy natychmiast skazano by na śmierć.

- Potrafisz się nim posługiwać? - zapytał Awatar.

- Trochę. Ale się nauczę.

Talaban ujął klejnot w dłoń i przystawił go sobie do rany na biodrze, która natychmiast zaczęła się goić.

- Zapoznam cię z rytuałami - zaproponował.

- Znam je. Ale przeszkadza mi vagarska krew - wyjaśnił z uśmiechem Methras.

- Jak długo siedziałeś na tym dachu? - zapytał Probierza Talaban.

- Długo. Za dużo żołnierzy w pobliżu.

- A jak udało ci się dostać tam niepostrzeżenie?

- Dużo potrafię. Na pewno się ucieszyłeś na mój widok.

- Ucieszyłem się, że dałem ci ten toporek. - Awatar przeniósł spojrzenie z powrotem na Methrasa. - Musimy jak najszybciej wrócić do Egaru. Almecka armia ma wymaszerować jutro. Dotrze do miasta w niespełna pięć dni.

- Kwestor generalny już o tym wie. Maszerują na nas trzy armie. Blisko osiem tysięcy ludzi.

- Bardzo dużo - stwierdził Probierz. - Możemy przegrać.

Talaban wstał z łóżka ze stęknieniem.

- Muszę odpocząć - oznajmił. - Gdzie jest moja kajuta?

- To jest twoja kajuta - odparł Methras.

- Nie, już nie.

- I tak większą część nocy spędzę w sterowni - wyjaśnił z uśmiechem Vagar. - Odpocznij tutaj. Obudzę cię, kiedy dopłyniemy do Egaru.

Talaban wyciągnął się na znajomej koi. Był zbyt zmęczony, żeby się spierać.

Gdy Probierz ruszył w stronę wyjścia, Awatar złapał go za ramię.

- Wrócisz do domu, przyjacielu. Do Suryet.

Potem zamknął oczy i zapadł w głęboki, pozbawiony snów sen.

Rozdział dwudziesty czwarty

Wszystkie wydarzenia minionego miesiąca były w opinii Raela przygnębiające. Wydawało się, że nic nie idzie jak trzeba, od chwili gdy kwestor Ro wrócił z czterema w pełni naładowanymi skrzynkami mocy. To było tak, jakby w momencie, gdy ich nadzieje osiągnęły punkt szczytowy, Źródło obróciło się nagle przeciwko nim.

Na bliźniacze miasta maszerowały trzy zdyscyplinowane, śmiertelnie groźne armie, Vagarzy byli gotowi do przejęcia kontroli nad swym przeznaczeniem, a moce wiedzy rosły z każdym dniem. Rael był znużony. Wyjął z mieszka biały kryształ i przyłożył go sobie do czoła. Wypełniła go chłodna, ożywcza energia. Westchnął i jego myśli wróciły do Sofarity. Gdy się z nią spotykał, zawsze musiał zostawiać kryształy. Jej bliskość pozbawiała je mocy. Dlatego nie zapraszał jej już do Sali Obrad, lecz spotykał się z nią w domu Ro.

Rael siedział za biurkiem, spoglądając na stertę leżących na nim papierów.

Chwytał pierwszy z nich i przeczytał meldunek o sytuacji dotyczącej zaopatrzenia w żywność. Gdy tylko dowiedział się o istnieniu Almeków, nakazał sprowadzić jak najwięcej prowiantu i spichrze bliźniaczych miast były przepełnione. Mimo to po trzech tygodniach oblężenia mieszkańcy zaczęliby głodować. Racjonowanie musiałyby się zacząć już od jutra.

Podszedł do okna i spojrzął na zatokę. Kotwiczyl tam Wąż, a także pięćdziesiąt mniejszych, vagarskich statków. Od wielu dni zwoziły do miasta zaopatrzenie, ale teraz nie miały już dokąd płynąć. Wioski nad brzegiem Luanu opustoszały. Ich mieszkańcy uciekli albo zostali wymordowani.

Wrócił do biurka i przerzucił papiery. Jego uwagę przyciągnął raport z Kryształowego Skarbca. Caprishan dostarczył Anu drugą skrzynkę, zgodnie z jego życzeniem. Trzeciej właśnie używano, by naładować łuki zhi. Czwarta nadal spoczywała w sercu Węża. Wkrótce Rael będzie musiał rozkazać ją stamtąd wyjąć i ich okręt utraci zdolność ruchu.

Waż Siedem pod pewnymi względami przypominał Awatarów. Potężny, ale skazany.

Rael był w ponurym nastroju. Miał za mało mocy i za mało ludzi. Talaban nazwał go największym żyjącym strategiem. Rael w to wierzył, ale nawet najlepsze plany strategiczne na nic się nie zdadzą, jeśli brakuje środków, by wprowadzić je w życie.

Gdyby nie te ograniczenia, Rael wysłałby kilka silnych jednostek, które nękałyby zbliżające się armie, odcinały im szlaki zaopatrzenia, osłabiały je. Miał jednak niespełna dwustu zdolnych do walki Awatarów i nie mógł sobie na to pozwolić. Wysłanie lekkobrojnych Vagarów przeciwko ognistym pałkom byłoby samobójstwem. Dlatego nieprzyjaciel mógł maszerować w swoim tempie, dyktując przebieg wojny.

Jedyną przewagą zapewniała Raelowi krwiożerczość Almeków. Gdyby ich najazd był mniej krwawy, podbita ludność mogłaby się stać dla nich źródłem zaopatrzenia. W obecnej sytuacji musieli zająć miasta najszybciej, jak tylko zdołają.

Kwestor generalny zastanowił się nad tym. Mury Pagaru nie były mocne. Zbudowano je pośpiesznie, we wczesnych latach podboju. Był pewien, że można je sforsować. Egaru było mniejsze i obrona jego krótszych murów będzie łatwiejsza. Dlatego właśnie postanowił skierować większość Awatarów do Pagaru.

Potem pomyślał o Ammonie. Król przebywał w wybranych dla niego apartamentach, na pierwszym piętrze budynku Rady. Wkrótce Rael będzie musiał się z nim spotkać. Jego pięciotysieczne wojsko mogłoby pomóc rozprawić się z falą najeźdźców, czy jednak byłoby rozsądne zaprosić do miast pięć tysięcy w zasadzie wojowników nieprzyjaciela? Jeżeli jakimś cudem uda się całkowicie rozbić Almeków, Ammon osiągnie cel, do którego od dawna dążył. Przejmie władzę nad Imperium Awatarskim.

Imperium?

Jakim imperium? Ta myśl jeszcze bardziej przygnębiła Raela. Nie mieli już imperium.

Drzwi się otworzyły i wszedł Viruk.

- Czego chcesz, kuzynie? - zapytał kwestor generalny, poirytowany tym nagłym wtargnięciem.

- Ja ci dam kuzyna, ty skurwysynu! - zagrział Viruk. - Wysłalesz mnie z awatarskiego miasta, żebym uratował obojnaczego podczłowieka, i co zastałem po powrocie? Miastem władają vagarskie psy. Powinienem poderżnąć ci gardło, ty zdradziecki skurwielu!

Raela ogarnął zimny gniew. Kwestor generalny wstał zza biurka i stanął przed rozjuszonym wojownikiem.

- Jeśli ktoś tu jest winien zdrady, to tylko ty, arogancki głupcze - warknął. - Prawdziwą władzę w miastach sprawuje teraz wieśniaczka, z którą się przespałeś. A wiesz dlaczego? Dlatego, że złamałeś prawo i ją uzdrowiłeś, Viruku. Jest zjednoczona z kryształem. Nawet ty rozumiesz, co to oznacza. Próbowaliśmy ją zabić. Nie udało nam się.

- Ja mógłbym to zrobić - stwierdził Viruk. - Potrafię zabić wszystko, co żyje i oddycha.

- W tej chwili nie wchodzi to w grę. Jej moce dają nam jedyną szansę pokonania Almeków. Ale gdy piramida Anu zostanie ukończona, sytuacja może się zmienić.

- I co wtedy? Odzyskamy władzę?

- Oczywiście - skłamał gładko Rael.

Viruk uśmiechnął się szeroko.

- To mi się bardziej podoba.

Muszę iść przywitać gości. - Rael przyjrzał się brudnemu po podróży ubraniu Viruka. - Chyba powinieneś wrócić do domu i wziąć kąpiel.

- Przypadkiem nie wiesz, czy moje kaczeńce przybyły bezpiecznie? - zainteresował się Viruk.

- Nie wiem - odparł kwestor generalny.

Po wyjściu Viruka Rael udał się do Sali Obrad i polecił słudze przyprowadzić panią Mejanę oraz Ammona.

Mejana przybyła pierwsza. Miała na sobie powłóczystą niebieską szatę. Skinęła krótko głową do Awatara i bez słowa usiadła po jego prawej stronie.

Czekali w milczeniu kilka minut, nim sługa wreszcie zapowiedział króla.

Ammon wszedł do sali. Miał na sobie pożyczoną tunikę z szaroperłowego jedwabiu oraz sandały ze srebrnymi rzemykami. Ciemne włosy opadały mu na ramiona, umyte i wyperfumowane, a jego ruchy były ospałe i pełne gracji. Okrążył stół i usiadł obok Raela.

- Przydzieliliście mi urocze apartamenty - stwierdził - ale z chęcią skorzystałbym z usług krawca.

- Przyślę ci jakiegoś, jak tylko skończymy - obiecał Rael. - Ale najpierw pozwól, że przywitam cię w Egaru. Ciesz się, że pomogliśmy ci się uratować.

- Z pewnością każecie mi za to zapłacić - zauważył Ammon. Skierował spojrzenie fioletowych oczu na Mejanę. - A kim ty jesteś, pani?

- Pozwól, że przedstawię ci panią Mejanę, moją pierwszą radną - wtrącił szybko Rael.

Ammon pochylił lekko głowę.

- Pani, czyżby wśród Awatarów nastąpiła moda na rezygnację z niebieskich włosów? - zapytał z ironią.

- Nie jestem Awatarem, panie.

Twarz Ammona przybrała wyraz drwiącego zaskoczenia.

- Doprawdy? W takim razie jak udało ci się osiągnąć tak znaczącą pozycję?

- Jak wiesz - wtrącił ze spokojem Rael - Mejana jest przywódcą pajistów, organizacji finansowanej przez ciebie i twojego ministra Anwara. Niemniej jednak w tej chwili nie ma to większego znaczenia. Mamy do czynienia ze strasliwym wrogiem. Musimy zdecydować, jak najskuteczniej z nim walczyć.

- Moja armia powinna tu nadciągnąć za kilka dni - odparł Ammon. - Sugerowałbym, żebyśmy po prostu bronili murów.

- Najpierw konieczne byłyby pewne obietnice - oznajmiła Mejana.

- A mianowicie?

- Musiałbyś obiecać, że po zwycięstwie twoi żołnierze odejdą.

- Nie muszę nic nikomu obiecywać, pani. Tym krajem władali ongiś

Erek-jhip-zhonad i wróci on pod nasze panowanie. Mam wrażenie, że to ja powinienem stawiać żądania.

Drzwi się otworzyły i do sali wszedł sługa. Pokłonił się kolejno wszystkim obecnym i podszedł do Raela.

- Wiadomość od pani Sofarity, panie.

Rael wziął kartkę, przeczytał ją, a potem odchylił się do tyłu na krześle.

- Mam nadzieję, że to dobre wieści - odezwał się Ammon.

Kwestor generalny wstał.

- Twoją armię zaatakowano w wąwozie Gen-el. Trzy tysiące zginęły, reszta uciekła. Rozmowa skończona.

- Myślę, że Źródło mnie nienawidzi - mówił Rael. Opowiedział jej o zagładzie armii Ammona i o nadciągających niezwycięzonych Almekach. Ujęła go za rękę i poprowadziła do ogrodu na dachu. Ustawiono tam długi stół, przykryty miękkimi ręcznikami. Obok niego znajdował się mniejszy, na którym stały flakoniki z wonnym olejkami.

- Zdejmij ubranie, Raelu - powiedziała.

- Nie mam czasu, Mirani.

Rób, co ci mówię, mężu - zażądała. Rael ściągnął z westchnieniem tunikę oraz rajtuzy. Potem nakazała mu gestem położyć się twarzą w dół na łóżku do masażu. Gdy już to zrobił, wylała sobie olejek na dłonie i zaczęła ugniatać mięśnie jego barków. - Są twarde jak żelazo - oznajmiła. Jęknął, gdy nacisnęła mocniej. - Uważasz, że Źródło cię nienawidzi? Jeśli to prawda, okazuje ci to w dziwny sposób. Przeżyliśmy razem z górą stulecie miłości. Ty arogancie! - Jej palce złagodziły napięcie w górnej części pleców i przesunęły się w dół. - Źródło cię nie nienawidzi, Raelu. Musi jednak nienawidzić tego, kim się staliśmy. Tyranami i właścicielami niewolników. Wszystkie nasze plany, wszystkie ambicje mają tylko jeden cel: utrzymanie władzy, dominację. Utrzymujemy się przy życiu dzięki kradzieży życia innych. Gdyby Źródło tego nie nienawidziło, przestałabym w nie wierzyć. Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę zasiadać w Radzie?

Leżał nieruchomo, pozwalając, by jej dłonie pomagały mu swą magią.

Kontynuowała masaż, rozciągając łokciem długie mięśnie nad biodrami. Rael jęknął.

- Chcesz mi pomóc, czy mnie zabić? - zapytał.

Próbuję sprawić, żebyś ujrzał prawdę - odparła. - Mejana jest jasnym blaskiem jutrzeńki, a Sofarita słońcem, które nastaje po deszczu. One nie są złe, Raelu. Są niezbędne. W dawnych dniach Źródło pobłogosławiło nas wieloma dziećmi. Wszystkie dożyły wieku dorosłego. I wszystkie zginęły w zagładzie świata. Wszystkie oprócz Chryssy. - Zamknął oczy pod wpływem bolesnego wspomnienia. - Żyła krótko, ale dała nam wiele radości. Pomyśl, jak musiała się czuć Mejana, gdy jej córkę, światło jej życia, wyszano na kryształach. Pomyśl o jej bólu, Raelu. To prawda, że zamordowała Baliela i rozkazała zabić innych. To prawda, że nienawidzi Awatarów. Ale jej sprawa jest słuszna. Poświęciła życie walce o to, by żadna matka nie musiała już patrzeć, jak jej dziecko wysysają na kryształach. Nie powinieneś jej nienawidzić, Raelu. Ona zasługuje na podziw i szacunek. A jeśli chodzi o niepowodzenia, które cię spotykają... czy wydawało ci się, że wszystkie wojny zakończą się łatwym zwycięstwem? Jesteś kwestorem generalnym. Znajdziesz sposób na pokonanie wroga. Tego od ciebie oczekuję. A teraz się odwróć.

Przetoczył się na plecy. Mirani rozwiązała sznurówki sukni i pozwoliła jej opaść na trawę. Potem wdrapała się na stół i dosiadła Raela.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramionach.

- Jak to możliwe, że stałaś się taka twarda? - zapytał.

- Poślubiłam żołnierza - odparła. I pocałowała go.

- Ryzyko jest zbyt wielkie - oświadczył Talabanowi kwestor Ro. Sofarita siedziała bez słowa na trawie, najwyraźniej zatopiona w myślach.

W powietrzu unosiła się intensywna woń jaśminu. Wszyscy troje wygrzewali się w promieniach popołudniowego słońca. Ro nie był zadowolony, gdy zjawił się rosły oficer. Zauważył ze skrywaną trwogą że Sofarita rozpromieniła się na jego widok.

- Uważam, że to nasza jedyna nadzieja, kwestorze - sprzeciwił się

Talaban.

Sofarita uniosła wzrok.

- Powiedz mi jeszcze raz, czego się dowiedziałeś od garbusa. Ze wszystkimi szczegółami.

Talaban uśmiechnął się.

- Mógłbym ci opowiedzieć całe jego życie, pani, ale to niewiele by nam dało. Istotny jest fakt, że Kryształowa Królowa wcale nie zamierzała przemieścić części swego kontynentu do naszego świata. Planowała najpierw stworzyć barierę, która zatrzymałaby morskie fale, a następnie przesunąć swe miasta w jakąś spokojniejszą okolicę planety. W rzeczywistości jednak otworzyła bramę między światami. Nie miałyby to większego znaczenia, gdyby nie fakt, że nie zamknęła tej bramy. Działają tu potężne siły, które próbują przyciągnąć jej kraj z powrotem na dawne miejsce. Zużywa mnóstwo mocy tylko na to, by utrzymać tu swój kontynent. Dlatego właśnie potrzebuje tak wielu ofiar. I dlatego boi się ciebie, pani. Możesz odebrać jej część mocy. Ale nie z tego miejsca. Rael mówił mi, że nie odważy się już zabierać ze sobą kryształów na spotkanie z tobą. Zostawia je w Sali Obrad. Nawet tam twoja moc wysysa ich energię, ale w mniejszym stopniu. Jestem przekonany, że jeśli wyruszymy na zachód i zbliżymy się do państwa Kryształowej Królowej, będziesz w stanie ją osłabić. Być może wówczas Almekowie zostaną ściągnięci z powrotem przez bramę.

- Tylko ci, którzy przebywają na tamtym kontynencie - zauważyła Sofarita nieobecny głosem.

- Uważasz, że się mylę, pani?

- Nie. Nie mylisz się, tylko za bardzo wybiegasz myślą naprzód. Moje moce są jeszcze zbyt słabe, bym mogła zaatakować ją bezpośrednio. Najpierw muszę pomóc Raelowi w zniszczeniu armii najeźdźców. Dopiero później będziemy mogli pomyśleć o zaatakowaniu zachodu. Masz piękny ogród, Ro.

- Dziękuję - odparł kwestor. - Nie może się równać z ogrodem Viruka, ale daje mi wiele radości. Lubię patrzeć, jak...

- Odeszła - przerwała mu nagle Sofarita. - Almeida nas obserwowała.

Patrzyła i słuchała. Wkrótce wróci. Nie mamy zbyt wiele czasu na zaplanowanie podróży.

- A więc uważasz, że mam rację? - zapytał Talaban.

- Tak, nie ma innego wyjścia. Ale gdy tylko wypłyniemy, będzie wiedziała, co planujemy. Czeka nas wiele niebezpieczeństw.

- Nie jest wszechwiedząca - nie ustępował Ro. - Zaskoczył ją słoneczny ogień, zatopienie jej okrętów i zjawienie się Węża, który uratował Pagaru. Nie udało się jej też wciągnąć Talabana w zasadzkę w wąwozie.

Wie o wszystkim - zapewniła Sofarita - ale ogranicza ją to, że to inni muszą wykonywać jej rozkazy. Co innego poinformować dowódcę, że przez wąwóz spróbuje przejść oddział nieprzyjaciela, a co innego pokierować przebiegiem bitwy, która nastąpi. Jej wódz, Cas-Coatl, porozumiewa się z nią za pomocą kryształów, które nosi za pasem. Zawiadomiła go, że mały oddział spróbuje przejść przez wąwóz Gen-el. Wysłał dwóch swoich kapitanów, żeby was zatrzymali. Ale ci kapitanowie nie mieli żadnej łączności z Almeią. Powiedziała też Cas-Coatlowi o słonecznym ogniu, ale on był przekonany, że zdoła go zniszczyć przed przybyciem Węża. Pomylił się. Zaufajcie mi. Ona wie o każdej naszej słabości. Ale wykonanie jej rozkazów wymaga czasu i to jest naszą siłą. Popłyniemy na zachód. Wybiorę miejsce, w którym wylądujemy, i nie zdradzę go nikomu aż do chwili, gdy będziemy prawie na miejscu.

- Popłynę z tobą, Sofarito - zaproponował Ro.

- Nie jesteś wojownikiem, przyjacielu. Co miałbyś tam robić?

- Mam inne talenty - odparł niski mężczyzna. - Będziesz ich potrzebowała.

- Niech i tak będzie. Wypływamy o północy.

Viruk siedział w otwartej dorożce. Obejmował ramiona niskiego garncarza.

- Tam jest Wielka Biblioteka - poinformował go. Sadau nigdy w życiu nie widział takiego budynku. Myślał, że królewski pałac w Moraku jest imponujący, ale w porównaniu z tym gmachem przypominał on zwykłą lepiankę. Biblioteka była ogromna. Dwa wysokie na trzydzieści stóp posągi

podtrzymywały kolosalny kamień nadproża nad wejściem. Na tym kamieniu umieszczono kolejną statwę, przedstawiającą siedzącego mężczyznę z rozpostartymi ramionami.

- Kim jest ten siedzący król? - zapytał garncarz.

- To czwarty Pierwszy Awatar - wyjaśnił Viruk. - A może piąty. Nie pamiętam dokładnie. W tym budynku jest ponad trzysta pokojów.

Przed wejściem czekał szereg powozów. Dziesiątki służących wносиło do środka skrzynie.

- Co oni robią? - zainteresował się Sadau. - Wnoszą tam skarby?

- Swego rodzaju - odparł Viruk. - To najsolidniejszy budynek w Egaru. Przeniesiono do niego żony i dzieci Awatarów. A teraz, czy chciałbyś zobaczyć coś szczególnego?

- Szczególnego? - powtórzył garncarz. - Ale to nie ma nic wspólnego z zabijaniem, prawda?

Viruk poklepał go z uśmiechem po plecach.

- A skąd ci to przyszło na myśl?

- Nie dostarczyłem tej głowy. Uciekłem i ukryłem się.

- Uważasz, że twoja śmierć jest dla mnie aż tak ważna, że zapłaciłbym za dorożkę, żeby zawieźć cię na miejsce kaźni? Daj spokój, garncarzu.

Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to już dawno.

- Dziękuję, panie - rzekł Sadau, przypominając sobie, jak zareagował Viruk, gdy wędrowcy spotkali Boru. Awatar uśmiechnął się do niego, a potem wyciągnął sztylet, wskoczył na wóz, złapał starego mężczyznę za włosy i odciągnął jego głowę do tyłu. Sztylet zawisł nad gardłem Boru, ale w tej samej chwili zabrzmiał głos króla: - Nie zabijaj go, Viruku! To mój człowiek!

Awatar znieruchomiał na moment, a potem schował nóż, usiadł obok Boru i objął ręką jego ramiona. Prawie tak samo, jak teraz robił to z Sadau.

- Cieszę się, że znowu cię widzę, Boru - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Co u ciebie słychać?

Sadau zadrżał na to wspomnienie. Awatar był szaleńcem, a on teraz jechał z nim i tylko bogowie wiedzieli dokąd.

Dorożka jeszcze przez pewien czas toczyła się szeroką aleją a potem

skręciła w wysadzaną drzewami drogę prowadzącą ku lesystemu wzgórz. Było tu niewiele domów, ale wszystkie wyglądały naprawdę imponująco. Zgodnie z oczekiwaniami Sadau, dom Viruka okazał się najwspanialszy ze wszystkich.

Zatrzymali się przed wyłożonym marmurowymi płytami wejściem. Viruk wysiadł i zapłacił dorożkarzowi, a potem poprowadził garncarza na zaplecze domu i otworzył przed nim furtkę do ogrodu.

- Spójrz!

Sadau ujrzał przed sobą zdumiewająco piękny widok, ogród pełen kwiatów bezbłędnie dobranych kolorystycznie i cudownie pachnących. Rosły tu kwiaty, jakich nigdy w życiu nie widział. Zatrzymał się z rozdziawionymi ustami. To wyglądało jak wizja raju.

- I jak? - zapytał Viruk.

- Nawet w niebie z pewnością nie jest tak pięknie - wyszeptał Sadau. Ignorując Awatara, wyszedł na wykładaną kamieniami ścieżkę. Szerokie schody prowadziły do skalnego ogrodu. Po obu ich stronach stały wielkie donice z terakoty, pełne kwiatów.

Viruk dogonił gościa.

- To jest mój świat - oznajmił. Jego głos zmienił barwę. Sadau obrzucił go dociekliwym spojrzeniem. Zniknęła otaczająca Awatara aura groźby. Nawet jego szare oczy miały teraz łagodniejszy wyraz.

Na ścieżce pojawił się służący, mężczyzna w średnim wieku. Na ramieniu niósł worek ze słomy, wypełniony chwastami. Uśmiechnął się na widok Viruka.

- Kaczeńce świetnie się przyjęły, panie - poinformował go. - Musisz je zobaczyć. Wyglądają naprawdę pięknie.

Viruk i służący oddalili się, zostawiając Sadau na ścieżce.

Garncarz zsunął buty i zaczął przechadzać się po skalnym ogrodzie. Ziemia była tu cudownie wilgotna. Po chwili dotarł do strumyka. Usiadł na trawie i zanurzył nogi w wodzie. Po raz pierwszy od wielu dni zaznał spokoju. Wyciągnął się na brzegu i zamknął oczy.

Kiedy się obudził, zapadał już zmrok. Sadau usiadł i potarł powieki.

Potem wstał, włożył buty i ruszył w stronę domu. Zobaczył go sługa - wysoki, chudy mężczyzna o długim nosie i małych bystrych oczkach.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytał sztywno, spoglądając z niesmakiem na brudne łachy Sadau.

- Pan Viruk chciał mi pokazać swój ogród - wyjaśnił garncarz. -
Podróżowaliśmy razem - dodał. Nie zrobiło to wrażenia na słudze. -
Uratowaliśmy króla.

- A jakiego?

- Króla Ammona. Przyprawiliśmy go do Egaru. Pan Viruk obwoził mnie po mieście w dorożce. Widziałem bibliotekę.

- No cóż, mój panie. Pan Viruk udał się do Sali Obrad i nic nie wspominał o tym, że ma gościa.

- Pewnie o mnie zapomniał - zaniepokoił się Sadau.

- Gdzie się zatrzymałeś? Wezwę dla ciebie dorożkę.

- Nie mam pojęcia. Czekałem długie godziny pod Salą Obrad. Potem pan Viruk przywiózł mnie tutaj.

W tej właśnie chwili pojawił się ogrodnik.

- Ach, tu jesteś - rzekł. - Szukałem cię. Nazywam się Kale - dodał, wyciągając wielką dłoń.

- Sadau - przedstawił się garncarz.

- Pan Viruk powiedział, że masz się zatrzymać na noc u mnie. Mam mały domek jakąś milę stąd.

Sadau chciał coś powiedzieć, lecz nagle się zawahał.

- O co chodzi? - zapytał Kale.

- Hm... nic nie jadłem od dwóch dni. Czy masz w domu coś do jedzenia?

Ogrodnik zachichotał.

- Pan Viruk jest wspaniałym dżentelmenem, ale rzadko przyjmuje gości. - Kale zerknął na sługę. - Daj nam resztę pasztetu, trochę chleba i solonego masła - zażądał. - Zjemy w ogrodzie. Przynieś też jakieś lampy.

Ku zaskoczeniu Sadau, sługa pokłonił się i odszedł.

- Musisz być bardzo ważny - zauważył. - Myślałem, że na mnie napluje.

- Jestem tylko ogrodnikiem - odparł z uśmiechem Kale. - Ale ogrodnikiem pana Viruka. Uwierz mi, to prawie, jakbym był królem.

Pierwsza almecka armia dotarła pod mury Pagaru tuż przed zmierzchem. Rael odebrał wiadomość przekazaną przez błyski lamp na wschodniej wieży strażniczej, po drugiej stronie zatoki.

- Cztery tysiące ludzi - rzekł jego adiutant, Cation, odczytując światła. - Ale nie widzą wież oblężniczych ani innych machin. Rozbili obóz tuż poza zasięgiem łuków zhi. - Na południowym brzegu rzeki nie dostrzeżono jeszcze żadnych oznak obecności nieprzyjaciela. - Idzie tu pani Mejana, kwestorze - dodał Cation.

Rael odwrócił się i przywitał Vagarkę płytkim ukłonem. Włożyła gruby płaszcz, by osłonić się przed wieczornym wiatrem. Wydawała się starsza i bardziej znużona niż jeszcze niedawno.

- Otrzymałam list od ciebie - oznajmiła.

- Lepiej o tym nie mów, z powodów, o których pisałem.

Skinęła głową.

- Mamy w tej dzielnicy dwa tysiące ludzi z pospolitego ruszenia - poinformowała go. - Wyzaczyłam gońców dla każdego dwustujardowego odcinka murów. Jeśli twoi oficerowie będą potrzebowali posiłków, gońcy je przyprowadzą.

- Wykonałeś dobrą robotę, Mejano. Muszę cię za to pochwalić - powiedział Rael nieobecny głosem. Znowu wpatrzył się w niskie wzgórza.

Mejana oparła się o blanki i zamknęła oczy ze zmęczenia. Po raz pierwszy Rael zobaczył w niej nie wodza krwiożerczych pajistów, ale kobietę, znużoną i pogrążoną w żałobie, która robiła, co tylko w jej mocy, by poradzić sobie w niewiarygodnie trudnej sytuacji. Wyjął z woreczka kryształ i przysunął go do niej. Otworzyła oczy i odsunęła się.

- Nie chcę waszej przeklętej magii! - warknęła.

Rael westchnął.

- Rozumiem to. Ale w najbliższych godzinach i dniach będziesz potrzebowała pełnej przytomności umysłu, pani.

Może i tak, Raelu. Ale spróbuję sobie poradzić z tym słabym, obolałym

ciałem. To moje ciało. Jego siła należy do mnie i jego słabość również. Wyłącznie do mnie. Ale dziękuję ci za tę propozycję i mam nadzieję, że wybaczysz mi ostry ton. Zaskoczyły go te słowa. Pochylił się i położył dłoń na jej ramieniu.

- Być może nadchodzące wydarzenia przywrócą ci wigor. Niemniej jednak sugeruję, byś wróciła do domu i przespała się parę godzin. Nawet gdy nieprzyjaciel dotrze do murów, będzie potrzebował czasu, by rozwinąć szyki i przygotować broń. Wyślę po ciebie gońca.

- Nie - sprzeciwiła się. - Już czuję się trochę lepiej. Czy masz coś przeciwko temu, żebym tu zaczekała?

- Absolutnie nic.

Odwrócił się od niej i schował kryształ z powrotem do woreczka. Spojrzał w oczy Cationowi i zorientował się, że oficer wyczuł emanacje towarzyszące użyciu kryształu. Rael uśmiechnął się do niego. W Pagaru znowu rozbłysły sygnały świetlne. Raelowi umknęła pierwsza część wiadomości, ale po paru chwilach ją powtórzono. Ze swego punktu obserwacyjnego położonego po drugiej stronie ujścia obrońcy Pagaru widzieli maszerującą na Egaru armię.

- Wiele wozów - mówił Cation. - Osadzone z brązu? Co to znaczy?

- Machiny z brązu osadzone na wozach - wyjaśnił Rael. - Odpowiedz mu. Zapytaj, ile ich widzi.

Cation oddalił się. Mejana dotknęła ramienia Raela i wskazała na wschód. Na horyzoncie pojawiła się pierwsza linia maszerujących żołnierzy. Vagarka powiodła wzrokiem wzdłuż muru, a potem zerknęła z powrotem na kwestora generalnego.

- Nie zdołasz obronić dwóch mil muru z dwoma tysiącami ludzi.

- Nie zdołam - zgodził się. - Ale całego muru nie zburzą.

Najzacieklejsze walki będą się toczyły tam, gdzie zrobią wyłom.

Rael usłyszał za plecami jakiś ruch. Odwrócił się i zobaczył Caprishana, który wgramolił się na mury. Grubas dyszał ciężko, a twarz zalewał mu pot.

- Udało ci się dotrzeć do Anu? - zapytał Rael. Caprishan skinął głową, a potem zaczął czekać chwilę, żeby odzyskać dech w piersiach.

- Nie powinno nam się udać - ciągnął. - Zauważyła nas grupa Almeków. Liczna, może ze dwustu ludzi. Myślałem, że wszystkich nas zabiją. Ale wycofali się, nie próbując nas atakować. Co o tym sądzisz, Raelu? Dla mnie to nie ma sensu.

- Dla mnie również nie - zgodziła się Mejana.

- To jak najbardziej ma sens - rzucił z goryczą Rael. - Zastanówcie się nad tym, co robi Anu. Odbudowuje Białą Piramidę. Ona będzie czerpała moc ze słońca i karmiła nasze kryształy. Jak mówiła Sofarita, głód Kryształowej Królowej jest nienasycony. Potężny. Gdy już piramida będzie gotowa, Almeia zacznie wysysać jej moc.

- W takim razie musimy powstrzymać Anu - stwierdziła Mejana. - Nie możemy mu pozwolić jej ukończyć.

- Nie mógłbym powstrzymać Anu, nawet gdybym tego chciał - stwierdził Rael. - Zresztą nie możemy już dostarczać mu zapasów ani się z nim kontaktować. Dlatego zażądał drugiej skrzynki. Będzie karmił swoich robotników mocą kryształów. Jest od nas odcięty, Mejano. Możemy liczyć tylko na to, że pokonamy Almeków, zanim ukończy piramidę.

- Mam jeszcze inną wiadomość, kuzynie - oznajmił Caprishan.

- Mam nadzieję, że dobrą.

Grubas wzruszył ramionami.

- Król Błotniaków uciekł z miasta. Zażądał, żeby pożyczyć mu konia, bo chce się przejechać po parku. A potem uciekł. Czy to dobra wiadomość, czy zła?

- To nie ma już znaczenia. Jest za mało czasu, żeby zwołać plemiona. Musimy walczyć sami.

Caprishan spojrział za mury, na maszerujących ku miastu żołnierzy. W dogasającym świetle wieczoru nie przypominali ludzi. Poruszali się w zwartym szyku i z oddali wyglądali zupełnie jak szereg mrówek. Caprishan zadrżał. Nie lubił myśleć o owadach, bo wywoływało to swędzenie.

- To dobrze wyszkoleni żołnierze - zauważył. - Popatrz, jak się poruszają. Idealna dyscyplina.

Za plecami obrońców słońce zanurzało się już w krwawoczerwonym

morzu.

A Wąż Siedem zniknął za horyzontem.

Methras nalegał, by Talaban został w swej dawnej kajucie i Awatar zgodził się z wdzięcznością. Stał teraz na małym pokładzie przy kapitańskiej kajucie i spoglądał na wieże Egaru skąpane w blasku zachodzącego słońca. Gdy miasto zniknęło w dali, poczuł dreszcz, złowrogie wrażenie, że widział je po raz ostatni. Nie potrafił się od niego uwolnić. Talaban miał niewielu przyjaciół wśród Awatarów, ale to nie znaczy, że ich nie lubił. Niektórych z nich znał od blisko dwustu lat, szanował ich albo podziwiał. A co najważniejsze, byli jego rodziną. Niemal wszyscy Awatarowie, którzy przeżyli zagładę świata, byli ze sobą spokrewnieni.

A teraz zostawił ich własnemu losowi.

Nie miało znaczenia, że jego misja miała przynieść im ratunek. W tej chwili czuł się jak dezertor.

- Ale nim nie jesteś - powiedziała Sofarita. Talaban odwrócił się powoli. Stała na pokładzie, trzymając w smukłej dłoni puchar wypełniony wodą. Jej piękne ciało spowijała błękitna szata, włosy związała w koński ogon, a jej szczupła szyja budziła radość swym widokiem.

- Mówią że nieładnie jest podsłuchiwać - zganił ją.

- Nie zawsze potrafię zapanować nad mocą - wyjaśniła. - Zwłaszcza gdy w grę wchodzi emocje bliskich mi ludzi.

- Powiedziałaś „bliskich”...?

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Chciałam powiedzieć „tych, którzy są blisko” - poprawiła się. Jej policzki przyozdobił rumieniec.

- Potrafisz czytać w moich myślach, więc wiesz, co do ciebie czuję. Czy ta świadomość cię niepokoi?

Tym razem to ona się uśmiechnęła.

- Nie. Czasami przyjemnie jest, gdy ktoś ma... tak wysokie mniemanie o tobie. Czego we mnie pożądasz, Talabanie? Mojego ciała? Mojego talentu? Jednego i drugiego?

Ujął jej dłoń i pocałował ją.

- Chciałbym potrafić odpowiedzieć ci na to pytanie - rzekł. - Chciałbym umieć znaleźć odpowiednie słowa. Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, to było tak, jakby uderzył we mnie piorun. Od tej pory zawsze jesteś w moich myślach.

Cofnęła delikatnie dłoń.

- Nie możemy zostać kochankami - powiedziała. Miał wrażenie, że słyszy w jej głosie żal. - Moje moce z dnia na dzień rosną. Obawiam się, że gdybym się z tobą kochała, przypłaciłbyś to życiem. Nie chodzi tylko o kryształy, z których czerpię moc. Zaczynam... - zająknęła się. - Nie mówmy o tym. Nie zakochaj się we mnie, Talabanie - ostrzegła go.

Parsknął śmiechem.

- Jakbym miał w tej sprawie wybór.

- Zawsze mamy wybór - odparła, odwracając się plecami do relingu.

Spróbował podejść bliżej, ale uniosła dłoń i Awatar poczuł odpychającą go do tyłu siłę, mimo że dzieliło ich jeszcze kilka stóp. - Zastanów się nad tym, co robisz - poradziła mu. - Widzisz we mnie kobietę, ale ja nie jestem już prawdziwą kobietą z krwi i kości. Obracam się w kryształ. Co prawda powoli, ale to nieodwracalne. Czy miłość do Chryssy niczego cię nie nauczyła?

Wstrząsnęło nim to pytanie.

- Nie chodzi o Chryssę.

- W takim razie to bardzo dziwne, że pokochałeś dwie kobiety dotknięte przekleństwem kryształu.

Jesteś niesprawiedliwa. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, nic nie wiedziałem o twoim nieszczęściu. A kiedy zaręczyliśmy się z Chryssą, ona również była kobietą z krwi i kości. Nie próbuj zamącić mojego umysłu, Sofarito. Jestem przekonany, że pokochałbym cię, gdybym przyjechał do twojej wioski i zobaczył, jak pracujesz na polu. Jeżeli wątpisz w słowa, odczytaj moje myśli. Zajrzyj w serce. Czy dostrzegasz w nim jakieś niskie pobudki?

- Nie dostrzegam - przyznała. - Nie ma tam żadnych niskich pobudek, Talabanie. Jesteś dobrym człowiekiem. Ale ja nie jestem już wiejską

dziewczyną. Jestem czymś znacznie więcej i nieporównanie mniej. - Skrzywiła się nagle. - Muszę trochę odpocząć.

- Boli cię?
- Trochę. To przejdzie.

Odprowadzał ją wzrokiem. Widok jej kołyszących się bioder zapierał mu dech w piersiach. Kiedy odeszła, usiadł za biurkiem. Do jego umysłu wkradł się zamęt. Czegóż by nie oddał za to, by móc ją przytulić, zsunąć tę niebieską szatę z jej białych ramion.

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołał. Do kajuty wszedł kwestor Ro.
- Przeszkadzam ci, Talabanie?
- Bynajmniej. Chcesz trochę wina?

Ro potrząsnął głową i usiadł. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Jakie wrażenie wywarła na tobie Sofarita?
- A o co konkretnie ci chodzi?
- O jej zdrowie.

- Najwyraźniej wszystko z nią w porządku - odparł Talaban. Nagle przerwał. - Chyba trochę ją boli - dodał.

Ro skinął głową.

- Ból będzie narastał. Możemy mieć problem.
- Słucham cię uważnie.

Jej moc bierze się ze zdolności czerpania energii z kryształów. W Egaru były ich tysiące. Tu jest ich znacznie mniej. Skrzynka, łuki zhi i nasze osobiste kamienie. Rael kazał przenieść słoneczny ogień na miejskie mury.

Ostrzegałem ją przed niebezpieczeństwami tej wyprawy i ona teraz próbuje powstrzymać się przed czerpaniem mocy z zasobów okrętu.

- Na czym polega problem?

- Pomyśl o Vagarach, którzy uzależniają się od narkotyków. Jeśli nie otrzymają swej dawki opiatów, stają się podekscytowani, czasami gwałtowni. Czują dojmujący głód. Niektórzy posuwali się nawet do zabójstwa, by zdobyć pieniądze na jego zaspokojenie. Sofarita cierpi już teraz, a przecież dopiero niedawno opuściliśmy miasto. Żeby przepłynąć ocean, potrzeba trzech

tygodni. Jeśli nie zdoła zapanować nad głodem, wysie całą energię z okrętu.
Albo gorzej.

- Co mogłoby być gorsze, Ro?

Kwestor pociągnął się za brodę.

- Karmimy kryształy ludzkim życiem. One tylko magazynują energię.

Jeśli Sofarita popadnie w desperację, może wyssać nas wszystkich.

- Nie zrobiłaby tego - sprzeciwił się Talaban. - To dobra kobieta.

- Może nie być w stanie nad tym zapanować.

- Co więc sugerujesz?

- Jak szybko możemy płynąć?

Talaban zastanowił się nad tym pytaniem.

- Już rozwinęliśmy znaczną prędkość. Żaglowcom pokonanie takiego dystansu zajęłoby dwa miesiące. - Przerwał. - Jednakże, jeśli nie będziemy się przejmować oszczędnością mocy i nie natrafimy na niespodziewane sztormy, możemy dotrzeć na miejsce w dwadzieścia dni. Wiąza się z tym jednak pewne niebezpieczeństwa, Ro. Jeśli mknąc z taką prędkością, uderzymy w wieloryba albo w rafę, okręt może ulec poważnym uszkodzeniom.

- Dwadzieścia dni to za długo - stwierdził Ro. - Głód zawładnie Sofarita dużo wcześniej.

- Ile więc mamy czasu? - zapytał Talaban.

- Może ze trzy dni.

Rozdział dwudziesty piąty

Demony były potężne, a ich broń wyglądała straszliwie. Mieszkańcy Niebiańskiego Miasta spojrzeli na Hordę Piekieł i ogarnął ich strach. Ra-Hel, król bogów, przyglądał się, jak nieprzyjaciel się gromadzi. Królowa Śmierci również obserwowała to z oddali. Och, bracia, to opowieść o bohaterach i wojnie. Demonów było tak wiele, jak liści w mrocznym lesie, ale Ra-Hel był bogiem słońca. I użył swej mocy.

Ze Zmierzchowej pieśni Anajo

Kwestor generalny wiedział, że na wojnie czas decyduje o wszystkim. Sofarita powiedziała mu, że Kryształowa Królowa pozna wszystkie ich plany. Potem poinformuje o nich swego dowódcę, Cas-Coatla, który podejmie odpowiednie kroki. To jednak wymagało czasu. I w tym Rael upatrywał jedynej szansy.

Almekowie skupili swych ludzi w odległości nieco ponad jednej czwartej mili od murów Egaru - tuż poza zasięgiem łuków zhi. Za nimi, jeszcze dalej, rozlokowano z górą czterdzieści błyszczących ognistych rur z brązu. Nawet słoneczny ogień nie mógł ich dosięgnąć na taką odległość, a nawet gdyby było to możliwe, Rael nie miał już energii na czterdzieści strzałów. Jeśli uśmiechnie się do niego szczęście, może uda mu się wystrzelić trzy razy.

Mejana i Pendar dołączyli do niego na murach.

- Dlaczego nie atakują? - zapytał nerwowo młodzieniec, gdy zbliżało się już południe.

- Zrobią to - zapewnił Rael.

W tej właśnie chwili z rur z brązu wystrzelono ogniste kule. Pociski przeleciały wysoko nad almeckimi szykami, uderzając w mury w trzech różnych miejscach. Kamienne blanki pękły, ludzie runęli na ziemię. Pojawiła się szeroka szczelina, a w odległości około trzystu jardów na prawo od Raela fragment murów zawalił się. Kwestor generalny wyrżał zza blanków

i zobaczył, że Almekowie ponownie wycelowali broń. Tym razem wszystkie ogniste kule trafiły w jeden punkt. Wysoki na czterdzieści stóp mur wytrzymał kilkanaście wybuchów. Potem się zawalił. Powstała luka szerokości trzydziestu stóp, przez którą nieprzyjaciel będzie mógł się wedrzeć do miasta.

Rael wykrzyknął rozkazy do Goraya i Cationa, którzy czekali na dole. Podjechał tam wóz i dwudziestu ludzi rzuciło się biegiem, żeby go rozładować. Wykonany z brązu słoneczny ogień z pokładu Węża Siedem wniesiono w częściach na górę. Czterech żołnierzy ustawiło podstawę i koła zębate na pomoście obok Raela. Potem przymocowano lufę, a na koniec Rael i Cation podłączyli złote przewody ze źródła mocy. Rael skierował słoneczny ogień na wały ziemne, które podczas pory deszczowej nie dopuszczały do wylewów Luanu.

Machina zaczęła wibrować.

Kwestor generalny zerknął nerwowo na szereg almeckich ognistych ruch. Na razie wszystkie milczały, ale Almekowie naprowadzali już na cel trzy z nich. Rael wiedział, że za kilka minut w jego kierunku pomkną ogniste kule.

- Lepiej stąd idź - powiedział Mejanie. - Za chwilę staniemy się celem.

Potrząsnęła głową i została na miejscu.

Almecka armia maszerowała w rozciągniętym szyku ku wyłomowi w murach.

Słoneczny ogień przestał wibrować. Rael wycelował w odcinek wałów, zamknął oczy i pociągnął za dźwignię. Potężny impuls uderzył w nasyp. Przez chwilę nic się nie działo. Potem, głęboko wewnątrz wału, nastąpiła eksplozja. W górę wzbiła się potężna chmura pyłu i ziemi. Uwolnione wody Luanu popłynęły przez wyrwę na równinę. Gwałtowny nurt uniósł ze sobą fragment nasypu o długości sześćdziesięciu stóp. Zaczął się potop.

Almekowie nie zatrzymali się. Woda opływała ich stopy. Unieśli ogniste pałki wysoko nad głowy, z każdą chwilą zbliżając się do wyłomu.

Rael obrócił słoneczny ogień.

- Unieście tył - zawołał do Goraya i Cationa. Lufa wspierała się na zębatych blankach. Obaj wymienieni, przy pomocy trzech innych żołnierzy, złapali tylną część broni i podźwignęli ją wysoko.

Mejanie ich poczynania wydawały się niemal komiczne. Za chwilę miały ich zaatakować tysiące nieprzyjaciół, a awatarski głównodowodzący tracił czas na jedną broń. Nawet jeśli trafi w szeregi przeciwnika, zdoła zabić może ze dwudziestu ludzi.

Wystrzelono dwie ogniste kule, które zatoczyły wysoki łuk i uderzyły o mury. Pierwsza rozbiła się o blanki, wprawiając je w drżenie. Druga przeleciała nad głowami obrońców i spadła na magazyn, który stanął w płomieniach.

Rael położył dłoń na dźwigni słonecznego ognia i spojrzał na brodzących w wodzie Almeków. Mejana podeszła do niego.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała.

Broń przestała wibrować.

- Zamknij oczy - rzekł cicho Awatar. Potem wystrzelił.

Impuls przeleciał nad pierwszym szeregiem żołnierzy i uderzył w wodę za nimi. Mejana otworzyła oczy i stała się świadkiem przerażającej sceny. Od miejsca uderzenia rozchodziły się kręgi tańczących na tafli niebieskich iskier. Setki Almeków miotaly się spazmatycznie. Ogarniały ich błękitne płomienie. Ich szaty płonęły, a broń strzelała samoistnie. Wszędzie widać było umierających ludzi. Atak się załamał.

- Daj mi jeszcze jeden strzał! Tylko jeden! - zawołał Rael, patrząc na niebo.

Tuż obok wybuchły trzy kolejne ogniste kule. Podmuchał zwałił Mejaną z nóg. Oszołomiona kobieta próbowała się podnieść. Dwóch Awatarów leżało na murach. Ich białe płaszcze ogarnął ogień. Pendar zerwał własny płaszcz i podbiegł do nich, by ugasić płomienie. Rael zdołał się podźwignąć i stał obok słonecznego ognia. Lewą połowę twarzy miał straszliwie poparzoną. Obrócił broń, jęcząc z bólu i wysiłku.

- Niech ktoś go podniesie! - zawołał. Podbiegli do niego Cation, Pendar i Mejana. Wspólnie złapali tył słonecznego ognia i unieśli go wysoko. Rael pociągnął za dźwignię.

Kolejny impuls uderzył w wodę, tym razem dalej.

Po powierzchni znowu przebiegły kręgi błękitnego ognia. Almekowie

odwrócili się i rzucili do ucieczki. Ten strzał zabił ponad dwustu z nich.

- Mamy dość czasu na jeszcze jeden! - zawołał Rael. Twarz miał straszliwie okaleczoną. Odpadły z niej fragmenty skóry. Jego lewe ramię również było czarne i pokryte pęcherzami.

- Nie, kwestorze - sprzeciwił się Cation. - Jeśli zostaniemy tu jeszcze chwilę, zginiemy.

- Ty tchórze! - krzyknął Rael.

- On nie jest tchórzem - sprzeciwiła się Mejana. - Rób, co ci mówimy.

Złapała go za prawe ramię i pociągnęła za sobą. Rael osunął się na nią bezwładnie. Wspólnie z Cationem zaniósła go ku schodom. Za ich plecami Pendar pomógł wstać Gorayowi. Awatara oślepiła ostatnia ognista kula. Młody Vagar zdążył doprowadzić go do schodów, nim szczyt murów rozpadł się na kawałki. Słoneczny ogień wyleciał w górę. Jego skrzynka mocy eksplodowała.

Cation i Mejana położyli Raela na ziemi pod murem. Cation wyjął zielony kryształ i przystawił go do poparzonej twarzy kwestora generalnego. Skóra zaczęła się goić, a obrzęk ustępował. Zamykająca oko opuchlizna kurczyła się, pęcherze bladły. Rael westchnął. Uniósł rękę i złapał Cationa za ramię.

- Przepraszam, że tak cię nazwałem - powiedział.

- Nieważne - odparł Cation. - Połóż się. Odpocznij. Pozwól działać kryształom.

Tuż za ich plecami Pendar zatrzymał swój kamień nad wypalonymi oczyma Goraya. Cation rozpoczął proces uzdrawiania poparzonego ramienia kwestora generalnego, a potem się odwrócił. Widząc, co robi Pendar, zamarł. Na moment na jego twarzy pojawił się gniew, który potem zniknął. Awatar podszedł do młodego Vagara i wspomógł go swym kryształem.

- Postaraj się nie myśleć o uzdrawianiu - poradził. - Skup się na tym, co powinno być. Wyobraź sobie zdrową czystą skórę. Przedstaw go sobie takim, jakim był przedtem. Niech kryształ sam zrobi resztę.

- Dziękuję - rzekł Pendar.

Goray z jękiem otworzył oczy.

- Widzę - uradował się. Uniósł rękę i uściśnął bark Pendara. - Jestem ci

wdzięczny, chłopcze.

- Ktoś do nas idzie - zawołał stojący na murach żołnierz. -

Przyprowadźcie kwestora generalnego!

Cation podszedł do Raela i pomógł mu wstać. Wspólnie weszli na górę, pokonując zwalone fragmenty muru.

W stronę miasta szedł Cas-Coatl. Dłonie splótł za plecami. Wyglądał, jakby wybrał się na spacer. Nie okazywał napięcia. Z każdym krokiem zbliżał się do obrońców, ignorując wymierzone w siebie łuki zhi.

- Czego chcesz, Almeku? - zawołał Rael.

- Musimy porozmawiać, Awatarze. Czy udzielisz mi pozwolenia na wejście do miasta?

- Udzielę - odpowiedział Rael. Wspólnie z Cationem i Mejaną ruszył szczytem murów ku ostatnim schodom przed wyłomem, a potem zszedł na dół. Woda sięgała tu kostek. Cas-Coatl musiał w niej brodzić, nim dotarł do kwestora generalnego.

- Czy możemy pomówić gdzieś, gdzie jest sucho?

- To miejsce jest w sam raz - odparł Rael. - Przyszedłeś się poddać?

Cas-Coatl uśmiechnął się ze szczerą wesołością.

- Musimy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną - stwierdził. -

W cztery oczy.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Rael. - Chodź za mną.

Obaj okrążyli zburzony mur, zmierzając do pobliskiej wartowni. Rael otworzył drzwi i wszedł do środka. W wąskim pomieszczeniu siedziało trzech vagarskich żołnierzy, jedząc śniadanie złożone z podpłomyków i baraniny. Wszyscy podnieśli się na widok kwestora generalnego.

- Wybaczcie - odezwał się Rael - ale byłbym wdzięczny, gdybyście zostawili nas na chwilę samych. - Mężczyźni zabrali talerze, skłonili się i wyszli. - Usiądź, proszę - powiedział Rael do Cas-Coatla.

Almek go usłuchał. Kwestor generalny wbił wzrok w jego szkliste czoło i kości policzkowe.

- Jak to możliwe, że przeżyłeś zaślubiny z kryształem? - zapytał.

- Kryształowa Królowa mnie potrzebuje. Uratowała mnie i w zamian za

to jej służę.

- Moja córka też była zaślubiona z kryształem. Jej nie miał kto uratować.

Cas-Coatl nic nie powiedział. Obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Po co tu przyszedłeś, Almeku? - zapytał wreszcie Rael.

- Miałeś rację, a ja się pomyliłem - odparł Cas-Coatl. - Naprawdę was nie doceniałem. Nie jesteście tylko utalentowanymi podludźmi. Jesteście Almekami. A może to my jesteśmy Awatarami - dodał z uśmiechem. - Moja królowa jest przekonana, że nasze narody powinny się zjednoczyć. Mamy wam wiele do zaoferowania, a wy również możecie nas wzbogacić.

- I oczywiście mam w to uwierzyć? - zapytał kwestor generalny.

- To szczerą prawdą, Raelu. Broń, którą dysponuję, może zrównać to miasto z ziemią. Nie mam potrzeby cię okłamywać.

- Jakoś nie widzę siebie w roli podróżującego po świecie tylko po to, żeby wrywać ludziom serca z piersi - odparł Rael.

- Ja również nie. Pewna liczba ofiar jest niezbędna, żeby niższe warstwy знаły swoje miejsce. Ale ta rzeź wcale mi się nie podoba. I mojej królowej też nie. Niestety, w obecnej chwili jest niezbędna. Ale gdy tylko Anu ukończy swą piramidę, masowa eksterminacja przestanie być konieczna. My dwaj jesteśmy braćmi. Nie pragnę zagłady Awatarów.

- A jeśli się zgodzimy?

- Moi żołnierze wkroczą do bliźniaczych miast. Nikomu z Awatarów nie stanie się krzywda.

- A co z Vagarami?

- Piramida Anu nie została jeszcze ukończona. A moja królowa jest głodna. Nie martw się o podludzi, Raelu. Jeśli masz wśród nich jakichś ulubieńców, ukryj ich w swym domu, a nic im się nie stanie.

- Takiej decyzji nie mogę podjąć sam, Cas-Coatlu. Będę musiał zwołać mój lud.

- Oczywiście. Macie czas do świtu. Radzę wam podjąć mądrą decyzję.

Talaban był bardzo zaniepokojony. Już kilkakrotnie zaglądał do kajuty Sofarity. Prosiła, żeby zostawił ją w spokoju, a potem słyszał jej jęki bólu. Ro ostrzegwał go, że kobieta nie wytrzyma dwudziestodniowego rejsu, i Talaban teraz mu wierzył.

Nie mógł zwiększyć prędkości Węza. Siedział w swej kajucie, raz po raz rozważając ten problem w poszukiwaniu rozwiązania.

Przyszedł do niego Ro i razem przedyskutowali metody zwiększenia mocy. Obliczyli, jaki efekt wywarłoby zmniejszenie ciężaru okrętu poprzez wyrzucenie za burtę wszystkich niepotrzebnych przedmiotów. Jednak nawet gdyby całkowicie pozbyli się broni i mebli, a do tego wysadzili na brzeg wszystkich członków załogi, przyśpieszyliby podróż najwyżej o jeden dzień. O zmierzchu zjawił się Probierz, który jednak nie mógł im podpowiedzieć żadnych rozwiązań. Siedział bez słowa, przysłuchując się rozmowie.

- Gdyby był tu Anu, moglibyśmy przyśpieszyć Taniec Czasu - zauważył Ro.

- A gdyby okręt miał skrzydła, nic by nam nie groziło - warknął Talaban. Nagle jednak poczuł skruchę. - Przepraszam, kuzynie. Jestem zmęczony i podenerwowany.

- Sprowadźmy go tu - zaproponował Probierz.

- Kogo? - zapytał Talaban.

- Świętego.

Talaban potarł powieki, starając się zachować spokój.

- Sugerujesz, żebyśmy zawrócili i poprosili Anu, aby popłynął z nami?

- Nie - odparł dzikus. - Magia nie jest w ciele. Magia jest w duchu.

Sprowadźmy tu ducha.

- A jak zamierzasz dokonać tego... cudu? - zainteresował się Ro.

- Jednooki Lis - wyjaśnił Probierz, patrząc prosto na Talabana. - Jak poprzednio. Polecimy.

- Poprzednim razem obaj omal nie zginęliśmy - przypomniał wojownik.

- Ale zgadzam się. To jedyne wyjście.

Probierz przeszedł na środek kajuty i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku. Talaban zajął miejsce naprzeciwko niego. Obaj położyli sobie

nawzajem dłonie na barkach i opuścili głowy, stykając się czołami.

Talaban odprężył się i wszedł w trans, szukając skupienia bez koncentracji, połączenia przeciwieństw, zamknięcia kręgu. Tak jak poprzednio, poczuł, że przemieszcza się, wiruje. W jego umyśle zatańczyły kolory, wokół niego i przez niego przemknęły kipiące tęczę. Potem znowu usłyszał muzykę, rytm wszechświata, szept kosmicznych wiatrów.

Ponownie on i Probierz stali się jednym i wspólnie wezwali Jednookiego Lisa, wyśpiewując jego imię w takt muzyki, tworząc pieśń, która niosła się echem przez pustkę.

Czas nie miał teraz znaczenia. Pieśń nie cichła. Wirujące kolory rozjarzyły się, przechodząc w błękit letniego nieba. Talaban spojrział w dół i zobaczył, że znajdują się nad puszcza. Unosił się nad nią szary dym, który płynął leniwie w ich stronę. Gdy dotarł do ich unoszących się w powietrzu postaci, skupił się, przybierając kształt wojownika.

- Czego wam potrzeba, bracia? - zapytał Jednooki Lis.

Talaban opowiedział mu wszystko. Człowiek z dymu ujął ich dłonie i wokół całej trójki znowu zatańczyły kolory. Tym razem po przybyciu na miejsce otoczyła ich noc. Znajdowali się w małej chatce. Stary człowiek klęczał na modlitewnej macie.

Kiedy przybyli, uniósł wzrok. Jego wygląd wstrząsnął Talabanem. Anu był nieprawdopodobnie wychudzony, a jego dłonie drżały. Wokół niego zamigotała niebieska aura i duch staruszka wyszedł z ciała.

- Wiem, czego potrzebujecie - oznajmił.

- Możesz nam pomóc? - zapytał Talaban.

- Mogę, Talabanie, ale cena będzie bardzo wysoka.

- A co to za cena?

Duch Anu wyciągnął rękę i dotknął czoła Talabana. Tylko on usłyszał słowa Świętego.

- Muzyka jest niewiarygodnie potężna, lecz bywa też straszliwie niszczycielska. Miałem pięćset lat, by nauczyć się nad nią panować. Nie mogę opuścić tego miejsca, by rzucić drugie zaklęcie. Mam za mało sił. Ty jednak możesz tego dokonać. Potrafię wyposażyć cię w odpowiednią wiedzę.

Zabierzesz Muzykę na Węża. Ale ceną będzie twoje życie. Nie zdołam w kilka godzin przekazać ci wszystkiego, czego nauczyłem się przez pięć stuleci. Dlatego Muzyka strawi cię niczym rak. Twoje życie potrwa zaledwie kilka dni. Rozumiesz?

- Tak.

- Czy jesteś gotowy umrzeć, Talabanie?

Wojownik pomyślał o kobiecie cierpiącej na pokładzie Węża i o straszliwym niebezpieczeństwie grożącym jego rodakom.

- Jestem - odparł po prostu.

- W takim razie zróbmy to.

Z duchowych palców Anu popłynął żar, który wniknął w umysł Talabana. To było tak, jakby wewnątrz jego czaszki eksplodowały wszystkie bezładne, jaskrawe barwy wszechświata. Zatoczył się do tyłu. W jego mózgu pojawiły się obrazy, potem nadeszła Muzyka, majestatyczna symfonia płynąca wstecz, miliony wątków łączących się ze sobą, upraszczających się coraz bardziej, aż wreszcie słyszał tylko dwanaście tonów, potem pięć, trzy i wreszcie jeden.

- Kiedy wrócisz na okręt, znajdź flet - usłyszał głos Anu. - Mają je prawie wszyscy marynarze. Zabierz go do Pokoju Serca. I pozwól, żeby Muzyka zalała skrzynkę. Zobaczysz, jak kryształły się rozjarzą, jakby przebudziły się w nich płomienie. Potem zaczną się Taniec.

- Jak szybko pokonamy ocean? - zapytał.

- W dwa dni.

- A jak długo będę potem żył?

Anu milczał przez chwilę.

- Może z tydzień.

- Dziękuję, Święty.

- Jeszcze się spotkamy, Talabanie. W podróży, która jest poza życiem.

Anu cofnął dłoń. Świat zmienił kształt, w umyśle Talabana rozjarzyły się tęcze. Awatar ocknął się z nagłym szarpnięciem. Probierz odsunął się od niego. Kwestor Ro podszedł bliżej.

- Znaleźliście Anu? Sprowadziliście go tutaj?

- Znaleźliśmy go - potwierdził Talaban, wstając z podłogi. - A teraz muszę iść poszukać fletu. - Ruszył powoli do drzwi, otworzył je i wyszedł z kajuty.

- Co się stało? - zapytał Probierza Ro.

- Nie wiem wszystkiego. Święty tylko do niego mówił.

- Kiedy dotrzemy do brzegu?

- Za dwa dni.

- Tak jest! - krzyknął Ro, przesywając pięścią powietrze w geście radości. Potem zerknął na Probierza i zauważył, że dzikus nie podziela jego entuzjazmu. - Co się stało? - zapytał go ponownie, tym razem w języku Anajo. - Czy kryje się w tym coś więcej?

Probierz wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale serce mnie boli i ciężko mi na duszy.

Sofarita leżała na podłodze kajuty. Podciągnęła kolana pod brodę i oplotła się ramionami. Drżała niepowstrzymanie. Jej ciałem targały kurcze, powodujące spazmatyczne drgawki.

Nigdy w swym krótkim życiu nie zaznała tak potwornego bólu ani nie odczuwała równie straszliwego pragnienia. Czuła się tak, jakby umierała z głodu, a otaczała ją uczta, stoły zastawione smakołykami, od których cieknie ślinka. Sofarita jęknęła.

Nagle jej trzewia zaatakowała kolejna fala kurczów. Krzyknęła głośno z bólu. Podniosła się na kolana i poczołgała do łóżka. Koce były grube, ale nie przyniosły jej ulgi. Poprzez ból przypomniała sobie atak Almei i to, jak Ro ogrzewał ją własnym ciałem.

Tym razem wyglądało to inaczej. Napastnikiem był jej własny wygłodniały organizm.

Ro ostrzegał ją przed niebezpieczeństwami wiążącymi się z wyprawą, z oddaleniem się od kryształów miasta, ale nie wyobrażała sobie, że objawy mogą być aż tak gwałtowne. Jej umysł domagał się niemal wrzaskliwie, by zaczerpnęła choć trochę energii ze skrzynki okrętu. Maleńką cząstkę...

Opierała się tej pokusie, wiedząc, że jeśli ulegnie pożądaniu,

w mgnieniu oka opróżni skrzynkę do cna.

Kiedy ból się zaczął, spróbowała z nim walczyć przez uwolnienie ducha z ciała. Nie potrafiła jednak tego dokonać. Kurcze utrudniały jej koncentrację, więżąc ją w pełnej cierpienia klatce z krwi i kości.

Talaban dwukrotnie dziś przychodził do jej kajuty, ale nie chciała go wpuścić. Nawet przez drewno wyczuwała słodkie pulsowanie jego siły życiowej. Przerazał ją ten gwałtowny głód.

Złapała się na tym, że myśli o członkach załogi, o tym, że niektórzy z nich są niesympatyczni albo nieuczciwi. Po przybyciu na pokład usłyszała ich myśli. To byli prostacy, którzy źle traktowali własne rodziny. Nikt nie będzie ich żałował, pomyślała.

Nie! Ich życie należy do nich. Nie mam prawa!

Masz wszelkie prawo. Jesteś boginią! Jesteś potrzebna. Ich nikt nie potrzebuje. Jeśli poświęci się ich życie po to, by zniszczyć Kryształową Królową przynajmniej posłużą wyższemu celowi.

Ten argument brzmiał przekonująco.

Usiadła, otuliła się kocem i zaczęła planować, w jaki sposób dotrzeć do najgorszych z marynarzy. Dopadła ją kolejna fala kurczów. Tym razem jej ciało przeszły ogniste igły. Wygięła się do tyłu i krzyknęła głośno.

Nagle zaczęła się gorączka. Sofarita zrzuciła koc, podeszła do dzbanka z wodą napełniła puchar i wypła go pośpiesznie.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł kwestor Ro.

- Odejdź - zażądała. - Mam... dużo pracy.

- Jakiej pracy, Sofarito?

- Powiedziałaś, odejdź! - Uniosła rękę. Ro wzbił się nagle w górę i uderzył w ścianę kajuty. Osunął się na podłogę, złapał za framugę i podniósł z wysiłkiem.

- Wiem, że cierpisz - powiedział. - Ale to się wkrótce skończy. Anu nauczył Talabana przyspieszać Taniec Czasu. Pokonamy ocean w dwa dni.

- Muszę... jeść! - Okrążyła go, wyobrażając sobie twarze ludzi, których pozbawi życia.

- Tak samo jak Almeida - zauważył Ro. - Być może powinniśmy

przynieść tu dziecko i pochować je dla ciebie żywcem.

Sofarita zatrzymała się w drzwiach.

- Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, Ro.

- Nawet jeśli wyssiesz moc z Almei i położysz kres jej złu, nic to nie da, jeżeli staniesz się taka sama, jak ona - stwierdził. - Jesteś od niej lepsza, Sofarito. Silniejsza. Ale jeśli potrzebujesz czyjegoś życia, weź moje. Należy do ciebie. Ofiaruję ci je dobrowolnie.

Odwróciła się ku niemu.

- Dlaczego? Dlaczego chcesz to zrobić?

- Żeby nie pozwolić ci popełnić morderstwa.

Popatrzyła na niego i ból na chwilę osłabł.

- Zło jest jak trucizna - ciągnął Ro. - Dlatego właśnie nie możemy go użyć. Gdybyśmy je pokonali jego własną bronią, zastąpilibyśmy tylko jedno zło drugim. Wierzę, że to Źródło pobłogosławiło cię mocą. Nie wolno ci jej skazić ani zbrukać.

- Co mogę zrobić? Głód mnie zniszczy.

- Wkrótce przybędziemy na miejsce. Musisz być silna.

- A co się stanie, kiedy, czy raczej jeśli, pozbawię mocy Almeię? Co będzie ze mną?

- Anu ukończy swą piramidę. Będziesz mogła się karmić jej energią.

Wy buchnęła gorzkim wzgardliwym śmiechem.

- Piramida Anu mnie zabije! - zawołała. - Wyrwie duszę z mojego ciała.

- Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poblądła gwałtownie. - Nie - wyszeptała.

- Co ja zrobiłam?

Ro stał bez słowa, spoglądając na jej porażoną trwogą twarz.

- Zgubiłam ich wszystkich - szeptała. - Almeia tu była. Wszystkiego się dowiedziała! Och, słodkie niebios!

- O czym się dowiedziała? - zapytał Ro.

Piramida Anu nie ma na celu dostarczać mocy kryształom, ale pozbawić je jej całkowicie. On buduje broń przeciwko Almei. Ta wyprawa miała tylko odwrócić jej uwagę, spowodować, żeby skupiła siły na mnie. - Nagle Sofarita targnął kolejny spazm. Krzyknęła z bólu. - Nie będę mogła...

żyć... bez energii, Ro!

Ujął czule jej dłoń.

- Usiądź ze mną na podłodze. Połącz się ze mną, gdy będę przechodził przez Sześć Rytuałów. Odnajdziemy spokój. Zwycięzimy, Sofarito. Pozwól, żeby twój ból i głód wniknęły w głąb mej duszy, i wspólnie stawimy im czoło.

- To cię zgubi - wyszeptała.

- Przekonamy się.

Usiedli razem na dywaniku, trzymając się za ręce.

Z Wielkiej Sali Kwestorów rzadko korzystano. Otwierano ją tylko z okazji oficjalnych uroczystości albo ceremonii pogrzebowych - szczęśliwie odprawianych rzadko - Awatarów, którzy zakończyli życie po stuleciach służby. Ogromne, okrągłe pomieszczenie było usytuowane pod Wielką Biblioteką. Były tu wysokie łukowate okna oraz szeregi krzeseł ustawione wokół ścian. Salę zbudowano po to, by organizować przedstawienia dla gości ambasadora Pierwszego Awatara. Mogło się w niej zmieścić ośmiuset ludzi.

Była wypełniona zaledwie w połowie, mimo że zgromadzili się w niej wszyscy ocalali Awatarowie, łącznie z kobietami i dziećmi. Przyszli tu wysłuchać słów kwestora generalnego. Rael stał pośrodku sali, spoglądając na zajmujących miejsca ludzi. Rzadko się zdarzało, by wszyscy Awatarowie zbierali się razem, i tylko w takich chwilach w pełni sobie uświadamiał, jak niewielu ich zostało. Sześć kobiet trzymało w ramionach niemowlęta. Tylko sześć. Starsze dzieci bawiły się na wysokiej galerii, pod nadzorem dwóch matek.

Gdy wszyscy wreszcie się zjawili - poza dwudziestoma mężczyznami, którzy wypłynęli na Węzu - Rael poprosił o ciszę. Potem powiedział zebranym o propozycji Cas-Coatla. Zjednoczenie z Almekami. Nowe życie u boku bratniej rasy.

Podkreślił, że wierzy w szczerść zapewnień Almeki. Potem umilkł na chwilę.

- Zabiorę głos na koniec debaty - zakończył. - Teraz proszę o pytania.

- Dlaczego zmienili zdanie, Raelu? - odezwał się Niclin.

- Sądzę, że najistotniejszym czynnikiem są prace Anu. Kryształowa Królowa dowiedziała się o jego talentach i zrozumiała, że jeśli posiada jego wiedzę oraz mądrość, będzie mogła zapewnić sobie życie wieczne.

- Czy to właśnie powstrzymało cię przed natychmiastowym wyrażeniem zgody? - zapytał Caprishan.

- Jak już mówiłem, wyrażę swą opinię na końcu.

Siedząca z tyłu Mirani uniosła rękę.

- Udzielam głosu pani Mirani - powiedział Rael.

- A jakie są intencje Almeków wobec ludności bliźniaczych miast? Jak rozumiem, ci zabójcy zostawiają za sobą tylko zniszczenie.

- Zamierzają zabić wszystkich Vagarów - odpowiedział ze spokojem Rael. - Cas-Coatl utrzymuje, że Kryształowa Królowa potrzebuje pożywienia do chwili, gdy piramida Anu zacznie generować moc.

- A więc darują nam życie w zamian za nikczemną zdradę?

- W rzeczy samej - potwierdził Rael. Mirani spojrzała mu w oczy i umilkła.

- Czy zawiadomiono Anu? - zainteresował się inny mężczyzna, siedzący w jednym z pierwszych szeregów.

- Nie możemy się z nim skontaktować - wyjaśnił Rael. Rękę uniosł niebieskobrody Goray. Rael skinął dłonią, pozwalając mu mówić.

- Jak wiecie - zaczął - należę do najstarszych wśród tu obecnych. Widziałem wiele wojen i mnóstwo bitew. Moje pytanie brzmi: czy ty, kwestorze generalny, wierzysz, że możemy wygrać tę wojnę?

- Tak, wierzę - odparł Rael.

- W takim razie mam jeszcze drugie pytanie. Co się z nami stanie po zwycięstwie? Dokąd się wówczas udamy?

- Nie potrafię ci odpowiedzieć, Gorayu. Sam tego nie wiem. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Niclin wstał z krzesła.

- Czy mamy szansę odzyskać władzę, gdy Anu ukończy prace?

- Nie wierzę w to - przyznał Rael. - Dni naszej dominacji w tym kraju dobiegły końca. Co gorsza, nie sądzą też, by Vagarzy dopuścili do tego,

żebyśmy żyli dalej między nimi jako nieśmiertelni. Znajdą się wśród nich tacy, którzy będą szukali zemsty za to, co uważają za dawne krzywdy. A inni będą nam zazdrościli nieśmiertelności. Nie. Jeżeli wygramy tę wojnę, będziemy musieli poszukać domu gdzie indziej.

- Chyba że przyłączymy się do Almeków - zauważył Caprishan.

- W rzeczy samej - zgodził się Rael.

Nikt więcej się nie odezwał. Kwestor generalny odczekał kilka uderzeń serca.

- Nadszedł czas na debatę nad naszym problemem - zaczął. - Zgodnie z naszym zwyczajem, poproszę o zabranie głosu dwóch spośród nas, jednego zwolennika przyjęcia propozycji Almeków i jednego przeciwnika. Proszę kwestora Caprishana, by przedstawił nam argumenty przemawiające za przyjęciem propozycji Cas-Coatla.

Caprishan wstał, wyszedł na środek sali i spojrzał na pozostałych Awatarów.

- Moim zdaniem - zaczął - nie ma tu właściwie o czym debatować. Nie walczyliśmy już o nasze domy i nasz kraj, albowiem nie mamy już kraju, a nawet w przypadku zwycięstwa nad Almekami, utracimy również domy i dobytek. Zapomnijmy jednak na chwilę o wojnie i o bliskich, których utraciliśmy od chwili jej rozpoczęcia. Przyjrzyjmy się naszym pierwszym wrażeniom dotyczącym Almeków. Od chwili, gdy tylko dowiedzieliśmy się o ich istnieniu, było dla nas jasne, że to Awatarowie, tak samo jak my. Mieliśmy nadzieję, że ujrzą w nas braci i połączą z nami swe siły, by utrzymać panowanie nad tym dzikim światem. Czemu miałyby się to zmienić? Jakie mamy perspektywy, jeśli wojna będzie trwała dalej? Mamy stać się wygnańcami - o ile Vagarzy po zwycięstwie nie postanowią nas wymordować? Wyruszyć na morze i rozbić obozy na jakimś obcym brzegu? Grzebać w ziemi jak wieśniacy? Ilu z nas wie, jak się sieje i zbiera plony? Ilu potrafi hodować bydło i zarzynać je? Czy ktoś z tu obecnych umie budować domy, tkąć albo robić krzesła? Jesteśmy bogami, przyjaciele. Bogowie nie parają się tak nędznymi zajęciami. Od tego mamy służących, którzy nam usługują, oraz poddanych, którzy uprawiają nasze ziemie. Almekowie muszą zabić garstkę

Vagarów. Czemu mielibyśmy się tym przejmować? Ich życie trwa zaledwie kilka uderzeń serca. Nasze jest niemal wieczne. Prosta prawda wygląda tak, że jeśli pokonamy Almeków, zadamy klęskę sobie samym. W związku z tym powinniśmy się do nich przyłączyć.

Wrócił na miejsce, żegnany gromkim aplauzem. Na środek wyszedł Rael.

- Proszę Viruka o przedstawienie argumentów przemawiających przeciwko.

Viruk, który siedział dwa rzędy z tyłu, miał wyraźnie zdziwioną minę. Wstał i ruszył do czekającego na dole Raela.

- Ale ja się zgadzam z Caprishanem - wyszeptał do niego. - Dlaczego wybrałeś akurat mnie?

- Dlatego, że jesteś ogrodnikiem - odpowiedział kwestor generalny i odsunął się na bok.

Viruk stał pośrodku sali, spoglądając na milczących Awatarów, siedzących w licznych szeregach krzeseł naprzeciwko niego. Gdy słuchał Caprishana, zgadzał się z każdym jego słowem. Odnosił wrażenie, że nie ma o czym debatować. Mimo to Rael poprosił właśnie jego, żeby przedstawił przeciwne argumenty. Wybrał go kwestor generalny. Viruk był zaszczycony, gdyż szanował Raela najbardziej ze wszystkich Awatarów. Można nawet powiedzieć, że go kochał, tak jak nigdy nie kochał własnego ojca. Nie mógł go zawieść. To było dla niego ważne.

Wszyscy czekali, aż zacznie mówić, a on nie miał pojęcia, co powiedzieć. Słowa Raela nic dla niego nie znaczyły. Co ogrodnictwo miało wspólnego z almecko-awatarskim sojuszem?

- Nasz kuzyn chyba zaniemówił - odezwał się Caprishan. Audytorium parsknęło nerwowym śmiechem. Viruk uśmiechnął się szeroko i w tej samej chwili zrozumiał, czego pragnie od niego Rael.

Myślałem o swym ogrodzie - zaczął. - O wszystkich kwiatkach i krzewach, o owadach i robakach. Czy wiecie, że zwykłe robaki mają kluczowe znaczenie, bo to ich tunele wpuszczają powietrze w głąb ziemi i karmią ją? Latające owady, które tak nam dokuczają podczas upalnego lata

w mieście, zapylają rośliny, pozwalając im zrodzić nasiona, z których wyrosną następne pokolenia. Wszystko w moim ogrodzie jest świadectwem harmonii, ciągłości życia i wzrostu. Wszystko ma swój cel w wielkim planie. Jednakże jestem bezlitosnym ogrodnikiem. Te rośliny, które nie chcą kwitnąć, wrywam z korzeniami jak chwasty. Dzięki temu mój ogród rozrasta się bujnie. Każda roślina pełni inną rolę: przyciąga zapachem motyle i ułatwia zapylanie albo zbiera wilgoć na swych szerokich liściach i zapewnia ziemi cień. A gdy liście i kwiaty więdną idą do ziemi, by nakarmić glebę, z której wyrosną przyszłe pokolenia kwiatów. - Jego głos zadźwięczał donośniej. - Ta Ziemia, ta planeta, również jest ogrodem. A my jesteśmy jak rośliny. Ale jakiego rodzaju roślinami jesteśmy? Przed dwoma tysiącami lat pewien Awatar stworzył pismo, pozwalające ludziom komunikować się ze sobą bez użycia mowy. Tysiąc pięćset lat temu inny odkrył związek między pewnymi kryształami a światłem słonecznym. Tysiąc dwieście lat temu trzech matematyków, badających tajemnice gwiazd, poznało Wielką Pieśń. Jej muzyka pomogła stworzyć cuda zaginionego kontynentu. Byliśmy wówczas roślinami cennymi dla ogrodu, przyjaciele. Przynieśliśmy światu sztukę pisania, nauczyliśmy chłopów karmić ziemię, by wydawała lepsze plony. Zwyciężyliśmy choroby, a na koniec nawet śmierć. Byliśmy jak drzewa owocowe wyrastające z gołej skały. Karmiliśmy świat naszą wiedzą. - Przerwał, przesuwając spojrzeniem po audytorium. - Ale to było wtedy. Kim staliśmy się teraz, my, innowatorzy, my, wynalazcy, my, kwestorzy? Za czym teraz kwestujemy? Co mamy do zaoferowania ogrodowi? Stoimy w obliczu zagłady i jedynym argumentem za przyłączeniem się do wroga, jaki potrafił przedstawić mój kuzyn Caprishan, jest to, że staliśmy się tak nieudolni, iż nie zdołamy przetrwać o własnych siłach. Daliśmy światu cywilizację, a nie potrafimy zrobić krzesła. Wypełniliśmy plemiona swą wiedzą, a nie umiemy utkać tkaniny na ubrania. Jaki więc jest nasz cel w tym ogrodzie? Nie jesteśmy już owocami, ani nawet kwiatami. Jesteśmy słomą, martwą i wyschlą. Nie dajcie się nabrać, Awatarowie. Almekowie są tacy sami jak my. Nic nie dają światu, a tylko biorą. Nie karmią, ale pożerają. Tak, są tacy sami jak my, i Ogródnik ich również wyrwie i wyrzuci. Mam też odpowiedź na pytanie Caprishana.

Owszem, potrafię zbierać plony, zajmować się bydłem i zarzynać je. Robiłem też krzesła i stoły, a raz nawet skleciłem łożko, na którym dało się spać. Nie, nie umiem tkać, ale jeśli będzie trzeba, to się nauczę. Wnoszę o odrzucenie propozycji Almeków.

Zdumione audytorium przyglądało się w ciszy, jak wracał na miejsce.

Rael ponownie wyszedł na środek.

- Dziękuję, szanowni kuzyni. Teraz kolej na mnie, bym przemówił jako kwestor generalny. W ciągu ostatnich dziesięcioleci skutecznie wmawialiśmy samym sobie, że Vagarzy są podludźmi i natura stworzyła ich jako naszych niewolników. Uważaliśmy siebie za dobrotliwych rodziców, opiekujących się krainą zamieszkaną przez niesforne dzieci. W ostatnich dniach uświadomiłem sobie, że ten pierwszy pogląd był błędny. Drugi natomiast świadczy o zarozumialstwie. Ale to na tym drugim chciałbym się na moment zatrzymać. Jeśli rzeczywiście jesteśmy dobrotliwymi rodzicami, to czy mamy pozwolić, żeby wymordowano nasze dzieci? Nie sądzę. Bez względu na swą wiedzę i zaawansowaną cywilizację, Almekowie ulegli złu. Jestem pewien, że sami nie postrzegają siebie w tym świetle. Niemniej jednak są źli. Jeśli się do nich przyłączymy, uznamy to zło za swoje, poddamy nasze życie jego wpływowi. Nie mogę z czystym sumieniem poprzeć takiego kroku. Mam zamiar walczyć z nimi i pokonać ich. Jeśli to zgromadzenie opowie się za przyłączeniem się do Almeków, wyrzeknę się swojego awatarskiego dziedzictwa, oddam kryształ i będę walczył u boku Vagarów. - Umilkł na chwilę, a potem głęboko zaczerpnął tchu. - Ogłaszam trzy godziny przerwy, żebyście mogli przedyskutować tę sprawę. O północy spotkamy się znowu i będziemy głosować. Tymczasem niech ci spośród was, którzy nadal są żołnierzami imperium, pójdą ze mną do zbrojowni Muzeum.

Stu dwunastu Awatarów wstało z miejsc. Mirani podeszła do kwestora generalnego i ujęła go za ramię.

- Jestem z ciebie taka dumna, Raelu. Nigdy nie kochałam cię bardziej niż w tej chwili.

Pocałował ją.

- Dopóki jesteś przy mnie, nie boję się niczego.

- W takim razie już zawsze będę przy tobie - obiecała.

Zbrojownia była zimnym, wilgotnym pomieszczeniem, opustoszałym i pozbawionym okien. Łuki drzwi i ustawione pod szarymi ścianami zbroje oplatały ciężkie od kurzu pajęczyny. Gdy Rael prowadził swych żołnierzy do podziemi gmachu, w powietrzu unosiło się mnóstwo kurzu. Na schodach i w samej zbrojowni zapalono lampy. Srebrne zbroje błyszczały w ich matowym czerwonym świetle.

- Te zbroje nosiła niegdyś gwardia królewska Pierwszego Awatara - oznajmił kwestor generalny. - Wykonano je dwa tysiące lat temu, a po raz ostatni używano ich podczas wojen kryształowych.

Viruk podszedł do najbliższej zbroi. Ustawiono ją na drewnianym stojaku. Na szczycie zatknięto srebrnoskrzydły hełm. Awatar uniósł hełm, strzepnął pajęczyny i przyjrzał mu się uważnie. Był lżejszy, niż się spodziewał. Wykonano go z nieznanego mu metalu. Miał łukowatą zasłonę, która po opuszczeniu chroniła twarz wojownika, oraz długi, łukowaty nakarczek u podstawy. Napierśnik ze srebrnych taśm miał grubą skórzaną wyściółkę, a nabiodrniki i nagolenniki nakładano na skórzane nogawice.

- Są za ciężkie dla naszych ludzi - stwierdził Viruk.

- Nie miałem zamiaru używać ich w obronie - wyjaśnił Rael. Kwestor generalny wszedł na stół i odwrócił się ku zebrany. - Wyższość Almeków opiera się na ich ognistych pałkach oraz na rurach strzelających ognistymi kulami. Wiemy, że do strzelania z nich potrzeba czarnego proszku. W wielkich ilościach. Jeśli zdołamy zniszczyć jego zapasy, Vagarzy będą mieli przeciwko sobie tylko osiem tysięcy wojowników uzbrojonych w miecze.

- Tylko? - powtórzył Viruk. - I powiedziałaś, że to Vagarzy będą mieli ich przeciwko sobie. Co właściwie sugerujesz, kuzynie?

- Zamierzam powtórzyć manewr strategiczny zastosowany przez Banela w ostatniej bitwie wojen kryształowych. - Wśród żołnierzy rozległy się szepty. - Nie mówcie o tym głośno - ostrzegł ich. - Nie wiemy, czy Kryształowa Królowa nas nie obserwuje.

Z grupy wystąpił Goray.

- Powiedziałeś, że zamierzasz powtórzyć manewr Banela, Raelu. A co, jeśli nasi rodacy zdecydują się przyłączyć do Almeków?

- Myślisz, że to zrobią? - zdziwił się kwestor generalny. Goray milczał.

- Pewnie, że zrobią - poparł go Viruk. - Wydaje ci się, że tuczny cielak dobrowolnie pójdzie na rzeź?

- Mam nadzieję, że moi rodacy dowiodą, że mają honor - skontrował Rael.

Viruk parsknął śmiechem.

- Kocham cię, kuzynie, ale stałeś się romantykiem. Nie obawiaj się, ja pójdę z tobą ścieżką Banela.

- Ja również - zapewnił Goray.

Nikt więcej się nie odzywał. Rael popatrzył na widoczne w świetle lamp twarze żołnierzy i uświadomił sobie, że Viruk trafnie odgadł uczucia Awatarów. Nikt z nich nie chciał walczyć dalej. Gruby Caprishan stał bez słowa z tyłu.

- Ja nie będę potrzebował zbroi - oznajmił.

- I tak w żadną byś się nie wcisnął, ty spasiony skurwysynu - warknął Viruk.

W tej samej chwili gdzieś wysoko nad nimi rozległ się donośny huk. Potem nastąpiła seria eksplozji. W suficie zbrojowni pojawiły się szerokie pęknięcia.

- Słodkie niebiosy, zaatakowali nas! - zawołał Goray.

- Spokojnie! - ryknął Rael. - Jesteśmy głęboko pod ziemią. Nic nas tutaj nie dosięgnie!

Usłyszeli dziesiątki kolejnych wybuchów. Huk nie milknął, jakby świat nad nimi kończył się w ogniu i śmierci.

Wydawało się, że trwało to cały wiek, ale w końcu hałasy ucichły.

Rael poprowadził swych ludzi na górę. Przejście blokowały zwalone fragmenty muru. Awatarowie odciągnęli je na bok. Na niebie świecił księżyc. Rael pierwszy wygramolił się z ruin gmachu Wielkiej Biblioteki. Posąg Pierwszego Awatara runął, jego głowa rozpadła się na kilkanaście części. Wszędzie widać było ogień, a pośród głazów leżały ciała.

Pojawili się vagarscy żołnierze, dowodzeni przez Mejaną i Pendara. Rael podszedł do nich.

- Wszystko wydarzyło się nagle - powiedziała Mejana.

- Almekowie zaczęli przemieszczać ogniste rury jakieś dwie godziny temu. Skupili je w jednym punkcie, a potem zaczęli strzelać ognistymi kulami. Sądziłem, że atakują mury, ale wszystkie pociski były wymierzone w Bibliotekę. Nie mogliśmy nic zrobić.

- Czy komuś udało się wydostać? - zapytał.

- Wyniesiono z budynku troje dzieci. Jedno zmarło, a dwoje jest w szoku.

Rael nie powiedział nic więcej. Wbiegł na rumowisko razem z pozostałymi Awatarami i zaczął odrzucać na bok głazy.

Z upływem godzin wydobywali coraz więcej ciał. O świcie poznali już skalę masakry. Liczba zabitych i zaginionych Awatarów wynosiła dwieście siedemnaście. Uratowały się tylko cztery kobiety i dwoje dzieci.

Rael znalazł Mirani tuż przed świtem. Próbowwała osłonić dwoje dzieci przed spadającymi głazami. Ich ciała spoczywały pod jej ciałem. Otaczała je ramionami. Awatarowie i Vagarzy wspólnie trudzili się przy usuwaniu głazów. Rael wziął w ramiona zwłoki żony i usiadł na gruzach, tuląc ją do siebie. Nic nie mówił. Było mu zbyt ciężko na duszy, żeby mógł płakać. Tulił ją tylko do siebie, kołysząc się w przód i w tył.

Zmęczona Mejana siedziała nieopodal, przyglądając się jego bezgłośniejsz rozpacz.

Dwóch noszowych czekało nerwowo, bojąc się podejść do kwestora generalnego. W końcu Mejana zrobiła to za nich.

- Czas już, byś pozwolił jej odejść - powiedziała. Rael spojrział na nią. Nie odezwał się ani słowem. Pocałował Mirani po raz ostatni i zaniósł ją na nosze.

Gdy nastał ranek, Rael zebrał swych ocalałych żołnierzy. Wszyscy oprócz Caprishana wrócili do zbrojowni i przywdziali srebrne zbroje z czasów wojen kryształowych.

Ro cierpiał z powodu innego rodzaju bólu. Nie było w nim głodu,

pragnienia wysysania życia z innych. Dla niego był to ból rozpacz, żałoby i utraty, połączony z uciskiem w kończynach. Czuł się tak, jakby jego mięśnie same rozdzierały się stopniowo na strzępy.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku, trzymając Sofaritę za rękę. Palce miał niemal całkowicie odrętwiałe, a jego myśli zdominowało przygnębienie. Z oczu płynęły mu łzy. Przywitałby śmierć z radością, niczym starą przyjaciółkę. Sofarita wyczuła jego narastającą desperację i pozwoliła, żeby ból przeniknął z powrotem do niej. Ro westchnął z ulgi.

I tak, pogrążeni w rytuałach Pierwszego Awatara, zdołali przetrwać rejs. Dzielili się bólem, każde znosiło go tak długo, jak tylko mogło, a potem przekazywało brzemień drugiemu.

Wieczorem trzeciego dnia, gdy Wąż zbliżał się już do zachodniego kontynentu, Sofarita poczuła, że wraca do niej moc. Delikatna energia kryształów napłynęła na podobieństwo powiewu słodkiej bryzy. Wypiła ją, napawając się smakiem życia.

Kobieta zaczerpnęła głęboko tchu i puściła dłonie Ro. Kwestor otworzył oczy, uśmiechnął się do niej, a potem osunął wyczerpany na podłogę. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go lekko po policzku. Potem wstała i przeciągnęła się. Wyszła na centralny pokład i stanęła tam w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, przyglądając się kołującym nad okrętem mewom.

Talaban zauważył ją i podszedł do niej.

- Jak się czujesz, pani? - zapytał.

- Ro mnie uratował.

- Wiem o tym. Wiele razy zaglądałem do twojej kajuty i widziałem, jak tam siedzieliście. To dobry człowiek.

- Najlepszy - zgodziła się.

Oddaliła się bez słowa i usiadła na zwoju liny przy lewym relingu. Uwolniła ducha i uniosła się wysoko nad odległą zatokę, a potem przemknęła nad pogrążającymi się w mroku lasami i równinami w poszukiwaniu Jednookiego Lisa. Z pierwszego z obozów, które widziała poprzednio, zostały tylko ruiny. Nad rzeką sterczały poczerniałe tyczki namiotowe, a na ziemi

leżało kilka ciał. Tu jednak nie doszło do masakry na wielką skalę. Większości Anajo udało się uciec. Sofarita przeszukała okolicę i na skraju lasu znalazła masowy grób. Wniknęła duchem pod ziemię i przekonała się, że leży w nim około czterdziestu almeckich wojowników.

Anajo nie tylko przetrwali atak, ale również zadali nieprzyjacielowi poważne straty.

Sofarita wzniosła się wysoko nad ziemię jak polujący orzeł i zatoczyła szeroki krąg w poszukiwaniu oznak ruchu. Zobaczyła kolumnę Almeków: blisko pięciuset żołnierzy maszerujących na wschód. Dwie mile przed nią ujrzała drugą, mniejszą grupę, uciekającą między drzewami. Przemknęła nad nią. To byli Anajo, siedemnastu mężczyzn i trzy kobiety. Twarze mieli pomalowane na czerwono i niebiesko. Nieśli krótkie, myśliwskie łuki i kołczany, a za pasy zatknęli toporki z krzemienia.

Gdy się zbliżyła, pierwszy z dwudziestu biegnących zatrzymał się i uniósł wzrok. Był mężczyzną w średnim wieku o opalonej na ciemny brąz skórze oraz głęboko osadzonych brązowych oczach. Uniósł dłoń, zwróconą wewnętrzną powierzchnią do Sofarity, i uśmiechnął się. Potem ukląkł, skrzyżował ramiona na piersi i uwolnił ducha z ciała.

- Dobrze jest znowu cię ujrzeć, siostrze - przywitał ją.

- Wrogowie są niedaleko, za wami - ostrzegła go.

- Nie dogonią nas, jeśli im na to nie pozwolimy. Czy Dotknij Księżyca jest z tobą?

- Tak. I Talaban również.

- Aiya! - zawołał triumfalnym tonem. - To dobrze. Prowadzę ze sobą swych wilczych żołnierzy. Przybijcie do brzegu w zatoce i skierujcie się na południowy zachód, ku najwyższej górze. Tam się spotkamy. I stoczmy ostatnią bitwę, czy tak?

- To nie będzie potrzebne - odpowiedziała. - Kryształowa Królowa wie o Anu i jego piramidzie. Moja wyprawa straciła sens.

- Nieprawda, siostrze. Wędrowałem Szarą Drogą. Widziałem to. Ona próbuje przebić się przez magię otaczającą jego obozowisko. Chce go powstrzymać, zanim ukończy dzieło. Możesz odebrać jej moc. Dać Anu

szansę. Wszystko ma sens.

Idźcie na górę. Odciągniemy od was Almeków. - Przerwał na chwilę i na jego twarzy pojawił się cień smutku. - Ale najpierw obejrzyj wasze kamienne miasto. Wiele się tam wydarzyło. Unoszą się nad nim Duchy Śmierci, a Kruki czekają, aż bohaterowie ruszą do ataku. Zobaczymy się na górze.

Powrócił do ciała, pomachał jej ręką na pożegnanie i poprowadził swych ludzi na północ.

Sofarita wróciła na okręt, powiedziała Talabanowi, żeby zawinął do zatoki, i wyruszyła do Egaru.

Kiedy wróciła, po niespełna pół godzinie, czekali na nią Ro, Talaban i Proberz. Wąż kotwiczył w zatoce. Na południowym zachodzie widać było wysokie góry.

- Tam właśnie musimy się udać - oznajmiła. - Czekają tam na nas Jednooki Lis.

- Ilu ma wojowników? - zapytał Talaban.

- Dwudziestu.

- Widziałaś jakichś Almeków?

- Setki.

Talaban zaklął cicho.

- Obiecałem Raelowi, że odeślę okręt z załogą z powrotem do Egaru. Ale będziemy bardzo potrzebowali tych dwudziestu awatarskich łuczników. Czy masz czas, żeby się z nim skontaktować i poprosić, żeby ich nam użyczył?

- Nie mam - odpowiedziała twardym tonem. - Ale oni nie będą już potrzebni w Egaru ani nawet nie byłiby tam mile widziani. Wykorzystaj ich tak, jak uznasz za stosowne.

- Co to ma oznaczać? - zapytał.

- Na razie nie chcę o tym mówić. Wsiadajmy na brzeg.

Myślisz, że nas zdradzą? - zapytał Pendar, gdy stu dwunastu Awatarów wyjeżdżało przez południową bramę na przybrzeżny trakt. Mejana wsparła się o blanki, spoglądając na jeźdźców. Nie odpowiedziała na pytanie. Jak pięknie wyglądają w tych srebrnych zbrojach, pomyślała. Jak legendarni bohaterowie.

Dziwnie się czuła, patrząc na nich w tej chwili. To byli źli ludzie, którzy podporządkowali sobie jej naród i wykorzystując siłę życiową innych, przedłużali swe życie. To oni zabrali jej córkę, czyniąc z niej starą zgrzybiałą kobietę. Ale teraz w blasku słońca jechali na śmierć, by uratować miasta. Mejana nie wiedziała już, co myśleć i czuć. Przez tak wiele długich, pełnych gorzkiej samotności lat starała się doprowadzić do ich upadku.

A teraz ten dzień wreszcie nadszedł.

Nie czuła jednak triumfu, nie uderzyła jej do głowy radość. Nie tak to sobie wyobrażała.

- Zawrą pakt z Almekami - zapewnił Boru. - Nie można im ufać.

Wszyscy przez nich zginiemy.

- Być może masz rację - odezwała się po chwili Mejana. - Ale raczej w to wątpię. Ich żony i dzieci nie żyją moc niemal ich opuściła, ich czas się skończył. Wykonamy ostatni rozkaz kwestora generalnego.

Tereny na wschód od miasta nadal były zalane wodą ale na południu poziom gruntu był wyższy. Widziała zakutego w srebrną zbroję Raela, który wprowadził swych jeźdźców na niskie wzgórze. Obejrzała się za siebie, spoglądając na setki ludzi z pospolitego ruszenia, którzy czekali nerwowo pod bramą. Niektórzy byli uzbrojeni w miecze i włócznie, ale większość miała tylko noże bądź maczugi własnej roboty. Nie nosili zbroi i było wśród nich niewielu łuczników. Spojrzała na Pendarę.

- Idź do Trzeciej Bramy. Kiedy Rael zaatakuje, poprowadź wojsko do szturm. Pospolite ruszenie podąży za nim.

- Stracimy mnóstwo ludzi, babciu - ostrzegł ją.

- Postaraj się, żeby ciebie nie było wśród nich - zażądała. Pendar pokłonił się, a potem pobiegł szczytem murów ku czekającym nań vagarskim żołnierzom. Mejana zwróciła się w stronę Boru, spoglądając w jego twarde, niebieskie oczy. - Możesz zostać ze mną albo walczyć razem z pospolitym ruszeniem. Wybór należy do ciebie.

- Nienawidzisz mnie? - zapytał.

- Dziś nie jest pora na nienawiść - odparła. - Dziś jest pora na żal.

Wyciągnął miecz, uśmiechnął się do niej zimno, zszedł z muru

i dołączył do czekających na dole ludzi.

Almekowie zobaczyli już oddział Raela i kolumna żołnierzy ruszyła w jego stronę.

Mejana była zmęczona. Spędziła noc na poszukiwaniach ocalonych w ruinach Biblioteki. Znaleźli dwie żywe kobiety. Pierwsza zmarła, gdy tylko ruszyli ją z miejsca, a druga miała zmiążdżone nogi i wykrwawiła się na śmierć, kiedy podnieśli belkę, która ją przygniatała. Ratownicy wydobyli spod gruzów dziesiątki trupów.

Podczas tej długiej nocy Mejane całkowicie opuściła nienawiść do Awatarów. Zemsta, jaką mogła planować, wydawała się mała i pozbawiona znaczenia w porównaniu z wielką tragedią, jaka się wokół niej rozgrywała. Płakała, kiedy znaleźli dzieci. Ich małe ciała zostały zmiążdżone przez spadające kamienie, ich życiu położył kres ogień i śmierć spadające z nieba.

A resztki nienawiści zniknęły, kiedy ujrzała Raela tulącego w ramionach martwe ciało ukochanej żony.

Tak, Awatarowie byli źli i Wielki Bóg ich ukarał. Mejanie nie uchodziło dalej myśleć o zemście.

Rael przyszedł do niej przed ostatnim atakiem. Stał przed nią przez chwilę bez słowa, a potem wyciągnął rękę. Uścisnęła ją.

- Życzę wam wszystkiego najlepszego - rzekł. - Vagarzy są teraz strażnikami bliźniaczych miast. To wy będziecie pisać historię. Niewykluczone, że nie macie nic dobrego do powiedzenia o nas i o naszych rządach, ale proszę, byście zapamiętali, w jaki sposób odeszliśmy.

- Nie musisz tego robić, Raelu - zauważyła.

Wzruszył ramionami.

- Muszę, jeśli chcemy zwyciężyć.

Odwrócił się od niej i dosiadł wielkiego siwego rumaka. Mejana otuliła się mocno płaszczem i spojrzała na odległe wzgórza. Awatarowie ustawili się w klin, przypominający wielki srebrny grot włóczni. I ruszyli do szarży.

Po opuszczeniu miasta Rael nie oglądał się za siebie. Uświadomił sobie, że przez całe swe długie życie robił to stanowczo zbyt często. Był zapatrzony

w przeszłość, toczył skazaną na porażkę walkę o utrzymanie jej przy życiu. Miasto przetrwa albo nie. Troska o jego przyszłość nie była już obowiązkiem Raela.

Sofarita przyszła do niego i powiedziała mu, gdzie dokładnie znajduje się almecki magazyn i jak silnie jest broniony. Szanse na to, żeby Awatarom udało się do niego przedrzeć, były niewielkie, ale Rael już o to nie dbał. Mirani nie żyła, a jego marzenia zginęły razem z nią. Jeśli jego śmierć spowoduje upadek Almeków, to warto będzie zapłacić tę cenę.

Nie musiał już wydawać rozkazów. Każdy z jego ludzi znał cel i wiedział, że to będzie ostatnia szarża Awatarów. Nikt się nie odzywał. Wszyscy zatopili się w myślach, wspominając rodziny i tych, których kochali.

Rael wyprowadził swych srebrnych jeźdźców na wschodni stok. Po lewej widział pułk Almeków, który zmierzał ku nim.

- Formować klin! - zawołał i przesunął się do przodu, by stać się jego wierzchołkiem. Jeźdźcy ustawili się wokół niego i za nim.

- Naprzód! - ryknął. Opuścił zasłonę i skłonił do biegu swego siwego rumaka, Pakala. Wystrzelił z łuku zhi w kolumnę zbliżających się almeckich żołnierzy. Atakująca w zmasowanym szyku piechota nie miała jeszcze przeciwnika w zasięgu swych ognistych pałek i wystrzelona przez Awatarów salwa świetlnych impulsów spowodowała straszliwe zniszczenia. Dziesiątki żołnierzy padły na ziemię. Konie przeszły w cwał. Tętent kopyt przesycił powietrze wibracją. Z łuków zhi raz po raz wystrzeliwano śmiertelne impulsy i w szeregach Almeków pojawiła się luka. Nie zaprzestali jednak ataku.

Unieśli ogniste pałki i wystrzelili. Ołowiane pociski uderzyły w szarżujących jeźdźców. Dwanaście rumaków padło na ziemię. Dziesięć następnych zostało rannych, ale pędziło dalej. Wydawało się, że życie gnającego przodem Raela jest zaczarowane. Pociski świstały obok niego.

Tuż za jego plecami koń Cationa potknął się nagle i oficer runął na ziemię. Przetoczył się na kolana i ze spokojem zaczął ostrzeliwać kolejnymi impulsami szyki nieprzyjaciela. Pocisk trafił go w kość policzkową, przebił lewą gałkę oczną i utknął w mózgu.

Szarża trwała dalej.

Pierwsi jeźdźcy dotarli do szeregów nieprzyjaciela. Almekowie pierzchli przed nimi. Rzadziej słyhać było teraz huk ognistych pałek, gdyż Awatarowie parli naprzód, strzelając z łuków zhi. Rael został zraniony w bark i w biodro. Zachwiał się w siodle, ale nie spadł. W lewą flankę Awatarów uderzyła kolejna mordercza salwa. Dwadzieścia koni padło na ziemię.

Rael pędził przed siebie, strzelając na lewo i prawo. Koń jadącego obok Goraya został trafiony pociskiem w głowę. Gdy zwierzę padło na ziemię, Awatar zeskoczył z siodła i zabił jeszcze czterech Almeków, zanim inni dobili go mieczami i sztyletami.

Atakujący wdarli się już przeszło sto jardów w szeregi nieprzyjaciela.

Rael obejrzał się szybko za siebie, w stronę Egaru. Bramy się otworzyły i vagarscy żołnierze wypadli na zalane wodą pola. Podążała za nimi gęsta masa pospolitego ruszenia.

Coś uderzyło go w skroń. Spadł z siodła. Podbiegli ku niemu trzej Almekowie. Wielki siwek, Pakal, stanął dęba, tłukąc kopytami. Dwaj przeciwnicy padli. Rael przetoczył się na nogi. Nadal trzymał w ręku łuk zhi. Jego palce zatańczyły na świetlnych strunach. Sześć impulsów uderzyło jeden po drugim w szereg Almeków i wszyscy upadli na ziemię. Rael złapał za łęk siodła i wsunął stopę w strzemień. Ołowiana kula uderzyła w jego hełm, zrywając mu go z głowy. Druga musnęła jego twarz, odrzucając głowę do tyłu. Pomimo bólu zdołał się wspiąć na siodło i wystrzelić jeszcze cztery impulsy. Niektórzy z jego jeźdźców krążyli wokół niego, ale co najmniej trzydziestu kontynuowało szarżę, wdzierając się coraz głębiej w szeregi nieprzyjaciela. Rael spiął rumaka i pognał za nimi, nie przestając strzelać. Nie musiał już celować. Wrogowie otaczali go ze wszystkich stron.

Jeden z nich podbiegł bliżej, unosząc ognistą pałkę. Huk był ogłuszający. Z broni buchnęły dym i ogień. Pocisk zrobił dziurę w zbroi Raela, wbijając się w brzuch. W łuku zhi zabrakło już energii, więc Rael go odrzucił. Złapał za szablę i ciął napastnika w głowę. Almek odskoczył do tyłu. Po twarzy spływała mu krew. W Pakala uderzyła cała salwa pocisków. Wielki rumak stanął dęba i padł na ziemię. Rael próbował wstać, ale dwa kolejne

strzały zakreśliły jego ciałem. W końcu runął na plecy.

Zgiełk bitwy ucichł. Awatar podźwignął się na kolana, starając się skupić spojrzenie. Widział jednak tylko odległe jasne światło na końcu długiego ciemnego tunelu. To światło go przyzywało i przypomniał sobie czas, gdy jako dziecko zgubił się w lesie. Noc zapadła bardzo szybko i Rael błądził pośród drzew, porażony paniką. Wreszcie ujrzał w oddali złote światło, podobne do świeczki. To była lampa w oknie wiejskiej chaty. Jego młode serce ogarnęło wówczas uniesienie, gdyż światło oznaczało bezpieczeństwo i życie.

Teraz również zaznało uniesienia - a jego duch unosił się razem z nim.

Czekający na tyłach swej armii Cas-Coatl obserwował ostatnią szarżę Awatarów ze złowrogim przecuciem i głębokim żalem. Był z Raelem szczery. Naprawdę pragnął zjednoczenia z Awatarami. Łączyło go z nimi poczucie pokrewieństwa. Z jakiegoś dziwnego powodu żałował, że nie może wziąć udziału w tym chwalebnym ataku.

Nocą przyszła jednak do niego Almeida. Powiedziała mu, czym jest naprawdę piramida Anu, i poinformowała go, że Rael postanowił walczyć do końca. Rozkazała mu zniszczyć Wielką Bibliotekę, a wraz z nią rodziny Awatarów. Cas-Coatl, jak zawsze, wykonał jej rozkaz.

A teraz patrzył na pędzących przed siebie Awatarów. Stracili już połowę oddziału, ich dowódca nie żył, a jeźdźcy pędzili ku ukrytym drutom i najeżonym zaostrozonymi palami okopom, przygotowanym przez jego ludzi pod osłoną ciemności. To będzie haniebny koniec tak bohaterskiej szarży, ale Cas-Coatl nie mógł pozwolić, by zniszczyli jego zapasy prochu. Bez niego moździerze i muszkiety jego ludzi staną się bezużyteczne.

Wielki szmaragd na jego pasie zaczął wibrować. Dotknął go dłonią i usłyszał głos Almei.

- Twoi ludzie prawie już się przedarli przez mgłę. Dołącz do nich. Weźcie Anu żywcem. Może cofnąć to, co zrobił. Zna Muzykę.

Cas-Coatl przeniósł spojrzenie na pole bitwy. Jego szyki ugięły się pod gwałtownym naciskiem Vagarów i mieszkańców miasta, a Awatarowie nadal

parli naprzód, zadając jego żołnierzom ciężkie straty.

- Jeszcze możemy tu przegrać, pani - ostrzegł ją.

- Jeśli Anu ukończy swą piramidę, i tak przegramy. Sofarita odbiera mi moc. Nasze osłony są słabe. Musimy pojmać Anu. Ruszaj!

Cas-Coatl spojrział na swego adiutanta.

- Utrzymuj pozycję, a gdy wszyscy Awatarowie już zginą, poprowadź kontratak z lewej flanki. O zmierzchu miasto powinno być nasze.

Mężczyzna zaszalutował, Cas-Coatl rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na szarżujących Awatarów, a potem ruszył w dół zbocza, ku miejscu, gdzie kotwiczyły trzy złote okręty.

Po drodze uświadomił sobie, że cieszy się, iż nie będzie musiał oglądać końca szarży, chwili, gdy konie przewrócą się o druty, a jeźdźcy spadną na naostrzone pale ukryte w wykopach wydrążonych w stoku.

Rozdział dwudziesty szósty

Bitwa na niebie trwała przez sto dni i sto nocy. Przelano mnóstwo krwi. Na koniec przy życiu pozostał tylko jeden z bohaterów, a był nim Yirkokka. Wszędzie wokół niego kłębiły się demony, otoczył go las włóczni. Virkokka zabijał demony tysiącami, ale wciąż nadciągały nowe. Na koniec nawet on znużył się trwającą bez końca walką, wbił miecz w grunt i wezwał na pomoc Płomień Ziemi.

Z Wieczornej pieśni Anajo

Gdy Rael padł, miejsce na czele oddziału zajął Viruk. Oszłomiła go furia bitewna. Był w ekstazie. Po jego lewej stronie jechał Niclin, a z tyłu trzydziestu pozostałych przy życiu Awatarów. Mknął przed siebie, strzelając z łuku zhi, aż nagle w pewnej chwili zauważył po lewej skupisko ognistych rur z brązu. Zapomniał o właściwej misji i skierował wierzchowca w ich stronę. Awatarowie podążyli za nim.

- Zapasy! - krzyczał Niclin. - Musimy zniszczyć zapasy!

Viruk go zignorował - i w ten sposób nieświadomie odciągnął oddział od ukrytych drutów i wykopów. Almekowie pierzchali przed nimi i Viruk wycelował w beczkę stojącą u podstawy najbliższej rury, jakieś sześćdziesiąt jardów od niego. Gdy uderzył w nią impuls, beczka eksplodowała. Buchnęły z niej płomienie i dym. Ogień ogarnął dwie sąsiednie beczki.

Nastąpił wybuch, od którego cała machina uniosła się wysoko w powietrze. Spadła na drugą rurę, wrywając ją z podstawy. Skupieni wokół Almekowie uciekli przed Awatarami. Ognistych rur było z górą pięćdziesiąt. Viruk i jego jeźdźcy wysłali serię impulsów z łuków zhi w otaczające je beczki.

Doszło do kolejnych eksplozji. Dym i ogień buchnęły ku niebu. Pole bitwy spowiała gęsta szara mgła.

Niclin podjechał do Viruka.

- Zapasy, ty durniu! - zawołał. - Musimy zniszczyć czarny proszek!

Viruk popędził konia kopniakiem, ponownie kierując się ku wzgórzom.

Pozycje zajęła tam kompania almeckich żołnierzy. Ich ogniste pałki zagrzmiały i kilkunastu Awatarów padło na ziemię.

Viruk skierował zmęczonego wierzchowca w górę zbocza. Niclin i szesnastu ocalałych Awatarów podążyło za nim.

Gdy już wjechał na szczyt, ujrzał obóz nieprzyjaciela oraz nakryte płachtami brezentu zapasy.

Obozu broniło około stu ustawionych w półokrąg kralów.

Viruk nie wahał się ani chwili. Spiał wierzchowca i popędził cwałem w dół zbocza.

Gdy Awatarowie wyjechali na otwarty teren, rozpostarli się w wachlarz. Almeccy żołnierze zdążyli już wbiec na szczyt wzgórza za ich plecami i strzelali do nich z góry. Po pierwszej salwie padło pięć koni. Jeźdźcy runęli na ziemię. Druga powaliła siedem kolejnych wierzchowców. Sześciu pozostałych wojowników dotarło do szeregu kralów.

Potężne bestie runęły na Awatarów.

- Zajdźcie je z flanki, z lewej i z prawej! - zawołał Viruk. Niclin skreślił w prawo. Jeden z Awatarów popędził za nim. Trzech pozostałych jeźdźców pomknęło w lewo. Krale podzieliły się na dwie grupy, chcąc przeciąć im drogę.

Viruk wpadł w powstałą pośrodku lukę. Trzy krale zawróciły ociężale, chcąc go powstrzymać. Viruk zastrzelił dwa i runął szarżą na trzeciego. Pazury bestii błysnęły, rozpruwając gardło wałacha. Koń padł na ziemię. Viruk przetoczył się w bok i strzelił prosto w oblicze krala.

Zbliżały się już następne bestie. Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę odległego o trzysta jardów obozu.

Z kryjówek wokół niego wypadło kilkunastu żołnierzy. Kiedy wystrzelili, Awatar rzucił się w prawo. Zrobił to jednak za wolno i ołowiana kula trafiła go w udo.

Przetoczył się na plecy i zobaczył, że krale są już bardzo blisko. Zerwał się z ziemi i zastrzelił trzy z nich. Potem usłyszał tętent. Odwrócił się w prawo i zobaczył pędzącego ku niemu cwałem Niclina.

Zagrzmiała kolejna salwa. Pociski rozszarpały ciało jeźdźcy, zrzucając

go z siodła. Viruk podbiegł do przerażonego wałacha, złapał za łęk, skoczył na siodło i popędził w stronę almeckich żołnierzy. Większość z nich dopiero ładowała broń. Dwóch zdążyło wystrzelić. Jeden pocisk chybił, ale drugi trafił Viruka wysoko w pierś.

Koń wpadł cwałem do obozu. Viruk ominął zapasy i podjechał do nadrzecznego wału. Zsunął się z siodła i wdrapał na strome zbocze. Krale były już blisko. Viruk upadł na kolana, czekając spokojnie, aż bestie dotrą do podstawy zbocza. Jak wszyscy Awatarowie, wiedział, że dzisiaj zginie. Pomyślał o swym ogrodzie. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie zaskoczenie, jakie pojawi się na twarzy Kale'a, gdy ten się dowie, że Awatar zapisał mu w testamencie dom z ogrodem oraz cały swój majątek.

Miał nadzieję, że pozwoli tam zamieszkać małemu garncarzowi.

Potem wycelował i wystrzelił prosto w setki ustawionych obok siebie beczek.

Wybuch był ogromny. Ku niebu wzbił się gigantyczny słup dymu. Ciało Viruka uniosło się wysoko ponad wał.

Huk był tak ogłuszający, że na moment na całym polu bitwy ustały walki. Ludzie spoglądali na słup dymu, który wznosił się coraz wyżej ku niebu. Zdyscyplinowani Almekowie szybciej otrząsnęli się z szoku, wypuszczając salwę w szeregi oszołomionych Vagarów, którzy natychmiast znowu ruszyli do szturm. Stojący pośrodku szyku Pendar krzyczał na swych żołnierzy, podrywając ich do ataku. Krwawił z rany na czole, ale nie czuł bólu. Kilka lekcji walki na miecze, których udzielił mu Talaban, pozwoliły mu zachować życie. Zabił też dwóch Almeków. Żołnierze pobiegli naprzód, mijając go z obu stron. Przez chwilę mógł oddychać spokojnie. Spojrzał w lewo i w prawo. Vagarzy mieli co najmniej trzykrotną przewagę liczebną, ale większość z nich nie była wyszkolona i linia obrony Almeków nadal się trzymała.

Choć Pendar nigdy nie uczył się strategii, był inteligentnym człowiekiem i wyczuwał, że fala znowu się odwraca. Vagarzy ponosili coraz większe straty i wkrótce pospolite ruszenie zostanie zmuszone do odwrotu.

W tej samej chwili, gdy nasunęła mu się ta myśl, pułk Almeków zaczął manewr oskrzydający.

Gdy już zdołają sformować tam szyk, będą mogli swobodnie ostrzeliwać niechronioną prawą flankę jego sił.

Nagle usłyszał w oddali dźwięk trąb.

Na wzgórzach pojawił się szereg maszerujących żołnierzy. Mieli broje z brązu, długie tarcze i włócznie. Były ich setki. Trąby zabrzmiały po raz drugi. Żołnierze ustawili się w cztery szeregi i pobiegli w stronę Almeków, którzy próbowali oskrzydlić Vagarów. Zagrzmiały ogniste pałki, ale tarcze napastników zatrzymały większość pocisków.

Żołnierze opuścili długie włócznie do pozycji poziomej. Almekowie nie cofnęli się, ale włócznie wdarły się w ich szyk. Potem pierwszy szereg atakujących rozstał się i na obrońców runęła setkami uzbrojona w miecze piechota. W kilka chwil almecki pułk został doszczętnie rozbity. Niedobitki uciekały w stronę głównego oddziału.

Pendar poczuł nagły przyływ radości. Losy bitwy znowu się odwróciły. Teraz to Almekowie walczyli o życie. Wycofywali się powoli w górę zbocza. Ich celem był zbrojny odwrót na bezpieczne okręty.

Vagarzy, których morale już upadało, odzyskali nagle serce do walki.

Pendar wydał krzykiem rozkaz do szarży i żołnierze podążyli za nim, powalając uciekających Almeków.

Odwrót zamienił się w bezładną ucieczkę. Nieprzyjacielem zawracali nagle, szukając w rzece schronienia choć na krótką chwilę. Małe grupki Almeków broniły się w kręgach, które jednak szybko ustępowały pod naporem atakujących.

Stojąca na murach miejskich Mejana uświadomiła sobie, że zwycięstwo jest bliskie, rozkazała więc ostatnim kompaniom pospolitego ruszenia wybiec z miasta i przyłączyć się do bitwy.

Zakuci w brąz przybysze maszerowali przez pole bitwy w idealnie równym szyku, do taktu kilkudziesięciu bębnow. Almekowie pierzchali przed nimi, odrzucając broń. Niektórzy padali na kolana, błagając pardonu. Nikt im go nie dawał.

Nad rzeką przerażeni Almekowie zorientowali się, że złote okręty ich porzuciły. Kłębili się bezładnie, nie stawiając większego oporu bezlitosnym

atakom Vagarów.

Śmiertelnie zmęczony Pendar oddalił się od walczących. Nie próbował powstrzymać masakry, przekonany, że to dzień zapłaty.

Podszedł do niego jakiś mężczyzna noszący zbroję z brązu.

- Czy to ty tutaj dowodzisz? - zapytał, zdejmując hełm.

- W pewnym sensie - potwierdził Pendar. Nieznajomy był niezwykle przystojny. Włosy na skroniach miał zabarwione na złoto, a oczy wielkie i fiołkowe.

- Jestem Ammon. Mam nadzieję, że przybyłem na czas?

- W rzeczy samej, panie. Ale jest jeszcze druga armia, oblegająca Pagaru. Twoja pomoc bardzo by się nam przydała.

Ammon rozejrzał się po polu bitwy.

- Gdzie są Awatarowie? - zapytał.

- Wszyscy zginęli. Ruszyli szarżą na nieprzyjaciela i zniszczyli jego bazę.

- Ach, więc to był ten huk, który słyszeliśmy - domyślił się Ammon. - Myślałem, że to niebo spadło na ziemię. Mówisz, że wszyscy zginęli?

- To była wspaniała szarża. Okryli się chwałą.

- Szkoda, że tego nie widziałem - stwierdził Ammon. - To znaczy, że władzę w mieście sprawuje pani Mejana?

- Tak i nie. Będzie nami rządziła, dopóki nie wybierzemy nowej Rady.

- Sądzę, że przekonacie się, iż potrzebujecie króla - rzekł Ammon. - Ale takie sprawy mogą poczekać na później.

Gdy pierwszych dziesięciu awatarskich żołnierzy, razem z kwestorem Ro, wsiadło do srebrnej szalupy i popłynęło na skąpany w blasku księżyca brzeg, Sofarita wezwała do siebie Methrasa.

- Musisz wrócić do domu tak samo szybko, jak płynęliśmy w tę stronę - ostrzegła go. - Jeśli wszystko będzie dobrze, to będzie ostatni rejs Węża.

- Ostatni rejs? Nie rozumiem. Mocy powinno wystarczyć na lata. Nawet przy użyciu Muzyki.

- Wkrótce jej zabraknie. Piramida Anu nie będzie łądować kamieni, ale odbierać im moc. Taki jest jej cel. Anu przewidział pojawienie się Kryształowej

Królowej. Jeżeli w chwili ukończenia piramidy będziecie nadal na morzu, okręt zatonie.

- Jak w takim razie wrócimy po was?

- Nie wróćcie.

Odwróciła się od niego, podeszła do relingu i stanęła obok Talabana oraz Probierza. Dzikus wpatrywał się w brzeg. Srebrna szalupa wróciła i Talaban zszedł na dół po drabince sznurowej. Podążył za nim Probierz oraz druga dziesiątka awatarskich łuczników. Sofarita zeszła ostatnia. Stawy bolały ją z wysiłku. Szczególnie dokuczał jej przeszywający ból w lewym biodrze.

Talaban pomógł jej wsiąść do szalupy.

Łódź zawróciła i pomknęła w stronę brzegu.

- Czy teraz nam powiesz, co się wydarzyło w Egaru? - zapytał Talaban.

- Pokonali najeźdźców - odparła. - Ale wielkim kosztem.

Uśmiechnął się złowrogo.

- Mniejsza o koszt. Rael jest świetnym strategiem.

- Był - poprawiła go. - A cena była wyższa, niż sobie wyobrażasz.

Wszyscy Awatarowie zginęli razem z nim.

Siedzący w szalupie ludzie wysłuchali w milczeniu opowieści o zniszczeniu Biblioteki i ostatniej szarży, o tym, jak Viruk przedarł się konno przez linie bestii, wabiąc je ku zagładzie. Opowiedziała im też o Ammonie, który uciekł z miasta, zebrał resztki swej armii i przybył z nimi akurat na czas, by odwrócić losy bitwy.

Szalupa przybiła do brzegu, ale nikt się nie ruszał.

- Jesteśmy ostatnimi z naszej rasy - odezwał się Talaban. Sofarita popatrzyła na twarze Awatarów. Były pełne zamyślenia i smutku. Nie dostrzegało się w nich już arogancji. Nie byli teraz rasą bogów, a tylko ludźmi, którzy utracili rodziny i wszystkich, których kochali.

W końcu ciszę zmaćił Probierz. Położył dłoń na ramieniu Talabana i powiedział:

- Idziemy zabijać Almeków. Tak?

Talaban nie odpowiedział, ale wysiadł z łodzi i ruszył przez wodę ku brzegowi. Pozostali Awatarowie poszli w jego ślady. Dołączyli do towarzyszy

z pierwszej grupy i opowiedzieli im o katastrofie. Kwestor Ro podbiegł do Sofarity i podał jej dłoń.

Gdy już znalazła się na brzegu, odetchnęła głęboko.

- Nie ma już dla ciebie powrotu, kwestorze Ro - oznajmiła mu.

- Jestem tu, gdzie pragnę być - odparł. - Czy to prawda, że wszyscy zginęli?

- Tak.

Milczał przez chwilę.

- Staliśmy się samolubni, ale nie zawsze tacy byliśmy.

Daliśmy światu cywilizację, słowo pisane, architekturę, poezję, naukę. Mam nadzieję, że ludzie zapamiętają to, co było dobre, nie tylko to, co było złe.

- Nie będą o was pamiętać, Ro - odrzekła. - Nie jako o ludziach.

Najpierw staniecie się legendą a potem bogami, tak jak tego pragnęliście. Pod warunkiem że zwyciężymy.

Spośród drzew wyłoniła się szczupła postać, która zastygła w bezruchu.

Sofarita zobaczyła, że to kobieta, jedna z wilczych żołnierzy. Twarz miała naznaczoną czerwonymi liniami, a czoło pomalowane na czarno. Probierz wrzasnął jak szalenciec i pobiegł ku niej. Kobieta stała zupełnie nieruchomo. Dzikus zatrzymał się przed nią.

- Dokonało się - oznajmił. - Zima mojej duszy się skończyła.

Nie uśmiechnęła się, ale wyciągnęła do niego lewą rękę. Probierz ujął ją w prawą i przycisnął sobie do serca.

- Słyszałaś moje pieśni modlitewne? - zapytał.

- Wszystkie - odpowiedziała. - A czy ty czułeś, jak moje serce sięgało ku tobie?

- Czułem. Aya! Ależ to dobry dzień! - Trzymając kobietę za rękę, poprowadził ją do Talabana. - To jest Suryet - oznajmił z dumą. - Pani mojego serca. Teraz umrę szczęśliwy. - Przeszedł na język Anajo, zwracając się do Suryet. - To jest Władca Czarnego Okrętu, który obiecał, że pomoże mi wrócić do ciebie. To dobry człowiek i wspaniały wojownik. Przypląnął tu, by

pomóc Ludowi w walce z najeźdźcami. Przywitaj go jak brata mojej duszy.

Suryet podeszła bliżej, położyła dłoń na sercu Talabana, a potem przeniosła ją na własne. Następnie szybko powiedziała coś do niego, odwróciła się i ruszyła pośpiesznie w stronę lasu.

- Mówi, że musimy iść - przetłumaczył Probierz. - Wróg jest blisko.

Talaban skinął głową i ruszył ze swymi ludźmi za Suryet. Przez godzinę podążali za nią wydeptanymi przez jelenie ścieżynami pośród drzew. Sofaricie coraz trudniej było wędrować. Zostawała z tyłu. Kwestor Ro zawołał Talabana i wojownik wrócił do niego biegiem.

- Czy coś się stało? - zapytał Sofaritę.

- Moje stawy obracają się w kryształ - wyjaśniła. - Nie zdołam już zejść daleko.

Talaban rzucił Ro swój łuk zhi i chwycił ją w ramiona. Była lżejsza, niż się spodziewał. Gdy wojownik wrócił do swych ludzi, Ro miał przygnębioną minę. Z uwagi na swą drobną budowę nie zdołałby nieść Sofarity zbyt długo, lecz mimo to trudno mu było znieść jej widok w ramionach innego mężczyzny.

Kobieta z wielką radością przyjęła wybawienie od bólu. Wsparła głowę na ramieniu Talabana.

Księżyc świecił jasno na niebie. Skąpana w jego blasku puszcza przybrała niesamowity wygląd. Było tu zupełnie cicho, drzewami nie poruszały nawet najśłabszy wietrzyk. Suryet szła na czele kolumny obok Probierza. Żadne z nich się nie odzywało.

Niedługo przed świtem Suryet nagle uniosła rękę, a potem przykucnęła nisko. Awatarowie zatrzymali się. Talaban postawił Sofaritę na ziemi i podszedł do dzikuski. Kobieta dotknęła palcem ust, a potem wyciągnęła rękę w prawo. W wielkiej niecce obok strumienia płonęły ogniska. Suryet wskazała gestami, że kolumna powinna skręcić w lewo, żeby je ominąć. Talaban skinął głową i podróż zaczęła się na nowo. Był już zmęczony i rozkazał jednemu z awatarskich żołnierzy nieść Sofaritę. Sam przeszedł na czoło kolumny, dołączając do Probierza i Suryet.

Z nadejściem świtu opuścili las. Przed nimi ciągnął się łańcuch górski,

ale to nie turnie przyciągały wzrok i sprawiały, że dech zamierał w piersiach. Poza szczytami widać było coś, co wyglądało jak czarny mur wokół świata, gigantyczny i mroczny. Ciągnął się tak daleko, jak okiem sięgnąć.

- Kraina Almeków - wyjaśnił Probierz.

Była czymś obcym i nienaturalnym. Talaban nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Ciągnie się na setki mil - dodała Sofarita.

- Otwarty teren - oznajmił Probierz, wskazując na wąski pas równiny dzielący ich od gór. - Duże niebezpieczeństwo.

Talaban ostrzegł swych Awatarów. Wzdłuż całego szeregu na łukach zhi pojawiły się struny światła.

- Pora ruszać - oznajmił.

Awatarowie weszli na stok i rozciągnęli się szeroko, trzymając w rękach gotowe do strzału łuki. Musieli pokonać co najmniej milę na otwartej przestrzeni, nim dotrą do podstawy gór. Gdy byli gdzieś w połowie drogi, jeden z nich głośno krzyknął. Z lasu wyłaniali się uzbrojeni ludzie.

Ścigający byli pół mili za nimi, ale Awatarowie musieli nieść Sofaritę, co ich spowalniało. Talaban wiedział, że niemal na pewno znajdą się w zasięgu Almeków, zanim zdążą się skryć pośród wzgórz.

Wysłał połowę swych ludzi naprzód, a sam został z tyłu, razem z dziesięcioma Awatarami. Zasięg ognistych pałek wynosił około stu jardów - dwukrotnie mniej niż w przypadku łuków zhi. Talaban miał nadzieję, że przynajmniej spowolni pościg.

Almekowie ruszyli biegiem i odległość szybko się zmniejszała. Pięćset jardów. Czteryście.

- Gotowi! - krzyknął Talaban. Ścigających było co najmniej pięciuset.

Trzysta jardów. Dwieście.

Talaban wystrzelił impuls, a potem drugi i trzeci. Łuki zhi zaśpiewały i co najmniej trzydziestu Almeków padło na ziemię. Reszta nie zaprzestała jednak szarży.

- Jeszcze raz! - zawołał. Zginęło dwudziestu kolejnych Almeków.

Pozostali nie zwolnili kroku.

Zagrzmiały ogniste pałki. Wokół Awatarów zaświstały ołowiane kule. Jeden z nich został trafiony w czoło i padł bezgłośnie na ziemię.

- Odwrót! - zawołał Talaban. Jego ludzie rzucili się do ucieczki po trawie. Jeszcze jednego dosięgnął pocisk, ale nie przestał biec.

- Wszyscy Awatarowie do mnie! - krzyknął dowódca. Żołnierz niosący Sofaritę postawił ją na ziemi, wziął od Ro swój łuk zhi, odwrócił się i pobiegł do Talabana razem z dziewięcioma towarzyszami. Awatarowie ustawili się w luźny szereg i zaczęli strzelać do zbliżających się Almeków. Z górą stu nieprzyjaciół zginęło, nim atak wreszcie się załamał. Ocalali wojownicy padli na ziemię i zaczęli strzelać z ognistych pałek. Trafili trzech Awatarów, lecz tylko jeden z nich zginął.

Sofaritę niósł teraz Probierz. Dotarli już niemal do granicy lasu. Talaban zaczekał, aż znikną mu z oczu, a potem ruszył za nimi ze swymi ludźmi. Almekowie podnieśli się z ziemi i wystrzelili za nimi salwę. Jeden z Awatarów był ranny w nogę. Potknął się, ale biegł dalej.

Talaban jeszcze dwukrotnie rozkazywał swym ludziom zatrzymać się i ostrzelać nieprzyjaciela salwą impulsów z łuków zhi.

W końcu Awatarowie dotarli do lasu, gdzie przez chwilę mieli być bezpieczni. Zza osłony drzew wystrzelili kolejne impulsy, siejąc straszliwe spustoszenie wśród wbiegających na nagi stok Almeków. Ponad połowa nieprzyjaciół zginęła, nim wreszcie ściganym udało się zmusić ich do odwrotu.

- Nie można odmówić im odwagi - zauważył kwestor Ro, podchodząc do Talabana.

Wojownik skinął głową.

- Z pewnością im jej nie brak - przyznał. - I co teraz, kwestorze?

- Sofarita mówi, że powinniśmy wspiąć się wyżej. Musi się znaleźć powyżej płaskowyżu Almeków. Dopiero wtedy będzie mogła naprawdę zaatakować Kryształową Królową.

Talaban i jego ludzie ruszyli w głąb lasu. Dwóch rannych zgłosiło się na ochotnika, proponując, że zostaną tu i będą nękali nieprzyjaciela. Talaban zgodził się, uścisnął im dłonie i poprowadził resztę oddziału w głąb lasu.

- Zginą tu - zauważył Ro.

- Wiedzą o tym - odparł dowódca.

Pięli się powoli w górę. Z tyłu dobiegał ich huk ognistych pałek i krzyki umierających.

Suryet i Probierz zatrzymali się przed wodospadem. Z chaszczy wokół nich wyłonili się wojownicy Anajo. Jednooki Lis uściskał Probierza, a potem podszedł do Sofarity.

- Zatrzymamy ich tutaj - zapewnił. - Ty musisz iść dalej.

Wyciągnęła rękę i uścisnęła jego ramię. Wypełniła go moc.

- Dziękuję - rzekł z szerokim uśmiechem.

- Ja również ci dziękuję - powiedziała. - To drobiazg w porównaniu z uratowaniem mi życia.

Podszedł do nich Talaban. Jednooki Lis coś do niego powiedział, ale Awatar nie zrozumiał ani słowa.

- Chce cię przywitać - przetłumaczył Probierz. - Mówi też, że z północy nadciąga druga armia.

- Musimy zająć pozycje obronne - stwierdził Talaban. - W jakimś wąskim przejściu, łatwym do utrzymania.

Probierz przetłumaczył jego słowa Jednookiemu Lisowi. Obaj mężczyźni wymienili szybko kilka zdań.

- Mówi, że jest tu takie miejsce. Ale z taką garstką ludzi nie utrzymamy go długo. Może dzień.

- Potrzebuję dwóch dni - oznajmiła Sofarita. - Co najmniej.

- Damy ci je, jeśli tylko będzie to możliwe - obiecał Talaban.

W Dolinie Kamiennego Lwa mijały lata i robotnicy zrywali się ze sobą coraz bardziej. Z początku dziwiło to Yashę. Co innego zgodzić się na dwudziestoletni kontrakt w zamian za obietnicę bogactwa, a co innego przepracować niekończące się, pełne ponurej monotonii lata. Okazało się jednak, że wcale nie były ponure. Praca sprawiała im radość, zwłaszcza gdy kończyli „kolejne kondygnacje budowli. Jej dodatkową zaletą była przedłużona młodość i siła robotników. Mijały lata, a na głowie żadnego z nich nie pojawił się choćby jeden siwy włos. Ludzie byli żywotni i pełni energii.

Wszyscy z wyjątkiem Świętego, który z każdym dniem stawał się starszy i bardziej wątpy.

To było tak, jakby sam brał na swe barki brzemień mijających lat. Z początku robotników niepokoiły zachodzące w nim zmiany, ale stopniowo pokochali go za to, co się z nim działo. Jego fizyczny upadek ostro kontrastował z ich wieczną młodością.

Gdy dotarły do nich wieści o straszliwej wojnie, która szalała za mgłą poczuli się tu bezpieczni, a kiedy Anu zapewnił ich, że piramida ocali miasta i ich rodziny, zaczęli pracować jeszcze ciężiej i z większym zapalem.

Gmach był już prawie gotowy i Yasha czuł z tego powodu dziwny smutek.

Stał w opustoszałym obozie i spoglądał na złotą piramidę. Milion dwieście tysięcy bloków wapienia i granitu, ważących łącznie trzy miliony ton, piętrzyło się na wysokość dwustu pięćdziesięciu stóp. Sto kamiennych poziomów, niektóre bloki ważące ponad dwadzieścia pięć ton.

To było monumentalne przedsięwzięcie.

Anu już przedtem podziękował robotnikom i wysłał ich na północ, kazał im się ukryć pośród wzgórz, za kamieniołomami.

- Nadciągają tu wrogowie - powiedział głosem tak słabym, że ci, którzy stali najbliżej, musieli powtarzać jego słowa pozostałym. - Ale nie będą was ścigać. Przyjdą do piramidy, a potem odpłyną na swych złotych okrętach. Daję wam słowo. Wróćcie do domów i otrzymacie całą obiecaną fortunę. A teraz odejdźcie z moim błogosławieństwem.

Yasha stał sam pod chatką Świętego. Anu kazał mu zostać, podczas gdy pozostali uciekną. Krzepki brygadzysta spojrzął na porzucone szopy, w których jeszcze niedawno mieszkały dziwki, zastanawiając się, z iloma kobietami spał w ciągu beczasowych dziesięcioleci, które przepracował w tym miejscu.

Drzwi chaty otworzyły się ze skrzypnięciem i Anu wyszedł w światło dnia. Poruszał się powoli i z bólem. W dłoniach trzymał kilka zwojów papirusu.

- Dziękuję, że zaczekałeś - rzekł.

- Musimy już iść, Święty - niecierpliwiał się brygadzysta. - Poniosę cię.
- Ja stąd nie odejdę, Yasho. Ale możesz mnie ponieść. - Wyciągnął drżącą rękę i wskazał na piramidę. - Zanieś mnie tam. Na szczyt.

Drabiny nadal były na miejscu. Yasha podniósł staruszkę i ruszył w stronę piramidy. Potem wziął Anu na barana i wspiął się na sam jej szczyt. Był on płaski, gdyż Święty nalegał, by piramida nie miała zwieńczenia. Yashy wydawało się to dziwne, ponieważ pod każdym innym względem była ona doskonała.

Anu usiadł na złocistym kamieniu i obaj mężczyźni razem spojrzeli na dolinę.

- Dawno temu złożyłem ci obietnicę, Yasho - zaczął Święty. - Powiedziałem, że ta piramida będzie służyła nie tylko Awatarom, lecz również całemu światu. Gdy zaśpiewa swą pieśń, zbawi nas od złego. Wrogowie przestaną nam zagrażać.

- To piękna budowla - stwierdził brygadzysta. - Będzie stała przez całą wieczność.

- Nie - zaprzeczył Anu. - Nie postoi nawet roku. Muzyka, którą stworzyłem, jest bardzo potężna. Gdy już się zacznie, przeżre się przez bloki, zamieniając je w pył. Wiatr rozniesie go po całej Ziemi i nie pozostanie nawet ślad.

- Dlaczego, Święty? - zapytał przerażony Yasha.

Siedzimy na ogromnym i wspaniałym źródle mocy, Yasho. Tak jak w przypadku każdej mocy, można jej użyć dla dobrych albo dla złych celów. Gdybym zostawił tu piramidę, prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto nadałby Muzyce nową postać. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - I tak w najbliższych stuleciach nie zabraknie prób powtórzenia tego, co udało nam się tu osiągnąć. Być może komuś się uda. Nie jestem aż tak arogancki, żeby sądzić, iż jestem jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek pobłogosławiło Źródło. - Poklepał brygadzystę po ramieniu. - Czas już zwalnia bieg, Yasho, a musimy jeszcze omówić pewne sprawy. W miastach pozostało niewielu Awatarów i władza przeszła w ręce vagarskiej Rady. Wojna spowodowała straszliwe zniszczenia i Rada z pewnością nie zechce honorować obietnicy

złożonej przez Awatara. Zwłaszcza takiej, która doprowadziłaby do opróżnienia skarbcza. Robotnicy wrócą do miasta i przekonają się, że nie ma dla nich zapłaty. Mój człowiek, Shevan, mówi im to właśnie w tej chwili. Informuje też, że ty zajmiesz się wypłaceniem należnych im pieniędzy. Że spełnisz moją obietnicę.

- A jak mam to zrobić, Święty?

Anu podał mu dwa zwoje, które trzymał w dłoniach.

- Pierwszy to mój testament. Wszystko, co mam, zostawiam tobie.

Niewykluczone jednak, że tego testamentu również nie zechcą honorować. Nie jestem pewien. Na drugim zwoju jest mapa pokazująca, gdzie zakopałem dwanaście skrzyń wypełnionych złotymi monetami. To wystarczy, żeby zapłacić wszystkim robotnikom. I każdej dziwce, która jeszcze ma żetony.

- Postąpiłbyś głupio, gdybyś powierzył mi tak wiele złota - zauważył Yasha. - Czemu nie dałeś go Shevanowi?

- Nieraz w życiu postępowałem głupio, Yasho. Nikt, kto kiedykolwiek zaczerpnął oddechu, nie może twierdzić, że jest inaczej. W tym przypadku mam jednak rację. Jesteś dumnym, honorowym człowiekiem. Może nie powierzyłbym ci żony albo córki, ale to tylko złoto. Wypłacisz je uczciwie i skrupulatnie.

- Masz rację - przyznał Yasha. - Zrobię to dla ciebie, Anu. - Wsadził z westchnieniem zwoje za pas. - Dlaczego chcesz tu zostać?

- Muszę to zrobić. Ja jestem zwińczeniem. Ostatnim elementem Muzyki. A ty musisz odejść, Yasho. Zostaw mnie tu.

Rosły brygadzysta wstał, a potem schylił się i pocałował starca w czoło.

- Ludzie o tobie nie zapomną Święty.

- Zapomną - zapewnił z uśmiechem Anu. - Zapominają o wszystkich.

Idź już!

Yasha podszedł do drabiny, spojrzął po raz ostatni na białobrodego staruszka siedzącego na kamiennym szczycie, a potem zszedł na dół.

Talaban zorientował się, że jego łuk zhi wyładował się całkowicie i skoczył z głazu prosto w grupę Almeków. Uderzył mieczem, przecinając

szyję pierwszego z nieprzyjaciół, a jego sztylet wbił się w pierś drugiego. Probierz wypadł z ukrycia w towarzystwie kilku wojowników Anajo. Razem wdarli się w szyki wroga.

Ten nagły atak zatrwożył Almeków, którzy cofnęli się w dół ścieżki. Talaban złapał porzuconą ognistą pałkę i wystrzelił w grupę uciekających. Potem odrzucił broń na bok.

Spojrzał na niebo i zobaczył, że zbliża się zmierzch. Powstrzymywali atakujących prawie przez całą dobę. Przy życiu zostało tylko trzech Awatarów i piętnaścioro Anajo. Przeciwnik spychał obrońców coraz wyżej, niemalże wypychając ich z wąskich ścieżek. Jeszcze jeden atak i znajdą się na otwartej przestrzeni, gdzie Almekowie szybko ich zmiażdżą.

Lewe oko Talabana zalewała krew, płynąca z rany na czole. Otarł ją i przeszedł do linii głazów, gdzie kończyła się ścieżka. Gdy zza nich wyrzał, rozległo się kilka strzałów. Pociski uderzyły w kamień blisko jego głowy. Awatar zaklął i schylił się.

- Znowu się zbierają - poinformował Probierza.

Podszedł do nich Jednooki Lis. Powiedział coś do Probierza.

- Co on mówi? - zainteresował się Talaban.

- Musimy się utrzymać do świtu.

- To mnóstwo czasu.

- Pora na nowy plan - stwierdził Probierz.

Talaban uśmiechnął się złowieszczo.

- Masz rację. Co proponujesz?

- Atak! - odparł dzikus.

Rozdział dwudziesty siódmy

Tak oto Gwiezdna Kobieta i Bogini Śmierci stanęły naprzeciwko siebie Ostatniego Dnia. Bogini była potężna, ale Gwiezdnej Kobiecie towarzyszyli Storro, Opowiadacz Legend, który strzegł jej serca, Tail-avar, bóg mądrości, który osłaniał jej ciało, oraz Dotknij Księżycy, który bronił jej duszy. Ayał Kiedyż świat znowu ujrzy takich bohaterów?

Ze Zmierzchowej pieśni Anajo

Sofarita podciągnęła się na szeroką skalną półkę, wysoko na południowej ścianie góry, a potem przykucnęła. Po chwili dołączył do niej Ro. Dał tu zimny wicher i kwestor zarzucił swój płaszcz na ramiona kobiety. Wreszcie znaleźli się nad szczytem wyniosłej, czarnej ściany przecinającej krainę i Ro zobaczył w oddali światła miasta.

- Czujesz jej moc? - zapytał Sofaritę.

- Tak.

Zrzuciła płaszcz i wstała, rozpościerając szeroko ramiona. Awatarowi wydawało się, że jej ciało świeci. Po paru chwilach poczuł promieniujące od Sofarity ciepło. Jej kończyny zeszywniały. Wyglądała teraz jak posąg, jej skóra błyszczała jak pokryta lodem. Wyciągnął do niej rękę, ale usłyszał w umyśle jej głos.

- Nie dotykaj mnie, Ro. To moje przeznaczenie. Umrę tutaj.

Jej słowa były jak sztylet wbity w jego serce. Osunął się na skalną ścianę, skrywając twarz w dłoniach.

Cas-Coatl zatrzymał się z setką ludzi na północnym skraju bariery mgieł. Jego saperzy usilnie starali się przez nią przedostać, ale wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem.

Wódz Almeków czekał spokojnie. Armię oblegającą Pagaru ewakuowano na dwanaście złotych okrętów, które mknęły teraz przez ocean, wioząc w ładowniach skrzynie wypełnione po brzegi naładowanymi

kryształami. Gdy Almeia je pochłonie, odzyska siły i zniszczy czar próbujący zepchnąć ich z powrotem ku lodowej zagładzie.

Niepowodzenia, które spotkały ich na wschodzie, były tylko przejściowe. Kiedy tu wróci, nie będzie już Awatarów, którzy zniszczyli jego zapasy prochu. Ale najpierw musi pojmać Anu i zmusić go do odwrócenia działania magii piramidy. Obejrzał się na dwadzieścia wozów, wiozących resztki jego prochu.

W dolinie dął chłodny wietrzyk. Cas-Coatl drżał. Od zimna zawsze bolała go twarz. Uniósł dłoń i pogłaskał palcami gładkie, twarde szkło na policzkach.

Zaślubiony z kryształem.

Kiedy pojawiły się pierwsze objawy choroby, był przerażony. Rodzice zaprowadzili go do miejsca spoczynku Almei i modlili się za niego przez cały dzień. Bogini objawiła mu się we śnie, obiecując, że go uratuje. Dotrzymała słowa i jego rodzice z radością w sercu złożyli jej w ofierze sześćdziesięciu niewolników.

Dłoń Cas-Coatla spoczęła na wielkim szmaragdzie wprawionym w jego pas. Klejnot zapewniał mu szczególną więź z boginią, a jego moc powstrzymywała kryształową śmierć.

Ocalenie miało jednak swoją cenę. Almeia nie pozwoliła mu się ożenić ani spłodzić dzieci. Miał na wieki należeć tylko do niej. Cas-Coatl przystał na to z ochotą.

Obecnie nie był już jednak pewien słuszności swych poczynań. Almekowie zawsze składali jeńców w ofierze w zigguracie Almei. Sprawiało to przyjemność bogini. Jednakże nigdy dotąd nie rozkazała Cas-Coatlowi wymordować całych populacji. Wykonał nawet ten rozkaz, licząc na to, że po ukończeniu piramidy Anu rzeź dobiegnie końca.

I co teraz?, zastanawiał się. Czy tak ma wyglądać moje życie? Czy zawsze już będę wędrował po Ziemi w poszukiwaniu nowych ofiar?

- Panie - zawołał do niego saper. - Mgła rzednie!

- Jak to zrobiłeś? - zapytał Cas-Coatl.

- Chciałbym móc przypisać sobie zasługę, panie, ale nie miałem z tym

nic wspólnego.

Wiatr przybrał na sile, rozpraszając mgłę. Cas-Coatl ujrzał ukrytą za nią dolinę, a pośrodku niej wysoką piramidę. Rozkazał swym ludziom ruszać i pomaszerował w jej stronę.

Gdy już wkroczył do opustoszałej doliny, zauważył na szczycie piramidy jakieś poruszenie. Z góry spoglądał na nich brodaty starzec. Cas-Coatl odwrócił się do swych żołnierzy i wysłał dwóch na górę, rozkazując im go pojmać. Wyjął z woreczka u pasa duży zielony kryształ. Dostroił się do niego i uniósł go w stronę piramidy. Czuł, że z klejnotu wypływa energia, ale proces był bardzo powolny, utrata mocy ledwie zauważalna. Odsunął się o jakieś pięćdziesiąt jardów i ponowił próbę. Tym razem nie zauważył utraty energii.

Cas-Coatl parsknął śmiechem. Wszelkie jego obawy dotyczące piramidy Anu rozproszyły się niczym mgła na wietrze.

Nie było żadnej groźby.

Zalała go fala ulgi. Czy jest w ogóle sens szukać Anu?, zadał sobie pytanie. Ten człowiek był nieudacznikiem. Zbudował złotą górę, która nie mogła nawet wyssać energii z jednego kryształu. Ale... Almeia była tak bardzo pewna jego talentu. Obserwowała budowę piramidy i opowiadała Cas-Coatlowi, że gigantycznymi kamiennymi blokami manipulowano tu z taką łatwością, jakby ważyły nie więcej niż puste drewniane skrzynie. Ktoś tak uzdolniony z pewnością potrafiłby stworzyć potężniejszą broń.

Do Cas-Coatla dotarły dźwięki muzyki. Stojący na szczycie piramidy starzec grał na flecie smętną, rzewną melodię. Almek poczuł, że szmaragd wprawiony w jego pas zaczyna wibrować. Z nagłym wstrząsem uświadomił sobie, że ten człowiek to Anu i że właśnie rzuca zaklęcie.

- Zabijcie go! - ryknął. Jego głos poniósł się echem po dolinie. Dwaj wspinający się żołnierze obejrzeni się na niego. - Zabijcie starca. Natychmiast!

Obaj żołnierze zatrzymali się i oparli ogniste pałki na ramionach. W tej samej chwili muzyka umilkła, starzec podszedł do krawędzi wierzchołka budowli i stanął tam z rozpostartymi ramionami, jakby witał śmierć. W pierwszej chwili Cas-Coatl poczuł ulgę, gdyż jego ludziom został kawałek drogi do szczytu i kto wie, jakiej magii mógł jeszcze użyć Anu. Gdy jednak

zobaczył, że święty starzec wita swych zabójców z otwartymi ramionami, nagle zawładnął nim obezwładniający strach. Był człowiekiem wychowanym według zasad krwawej ofiary i płynącej z niej mocy.

W owej straszliwej chwili wódz Almeków uświadomił sobie, że to właśnie śmierci potrzebuje Anu. Jego krew musiała spaść na kamienie. Skoczył naprzód, krzycząc jedno słowo:

- Nie!

Ogniste pałki zagrzały. Anu padł na plecy. Przez kilka uderzeń serca nic się nie działo. Cas-Coatl niemal mógłby zadać sobie pytanie, czy się pomylił.

Niemal.

Kryształ u jego pasa zaczął drżeć i dygotać. Potem rozprysnął się na tysiąc okruchów.

Almek zastygł w bezruchu. Jego stawy sztywniały, a skóra napinała się coraz bardziej. Pierś i brzuch przeszył mu straszliwy ból, jakby załęgły się w nich czerwone pająki, rozszarpujące organy wewnętrzne. Chciał krzyknąć, ale jego twarz znieruchomiała. Pękła pod nim lewa noga i runął na trawę. Prawa ręka się odłamała. W następnej chwili Cas-Coatl przestał istnieć jako żywa, świadoma istota. Jego kryształowego trupa zalała niesłyszalna muzyka piramidy. Na całym ciele pojawiły się szczeliny, które stawały się coraz szersze, rosły niczym pajęczyna. Potem nastąpiła implozja i na ziemi pozostała tylko pusta zbroja, hełm, rajtuzy i buty.

Pozbawieni wodza Almekowie oddalili się od piramidy w obawie, że teraz zwróci ona swój gniew przeciwko nim.

Porzucili wozy z prochem, uciekając w stronę rzeki i okrętów, które zawiozą ich do domu.

Jednooki Lis rozkazał swym ludziom zebrać się wokół siebie. Podchodził kolejno do każdego, kładąc mu dłonie na oczach. Za każdym razem śpiewał kilka słów, a potem przechodził dalej. Talaban domyślał się, że to pieśń mocy, mająca wspomóc wojowników.

Miał rację, ale nie w taki sposób, jak mu się zdawało. Otaczająca ich

ciemność była niemal nieprzenikniona, księżyc przesłaniała gruba warstwa chmur. Jednakże gdy Jednooki Lis cofnął dłonie od jego twarzy, Awatar przekonał się, że widzi tak wyraźnie, jakby było południe. To było dziwaczne wrażenie. Wokół nie dostrzegał kolorów, a jedynie ostrą czernią, szarość i biel.

Szaman wezwał do siebie ludzi.

- Łowcy krwi spróbują zaatakować nas po ciemku. Ale spadniemy na nich niczym górskie koty. Będą wobec nas jak ślepcy.

Czternastu mężczyzn Anajo oraz Suryet uniosło swe łuki i strzały z krzemiennymi grotami, a potem zniknęło w chaszczach. Talaban chciał podążyć za nimi, ale Jednooki Lis zastąpił mu drogę. Szaman dotknął czoła Awatara i zamknął oczy. Jego głos poniósł się echem w umyśle Talabana.

- Robisz za dużo hałasu, przyjacielu. Zaczekaj tutaj ze swymi braćmi. Zabijcie wszystkich, którzy zdołają dotrzeć do końca ścieżki.

Jednooki Lis zniknął.

Talaban wyciągnął miecz i sztylet, skinął na swych ludzi, rozkazując im stanąć obok siebie, i zajął pozycję na końcu ścieżki. Na górę spróbuje się wspiąć ponad stu nieprzyjaciół. Nawet zdolność widzenia po ciemku nie pozwoli Anajo ich powstrzymać.

Zginę tutaj, uświadomił sobie nagle. Nie przeżyję nawet tygodnia, który obiecał mi Anu. Ogarnął go strach. Poczł gwałtowne mdłości. Nie chcę ginąć na tej górze w obcym kraju, pomyślał. Nie mam synów, którzy zachowaliby moją krew jako dar dla przyszłości, ani żony, która by po mnie płakała. Pomyślał o Sofaricie. Pogodził się z ostrzeżeniem Anu, który zapowiedział jego śmierć, ale liczył na to, że moc Sofarity go uratuje. Jednakże tu jej nie było. Talaban po raz pierwszy w życiu miał ochotę uciec. Ale nie zrobił tego. Nie mógł. Spojrzał na człowieka u swego prawego boku i szok wyrwał go z melancholijnych rozważań. Awatar miał szeroko rozwarte oczy, a źrenice wąskie jak u kota. Zaskoczenie malujące się na twarzy żołnierza uświadomiło mu, że sam z pewnością wygląda równie złowieszczo. Nagle się uśmiechnął. Jego towarzysz odwzajemnił uśmiech, a potem wyciągnął rękę. Talaban uściśnął jego dłoń, a następnie powtórzył to samo z pozostałymi wojownikami.

- Nie dorównamy chwałą ostatniej szarzy - stwierdził. - Ale żyliśmy jak bogowie i zginiemy jak mężczyźni. Uważam, że to wystarczy.

Z dołu dobiegły krzyki rannych. Wystrzeliło kilka ognistych pałek.

Talaban uniósł miecz.

W Egaru gruby Caprishan klęczał w swej luksusowej sypialni, opróżniając worki w pełni naładowanych kryształów do dwóch skrzyń. Odrzucił zaproszenie Raela i nie wyruszył z nim przeciwko Almekom, a teraz starał się ocenić, jak długie życie zapewnią mu te klejnoty. Jak wszyscy Awatarowie, miał umysł szkolony w rachunkach. Kryształów było ponad dwa tysiące, a każdy z nich mógł utrzymać zwyczajnego człowieka w zdrowiu przez całe miesiące. Caprishan nie był jednak zwyczajnym człowiekiem. Ogromna waga i nienasycony apetyt osłabiły jego serce. Potrafił wyczerpać w pełni naładowany kryształ w ciągu sześciu dni. Dwanaście tysięcy, trzysta sześćdziesiąt dni. Niespełna trzydzieści cztery lata! Ogarnęło go rozczarowanie.

- Lepsze to, niż zginąć i gnić na polu bitwy - powiedział sobie. - I kto wie, może uda się znaleźć gdzieś więcej kryształów?

Usiadł, wpatrując się w połyskliwe klejnoty. Przez trzydzieści cztery lata wiele się mogło wydarzyć.

Kryształowa waza stojąca na parapecie nagle się stłukła. Caprishan poderwał się, słysząc ten dźwięk. Podniósł się ciężko i podszedł do okna, żeby zobaczyć, kto rzucił kamieniem. Nikogo nie było widać. Zza jego pleców dobiegł dziwny trzask. Odwrócił się i zobaczył unoszący się nad skrzyniami zielony pył. Powlókł się z powrotem do nich i padł na kolana. Kryształy podskakiwały i pękały.

- Nie! - zawołał. Włożył tłuste dłonie do pierwszej skrzyni, zaciskając palce na nielicznych ocalałych kryształach. Czuł jednak, że obracają się w pył pod jego dotykiem. Czerwone klejnoty w pierścieniach na jego palcach eksplodowały.

Caprishan zaszlochał rozpaczliwie. Jeden z jego służących wpadł do pokoju.

- Co się stało, panie? - zapytał.

- Zostaw mnie! - wrzasnął grubas. Mężczyzna wycofał się pośpiesznie.
Caprishan wstał i poszedł na balkon.

Mógł zaczekać sześć dni i umrzeć powolną, okrutną śmiercią.

Albo mógł...

Jego tłuste cielsko runęło w dół, spadając na wyłożoną kamieniami ścieżkę obok fontanny.

A muzyka piramidy popłynęła nad ocean.

Wąż Siedem był już blisko brzegu, gdy nagle cała moc zniknęła. Przez krótką chwilę okręt sunął jeszcze naprzód, niesiony impetem i pływem. Potem jednak zaczął się kołysać w przód i w tył oraz na boki.

Podczas powrotnego rejsu Methras rozkazał załodze opróżnić kajuty i ładownie ze wszystkiego, co mogło utrzymać się na wodzie. Zrobiono kilka tratw oraz prowizoryczne wiosła. Ludzie uznali te rozkazy za dziwne, ale wykonali je.

Okręt obrócił się bokiem do lądu i niebezpiecznie się przechylił.

- Wszyscy za burtę! - zawołał Methras. Załoga zaczęła rzucać do morza puste beczki, za którymi podążyły tratwy. Ludzie skakali jeden za drugim do oceanu. Najlepsi pływacy ruszyli w stronę brzegu. Ci, którzy nie pływali tak dobrze, trzymali się tratw i innych pływających na morzu przedmiotów. Methras zauważył, że jeden z marynarzy zniknął pod wodą. Zanurkował, złapał go za kołnierz i wyciągnął na powierzchnię. Vagar opierał się mu i omal nie wciągnął ich obu w odmęty, ale Methras uspokoił go kilkoma słowami, a potem przyciągnął do beczki.

- Trzymaj się jej i uderzaj nogami - poradził mu. - Przypływ zanieś cię na brzeg.

Potem popłynął do tratwy. Kilku marynarzy zdążyło się już na nią wdrapać. Pomogli mu wsiąść.

Usiadł i odwrócił się w stronę Węża. Okręt kołysał się jak chory wieloryb. Po chwili przewrócił się i zniknął w głębinie.

- Co się stało? - zapytał jeden z vagarskich marynarzy.

- To była magia Anu.

- Myślałem, że on jest po naszej stronie.
- Bo jest - odparł Methras. - Złote okręty też właśnie toną.
- Mógł zaczekać jeszcze z godzinę - poskarżył się Vagar. -

Zdążylibyśmy zawinąć do portu.

Gdy nad morzem wstawał świt, Ro poczuł, że ogarnia go dziwne uczucie. Dostroił do niego swój umysł. To była muzyka, szepcząca na wietrze. Była dysharmonijna, ale... sprawiała, że czuł się częścią wszystkiego: ziemi, nieba i skał pod stopami.

Z ust Sofarity wyrwał się stłumiony krzyk. Ro zwrócił się w jej stronę i zauważył, że zaczęła drżeć. Wstał i objął kobietę, mocno tuląc jej sztywne ciało. Osunęła się na niego, omal nie strącając obojga w przepaść. Ro zdołał z wysiłkiem zachować równowagę. Sofarita szeroko rozłożyła ramiona. Nadal były sztywne, nie mogła zgiąć ich w stawach. Próbowwała coś powiedzieć, ale jej język nie był w stanie uformować słów.

- Jestem tutaj - powiedział Ro. - Jestem z tobą. Przypomnij sobie rytuały. Wykonaj je ze mną.

Z początku nie było reakcji. Potem ogarnął go straszliwy ból. Jego ciało kruszyło się niczym szkło. Ro stłumił panikę, skupiając się instynktownie na realności ciała, na miękkich, wilgotnych tkankach łączących się w silne mięśnie, na krążeniu gęstej, ciepłej krwi.

Muzyka wciąż narastała w jego umyśle, przeradając się w majestatyczną symfonię, pieśń wielką jak cały wszechświat. Zalała ich oboje.

Sofarita opuszczała głowę na jego ramię. Jej ręce opadły. Ro czuł pod dłońmi ciało kobiety, miękkie i ciepłe. Położył ją na skale i klęknął obok niej.

- Powiedz coś - poprosił. - Pokaż mi, że żyjesz.

Otworzyła oczy.

- Moc mnie opuściła - oznajmiła. - Znowu jestem kobietą. Jak udało cię się stworzyć tę Muzykę?

- Nie była moja.

Westchnęła i spróbowała usiąść.

- Nie jestem już boginią, Ro. Jestem tylko vagarską kobietą.
- Jesteś kobietą, którą kocham - odparł, zaskoczony własnymi słowami.

Czekał na słowa odrzucenia, wiedząc, że będą delikatne, ale oparzą go niczym ogień.

- Ja też cię kocham - wyznała. - Wiedziałam o tym już tej nocy, gdy uratowałeś mnie przed Almeią, kiedy położyłeś się przy mnie i ogrzałeś mnie własnym ciałem.

Nagle rozszalał się potężny wichur. Ro uczeplił się skały. Podmuchał na niego Sofaritę.

Na niebie rozjarzyło się oślepiające światło. Ro uniósł wzrok i zobaczył drugie słońce, rozświetlające skłębione chmury. Od przedzielającej światłociany dobiegł przeraźliwy jęk. Posypały się z niej gązdy. Potem z potężnym szarpnięciem sciana oderwała się od ziemi, wraz z położoną dalej krainą. Uniosła się ku niebu, mocno się przechylając. Następnie wiszącym w powietrzu łodem targnęło potężne trzęsienie ziemi. Płaskowyz rozszczępił się na dwoje. Obie części nadal unosiły się ku drugiemu słońcu. Coś załśniło w powietrzu niczym złoty ptak. Ro zobaczył, że to okręt, który przesyłał powietrze i rozbił się na unoszącym się ładzie. Pojawiły się kolejne okręty, jakby przyciągało je niewidzialne tornado.

Na niebie zapłonął pierścień ognia, szeroki na setki mil. Pęknięty płaskowyz pomknął ku niemu. Kraina Almeków zniknęła na oczach Ro. Pierścień ognia zaczął się zamykać, kurcząc się z każdą chwilą.

Potem on również zniknął.

Nie było już przed nimi sciany, nie było mrocznego, złowrogiego płaskowyzu. Na jego miejscu rozciągało się pustkowie.

- Trawa i drzewa wyrosną na nowo - stwierdziła Sofarita - a strumienie wypełnią się wodą. Życie powróci.

Ro wstał, ujął kobietę za rękę i odprowadził ją od krawędzi przepaści.

Nieco niżej spotkali Jednookiego Lisa, Probierza i Suryet. Żyło jeszcze czterech innych Anajo.

U wejścia na ścieżkę Ro ujrzał stertę ciał. Tuż za nią Probierz klęczał przy leżącym na ziemi Talabanie. Ro podbiegł do niego, sądząc, że Awatar

jest tylko ranny. Gdy jednak znalazł się bliżej, ujrzał straszliwe rany i zimną nieruchomą twarz. Westchnął i z palącym wstydem przypomniał sobie gwałtowną radość, którą poczuł, gdy Sofarita mu powiedziała, że go kocha. Talaban oddał życie za to, by on mógł usłyszeć te słowa.

Podszedł do martwego Awatara i klęknął przy jego ciele.

- Zabił z towarzyszami przeszło dwudziestu - oznajmił Probierz w języku Anajo. - Nie cofnęli się. Talaban zginął ostatni. Próbowałem do niego dotrzeć, pomóc mu. Chciałem uratować mu życie, tak jak on uratował je mnie. Zobaczył, że biegnę ku niemu. Otaczali go ze wszystkich stron. Zginął w tej samej chwili, gdy wzeszło słońce. - Probierz wydobyl sztylet i uciął kosmyk włosów Talabana. - Ułożę dla niego pieśń modlitewną która dotrze do wszystkich duchów Anajo. Powitają go wśród siebie.

- Cieszę się, że ocalałeś - rzekł Ro. - On byłby z tego zadowolony.

- Sądziłem, że zginę. Ale gdy wzeszło drugie słońce, Almekowie uciekli.

I co teraz zrobisz, kwestorze Ro? Czy spróbujesz wrócić do swej kamiennej osady?

- Nie. Zostanę z wami, jeśli mnie przyjmiecie. Będę was uczył i uczył się od was. Znajdę jakiś sposób, by zapisać te wydarzenia w historii.

Probierz położył dłoń na czole Talabana.

- Zawsze będzie żył w moim sercu. I moi synowie dowiedzą się o nim. I ich synowie również. Jest teraz częścią Ludu. My nie zapomnimy.

Sofarita podeszła bliżej i Ro ujął jej dłoń. Patrzyła na martwego Awatara, ale nie czuł zazdrości, widząc łzy w jej oczach.

Epilog

W dniu zwanym przez ludzi Reshgaroth bogowie odeszli, by kontynuować swą wojnę w niebie, porzucając pola i lasy, góry i doliny. Powędrowali daleko za jasne gwiazdy, dosiadając srebrnych orłów. Zniknęli wszyscy oprócz jednego. Virkokka wiedział, że Lodowe Olbrzymy powrócą. Tylko on pozostał wśród Ludu, by chronić go przed zimną śmiercią.

Z Wieczornej pieśni Anajo

Na brzegach Luanu ludzie zbierali ciała poległych, gdyż po bitwie zawsze istniało niebezpieczeństwo zarazy. Zabitych Vagarów i Awatarów grzebano, natomiast z Almeków zdzierano ubrania i palono ich na wielkich stosach.

Trzech vagarskich robotników zrobiło sobie południową przerwę. Podeszli do brzegów Luanu i spryskali twarze chłodną wodą. Jeden z nich, młody cieśla imieniem Leshan, spojrział na północ.

- Jest tam jeszcze jeden - oznajmił, wskazując na poczerńiałego trupa, wystającego do połowy z wody.

- Zostaw go. Mam już dosyć - rzucił drugi.

Lubię robić to, za co mi płacą - sprzeciwił się Leshan. Wstał i podszedł do ciała. Leżało twarzą do ziemi. Ubranie zabitego było przypalone, a koszula podarta. Na skórze widać było czerwone i czarne oparzenia. Leshan nie potrafił określić, czy był on Vagarem, czy Almekiem. Obrócił z wysiłkiem zwłoki na plecy. Pierś mężczyzny naznaczyły straszliwe blizny, a większą część jego włosów strawił ogień, ale twarz pozostała gładka. Leshan go znał. Któż mógłby go nie znać? Był najgroźniejszym i najbardziej zniechęconym ze wszystkich Awatarów.

Viruk otworzył oczy. Były jasnoszare i zimne. Potem jęknął.

- On żyje! - zawołał Leshan.

- Pewnie, że żyję - mruknął ranny. - Jestem bogiem, kretynie!

Viruk zamknął oczy i zazgrzytał zębami z bólu. Leshan opuścił dłoń do

noża, który miał za pasem. Mógłby jednym pchnięciem zabić tego człowieka, wbić nóż głęboko w poparzoną szyję.

Zauważył, że Viruk otworzył oczy i przygląda mu się uważnie.

- Zasłużyłeś na śmierć - oznajmił Leshan.

Awatar uśmiechnął się i wsparł na łokciu.

- Nie rozumiem, dlaczego podludzie nie potrafią pojąć prostych faktów - stwierdził. - Nie dostajemy tego, na co zasługujemy, ty idioto. Dostajemy to, co dostajemy. A teraz, jeśli chcesz mnie pchnąć tym nożem, zrób to, a jeśli nie, to zwołaj chirurga. Może i jestem bogiem, ale ten bóg ma złamaną nogę.

Leshan potrząsnął głową z uśmiechem. Viruk cierpiał straszliwy ból. Był zdany na jego łaskę i niełaskę. A mimo to zasypywał go od niechcienia obelgami, rzucając wyzwania śmierci.

Któż mógłby zabić takiego człowieka?, pomyślał.

Gdy uśmiercono już ostatniego z Lodowych Olbrzymów, Virkokka poczuł się znudzony. Potem Storro, Opowiadacz Legend, przepłynął pełen gwiazd ocean nocnego nieba i dotarł do Kamiennego Miasta, by powiedzieć Yirkokce, że nadchodzi wielka wojna, że gromadzą się żądni krwi wodzowie, czarodzieje i armie. Yirkokka roześmiał się z ulgi, słysząc te słowa. Następnie ujął w rękę swój ognisty miecz i kolejny raz wyruszył na wojnę ze złem.

Z Wieczornej pieśni Anajo